

A close-up photograph of a woman with long, wavy brown hair, wearing a patterned, textured dress. She is holding a violin and bow, with her hands positioned as if playing. The background is a soft-focus field of yellow and orange flowers under a bright sky. The overall mood is romantic and nostalgic.

*Melodia*  
zapomnianych  
miłości

DOROTA  
GĄSIOROWSKA

DOROTA  
GAŚSIOROWSKA

*Melodia  
zapomnianych miłości*

między  
słowa*mi*

*Mojej mamie Stanisławie*

## Prolog

W a uliczkach Petersburga zapalały się pierwsze latarnie gazowe. Mroźne listopadowe powietrze świadczyło o tym, że do miasta pomału wkrada się zima.

Wzdłuż kamienic szedł wysoki, szczupły mężczyzna odziany w szary surdut zapięty na szereg ołowianych guzików, które z oddali skrzyły się jak małe gwiazdki. Jego mądre orzechowe oczy patrzyły przed siebie ze spokojem właściwym ludziom, którzy mimo bagażu doświadczeń wciąż potrafią zachwycać się światem. Obok niego podskakiwało małe, kilkuletnie dziewczę o pszenicznych lokach wypadających spod fikuśnego kapelusza, związanego pod brodą wstążką w okazałą kokardę. Dziewczynka podrygiwała, ciągnąc ojca za rękę, a poły jej granatowego płaszczyka rozchylały się, tworząc falującą rozetę.

– Walentyno, jeszcze tylko jeden zakręt i będziemy na miejscu. – Henryk starał się utemperować córkę.

– Papo, zimno mi. – Dziewczynka wsunęła rączkę w skórzanej rękawicze w dużą dłoń ojca.

Wkrótce doszli do niewielkiej oficyny. Z okienka sączyło się blade światło. Walentyna wyrwała się ojcu i stanęła na palcach, by zajrzeć do środka. Po ciemnozielonych ścianach pełzał cień człowieka.

– Jest przy stole! – krzyknęła z entuzjazmem, a jej policzki jeszcze bardziej się zaczerwieniły.

– Walentyno, chodź tutaj. Dobrze wychowanej dziewczynce nie przystoi tak się zachowywać – skarcił ją ojciec.

Walentyna odwróciła się do niego, w jej rozigranym wzroku próżno było szukać pokory.

– Chodź, chochliku. – Henryk przyciągnął córkę, po czym razem przekroczyli próg.

W małym kwadratowym pomieszczeniu o ścianach, których od dawna nie dotykały pędzel i świeża farba, rozchodziła się woń drewna i egzotycznych olejów.

Walentyna skrzywiła się i schowała za Henrykiem. Nie lubiła unoszącego się tu zapachu, a właściciel pracowni, ten dziwny pan o krzaczastych brwiach i długiej siwej brodzie, która łączyła się z białymi włosami, wydawał jej się strasznie nudny. Ciągłe kazał jej chwycić skrzypce i na nich grać, a kiedy już myślała, że zabiorą je z papą do domu, ten cudaczny staruszek w długiej purpurowej szacie sięgającej niemal do kolan zabierał skrzypce i chował je do wysokiej mahoniowej szafy.

– Jeszcze nie teraz, nie tym razem – mówił raz po raz.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy to była już szósta wizyta Walentyny i jej ojca Henryka w najświetniejszej pracowni lutniczej mistrza Wasyla w Petersburgu. Trudno się dziwić, że żywiołowe dziecko czuło coraz większe zniecierpliwienie. Dzisiaj jednak było inaczej...

Zaczęło się jak zwykle: Wasyl ustawił Walentynę między krzesłem obitym wypłowiałym szmaragdowym pluszem, w kilku miejscach nadgryzionym przez mole, a niedomkniętym drewnianym kufrem, z którego wystawały różne klamoty, i podał jej

skrzypce. Ale kiedy mała skończyła grać, na jego twarzy było widać emocje.

– No dobrze, Walentyno. – Uśmiechnął się, gładząc brodę. – Wygląda na to, że w końcu będziesz mogła je zabrać.

Walentyna się rozpromieniła.

– I już nigdy więcej nie będę musiała do pana przychodzić? – Uniosła główkę i wbiła niebieskie oczy w pobrużdżoną twarz.

– Nie będziesz musiała – zapewnił ją Wasyl. – Chciałbym jednak, żebyś mi coś obiecała. – Skupione ciemne oczy lutnika zbyt intensywnie wpatrywały się w dziewczynkę.

Popatrzyła na niego z obawą.

Wasyl zbliżył się do mosiężnego stolika z drewnianym blatem i przesunął lampę naftową na jego skraj. Światło się rozproszyło, rzucając na lutnika magnetyczny blask, dzięki czemu jego twarz wydawała się znacznie młodsza i pogodniejsza.

– Żyła kiedyś piękna, młoda dziewczyna o imieniu Prozerpina – zaczęła snuć opowieść tajemniczym głosem. – Pewnego dnia zbierała na łące kwiaty w towarzystwie zaprzyjaźnionych nimf. – Wasyl spoglądał w zaparowaną szybę. – Ale... – Urwał, a później podniósł głos. – Zauważył ją władca podziemi Pluton. Tak bardzo mu się spodobała, że ją porwał i pojął za żonę. Odtąd dziewczyna musiała żyć w ciemności. Nie widziała słońca, gwiazd ani pięknych kolorów świata, które tak dobrze знаła.

– To straszne! – Walentyna wydała z siebie okrzyk przerażenia. – Przecież bajki dobrze się kończą – szepnęła drżącymi ustami, przytulając do piersi skrzypce z jaworowego drewna.

– Ta opowieść też nie skończyła się źle. – Wasyl błdził wzrokiem po ciemnej szybie, z której zaczęły spływać drobne kropelki wody. – Chociaż... – Zastanowił się, sprawiając wrażenie nieobecnego. – W życiu nigdy nie ma idealnego rozwiązania – rzekł filozoficznie, pociągając za czubek brody. – Prozerpina miała ukochaną matkę Ceres, która wciąż szukała córki, bo nie potrafiła o niej zapomnieć. W końcu odnalazła swoje dziecko, ale niedobrych czarów nie można było do końca cofnąć. Ceres mogła zabrać ze sobą Prozerpinę na osiem miesięcy w roku. Resztę czasu Prozerpina miała spędzać z mężem pod ziemią. I tak każdego roku.

– Nie podoba mi się ta bajka. – Walentyna odważyła się wypowiedzieć swoje myśli na głos.

Opowieści, które słyszała od mamy, miały pięknych bohaterów i dobre zakończenia. Nie było w nich groźnego króla podziemi ani ciemności, której Walentyna, jak każde dziecko, bardzo się bała.

– Jesteś niewinna i mała, ale kiedyś poznasz życie. Być może zejdiesz nawet do królestwa ciemności. – Wasyl przymrużył oczy, lecz po chwili otworzył je bardzo szeroko, przez co Walentynie wydały się zbyt duże i zbyt okrągłe. Pośrodku nich, jak dwie czarne kuleczki, połyskiwały źrenice.

Walentyna przysunęła się do ściany i jeszcze mocniej przytuliła skrzypce.

– Masz wielki talent. Grając na tych skrzypcach, zaczarujesz niejedno serce. – Uśmiechnął się, choć na jego twarzy malował się niepokój. – Ale pamiętaj: nigdy nie wolno ci wykorzystać ich do haniebnego czynu. Muzyka nie może nikogo zniewolić, ona

ma rozświetlać duszę. Jeśli kiedykolwiek skrzywdzisz kogoś za pomocą tych skrzypiec, nie będzie ci wolno już więcej na nich zagrać.

Te słowa przeraziły dziewczynkę. Nikt nigdy nie zwracał się do niej takim tonem, nikt nie mówił o takich strasznych sprawach. Kogo miałyby skrzywdzić? Nie potrafiła nawet dać kuksańca swojemu starszemu bratu Maksymowi. A muzykę, poza mamą, papą i Maksem, kochała najbardziej na świecie. Pani Teofila, jej nauczycielka, mówiła, że paluszki Walentyny zostały stworzone właśnie po to, by grać.

– Rozumiesz? – Czarne oczy Wasyla rejestrowały każdy ruch dziewczynki.

Przytaknęła. Wtedy podszedł do niej i zabrał jej skrzypce. Wolnym krokiem ruszył do szafy. Wyciągnął z niej futerał obleczonej miękką wiśniową skórą i wpakował do niego instrument, po czym wrócił do dziecka.

– Proszę, Walentyno. – Podał jej futerał.

– Dziękuję. – Dygnęła tak, jak uczyła ją mama, choć nie była pewna, czy robi to dobrze.

Wasyl odprowadził wzrokiem ojca i córkę, a potem stał przy oknie i spoglądał na dwie sylwetki przesuwane się po wilgotnej ulicy.

– Powodzenia. Pamiętaj, że życie nie zawsze jest piękną bajką! – Zasłoniwszy okno skrawkiem sukna, zatrzymał sękaty palec na nierównym brzegu tkaniny. Później zgasił lampę i opuścił pracownię.





Nad poznańskimi Winogradami szalała burza. Co kilka-naście sekund błyskawice przecinały granatowe niebo. Wiatr bezlitośnie smagał uspione rośliny, zanosząc się szyderczym śmiechem. Strugi deszczu uderzały w szyby tak mocno, jakby chciały je rozłuc.

Zygmunt siedział przy kuchennym stole i spoglądał przez okno. Z czwartego piętra widział tylko ciemne czubki drzew i wąski osiedlowy parking. Dochodziła druga, ale nie mógł usnąć. Ta burza przyszła w samą porę – przynajmniej miał realny powód swojej bezsenności. Mógł wstać i zrobić sobie herbatę bez obawy, że obudzi Biankę. Inaczej pewnie męczyłby się do rana, przewracając z jednego boku na drugi. W mieszkaniu było cicho jak makiem zasiał. Po pierwszym uderzeniu pioruna odłączono prąd.

Znużyło go siedzenie w ciemności. Wstał i zapalił świecę, a potem ruszył z nią do pokoju gościnnego. Stał naprzeciw szafy, przysunął płomień do zamka, przekręcił klucz i rozchylił oba skrzydła. Odłożył świecę na podłogę i sięgnął ręką na najwyższą półkę, na której leżały ciasno ułożone ubrania. Zygmunt był niewysoki, miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt, więc żeby dosięgnąć tego, czego szukał, musiał stanąć na palcach.

– Jest. – Uśmiechnął się, ściskając ciemnowiśniowy futerał.

W tej samej chwili w drzwiach pokoju stanęła jego córka.

– Tatku, czego tutaj szukasz? – Bianka przecierała oczy, starając się coś dostrzec w ciemnym wnętrzu. Jedyne, co udało jej się zauważyć, to zmieszanie na twarzy Zygmunta.

Mężczyzna pomału się podniósł, mocno ściskając futerał. Sprawiał wrażenie zakłopotanego, jakby został przyłapany na czymś niestosownym.

Bianka podeszła do niego, jej wzrok natychmiast powędrował w stronę podłużnego pudełka. Było obleczone chropowatą skórą i zamknięte na trzy mosiężne skobelki, z których każdy ozdobiono rozetą.

– Co to ma znaczyć, tatku? – Bianka wyciągnęła rękę przed siebie, ale Zygmunt się cofnął.

– Chodźmy do kuchni, tam jest trochę jaśniej – powiedział i nie patrząc na córkę, wyszedł z pokoju.

W kuchni położył futerał na stole. Bianka zbliżyła się z obawą.

– O co chodzi? Przecież nigdy nie pozwalałeś ich...

– Otwórz – szepnął ochryple.

– Tatku... – Bianka nie miała pojęcia, jak się zachować. Od dziec-ka wiedziała, że ma się trzymać z daleka od wiśniowego futerału.

Zygmunt ujął jej rękę i położył ją na wierzchu pokrowca.

– No, otwórz – ponaglił.

Powoli przesunęła dłoń na jeden z trzech skobli i odhaczyła go. Potem to samo zrobiła z kolejnymi. Licząc swoje oddechy, rozchyliła wieko, hipnotycznie się w nie wpatrując.

– Wyjmij je – zachęcił Zygmunt.

Zerknęła na niego przelotnie. Już po chwili dotykała śliskiego jaworowego drewna.

– Są cudowne i pachną tak... – Długo wciągała w nozdrza powietrze. Potem wzięła instrument i przyłożyła do policzka, jakby witała się z bliską osobą, której nie widziała przez długie lata.

– To skrzypce twojej babki Walentyny. – Głos Zygmunta nieznacznie zadrżał.

– Wiem, do kogo należały. Chciałabym tylko, żebyś wyjaśnił mi, dlaczego właśnie teraz je wyjąłeś.

– Dobrze wiesz dlaczego – odrzekł Zygmunt z powagą.

– Czy to znaczy, że mam je zabrać?

– Tak. Chociaż nadal uważam, że porywasz się z motyką na słońce. – Pokręcił głową.

– Nie wierzysz, że mi się uda? – spytała zaczepnie.

Zygmunt westchnął. Najchętniej pozostawiłby to pytanie bez odpowiedzi, lecz córka wpatrywała się w niego z oczekiwaniem.

– Przepraszam, Bianco, ale nie wierzę, że ci się uda. Wiem, że wolałabyś usłyszeć ode mnie coś innego...

– W porządku. Podjęłam decyzję i nic tego nie zmieni. Zresztą już nie mogę się wycofać, przyjęłam zaliczkę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to za dwa miesiące skończą się nasze problemy finansowe.

Zygmunt nie wytrzymał napięcia i uderzył ręką w stół.

– To moja wina! – rzekł podniesionym głosem. – To ja powinienem zarobić te pieniądze.

– Tatku, spokojnie. – Bianka chwyciła rozdygotaną rękę ojca. – Przecież starasz się, jak możesz. Dobrze wiesz, że etat w filharmonii i drobne zlecenia nie wystarczą, żebyśmy wyszli na prostą. Moja pensja nauczycielki też nie zapełni dziury w budżecie domowym. Ten wyjazd to dla nas wielka szansa.

Zygmunta wcale nie przekonały jej słowa.

– Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek wyjdziemy na prostą – odezwał się z rezygnacją. – Gdy żyła Marianna, wszystko wydawało się dużo prostsze. Pieniądze były nieważne, bo wciąż tliła się nadzieja. A teraz nie ma ani Mani, ani szansy na lepsze jutro. Zostały tylko długi. – Pochylił się nad stołem i oparł głowę na łokciach.

Bianka objęła jego wygięte w łuk plecy.

– Próbowaliśmy. Zrobiliśmy wszystko, co się dało.

– Tak – stwierdził smutno. – Ta nowatorska metoda leczenia w klinice w Genolier była ostatnią deską ratunku, ale...

Od śmierci Marianny minęły już cztery lata, jednak wciąż dotkliwie odczuwali jej brak.

– Tatku, będzie dobrze. Obiecuję ci to. – W głosie Bianki słychać było niezachwianą pewność.

Zygmunt jęknął, starając się stłumić szloch. Potem wyprostował się i przytulił córkę. Wzrok obojga jednocześnie powędrował w kierunku błyszczących skrzypiec, które Bianka odłożyła na skraj stołu.

– Może z nimi ci się powiedzie. – Zygmunt wysilił się na uśmiech.



– Więc jednak dajesz mi szansę? – Bianka przybliżyła się do stołu, pogładziła cztery struny i dotknęła palcami główki w kształcie ślimaka.

– Zawsze jest jakaś szansa.

Nie chciał odbierać córce nadziei, ale jej pomysł od początku wydawał mu się niemożliwy do zrealizowania. Jeszcze ta kobieta, która znalazła Biankę w szkole muzycznej, gdzie jego córka uczyła gry na skrzypcach. Ta cała Klara od początku nie wzbudziła w nim zaufania. Kwota, którą proponowała, była wprawdzie bajeczna, lecz Bianka nigdy nie przykładła wagi do pieniędzy. Dla niej zawsze najważniejsze były muzyka, przyjaźń, życzliwość. Dobrze ją z Marianną wychowali.

Teraz jednak zachowywała się irracjonalnie. Od razu przyjęła propozycję Klary, bez wcześniejszej konsultacji z ojcem. Wszyscy troje spotkali się później w kawiarnianym ogródku na starówce. To wystarczyło, aby wyrobił sobie zdanie o tej wysuszonej paniusi. W jej wzroku było coś gryzącego, nie dało się tak po prostu spojrzeć jej w oczy. Mimo pięknych słówek, którymi chciała ich oczarować, nie uwierzył w jej przemowę.

Bianka natomiast była tak rozentuzjasmowana, jakby wygrała los na loterii. Zygmunt miał niejasne przeczucie, że ta kobieta wciągnie jego ukochaną córkę w spiralę spraw, które niekoniecznie dobrze się zakończą. W rodzinie Zygmunta przeczucia były czymś normalnym. Wiązały się z muzyką, z dźwiękami, którymi oddychał niemal od kołyski. Tak jak Bianka. To on zaszczepił jej miłość do muzyki. A może miała ją w genach? Wydawało się, że w rodzinie Zamojskich jest się na nią skazanym.

Zygmunt od dziecka grał na altówce, a jego matka Walentyna była jedną z najbardziej utalentowanych młodych skrzypaczek w Petersburgu. Jako nastolatka przyjechała z ojcem Henrykiem i bratem Maksymem do Polski. Osiedli w rodzinnym folwarku Henryka w Podstolicach, na południu kraju. Henryk był Polakiem, Rosję pokochał tylko ze względu na swoją żonę Ludmiłę. Kiedy Ludka odeszła z tego świata, spakował dobytek do kilku olbrzymich skórzanych walizek i nie bacząc na protesty dzieci, wrócił do rodzinnego kraju.

Wbrew obawom Henryka ziemia przodków oczarowała jego pociechy. Maksym uczył się zarządzać folwarkiem, a Walentyna – grać na skrzypcach, choć mówiono, że godziny nauki z francuską nauczycielką Henryk opłacił tylko dla zasady. Utalentowana Walentyna miała w dłoniach magię. Już jako kilkulatek była w stanie zagrać ze słuchu niemal wszystkie utwory, a nuty potrafiła zapisywać na pięciolinii, jeszcze zanim nauczyła się cyrylicy. „Cudowne dziecko”, mawiano i obchodzono się z nią jak z jajkiem.

Rodzice, świadomi jej wyjątkowości i talentu, traktowali ją jak księżniczkę.

Mimo swojej eteryczności Walentyna wyrosła na rezolutną kobietę, choć skrzypce zawsze były najważniejsze. Zrobił je dla niej uzdolniony lutnik Wasyl z Petersburga.

– Zawojujesz nimi cały świat i zaczarujesz niejedno ludzkie serce – powiedział małej Walentynie, przekazując jej skrzypce, za które już wcześniej zainkasował kwotę tak pokaźną, że można byłoby nabyć za nią przynajmniej pół kamienicy.

Rodzice Walentyny tak mocno uwierzyli w talent córki, że byli skłonni wydać na nią każdą kwotę. I rzeczywiście, skrzypce Walentyny coś w sobie miały, bo kiedy tylko ulatywały z nich pierwsze dźwięki, publiczność nie mogła wyjść z podziwu. Nie było osoby, która pozostałaby obojętna na grę dziewczynki. „Ta mała to czarodziejka”,

mówiono, kiedy Walentyna stała na środku sceny, sycąc zmysły słuchaczy wyjątkową muzyką.

– Tatku... – Bianka przysunęła się do stołu i pochyliła nad skrzypcami, jakby chciała się im przyjrzeć jeszcze dokładniej. – Sądysz, że dam radę na nich zagrać?

– Jestem tego pewien – odrzekł z przekonaniem Zygmunt, uśmiechając się pod nosem. – W niczym nie ustępują stradivariusowi.

Długo milczeli, wpatrując się w płomień świecy, który nagle zaczął się poruszać we wszystkie strony.

– Jaka ona była? – Bianka popatrzyła na ojca nieśmiało.

– Kto? – Głos córki wyrwał Zygmunta z zamyślenia. Nie odpowiedział. Odkąd wyjął futerał, wciąż myślał o Walentynie.

– Tatku, słyszysz mnie...?

Dopiero te słowa całkowicie go oprzytomniły. Spojrzał na córkę pytająco.

– Jaka była moja babka? – powtórzyła.

– Była taka... – Zygmunt pogładził brodę i przesunął ręką za uszami, jakby chciał ułożyć włosy, których tam nie było. Unikał rozmów o matce.

Bianka niewiele o niej wiedziała, bo Walentyna zmarła, zanim dziewczyna pojawiła się na świecie, ale to tylko potęgowało jej ciekawość.

Postać Walentyny od dziecka ją intrygowała. Niestety poza kilkoma wypłowiałymi fotografiami, skrzypcami i mieszkaniem na poznańskiej starówce, które kiedyś zajmowali, nic po niej nie zostało. Gdy wybuchła druga wojna, Walentyna była młodziutka, ledwie skończyła dwadzieścia wiosen. Ojca i brata zwerbowano do wojska; nie wrócili już do rodzinnego dworu. Nie wiadomo dokładnie, co działo się później z Walentyną. Okres po opuszczeniu rodzinnych Podstolic jest jak czarna dziura w jej historii. W Poznaniu pojawiła się, gdy była tuż przed trzydziestką. Właśnie wtedy poznała Nikodema. Wkrótce go poślubiła. Urodził się Zygmunt, ich jedyne dziecko.

Walentyna była dobrą, choć surową, matką. Zygmunt od małego pobierał lekcje gry na altówce. Nie buntował się, mimo że nie pałał do muzyki aż tak wielką miłością jak jego mama. Tylko ona miała ten szczególny dar malowania dźwiękiem. Niestety mąż i syn nigdy nie usłyszeli, jak Walentyna gra. Odkąd pojawiła się w Poznaniu, nie zagrała na swoich skrzypcach. Podobno często brała je do rąk i gładziła, jakby pieściła ukochaną osobę, ale kiedy tylko nasyciła się ich dotykiem, wkładała je z powrotem do ciemnowiśniowego futerału, który zaraz potem znikał na najwyższej półce ciężkiej dębowej szafy. Skrzypce leżały w niej do dzisiaj, w tym samym miejscu, otulone zapachem kulek lawendowych. Zmieniały się tylko ubrania otaczające skórzany futerał.

Szafa wraz z kilkoma innymi wiekowymi meblami i licznymi bibelotami przyjechała do mieszkania na Winogradach trzy lata wcześniej. Musiały się w nim zmieścić komody, szafy i etażerki, które przez ponad siedemdziesiąt lat oddychały swobodnie na prawie stu metrach mieszkania z wysokim stropem w starej kamienicy na poznańskim rynku. Zygmunt i Bianka wciąż bezskutecznie poszukiwali kupca na to mieszkanie, a pośredniczka nieruchomości radziła, żeby je opróżnić. Parę przedmiotów udało się sprzedać, ale to wciąż była kropla w morzu ich potrzeb. Dług zaciągnięty na leczenie Marianny właściwie nie malał.

– Te skrzypce to jedyna osobista pamiątka po mojej mamie. – Zygmunt długo wpatrywał się w instrument. – Uważaj na nie. – Zbliżył się do stołu, wziął skrzypce i schował je do futerału. – Są nastrojone, brzmia idealnie.

– Dziękuję. – Bianka wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje.

Dotychczas skrzypce babki Walentyny zawsze znajdowały się poza zasięgiem jej wzroku, schowane głęboko w szafie. Jako kilkulatka wymyślała na ich temat różne fascynujące historie. Oczami wyobraźni widziała babkę Walentynę na wielkiej scenie jako młodą dziewczynę w szerokiej wytwornej sukni, z rozwianymi włosami i marzycielskim spojrzeniem, właściwym ludziom, którzy żyją w ulotnym świetle nut.

Bianka miała trzydzieści lat, ale wyglądała na dużo młodszą. Była drobna, po ojcu odziedziczyła niski wzrost. Podobno nikt z rodziny Zygmunta nie przekroczył metra sześćdziesięciu pięciu. To dziwne, ale zewnątrz Bianka nie była podobna ani do Zygmunta, ani do swojej mamy Marianny. Mania była ciemną szatynką o brązowych oczach, a Bianka miała lekko kręcone jasne włosy i duże chabrowe oczy w ciemnej oprawie rzęs. Do złudzenia przypominała Walentynę.

To podobieństwo można było dostrzec, patrząc na jedną z trzech sfatygowanych fotografii, które pozostały po skrzypaczce. Na jednym zdjęciu, zrobionym jeszcze w rodzinnym folwarku w Podstolicach, Walentyna ma nie więcej niż osiemnaście lat. Babka Bianki uśmiecha się, pokazując rząd ładnych perłowych zębów, w jej policzkach zaś widać dwa urocze dołeczki. Bianka też takie miała, a ponieważ uśmiechała się bardzo często, stanowiły jej znak rozpoznawczy.

Od niemowlęctwa miała niezwykle jasne włosy. Kiedy Marianna ujrzała ją po raz pierwszy, nie mogła oderwać oczu od gęstych pukli na główce córki.

– Nadam ci imię Bianka, bo jesteś taka białutka – powiedziała od razu.

Później poinformowała o swojej decyzji męża, nawet nie biorąc pod uwagę tego, że Zygmunt może się sprzeciwić. Nie protestował. Co więcej, przyjął pomysł żony z dużym entuzjazmem, a imię to wydawało mu się w tamtej chwili najpiękniejsze na świecie. Tak zresztą pozostało do dzisiaj. Córeczka była jego oczkiem w głowie. Była najważniejsza.

– Połóż się już do łóżka, chochliku, powinnaś się wyspać. To ostatnia noc we własnym łóżku – zauważył smutno.

– Tatku, nie ostatnia. – Bianka miała ochotę przytulić się do ojca, ale coś podpowiedziało jej, żeby tego nie robić.

Widziała, jak przeżywa tę sytuację. Do końca wierzył, że nakłoni ją do zmiany decyzji. Bianka nie mogła jednak tego zrobić. Zaliczkę od Klary natychmiast zaniósł do banku i spłaciła zaległe raty. Zostawiła tylko drobną kwotę potrzebną na życie. Jej nauczycielska pensja nie była wysoka, a po spłaceniu kredytu nie zostawało z niej zbyt wiele, ale jakoś jej to wystarczało. Była typem dziewczyny, która z niczego potrafi zrobić cuda. Ubrania, które kupowała na wyprzedaży albo w ciucholandzie za kilka złotych, potrafiła tak zręcznie przerobić, że zawsze wyglądała świetnie.

Była indywidualistką, co podkreślała ubiorem. Do spódnicy zazwyczaj doszywała dodatkową listwę lub falbanę, żeby odróżniać się od reszty dziewczyn. Zresztą właściwie nie musiała tego robić. I tak wyglądała inaczej. Z marzycielskim spojrzeniem i anielskimi

falowanymi włosami do ramion sprawiała wrażenie, jakby unosiła się metr nad ziemią. Być może to z powodu obcasów, którymi chciała dodać sobie kilka centymetrów. Kiedy szła korytarzem ogólnokształcącej szkoły muzycznej, w której uczyła gry na skrzypcach, wszyscy się do niej uśmiechali.

Bianka należała do osób, od których trudno było oderwać wzrok. Była ulubienicą nie tylko swoich podopiecznych, lecz także kadry nauczycielskiej. „Jak ty to robisz, kochana, że zawsze masz dobry humor?”, pytały koleżanki, które podziwiała Biankę, doskonale wiedząc, z jakimi problemami boryka się ta młoda kobieta.

Każdy chciał jej pomóc, ale ona nie chciała przyjąć tej pomocy. Czowała się odpowiedzialna i za siebie, i za ojca, a wcześniej również za mamę. Choć trzeba przyznać, że Zygmunt także był rozważnym człowiekiem. Tę roztropność mieli w genach – wszyscy Zamojscy tacy byli.

Nagle Zygmunt przybliżył się do Bianki i mocno ją przytulił.

– Uważaj na siebie, chochliku. – Przesunął ręką po jej włosach i zakręcił ich końce na palcu wskazującym. Zawsze tak robił. Już w dzieciństwie, kiedy wspinała mu się na kolana, bawił się jej jasnymi puklami, układając je w sprężynki. Przeważnie szeptał jej wtedy do ucha: „Moja mała Bianco, mój chochliku”.

Teraz nie była już jego małą Bianką. Była po prostu Bianką. Kiedy Marianna zachorowała, córka stała się jego powiernicą. Patrzyła mu prosto w oczy jak dorosła, doświadczona życiem kobieta i podpowiadała rozwiązania, o których nie miał pojęcia. Gdy poznał diagnozę żony, długo nie radził sobie z sytuacją. Dopiero Bianka uzmysłowiła mu, że muszą walczyć. Że dla mamy powinni zjednoczyć siły. Że Marianna nie może zobaczyć w ich oczach wahania.

Potrafili walczyć, dla Mani walczyli do końca. Nawet wtedy, gdy wszystko wydawało się już przesądzone, a budząca nadzieję metoda leczenia, która tyle ich kosztowała, nie przyniosła skutku, wciąż wierzyli, że Marianna wróci ze Szwajcarii zdrowa. Przekonywali ją nawet kilka godzin przed śmiercią, kiedy patrzyła na nich spokojnym wzrokiem. Wtedy już wiedziała, że odejdzie, ale nie chciała odbierać im wiary. Uśmiechała się tylko smutno.

Równie nagle, jak ją przytulił, Zygmunt wypuścił Biankę z objęć i oddalił się do swojego pokoju. Wiedziała, że płacze. Był bardzo wrażliwym człowiekiem, nie wstydził się łez. Kiedy brał do rąk swoją altówkę, czasami też zdarzało mu się uronić łezkę. Ale tylko w zaciszu domowym, na scenie był profesjonalistą. W orkiestrze symfonicznej w Filharmonii Poznańskiej grał już ponad trzydzieści lat. Od początku szanowano go nie tylko za punktualność, ale też za doskonałą warsztat.

– Zadzwoń, jak dojedziesz – poprosił.

Bianka wiedziała, że rano się nie zobaczą. Orkiestra Zygmunta właśnie przygotowywała się do serii wakacyjnych występów, które miały się rozpocząć 1 lipca. Pozostało zaledwie kilka dni, więc na próbach wrzało. Każdy dawał z siebie wszystko, a Zygmunt zazwyczaj jeszcze więcej niż inni. O siódmej rano miał już być w filharmonii. Bianka zamierzała wyjechać później.

Była już spakowana, a dzień wcześniej oddała samochód do mechanika, żeby w czasie jazdy nie zaskoczyły jej ewentualne niespodzianki. Miała do przejechania ponad

czterysta kilo-metrów i trochę denerwowała się podróżą.

Nazajutrz Zygmunt po cichu uchylił drzwi i wetknął głowę do pokoju córki. Spała opatulona kołdrą po samą szyję. Jej rozwichrzone włosy w kolorze pszenicy spoczywały na białej haftowanej poduszce. Uśmiechnął się z rozczuleniem, ale zamiast wejść do środka, by pogłodzić ją po policzku, jak początkowo zamierzał, po prostu się wycofał. Kilka minut później pędził na przystanek autobusowy, przytulając do jednego boku futerał z wysłużoną altówką. Ustalili z Bianką, że to ona zabierze samochód. Na co dzień wymieniali się nim w zależności od potrzeb.

Bianka obudziła się dopiero wtedy, kiedy dzwony w pobliskim kościele zaczęły bić na *Anioł Pański*. Zerwała się z łóżka. Zamierzała wyjechać koło południa, na razie starała się obudzić. W tym celu zalała wrzątkiem cztery kopiaste łyżeczki kawy.

– Co ja robię? – zapytała samą siebie, kiedy woda zaczęła się przelewać z kubka.

Odłożyła czajnik, usiadła przy stole i przykleiła głowę do szyby. Spojrzała w dół na swój samochód. Stał zaparkowany tuż pod oknami ich mieszkania. Czerwona karoseria prażyła się w słońcu.

Po nocnej burzy nie pozostał nawet ślad. Od dwóch dni słońce grzało na zabój. Upały zaczęły się 22 czerwca, lato weszło do miasta z przytupem. Przedwczoraj w szkole było zakończenie roku, z którego Bianka wróciła zgrzana jak mysz. Nic nie zapowiadało, aby dzisiejszy dzień miał być chłodniejszy. Jednak szyba w kuchennym oknie była zimna, widocznie nie zdążyła się jeszcze nagrzać. Ten nagły chłód trochę obudził Biankę. Szybko zrobiła porządek na stole, a potem z szeroko otwartymi oczami przygotowała drugą kawę, dokładnie odmierzając dwie łyżeczki. Zanim kawa wystygła, zdążyła wziąć błyskawiczny prysznic i się ubrać. Śniadanie zjadła, rozmyślając o czekającej ją drodze. Przed trzynastą była gotowa.

Wróciła do swojego pokoju po walizkę. Spojrzała na ciemnowiśniowy futerał. Leżał na parapecie. W dziennym świetle jego odcień wydawał się bardziej soczysty, choć powlekająca futerał skóra była miejscami lekko spłowiała i obdarta. Nagle zapragnęła przyjrzeć się skrzypcom w świetle dnia.

Kiedy odchyliła wieko, poczuła zapach kalafonii i oleju lnianego. „Widocznie tatko natarł włosie smyczka i naoliwił pudło skrzypiec”, pomyślała. Skrzypce połyskiwały w słońcu, tak że nie sposób było oderwać od nich wzroku. Bianka sięgnęła po smyczek, a potem zaczęła grać swój ulubiony utwór, *Nocturne cis-moll* Szopena. Dźwięki zawirowały w małym pokoju i wyleciały przez uchylone okno na rozgrzaną ulicę, przyciągając uwagę kilkorga przechodniów, którzy zadzierali głowy, by zlokalizować źródło muzyki.

Gdy Bianka skończyła grać, uśmiechnęła się i otworzyła oczy. Poczuła się pewna siebie. Zawsze czuła się w ten sposób, kiedy trzymała skrzypce. Teraz jednak było inaczej, oprócz zadowolenia pojawiło się w niej coś jeszcze. Nie za bardzo potrafiła to wyjaśnić i ubrać w słowa, bo jeśli chodziło o skrzypce Walentyny, od razu nasuwało jej się jedno określenie: tajemnica. Ten instrument był tak samo nieodgadniony jak kobieta, dla której go stworzono.

„Czy ja w ogóle mam prawo ich dotykać?”, przemknęło jej przez myśl, ale wytłumaczyła sobie, że skoro ojciec zdecydował się w końcu je odkurzyć i wyjąć z

ukrycia, to zasługują na to, żeby podarować im nowe życie. Nie zdecydowała się jednak zagrać po raz drugi. Sięgnęła po odłożony na parapet futerał. Zrobiła to na tyle nieostrożnie, że zrzuciła pokrowiec na podłogę. Odłożyła skrzypce i smyczek na łóżko, po czym kucnęła, by podnieść pudełko.

Jedna z rozet, ta przy środkowym skoblu, odpadła. Bianka podniosła ją, karcąc się w duchu za nieuwagę. I wówczas coś zauważyła. W środku futerału odpadła pozłacana śrubka, do tej pory przytrzymująca mechanizm skobelka, i odstąpiła brzeg karmazynowego aksamitu, który teraz się odchyłał. Bianka bez zastanowienia włożyła palec do luki. Miała zamiar naciągnąć tkaninę, wygładzić ją i z powrotem upchnąć w niej śrubkę, ale wtedy miękki aksamit zaczął się rozchodzić, a dziurka powiększyła się o kolejne kilka centymetrów. Bianka spanikowała. Przez ponad siedemdziesiąt lat skrzypce spokojnie drzemały w wygodnym, miękko wyścielonym opakowaniu, a wystarczyło, żeby na moment wzięła futerał – i już naruszyła bieg historii.

„Może jednak nie powinnam ich zabierać?”, pomyślała, lecz dostrzegła coś, co sprawiło, że zapomniała o swoich wątpliwościach. Zza brzegu odchylnego aksamitu wystawał róg pożółkłej kartki. Bianka chwyciła ją i pociągnęła. Materiał rozchylił się, jeszcze dokładniej ukazując drewniane wnętrze.

– Co to jest? – wyszeptała, ściskając w dłoniach poplamioną kopertę.

Nie była zaklejona, choć czas przyprasował jej brzegi.

W środku znajdowała się czarno-biała fotografia. Spoglądała z niej piękna kobieta ze smutnymi oczami. Miała ciemne włosy obcięte na pazia, idealnie przylegające do linii karku. Jej głowę ozdabiała opaska z filuternym pawim piórem. Mimo braku kolorów dało się zauważyć, że modelka ma mocny makijaż. Była taka poważna i skupiona. Na jej głęboko wyciętym dekolcie opierał się łańcuszek zakończony niewielką błyskotką. Bianka odwróciła foto-grafię i przeczytała:

Ukochany Melchiorze,

niestety spotkaliśmy się w złym czasie. Chcę, abyś wiedział, że kochałam Cię całym sercem. Wciąż Kocham Cię najmocniej na świecie. I kochać będę po wsze czasy. Bo takiej miłości nie można zastąpić inną.

Twoja na zawsze Wanda, 1940 rok

– Wanda? – powtórzyła, wpatrując się w kaligraficzne pismo, które mimo upływu lat wciąż miało ładny kolor ciemnoniebieskiego atramentu. Potem przeniosła wzrok na smutną twarz kobiety.

Nigdy nie słyszała o żadnej Wandzie. Nie przypominała sobie, żeby ojciec kiedykolwiek wspominał, by któraś z jego krewnych nosiła to imię. Kobieta z fotografii miała niepokojący wzrok. Bianka włożyła zdjęcie z powrotem do koperty, ale zamiast schować ją pod wyściółkę futerału, gdzie prawdopodobnie ktoś chciał ukryć fotografię, wsunęła ją między kartki z nutami. Przygładziła aksamit i włożyła skrzypce wraz ze smyczkiem do futerału. Dzięki dwóm pozostałym skobelkom zamknął się bez problemu.

Wyniosła walizkę, podręczną torbę i futerał ze skrzypcami do przedpokoju i przyjrzała się wszystkim kątom. Chociaż żyli tu zaledwie trzy lata, zdążyła już bardzo polubić to mieszkanie i teraz myślała o nim z sentymentem, jaki się odczuwa, kiedy

opuszcza się rodzinny dom. Bo teraz to mieszkanie na Winogradach, choć ciasne, niezbyt komfortowe i z głośnymi sąsiadami za ścianą, było ich domem. Tutaj mieszkali ona i jej ukochany tatko.

Słońce przestało już tak grzać. Nic dziwnego, dochodziła dziewiętnasta. Nadal było jednak dość parno. Wszystko wskazywało na to, że i dzisiaj przez okolicę może się przetoczyć burza. Bianka zaparkowała samochód tuż przed wjazdem do miasteczka i ruszyła chodnikiem w stronę niewielkiego rynku. Zewsząd ciągnęli ludzie, a na ulicach panował tłok. Mogła to przewidzieć, w końcu była niedziela, a uroczy Kazimierz Dolny, ze swoimi zabytkami i artystyczną atmosferą, stanowił dla turystów wielką pokusę.

Nie miała pewności, dokąd jechać, więc postanowiła, że zapyta kogoś z mieszkańców. Dom Klary mieścił się podobno niedaleko centrum, ale nie chciała pobłądzić i utknąć w ślepej uliczce. Nie była wytrawnym kierowcą, właściwie jeździła tylko do pracy. Na szczęście podróż minęła bez komplikacji. Kiedy jednak teraz patrzyła na mnogość pojazdów cisnących się do bram niewielkiej miejscowości i nieprzebrany tłum turystów, który jak rzeka zalewał okoliczne trotuary, czuła się zdezorientowana.

Miasteczko okazało się przepiękne. Nie mogła oderwać oczu od mijanych kamieniczek, a kiedy z oddali dojrzała górujące ruiny zamku i wieży basztowej, natychmiast poczuła ekscytację. Udzielił jej się wakacyjny nastrój, aż chciało się rzucić w wir zwiedzania. Nieduży rynekczek miał w sobie coś magicznego. Zachwycał nie tylko niepowtarzalną architekturą, ale i specyficznym klimatem. Wielość kolorów i zapachów uwiodła Biankę, gdy tylko wysiadła z samochodu. Lubelska ziemia oddychała spokojnie, ogrzewana letnim słońcem, które pomału zaczynało dawać wytchnienie.

W centralnym punkcie rynku stała studnia z dziewiętnastego wieku, zwieńczona drewnianym daszkiem. Bianka podeszła bliżej, żeby jej się przyjrzeć. Oblegał ją tłum, mimo to dotarła do gontowego daszka. Zaraz potem wycofała się, nagabywana przez Cygankę. Poczowała pragnienie. Zamarzył się jej sok grejpfrutowy, ale w sklepie mieli tylko pomarańczowy. Przynajmniej był mocno schłodzony. Popijając go, ruszyła w kierunku Wisły za grupką spacerowiczów.

Bulwar połyskiwał w słońcu. Wyglądał jak długa srebrna nitka, oddzielająca ciemnozieloną toń rzeki od brzegu porośniętego trawą. Bianka minęła drewniany statek, który właśnie odpływał w rejs z turystami. Drobną staruszką, omotaną jasną chustą, w przypląwie spontaniczności pomachała do dziewczyny ręką, na której wisiał aparat fotograficzny. Bianka odruchowo pozdrowiła pasażerkę. Po kilku minutach powolnego spaceru zdecydowała się usiąść na murku ciągnącym się wzdłuż nadbrzeża. Kiedy zajęła miejsce i wygodnie wyciągnęła przed siebie nogi, na moment zamknęła powieki. Już po chwili otworzyła je jednak gwałtownie, czując obok nieproszone towarzystwo.

– Witam miłą panią – odezwał się do niej mężczyzna z czerwoną twarzą i tłustymi, posklejanymi włosami. Trąciło od niego tanim winem.

– Dzień dobry – odpowiedziała grzecznie i sięgnęła po butelkę z sokiem, którą wcześniej odłożyła na bok.

– Straszne gorąco dzisiaj – ciągnął, zachęcony powitaniem Bianki.

– Tak, rzeczywiście. – Uśmiechnęła się niepewnie.

– Pić się chce... – Przynął się do niej. – Może by tak pani poratowała jakimś



groszem? Kupiłbym wino – rzekł z rozbijającą szczerością.

Mężczyzna miał jasnoniebieskie tęczówki, zmętniałe od alkoholu, który – co było widać już na pierwszy rzut oka – musiał wypijać w hurtowych ilościach.

– Ile pan chce? – Bianka chwyciła szmacianą listonoszkę. Zwykle nie rozdawała pieniędzy żebrzącym pijaczkom, ale nie wiedzieć czemu ten mężczyzna swoją szczerością w jakiś sposób ją ujął.

Najwyraźniej zaskoczyło go to pytanie, bo nie odpowiedział.

Bianka włożyła rękę do torebki i wyjęła z wewnętrznej kieszonki plik banknotów. Podała mężczyźnie dwadzieścia złotych.

– Wystarczy?

Nadal przyglądał jej się z niedowierzaniem. Uniósł rękę, ale nie mógł się zdecydować, czy wziąć od Bianki pieniądze. W końcu chwycił banknot i zmiął go zachłannie, jakby się obawiał, że zaraz ktoś mu go wydrze.

– Wystarczy. Dziękuję – powiedział i przysunął się jeszcze bliżej Bianki. – Pani nie jest stąd. – Nie spuszczał z niej wyblakłych oczu.

– To prawda, nie jestem. Przyjechałam z Poznania. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spędzę w Kazimierzu najbliższe dwa miesiące.

Mężczyzna poczuł się ośmielony tym nagłym zwierzeniem.

– Rysiek jestem. – Wyciągnął do niej szorstką dłoń z długimi paznokciami.

– Bianka – rzekła z uśmiechem.

– To pewno się jeszcze spotkamy, ja tu często zaglądam. A ty gdzie żeś się zatrzymała?

– Hm... właściwie jeszcze nie dotarłam na miejsce. Dopiero przyjechałam. Wyszłam z samochodu, żeby trochę rozprostować nogi i rozejrzeć się po okolicy. Ale miejsce, do którego zmierzam, jest chyba niedaleko stąd. – Obejrzała się za siebie.

Rysio popatrzył z ciekawością, lecz o nic nie zapytał, tylko cicho zagwizdał. Bianka wyjęła z kieszeni spódnicy równo poskładaną kartkę z adresem domu Klary Czajkowskiej. Duże, równe litery zajmujące całą długość kartki formatu A5 od razu zwróciły uwagę jej rozmówcy. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Wie pan, gdzie to jest? – zagadnęła Bianka.

– Kto by nie wiedział? To na tyłach miasteczka, ślepa uliczka, na której końcu stoi tylko jeden dom. Wszyscy w okolicy znają tę starą wiedźmę, która tam mieszka.

Po tych słowach Biankę przeszedł dreszcz. Zrobiło jej się nieprzyjemnie. Przez chwilę nawet pożałowała, że pokazała mężczyźnie kartkę z adresem.

– Jak chcesz, to cię tam zaprowadzę – zaproponował, starając się wygładzić ubranie.

Bianka popatrzyła na niego z wahaniem. Właściwie nie miała jeszcze ochoty opuszczać bulwaru. Dopiero przyszła i ledwie udało jej się złapać pierwszy oddech po podróży. Nadgorliwość nowo poznanego znajomego przeszkodziła jej w podziwianiu nadwiślańskiej flory.

– Jeśliby pan mógł... – Podniosła się opieszale. Opróżniła butelkę z sokiem i wyrzuciła ją do kosza.

– No pewnie, że bym mógł. – Roześmiał się głośno i zaraz potem zagwizdał. Kiedy

to robił, składał usta w rybi dzióbek, a z ich wnętrza wylatywały dziwaczne dźwięki. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

– W takim razie chodźmy. – Bianka przewiesiła torebkę przez ramię.

Kiedy zeszli z bulwaru, skierowali się w stronę uliczki, na której końcu Bianka zaparkowała samochód.

– Przyjechałaś do niej? – odważył się zapytać Rysio, gdy już otworzyła drzwi i zaprosiła go do samochodu.

– Tak – odpowiedziała od razu. Wiedziała, że pyta o Klarę.

Przyglądał jej się z ciekawością. Usadowił się z przodu i niezdarnie próbował zapiąć pasy.

Bianka przechyliła się do niego i mu pomogła. Potem wyprostowała się, położyła ręce na kierownicy i odpaliła silnik. Zanim jednak ruszyła, odezwała się:

– Pani Klara zaproponowała mi pracę na okres wakacji. – Sądziła, że mężczyznę zadowolili jej odpowiedzi.

– W ogrodzie? – Był pewien, że trafił w sedno.

– Nie, nie w ogrodzie. – Bianka uśmiechnęła się lekko i zaczęła cofać samochód.

Dopiero teraz dotarło do niej, że nie ma pojęcia, co powiedzieć, bo przecież nie mogła wyjawic prawdziwego powodu, dla którego zjawiała się w Kazimierzu. Wprawdzie ustaliły z Klarą jakąś mglistą wersję dotyczącą obowiązków, które rzekomo miała wykonywać, ale to wszystko wydawało się szyte grubymi nićmi. Bo jak nauczycielka muzyki miała pomagać wymagającej pani domu w sprawach administracyjnych? Od tego byli wykwalifikowani pracownicy, którzy zajmowali się tym od dawna. Klara była właścicielką sporej winnicy mieszczącej się między Kazimierzem a Nałęczowem.

– Będę pomagała pani Klarze w sprawach administracyjnych. – Bianka starała się mówić oficjalnie, nieważne, co pomyśli na ten temat Rysio.

Najwidoczniej uznał jej wersję za dość wiarygodną, bo tylko zamruczał i odpuścił kolejne pytania.

– Nie wiesz chyba, na co się porywasz. – Odwrócił się w stronę bocznej szyby, a Biankę znów przeszły dreszcze na myśl o tym, co ją czeka.

Niestety wiedziała, na co się porywa. W oczach Klary było coś niepokojącego. Nie ufała jej. Zdecydowała się jednak przyjąć tę posadę, ignorując przeczucia i ulegając zdrowemu rozsądkowi, który podpowiadał jej, że tak intratnej propozycji się nie odrzuca. Modliła się, żeby udało jej się wypełnić zobowiązanie. Teraz liczyły się tylko pieniądze.

– To tam. – Rysio machnął ręką, kiedy zatrzymali się na poboczu.

Szeroka szosa biegła dalej, a z jej prawej strony odchodziła wąska asfaltowa uliczka, kończąca się trawnikiem obsadzonym niskimi iglakami, miejscami wysypanym jasnymi kamyczkami. Po jednej stronie piętrzył się wysoki mur, znad którego wychylały się stare, chude choiny.

– Na samym końcu są brama i dom – rzekł Rysio, nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony Bianki.

Dziewczyna wpatrywała się hipnotycznie w zacienioną przecznicę, jakby w tej chwili nie istniało nic innego.

– Wysiądę tutaj, mieszkam niedaleko. – Rysio szarpnął za kłamkę.

To otrzeźwiło Biankę.

– Ach, nie pomyślałam o tym. Zabrałam pana z centrum, a nawet nie zapytałam, gdzie pan mieszka.

– Niedaleko. – Rozchylił drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

– Dziękuję za pomoc. – Bianka zaciągnęła hamulec ręczny. Szosa biegła wzdłuż lekkiego wzniesienia.

– Powodzenia – rzucił Rysio, spoglądając w kierunku posesji Klary, dobrze ukrytej za ogrodzeniem. – Na pewno będzie ci potrzebne. – Wydał usta i znów zagwizdał w charakterystyczny dla siebie sposób.

Bianka zdążyła tylko pomyśleć, że ten dźwięk jest całkiem miły, swojski i jakby znajomy. Odbierała Ryśka jako sojusznika. Czuła się w tym miejscu obco, nie miała pojęcia, co ją czeka po przekroczeniu murów z czerwonej cegły. Bała się ponownego spotkania z Klarą. Kiedy widziały się po raz ostatni na gwarnym poznańskim rynku, miała tę przewagę, że była na swoim terenie, no i był obok niej ojciec. A teraz? Teraz mogła liczyć tylko na siebie.

Odwróciła się przez ramię. Na tylnym siedzeniu dostrzegła wiśniowy futerał. Dłużej zatrzymała na nim wzrok. To dodało jej odwagi. Popatrzyła na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedział nowy znajomy. Teraz Rysio stał na zewnątrz. Opierał rękę o dach samochodu i nieśmiało wkładał głowę do środka.

– Będę uciekał. – Odsunął się. – Jeszcze raz dzięki za tamto... – Miał zakłopotaną minę, ale wydawał się szczęśliwy.

– Do zobaczenia. – Bianka najchętniej zatrzymałaby Ryśka przy sobie. Nagle zapragnęła, żeby stał się jej bodyguardem, żeby przetańczył szlak i wprowadził ją na nieznany teren.

Rysio jednak dość szybko się oddalił, wesoło pogwizdując. Po chwili widziała już tylko tył jego szerokiej koszulki, która powiewała jak niebiesko-żółta flaga, poruszana coraz gwałtowniejszymi podmuchami wiatru.

Bianka wychyliła głowę z samochodu i spojrzała w niebo, na którym w szybkim tempie zaczęły się gromadzić chmury. „Czyżby znowu burza?”, pomyślała. Zwolniła ręczny, nabrała powietrza, skręciła w prawo i powoli wjechała w ślepą uliczkę.

Im bliżej domu Klary była, tym dotkliwsze odczuwała zimno. Strzeliste choiny, w większości wyrosnięte sosny i świerki, rzucały cień na całą drogę. Bianka jechała tak wolno, że w pewnym momencie wydawało się nawet, że samochód się zatrzymał. Kiedy dojechała do kutej bramy, wyłączyła silnik. Wciąż jednak nie miała odwagi, żeby wysiąść. Znów obejrzała się przez ramię, a przed oczami zamajaczył jej wiśniowy kolor. Poczula nagły przypływ odwagi. W pośpiechu wyszła z auta, przytrząskując sobie drzwiami brzeg spódnicy. Wyszarpnęła fragment bawełnianej koronki i bez zastanowienia ruszyła do szerokiej furty.

Nacisnęła przycisk domofonu. Nie usłyszała odpowiedzi. Wspięła się na palce, starając się coś dojrzeć. Zobaczyła duży dom z ciemnoczerwonej cegły, takiej samej, jakiej użyto do budowy parkanu otaczającego posesję. Ktoś zmierzał w jej kierunku. Poczula panikę, ale się wyprostowała. Zapragnęła założyć na siebie czapkę niewidkę, by stać się niezauważalna dla świata. A przynajmniej być niewidoczna dla osoby, której

kroki słyszała coraz wyraźniej po drugiej stronie ogrodzenia.

Dobiegł ją skowyt zawiasów i zaraz potem furka się rozchyliła. Na tle ciemnozielonej, ocienionej trawy Bianka zobaczyła starszego mężczyznę. Nie był to typ miłego dziadunia z pogodnym spojrzeniem i łagodną twarzą. Wyglądał jak kamerdyner. Być może nawet taką funkcję pełnił w tym domu. Ubrany w ciemnoszary, skrojony na miarę uniform, sprawiał wrażenie, jakby był tutaj głównodowodzącym.

– Dzień dobry – wydukała Bianka z obawą, wpatrując się w siwe krzaczaste brwi mężczyzny, mające ten sam odcień co jego bujna czupryna. Wyglądał trochę jak Einstein. O ile jednak sławnego naukowca Bianka darzyła wielkim szacunkiem, o tyle stojącemu naprzeciw mężczyźnie nie miała ochoty nawet podać ręki. Zresztą nie oczekiwał tego od niej.

– Otworzę bramę, pani wjedzie i zatrzyma pojazd przed garażem. *Mademoiselle* Klara oczekuje pani już od dwóch godzin – rzekł z wyrzutem, spoglądając na nią z góry.

Nie było serdecznego powitania, nie było uścisku dłoni, nie było nawet jednego ciepłego słowa. Mogła liczyć tylko na zdawkowy, urzędniczy ton. Po tym lodowatym prysznicu Bianka wycofała się do samochodu. A kiedy brama się otworzyła, wjechała na terytorium lwa.

Zatrzymała się przed zamkniętym garażem i wysiadła z samochodu. Zaczęła się rozglądać za kamerdynerem – tak go nazwała w myślach. W końcu się nie przedstawił. Nie poznała jego imienia, a słowo „służący”, które najbardziej do niego pasowało, wydawało jej się trochę nieeleganckie.

Nigdzie go nie dostrzegła, więc odetchnęła z ulgą. Otworzyła bagażnik i wytaszczyła z niego walizkę. Potem wyjęła futerał ze skrzypcami. Właśnie wtedy się pojawił. Ten siwy mężczyzna z nienaturalnie szczupłą, bladą twarzą nagle stanął tuż przed nią, jakby wyrósł spod ziemi. Wzdrygnęła się, mocno ściskając futerał. Kamerdyner obrzucił ją lekceważącym spojrzeniem.

– Pani pójdzie za mną – rzekł oschle, po czym ruszył przed siebie wąskim chodnikiem prowadzącym do domu.

Bianka szła parę kroków za nim, starając się dostrzec coś, co spowodowałoby, że choć przez chwilę poczułaby się w tym miejscu dobrze. Niestety się nie udało. Kilkanaście metrów od domu rozpościerał się wprawdzie okazały park, w którym dominowały wyrosnięte choiny, ale teren wokół wydawał się jakiś smutny, zbyt mocno zacieniony. Dom ze starej cegły też sprawiał wrażenie opuszczonego, jak gdyby tęsknił za minionymi czasami. Duże drewniane okna w kolorze ciemnego mahoni wyglądały jak oczy gigantycznego owada. Bianka czuła się tak, jakby była obserwowana. A może ktoś właśnie jej się przyglądał? Znów przytuliła futerał ze skrzypcami i przyspieszyła kroku, by nadążyć za mężczyzną.

Gdy dotarli do drzwi, dziewczyna z obawą przekroczyła próg i uniosła głowę, przechodząc przez bardzo wysoką futrynę. W zimnym, ciemnym holu też wszystko było wysokie. Popatrzyła przed siebie. Długie murowane schody wykończone drewnem wydawały się nie mieć końca. Pierwsze, co przyszło Biance do głowy, kiedy stanęła na początku stopni i dotknęła wygiętej w łuk balustrady z mosiądzu, było to, że szary odcień ścian kompletnie nie pasuje do starego wnętrza. Nie zdążyła się jednak przypatrzeć

detalom, bo nagle w drzwiach z prawej strony pojawiła się Klara. Ubrana w długą czarną suknię opinającą jej chude ciało wyglądała jak postać z filmu grozy.

– Dzień dobry, pani Bianco. Długo kazała pani na siebie czekać – przywitała się, wypominając jej spóźnienie, a potem stanęła obok kamerdynera.

Oboje mieli w oczach coś, co odróżniało ich od reszty. Patrząc na tych dwojga, Bianka poczuła się jeszcze bardziej zdezorientowana. To tak, jakby niechęć lokaja i arogancja Klary, którą wyczuła już przy pierwszym spotkaniu, nagle połączyły siły, urosły do monstrualnych rozmiarów, a teraz czały się, gotowe, by w każdej chwili zaatakować. Bianka odniosła wrażenie, że jest osaczona. A jedynemu człowiekowi, który na pewno rozumiałby jej obawy, niestety nie mogła się zwierzyć, bo to tylko potwierdziłoby jego przypuszczenia. Przecież tatko ostrzegął ją przed tym wyjazdem, lecz w tej kwestii Bianka była nieprzejednana, a nawet głucha. Głucha nie tylko na głos ojca, ale i na własne wątpliwości. Teraz stała, mierzona surowym wzrokiem przez Klarę, i zastanawiała się, dokąd ją to wszystko zaprowadzi.

W pewnym momencie Klarę zirytowała pasywność gościa. Przesunęła ręką po perfekcyjnie upiętym koku i spojrzała w kierunku przeciwnych drzwi.

– Proszę za mną, napijemy się czegoś, chwilę porozmawiamy. Postaram się wprowadzić panią w obowiązki.

Bianka zostawiła w holu walizkę i futerał, a zaraz potem ruszyła za panią domu.

– Proszę usiąść. – Klara łaskawie skinęła na welurową sofę w zgniózielonym kolorze.

Mebel miał liczne otarcia. Wyglądał na bardzo stary i prawdopodobnie nigdy nie poddano go renowacji. Klara zajęła miejsce naprzeciwko, siadając w rozłożystym fotelu. Już po chwili obok niej pojawił się kamerdyner. Kobieta zaszczyciła go spojrzeniem dużo łagodniejszym niż Biankę.

– Czego się pani napije? – spytała, siląc się na uśmiech.

– Poproszę herbatę – odpowiedziała Bianka grzecznie.

Klara zwróciła się do stojącego obok mężczyzny:

– Vincencie, proszę, przynieś nam dwie mocne herbaty.

Kiedy Vincent zniknął za drzwiami, Klara popatrzyła w stronę okna, a na jej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

– Prawda, że piękne? – Wskazała na parapety, na których stały cztery ciemnoszare donice. Z ich środka strzelały w górę rozety ciemnych kwiatów przypominające kocie główki.

Bianka popatrzyła na nie z niesmakiem i znów przeszedł ją dreszcze. Panował tutaj dotkliwy chłód. Pokój znajdował się w północnej części domu, więc słońce było tu raczej rzadkim gościem. Okna z zasuniętymi do połowy grafitowymi markizami z wytłaczanym kwiatowym wzorem stanowiły dodatkową barierę broniącą to ponure pomieszczenie przed dostępem światła.

Tymczasem do pokoju wrócił kamerdyner. Położył na niskim jajowatym stoliku z palisandrowego drewna tacę z dwiema filiżankami.

– Nie lubią światła – rzekła Klara, wpatrując się w rośliny. Tylko przelotnie zerknęła na mężczyznę. – To takka, zwana czarną orchideą. Wymaga szczególnej

troskliwości. Prawda, że idealnie komponuje się z wystrojem pokoju? – Przeniosła wzrok na Biankę, która z wrażenia aż przygryzła górną wargę.

Poczuła w ustach suchość, więc sięgnęła po filiżankę. To nie było jednak dobre rozwiązanie. Herbata miała mocny, zbyt cierpki smak. Bianka skrzywiła się, choć ze wszystkich sił próbowała nie dać nic po sobie poznać.

– Mój ulubiony gatunek, golden screw. Ma zdecydowany, męski smak. Tylko Vincent umie ją zaparzyć jak należy. – Klara wzięła filiżankę i wypła kilka łyków.

Bianka przystąpiła do drugiego podejścia. Ponownie przyłożyła do ust filiżankę z kruchej chińskiej porcelany i lekko ją przechyliła, a dopiero potem zdecydowała się upić większy łyk. Teraz była już pewna, że herbata jej nie smakuje. Sączyła ją powoli, jakby za karę. Za to Klara sprawiała wrażenie wręcz odurzonej swoim ulubionym napojem. Co chwila zamaczała wąskie usta w filiżance. Gdy opróżniła naczynie, odwróciła się do mężczyzny, który jak cień stał tuż za nią, u wezglowia fotela.

– Vincencie, możesz odejść, nie będziesz mi już dzisiaj potrzebny. – Machnęła ręką, jakby odganiała od siebie natrętą muchę.

Bianka z trudem opróżniła zawartość swojej filiżanki. Nie wiedziała, jak rozmawiać z Klarą, czekała więc na jej słowa. Było widać, że pani domu gra na zwłokę. Upajała się strachem Bianki. Niepewność dziewczyny sprawiała jej przyjemność. Bianka nerwowo przebierała wyćwiczonymi palcami po brzegu kanapy, trochę tak, jakby dotykała strun w skrzypcach. Marzyła tylko o tym, by jak najszybciej pożegnać się z Klarą i zniknąć w swoim pokoju.

– Nie będę powtarzała tego, co już uzgodniłyśmy – odezwała się wyniośle Klara po dłuższym milczeniu. – Jeśli wywiąże się pani ze zobowiązania, dostanie pani należną kwotę. Jeśli nie, po prostu opuści pani mój dom bez żadnych roszczeń. Mam nadzieję, że się rozumiemy. Nie chciałabym, aby doszło do jakichś komplikacji.

Pod wpływem bazyliżkowatego wzroku Klary Bianka skamieniała. Ledwie skinęła głową.

– Jest już dość późno, więc szybko oprowadzę panią po domu. W końcu ma pani spędzić tutaj dwa miesiące – rzekła gospodyni tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zaraz potem wstała i znacząco popatrzyła na Biankę, która również od razu się podniosła.

Obie jednocześnie spojrzały na drzwi, po czym ruszyły w ich stronę. Szły wolno. Klara dokładnie patrzyła pod nogi, jakby obawiała się, że w każdej chwili może wpaść w jakąś zasadzkę lub wdepnąć w zastawione na nią sidła. Bianka chciała mieć tę przymusową prezentację domu jak najszybciej za sobą, ale zdawała sobie sprawę, że nie może pospieszać gospodyni. Kiedy przez przypadek na moment wysunęła się przed Klarę, kobieta spojrzała na nią w taki sposób, że nogi na kilka sekund odmówiły jej posłuszeństwa.

Oglądanie tego wiekowego domu nie sprawiało Biance przyjemności. Większość wyposażenia stanowiły stare meble. Na pierwszy rzut oka przypominały te z poznańskiego mieszkania Bianki i Zygmunta mieszczonego się na rynku, które odziedziczyli po Walentynie. Tylko że ich rodzinne antyki pachniały piękną, choć nie do końca znaną, historią. W tym domu zaś cuchnęło strachem, aż kręciło się w głowie od przytłaczającej liczby bibelotów zalegających na komodach i półkach.

Kiedy znalazły się na piętrze i stanęły przed drzwiami pokoju, w którym Bianka miała się zatrzymać, dziewczyna z nadmiaru wrażeń nie pamiętała już niemal nic z tego, co przed chwilą zobaczyła. Przed oczami miała jedną rozległą plamę – taką jak odcień farby, którym pokryto większość ścian w tym ponurym domu. Postanowiła, że przyjrzy się wszystkiemu jeszcze raz nazajutrz, w świetle dnia. Jeśli oczywiście pani domu pozwoli na to, żeby do jej ponurej twierdzy wniknęły promienie słoneczne.

– Wierzę, że da pani z siebie wszystko, a moje cenne wskazówki nie pójdą na marne – powiedziała Klara, nie odrywając oczu od ciemnowiśniowego futerału, który chronił stare skrzypce przed jej palącym wzrokiem.

– Nie pytałam o to wcześniej, ale... dlaczego właśnie ja?

– Jak na tak młodą osobę ma pani niezbyt dobrą pamięć. Mówiłam to pani podczas naszego ostatniego spotkania, ale jak widać, nie potrafi pani czytać między wierszami. Powtórzę więc wprost, skoro dociera do pani tylko jasny przekaz: wybrałam panią, bo jest pani najlepsza. Mam nadzieję, że się nie pomyliłam i że mnie pani nie zawiedzie. – Spojrzała ostro w łagodne, zmęczone oczy Bianki.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Pani wie, że potrzebuję tych pieniędzy. Postaram się... – Bianka się zająknęła.

– Nie wystarczy się starać. Pani musi dać z siebie wszystko. Nie wiem, jakich metod pani użyje, ale chciałabym, żeby rezultat mnie zadziwił. – Klara w końcu otworzyła drzwi i obie weszły do środka.

Bianka odetchnęła z ulgą, bo nie było tak źle. Ściany pokoju pomalowano jasnobezową farbą, dzięki czemu wydawał się całkiem przytulny. Nie było w nim wielu mebli. Tylko wąskie łóżko, stolik z taboretami i szafa z lustrem. Okno wychodziło na park. Było już całkiem ciemno, ale z zewnątrz dochodziły jeszcze głosy ptaków.

– Zostawię już panią. Proszę się rozgościć. Nie wiem, czy wspominałam, że śniadanie podajemy o wpół do dziewiątej. Będę wdzięczna, jeśli punktualnie zjawi się pani w jadalni. Posiłki zawsze jadamy o stałych porach. Mam nadzieję, że uszanuje pani zasady panujące w tym domu. – Spojrzała wymownie na -Biankę.

– Tak, oczywiście.

Klara ruszyła do drzwi. Nagle się odwróciła.

– Aha, liczę na to, że rozpocznie pani pracę jutro zaraz po śniadaniu – rzekła dudniącym głosem.

– Tak. – Bianka pokiwała głową.

Kiedy Klara w końcu wyszła, Bianka opadła na łóżko. Czowała się wyczerpana. Nie miała nawet siły, by podnieść rękę. Leżała na wznak przez kilka minut. Kiedy emocje nieco opadły, sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do ojca. Mieli się skontaktować dopiero wieczorem. Postanowiła grać przed Zygmuntem twardą, mimo że wewnątrz rozsypywała się na kawałki.

Ojciec od razu wyczuł w jej głosie niepewność, lecz gdy starał się coś z niej wyciągnąć, wymówiła się zmęczeniem po podróży i nadmiarem wrażeń. Nie spytał o Klarę, choć domyślał się, że to właśnie ona stanowiła główną przyczynę niepokojów córki.

Przed dwudziestą drugą Bianka już leżała w łóżku. Z zadowoleniem stwierdziła, że ma własną łazienkę przylegającą do pokoju. Kiedy wsunęła się pod czystą pościel z kory,



marzyła jedynie o tym, by usnąć. Nawet nie wypakowała walizki. Zadbła tylko o to, żeby futerał ze skrzypcami znalazł się na stoliku ze słomkowym bieżnikiem. Zasnęła natychmiast, jednak potem przez większość nocy męczyły ją koszmary.

Gdy obudziła się następnego dnia, była zmęczona i otepiała, ale starała się zmobilizować wszystkie siły przed tym, co ją czekało. W końcu nie mogła zawieść Klary.

Tuż przed ósmą była gotowa. Ubrała się skromnie – w sięgającą do kolan spódnicę w stalowym kolorze i granatowy, przylegający do ciała podkoszulek. Wprawdzie na co dzień wybierała jasne, spokojne odcienie, a większość ubrań, które zabrała do Kazimierza, była w pastelowej tonacji, ale czuła, że dziś powinna wyglądać szaro i nijako. To miejsce sprawiało, że choć tęskniła za jaskrawymi barwami, to te ciemne wydawały jej się odpowiednie. Stojąc teraz przy oknie w takim oficjalnym stroju, czuła się inną osobą. I dobrze, bo przecież musiała taka być. Przez dwa miesiące miała prowadzić inne życie niż dotychczas.

Kiedy otworzyła okno, odetchnęła z ulgą. „Może nie będzie aż tak źle – pomyślała, patrząc na park, w którym było słychać śpiew wielu gatunków ptaków. – Dam radę”. Przeniosła wzrok na futerał. Grała każdego ranka. Pomyślała, że i dzisiejszy dzień powinna rozpocząć w ten sposób. Już chciała sięgnąć po skrzypce, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Poczowała panikę, nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. To mogła być tylko Klara. Albo jej wierny sługus Vincent. Nikogo innego w tym domu nie widziała. Ale przecież mógł to też być ON. Mężczyzna, dla którego tutaj przyjechała. Dopiero po chwili odzyskała głos.

– Proszę – powiedziała donośnie.

Do pokoju wpadła z impetem niska, pulchniutka kobieta. Zachowywała się bardzo żywiołowo.

– Dzień dobry, droga pani, my się jeszcze nie znamy. Jestem Marta. – Stała naprzeciw Bianki i mocno ścisnęła jej rękę.

– Dzień dobry – odpowiedziała zaskoczona Bianka.

Marta mówiła tak szybko, a jej ruchy były tak żwawe, że Bianka musiała się postarać, by dłużej utrzymać na niej wzrok. Miała sympatyczną twarz, z której spoglądały roześmiane niebieskie oczy, jakże inne od wyblakłych błękitnych oczu Klary. Marta mogła być rówieśnicą pani tego domu, ale znacząco różniła się od Klary tuszą i radosnym usposobieniem. Jej żywiołowość ujęła Biankę, która uśmiechnęła się do Marty i odetchnęła z ulgą, że to jednak nie Klara. Marta zachowywała się tak, jakby znała Biankę od dawna, a to spotkanie było jednym z wielu.

– Cieszę się, że pani tutaj przyjechała. Jest pani taka młoda i ładna, wniesie pani do tego domu powiew świeżości. – Zacisnęła szafirową frotkę na swoim niewielkim kucyku w mysim kolorze. Szafirowy był też jej fartuszek obsypany białymi groszkami. – Chciałam pani przypomnieć, żeby zeszła pani na śniadanie o ustalonej porze i nie pozwoliła na siebie czekać. Pani Klara bardzo tego nie lubi. Lepiej nie robić sobie z niej wroga już na wstępie. – Włożyła pulchną rękę do kieszeni fartucha i wyjęła z niej pęk kluczy, którymi zadzwoniła tuż przed twarzą Bianki. – Pójdę do spiżarni, muszę przygotować śniadanie. Chciałam tylko się z panią przywitać. – Znów złapała dziewczynę za rękę jak stara, dobra znajoma.

– Idę z panią – stwierdziła Bianka spontanicznie. – Pani Klara oprowadziła mnie wczoraj po domu, ale przyznam, że niewiele z tego pamiętam. Chętnie przyjrę się wszystkiemu jeszcze raz przed śniadaniem.

Słowa Bianki ucieszyły gospodynię. Znowu potrząsnęła kluczami.

– W takim razie chodźmy, będę pani przewodniczką.

Zeszły na dół i udały się do drzwi, których Bianka poprzedniego dnia nie zauważyła. Już po chwili znalazły się w niedużym kwadratowym pomieszczeniu o cytrynowych ścianach z licznymi drewnianymi półkami. Leżały na nich różne produkty spożywcze. Na dwóch regałach ułożono kosze wypełnione warzywami i owocami. Zapach jabłek mieszał się z wonią buraków i marchewek. Marta zabrała z półki okrągły wiklinowy koszyk, po czym włożyła do niego kilka ogórków i pomidorów oraz dwie -dorodne cebulki. Zgarnęła klucze, które wcześniej odłożyła na bok.

– Muszę zamknąć drzwi – powiedziała w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie dziewczyny. – Pani Klara tak zarządziła. Ma różne dziwactwa. Jak pani pomieszka tu przez jakiś czas, to sama się pani o tym przekona. – Ściszyła głos i obejrzała się przez ramię. – Chodźmy, pokażę pani dom. – Chwyciła kosz i zwróciła się w stronę drzwi do pokoju dziennego.

Zawiało od nich chłodem, a Bianka kątem oka dostrzegła małą główkę czarnej orchidei. Zrobiła niepewną minę.

– Niby dom nie jest duży, ale ma zawiły rozkład. Na szczęście sypialnia pani Klary znajduje się na parterze, bo zapewniam panią, że inaczej czułaby pani jej obecność nawet przez ściany – mówiła Marta. – Pokój Vincenta znajduje się zaraz obok jej sypialni. Zresztą nic dziwnego, bo nie potrafią się bez siebie obejść. Czasem myślę, że łączą ich jakieś diabelskie konszachty. – Znow ściszyła głos. Najwyraźniej uznała, że to nie jest ani dobre miejsce, ani odpowiedni czas na takie rozważania, ponieważ nagle zmieniła temat. – To jak, idziemy do kuchni? – spytała.

Kuchnia była połączona z jadalnią ceglana łukową ścianką. Panował tam nieprzyjemny chłód. Marta rozchyliła granatową perkalową zasłonkę i otworzyła okna wychodzące na trawnik, tak że do wnętrza wniknęło światło słoneczne. Po chwili zrobiło się nieco cieplej.

– Niech pani sobie usiądzie, a ja przygotuję śniadanie. – Marta wysunęła spod blatu taboret i wskazała na niego.

– Może pani pomożę? – zaproponowała nieśmiało Bianka.

– Nie ma takiej potrzeby. Proszę siadać, a ja się wszystkim zajmę. Lubi pani omlet ze szpinakiem? – Gospodyni oderwała wzrok od deski, na której kroїła pomidory, i przeniosła go na Biankę.

– Tak. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Proszę mi mówić po imieniu, będzie prościej – zachęciła gospodynię.

Marta przyjęła jej propozycję z radością.

– Dobrze, Bianco. – Roześmiała się. – Już wiem, że będziesz moją towarzyszką przez najbliższe dwa miesiące. Mam tylko nadzieję, że wytrwasz.

– Muszę.

Bianka obawiała się pytań. Nie chciała okłamywać Marty, która wyglądała na

sympatyczną osobę. Nie miała tego w zwyczaju. Tylko że w tym domu czuła się taka ograniczona. Zupełnie tak, jakby nie była sobą. Odkąd pojawiła się w tym dziwnym miejscu, odnosiła wrażenie, że swoje prawdziwe życie zostawiła w rodzinnym Poznaniu, a teraz grała w jakimś spektaklu, i to bez wcześniejszego przeczytania scenariusza. To było bardzo stresujące. Ze wszystkich sił starała się zachować optymizm, który dotychczas był jej znakiem rozpoznawczym. Cieszyła się, że poznała Martę, która wносиła do tego domu trochę normalności i światła. Tak bardzo ich tutaj brakowało.

– Bianco... – Marta odłożyła nóż i zbliżyła się do dziewczyny. – Dobrze wiem, po co tutaj przyjechałaś – szepnęła jej do ucha.

Bianka uniosła głowę. Chciała wstać, ale Marta ją przytrzymała.

– Chcę, abyś wiedziała, że masz we mnie sojusznika. Niezależnie od tego, co będzie się działo, zawsze możesz na mnie liczyć. Pomogę ci. – Poglądziła ją po ramieniu.

– Dziękuję – odparła Bianka. Słowa gospodyni tak bardzo ją zaskoczyły, że nie wiedziała, co powiedzieć. Wciąż nie miała pewności, czego dowiedziała się o niej Marta, jednak czuła, że może jej zaufać.

– Niestety jestem tu tylko od siódmej do dziewiętnastej. W nocy musisz sobie radzić sama. – Marta zmarszczyła czoło.

– Nie mieszka pani tutaj? – Bianka się zdziwiła, Marta sprawiała bowiem wrażenie, jakby znała każdy kąt.

– Nie. Na szczęście, nie. – Roześmiała się głośno. – Tylko tu pracuję, choć nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Robię to dla swojej córki Gosi i jej męża Pawła. Od kilkunastu lat prowadzą winnicę pani Klary. Ja doskonale znam ten dom, ale... – Nagle przerwała i odchyliła głowę, spoglądając w stronę jadalni. – Tutaj ściany mają uszy – wytłumaczyła, zaraz jednak wróciła do wcześniejszego tematu. – Odkąd trzy lata temu pani Klara wróciła do Polski po śmierci męża i przywiozła ze sobą swojego szpiega Vincenta, to miejsce zmieniło się nie do poznania.

– To pani Klara nie mieszkała tutaj zawsze? Pamiętam, jak mówiła, że to jej rodzinny dom. Chyba że coś pomyliłam. – Bianka nie była już niczego pewna.

– Nie, nie pomyliłaś się, to rzeczywiście dom rodziny pani Klary. Tylko że ona przez większość życia mieszkała we Francji. A odkąd wróciła, wprowadziła własne zasady. – Marta zaczęła kroić warzywa. Po kilku minutach na półmisku znalazły się plasterki pomidora, ogórka i strzępy sałaty, a gospodyni ubijała w misce jajka na omlety.

Dokładnie o wpół do dziewiątej w jadalni zjawiła się Klara w towarzystwie Vincenta. Kamerdyner najpierw odsunął krzesło swojej pracodawczyni, a później usiadł obok. Bianka usadowiła się naprzeciwko nich. W pewnym momencie Klara wstała, głośno szurając ciężkim krzesłem. Trzeba było dysponować nie lada siłą, żeby je swobodnie przesunąć. Wydawało się, że masywne oparcie z dębowego drewna waży kilka kilogramów. Grube nogi otoczone zygzakowatym wzorem i wypłowiałe brunatne siedzisko też nie były lekkie.

– Pani Bianco, proszę, niech pani wstanie. Przed posiłkiem zawsze odmawiamy modlitwę. Vincencie, proszę, podaj mi brewiarz. – Klara otworzyła modlitewnik i złożyła dłonie.

Bianka posłusznie wstała, spoglądając w stronę kuchni, gdzie stała Marta.

Gospodyni złożyła ręce, sygnalizując dziewczynie, żeby zrobiła to samo. Bianka potulnie uniosła dłonie i złożyła je tuż przy piersi. Jej wzrok powędrował w kierunku mosiężnego krzyża stojącego na środku stołu w towarzystwie dwóch lichtarzy z zapalonymi świecami.

Po odczytaniu przez Klarę odpowiedniego fragmentu i głośnym odmówieniu modlitw *Ojcze nasz* i *Zdrowaś, Maryjo* usiedli do stołu. Pani domu skinęła ręką na znak, że mogą przystąpić do spożywania posiłku. Bianka zaczęła od napełnienia sobie filiżanki ulubioną herbatą Klary, tym razem jednak rozcieńczyła ją wodą. Kobieta spojrzała na nią surowym wzrokiem. Do Bianki dotarło, że musi się nauczyć funkcjonować w tym dziwnym domu, bo inaczej zgubi w nim własną osobowość. Już na pierwszy rzut oka było widać, że Klara żyje w wymyślonym przez siebie świecie. Jej lokaj Vincent też poruszał się w nim z opaską na oczach, prowadzony przez swoją panią. Jego oddanie graniczyło z fanatyzmem.

Omlet przygotowany przez Martę był wyśmienity, Bianka zjadła go z dużym apetytem. Pod koniec posiłku nawet dołała sobie herbaty. Tym razem rozcieńczyła ją mniejszą ilością wrzątku. Na talerzyku pani domu znalazły się tylko dwa plasterki sera pleśniowego i mała wyschnięta kromeczka chleba razowego. Vincent zjadł dokładnie taką samą porcję jak Klara. Jednak po posiłku starsza kobieta sprawiała wrażenie sytej, mężczyzna zaś rozglądał się wygłodniałym, nerwowym wzrokiem po półmiskach obłożonych świeżymi potrawami, jakby dokonywał rewizji. Klara zauważyła to i szybko wstała. Z trudem dosunęła krzesło do równie ciężkiego stołu ozdobionego rzeźbieniami.

– Klaro, kochana, nie przystoi. – Vincent doskoczył do niej i ujął jej bladą, chudą rękę.

Wyrwała ją nerwowo i odeszła, nie czekając na niego. Podążył jej śladem, rzuciwszy tylko cicho: „*Merci*”.

Bianka odetchnęła dopiero wtedy, kiedy Klara i Vincent zniknęli z pola widzenia. Wstała od stołu i zaczęła zbierać naczynia. Wkrótce tuż przy niej znalazła się Marta.

– Bianco, co ty robisz? – Żartobliwie klepnęła dziewczynę w rękę. – Z tego, co wiem, to ja jestem tutaj gosposią na pełny etat. – Szybko zebrała talerze, zgarniając na jeden z nich -resztki.

– Ja tylko chcę się na coś przydać. – Bianka przybliżyła się do niej, ale Marta nie pozwoliła sobie pomóc.

– Ty jesteś tutaj od czegoś innego. – Odłożyła naczynia i zmusiła Biankę, żeby ta na nią spojrzała.

Dziewczyna stanęła przy rogu stołu i wygładziła kant obrusu.

– Powinnaś do niego iść. Przygotowałam śniadanie, jest na tacy. Jeśli chcesz, pierwszy raz mogę pójść z tobą.

– Nie, dam sobie radę sama – odrzekła Bianka.

– Nie bój się, na pewno nie będzie źle.

– Jaki on jest? – odważyła się zapytać. Chciała zrobić to już wcześniej, gdy Marta przygotowywała śniadanie, ale zabrakło jej odwagi.

– Sympatyczny, smutny i niestety bardzo małomówny. Odkąd się tutaj pojawili, usłyszałam z jego ust zaledwie kilka słów. Zwykle mówi „dziękuję”, kiedy podaję mu posiłek. Ale teraz to ty... – Marta zamilkła i złapała dziewczynę za rękę. – Naprawdę

wierzysz, że ci się uda? Myślisz, że on nie pozna?

– Nie wiem – odparła Bianka. – Teraz już nic nie wiem. Boję się, że nie dam rady. Wcześniej, kiedy byłam w Poznaniu, wyobrażałam sobie, że wszystko będzie dużo łatwiejsze. A teraz... Tutaj jest jakoś dziwnie. To miejsce, ten dom... Nie czuję się tu dobrze.

– Mnie nie musisz o tym mówić. – Gdy Marta się poruszała, kręciła biodrami schowanymi pod opiętym fartuszkiem.

– Pani Marto... – zaczęła Bianka nieśmiało, nie bardzo wiedząc, jak sformułować pytanie. Wciąż nie miała pojęcia, co kobieta o niej wie, a Klara zabroniła komukolwiek mówić o łączącej je umowie. Właściwie tylko ojciec był w to wszystko wtajemniczony.

– Skąd pani wie o tym, że ja... – Mówiła powoli, wciąż szukając odpowiednich słów.

Marta pochyliła się nad jej uchem.

– Wiem – szepnęła. Potem uniosła głowę i spojrzała w stronę wyjścia z jadalni. Przeleciała wzrokiem wszystkie kąty, a kiedy upewniła się, że w pobliżu nie ma nikogo, zniżyła głos i rzekła: – Muszę sobie tutaj jakoś radzić. – Brzmiało to tak, jakby chciała się najpierw wytłumaczyć. Dopiero po chwili dodała: – Słyszałam rozmowę pani Klary i Vincenta. Nie wiem tylko, dlaczego Klara zdecydowała się zatrudnić właśnie ciebie.

– Podobno jestem najlepsza – powiedziała dziewczyna, choć już przestała w to wierzyć. W całej Polsce można by z powodzeniem znaleźć wiele utalentowanych skrzypaczek.

– Chciałabym tak myśleć. – Marta wróciła do zbierania naczyń.

Dziewczyna poczuła się nieswojo. Wzięła pusty dzbanek po herbacie i ruszyła za gospodynią do kuchni. Marta stanęła przy kuchence.

– Zaczekaj – poprosiła, widząc, że Bianka sięga po tacę z przygotowanym śniadaniem. – Usmażę mu dzisiaj omlet, bardzo go lubi. Pani Klara każe go faszerować tymi cuchnącymi serami, ale on ich nie znosi. – Zręcznie ubiła pianę, wymieszała ją z wcześniej pokrojonym szpinakiem i wlała na rozgrzaną patelnię. Już po chwili rumiany omlet był gotowy.

Bianka wzięła tacę i ruszyła w kierunku wyjścia z jadalni. Kiedy stanęła w progu, odwróciła się do Marty – czekała na jakieś wskazówki i dobre słowo. Starsza kobieta to wyczuła. Podeszła do Bianki i po matczynemu odgarnęła jej włosy z czoła.

– Powodzenia, kochana. A teraz już idź, bo zaraz wszystko wystygnie. – Popatrzyła na wciąż parującą zawartość tacy.

Bianka odwdzieczyła się niepewnym uśmiechem. Potem weszła na schody.

Przed drzwiami było tak cicho, że słyszała swój oddech. Ponieważ bała się, że on też go usłyszy, od razu zapukała. Nikt nie odpowiedział, więc zrobiła to ponownie.

– Proszę wejść. – Dotarł do niej stłumiony głos.

Nacisnęła klamkę, starając się nie upuścić tacy.

– Dzień dobry – rzekła cicho, rozglądając się po ciemnym pokoju.

Znajdujące się w nim dwa okna były zasnute gęstymi zasłonami. Dopiero po kilku sekundach go dostrzegła. Siedział na skraju łóżka. Na kolanach trzymał zamkniętą książkę.

– To ty jesteś ta nowa, którą zatrudniła matka. – Ton wydawał się niegrzeczny.

– Tak – odpowiedziała Bianka słabym głosem i zwilżyła sobie usta językiem.

To na pewno nie było przyjacielskie powitanie, na jakie liczyła. Naprawdę wierzyła, że się zaprzyjaźnią. W końcu byli rówieśnikami.

– Zamknij drzwi. Są grube, nic przez nie nie słyhać, a jak znam życie, to ten sługus Vincent będzie się tutaj kręcił.

Bianka posłusznie zatrasnęła drzwi.

– Połóż śniadanie na stoliku przy oknie i usiądź obok mnie. Możesz rozchylić zasłony, dla mnie to i tak bez znaczenia, ale ty jesteś przecież normalna – rzekł cierpkim głosem.

Bianka podeszła do stolika i postawiła na nim tacę. Kiedy rozsunęła zasłony, w pokoju zrobiło się znacznie przyjemniej. Spojrzała na mężczyznę. Jego twarz wyglądała delikatnie, niemal kobieco. Odznaczał się dość nietypową urodą – miał jasne, lekko kręcone, sięgające do brody włosy i ciemną oprawę oczu. Co ciekawe, miał też ciemną karnację, tak jakby często przebywał na słońcu.

– Napatrzyłaś się już na mnie? – Z jego słów przebijała arogancja.

Bianka się speszyła. Nie odezwała się, tylko odwróciła głowę do okna. Wtedy znów ją zaatakował.

– Nigdy nie widziałaś ślepego? – Słowa, które wypowiadał, sprawiały mu ból, ale zamiast przestać, brnął dalej. – Możesz mnie dotknąć, jeśli chcesz.

Zwrócił się w jej kierunku. Miał otwarte, nieruchome oczy w ciemnobrązowym kolorze. Wyglądało to tak, jakby jej się przyglądał. Gdyby nie wiedziała, że jest niewidomy, mogłaby popełnić gafę, zadając mu jakieś niefortunne pytanie.

– Rzeczywiście nigdy wcześniej nie miałam okazji rozmawiać z osobą niewidomą – odpowiedziała w końcu, nie ruszając się z miejsca.

– Masz szansę nadrobić zaległości. – Jego głos trochę złagodniał. Nadal sprawiał jednak wrażenie nasrożonego. – Usiądź obok mnie – rzekł po chwili, nie doczekawszy się z jej strony żadnej reakcji.

Bianka stała nieruchomo jak kłoda. To go zirytowało.

– Boisz się mnie?! – Podniósł głos.

– Nie – odpowiedziała i się zbliżyła.

Słyszał jej kroki i oddech. Jego twarz złagodniała. Kiedy stanęła naprzeciw niego, wyciągnął w jej kierunku rękę. Jego migdałowe oczy nawet nie drgnęły, a ładna twarz przywodziła na myśl manekina stojącego na wystawie sklepowej. Podążyła mu dłoń. Chwycił ją mocno, a potem przyciągnął Biankę, zmuszając, aby usiadła obok niego.

– I co, podobam ci się? – W jego głosie znów było słyhać złośliwość.

Chciała wstać, ale wyjątkowo mocno przytrzymał jej nad-garstek.

– Proszę mnie puścić – odezwała się cicho.

Zwolnił uścisk, lecz jej nie wypuścił.

– Odpowiedz – rzekł nachalnie.

– Co to w ogóle za pytanie? Nie jestem tutaj dla pana towarzystwa. Swoimi słowami bardzo mnie pan obraża. – Próbowwała się odsunąć.

Wtedy wypuścił jej rękę. Sądziła, że da jej spokój, ale on postanowił nadal ją gnębić.

– Myślisz, że nie wiem, po co moja szalona matka cię tutaj sprowadziła?! – zapytał szyderczo. Na twarzy miał wymalowaną kpinę. Tylko jego oczy były bez wyrazu, nieruchome.

Bianka spanikowała. Wstała i wycofała się do drzwi. Przecież on nie mógł się tego domyślić. Uzgodniły z Klarą, że o niczym nie może wiedzieć. W innym wypadku to wszystko nie miałyby sensu. Mogła do niego dotrzeć tylko podstępem. Ale skoro Marta przejrzała chytry plan swojej pracodawczyni, to może również jej syn wykazał się sprytem i odgadł jej zamiary. Jedyne, co mogła w tej chwili zrobić, to uciec. Nacisnęła klamkę.

– Już uciekasz? Nawet nie zdążyliśmy się zapoznać.

Bianka nie odpowiedziała.

– Powiedz chociaż, jak masz na imię. – Uniósł głowę.

– Bianka – odparła, cały czas trzymając rękę na klamce.

– Hm, ładnie. Ja jestem Samuel, ale wolę, kiedy mówi się do mnie „Sam”.

Chwilę milczeli, a później syn Klary odezwał się ponownie:

– Skoro oficjalne zapoznanie mamy za sobą, możesz już iść. – Ostentacyjnie odchylił głowę w kierunku ściany.

Nie czekała na jego kolejne słowa, tylko rzuciła:

– W takim razie do zobaczenia. – Odwróciła się i po cichu wyszła.

Dopiero kiedy znalazła się na korytarzu, głośno odetchnęła.

– Niezły początek – szepnęła do siebie, a potem rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt nie usłyszał jej słów.

Nie było nikogo. Pomiędzy szarymi ścianami pałętały się tylko przypadkowe owady, które nie potrafiły znaleźć drogi na zewnątrz. Na nieszczęście pokój Samuela przylegał do jej tymczasowych czterech ścian. „Chyba będzie lepiej, jeśli od razu się stąd zabiorę. To nie ma sensu”, pomyślała, wchodząc do środka. Nie wyobrażała sobie ponownego spotkania z Samuelem. Wyraźnie ją odpychał.

„To jakaś szalona rodzina”, skwitowała w myślach, kucając przy otwartej szafie i wkładając do niej swoje ubrania. Właściwie nie miała wyjścia – i tak musiała tutaj zostać przynajmniej przez dwa tygodnie. Tak było zapisane w umowie. Nie pozostało jej więc nic innego, tylko zacisnąć zęby i robić to, co ustaliły z Klarą. Tyle że po pierwszym spotkaniu z Samem wydawało się to nierealne. Pomimo subtelnej urody był szorstki jak pumeks. Obawiała się, że przy kolejnych kontaktach z nim może się nabawić bolesnych otarć emocjonalnych.

W ciągu tego dnia i dwóch następnych sytuacja się nie zmieniła. Z Klarą widywały się na szczęście tylko w czasie posiłków, które oczywiście bez wyjątku były poprzedzone modlitwą. Za to Vincent dawał jej boleśnie odczuć swoją obecność. Zawsze kręcił się akurat tam, gdzie ona. Przez pierwsze dni najchętniej siedziała więc w swoim pokoju i bez celu wpatrywała się w drzewa. W jakimś sensie ta czynność ją odprężała. Uciekała wówczas od strachu, którym oddychał ten dom, i wątpliwości unoszących się nad nią niczym ciemne burzowe chmury.

Po pierwszym spotkaniu Samuel zachowywał się bardzo poprawnie, ale ozięble. Nie pozwalał się do siebie zbliżyć nawet na krok. Tacę z posiłkiem odkładała zawsze w tym samym miejscu i od razu wychodziła. Zauważyła, że kiedy odwracała się do niego,



zamykał powieki, jakby wiedział, że na niego patrzy. Gdy była przy nim, bała się cokolwiek powiedzieć. Obawiała się jego reakcji, więc milczała i się wycofywała. Szybko straciła nadzieję, że uda jej się wywiązać z umowy, dlatego zaczęła odliczać dni do wyjazdu. Marta o nic nie pytała, tylko patrzyła na nią ze współczuciem.

Odkąd Samuel pojawił się w tym domu trzy lata temu, nigdy nie zszedł na posiłek do jadalni. Nie rozmawiał z matką. Przeważnie siedział w swoim pokoju. Czasem wychodził do parku, lecz podobno zdarzało się to rzadko. Nauczył się funkcjonować w ciemności, bo jego kiedyś nasycony kolorami świat pogrążył się w mroku. Wciąż go pamiętał, choć z dnia na dzień coraz bardziej zatracił kontury. W Samie gasła chęć do życia, które sprawiało mu coraz większą trudność. Wszystko skończyło się dla niego wraz z wypadkiem, w którym stracił wzrok. niesprawiedliwy los wbił mu wówczas nóż w plecy, odbierając nie tylko zdrowe oczy, ale i ukochanego ojca Raula. Samuel każdego dnia przeklinał opatrzność za to, że to nie on znalazł się na miejscu najbliższego mu człowieka. Odtąd jego życie przypominało bardziej wegetację, po prostu trwał.

Bianka najbardziej bała się nocy w tym ponurym, złowrogim domu. O dziwo, okazały się one znośne. Wraz z nadejściem zmroku świat wokół jakby się zatrzymywał, a w rezultacie znikał też strach. Wieczorami Bianka oddychała pełną piersią, odpoczywając w uspionym parku. Nie mogła się jednak przełamać, by znów wziąć do rąk skrzypce. Tęskniła za ich rzewną nutą, lecz jednocześnie obawiała się, że mroczne kąty tego domu jej nie polubią. Każdego ranka podchodziła do stolika, na którym leżał futerał ze skrzypcami, ale potem, kiedy już miała go dotknąć, wycofywała się i omijała go wzrokiem, udając przed samą sobą, że właśnie miała zrobić coś innego.

Niestety kolejne dni nie przyniosły jej żadnych dodatkowych obowiązków. Nie potrafiła się odnaleźć w nowym świecie i wciąż odliczała czas, który pozostał jej do odjazdu. Otchłań dzieląca ją i Sama wręcz się pogłębiła. Gdy wchodziła z tacą do jego pokoju, zamykał powieki i zastygał w bezruchu. Z zamkniętymi oczami wyglądał rozbrajająco, rozczulał ją. Za którymś razem złapała się na tym, że ma ochotę go przytulić, pocieszyć i sprawić, żeby otworzył swoje tajemnicze oczy, choćby tylko po to, by mogła zobaczyć nietypowy odcień tęczówek, ciemnobrązowy, nakrapiany jasnymi plamkami.

W końcu nadszedł pewien przełom. W tym dniu Bianka już od rana czuła się wyjątkowo dobrze. Nad sobą miała niebo, to samo od trzydziestu lat, a pod stopami czuła twarde grunto – świat wokół wciąż istniał. Wtedy ostatecznie się poddała, odpuściła. Przegrywać też trzeba umieć. Klara także była jakby miłsza. W czasie kolacji nawet zamieniły ze sobą kilka słów. Tak jak obiecała na początku, nie dopytywała o Samuela. Już na wstępie poinformowała Biankę, że interesuje ją tylko rezultat, a metody, które pozwolą go osiągnąć, są jej obojętne.

Po kilku dniach pobytu w Kazimierzu Bianka zaczęła się zastanawiać, jaka relacja łączy Klarę z synem. Pani domu nie wydawała się nawet w najmniejszym stopniu zainteresowana losem swojego dziecka. Nie odwiedzała Samuela ani nie pytała o niego. Kiedy Bianka ukradkiem spoglądała na Sama, widziała człowieka uwięzionego we własnej samotności. Marta powiedziała jej, że od wypadku przez ich dom przewinął się tłum psychologów, terapeutów i zwolenników niekonwencjonalnych metod leczenia. Żadnej z tych osób nie udało się na nowo obudzić w Samuelu chęci do życia. Wyglądało

na to, że i Bianka polegnie na tym polu. Tylko że ona nie była terapeutką, była skrzypaczką, a on... podobno miał tę samą wrażliwość co ona. Nie miała jednak okazji, by się o tym przekonać.

W tym dniu kolację mieli zjeść później niż zazwyczaj. Klara poinformowała o tym Biankę już dzień wcześniej. W kościele farnym Świętego Jana Chrzciciela i Świętego Bartłomieja przy rynku odprawiano wtedy dłuższe nabożeństwo. Klara była jedną z najwierniejszych parafianek. Zjawiała się w świątyni regularnie razem z Vincentem, który przed wyjazdem dokładnie czyścił i wietrzył luksusowego czarnego mercedesa. Oczywiście usłużny kamerdyner robił także za szofera. Bianka przypuszczała, że jest on powiernikiem mrocznych sekretów swojej pani. -Prawdopodobnie była to najważniejsza funkcja, jaką pełnił w tym domu.

Bianka zjawiała się u Samuela z kolacją dopiero przed dwudziestą. Zdziwiła się, że mężczyzna nie siedzi na łóżku. Stał obok stolika, tuż przy rozsuniętej zasłonie. Miał otwarte oczy. Kiedy ją usłyszał, nie odwrócił się w jej kierunku. Nie zamknął też powiek, jak to czynił w ciągu ostatnich dni. Najpierw nie wiedziała, jak się zachować. Przyzwyczaiała się do tego ich codziennego rytuału, przynajmniej wiedziała, że Samuel nie wywinie jej żadnego numeru. Po ich pierwszym, niefortunnym spotkaniu obawiała się jego reakcji. Gdy zamknął się przed nią, straciła nadzieję, ale zarazem odczuła ulgę. Teraz stał blisko niej, a to było coś nowego. Wolno podeszła do stolika i odłożyła tacę.

– Spóźniłaś się! – odezwał się wrogo.

– Mówiłam, że kolacja będzie dziś później, twoja mama tak zarządziła...

Nie zdążyła dokończyć, bo gwałtowna reakcja mężczyzny odebrała jej mowę. Samuel chwycił brzeg tacy i z wielką siłą pchnął ją przed siebie. Cała kolacja wylądowała na wykładzinie.

– Zabieraj to stąd! – krzyknął. Na jego twarzy było widać szyderczy grymas.

Wiedziała, że chciał ją upokorzyć. Nie miała tylko pojęcia dlaczego. Trzymała go na dystans, nie prowokowała do rozmowy, starała się nawet nie patrzeć w jego kierunku. To nie wystarczyło, bo najwyraźniej rozpieszczony, pogrążony w smutku Sam i tak postanowił ją pognać.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała drżącym głosem, zbierając resztki jedzenia.

Co chciał osiągnąć, tak ją poniżając? Przecież nawet jej nie znał. Nie dał jej cienia szansy na to, by mogła się do niego zbliżyć. Bianka ze wszystkich sił próbowała stłumić emocje, ale łzy same zaczęły płynąć jej z oczu i wolno ściekać po policzkach. Otarła je i cicho chlipnęła. Nie chciała, żeby Sam to usłyszał. Wzięła tacę, podniosła się i ruszyła do drzwi.

– Nie przychodź tu więcej. – Usłyszała za plecami jego głos.

Zerknęła na niego. Otworzył oczy, wyglądało to tak, jakby na nią patrzył. Nie mogła oderwać wzroku od tego pustego, choć hipnotycznego, spojrzenia. Czuła się tak, jak gdyby jej nogi skołowaciały. Ocknęła się dopiero po chwili. Wyszła bez słowa.

Mimo że do pełnych dwóch tygodni jej pobytu w tym miejscu brakowało jeszcze trzech dni, postanowiła, że ubłaga Martę, by ją zastąpiła – żeby to ona była teraz tą niedobrą, która podstawia pod nos jedzonko rozkapryszonemu paniczowi. Niestety Marty nigdzie nie było. Bianka musiała się położyć do łóżka bez rozmowy, której tak bardzo

potrzebowała. Zniosła tacę na dół i zrobiła porządek w kuchni. Sądziła, że w ten sposób uda jej się zapomnieć o upokorzeniu, które zafundował jej Samuel. Tak bardzo pogrzyła się we własnych myślach, że nawet nie zauważyła, gdy ktoś wszedł do kuchni. Kiedy się odwróciła, zobaczyła przed sobą Klarę.

– Rozumiem, że się pani poddała – stwierdziła, wyniośle unosząc głowę.

Bianka popatrzyła na nią bezradnie, opuszczając dłoń, w której trzymała moką ścierkę.

– Wiedziałam, że się nie uda – rzekła pani domu takim tonem, jakby chciała ją jeszcze dobić.

– W takim razie dlaczego mnie pani tutaj ściągnęła? – Bianka coraz mniej z tego rozumiała. Gdyby nie umowa, uciekłyby stąd choćby dzisiaj.

– Mówiłam już... jest pani najlepsza. – Klara uśmiechnęła się złośliwie.

– Nie rozumiem.

– Nie musi pani tego rozumieć. Widzę, że już podjęła pani decyzję. Pozostanę jednak konsekwentna i przypomnę, że według naszej umowy może pani opuścić ten dom dopiero za trzy dni. Inaczej...

– Wiem o tym. Nie musi mi pani przypominać. Zostanę do niedzieli, a później wyjadę. – Bianka opuściła głowę i popatrzyła na swoje pantofle. Bała się podnieść wzrok. Była pewna, że Klara będzie chciała ją jeszcze pognać, ale ta na szczęście milczała. Kiedy Bianka w końcu na nią spojrzała, surowa pani domu odwróciła się teatralnie i wyszła z kuchni.

Bianka rzuciła ścierkę na stół i niczym kot, cicho i szybko, czmychnęła na górę. Dzisiejszego wieczoru nie miała już zamiaru odpierać żadnych wymierzonych w nią ataków słownych. Kiedy znalazła się w swoim pokoju, po raz pierwszy zamknęła drzwi na klucz. Dzięki temu miała wrażenie, że jest odgradzona od reszty domu. Mimo to wyjątkowo mocno czuła palącą obecność Samuela. Wydawało jej się, że dzieląca ich ściana nagle się rozpuściła, a on stoi naprzeciw niej z pogardliwą miną i szyderym uśmiechem. Długo nie mogła znaleźć sobie miejsca. W końcu zatrzymała się przy oknie i otworzyła je na całą szerokość. Robiło się coraz ciemniej. Znowu poczuła, że zmierzch ją uspokaja. Wkradał się do parku zawsze o tej samej porze, a potem wszystko usypiał. Nie bała się, bo miała poczucie, że w tej ciemności ukryło się światło.

Otworzyła futerał ze skrzypcami. Nasączone olejem pudło instrumentu zaśniło. Pokój opanowała już szarówka, jednak Bianka widziała skrzypce bardzo dokładnie. Liczyły się tylko one, skrzypce babki Walentyny. W końcu je wyjęła. Przyłożyła instrument do twarzy, jakby chciała się z nim przywitać. Skrzypce miały piękny zapach, który trudno było z czymś porównać. Lekko korzenny z wyraźną nutą cedru. Nie znała go, dopiero teraz się go uczyła. Odurzał i kusił.

Wzięła do ręki smyczek, a potem zaczęła grać. Zamknęła oczy. Jej palce od razu ułożyły się na odpowiednich strunach, a z instrumentu wypłynęły harmonijne dźwięki. Niby je znała, ale teraz, kiedy wychodziły ze skrzypiec babki, słyszała w nich coś nowego. Utonęła w tej muzyce. Gdy skończyła, w pokoju zapanowała głęboka cisza. Nawet ptaki siedzące na drzewach w parku zamilkły. „Czyżby uspiły je dźwięki skrzypiec Walentyny?”, pomyślała.

Wtem na korytarzu usłyszała ruch, powolne kroki, jakby ktoś nie chciał, by go nakryto. Zasunęła firankę i schowała skrzypce do futerału. Wolno podeszła do drzwi. Ona też nie chciała, aby ktoś ją usłyszał. Przyłgnęła do ściany. Miała pewność, że na korytarzu coś się poruszyło. W końcu zdecydowała się wyrzeć na zewnątrz. Przekręciła klucz i uchyliła drzwi, po czym wsadziła głowę w szczelinę i rozejrzała się po korytarzu. Palilo się tam światło. Była pewna, że go nie zostawiła. Poza tym nie zauważyła nic szczególnego. Zamknęła drzwi, tym razem nie przekręciła klucza.

– Nie pójde już do Samuela. – To były pierwsze słowa, które Marta usłyszała od Bianki, kiedy nazajutrz spotkały się w kuchni.

Marta umyła ręce, założyła fartuch i dopiero wtedy przyjrzała się dziewczynie.

– Co się stało?

Bianka przygryzła wargę i zaczęła nerwowo skubać skórę na kciuku.

– No, śmiało, co takiego wymyślił? – dopytywała Marta.

– Upokorzył mnie. – Bianka poczerwieniała.

– Co zrobił? – W głosie Marty było słycać nie tylko troskę, ale i zdenerwowanie.

Bianka przybliżyła się do niej i zdała krótką relację z poprzedniego wieczoru.

– Tym razem przesadził. – Gospodyni popatrzyła na Biankę ze współczuciem. – Więc to już koniec?

– Tak – odpowiedziała dziewczyna z rezygnacją.

– Muszę przyznać, że byłaś dzielna. – Poglądziła jej ramię. – Jest mi przykro, bo polubiłam cię i myślałam, że spędzimy razem trochę więcej czasu. – Nie kryła rozczarowania. – Nawet nie zdążyliśmy pojechać do winnicy Klary. Małgosia tak bardzo chciała cię poznać.

Bianka westchnęła. Poczucie porażki mieszało się z ulgą.

– Chyba że... – Marta się ożywiła. – Możemy tam pojechać jutro po południu, zaraz po obiedzie. Sobotnie popołudnia mam wolne, bo pani Klara i Vincent jedzą kolację w restauracji, więc będzie okazja, żeby wybrać się na Fiołkowe Wzgórze.

– Fiołkowe Wzgórze? – Bianka uniosła brwi ze zdziwienia.

– To miejsce, gdzie znajdują się gospodarstwo i winnica pani Klary. Teraz właściwie została już tylko winnica, ale dawniej oprócz winogron uprawiano tam różne gatunki warzyw. Jakies piętnaście lat temu wymieniono szczepy winorośli na nowe odmiany i zmieniono technologię produkcji wina. To moja Małgosia i jej Paweł wszystkim zarządzają. Mają do pomocy kilkoro pracowników. W czasie zbiorów pracy jest najwięcej, właściwie mogą odsapnąć dopiero zimą.

Bianka nabrała dużej ochoty, żeby zobaczyć to miejsce. No i oczywiście bardzo chciała poznać Gosię, która jawiła się jako córka idealna.

– To świetny pomysł, pani Marto. Przed wyjazdem do Poznania bardzo chętnie odwiedzę Fiołkowe Wzgórze – zdecydowała natychmiast.

– Cieszę się. – Gospodyni uśmiechnęła się od ucha do ucha. – A dzisiaj to ja zaniosę Samuelowi wszystkie posiłki. Ty masz wolne.

– Bardzo pani dziękuję – szepnęła. – W takim razie wybiorę się do miasteczka. Mam tylko nadzieję, że pani Klara mi tego nie wypomni. – Bianka przez moment się zawahała i popatrzyła w stronę zacienionej jadalni.

– Oj, nie wypomni. A jeśli już... Zresztą nie martwmy się na zapas. Może trudno w to uwierzyć, ale ona też potrafi pokazać przychylnie oblicze. Rzadko, bo rzadko, jednak czasem jej się to zdarza.

– Pani Martusiu, w takim razie jeszcze raz dziękuję. – Bianka odetchnęła, kiedy zyskała pewność, że jej przygoda z Samuelem niedługo się zakończy.

Tego dnia z nieba lał się ogromny żar. W zwiewnej bawełnianej sukience w niezapominajki i z rozwianymi włosami Bianka zmierzała w kierunku miasteczka. Dom Klary znajdował się na tyle blisko centrum, że bez problemu można było się tam dostać na piechotę. Tym bardziej że Marta pokazała jej skrót.

Kazimierz urzekł Biankę już wtedy, gdy zjawiała się tu niecałe dwa tygodnie temu. Podobnie było dzisiaj. Kilkanaście razy obeszała wzdłuż i wszerz wszystkie uliczki w centrum tego urokliwego miasteczka. Sfotografowała cały rynek z charakterystycznymi kamienicami braci Przybyłów, które jako pierwsze przyciągały wzrok. Napiła się nawet wody z dziewiętnastowiecznej studni. Mówiono, że gwarantuje to powrót w te strony, a Bianka chciała tutaj wrócić. To miejsce przyciągało ją nie tylko oryginalną renesansową architekturą, ale też czymś, co unosiło się w powietrzu i sprawiało, że nie miała ochoty stąd wyjeżdżać. Mimo że zobaczyła w okolicy niemal wszystko, czuła, że pozostało jeszcze coś do odkrycia. Coś, co spowodowałoby, że te wakacje na długo zapadną jej w pamięć.

Postanowiła zwiedzić ruiny czternastowiecznego zamku i znajdującą się nieco wyżej gotycką basztę strażniczą, skąd roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na Kazimierz i przełom Wisły. Ruszyła w stronę kościoła farnego, ponad którym rozciągało się wzgórze z ruinami zamku. Przeciskała się między turystami, którzy z samego rana rozpoczęli swoją przygodę z Kazimierzem. Nastąpiło słoneczne wakacyjne południe, nic więc dziwnego, że na uliczkach było tłoczno jak w ulu. Nagle ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się, odruchowo łapiąc za szmacianą listonoszkę, pomna przestrogi Marty, by dokładnie pilnować portfela. Przed nią stał Rysio i uśmiechał się szeroko.

– Witaj, Bianco – rzucił, zabawnie drapiąc się po głowie.

– Dzień dobry – odpowiedziała radośnie.

– Tak bardzo się cieszę, że cię spotkałem. Widziałem cię, jak stałaś przy studni. Poszedłem za tobą, ale narzuciłaś szybkie tempo. Już myślałem, że mi uciekniesz.

– A mnie się wydawało, że wlokę się jak żółw. – Bianka zerknęła na gesty tłum.

– Byłem w domu, w którym się zatrzymałaś, u tej wiedźmy, tylko że ten jej szpicel mnie przepędził. Grałem przed nim twardego, ale postraszył mnie, że jeśli nie odejdę, to wezwie poli-cję. A z nimi to wolę nie mieć na pieńku. Już raz mnie capnęli, kiedy żem po pijaku zrobił awanturę w delikatesach. – Rysio najwidoczniej zawstydział się swoim wyznaniem, bo na moment odwrócił oczy od Bianki. – Oj, człowiek, jak ma w czubie, robi różne głupoty – próbował się wytłumaczyć.

– Dlaczego był pan w domu pani Klary?

– Chciałem ci oddać dług... te dwie dychy, któreś mi dała wtedy nad Wisłą. – Włożył rękę do kieszeni i zaczął w niej szperać. Wyjął plik wymiętoszonych banknotów.

– Nie trzeba. – Bianka przytrzymała mu rękę. – Nie pożyczylam ich panu, tylko dałam. Tak na dobry początek. – Spojrzała pod nogi, zastanawiając się, czy ten początek

rzeczywiście był dla niej dobry.

Wyglądało na to, że Rysiek zrozumiał to inaczej.

– Przyniosłaś mi szczęście. Zaraz po tym, jak cię spotkałem, udało mi się na chwilę złapać robotę. Niby nic takiego, sprzątanie w takim jednym pensjonacie. Ale zawsze coś. Byłem tam parę razy, tyle że wygryzł mnie taki jeden, co to ma większą siłę przebicia.

– Większą siłę przebicia? Co to znaczy, panie Ryśku?

– Ach. – Rysio machnął ręką. – Chodzi w dobrych portkach i czystej koszuli. Ja przy nim jestem jak żebrak. Kręcił się, kręcił i wykręcił. Taka jedna babeczka, szefowa od kuchni, powiedziała, że szansę trza dać wszystkim. – Zmartwił się i na chwilę zamilknął. – Chodzę, pytam, plątam się po tym Kazimierzu, ale opędzają się ode mnie jak od muchy. A jeść przecież trza. A i napić się człowiek musi od czasu do czasu. Rozdygotany chodzę, jak se czegoś nie golnę. – Westchnął. – Przepraszam za te zwierzenia, ale masz takie ładne niebieskie oczy, że jakoś tak ci zaufałem.

– Cieszę się. – Bianka uśmiechnęła się do niego. – Niech pan schowa te pieniądze.

– Może chociaż postawię ci piwo?

– Nie lubię piwa – odrzekła cicho, nie chcąc sprawić mężczyźnie przykrości.

– To może lody albo jakieś ciastko? Nie daj się prosić – nalegał.

– No dobrze – odpowiedziała w końcu, po dłuższej chwili zastanowienia. Chociaż po zwierzeniach mężczyzny głupio było go naciągać.

– To chodźmy. – Rysio chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

Szli blisko siebie, niemal stykając się barkami, jak para dobrych znajomych.

Po kilku minutach zatrzymali się przed niewielkim kawiarnianym ogródkiem otoczonym niskim drewnianym płotkiem, na którym wisały donice. Rosły w nich pomarańczowe i żółte nasturcje.

– Tu mają podobno pyszne lody. – Rysio się uśmiechnął.

Bianka się zatrzymała i popatrzyła na niego z zakłopotaniem. Lokal nie wyglądał na tani.

– Panie Ryśku, nie musi pan...

– Wejdzmy. – Mężczyzna nie dał jej dokończyć. Wszedł na teren ogródka i zatrzymał się przy jednym ze stolików. – Może być tutaj? – Położył rękę na oparciu wiklinowego krzesła.

– Tak – odpowiedziała Bianka.

Zajęli miejsca, a już po chwili mieli przed sobą pucharki wypełnione lodami owocowymi. Rysio zamówił dla siebie to samo co Bianka. Pochłonął deser błyskawicznie, zanim dziewczyna zdążyła zjeść połowę swojej porcji.

– Dawno nie jadłem lodów – odezwał się, jakby chciał usprawiedliwić swoją łapczywość. Jeszcze długo po tym, jak skończył, grzebał łyżeczką w wysokim naczyniu, zbierając ze ścianek resztki śmietanki.

– Pyszne. – Bianka uśmiechnęła się do niego.

– Cieszę się, że ci smakowały. Teraz jesteśmy kwita. – Zastukał łyżeczką w szklany brzeg pucharka.

Bianka nadal czuła się trochę skrępowana, ale starała się nie dać tego po sobie poznać.

– Dobrze ci u tej czarownicy? – Rysio spojrział na dziewczynę, która kończyła swój deser.

– Hm... – Zastanowiła się. – Wracam do Poznania, do siebie. Rezygnuję. – Posmutniała. W jakimś sensie czuła, że poniosła porażkę, ale wiedziała, że dalszy pobyt w Kazimierzu nie miałby sensu.

– A jednak... – Mina Rysia też nie była wesoła. – W sumie nie myślałem, że długo tam wytrzymasz. Różnie gadają na mieście. – Na chwilę odwrócił się w stronę sąsiedniego stolika.

Natychmiast podchwyciła jego słowa.

– Co takiego mówią?

– Ja tam nic nie wiem. – Uciekł wzrokiem. – Oni wszyscy są jacyś dziwni. Ona, ten jej sługus i ślepy synalek, który podobno nie wychodzi z pokoju już od kilku lat. Niby taka zacna rodzina. Ta czarownica przed ołtarzem co dzień pacierze odmawia, a gadają, że ma serce z kamienia.

– Wie pan coś więcej na ten temat? – Bianka była coraz bardziej zaintrygowana. Nie znosiła plotek, ale wiedziała, że z każdej pogłoski można wyłuskać ziarenko prawdy.

– Ja powtarzam tylko to, co ludzie gadają, ale nic konkretnego o niej nie wiem. Moja babka jej nie znosi, ot co. Ta paniusia Klara podobno mieszkała w Kazimierzu jako panna, potem wyjechała i długo jej nie było. Wrócili jakieś trzy lata temu z tym synalkiem i chudzielcem w stroju żandarma. Mówią, że to ona zabiła swojego męża. – Rysio obejrzał się za siebie i kontynuował ściszym głosem: – A wcześniej to podobno uśmierciła swoją siostrę. – Na chwilę zamilknął i znów popatrzył przez ramię. Najwidoczniej uznał, że powiedział już za dużo.

– To straszne, co pan mówi – wyrwało się Biance. – Plotki potrafią być bardzo krzywdzące. – Nie wiedząc czemu postanowiła wziąć w obronę Klarę. Nie przepadała za nią, ale to, co usłyszała od Ryśka, wydawało jej się niesprawiedliwe.

Przecież Klara w takiej sytuacji nawet nie mogła się bronić. Jak miała zdementować ten stek bzdur, które wymyślali okoliczni mieszkańcy? A może w tym, co mówił Rysio, rzeczywiście było trochę prawdy? W każdym razie mężczyźnie udało się zasiać w niej niepokój.

– Dajmy już spokój tej całej Klarze. Po co zawracać sobie nią głowę? – Rysio zrobił zniesmaczoną minę.

– Powiedział pan, że pana babcia jej nie lubi. Dlaczego? – zapytała Bianka. Sądziła, że tym pytaniem nakłoni Rysia do dalszych wynurzeń. Nie chciała po odejściu od stolika myśleć o Klarze jak o zabójczyni.

Niestety słowa mężczyzny wywarły właśnie taki skutek.

– Miały ze sobą na pieńku, ale dokładnie nie wiem czemu. Babka coś gadała, że tamta pod naszą chałupę często przyłaziła, jak jeszcze była podlotkiem. Moja babka jest nieskora do zwierzeń, więc nawet jeśli by kto chciał, to i tak nic z niej nie wyciągnie – rzekł z rozbijającym uśmiechem.

Bianka postanowiła, że nie będzie go już dłużej ciągnęła za język. Przecież teraz to i tak było nieistotne. Pojutrze miała wyjechać, więc przeszłość jej pracodawczyni, choćby najczarniejsza, nie powinna mieć dla niej żadnego znaczenia.



Niestety miała. Wracając z miasteczka, Bianka rozmyślała o tym, co usłyszała od Ryśka. Rozstali się przy studni, mocno ściskając sobie ręce. Umówili się w tym samym miejscu w niedzielne popołudnie, jeszcze przed wyjazdem Bianki. Rysio powiedział, że chciałby jej pokazać jedno miejsce – bez tego nie wypuści jej z Kazimierza. Nie musiał jej niczego obiecywać, i tak chętnie by się z nim spotkała. Polubiła jego autentyczność i niefrasobliwe zachowanie. Miał ponad pięćdziesiąt lat, ale momentami przypominał dziecko.

W holu Bianka natknęła się na Martę. Gospodyni wyszła z salonu z plastikowym zraszaczem. Psiknęła nim kilka razy w kierunku dziewczyny i uśmiechnęła się na powitanie. W zacienionym powietrzu zamigotały drobne kropelki wody, które już po chwili osiadły na posadzce. Bianka domyśliła się, że Marta właśnie skończyła pielęgnować ukochane orchidee Klary. Były bardzo wymagające. Trzeba było je zraszać chłodną wodą kilka razy dziennie, ponieważ wymagały intensywnego nawilżenia. Podobno Klara przywiozła je ze sobą z Francji. Przettrzymały trud podróży, ale potem chorowały, adaptując się do nowego miejsca. Teraz stały dumnie, a czarne płatki kwiatów rozkładały się jak skrzydła nietoperzy. Gdy siedziało się na wiekowej sofie w zgniłozielonym kolorze i spoglądało na ciemne ściany i okna na wpół zasnuwane markizami, można było się poczuć jak w wilgotnej pieczarze.

– Chodź do kuchni – zaproponowała Marta. – Zjesz obiad, wciąż jest ciepły.

– Dziękuję – powiedziała Bianka z uśmiechem.

Przy obiedzie milczała. Marta krzątała się jeszcze przy kuchence i zlewozmywaku, choć pomieszczenie lśniło czystością. Kiedy dziewczyna skończyła jeść, gospodyni wlała do przezroczystego dzbanka kompot z czereśni i ułożyła na talerzu równo pokrojone kawałki strudła jabłkowego. Postawiła to wszystko na tacy. Bianka domyśliła się, że pójdą do ogrodu.

Teren wokół domu był duży, zajmował ponad sto arów, a jego większość stanowił piękny, choć zaniedbany, park. Klara nie przykładła zbyt dużej wagi do estetyki na zewnątrz, ponieważ spędzała niewiele czasu na świeżym powietrzu. Pod wiekowymi drzewami spoczywały więc wyschnięte igliwie i stare, rozkładające się liście, trawnik zaś porastała przydługawa trawa. Na szczęście Marta rozprawiła się z największymi chaszczami. Teraz można było przynajmniej usiąść przy okrągłym mosiężnym stoliku stojącym na środku ogrodu.

Odkąd Bianka zamieszkała w domu Klary, często siadywały z Martą w ogrodzie i gawędziły. Bianka opowiedziała Marcie bardzo dużo o sobie, a i Marta chętnie dzieliła się z nią szczegółami ze swojego życia. Nigdy jednak nie rozmawiały o powodzie, dla którego Bianka się tutaj zjawiła. Dziewczyna wciąż nie wiedziała, czy Marta zna całą prawdę. Nie odważyła się zapytać o to wprost.

Kompot ugotowany przez Martę był smaczny, czuć było w nim aromat czereśni, których gospodyni narwała ze starego drzewa rosnącego w rogu działki. Czereśnię o dużych, mięsistych owocach posadził w tym miejscu dziadek Klary. Drzewo stało w pobliżu dwóch jabłonek – wiosennej papierówki i zimowej floriny. Obok rosły jeszcze śliwa renkloda oraz krzaki czarnej porzeczki i malin, z których zaradna Marta robiła przetwory. Podkarmiała nimi potem wymizerowanego Samuela, który jedząc je ukryte w

wyśmienitych wypiekach, sprawiał wrażenie, jakby nigdy w życiu nie raczył się niczym lepszym.

– Jak spędziłaś czas? – zagadnęła Marta, kiedy usiadły w ogrodzie. Postawiła przed dziewczyną wysoką szklanice wypełnioną kompotem w apetycznym różowym kolorze.

– Sympatycznie – odpowiedziała Bianka z uśmiechem, przypominając sobie chwile, które minęły jej w towarzystwie Ryśka.

– To dobrze. – Marta też się uśmiechnęła, przesuwając w jej stronę talerzyk z ciastem.

– A pani? – Bianka była ciekawa, jak potoczyły się sprawy z Samuelem, ale nie śmiała o to zagadnąć.

– Pytał o ciebie – odrzekła Marta.

Bianka milczała. Podejrzewała, że Marta również mogła doświadczyć niekontrolowanego wybuchu jego furii.

– Prosił, żebyś przyszła do niego z kolacją.

– Co takiego? – Zdziwiła się. – Samuel prosił, żeby pani mi to przekazała?

– Dokładnie tak. – Marta uśmiechnęła się lekko. – Powiedział też, że zrozumie, jeśli nie będziesz chciała tego zrobić.

– Hm, ciekawe, skąd ta nagła zmiana... – zastanawiała się na głos Bianka, popijając kompot.

– Nie wiem, poinformowałam go, że wyjeżdżasz, więc może o to chodzi. Domyślałam się, że chce cię przeprosić.

– Ale ja nie chcę jego przeprosin. – Bianka odłożyła szklanke i głośno przełknęła zbyt duży łyk kompotu.

– Zrobisz, jak uważasz – rzekła Marta, strzepując okruszki z położonej na stoliku szyby. – Był jakiś taki przygaszony, odniosłam wrażenie, że na ciebie czekał. Kiedy otworzyłam drzwi, stał tuż za nimi przy ścianie, ale gdy zorientował się, że to nie ty, usiadł na łóżku.

– Powiedział coś? – dociekała Bianka. Mimo że chciała sprawiać wrażenie obojętnej, nie potrafiła ukryć coraz większego zaciekawienia.

– Spytał tylko, dlaczego nie przyszedł. Odpowiedziałam mu, że pojutrze wyjeżdżasz i że teraz znowu będę mu przynosiła jedzenie.

Bianka obejrzała się w kierunku domu. W oknie na parterze zauważyła szybki ruch firanki. To tam mieściła się sypialnia Klary. Ten gest nie umknął również Marcie, której oczy podążyły za wzrokiem Bianki.

– Uhu, jędma w natarciu. Chwała Bogu, że tutaj nic nie wywęszy. Wprawdzie jesteśmy widoczne, ale niesłyszalne. – Marta uśmiechnęła się triumfalnie w stronę okien sypialni Klary.

– Pani Marto, proszę mi powiedzieć: czy pani Klara miała siostrę? – Bianka ściszyła głos, starając się nie patrzeć w stronę domu. Czuła, że są obserwowane. Teraz nawet bardziej niż przed momentem.

– Tak – odpowiedziała Marta, a po jej twarzy przemknął cień niepokoju. – Skąd o tym wiesz?

– Od pewnego przesympatycznego mężczyzny, którego miałam okazję spotkać

zaraz po przyjeździe do Kazimierza.

Bianka w kilku zdaniach opowiedziała Marcie o spotkaniu z Rysiem, nie pomijając oczywiście wydarzeń z dnia dzisiejszego.

– No tak. – Marta się zamyśliła. – Ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie – podsumowała. Widząc jednak, że zaciekawienie na twarzy dziewczyny nie słabnie, odezwała się znowu: – Klara miała młodszą siostrę Luizę. Niezbyt się lubiły. – Zacisnęła usta tak mocno, że aż zbieleły.

Mówienie o rodzinnej historii Czajkowskich stanowiło dla niej problem. Bianka zauważyła to, dlatego nie zamierzała dłużej stawiać Marty w niekomfortowej sytuacji. Wtedy jednak gospodyni znów się odezwała, zupełnie tak, jakby nagle coś sobie przypomniała.

– To dziwne, bo Klara nie znosiła Luizy, a jednak wydaje mi się, że Olafa kocha bardziej niż Samuela.

– Kim jest Olaf? – Bianka nie odrywała oczu od Marty.

– Olaf to syn Luizy. Jego matka zginęła, kiedy był maleńki. Klara zaopiekowała się nim i... – Marta obróciła się w stronę domu i spojrzała na okna sypialni Klary. Wymownie ściszyła głos. – A potem wzięła ślub z mężem Luizy Raulem. Zawsze się w nim kochała. Rok po ich ślubie urodził się Samuel. Bracia są jak ogień i woda. Sam jest kobiecy i delikatny, a Olaf męski i przedsiębiorczy. Ale na szczęście obaj mają serce po ojcu. Sam to dobry, wrażliwy chłopak, tylko choroba go zmieniła – powiedziała takim tonem, jakby chciała usprawiedliwić wszystkie jego występki. – Klara i Raul zamieszkali we Francji. Po śmierci męża Klara zdecydowała się wrócić do Polski, chociaż nie wydaje się tutaj szczególnie szczęśliwa. To dziwna rodzina. – Zamyśliła się.

Przez kilka minut nie rozmawiały, tylko jadły strudel. Po tym czasie Marta znów nabrała ochoty na rozmowę. Popatrzyła na Biankę tak, jakby ją olśniło.

– A ty wiesz, że ja znam tego Ryśka? Dobry chłopak był z niego. Szkoda, że tak się stoczył. Łazi po rynku i bulwarze, prosząc o pieniądze. Aż wstyd. – Pokręciła głowę z dezaprobatą. – Chodził do podstawówki z moją młodszą siostrą. Matka miała go jako panna z jakimś przyjezdnym. Chyba sama nie wiedziała z kim. Urodziła go, ale nigdy się nim nie zajmowała. Kiedy Rysiek miał kilka lat, poszła w tango i tyle ją widzieli. Mówili, że wyjechała za granicę.

Bianka słuchała z zainteresowaniem.

– Na szczęście miał babcię, która się nim zaopiekowała. Zawsze był czysty i zadbany. Dobrze się uczył. Skończył jakieś liceum i nawet zaczął studia w Kielcach, ale jak się później potoczyły jego losy, to już nie wiem. W pewnym momencie po prostu zaczął pić i się staczać. – Na moment przestała mówić i zapatrzyła się w niebo, na którym pojawiły się ciemne chmury. – Gdyby nie babcia Serafina, Rysiek już dawno przepadłby z kretesem. Kobiecina ma ponad dziewięćdziesiąt lat, ale wciąż dobrze się trzyma. – Poskładała puste talerzyki. – Szkoda mi takich jak on, pogubionych i samotnych. Ludzie opędzają się od nich jak od insektów, utwierdzając ich w poczuciu beznadziei.

– Pani Martusiu... – W głowie Bianki zaświtała pewna myśl, od której jej oczy aż zamigotały.

Marta popatrzyła na nią z ciekawością.

– Wspominała pani kiedyś, że pani córka i zięć w sezonie letnim zatrudniają w winnicy wielu pracowników. Nie dałoby się tam znaleźć jakiegoś zajęcia dla pana Ryśka? Mówił mi, że ostatnio miał przez chwilę jakąś pracę w pensjonacie, ale po kilku dniach przyjęli na to miejsce kogoś innego. – Bianka popatrzyła na Martę badawczo. Nie miała pewności, czy nie narazi jej się swoją prośbą.

– Może to i niegłupi pomysł – odpowiedziała Marta, szeroko otwierając oczy. – Tylko czy on wytrzyma w robocie bez tego swojego taniego wina, to nie wiem. – Zmarszczyła czoło. – Praca na Fiołkowym Wzgórzu to nie lada pokusa dla kogoś takiego jak Rysiek. A co będzie, jak im zaczną wino podpijać? Ja bym mu dała tę pracę, ale decyzja należy do Małgosi i Pawła. Sama rozumiesz.

– Oczywiście, że rozumiem. Tak sobie tylko pomyślałam...

– Porozmawiamy o tym jutro z Gosią. A teraz zbierajmy się do domu, bo będzie padać. – Marta klasnęła w dłonie, a potem wzięła tacę z pustymi naczyniami.

Obie kobiety jednocześnie poczuły na ciele chłodny podmuch wiatru, który z każdą kolejną chwilą przybierał na sile.

Kiedy Bianka zeszła do jadalni, Klara i Vincent już siedzieli przy stole. Marta właśnie podawała kolację.

– Przepraszam za spóźnienie – rzekła Bianka, wyczuwając na sobie karcący wzrok pani domu, która wstała i złożyła dłonie do modlitwy.

– Pomódlmy się. – Klara zlekceważyła słowa gościa. Zamknęła powieki i zaczęła głośno odmawiać znaną suplikę.

Bianka włączyła się po cichu, ledwie ruszając ustami. Zjedli bez słowa. Klara wymieniła z Vincentem kilka spojrzeń, jakby mieli sobie coś ważnego do przekazania i tylko czekali, żeby odejść od stołu. Bianka też siedziała jak na szpilkach. Kiedy została sama, od razu podeszła do Marty.

– To jak będzie? – Marta popatrzyła na Biankę pytająco. Na blacie tuż przed nią znajdowała się taca, na której leżały dwie połówki pulchnej bułki w otoczeniu sera, szynki i sezonowych specjałów. – Pójdiesz do niego?

Bianka najpierw się zawahała, ale w końcu wzięła tacę.

– Pójdę – odpowiedziała. Żeby nie wdawać się w krępującą dyskusję, wyszła z kuchni, zanim Marta zdążyła otworzyć usta.

Sytuacja z Samuelem wciąż była dla niej niezręczna. Wstydziła się do niego pójść, ale jednocześnie czuła, że powinna to zrobić. Aby mieć to już za sobą, szybko przemierzyła schody i po chwili stała przed drzwiami Sama. Głośno zapukała.

– Proszę – usłyszała zdecydowaną odpowiedź.

Weszła od razu. Samuel siedział na łóżku w tym samym miejscu co zazwyczaj. Na kolanach znów trzymał tę samą książkę. Biankę nieraz kusiło, żeby podejrzeć nazwisko autora, ale szybko ganiła się za ciekawość. Marta powiedziała jej kiedyś, że Sam zawsze trzyma przy sobie książkę i że jest ona otwarta na tej samej stronie, a robi to chyba z tęsknoty za tym, co było. Za latami, kiedy jego oczy mogły beztrudnie biegać po znajomych literach układających się w wyrazy, potem zaś w zdania, powodując drżenie w jego sercu. Marta wspominała, że Samuel kochał poezję. Ale teraz to i tak nie miało znaczenia.

– Cieszę się, że przyszałaś – powiedział cicho, jakby wstydził się swojego wyznania.

Bianka zamknęła drzwi i podeszła do stolika, na którym zawsze zostawiała tacę z jedzeniem. I tym razem odłożyła ją w tym samym miejscu, a potem się zawahała. Najpierw pomyślała, żeby natychmiast wyjść. Wtedy jednak Sam znów się odezwał.

– Odsuń zasłony i usiądź obok mnie – rzekł równie cicho jak za pierwszym razem.

– Proszę – dodał nieco głośniejszym głosem, ale wciąż niepewnie.

To trochę ośmieliło Biankę, która jednak nadal bała się jego reakcji. Zbliżyła się do niego małymi kroczkami, jakby sprawdzała, czy pod nogami nie osuwa jej się grunt.

– Usiądź obok mnie – poprosił, kiedy dzieliła ich odległość kilkunastu centymetrów.

Wbrew obawom usiadła naprzeciw niego. Znów miał zamknięte oczy. Zauważyła, że zmrużył powieki, gdy tylko przekroczyła próg jego pokoju. Zrobił to machinalnie, jakby właśnie tak należało postąpić. „Czy aż tak krępuje go jego kalectwo?“, zastanawiała się.

– Przepraszam. – Ledwie było go słyszeć. – Zachowałem się jak idiota. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem. Nie zdarzyło mi się to nigdy wcześniej. Wiem, że nie ma usprawiedliwienia dla chamstwa, ale jeśli mogłabyś mi wybaczyć, byłbym ci wdzięczny. – Starał się mówić oficjalnie, jednak mocno przeżywał każde słowo.

– Nie gniewam się na ciebie – odważyła się powiedzieć Bianka. Bała się, że jeśli powie za dużo, znów wywoła u niego niekontrolowany wybuch emocji.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się. Zrobił to pierwszy raz, odkąd Bianka zamieszkała w tym domu. W każdym razie nigdy wcześniej nie widziała uśmiechu Sama.

– Naprawdę, nie ma sprawy – potwierdziła śmieiej.

– Wow, ulżyło mi. – Głośno odetchnął. Chyba naprawdę spadł mu kamień z serca, bo nagle wyprostował plecy i lekko uniosł ramiona, co sprawiło, że wyglądał swobodniej.

– Mógłbym cię o coś poprosić? – spytał nieśmiało, bez arogancji, która wcześniej pobrzmiwała w jego głosie.

– Pytaj. – Zachęciła go uśmiechem, którego i tak nie zobaczył.

– Chciałbym, żebyś została.

Zaskoczyło ją to wyznanie. Poczowała się tak, jakby właśnie doszła do rozstajnych dróg. Nie wiedziała, którą ścieżkę wybrać. Długo nie odpowiadała, ale kiedy zauważyła napięcie na jego twarzy, w końcu się odezwała.

– Dlaczego ci na tym zależy? – spytała. Naprawdę ciekawiło ją, co odpowie.

Znów lekko się uśmiechnął. Jego powieki się wygładziły.

– Skoro wytrzymałaś tyle czasu ze mną i moją matką, to znaczy, że jesteś wyjątkowo dzielna. Przeszałaś próbę. – Uśmiechnął się ponownie, a Bianka potraktowała jego ostatnie słowa jako żart. – To jak będzie, zostaniesz? – ponaglił ją.

– Zostanę – odrzekła bez zastanowienia. Dopiero po chwili w pełni dotarło do niej to, co powiedziała.

– Obiecuję, że już więcej nie będę uprzykrzał ci życia. – Położył ręce na kolanach. Bianka pomyślała, że chciał jej dotknąć, tylko się wycofał.

– Co właściwie robisz w tym domu? – spytał.

„No i zaczęło się“, skwitowała w myślach i w pośpiechu zaczęła główkować nad

odpowiedzią.

– Twoja mama zatrudniła mnie, żebym pomogła jej uporządkować rachunki. Pomagam też w domowych sprawach... – Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby dodać, żeby jej wypowiedź zabrzmiała wiarygodnie.

– Jesteś ekonomistką? – zapytał wprost. Na jego twarzy malowała się ciekawość.

– Tak – skłamała, chyba po raz pierwszy w życiu, i spuściła głowę.

– Jak długo zamierzasz tu zostać?

– Do końca sierpnia, później wracam do Poznania.

– Więc jeszcze trochę tutaj pobędziesz. – Sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Na to wygląda. – Pomału docierało do niej, że jeszcze nie wszystko stracone. Nie mogła w to uwierzyć. Wyglądało na to, że ryba złapała przynętę. Tylko dlaczego tak źle się z tym czuła? Nie sądziła, że granie będzie jej sprawiało taką trudność. Nie przewidziała tego, bo nigdy wcześniej nie udawała.

– Nad czym się zastanawiasz? – Samuel wyczuł jej wahanie.

– Zaskoczyłeś mnie.

– Ty też mnie zaskoczyłaś – rzekł i przybliżył się do niej. Otworzył oczy, a wzrok skierował na róg łóżka. Po chwili jednak ponownie je zamknął.

Jego zagadkowy ton sprawił, że znów bała się odezwać.

– Nie wiedziałem, że potrafisz grać na skrzypcach – powiedział głosem pełnym emocji.

– Skąd wiesz, że na nich gram? – zapytała, choć domyśliła się, że musiał ją usłyszeć.

– Słyszałem cię – potwierdził jej przypuszczenia.

– Uczyłam się w szkole muzycznej, bardzo lubię grać. Skrzypce mnie odprężają, dlatego zabrałam je ze sobą. – Kłamała jak z nut, sama była zadziwiona tą nową umiejętnością. Wprawdzie nuty znała doskonale, ale tylko te naniesione na pięciolinie, a nie te obecne w jej głowie, zapisane w partyturze kłamstwa.

– Robisz to naprawdę świetnie – zauważył i już otwierał usta, jakby miał zamiar ją o coś zapytać, ale ona była szybsza.

– A ty lubisz skrzypce? – spytała, mając nadzieję, że w ten sposób odwróci jego uwagę.

Samuel coraz bardziej się ośmielał.

– Tak – odpowiedział swobodnie, ale potem nagle zmienił temat. – Więc zdecydowałaś się przynieść mi kolację – rzekł tak, jakby to coś znaczyło.

Po jego słowach wstała i cofnęła się do drzwi. Znów bała się jego reakcji, przecież w każdej chwili mógł wybuchnąć. Wołała nie kusić losu.

– Pójdę już – poinformowała go.

– Dziękuję za kolację... i za wszystko – powiedział łagodnie.

Miała ochotę do niego wrócić, ale się powstrzymała. Było w nim coś, co mocno ją do niego przyciągało.

– Nie ma sprawy – rzuciła tylko.

– Bianco... – odezwał się tak jakoś miękko, jak nie on.

– Tak? – Poczowała, że zaschło jej w gardle.

– Zagrasz kiedyś dla mnie? – zapytał, odwracając się w jej stronę. Jego powieki wciąż były zamknięte.

– Tak – odpowiedziała. – Do jutra.

Długo nie mogła uwierzyć w bieg wydarzeń. Sprawy w końcu ułożyły się tak, jak chciała. Dlaczego więc teraz miała w sobie tyle obaw? Z każdą chwilą coraz więcej. Czy były one konsekwencją tego zaplanowanego kłamstwa?

– Kolejny piękny dzień – stwierdziła Marta, moszcząc się w fotelu samochodowym.

Właśnie wyjechały z Kazimierza.

Bianka popatrzyła na nią pytająco. Nie była pewna, czy dobrze jedzie.

– Za piętnaście minut powinniśmy być na miejscu, to niedaleko – powiedziała Marta. – Nie wiem dlaczego, ale dzisiaj ta droga ciągnie mi się w nieskończoność. – Zrobiła zboląłą minę i natychmiast znalazła powód. – To pewnie dlatego, że od rana boli mnie głowa. W porannej prognozie pogody zapowiadali halny, a ja zawsze tak na niego reaguję. – Złapała się za głowę. – Kiedy człowiek jest młody, nic nie odczuwa, ale potem, gdy przekroczy pewien wiek, bolączki sypią się jak z rękawa. Sama to kiedyś odczujesz, moja droga. Raz słońce, to znów burza... Kto by to wytrzymał? I jeszcze te koleiny na drodze! Czy tobie to nie przeszkadza? – Popatrzyła na Biankę, oczekując odpowiedzi.

Bianka zaprzeczyła ruchem głowy i wysiliła się na uśmiech. Lubiła gadulstwo Marty, ale tym razem potok nieprzemyślanych słów gospodyni nieco jej przeszkadzał. Od wczorajszego wieczoru nieustannie myślała o Samuelu, o szansie, którą dostała, i wciąż czuła się z tym źle. „Co jest grane?” – poprzedniej nocy zadała sobie to pytanie przynajmniej kilkanaście razy. Kiedy rano zaniósł mu śniadanie, od razu zauważyła, że na nią czeka. Zachowała się jak dzikuska – uciekła, wymawiając się obowiązkami. Czego się bała? Przed czym uciekała? Przecież wszystko jej sprzyjało. Samuel zburzył część muru, którym wcześniej się od niej odgradzał. Teraz mogło być już tylko lepiej.

– Coś ty dzisiaj taka małowólna? – zapytała Marta, która z kolei była nadzwyczaj rozgadana. Cieszyła się, że za kilka minut zobaczy się z córką.

Ponieważ mieszkały w innych miejscowościach, zazwyczaj widywały się raz w tygodniu. Małgorzata i jej mąż Paweł kilka lat wcześniej wybudowali drewniany domek niedaleko Fiołkowego Wzgórza, a Marta została w starym murowanym domu, który postawił jeszcze jej świętej pamięci mąż, kawałek za Kazimierzem.

– Mówiłaś, że z Samuelem poszło, jak należy – zagaiła Marta, czując, że milczenie Bianki ma związek z młodszym synem Klary.

– Bo poszło – odpowiedziała dziewczyna wymijająco i zerknęła w boczne lusterko. – Mam skrócić w tamtą stronę? – spytała.

– Tak, tak, koniecznie trzeba skrócić. Tędy jest bliżej. Można jechać dalej, na Nałęczów, ale wtedy wyjdzie na okrętkę i nadłożymy kilometrów.

Po chwili znalazły się na węższej, lokalnej drodze. Zrobiło się ciszej i przyjemniej, na zielonym terenie znajdowało się niewiele zabudowań. Od strony łąk dolatywał słodki zapach kwiatów.

– Do samiutkiego końca, zaraz zacznie się górka – instruowała Marta z zadowoloną miną.

I rzeczywiście, już po pięciu minutach jazdy droga zaczęła się lekko wznosić. A po kolejnych pięciu wjechały na jedną z trzech serpentyn wijących się wokół niewielkiego wzgórza. Kiedy zawijasy się skończyły, oczom Bianki ukazał się piękny widok. Obsypane fioletem łąki po obu stronach jezdni migotały w popołudniowym słońcu jak skrzydełka motyli.

– Już prawie jesteśmy na miejscu. – Marta uśmiechnęła się od ucha do ucha i wyciągnęła przed siebie nogi. – Teraz tylko musisz skrócić w prawo, w tę kamienistą drogę. – Odpięła pasy.

W połowie wąskiej drożyny stał za ogrodzeniem nieduży budynek z jasnego kamienia. Znad parkanu otaczającego teren po obu stronach drogi wychylały się jaskrawozielone liście wino-rośli.

– Tutaj jest plantacja. – Marta wskazała ręką na prawo.

– Pięknie tu. – Bianka zapatrzyła się na pobocze oblepione stokrotkami, bławatkami i dzikim makiem. – A skąd nazwa „Fiołkowe Wzgórze”? Nie widzę fiołków – stwierdziła, wpatrując się w trawnik.

– W kwietniu, kiedy kwitną, jest ich tu co niemiara. – Marta też spojrzała na wąski pas trawnika ciągnący się wzdłuż drogi.

Bianka zatrzymała samochód przy kutej bramie, ozdobionej żeliwnymi liśćmi i drobnymi kuleczkami przypominającymi owoce winogron. Ledwie wysiadły, a już pojawiła się obok nich wesoła dziewczyna z ciemną fryzurką na pazia i brązowymi oczami.

– Nareszcie przyjechałyście! – zawołała i podeszła do Bianki. – Gośka jestem – rzekła zawadiacko.

– Bianka – odpowiedziała Bianka, po czym wymieniły całusy.

Marta zmierzyła córkę wzrokiem z góry na dół.

– Znowu schudłaś – odezwała się do niej ni to z troską, ni to z wyrzutem.

Małgosia najwidoczniej była przyzwyczajona do przytyków mamy, bo zignorowała tę uwagę.

– Chodźcie.

Pociągnęła Martę za rękę w kierunku budynku.

– Przygotowałam dla was coś wyjątkowego – zaszcebiotała, kiedy usiadły w altance otoczonej niziutkim kamiennym murkiem, tuż przy niewielkim pomieszczeniu gospodarczym, gdzie wytwarzano i przechowywano wino.

– Tak? Ciekawe, co też takiego wymyśliłaś tym razem – odezwała się Marta zrzędliwie, czym bardzo zaskoczyła Biankę.

Przy córce Marta zachowywała się trochę jak matka kwoka, zwracała jej uwagę i wypominała byle drobiazgi. Małgosia kwitowała to wszystko głośnym śmiechem.

– Kochana mamusiu, gwarantuję ci, że będzie smacznie i kolorowo – odrzekła Gosia tajemniczo, a potem zniknęła wewnątrz budynku.

– I jak, Bianco, podoba ci się tutaj? – zagadnęła Marta, kiedy zostały same.

– Oj tak, jest cudownie. Z dala od świata, cicho i sielsko. Dawno nie widziałam takiego uroczonego miejsca.

Kilkanaście metrów dalej, za drewnianym parkanem, zaczynała się plantacja



różnych gatunków winogron. Przy kamiennym murku rosły wielokolorowe tawułki i pomarańczowe lilie, a tuż obok, pomiędzy gęstymi źdźbłami traw, zadomowiły się cykorja podróżnik i obsypane drobnym białym kwieciem ziele krwawnika.

Po paru minutach Małgosia wróciła, trzymając tacę, znad której unosił się aromatyczny zapach. Położyła ją na drewnianej ławie.

– Mam nadzieję, że będzie wam smakowało. – Pokroiła jeszcze gorącą tartę na cztery równe kawałki. – Jedna porcja jest dla Pawła, zaraz powinien do nas dołączyć.

– Co to? – spytała Marta.

– To tarta z naszym szpinakiem i serem pleśniowym. – Gosia uśmiechnęła się ciepło. – Smacznego – rzuciła.

– Wszędzie te sery pleśniowe – narzekała Marta. – Wystarczy, że zapychają większość półek w lodówce pani Klary. – Krzywiąc się, wbiła widelec w pofalowany brzeg ciasta.

Bianka zjadła swoją porcję z apetytem. Po jakimś czasie dołączył do nich mąż Małgosi. Paweł był roslym, dość tęgim mężczyzną z krótkimi jasnymi włosami, przyszyżonymi po żołniersku. Gosia wyglądała przy nim jak chucherko. Zięć Marty sprawiał wrażenie człowieka nieco wycofanego. Gdy tylko opróżnił swój talerz, pożegnał się z kobietami, tłumacząc się ogromem pracy.

– Ach, ten twój Paweł! Ciągłe dokądś pędzi. Czy wy w ogóle macie dla siebie czas?

– Marta nie odpuszczała Gosi.

– Mamy małe zamieszanie, wczoraj zwolnił nam się jeden pracownik. A jak wiesz, pracy jest teraz aż nadto. – Dotąd uśmiechnięta Małgosia nagle spoważniała.

Marta z Bianką wymieniły spojrzenia. Mimo że Gosia była otwartą, sympatyczną osobą, Bianka bała się zapytać o pracę dla Ryśka. Na szczęście Marta wzięła sprawy w swoje ręce.

– Kochana, bo wiesz... mamy dla was idealnego kandydata na pracownika.

– Tak? To wspaniale. – Gosia się ożywiła. – Od kiedy mógł-by zacząć? – Natychmiast przeszła do konkretów.

– Myślę, że od zaraz. – Marta spojrzała na Biankę pytająco.

– W takim razie przyslijcie go do mnie jak najszybciej. – Małgosia wyglądała tak, jakby spadł jej kamień z serca.

– Gosiu... – zaczęła Bianka nieśmiało. Wyglądało na to, że Marta nie zamierza powiedzieć nic więcej o Rysiu. – Jest jeden mały problem. – Popatrzyła w orzechowe oczy Małgosi. – Pan Rysiek lubi zaglądać do kieliszka. Może go kojarzysz, podobno jest dość znaną postacią w Kazimierzu. – Starła się przedstawić sytuację jak najdelikatniej.

Gosia wydawała się zdezorientowana.

– Oj tam, zagłada, nie zagłada, trzeba dać człowiekowi szansę. – Marta stanęła w obronie Ryśka, czym zadziwiła Biankę. Wcześniej podchodziła do sprawy z dystansem, a teraz zachowywała się tak, jakby wszystko było już przesądzone.

– To ten Rysio, który chodzi po bulwarze?

– Tak – potwierdziła Bianka, a potem opowiedziała Małgosi historię swojej krótkiej znajomości z Ryśkiem.

Kiedy Gosia usłyszała już wszystko, rzekła:

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Trzeba dać panu Ryśkowi szansę. Może ją wykorzysta. Trunków u nas wprawdzie w bród, ale wszystkie butelki i beczki z winem są pod kluczem, a świeże wino dopiero dojrzewa na krzewach.

– Gosiu, nie chciałabym cię stawiać w kłopotliwym położeniu. Pan Rysiek od pierwszej chwili wzbudził moją sympatię, ale nie znam go dobrze, więc nie wiem, jakim będzie pracownikiem.

– Przekonamy się. – Swoim uśmiechem Małgosia rozwiała wątpliwości Bianki.

– To znaczy, że mogę mu przekazać dobrą nowinę? – Bianka się rozpromieniła. – Jutro się zobaczymy.

– Ooo, widzę, że znalazłaś w naszym Kazimierzu adoratora. – Tym żartem Gosia rozładowała resztki napięcia. – A teraz, dziewczyny, zjedzcie sorbet ze świeżutkich owoców. Wspominałam, że będzie kolorowo. – Zdjęła z tacy przezroczyście salaterki wypełnione truskawkowo-czereśniowym sorbetem polanym musem malinowym.

Po posiłku i miłej pogawędce Gosia prowadziła Biankę po plantacji. Krzewy winorośli pięły się na kilkunastu półkach położonych punktowo na południowym stoku. Urodzajna ziemia i nasłoneczniony teren sprzyjały hodowli. Winogrona uprawiano w tym miejscu już od ponad stu lat. Dawne wino było wyjątkowe, ale mocne i kwaśne. To współczesne, które wychodziło z winiarni Fiołkowe Wzgórze, miało delikatniejszy smak. Ze względu na wysoką cenę było przeznaczone raczej dla koneserów. Butelki oznakowane kremową etykietą z fiołkami bardzo dobrze się sprzedawały.

– Piękne miejsce – powiedziała Bianka, kiedy znów usiadły.

– Tak. Dobrze się tutaj pracuje. Gdyby jeszcze pani Klara tak często nie wścibiała nosa w sprawy winiarni, byłoby idealnie. Ale w końcu jest właścicielką, choć zupełnie nie zna się na produkcji wina. Czepia się dla zasady i przez to czasem szkodzi interesom. Dobrze, że Paweł jest dyplomatą i potrafi się z nią dogadać, bo ze mnie to straszny narwaniec. Kiedy z nią rozmawiam, cały czas muszę się gryźć w język. – Małgosia żywo gestykulowała.

– Często tu zagląda? – Bianka słuchała opowieści Gosi z rozbawieniem, ale i ciekawością.

– Klara? Przynajmniej raz na dwa tygodnie. Wpada zniecka z tym swoim kapusiem Vincentem. Wygląda to jak kontrola sanepidu. Na szczęście ta praca ma więcej zalet niż wad, inaczej już dawno bym zrezygnowała. Zarobki są całkiem niezłe. A poza tym to miejsce ma w sobie coś przyciągającego. Kiedy zapuści się tutaj korzenie, nie sposób przenieść się gdzie indziej. – Małgosia sprawiała wrażenie rozluźnionej, tylko wzmianka o Klarze nieco ją zdenerwowała. – Bianco, jak ty wytrzymujesz w tym upiornym domu? – spytała.

– Daję radę. – Bianka liczyła na to, że Małgosia nie będzie dociekać szczegółów.

Córka Marty miała jednak ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o nowej znajomej, która była tylko kilka lat młodsza od niej.

– Co ty tam właściwie robisz? – zapytała wprost.

– Ja... – Bianka uciekła wzrokiem.

Na szczęście z pomocą przyszła jej Marta, która dotąd sprawiała wrażenie, jakby drzemała.

– Gosiu, mówiłam ci już, że Bianka zajmuje się domem i ogrodem. Poza tym pani Klara poprosiła ją, żeby pomogła jej dojść do ładu z papierami.

– Z papierami? Po co? Przecież mamy księgowego, on wszystkiego dogląda. – Małgosia nie dała się zbyć.

– Oj, ale ty jesteś dociekliwa. Chodzi o jakieś rodzinne archiwa pani Klary. – Marta zerknęła na Biankę, szukając u niej wsparcia.

– I ściągnęła cię tutaj aż z Poznania?

Bianka tylko przytaknęła. „Kłamstwo ma krótkie nogi”, pomyślała. Rodzice nauczyli ją prawdomówności, a teraz łamała tę zasadę.

– No, ale właściwie czego można się spodziewać po Klarze? – zapytała retorycznie Gosia i spojrzała w niebo. Na szczęście nie drażyła tematu, lecz Bianka już do końca spotkania pozostała spięta.

Z Fiołkowego Wzgórza wyjechały dopiero po dwudziestej pierwszej. Małgosia nie chciała ich wypuścić. Musiały obiecać, że za tydzień zjawią się znowu. Gdy dotarły do głównej szosy, nadal było jasno, choć horyzont czerwieniał już od zachodzącego słońca. W drodze powrotnej Marta była wyjątkowo małomówna.

– Nie wydaje ci się, że Gosia jest za chuda? – rzekła nagle, wyrywając Biankę z zamyślenia.

– Gosia? Nie, nie wydaje mi się. Pani córka jest śliczna i bardzo zgrabna.

– Mówisz to, żeby nie sprawić mi przykrości. Ale ja i tak wiem swoje. Widziałaś, jak wisiała na niej bluzka? Wszystko przez te jej fanaberie z jedzeniem. Ponad dziesięć lat temu wymyśliła sobie, że zostanie wegetarianką. – Marta zrobiła niezadowoloną minę. – Nijak nie mogłam jej przekonać do normalnego jedzenia. Kiedy jeszcze mieszkała ze mną, to próbowałam, ale teraz... – Machnęła ręką.

– Małgosia jest dorosła i wie, co robi. – Bianka postanowiła stanąć w obronie Gosi. Zaczynała rozumieć, skąd brały się przytyki Marty.

– Mówisz to samo co ona, a to nie jest żadne wytłumaczenie. Pewnie dlatego nie może mieć dzieci.

Bianka poczuła się skrępowana tym nagłym wyznaniem. Polubiła Gosię i nie chciała przypadkiem dowiedzieć się czegoś, co nie było przeznaczone dla jej uszu.

– Pani Marto, gdzie mam teraz skręcić, żeby dojechać do pani domu? – Zmiana tematu wydawała się w tej chwili najwłaściwsza.

– Możesz mnie wysadzić przy głównej szosie, nie musisz wjeżdżać do wioski. Przejdę tylko przez łąki i będę na miejscu.

Po pięciu minutach Marta wskazała na przystanek autobusowy, do którego właśnie się zbliżały.

– Zatrzymaj się tam, tak będzie najprościej.

– W porządku – odpowiedziała Bianka.

Pożegnały się szybko. Marta popędziła w kierunku wydeptanej ścieżki prowadzącej do wioski, w której mieszkała, a Bianka odjechała w stronę domu Klary.

Następnego dnia Rysio czekał przy studni, tak jak ustalili. Bianka zauważyła go w grupce kilkunastu kolorowo ubranych osób. Pomachała do niego.

– Już myślałem, że nie przyjdiesz. – Jego pokryta obfitym zarostem twarz się

rozpromieniła.

– Przecież obiecałam to panu. – Poprawiła splątane przez wiatr włosy.

– Wiem, ale pomyślałem sobie, żeś mogła już odjechać. – Widać było, że Rysio ucieszył się ze spotkania.

– Jednak zostaję – poinformowała go Bianka.

– Zostajesz? – Wlepił w nią oczy.

– Tak, sprawy przybrały trochę inny obrót – wytłumaczyła.

– Cieszę się. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – To znaczy, że jeszcze kiedyś cię zobaczę. Tak mało jest w Kazimierzu ludzi, którzy wyciągnęli do mnie rękę. – Spuścił głowę i popatrzył na czubki swoich zakurzonych butów.

– Panie Ryśku, wkrótce przekona się pan, że takich osób jest dużo więcej – rzekła zagadkowo.

Rysio spojrział na nią ze zdziwioną miną, jednak o nic nie zapytał.

– Co by pan powiedział, gdyby znalazła się dla pana praca, choćby od jutra? – Bianka była ciekawa jego reakcji.

– Praca w tej okolicy to marzenie ściętej głowy – odpowiedział z nutką rezygnacji w głosie.

– Niekoniecznie. – Uśmiechnęła się do niego triumfalnie. – Jutro czekają na pana na plantacji Fiołkowe Wzgórze. Tak się składa, że akurat potrzebują pracownika, więc pomyślałam o panu...

– Pomyślałaś o mnie? – odezwał się cicho. Był wyraźnie wzruszony.

– Tak – odpowiedziała.

Rysiek rozdziawił usta i wpatrywał się w nią jak dziecko, które nie wie, co ma zrobić, i czeka na odpowiedź rodzica.

– To jak, bierze pan tę pracę? – ponagliła go.

– No pewno, że biorę, ino nie wiem, czy się do tego nadam. – Opuścił ramiona. – Wszyscy w miasteczku myślą, że jestem pijus i wałkoń, a ja po prostu roboty nie miałem.

– To teraz będzie pan miał.

– Myślisz, że oni mnie tam tak normalnie przyjmą? Przecież pewnie wiedzą, że...

– Popatrzył na Biankę ze wstydem.

– Panie Ryśku, oni potrzebują pracownika, a pan pracy. To dobry układ dla obu stron. Od pana będzie zależeć, czy wykorzystasz pan tę szansę.

– Wykorzystam. – Położył rękę na piersi, jakby właśnie składał przysięgę.

– Wierzę, że tak będzie. – Bianka uśmiechnęła się do niego.

– Chcę, żebyś wiedziała, że... jeśli chodzi o picie, to mam swoje zasady: w robocie nigdy się nie zalewam. Będę dobrym pracownikiem.

– No dobrze, skoro uzgodniliśmy to, co najważniejsze, to teraz zapraszam pana na obiad do restauracji.

Widać było, że Rysio już chciał się wykręcić, ale nie dopuściła go do słowa. Zamówili porządnie wypieczone befsztyki. Mężczyzna zjadł swoją porcję z wielkim apetytem, głośno przełykając kolejne kęsy.

– Dawno nie jadłem tak smacznego obiadu. Moja babka to tylko zalewajki gotuje. Raz jarzynową, raz grochową, czasem żurek. Nie żebym narzekał, troszczy się o mnie

starowina, jakbym nadal do podstawówki chodził. Nie zauważyła nawet, że włos mi się już przerzedził. – Przesunął ręką po skroni, jak gdyby chciał poprawić fryzurę. Kilka cienkich kosmyków przesunęło się w bok, zakrywając duży placek u nasady głowy.

– Zawsze mieszkał pan z babcią? – zapytała Bianka, wkładając do ust ostatni kęs.

– Gdyby nie babka, to marnie bym skończył. Tylko ona mnie chciała. Matka ode mnie uciekła, bom był zdechlak i niedojda, a babka pielęgnowała mnie jak kulawego szczeniaka.

Wyznanie Rysia poruszyło Biankę.

– A to się babka ucieszy, jak się dowie, że robotę dorwał. I to w takim miejscu. Ta pani Małgośka i ten jej mąż wielkolud wyglądają na fajnych ludzi. Szczególnie ona, dobrze jej z oczu patrzy.

– Mieszka pan daleko stąd?

– Nie, całkiem blisko, kawałek za Mięćmierzem, w takiej starej chałupie, w której się urodziła moja babka. Właściwie to chciałem cię tam zabrać i coś ci pokazać. – Rysio popatrzył na Biankę pytająco. Nie wiedział, czy jego propozycja będzie dla dziewczyny atrakcyjna.

Bianka uśmiechnęła się do niego, ale nic nie odpowiedziała.

– Byłaś już w Mięćmierzu? – spytał.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– To niedaleko. Będzie ze trzy kilometry stąd. Powinnaś zobaczyć to miejsce. Przyjezdni gadają, że ładne. Dla mnie normalne, tam się wychowałem. Poza Kazimierzem świata nie widziałem. Może tylko Kielce... – Chwilę się zastanawiał.

– Czy to właśnie Mięćmierz chciał mi pan pokazać?

Kiedy szła na spotkanie z Ryśkiem, ciekawiło ją, jaką ma dla niej niespodziankę. Mimo że przebywała w Kazimierzu już od dwóch tygodni, nie udało jej się jeszcze zobaczyć starej osady flisackiej w Mięćmierzu. Wciąż odkładała spacer do tego miejsca, choć Marta zachęcała ją do wycieczki.

– Koło Mięćmierza będziemy przechodzić, ale chciałem pokazać ci coś innego. No i do babki na herbatę zaprosić. Ucieszyłaby się starowina, ostatnio prawie nikt jej nie odwiedza. W zeszłym roku zmarła jej ostatnia kuma, z którą jeszcze pierze skubały, i teraz ciągle mówi, że kostucha niedługo do niej zawita.

– Dobrze, panie Ryśku. W takim razie chodźmy. Zaciekawiał mnie pan.

– Dobrą masz kondycję? Niby nie jest daleko, ale miastowi czasem marudzą, że droga nierówna i takie tam... Jak kto chce, to znajdzie dziurę nawet tam, gdzie jej nie ma.

– Obiecuję, że nie będę narzekać – zapewniła Bianka.

W miejskim lesie nieco zwolnili. Zrobiło się chłodno i przyjemnie. Właściwie cały zacieniony odcinek pokonali bez słowa. Rysio tylko co jakiś czas charakterystycznie pogwizdywał, a ten odgłos mieszał się ze świergotem ptaków.

Kiedy wspinali się na Albrechtówkę, mężczyzna zaczął z wolna posapywać. Jego czoło lekko się zrosiło. Przecierał je bawełnianą chusteczką do nosa, którą wyjął z tylnej kieszeni spodni. Gdy znaleźli się na górze, usiedli na trawie. Rysio chciał odpocząć, a Bianka, zauroczona okolicą, nie mogła się napatrzeć na przełom Wisły. Po chwili wytchnienia ruszyli dalej. Tym razem droga prowadziła w dół. Zbocze porośnięte żółtym

omanem przyciągało wzrok. Bianka, przeskakując z nogi na nogę, zachwycała się przyrodą, a Rysio cały czas gwizdał. W takich wesołych nastrojach dotarli do Mięcmierza.

Rysiek spoczął pod drzewem, a Bianka z zainteresowaniem oglądała nowe miejsce. W sercu wioski królowała stara studnia z gontowym daszkiem. Ze stromej skarpy wychylał się wiatrak kozłowy. Kiedy Bianka przechadzała się między starymi domostwami, czuła, że w tym miejscu czas się zatrzymał. Głosy ludzi mieszały się z pogwizdywaniem ptaków i cykaniem budzących się świerszczy. Na rozgrzanych słońcem kielichach kwiatów siedziały pracowite pszczoły, a w trawie maszerowały rezolutne mrówki.

– I jak, podoba się? – zapytał Rysio, kiedy Bianka przykucnęła obok niego. Miał znudzony i jakby zamyślony wzrok. Dłubał w ziemi cieniutką gałązką.

– To miejsce jest przeurocze. Na pewno jeszcze tutaj wrócę. – Bianka się uśmiechnęła.

– Podoba się miastowym, bo wiejsko i dziko – zauważył Rysio. – To jak, możemy iść dalej? – spytał, a później się podniósł, wyprostował kończyny i otrzepał spodnie z drobnych grudek ziemi. – Mówiłem, że chcę ci coś pokazać.

– Chodźmy. – Miała ochotę zostać tu dłużej, ale była też ciekawa, co takiego Rysio ma jeszcze w zanadrzu.

Podążali dróżką, która coraz bardziej się zwężała, aż w końcu prawie znikła. Bianka, która dotąd szła z przodu, zatrzymała się.

– Jest pan pewien, że powinniśmy pójść właśnie tędy?

– No jakże... Idziemy dalej. Żaden turysta tam nie dojdzie, bo to miejsce znamy tylko ja i moja babka. – W głosie Rysia było słycać dumę.

– Skoro pan tak twierdzi, to chodźmy. – Bianka wolno ruszyła przed siebie.

– Będzie lepiej, jak poprowadzę – powiedział Rysio i poszedł przodem. Musiał rozdeptywać wysokimi butami świeże rośliny. Co chwila odwracał się, żeby sprawdzić, czy Bianka za nim nadąża. – Widzisz te drzewa? – Zatrzymał się i wskazał na trzy graby rosnące na planie trójkąta.

Miejsce pomiędzy nimi porastała wysoka trawa.

– Moja babka przyprowadziła mnie tutaj kiedyś, gdy byłem jeszcze pędrakiem. Powiedziała mi wtedy, że to ważne miejsce. – Rysio popatrzył pod nogi, to samo zrobiła Bianka. – Nie wiem, co się tu działo, bo babka powiedziała tylko tyle, ile chciała. Przyszliśmy tutaj potem jeszcze raz, z saperką. Staliśmy tu. – Zaszurał nogami, ugniatając trawę. – Babka zaczęła kopać, a ja czekałem, co też z tej ziemi wyciągnie. – Znow zaszurał nogami, a do czubków jego butów przykleiły się grubsze źdźbła.

Bianka przyglądała się tym butom, a raczej miejscu, które ugniatały, z coraz większą ciekawością.

– Kopała i kopała. Sapała, biadoliła, ale dalej grzebała w ziemi. Chciałem jej pomóc, to oberwałem po łapach. Z babką lepiej nie zaczynać. – Rysio pokręcił głową. – Świętej pamięci dziadka Józka trzymała na krótkiej smyczy. Chłop nawet nie mógł się napić z sąsiadem.

Bianka z niecierpliwością czekała na finał tej historii.

– W końcu zgięła się wpół jak stara brzoza, zakłęta, stuknęła łopata o coś, co było

w dziurze, a potem zaczęła się śmiać jak wariatka. Rechotała i rechotała, myślałem, że mi babka zwariowała. Ale ona nagle kucnęła, włożyła rękę do tej dziury i wyjęła z niej metalową skrzynkę. „Idą trudne czasy”, powiedziała. „Lepiej, jak będzie u nas w chałupie. Na razie żyję, ale człek nigdy nie wie, kiedy z padolu zejdzie, więc lepiej ją wygrzebać”. Wzięła to żelastwo, oczyściła je z ziemi i chwyciła tak, jak się trzyma dzieciaka. – Rysiek ułożył ręce w taki sposób, jakby tulił niemowlaka do piersi. – Potem kazała dołek zakopać i uklepać, a jak chciałem dotknąć skrzynki, to znów oberwałem po łapach.

– Dowiedział się pan w końcu, co tam było?

– A jakże, dowiedziałem się. – Zaśmiał się głośno. – Ale dopiero po paru latach. Babka strzegła tego kufierka, jakby tam był jakiś skarb. Tę skrzyneczkę zamknięto na kluczyk, który babka ciągle miała przy sobie, w kieszeni zapaski. Kiedy szła spać, chowała go pod siennik. Gdybym ja wtedy wiedział, że tam nie ma złota, ino samo dziadostwo, to nie chodziłbym za babką jak pies. – Rysio podrapał się po głowie, a zaraz potem zagwizdał.

– I co pan tam zobaczył?

– Nic, były tam ino papiery i jakaś mała błyskotka.

– Papiery? Może to coś ważnego, skoro ktoś je ukrył? Pytał pan babcię, czego dotyczyły?

– A po co? Jak zajrzałem do środka i zobaczyłem, że nie ma tam nic oprócz kilku starych kartek, myślałem, że się rozryczę. Babka miała ze mnie niezły ubaw. W końcu zrobiło jej się mnie żal i dała mi to. – Rysio włożył rękę do kieszeni. – To ta błyskotka, co była w skrzynce. Babka powiedziała, że mam ją dać kobiecie, w której się zakocham i która okaże mi serce. A że baby zawsze omijały mnie szerokim łukiem, to nie znalazłem takiej, której mógłbym dać to cacuszko. Pomyślałem, że może tobie się przyda. Ja już raczej kobity nie spotkam. Która by chciała takiego nieudacznika? A ty okazałaś mi wielgachne serce. Nikt wcześniej tego nie zrobił. Mogę oddać ci to świecidełko bez zastanowienia. – Otworzył dłoń, a na jej środku zamigotała czarna perła otoczona złotymi listkami z niewielkim oczkiem na łańcuszek.

– Panie Ryśku, pan wie, że ja nie mogę przyjąć takiego prezentu. Poza tym nie jestem pana ukochaną, a pana babcia chyba postawiła warunek.

– Bierz to cacuszko i już, bo jak nie, to pójdę na melinę i oddam za flaszkę. Już nieraz mnie korciło – przyznał się.

– Nie mogę – jęknęła Bianka. – Co też powiedziałyby na to pana babcia?

– Weź to jako dowód wdzięczności. Dzięki tobie zrozumiałem, że coś wart, i chyba po raz pierwszy sprzeciwiłem się gorzałce. Nie powiem, oj, ciągnie mnie do kielicha. Jak ktoś przez tyle lat był ochlaptusem, to potem ciężko od siwuchy odejść.

Kiedy do Rysia dotarło, że dziewczyna naprawdę nie zamierza przyjąć od niego prezentu, zniecka włożył jej perłę do ręki.

– Panie Ryśku...

– Koniec gadania! Może tobie przyniesie szczęście – powiedział stanowczo. – To jak, może pójdziemy do babki? To już niedaleko stąd. Ucieszy się, ciągle marudzi, że tylko moją gębę musi oglądać.

– Chodźmy więc. – Bianka skapitulowała.

Podeszli do brzegu Wisły, przy którym biegła wydeptana ścieżka. Rysiek twierdził, że tędy jest najbliżej. I rzeczywiście, już po dziesięciu minutach szybkiego marszu doszli do miejsca, w którym z wąskiej dróżki można było wejść na szeroką drogę prowadzącą na niewielkie wzniesienie. Wspięli się dość szybko. Rysio posapywał i ocierał pot z czoła. Kiedy stanęli na niezbyt wysokim, rozległym pagórku, Bianka dojrzała mały domek pomalowany błękitną farbą. Przyspieszyli kroku.

– O, babka siedzi przed chałupą, pewno już po czwartej. – Rysio uniósł głowę i popatrzył w niebo, jakby z układu chmur chciał odczytać godzinę. – Słońce się obniżyło. Pewnie chrapie na ławce. – Zachichotał i spojrzał na Biankę, która sprawiała wrażenie, jakby nie miała pojęcia, o czym mężczyzna mówi. Bo nie miała.

Przeszło dziewięćdziesięcioletnią Serafinę wyobrażała sobie jako zniedołężniałą staruszkę. Jakież było jej zdziwienie, kiedy stanęła twarzą w twarz z babcią Rysia.

Oba frontowe okna chałupy były otwarte, a z wnętrza jednego wywiewała ręcznej roboty firanka. Serafina drzemała na ławce opartej o ścianę domu, cicho pochrupując. Kiedy wnuk stanął naprzeciw niej, otworzyła oczy.

– A kogoż to lichu niesie? – rzekła głośno i zdezorientowana zaczęła się rozglądać na boki. – Aaa, to ty, nicponiu jeden. – Jej pomarszczona twarz pojaśniała uśmiechem, a usta otworzyły się szeroko, ukazując jeden duży ząb. Staruszka miała na głowie niebieską chustę w czerwone maki zawiązaną pod brodą, a na nogach chodaki, które wystawały spod wełnianej spódnicy w kratę.

– Dzień dobry. – Bianka nieśmiało wyjrzała zza pleców Rysia.

– Dobry, bo ciepły. Stare kości można wygrzać. – Serafina się uśmiechnęła. – Tylko mi nie mów, ptaszyno, że ten huncwot nabrał cię na swoje ładne ślepie. Za młoda tyś dla niego i za urodna. – Serafina przyglądała się Biance, mrużąc oczy.

– Ja nie... – Bianka się speszyła.

– Co też babka za głupoty opowiada? To moja znajoma. – Rysio się roześmiał. – Zaprosiłem do nas Biankę, bo ciągle narzekasz, że świata i ludzi nie widzisz i że pod dach naszej chałupy to tylko lichu zagłada.

– Dobrze gadasz, wnusiu, lichu to u nas ostatnio często psoci. W studni ciągle wody brakuje. Myślisz, że nie wiem, kto ją podbiera?

– Oj, babko, babko, czasem to mi już do babki słów brakuje. Takie babka farmazony opowiada. – Rysio pokręcił głową.

– No to proś ptaszynę do środka. – Staruszka poderwała się z ławki. Jak na swoje lata nosiła się prosto i miała bystre spojrzenie. – Dawno żadna kuma nie była w progach mojej chałupy. Wszystkie już do Świętego Pietra puciekały. Ino mnie się nie spieszy. Co mój Rysio beze mnie pocznie? Kto mu zupę ugotuje i skarpety upierze?

– Co też znowu babka plecie? – przerwał jej. – Sam dbam o siebie, a kiedy trzeba, to i babkę obejdę.

– Już ja swoje wiem, że chłop bez baby nic niewart. Nie zejdem z tego świata, dopóki ci zacnej dziewczki nie znajdę.

– A gdzie ją babka chce znaleźć?! Przecież babka nigdzie nie wychodzi.

– Ty się nie wymądrzaj, szelmo jedna. – Serafina chwyciła za wierzbową miotłę stojącą przy drzwiach.



– Niech babka lepiej do chałupy wejdzie i gościem się zajmie – powiedział.

Wszyscy troje weszli do środka. Bianka usiadła przy okrągłym drewnianym stole z krótkimi nogami. W chatce znajdowały się tylko dwa pomieszczenia – izba gospodyni i kuchnia, której serce stanowił stary piec kaflowy. Do północnej ściany przytulał się biały kredens, a naprzeciw niego ustawiono stół. W narożniku znajdował się zapadnięty tapczan, na którym sypiał Rysio, przy popielniku zaś stał koślawy taboret. Na ścianie wisiał duży obraz przedstawiający Jezusa w cierniowej koronie, z czerwonym sercem na jasnej szacie.

– Ciągle modłę się do naszego Pana o dobry los dla Rysia – powiedziała Serafina, która zauważyła, że Bianka patrzy na obraz. – Boję się, że jak odejdę, to chłopaczyna sobie nie poradzi. Hulaka z niego, ale serce ma złote, muchy by nie skrzywdził. Tylko pogubił się w życiu. Nic dziwnego, bo nie miał łatwo, własna matka go nie chciała i... – Serafina nagle zamilkła, ponieważ w kuchni pojawił się jej wnuk.

W tym samym czasie w saganku zaczęła bulgotać woda. Rysio wyjął z kredensu trzy szklanki i spojrzał na kobiety.

– Może być herbata? – Uniósł opakowanie herbaty ekspresowej.

Bianka przytaknęła. Dla Serafiny wybór nie był jednak tak oczywisty.

– Wy, młodzi, idziecie na łatwiznę. Gotowe herbaty, jedzenie w proszku, jakieś diabelskie pastylki na ból głowy. Dawniej ludzie wiedzieli, co dobre. A teraz...

Rysio stał przy piecu z opakowaniem herbaty w rękach. Nie wiedział, co z nim zrobić.

– Zostawże to pudełko. Zaparzę ptaszynie mojej herbatki – postanowiła Serafina, która już zdążyła się usadowić na stołku obok Bianki.

– O nie! – krzyknął Rysio. – Nie dam gościowi tego świństwa! – próbował protestować.

– Ty mi tu nie marudź, tylko rób, co mówię. – Serafina groźnie popatrzyła na wnuka.

Rysio posłusznie schował herbatę ekspresową i wyjął z kredensu litrowy słoik z etykietką po miodzie spadziowym.

Przez kilka minut wszyscy troje milczeli. Serafina przyglądała się Biance z rozdziawioną buzią i lekkim uśmiechem. Rysio w towarzystwie babci był wyraźnie onieśmielony. W kuchni słychać było tylko brzęk łyżeczek.

– Smaczna herbatka. – Bianka przerwała ciszę.

– A nie mówiłam, że posmakuje? Zeszłoroczne suszone maliny z naszego dziczałego lasu, liście czarnej porzeczki i wiele innych dobrodziejstw rosnących w okolicy.

– Skąd pani wie, co można zbierać?

– Od dziecka łączę po naszych polach, więc znam te wszystkie zielska. Moja babka i matula je zbierały, a ja podpatrywałam. Chciałam mojego Rysia też nauczyć, ale miga się od tego.

– Niech babka już lepiej nic nie gada, bo zaraz stracę do babki cierpliwość. – Rysio nagle wstał i ruszył do drzwi. Już miał przekroczyć próg, ale jeszcze się odwrócił, jakby chciał coś powiedzieć. W końcu tylko machnął ręką i zniknął w sieni.

– Narwaniec! Kto to widział tak wódkę popijać? Nikt w tej rodzinie tak się nie prowadził. – Serafina głośno upiła łyk ziołowej herbatki. – Teraz młode się migają od wszystkiego. Moja matula dwie wojny przeżyła. Oj, dużo ona przeszła w życiu... – Popatrzyła z rozrzewnieniem na stary kredens. – Chałupę postawili z ojcem gołymi rękami. I widzisz, ptaszyno, po dziś dzień stoi. – Uśmiechnęła się, a jej ząb błysnął w otwartej buzi. – Przettrzymała niejedną zawieruchę. Nawet jak ruscy niedaleko wioskę palili, to naszej chałupy nie tknęli. Czasem myślę, że to lichy, co w studni siedzi, pilnuje tego wszystkiego. – Przeżegnała się i z obawą zerknęła na obraz Jezusa. – Niby lichy, a jednak czasem pomaga.

– Licho? – Biankę przeszły ciarki. W tym domu wszystko wydawało się starodawne i nietypowe, dlatego wcale nie zdziwiłaby się, gdyby i w starej studni pomieszkiwało lichy.

– Tak, stare, pocziwe lichy. Moja babka gadała, że kręcą się takie po okolicy. Jak do chałupy wlezie, to potem się go nie przepędzi. Trza się z nim zbratać, bo inaczej żyć się nie da. Swoich nie tknie, lecz obcym napsoci. Przychodził tu taki jeden, ale się powiesił. – Serafina znów się przeżegnała i spojrzała na Jezusa.

– Co też pani mówi... – Opowieść staruszki przeraziła -Biankę.

– Z miasteczka przyłaził tu do... – Kobieta pokręciła głową. – A zresztą nieważne. Stare to dzieje, nie warto tego pamiętać – stwierdziła, ale i tak mówiła dalej: – Przyłaził tu kiedyś i powiesił się na dębie za naszą chałupą. Moja matula pierwsza go dojrzała. O brzasku za próg wyszła, kozę na łąkę prowadzi, a tu umarłak nogami majta z gałęzi. Wiatr wiał straszny i chłopem wywijał, aż się liście trzęsły.

Bianka pobladła. Sięgnęła po szklankę z ziołową herbatą, którą wypiła kilkoma haustami.

– Mnie już nic nie dziwi. Różne zwidy po polach się włóczą. I południce, i strzygi, a w stawie za starym sadem jabłoniowym podobno mieszka oślizgły wodnik. Ja go nigdy nie widziałam, ale babka gadała, że zielony i przymilny. Jak księżyc na niebo wychodził, dziwak siadał na wielkim kamieniu i rzępolił na skrzypcach. Po dziś dzień ten głaz tam leży. Drobne stópki są na nim odbite, jakby jakie dziecko po nim chadzało.

Bianka patrzyła na Serafinę bez słowa. Snute przez nią historie, mimo że ciekawe, przerażały dziewczynę. Ponadto wydawało jej się, że w rogu coś się poruszyło.

– Chyba powinnam już wracać do miasteczka. – Wstała i popatrzyła z góry na staruszkę.

Serafina też się podniosła i obie ruszyły do wyjścia. Na ławce przed domem siedział Rysio. Babka podeszła do niego i dała mu kuksańca.

– Wstawaj, wałkoniu, i wody ze studni przynieś – rzekła do wnuka tonem nieznoszącym sprzeciwu, ale z uśmiechem na ustach.

Rysio posłusznie wstał, lecz nie podeszedł do studni, tylko zwrócił się do Bianki:

– Chcesz już wracać? Pogadałyście sobie z babką?

– Tak. – Bianka zrobiła krok do przodu, spoglądając na studnię, obok której leżało przewrócone wiadro.

Serafina zbliżyła się do studni, biadoląc pod nosem.

– Gadam i gadam, a tu nic. – Spojrzała na wnuka z wyrzutem. – Do wiadra trza coś

włożyć, bo lichy nam je w końcu doprowadzi.

Rysio tylko wskazał na ścieżkę prowadzącą do wału wiślanego.

– Idziemy? – zapytał Biankę.

– Tak. Do widzenia pani. – Uścisnęła rękę staruszki.

Kobieta pogłaskała Biankę po głowie.

– A zajdźże ty jeszcze do mnie, ptaszyno. – Serafina poprawiła sobie chustkę na głowie.

– Na pewno jeszcze panią odwiedzę. To taka piękna okolica, wrócę tutaj z przyjemnością.

Rysio uparł się, że odprowadzi ją aż do miasteczka. W drodze powrotnej ominęli Mięćmierz. Do samego Kazimierza szli ścieżką nad brzegiem Wisły. Tunel z drzew i krzewów stanowił idealny parasol chroniący przed słońcem. Kiedy znaleźli się na bulwarze wypełnionym tłumem turystów, Bianka wyjęła z kieszeni spódnicy czarną perłę.

– Panie Ryśku, oddaję ją panu. – Rozłożyła dłoń, pośrodku której zamigotała błyszcząca czarna kuleczka.

– Ani mi się waż! – Udawał obrażonego.

Bianka schowała więc kłopotliwy prezent z powrotem do kieszeni.

– Dziękuję – rzekła tylko, bo nie wiedziała, co więcej mogłaby dodać.

Poruszyli jeszcze temat pracy na Fiołkowym Wzgórzu. Rysiek obiecał, że stawi się tam już następnego dnia.

– Poniedziałek to dobry dzień na początek – powiedział radośnie, rozstając się z Bianką. Dobrym humorem mógłby obdzielić połowę mieszkańców miasteczka.

Nastrój Ryśka udzielił się również Biance.

W zagajniku sosnowym coś zaszeleściło i poruszyły się -dolne gałązki młodych choinek. Marta poderwała się z krzesła.

– Holender, znowu te szkodniki przyszły paskudzić na naszej działce! – Zdenerwowana ruszyła w stronę narożnika.

– Kto? – Bianka popatrzyła w stronę, w którą Marta zmierzała szybkim krokiem.

Zegar wskazywał dwudziestą pierwszą, ale na dworze wciąż było jasno. Ciepły letni wieczór rozleniwiał. Już ponad godzinę siedziały z Martą w ogrodzie.

– Jak to kto?! – krzyknęła Marta. – Okoliczne koty! Wybrały sobie ten ogród na miejsce schadzek. Zawsze myślałam, że kotom zbiera się na amory tylko w marcu, ale nie... Potrafią tak psocić przez całe lato. Poniszczyły mi wszystkie hortensje i bratki. – Odchyliła gałązki, ale nim to zrobiła, sprytne zwierzaki już czmychnęły. – I znów wystrychnęły mnie na dudka – podsumowała, gdy wróciła do stolika.

– Nie przesadza pani? – Bianka uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Jakoś nie chce mi się wierzyć, że takie małe, urocze stworzenia mogą aż tak nabroić.

– Oj, za krótko tu jesteś. Pomieszkasz jeszcze trochę, to sama zobaczysz. Najgorsze, że za nic mają moje krzyki i wymachiwanie miotłą. Paskudy! – Mocno zmarszczyła czoło i pokręciła głową, czym rozbawiła Biankę.

Nagle obie popatrzyły w kierunku sypialni Klary. Zauważyły ruch firanki.

– Wydaje mi się, że znów jesteśmy na cenzurowanym.

– Chyba już cię to nie dziwi.

– Nie. – Bianka się roześmiała. Mimo że atmosfera w tym domu była niezbyt przyjemna, po dwóch tygodniach pobytu udało jej się do tego przyzwyczaić.

– Cieszę się, że zostajesz. Już myślałam, że po wybrykach -Samuela naprawdę zrezygnujesz.

– Też tak myślałam. – Bianka się zadumała. – Nie wiem, co będzie dalej. Wydaje się teraz jakiś inny, bardziej przyjazny, ale boję się, że to może być tylko gra.

W towarzystwie Sama czuła się niezręcznie. Miała świadomość, że powinna zrobić kolejny krok, ale wciąż stała w miejscu.

– A co na to pani Klara?

– Nie wiem. Kiedy poinformowałam ją, że jednak nie rezygnuję, nie powiedziała nawet słowa. Popatrzyła tylko na mnie i kpiąco się uśmiechnęła. Pani Marto, coraz mniej to wszystko rozumiem. Im dłużej tu jestem, tym bardziej wydaje mi się, że jej kompletnie nie zależy na Samie. Zresztą on też wyraża się o niej niechętnie. W co ja się wpakowałam?

– Bianka zapatrzyła się w niebo.

– Dasz radę. – Marta przysunęła się do niej i przyjacielsko poklepała ją po plecach.

– Może kiedy przyjedzie Olaf, Klara trochę złagodnieje. Tylko on ma na nią dobry wpływ.

– Przyjedzie Olaf?

– Aaa! Gapa ze mnie, zapomniałam ci powiedzieć. Dziś rano pani Klara poinformowała mnie, że Olaf przyjedzie do nas w piątek wieczorem. Mówiąc to, była cała w skowronkach. Rzadko tu przyjeżdża, ale gdy już jest w Kazimierzu, Klara nieco popuszcza cugle. Dobrze, że go poznasz. To taki miły, kulturalny człowiek.

Bianka nie podzielała entuzjazmu Marty. Nie wydawało jej się, żeby starszy brat Samuela w jakikolwiek sposób mógł ją zainteresować. Dla niej ważny był jedynie młodszy syn Klary. Teraz liczyło się tylko to, żeby wywiązała się z umowy. Miała nadzieję, że za niespełna dwa miesiące wszystkie problemy finansowe jej rodziny się skończą.

– Tym razem Olaf wpadnie tylko na weekend. Na co dzień mieszka w Wiedniu, gdzie zarządza dużą firmą. Wciąż jest zajęty, ale podobno obiecał matce, że w sierpniu spędzi tutaj z narzeczoną tydzień urlopu. Ślub w październiku. Marika pochodzi z Kazimierza, lecz wyjechała za Olafem do Austrii. Pracuje tam jako modelka. Ale czy ona rzeczywiście taka ładna? – Marta zastanawiała się, robiąc zgryźliwą minę. – Nawet jeśli, to uroda na pewno nie idzie w parze z inteligencją i dobrym usposobieniem. Kłótnica z niej i zołza.

– Nie lubi jej pani – zauważyła Bianka.

– Nie lubię – potwierdziła Marta. – Znam ją od dawna. Rozpieszczona z niej dziewczucha. Zawsze dostaje od życia to, czego chce. Jej tatuś to znany prawnik, jedyny taki w okolicy, a matka... szkoda gadać. Jak była młoda, to jeździła na saksy do Niemiec. Różnie o niej gadają, ale ja tam swoje wiem. – Zerknęła w stronę sypialni Klary. Robiła to co chwila, jakby obawiała się czujnego oka pani domu. – Dobrze, że tym razem Olaf przyjeżdża bez niej.

– A pani Klara ją lubi?

– Pani Klara nie lubi nikogo poza sobą, ale Marikę toleruje. Inne nie miały szans. – Marta spoważniała.

– A Samuel... – zaczęła Bianka nieśmiało.

– Co Samuel?

– Czy on ma kogoś? To znaczy przed wypadkiem... – Dziewczyna się zmieszala.

Niestety zbyt późno ugryzła się w język.

Marta przysunęła się do niej.

– Interesuje cię to? – Popatrzyła na Biankę wymownie.

– Pani Marto, przecież pani wie, że ja... To chyba rozumiałe, że chciałabym wiedzieć o nim jak najwięcej.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała w końcu Marta. – Z tego, co wiem, to zawsze otaczał go wianuszek dziewcząt, ale ile one były warte... – Zastanawiała się. – Kiedy był sławny i zdrowy, mógł przebierać w nich jak w ulęgałkach, ale teraz nie ma przy nim żadnej. – Nasrożyła się. – Może rzeczywiście tobie się uda. Może dzięki tobie Sam wróci do świata – rzekła delikatnie.

Nadal nie wiedziały, jak rozmawiać o sprawie Samuela, więc posługiwały się ogólnikami.

Marta spojrzała na zegarek i nagle się poderwała.

– Rany, jak się zasiedziałam. Zaraz mi odjedzie ostatni autobus. – Wstała, dosunęła krzesło i poprawiła spódnicę.

– Niech pani już ucieka, ja pozbieram filiżanki.

Chwilę potem Marta pędziła na przystanek.

Wieczór był bardzo upalny, nawet otwarte okno nie pomogło ochłodzić pomieszczenia. Było tak duszno, że Bianka czuła się oblepiona powietrzem. Chwilowe ukojenie przyniósł jej chłodny prysznic, po którym włożyła lekką bawełnianą koszulę nocną. Z zewnątrz dochodziło donośne kucie zawodzenie. „Czyli pani Marta miała rację, kotom znów zbiera się na amory”. Zastanawiała się, czy zamknąć okno, bo wyglądało na to, że pomałukiwania prędko nie ustaną. Wtem usłyszała pukanie do drzwi. Była już dwudziesta trzecia, myślała, że wszyscy śpią. W korytarzu stał Samuel. Miał twarz zwróconą w jej kierunku, ręką opierał się o ścianę.

– Samuel? – odezwała się cicho. Spodziewałaby się każdego, tylko nie jego.

– Mogę wejść? – spytał bez skrępowania i już po chwili był w środku. – Jesteś zaskoczona, że przyszedłem? – Uśmiechnął się łagodnie.

To ją nieco ośmieliło.

– Tak – odpowiedziała pewniej.

– Chciałbym trochę u ciebie zostać – rzekł i skierował się w stronę łóżka. Usiadł na skraju. Wyglądało na to, że doskonale zna rozkład tego pokoju. – Usiądź obok mnie, chcę porozmawiać.

– Ja... – Bianka się zawahała. Nie mogła być tak blisko niego. Nie wiedziała, o co mu tak naprawdę chodzi.

Wtargnął do jej pokoju znienacka, ubrany w lekką piżamę, która ledwie przysłaniała jego ciało, i prosił o coś, czego nie mogła zrobić. W jej głowie pojawiły się czarne myśli.

– Ja nie... – zaczęła, ale Sam jej przerwał.

– Chcę tylko porozmawiać, nie bój się. – Miał ciepły głos, jednak te słowa wcale jej nie uspokoiły. – Proszę, usiądź obok mnie. Obiecuję, że nawet cię nie dotknę. – Odgadnął jej obawy.

Wolno ruszyła w jego stronę, zastanawiając się, czy słusznie postępuje. W końcu usiadła obok. Odchyliła się do tyłu, jakby to miało ją od niego oddalić. Niestety byli bardzo blisko siebie. Tak blisko, że dokładnie widziała jego oczy. Wyczuł jej spojrzenie i zamknął powieki.

– Chcę cię o coś prosić – rzekł i otworzył oczy.

Bianka już miała się cofnąć, ale złapał ją za rękę.

– Nie bój się. Możesz mi zaufać. Obiecuję, że nigdy nie zrobię niczego, czego nie będziesz chciała. – Wydawał się pewny siebie. – Podobasz mi się, ale...

Jego słowa zbiły Biankę z tropu.

– Podobam ci się? – Wbiła w niego oczy z niedowierzaniem.

– Tak – odpowiedział szybko.

– Przecież ty... – Bała się dokończyć, ale Sam zrobił to za nią.

– Nie widzę, tak? O to ci chodziło? – W jego głosie usłyszała mieszaninę emocji, których nie potrafiła określić.

– Tak – powiedziała zawstydzona.

– Nie będę ci tego wyjaśniał, bo i tak nie zrozumiesz.

– Dlaczego?

– Nieważne. Wróćmy do tematu. – Wypuścił jej rękę i długo siedział w milczeniu.

Już myślała, że zaraz wyjdzie, ale nagle się odezwał:

– Zrobisz to dla mnie znowu? – Jego głos był ciepły, pełen uczuć, które nieumiejętnie starał się zgasić.

– Co takiego? – Znów się cofnęła.

– Zagrasz dla mnie? – Oddychał szybko, jakby w napięciu czekał na jej odpowiedź.

– Nie wiem – odrzekła zdeorientowana. – Dlaczego tak ci na tym zależy? – spytała, choć doskonale знаła powód, dla którego ją o to poprosił.

– Bo kocham muzykę i... – Zamilknął w chwili, kiedy myślała, że powie coś więcej. On jednak zastygł w oczekiwaniu.

Żadne z nich nie podejmowało tematu. Kiedy jednak -Samuel się upewnił, że Bianka nie wykona żadnego ruchu, poprosił ją ponownie:

– Zrobisz to dla mnie?

– Tak. – Bardzo się starała, żeby jej głos brzmiał pewnie, ale dręczyły ją liczne wątpliwości.

„Przecież o to chodziło. Zbliżasz się do niego. Rozpalasz jego wrażliwą duszę. Działaj, to twoja szansa”, usłyszała swój wewnętrzny głos. Potem wstała i podeszła do stolika. Skrzypce Walentyny leżały zamknięte w futerale. Rozchyliła wieko i wyjęła je, starając się nie robić przy tym zbyt wiele hałasu, jakby to mogło popsuć nastrój oczekiwania, zburzyć harmonię, którą oboje czuli. W końcu wzięła do ręki smyczek i zaczęła grać *Nocturne cis-moll* Szopena.

Kiedy skończyła, zerknęła na Samuela. Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Nie wiedziała, czy powinna do niego podejść, więc po prostu stanęła przy oknie i przytuliła do siebie skrzypce. Zapach jaworowego drewna, które tata przed jej odjazdem nasączył olejem lnianym, przywołał ciepłe wspomnienie domu i czegoś nieuchwytnego, co dawała jej tylko muzyka.

– Dziękuję. – Samuel oparł ręce na łóżku. – Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak... – Nagle przerwał, jakby się bał, że powie o jedno słowo za dużo.

Bianka postanowiła wykorzystać jego chwilowe wahanie.

– Interesujesz się muzyką symfoniczną? Lubisz grę na skrzypcach? – spytała, czując, jak jej policzki coraz bardziej czerwienieją. Znów udawała i co najgorsze, doskonale wiedziała, jak to się robi.

– Tak – odpowiedział wymijająco, a ona wiedziała, że tej nocy nie usłyszy już od niego nic więcej. – Lepiej będzie, jak już pójdę. – Wstał i szybko ruszył do drzwi. – Dobranoc – rzekł, nie odwracając się.

Bianka cały czas stała przy oknie, ściskając skrzypce Walentyny, które były jedynym dowodem na to, co wydarzyło się przed momentem. Muzyka poruszyła ich serca i umknęła do ogrodu, gdzie ukryła się w ciemności nocy. Dziewczyna włożyła skrzypce do futerału i zamknęła okno. „Dość rozmyślań, pora spać”.

W piątek od samego rana w domu panował wzmożony ruch. Klara sprawdzała po kolei wszystkie pokoje. Co chwila podchodziła też do swoich orchidei i spryskiwała je, nie zważając na to, że woda ściekająca z liści utworzyła na podłodze niewielką kałużę. Przy obiedzie starała się być miła, ale obecny na jej twarzy chłód stanowił barierę nie do pokonania. Samuel nie okazywał żadnych uczuć w związku z przyjazdem brata. Odkąd

zjawił się w nocy w pokoju Bianki, znów zaczął ją traktować z dystansem. Gdy przynosiła mu posiłki, był miły, jednak nie wykazywał chęci do rozmowy. Nawet nie próbowała pokonać tej bariery. Czuła, że to on musi zrobić krok w jej kierunku, zauważyła bowiem, że jej zabiegi nie przynoszą dobrego skutku.

Po południu pomogła Marcie posprzątać po obiedzie. Postanowiła, że potem pójdzie do miasta. Kiedy zeszła na dół, zza zamkniętych drzwi wejściowych usłyszała hałas, który brzmiał jak głosy przekrzykujących się mężczyzn. Szybko wsunęła buty, wzięła torebkę i wyszła. Ruszyła do bramy. Przy ogrodzeniu stał Vincent. Prawie się nie ruszał, wydawało się, że stoi na baczność. Głośno krzyczał, a głos miał piskliwy, przypominający kobiecy. Był niezwykle wzburzony.

Bianka przyspieszyła kroku, ciekawa, co też za dantejskie sceny rozgrywają się u wrót domostwa Klary. Kiedy znalazła się obok Vincenta, ten nawet jej nie zauważył, tylko kontynuował swój piskliwy monolog. Zza lekko otwartej bramki wychylał się Rysio. Stał z szeroko otwartymi oczami i patrzył na lokaja tak, jakby nie miał pojęcia, co dalej robić. Gdy dostrzegł Biankę, pomachał i się uśmiechnął.

– Chwała Bogu, że jesteś. Ten człowiek nie chciał mnie do ciebie wpuścić. Nawet nie miał zamiaru cię zawołać.

– Pani Klara nie życzy sobie w domu żadnych intruzów – powiedział Vincent, po czym odwrócił się na pięcie i natychmiast odszedł, jak gdyby się bał, że zostanie wciągnięty w dyskusję, na którą nie miał ochoty.

– Pan Rysiek nie jest intruzem, tylko moim znajomym – rzuciła jeszcze Bianka za oddalającym się mężczyzną.

– Daj spokój, nie warto. – Rysio chwycił ją za rękę.

– Właśnie o panu myślałam. Byłam bardzo ciekawa, jak tam po pierwszym tygodniu pracy. Podpytywałam panią Martę, mamę Gosi, ale nic nie wiedziała. Nie miała z córką kontaktu od naszego ostatniego spotkania.

– Jest dobrze. – Rysio wypuścił dłoń Bianki i zatarł ręce, a potem zagwizdał. – Przyszedłem ci podziękować.

– Już mi pan dziękował.

– No dobrze, przyszedłem podziękować i... chciałem pogadać.

– Niech pan wejdzie. – Dziewczyna rozchyliła skrzydło furtki.

– O nie! Myślałem, że gdzieś cię wyciągnę. – Rysio oparł się o ogrodzenie.

– W porządku, właśnie wybierałam się do miasteczka. Możemy pójść razem.

– Babka ciągle mnie nagabuje, żebym cię przyprowadził. – Utkwił w niej wzrok.

– I?

– I może byśmy do niej poszli, bo inaczej dalej będzie mi suszyć głowę.

– Dobrze. Chętnie się spotkam z panią Serafiną.

Brzegiem Wisły doszli do znajomego wzgórza. Przez całą drogę Rysio był nadzwyczaj ożywiony, prawie nie dopuszczał Bianki do słowa. Słuchała go z wielką ciekawością, ponieważ jego opowieść dotyczyła ostatnich dni pracy na Fiołkowym Wzgórzu. Kiedy Rysio mówił o czynnościach, które wykonuje na plantacji, wydawał się bardzo szczęśliwy. Ochoczo wspinał się pod górkę, ani razu nie wyjął z kieszeni chusteczki, żeby wytrzeć czoło.



Serafina, tak jak ostatnio, siedziała na ławce przed chałupą. Tym razem jednak nie drzemała, tylko spoglądała w ich kierunku. Stukała chodakami o wyschniętą, spękaną ziemię i co rusz poprawiała chustkę na głowie.

– Cieszę się, żeś mnie odwiedziła, ptaszyno. Chciałam ci podziękować.

– Mnie? Za co?

– Jak to za co? Za mojego Ryśka. Robotę mu znalazłaś, złociutka. – Serafina uśmiechnęła się bardzo szeroko, a z jej ust wysunął się ząb.

– Ach. – Bianka machnęła ręką. – To zbieg okoliczności. Akurat potrzebowali kogoś na plantacji, a pan Rysio szukał pracy, więc wszystko idealnie się zgrało.

– Zgrało, nie zgrało, Rysiek sam by roboty nie znalazł. Rozleniwiony jest. Woli łązić po bulwarze i ludzi nagabywać.

Rysio już miał otworzyć usta, żeby się bronić przed przytykami Serafiny, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Westchnął tylko i rzekł:

– A niechże babka już da spokój.

– Dam – odpowiedziała staruszka. – Kiedy zaczniesz się w końcu prowadzić, jak Pan Bóg przykazał. Chodźcie do chałupy. Ziółek zaparzę i porozmawiamy.

W kuchni Serafiny było chłodno i przyjemnie. Kobiety usiadły naprzeciw siebie, a Rysio kręcił się przy piecu kaflowym.

– A usiądź z nami, nicponiu jeden – odezwała się żartobliwie do wnuka Serafina.

– Pójdę drzewa przynieść pod chałupę, bo się skończyło.

– Robota nie zajac, nie ucieknie – wymamrotała, kiedy Rysiek stał już za progiem, ale przemyślała swoje słowa i się poprawiła: – Ach, lepiej niech idzie i pilnuje, bo lichy nie śpi. – Obejrzała się przez ramię. – Dobrze, że Rysiek dał ci tę błyskotkę. Bałam się, że jak przeminę, to w końcu ją komuś za flaszkę odda. Dopóki żyję, nie odważy się, ale potem... Jak kota w domu nie ma, myszy harcują. A tak pamiątka... – Przerwała i popatrzyła na Biankę z namysłem. – Trafi w dobre ręce. – Chwilową niepewność na twarzy staruszki zastąpił uśmiech.

– Nie powinnam była tego przyjąć od pani wnuka, ale bardzo się upierał. – Bianka się zawstydyła.

– Powinnaś, powinnaś, ptaszyno. Ryśkowi już nieraz łapy kleiły się do tego cacuszka, ale mu nawtykałam, że jak je spienięży, to marnie skończy. I ani w ząb nie kłamałam. – Staruszka zrobiła tajemniczą minę i nerwowo podrapała się po głowie.

Bianka nie śmiała jej o nic zapytać, ale było widać, że Serafina ma wielką ochotę na rozmowę.

– Jedno dziewczę tę perłę miało. Przyjaźń nas łączyła. Młode żeśmy były, figlarne i świata ciekawe. Żyliśmy w niespokojnych czasach, wojna to jednak wojna. Panienką byłam, jak ojca i braci do wojska zabrali. – Serafina zamilkła i posmutniała. – Oj, przelatuje ten nasz żywot, przelatuje. Ledwie człek w powijkach był, a już nad grobem stoi. – Pokręciła głową. Nagle się podniosła. Popatrzyła na Biankę znacząco. – Pójdiesz ty gdzieś ze mną? – spytała, ale nie czekała na odpowiedź, tylko od razu ruszyła do wyjścia.

Bianka wypila ostatni łyk herbaty, wstała i popędziła za nią. Tego dnia staruszka była pełna wigoru. Kiedy Bianka wyszła z chaty, Serafina spoglądała w stronę

Mięćmierza. Zza wierzchołków drzew widać było czubek dachu starego wiatraka.

– Widziałaś Mięćmierz? – Serafina odwróciła się do Bianki.

– Tak, przechodziliśmy tamtędy ostatnio.

– To dobrze – rzekła. – Chodźmy. – Dotknęła Bianki suchą, pomarszczoną dłonią i ruszyła ścieżką prowadzącą w dół stoku.

Tymczasem zza węgła wyszedł Rysio.

– A gdzież to babka się wybiera i jeszcze gościa ciągnie za sobą?

– Nie twoja sprawa, łobuzie – rzuciła Serafina, nawet na niego nie patrząc.

– Wygląda na to, że idziemy na spacer. – Bianka się uśmiechnęła.

– Ach, ta babka i jej pomysły. – Rysio machnął ręką i usiadł na ławeczce przy domu.

Bianka przyspieszyła kroku i zrównała się z Serafiną.

– Dokąd idziemy? – spytała po pięciu minutach marszu.

Serafina nie odpowiedziała, tylko złapała Biankę za rękę i pociągnęła ją za sobą. Zeszły z pagórka i skręciły w ledwie widoczną ścieżynę, obrosniętą dziką roślinnością. Bianka знаła tę drogę. Staruszka popatrzyła na dziewczynę rozradowanym wzrokiem.

– Dawno tu nie byłam, ale drzewa wciąż stoją silne i zdrowiutkie. Żadne wietrzysko im niestraszne – powiedziała.

Bianka podejrzewała, że Serafina prowadzi ją do miejsca, które kilka dni wcześniej pokazał jej Rysio. Zatrzymały się przy jednym z grabów. Starsza kobieta oparła plecy o jego szorstką korę. Bianka przyglądała się staruszce z ciekawością. Długo żadna z nich się nie odzywała. Dopiero po kilku minutach Bianka rzekła:

– Byłam już w tym miejscu. Pani wnuk mnie tutaj przyprowadził. – Nie miała pojęcia, jak Serafina zareaguje na tę wia-domość.

– A to szelma jeden! – Serafina się roześmiała. – Dobrze, że cię tu zawiódł. Pewno gadał o mojej skrzynce.

Bianka skinęła głową.

– Hultaj nic nie wie. – Staruszka nagle spowaźniała. – To znaczy wie tyle, ilem mu chciała rzec. Ale tobie, ptaszyno... – Zamilkła i obejrzała się za siebie. Potem ściszyła głos i z tajemniczą miną kontynuowała: – Tobie, kochanieńka, chcę coś pokazać. – Wycelowała długi, krzywy palec w miejsce, gdzie stała Bianka. – Tu się spotykali.

– Kto?

Serafina miała rozkojarzony wzrok.

– Nieważne – odpowiedziała szybko i wróciła do opowieści. – Spotykali się tutaj. – Znów wskazała palcem pod nogi Bianki, przybliżając się do niej. – Wchodzili tu, a wychodzili hen za -lasem.

Bianka kilkakrotnie poruszyła nogami, zanurzając sandały w miękkiej trawie.

– Tutaj? – Spojrzała na starszą kobietę z niedowierzaniem.

– Tak – odrzekła ochoczo Serafina. – Tu było wyjście z tunelu. Teraz go nie ma, ale kiedyś wstępowali tu do takiego leja, co to do ciemnych lochów zamku prowadził.

– Zamku w Kazimierzu?

– Tak, do naszego starego grodu, ale nie tylko. Chadzali nim jeszcze hen do zamku w Bochothnicy, który nasz król Kazimierz Wielki postawił dla swojej ukochanej Esterki.

A i do Janowca można było dojść.

– Słyszałam, że zamki są połączone tajemnym podziemnym przejściem – powiedziała rozemocjonowana Bianka. – Czy to w ogóle możliwe?

– A jakże, prawda najprawdziwsza.

– Dlaczego pani mi to wszystko mówi?

Serafina popatrzyła na nią tak, jakby nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Zaraz jednak uśmiechnęła się i głośno rzekła:

– Mój drapichrust Rysiek dał ci to cacuszko, co od mej powiernicy dostałam. – Pochyliła głowę i wpatrzyła się w środek ziemi pomiędzy trzema grabami, porośnięty bujną trawą. Po chwili uniosła wzrok znad zielonej kępy i uważnie przyjrzała się Biance. – Znaczy to, żeś powinna poznać prawdę.

– Jaką prawdę?

– Cii. – Serafina przyłożyła palec do ust. – Przyjdź ty kiedy do mnie i przynieś cacuszko, a coś ci pokażę.

– Ale... – zaczęła Bianka, ciekawa dalszej części historii.

Staruszka jednak zgasiła jej entuzjazm:

– Bez tego ani rusz. – Dwukrotnie pokiwała głową, a na koniec utkwiała wzrok w miejsce, z którego dawno temu wykopała metalową skrzynkę.

– Dobrze – odpowiedziała cicho Bianka, dając za wygraną, mimo że opowieść Serafiny rozpałała jej ciekawość.

– Wracajmy, nic tu po nas. – Staruszka nagle odwróciła się w stronę ścieżki, którą tu przywędrowały. Nie czekając na reakcję Bianki, ruszyła do przodu. Dopiero po chwili odwróciła się w kierunku dziewczyny i skinęła na nią ręką. – A chodźże, ptaszyno, bo zaraz dziurę wydepczesz.

Gdy dotarły przed chałupę, Rysio nadal siedział na ławce. Zauważył, że babka już otwiera usta, by go strofować, więc wstał i spoglądając w kierunku studni, rzekł pewnym głosem:

– Wody przyniosłem, a wiadro odstawiłem tak, jak należy, żeby się babka mnie nie czepiała.

Serafina obejrzała się przez ramię i zatrzymała wzrok na starym cynkowym cebrzyku opartym o betonowy bok studni.

– Trzeba było jeszcze przykryć studnię drewnianym wiekiem. Na okrągło muszę ci to przypominać. Wiesz, że lichy nie śpi. – Popatrzyła na studnię z obawą.

Bianka bez słowa przysłuchiwała się tej rozmowie.

– Panie Ryśku, pójdę już. – Popatrzyła na mężczyznę. Sprawiał wrażenie najeżonego, jakby przygotowywał się do odparcia kolejnych przymówek babci.

– Odprowadzę cię. – Zrobił krok w jej kierunku.

– Nie trzeba – zaoponowała.

– Trzeba, trzeba – wtrąciła się Serafina. – Nie możesz tak sama po polach hasać. A nuż spotkasz jakiegoś swawolnika.

– Jak babka coś powie, to się wszystkiego odechciewa. – Rysio starał się przeciwstawić Serafinie, przybierając poważny wyraz twarzy.

Na nic się to zdało, bo ostatnie słowo i tak musiało należeć do staruszki.

– Co ty wiesz o życiu, młokosie? Mleko masz jeszcze pod nosem, a mądralę przed starą babką udajesz. Odprowadź ptaszynę, aby jej jaki jastrząb nie upolował.

– Do zobaczenia, pani Serafino. – Bianka uściśnęła jej rękę.

– Zajdźże ty do mnie znowu – rzekła staruszka, nachylając się do Bianki. – I przynieś, com mówiła.

– Na pewno panią odwiedzę – obiecała Bianka.

Razem z Ryśkiem udali się w dół pagórka.

– Nie zanudziła cię babka? – spytał Rysio, kiedy doszli do Wisły. Rzeka płynęła wartko, zagłuszając rozmowę, dlatego nieco przybliżył się do Bianki.

– Nie. – Bianka się roześmiała. – Pana babcia zabrała mnie na spacer do miejsca, które mi pan wcześniej pokazał.

Rysio zatrzymał się i zaciekawiony popatrzył na Biankę.

– Chodzi o ten kawałek lasu, gdzie pani Serafina wykopała skrzynkę – doprecyzowała.

– A po cóż ona cię tam ciągnęła? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedziała nie do końca zgodnie z prawdą. Widocznie Serafina musiała mieć powód, żeby nie być szczerą ze swoim wnukiem. – Po prostu poszliśmy tam na spacer. Pana babcia miała ochotę się przejść.

– Ach, ta babka – bąknął. – Następnym razem lepiej jej nie słuchaj – dodał.

Rozstali się przy studni na kazimierskim rynku. Rysio proponował, że odprowadzi Biankę pod dom Klary, ale ona uznała, że będzie lepiej, jeśli dalej pójdzie już sama.

Kiedy przekroczyła bramę, zauważyła, że w domu pali się światło, mimo że na zewnątrz jest jeszcze dość jasno. Wieczorna szarówka nie zdążyła całkowicie zabrudzić powietrza mrokiem. W holu powitała ją cisza, zupełnie tak, jakby wszyscy już spali. Pora kolacji minęła dwie godziny temu. W piątkowe wieczory Marta czasami zostawała nieco dłużej, ale dzisiaj pewnie pojechała wcześniejszym autobusem. Bianka udała się więc do swojego pokoju.

Po wejściu na piętro zatrzymała się przy balustradzie i spojrzała na drzwi do pokoju Samuela. Umówiły się z Martą, że dzisiejszego wieczoru to gospościa pójdzie do Sama z kolacją. Biankę kusilo jednak, by wejść do niego i powiedzieć „dobranoc”. Przeraziła ją ta myśl. Czy to znaczyło, że za nim tęskni? Przecież nie widziała go zaledwie od kilku godzin. Szybko ruszyła do swojego pokoju. To, co zobaczyła w środku, -zważyło ją z nóg.

Przy uchylonym oknie stał obcy mężczyzna. Z ciekawością przyglądał się wiśniowemu futerałowi, w którym były zamknięte skrzypce Walentyny. Kiedy jednak zauważył Biankę, zapomniał o futerale.

– Dobry wieczór – rzekł zaczepnie, robiąc krok w jej kierunku.

– Co pan robi w moim pokoju? – odezwała się niepewnym głosem.

– To pani tutaj mieszka? – Uśmiechnął się zawadiacko, unosząc jeden z kącików ust. – Zazwyczaj to ja tu pomieszkiwałem.

– Pan?

– Tak. – Mężczyzna, w odróżnieniu od niej, zachowywał się bardzo swobodnie. – Zdziwiłem się, że mama tym razem ulokowała mnie w pokoju na parterze. Jestem Olaf. – Wyciągnął do niej rękę.

Bianka nie zareagowała na to spontaniczne powitanie.

– Pan w ogóle nie powinien wchodzić do tego pokoju – powiedziała, tym razem pewnym głosem.

– Nie wiedziałem, że ktoś tutaj mieszka. To znaczy matka wspominała, że zatrudniła jakąś młodą kobietę, ale... – Olaf się zawstydził, bo zauważył koronkowy biustonosz leżący na oparciu krzesła.

– Na pewno pan nie wiedział? – spytała kąśliwie, również zerkając na bieliznę, której nie zdążyła schować do szafy.

– Przepraszam. – Olaf zmieszał się jeszcze bardziej. – Już uciekam. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

– W porządku – rzekła. Zrobiło jej się żal tego mężczyzny. Wyglądało na to, że rzeczywiście nie do końca zdawał sobie sprawę z jej obecności w domu.

Dostrzegła, że jest bardzo podobny do Samuela. Te same rysy twarzy, ciemne oczy, śniada cera. Różnili się właściwie tylko kolorem włosów – włosy Olafa miały ciemnobrązowy odcień, chociaż tak jak u Samuela łagodnie zakręcały się na końcach, sprawiając wrażenie niesfornych.

– Pan jest synem pani Klary, który miał przyjechać z wizytą, tak? – zapytała, aby się upewnić, choć przecież Olaf już się jej przedstawił.

– Tak – odpowiedział. – Jestem Olaf. – Po raz drugi wyciągnął rękę.

– Bianka. – Tym razem podała mu dłoń.

To znów ośmieliło mężczyznę.

– Jeszcze raz cię przepraszam. – Na jego ustach pojawił się swawolny uśmiech. – Następnym razem zapukam. – Przyglądał jej się z dużym zainteresowaniem.

– Zamierzasz mnie znów odwiedzić? – spytała zaczepnie, chcąc rozładować wciąż nieco napiętą atmosferę.

– Nie – odrzekł natychmiast. – To znaczy... nie wiem, czy tego chcesz. – Płatał się. – Lepiej już pójdę, ta wizyta jest nie na miejscu. – Nim się spostrzegła, stał po drugiej stronie drzwi. – Dobranoc – powiedział jeszcze cicho.

– Dobranoc – odparła.

Lampa w jadalni poruszała się jeszcze kilka sekund po tym, jak Marta zamknęła okno.

– Straszny dziś wiatr. – Gospodyni poprawiła firankę. – Wszystko zrobione, mogę się już zbierać. – Zerknęła w stronę kuchni lśniącej czystością. – Nie wiem, dlaczego dałam się namówić pani Klarze na ten dodatkowy dzień. W domu robota stoi, a ogródek zarośnięty jak nigdy wcześniej. – Wydawała się poirytowana. – W sobotę autobusów jak na lekarstwo, nie wiem, na którą dotrę do domu. – Zerknęła na zegarek.

– Mogę panią odwiedzić – zaproponowała Bianka. Żal jej było gospodyni.

Wyglądało na to, że przyjazd Olafa postawił cały dom na głowie. Od wczoraj Klara miała do Marty nieustanne pretensje. A że serwetki stołowe nie w takim kolorze, jak powinny być, i psują wystrój całości. A że Marta za wolno się porusza i ze wszystkim się spóźnia. Marta tylko przygryzała usta i odwracała się, żeby nie wybuchnąć. Kiedy więc posprzątała po obiedzie, chciała jak najszybciej wymknąć się do domu.

– Nie przejmuj się – odpowiedziała i sięgnęła po torebkę. Wsunęła rękę do bocznej

kieszonki. – Drobniaki na bilet. – Uśmiechnęła się, wyciągając kilka monet.

Bianka wciąż była gotowa do pomocy, ale gospodyni nie chciała jej fatygować.

– Usiądź, kochana, i odpocznij, a najlepiej schowaj się w swoim pokoju. Obawiam się, że gdy mnie zabraknie, Klara może próbować wysługiwać się tobą. Nie daj się! – Marta się roześmiała.

– Pani Marto, na pewno chce pani jechać autobusem? Ja naprawdę mogę...

– Tak, jestem pewna. Zmykaj do siebie, zanim Klara wywęszy, że już się ulotniłam. Przecież jej ukochanemu Olafowi nie może zabraknąć ptasiego mleka.

Bianka odniosła wrażenie, że łagodny ton Marty w pewnym momencie przybrał złośliwą nutę.

Po wyjściu gospodyni dziewczyna wolno ruszyła schodami na górę. Kiedy była mniej więcej w połowie drogi, na dole usłyszała kroki, a potem męski głos.

– Bianco, zaczekaj.

Zatrzymała się i odwróciła. Na dole stał Olaf. Wpatrywała się w niego bez słowa. Mężczyzna w kilku susach pokonał dzielące ich stopnie.

– Fajnie, że cię widzę... – zaczął, ale Bianka weszła mu w słowo.

– Przecież dopiero co się widzieliśmy – zauważyła.

Od obiadu nie minęła nawet godzina, a przy stole nie zamienili słowa. Olaf wymijająco odpowiadał na pytania matki, która wpatrywała się w niego jak w obraz. Bianka zauważyła, że unikał wścibskiego wzroku Klary i dokładnie ważył słowa.

Zarówno przy śniadaniu, jak i podczas obiadu Bianka siedziała jak na szpilkach. Kiedy wstała od stołu, natychmiast popędziła do Samuela. Przywitał ją przyjaźnie, ale z dystansem. Tak było od nocnego spotkania w jej pokoju.

– No niby tak. – Olaf się speszył, ale już po chwili odzyskał pewność siebie. – Przy stole rozmowa jakoś się nie kleiła. – Ściszył głos, jakby się obawiał, że ktoś go usłyszy. – Masz teraz czas? – spytał wprost.

– W sumie tak – odpowiedziała, spoglądając na niego niepewnie. Nie miała pojęcia, co planował.

– To świetnie. W takim razie może wybierzemy się do miasteczka? Chciałem odwiedzić jedno miejsce. – W jego głosie dało się słyszeć ekscytację.

Nie odpowiedziała, tylko przez dłuższą chwilę patrzyła na niego, zastanawiając się, co powinna zrobić.

– To jak będzie? – ponaglił ją.

Starła się wymyślić jakąś wymówkę.

– Nie pożałujesz. – Uśmiechnął się zaczepnie.

– Zgoda – odrzekła w końcu, wzruszając ramionami.

– Ile czasu potrzebujesz? – Spojrzał na zegarek.

– Właściwie to... jestem gotowa.

– To znaczy, że już mogę cię porwać? – zażartował.

– Tak – powiedziała, odsuwając się od niego. Potem szybko zbiegła ze schodów.

Przed domem Olaf spojrział w kierunku samochodu zaparkowanego kilka metrów dalej.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to wolałbym się wybrać na piechotę, chyba że...

– W porządku, lubię chodzić – weszła mu w słowo.

Kiedy znaleźli się za bramą, Olaf się ożywił. Wyprzedził Biankę, a później zatrzymał się naprzeciw niej, zagradzając jej drogę.

– Fajnie, że cię tu spotkałem. W końcu będzie można z kimś normalnie porozmawiać. – Wpatrywał się w Biankę, a ona przez chwilę zastanawiała się, czy go ominąć, czy podjąć rozmowę.

– Nie za bardzo wiem, o czym mówisz – bąknęła i lekko przesunęła się w bok.

Olaf się roześmiał, lecz później spoważniał.

– Nie udawaj – rzekł z naciskiem.

Spojrzała na niego pytająco.

– Dziwię się, że tak długo tutaj wytrzymałaś. Podobno jesteś tu od początku wakacji. – Olaf wyglądał tak, jakby czekał na wyjaśnienia.

Bianka odwróciła się od niego. Nie zamierzała mu niczego wyjaśniać. To, w jakim celu pojawiła się w domu jego matki, było jej tajemnicą. Wystarczyło, że każdego dnia musiała udawać przed Samuelem.

– Twoja mama mnie zatrudniła, więc... – Pomyślała, że jednak powinna powiedzieć Olafowi co nieco o sobie. Niestety nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

– W porządku, nie musisz mi niczego tłumaczyć. – Na szczęście mężczyzna zmienił temat rozmowy. – Swoją obecnością sprawiłaś mi dużą niespodziankę. Mam szansę spędzić czas z interesującą osobą. Przynajmniej nie będę skazany na przymusowe towarzystwo pani matki. – Uśmiechnął się blado. Wyglądało to tak, jakby nie do końca przemyślał swój żart.

– A twój brat? – zapytała nagle. Wydało jej się wielce niesprawiedliwe, że Olaf do tej pory nie wspomniał o Samie.

– Samuel? – Uśmiechnął się niewyraźnie i pomału ruszył do przodu.

Bianka szła obok niego.

– Tylko mi nie mów, że nie zauważyłaś, jaki z niego dziwak.

– Nie mów tak o nim. – Oburzyła się.

Olafa zaskoczyła jej reakcja.

– Nie miałem nic złego na myśli. Ale... to jego wybór. Sam odgradza się od ludzi, zamyka przed światem. – Wydawało się, że Olaf chce usprawiedliwić swoje wcześniejsze słowa.

– Może nikt tak naprawdę nie chce mu pomóc?

– Nie wiesz, co mówisz! – krzyknął i przyspieszył kroku.

Bianka nie próbowała go dogonić. Po chwili jednak sam się zatrzymał.

– Przepraszam – rzekł, spoglądając jej prosto w oczy. – Nie wiesz o wielu sprawach. Ja i mój brat nie byliśmy święci, ale los postąpił z nim nie fair. Miał przed sobą piękne życie, świat leżał u jego stóp, a w jednej chwili stracił wszystko. – Olaf posmutniał.

– Nie stracił wszystkiego, wciąż żyje – zauważyła Bianka.

– Co to za życie?

Bianka nie miała już ochoty rozmawiać o Samuelu, nie w taki sposób. Woląла suche informacje, które co jakiś czas serwowała jej Marta. Słowa Olafa były pełne emocji. Po tej rozmowie Bianka miała pewność, że obu mężczyzn łączą jakieś trudne sprawy z

przeszłości. Postanowiła zmienić temat i zapytała Olafa o drogę.

– Zazwyczaj chodzę na skróty, ale jeśli chcesz, możemy pójść w tamtym kierunku – odpowiedział, siląc się na obojętny ton.

– Też zwykle wybieram skrót.

Przez całą drogę do rynku milczeli. Bianka czuła, że Olaf jest myślami przy swoim bracie. Dopiero kiedy zatrzymali się przy studni, na jego twarz wrócił uśmiech.

– Uwielbiam to miejsce. – Spojrzał na Biankę z błyskiem w oku. – Gdy byłem mały, obiecałem sobie, że kiedyś na stałe zamieszkać w Kazimierzu.

– Czy coś stoi na przeszkodzie?

– Jest wiele przeszkód. – Spoważniał. – A największa z nich to moja praca. Zadomowiłem się już w Wiedniu. Pewnych spraw nie można zmienić z dnia na dzień. – Zastanawiał się, kładąc dłoń na daszku studni.

– Można, jeśli się tego chce – odpowiedziała pewnie Bianka.

– Naprawdę w to wierzysz? – Popatrzył na nią sceptycznie.

– Chyba tak, chociaż... – Urwała. Przecież ostatnie miesiące przeczyły tym słowom. Nie miała wpływu na wiele wydarzeń, nie mogła uzdrowić mamy, nie wiedziała, jak pomóc ojcu, który po śmierci żony pogrążał się w rozpacz, nie wiedziała, skąd wziąć bająską sumę potrzebną na leczenie. A jednak się nie poddała. Wiedziała, że musi żyć dla ojca i dla siebie, choć ostatnio to życie jakby przeciekało jej przez palce. Tylko kiedy grała, była szczęśliwa i wolna. Gdy brała do rąk skrzypce, czuła, że wkracza do innego świata. Z nutami, które zamieniała na muzykę, wszystko było łatwiejsze. Nawet teraz czuła tę pewność.

– Zamyśliłaś się – zauważył i lekko trącił ją w rękę.

– Rzeczywiście. – Zmieszanie starała się zamaskować uśmiechem.

– Podoba ci się w Kazimierzu?

– Tak – odrzekła, spoglądając na oryginalną fasadę kamienicy braci Przybyłów.

– Podobno zostajesz tu do końca wakacji. Dlaczego tak krótko?

– Bo... – Nie mogła znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi. – Chciałam trochę pobyć w Kazimierzu, a że akurat natrafiłam na ogłoszenie pani Klary, postanowiłam połączyć przyjemne z pożytecznym. – Poczerwieniała. – Jestem nauczycielką, więc wakacje mam wolne – dodała po chwili, widząc wciąż zaciekawione spojrzenie Olafa. Zauważyła, że ta wymyślona na poczekaniu historyjka go nie przekonała.

– Jesteś nauczycielką? Czego uczysz?

– Uczę gry na skrzypcach w szkole muzycznej. – Ściszyła głos i zerknęła za siebie. Wyglądało to tak, jakby zdradziła jakąś wielką tajemnicę.

Olaf się uśmiechnął.

– Myślałem, że jesteś... no wiesz... że masz coś wspólnego z pracami biurowymi. Moja matka zatrudniła cię...

– Tak, wiem. – Ucieła, bojąc się dalszych pytań. Nie przewidziała tego, że w jej życiu pojawią się kolejne osoby, przed którymi będzie zmuszona grać rolę narzuconą jej przez Klarę. Rolę, na którą sama przystała.

– Teraz rozumiem, skąd futerał ze skrzypcami w twoim pokoju. Przyznam, że od wczoraj się nad tym zastanawiałem. Samuel o tym wie? – Przybliżył się do niej.



– Tak – odpowiedziała szybko i odwróciła głowę. Zmieniła temat. – Mówiłeś, że chcesz odwiedzić jedno miejsce. – Rozejrzała się po rynku.

– Chciałem wybrać się z tobą do ruin zamku. Dawno mnie tam nie było. – Odwrócił się i spojrzał w kierunku wzgórza. – Widziałas je już?

Przytaknęła.

– Piękne miejsce. Z baszty roztacza się cudowny widok na okolicę – powiedziała.

– W takim razie chodźmy. – Olaf wydawał się zadowolony.

Ruszyli w kierunku kościoła farnego i zamkowego wzgórza. Na dziedzińcu otoczonym ruinami z jasnego kamienia kręcił się tłum turystów. Olaf i Bianka precyzyjnie się obok grupki kobiet w podeszłym wieku zawzięcie dyskutujących o pogodzie. Starsze panie podnosiły głowy i z obawą spoglądały w niebo, na którym zaczęło przybywać chmur.

– Kiedyś było tu znacznie spokojniej – rzekł Olaf.

– Kiedyś?

– Dawno temu, kiedy ja i Sami byliśmy jeszcze dziećmi. Często tutaj przybiegaliśmy. Przyjeżdżaliśmy do Kazimierza na każde wakacje i święta. – Olaf z sentymentem rozejrzał się po znajomym miejscu. – Wydaje się, jakby to się działo wczoraj. Wtedy wszystko było łatwiejsze. – Spoważniał i spojrzał na Biankę.

– Tak, rzeczywiście, ja też czasem mam ochotę cofnąć się do dzieciństwa. – Myśli Bianki poszybowwały do pachnącego starymi meblami mieszkania na poznańskim rynku. Była tam bardzo szczęśliwa. – Lubicie się z Samuelem? – spytała bez zastanowienia.

– Co za pytanie? – Olaf się zmieszał. – Oczywiście, że się lubimy, to mój brat.

– Może powinniście się tutaj wybrać razem, skoro jak twierdzisz, to wasze ulubione miejsce. – Zerknęła badawczo na Olafa.

Popatrzył na nią obojętnym wzrokiem.

– Nie sądzę, żeby Sami miał na to ochotę – odparł zdawkowo i odwrócił się w stronę dziedzińca. – To jak, wspinamy się na wieżę strażniczą?

– Chodźmy.

Drogę pokonali wolnym tempem. Olaf co chwila przystawał. Nie dlatego, że był zmęczony, ale po to, by dokładniej przyjrzeć się mijanym miejscom.

– Od zawsze się różniliśmy, ale teraz... – mówił jakby do siebie.

Przechodzący obok turyści utrudniali rozmowę, więc Bianka zbliżyła się do niego.

– Mówisz o Samuelem? – zapytała, choć wiedziała, że Olaf ma na myśli brata.

– Tak – odpowiedział, nie odwracając wzroku od zielonego kłębowiska drzew. – Mówią, że przeciwieństwa się przyciągają, i coś w tym jest, ale nie do końca.

– Czy wcześniej, to znaczy przed wypadkiem, się dogadywaliście? – Bianka niechętnie trąciła Olafa w rękę.

To go ocuciło. Popatrzył na nią przytomniejszym wzrokiem.

– Tak – odparł konkretnie, jakby to musiało wystarczyć.

Biankę jednak coraz bardziej intrygowała relacja łącząca braci. Interesował ją głównie Sam. To o nim chciała się jak najwięcej dowiedzieć. Teraz nie tylko musiała się do niego zbliżyć, ale też tego chciała. Coraz mocniej...

– Może powinienes... – Spojrzała Olafowi prosto w oczy.

– Myślisz, że nie próbowałem? – odrzekł podniesionym głosem. – To niemożliwe, Sami jest teraz innym człowiekiem. I nie chodzi tylko o to, że stracił wzrok. Czuję, że jego kalectwo to tylko przykrywa. Że w tym wszystkim chodzi o coś zupełnie innego. – Najwyraźniej uznał, że powiedział zbyt dużo, bo nagle przerwał.

– Co masz na myśli? – Jej głos zdradzał ciekawość.

– Nieważne. Jak pewnie zauważyłaś, moja rodzinka jest trochę dziwna. – Machnął lekceważąco ręką, a potem zaczął iść do góry.

Bianka ruszyła za nim. W połowie schodów Olaf nagle się zatrzymał i odwrócił do niej.

– Wiesz, kiedy ja i Sami mieliśmy po kilka lat, urządaliśmy sobie na tych schodach zawody. Teraz myślę, że nie było to zbyt rozsądne, ale dziecko widzi wszystko inaczej. – Uśmiechnął się rozbajajaco. – Gdy biegaliśmy, stopnie trzeszczały, jakby zaraz miały się rozpaść, ale to nas tylko dopingowało. Raz o mały włos nie przeleciałem przez barierkę.

– Kto wygrywał?

– Różnie bywało. Sami jest młodszy. W dzieciństwie był szczupły i anemiczny, często dawałem mu fory. – Olaf się roześmiał.

– Rozumiem. – Bianka mu zawtórowała.

Kiedy znaleźli się na szczycie, o dziwo, nie było tam nikogo. Widok jednak nie zachwycał – w ciągu kilkunastu minut niebo pokryły tabuny ciemnych chmur.

– Chyba za moment zacznie padać.

– Nie sądzę. – Bianka zadarła głowę tak wysoko, że aż poczuła zawroty. Oparła rękę o kamienny bok. – Nie wiem, jak w Austrii, ale w Polsce pogoda ostatnio w kratkę. Mimo to deszczu wciąż jak na lekarstwo. Marta narzeka, że jeśli dalej będzie tak sucho, to kazimierska ziemia zamieni się w popiół.

– Czyli nic się nie zmieniło, Marta nadal trzyma ster. Gdyby nie ona i jej rodzina, interes mojej matki już dawno by się zawalił.

– Chodzi ci o Małgosię i jej męża? – Bianka zauważyła, że kiedy Olaf wspomniał o Marcie, stracił trochę wrodzonej pewności siebie.

– Tak, świetnie zarządzają winnicą. Gosia zawsze miała do tego dobrą rękę.

– A dlaczego ty nie chciałeś się zająć rodzinnym biznesem?

Olaf speszył się jej pytaniem.

– Bo... czasem łatwiej jest po prostu schować głowę w piasek – odpowiedział w końcu wymijająco.

Pomimo że Bianka czuła się w towarzystwie Olafa dość swobodnie, nie śmiała wypytywać go o sprawy, które z jakiegoś powodu chciał zachować wyłącznie dla siebie.

– Chyba miałeś rację. Kropi. – Bianka wyciągnęła przed siebie rękę, na której zaraz wyraźnie poczuła krople deszczu.

– Powinniśmy się zbierać – zdecydował Olaf. – Choć szanse na to, że nie zmokniemy, są raczej marne.

– Nie jesteśmy z cukru – rzuciła Bianka dziarsko.

Szybko schowali się wewnątrz wieży. Padało coraz mocniej. Olaf wychylił głowę na zewnątrz, ale zaraz wycofał się do środka.

– Będzie lepiej, jeśli to przeczekamy. – Zerknął na Biankę.

– No co ty, przecież się nie roztopimy. Chodź. – Dziewczyna odważnie wyszła na zewnątrz i szybko zbiegła po stromych schodach.

Olaf przez chwilę obserwował ją z niedowierzaniem, ale kiedy przekonał się, że nie wróci, ruszył za nią.

– Jesteś pewna? – zapytał, biegnąc za dziewczyną.

– Tak, jestem pewna. – Roześmiała się. – Dawno nie zmok-łam. – Zatrzymała się i spojrzała Olafowi prosto w oczy.

Uśmiechnął się zabawnie.

W tej chwili poczuła do niego wielką sympatię. Zupełnie tak, jakby strugi deszczu zmyły z nich wszelkie przejawy nienaturalności. Coraz lepiej czuli się we własnym towarzystwie.

Krople deszczu uderzały w rozgrzaną ziemię z coraz większą częstotliwością. Olaf już się nie zastanawiał, czy powinni poczekać. Biegł tuż za Bianką, nie zważając na to, że jego skórzane sandały oblepiły się błotem. Kiedy z powrotem znaleźli się na rynku, byli doszczętnie przemoknięci. Włosy Bianki przypominały niesforne sprężynki, wyglądała jak mała dziewczynka. W jej policzkach pojawiły się niewielkie dołeczki, co ostatnio zdarzało się rzadko. Przesunęła ręką po twarzy, zagarniając włosy, i znów się roześmiała, zdała sobie bowiem sprawę ze swojego nietypowego wyglądu.

– Wyglądamy jak niedorajdy. – Chwyciła brzeg podkoszulka i wykręciła go.

– Nie tylko my.

Cały rynek pokrywały rozległe kałuże, a ociekający deszczem przechodnie starali się je omijać.

– No i przestało padać. – Olaf strzepnął dłonie. Dobry humor go nie opuszczał. – Widzisz? Mogliśmy jednak poczekać chwilę w baszcie.

– Żałujesz? – Bianka trąciła go zaczepnie w bok.

– Ależ skąd. Ominęłyby nas niezła atrakcja. – Przybliżył się do niej i dotknął mokrego rękawa jej T-shirtu. – Zmykajmy do domu, bo się przeziębisz. Poza tym... – Na moment spoważniał. – Pani matka będzie się niecierpliwic – dodał żartobliwie, ale odniosło to odwrotny skutek.

Na wspomnienie Klary Bianka natychmiast wróciła na ziemię.

– No dobrze, koniec wygłupów. Choć muszę przyznać, że było miło. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni kąpałam się w deszczu.

– Może jeszcze dokądś wstąpimy? Napijesz się czegoś ciepłego – zaproponował Olaf.

– Nie, lepiej już wracajmy – odparła i przyspieszyła kroku.

Szli dość szybko. Mokre ubrania kleiły im się do skóry, a wiatr smagający ich ciała potęgował uczucie chłodu. Deszcz całkiem przestał padać, ale słońce już nie wyszło – godziny jego urzędowania dobiegły końca. Zza dachu najbliższej kamienicy nieśmiało wychylał się szczupły rożek księżycy.

Klara stała przed domem. Sprawiała wrażenie nieobecnej duchem, ale Bianka wiedziała, że to z jej strony tylko gra. Niby wyszła na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza, lecz jej roztarg-niony wzrok zdradzał prawdziwy powód wieczornego wyjścia. Czekiła na Olafa.

Kiedy syn stanął naprzeciw niej, nieumiejętnie starała się ukryć radość wymieszaną ze złością. W konsekwencji na jej twarzy pojawił się nieciekawny grymas. Obok Klary stał Vincent. W nikłym blasku lampy wyglądał jak jej cień. Niewielka ilość światła powodowała, że rysy jego twarzy wydawały się jeszcze ostrzejsze, a policzki – bardziej zapadnięte.

– Długo was nie było. – Klara patrzyła prosto w oczy syna, ignorując obecność Bianki.

– Zrobiliśmy sobie małą wycieczkę. – Olaf parsknął śmiechem, najwidoczniej zapomniawszy, że właśnie znajduje się przed obliczem pani matki.

– Jak ty wyglądasz?! – zapytała Klara surowym głosem, mierząc syna wzrokiem. Nadal nie zwracała uwagi na Biankę. Zupełnie tak, jakby dziewczyna nie istniała.

Obecność matki podziałała na Olafa jak zimny prysznic.

– Wejźmy do domu, powinniśmy się przebrać. – Przesunął ręką po mokrych dżinsach.

Klara zastygła w bezruchu, ale już po chwili odwróciła się na pięcie i sobie poszła, odprowadzona przez swojego lokaja. Olaf i Bianka też weszli do środka. Ponura atmosfera domu sprawiła, że ich jasne, pełne optymizmu myśli nagle poszarzały.

– Dzięki za miłe popołudnie, dawno się tak świetnie nie bawiłem – powiedział Olaf. Bianka zauważyła, że nerwowo ucieka wzrokiem w stronę pokoju matki.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziała.

– No to do jutra. Wyjeżdżam dopiero wieczorem, więc na pewno jeszcze się zobaczymy. – Olaf powiedział to tak, jakby chciał już mieć pożegnanie za sobą.

W tym domu zachowywał się zupełnie inaczej niż na kazimierskim rynku. Można pomyśleć, że lepkie macki jego matki złapały go, gdy tylko znalazł się w jej siedlisku. Nie mógł się uwolnić, dlatego wołał nie prowokować Klary i zachowywał się tak, jak tego oczekiwała. Przekroczywszy próg domu, wślizgnął się w ciasny garnitur norm, który niczym najlepszy krawiec uszyła dla niego matka.

– Do jutra. – Bianka, która widziała jego napięcie, postanowiła ułatwić mu sprawę. Skorzystał z okazji i się oddalił.

Ledwie zrzuciła z siebie mokre ubranie i weszła do wanny, a usłyszała, że ktoś dzwoni. Szybko się opłukała, owinęła ręcznikiem i popędziła do telefonu. Ucieszyła się, kiedy na wyświetlaczu zobaczyła numer taty. Ostatnio rzadko ze sobą rozmawiali. Natychmiast oddzwoniła.

– Cześć, tату – przywitała się entuzjastycznie.

– Witaj, chochliku – odpowiedział miękko, a jej od razu zrobiło się lżej na sercu.

Tęskniła za nim każdego dnia, czasem mniej, a czasem bardziej, jednak wciąż o nim myślała. Dobrze, że chociaż miała skrzypce babki Walentyny – dzięki nim czuła łączność z tatą.

– Co tam u ciebie, kochanie? – spytał ogólnikowo Zygmunt.

– Dobrze – odparła odruchowo. Dopiero potem zastanowiła się nad swoją odpowiedzią. Pomyślała, że w gruncie rzeczy nie jest źle, choć nadal znajduje się w punkcie wyjścia.

– Jesteś pewna, że chcesz tam zostać do końca? – Zygmunt nie dał się zbyć.

– Zostało nieco ponad miesiąc, czas tak szybko leci. Chyba powinnam bardziej się postarać. – Znowu zastanowiła się nad swoimi słowami.

– Czasami starania nie wystarczą. Wiesz, że w każdej chwili możesz zrezygnować. Za moje koncerty uzbiera się spora sumka, więc...

– Tatku...

– Chciałem ci tylko przypomnieć, że zawsze możesz wrócić. Damy radę.

– Wiem, tatku. Dziękuję, ale niepotrzebnie się o mnie martwisz. Mówisz tak, jakbyś mnie nie znał. Wiesz, że nie zrezygnuję.

– Znam cię dobrze. Jesteś tak samo uparta jak nasze poznańskie koziołki. Mania ciągle cię do nich porównywała, pamiętasz?

– No pewnie. Jak mogłabym zapomnieć o mamie?!

Przez chwilę w słuchawce panowała głucha cisza.

– Tatku – odezwała się w końcu Bianka. – Naprawdę nie musisz się o mnie martwić, świetnie sobie radzę. Klara może jest specyficzna, ale oprócz niej poznałam tutaj wiele osób, dzięki którym całkiem przyjemnie spędzam czas w Kazimierzu. – Pomyślała o Olafie, bo to z nim dzieliła ostatnie wesołe godziny.

Nagle drzwi do jej pokoju się otworzyły. Stała w nich Klara.

– Tatku, muszę kończyć – rzekła cicho Bianka.

– Czy coś się stało? – Zygmunt od razu wyczuł zmianę w jej nastroju.

– Nie wiem... Nie... To znaczy wszystko w porządku. Zadzwoń później. Pa. – Szybko się rozłączyła.

Odłożyła telefon na parapet i zacisnęła ręcznik na nagim ciele. Bez słowa wpatrywała się w Klarę zmierzającą do niej wolnym krokiem. Dopiero kiedy kobieta stanęła naprzeciw niej, Bianka odważyła się zapytać:

– Dlaczego weszła pani bez pukania?

Klara ciskała z oczu groźne błyski. Nie odpowiedziała od razu, tylko upajała się zdenerwowaniem dziewczyny.

– Nie udawaj świętoszki, nie wychodzi ci to. – Klara mocno chwyciła Biankę za rękę i z rozmysłem wbiła w nią swoje długie paznokcie pomalowane czarnym połyskliwym lakierem.

– Auu! – krzyknęła Bianka i odskoczyła od Klary. – Co pani robi?! – spytała zdezorientowana.

Klara zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Odczep się od mojego syna – powiedziała.

– Od pani syna? Nie rozumiem.

– Przestań grać, przejrzałam cię. – Zrobiła krok w kierunku Bianki, ale ta cofnęła się, ile tylko mogła.

Za plecami poczuła chłodny parapet.

– Nie myśl sobie, że uwiedziesz Olafa! – Klara wykrzywiła usta.

– Olafa? – Bianka nie wytrzymała i się roześmiała, co jeszcze bardziej rozjuszyło kobietę.

– Ty idiotko, nie tak się umawialiśmy! – Nie przebierała w słowach.

– Pani Klaro, sądzę, że wyciągnęła pani mylne wnioski. Olaf i ja tylko wyszliśmy

na spacer. Nie wiem, dlaczego pomyślała pani, że...

– Zamilcz! Nie zamierzam słuchać twoich żalonych tłumaczeń. Chcę, żeby wszystko było jasne: masz się nie zbliżać do Olafa. Rozumiesz?

Bianka bezwolnie przytaknęła, choć sytuacja wydawała jej się absurdalna, to była jedna wielka pomyłka. A może jej wyjazd do Kazimierza był pomyłką? Jednego była pewna: z Klarą nie wygra. Matka traktowała Olafa jak świętego. Nie można było tak po prostu udać się z nim na przechadzkę.

– Czy wszystko jest dla ciebie jasne? – Klara wciąż wrogo wpatrywała się w Biankę.

– Tak – odrzekła dziewczyna cicho i kiwnęła głową. Nie mogła się jednak powstrzymać przed dalszymi wyjaśnieniami. – Ale myślę, że pani to źle odebrała.

Klara spiorunowała ją wzrokiem.

– Chciałam ci przypomnieć, w jakim celu się tutaj znalazłaś, bo zdajesz się o tym nie pamiętać.

– Pamiętam. – Bianka przygryzła górną wargę i spuściła wzrok.

– No właśnie. – Klara uśmiechnęła się z satysfakcją. – Myślę, że nie jesteś aż tak głupia, żeby wszystko zaprzepaścić.

– Pani mnie obraża. – Bianka uniosła wysoko głowę. Nie bała się spojrzeć w oczy Klary. Uodporniła się już na jej sztuczki, ale jednocześnie wiedziała, że znajduje się na straconej pozycji. Wciąż nie miała pewności, kim tak naprawdę jest dla niej Klara. Czy jest sprzymierzeńcem, czy wrogiem.

Ku uldze Bianki pani domu ruszyła w stronę drzwi.

– Zajmij się tym, co do ciebie należy. Nie chciałabym codziennie przypominać ci o naszej umowie.

– Nie musi pani tego robić. Wiem, po co tutaj przyjechałam. – Bianka miała zamiar jeszcze coś dodać, ale Klara wyszła. Drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

„Co ona sobie myśli?” Nerwowo ścisnęła brzeg ręcznika. Wróciła do łazienki i przebrała się w piżamę. Długo nie mogła się opanować, wizyta Klary całkowicie ją rozstroiła. Kilka razy brała do rąk telefon, żeby zadzwonić do ojca, ale obawiała się, że Zygmunt pozna po jej głosie, że coś jest nie tak. Nie miała wyjścia, musiała wziąć się w garść.

Do końca pobytu w Kazimierzu pozostawało coraz mniej czasu, a sprawy utknęły w miejscu. W pewnym momencie wydawało jej się, że jest już blisko Samuela, ale wtedy on znów się wycofał i zamknął w sobie. Szkoda, że Olaf wpadł do Kazimierza tylko na chwilę, bo może dzięki niemu udałoby jej się dotrzeć do Sama. Może poznałaby jakieś szczegóły z życia braci, które utorowałyby jej drogę do młodszego syna Klary? Potrzebowała strategii. Niestety w planowaniu zawsze była kiepska, żyła spontanicznie. Miała jednak przy sobie wielki oręż, skrzypce Walentyny. Z nimi była silniejsza. Czuła, że tylko one pomogą jej się zbliżyć do niewidomego mężczyzny. Przecież Sam kochał muzykę tak samo jak ona. Teraz to wiedziała.

Przewietrzyła pomieszczenie, a potem zamknęła okno. Znów zbierało się na deszcz. W pokoju zrobiło się chłodno. Usiadła na łóżku. Kiedy już miała wyłączyć lampkę nocną, ktoś zapukał do drzwi. Znieruchomiała.

„Czego ona znowu chce?” Z niezadowoleniem zsunęła się z łóżka i poczłapała do drzwi. Nie miała ochoty ich otwierać, dlatego odwlekała moment naciśnięcia klamki.

Pukanie już się nie powtórzyło. W pewnej chwili pomyślała nawet, że gość odszedł, jednak w końcu i tak otworzyła drzwi. Po drugiej stronie stał Samuel. Miał bardzo poważny wyraz twarzy. Kiedy znalazł się naprzeciw niej, zamknął oczy. Potem ją minął i wszedł do środka. Zatrzymał się dopiero przy oknie. Odwrócił się w jej kierunku i oparł o parapet.

Zaskoczona jego zachowaniem zamknęła drzwi.

– Dobry wieczór – rzekła ostentacyjnie.

Nie odpowiedział. Teraz miał otwarte oczy, które skierował w róg pokoju.

– Mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam tę wizytę?

Uśmiechnął się cierpko. Ten uśmiech dość długo pozostał przyklejony do jego ust.

– Jesteś taka sama jak wszystkie – powiedział z goryczą.

– Słucham? – Tego było już za wiele. – Czy wy wszyscy umówiliście się dzisiaj, żeby mnie dręczyć?! – Nie wytrzymała.

– Wszyscy? – Samuel spuścił z tonu, ale wciąż wydawał się najeżony.

– Nieważne. – Bianka sapnęła. – O co ci chodzi? – zapytała spokojniej.

– Na twoim miejscu nie robiłbym sobie zbyt wielkich nadziei, Olaf jesienią bierze ślub.

– Co takiego?

– Nie wiedziałaś? – Wydawał się usatysfakcjonowany.

– Dlaczego myślisz, że mnie to interesuje? – Słowa Samuela rozbawiły Biankę. Sytuacja zakrawała na farsę. Ta rodzinna niewątpliwie nie była normalna.

Reakcja Bianki trochę zmyliła Samuela. Długo nie wiedział, jak odpowiedzieć na jej pytanie.

– Olaf i Marika są ze sobą od kilku lat. W październiku biorą ślub w kościele farnym.

– To cudownie. Życzę im szczęścia, choć nie miałam okazji poznać przyszłej panny młodej. Mam nadzieję, że jest równie sympatyczna jak twój brat – rzekła Bianka lekko.

– Nie radziłbym wchodzić w drogę Marice, na pewno nie chciałabyś mieć jej za wroga.

– Nikomu nie zamierzam wchodzić w drogę. – Kiedy to mówiła, musnęła dłonią futerał ze skrzypcami. Dotyk wiśniowej skóry sprawił jej przyjemność. Kusiło ją, by wyjąć skrzypce. Poczła nieznaną wcześniej pewność siebie. Popatrzyła na Samuela ze świadomością, że ma nad nim przewagę, a następnie powiedziała coś, na co w innych okolicznościach na pewno by sobie nie pozwoliła.

– Ty jesteś o mnie zazdrosny – stwierdziła.

– Co takiego?! – Samuel odwrócił głowę, jakby się obawiał, że Bianka wyczyta z jego twarzy wszystkie uczucia.

– Lubię twojego brata, ale nie podoba mi się on jako mąż-czyzna. Wiesz, o czym mówię...

– Nie interesuje mnie to – rzekł sucho.

– Nie bój się, nie zagrozę szczęściu Olafa. Nie mam w zwyczaju zabierać się za

cudzych mężczyzn.

– Przestań! – Samuel złapał ją za rękę. – Nie baw się moimi uczuciami! – Dotknął ustami jej policzka, ale potem nagle się od niej odsunął.

Odniosła wrażenie, że ten mężczyzna patrzy w sam środek jej duszy. Teraz to ona straciła pewność siebie. Na policzku czuła ciepłe usta Samuela i pragnęła, żeby dotknął jej w taki sam sposób jeszcze raz. Nie zrobił tego jednak, tylko wycofał się jak spłoszony ptak. Po prostu wyszedł bez słowa.

– Cholera, co ja narobiłam?! – powiedziała sama do siebie. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywała.

Wsunęła się pod kołdrę i wyłączyła lampkę. Spojrzała na ścianę dzielącą ją od pokoju Sama. Czuła mocne bicie serca. Nie mogła zapomnieć dotyku Samuela, jego oczu. To dziwne, ale przez moment wydawało jej się, że kryje się w nich jakaś głębia, coś, czego dotąd nie zauważyła. „Czy ja go zraniłam? – rozmyślała, przewracając się z boku na bok. – Dlaczego pomyślałam, że bawię się jego uczuciami? Przecież jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi. A może nie?”

Kolejny dzień rozpoczął się od deszczu. Marta, mimo obszernego parasola, dotarła do domu Klary przemoczona.

– Chwała Bogu, że w końcu pada – powiedziała, mijając się z Bianką w korytarzu i otrzepując parasol. – A ty nie w łóżku? – Zdziwiła się, widząc dziewczynę na nogach przed siódmą.

– Jakoś nie mogłam spać.

– Dobrze się czujesz? – spytała Marta natychmiast.

– Tak. – Bianka ziewnęła. – Po prostu źle spałam, to wszystko. – Starła się zmienić temat.

– A ja spałam dzisiaj jak niemowlę. Gdyby pani Klara nie wyciągnęła mnie na służbę, pewnie nie wyszłabym z łóżka przed południem. – Marta też ziewnęła. – To zaraźliwe – powiedziała i uśmiechnęła się do Bianki. – Kiedy przyjeżdża panicz Olaf, to... – Machnęła ręką i z niepokojem spojrzała w kierunku sypialni Klary. – Zauważyłam, że ostatnio zmieniają się zwyczaje w tym domu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio pani Klara wezwała mnie w niedzielę. Masz ci los! – narzekała. – Chodźmy -lepiej do kuchni – rzekła, kiedy już odwiesiła kurtkę do wnęki.

Zanim znalazły się w kuchni, weszły do spiżarki i zabrały z niej kilka produktów potrzebnych do przygotowania śniadania. Marta zamknęła drzwi do małego pomieszczenia, a potem włożyła gruby pęk kluczy do kieszeni obszernej spódnicy. Jej dół wciąż był wilgotny, ale Marcie to nie przeszkadzało. W kuchni poczuła się jak ryba w wodzie i zapomniała o niewygodach dnia. Przywdziała fartuszek i tanecznym krokiem zaczęła przemykać między szafkami.

– Usiądź, zrobię ci kawę – zdecydowała, przysuwając do Bianki taboret.

Dziewczyna, niewiele myśląc, przycupnęła na nim. Innym razem na pewno zaproponowałyby Marcie pomoc, ale dzisiaj była naprawdę nie w sosie.

Marta należała do osób pozytywnie nastawionych do świata. Swoje dąsy zostawiła w holu.

– Masz. – Podała Biance duży biały kubek po brzegi wypełniony mocną czarną



kawą.

Bianka podziękowała i odstawiła kubek na brzeg blatu, żeby kawa wystygła, a Marta zabrała się do obierania warzyw, ale co jakiś czas czujnie spoglądała na dziewczynę.

– Niech zgadnę, pani Klara dała ci wczoraj mocno popalić, tak? – Na moment odłożyła nóż i popatrzyła na Biankę. Była pewna, że swoim pytaniem trafiła w sedno.

– Tak, rzeczywiście. – Bianka nie miała ochoty rozmawiać o wczorajszej sytuacji, ale Marty nie dało się łatwo zbyć.

– O co poszło? – spytała niby od niechcienia i wróciła do obierania.

– Właściwie to nie wiem o co. – Bianka wzruszyła ramionami. – Klara się wściekła, że wczorajsze popołudnie spędziłam z Olafem.

– Co takiego?! – Marta z wrażenia aż upuściła nóż. – Wyszłaś z Olafem? – zapytała takim tonem, jakby do końca w to nie wierzyła.

– Tak. Uważa pani, że to coś złego?

– Nie, no skąd! – Kiedy już miała wziąć do ręki nóż, znów odezwała się do Bianki: – Uważaj na niego.

– Nie chcę, żeby mnie pani źle zrozumiała. Tylko trochę sobie pogawędziliśmy, tak po przyjacielsku. – Nie wiedzieć czemu Bianka czuła potrzebę, żeby wytłumaczyć się przed Martą.

– Ja nic nie myślę, ale od takich pogaduszek zwykle się zaczyna. – Gospodyni pokręciła głową i chrząknęła.

Bianka wstała i przybliżyła się do Marty.

– Pani Marto, niech przynajmniej pani mi uwierzy. Olaf nie jest w moim typie, traktuję go jak dobrego znajomego. Jeśli oczywiście można tak nazwać kogoś po kilku godzinach.

– Wierzę ci. Chodzi o to, że Olaf... – Nagle popatrzyła w kierunku okna.

– Co Olaf? – ponagliła ją Bianka.

– Nic. Po prostu uważaj na niego – powiedziała krótko.

– Nie lubi go pani – stwierdziła dziewczyna.

– Nie. Źle odebrałaś moje słowa. Lubię Olafa, to dobry chłopak. Chodzi o to, że nie chcę, abyś przez niego cierpiała.

– Nie grozi mi to. Jak już pani mówiłam, nie jest w moim typie. Choć trzeba przyznać, że ma wiele uroku osobistego. – Bianka w zabawny sposób przewróciła oczami, czym w końcu przekonała Martę.

Gospodyni uśmiechnęła się do niej.

Kiedy Bianka weszła do pokoju, Samuel leżał na łóżku przykryty pledem. Sądziła, że śpi, starała się więc zachowywać cicho. Delikatnie odłożyła tacę ze śniadaniem i chciała niezauważenie wyjść. Gdy jednak znalazła się przy drzwiach, mężczyzna nagle się podniósł. Pospiesznie zrzucił z siebie nakrycie i usiadł na brzegu łóżka w tym samym miejscu co zazwyczaj.

– Myślałam, że śpiesz, więc nie chciałam przeszkadzać – odezwała się cicho Bianka.

– Dziękuję – rzekł powściągliwie.

Nie wiedziała, czy wyjść, czy też Samuel będzie miał coś jeszcze do powiedzenia.

Wciąż bardzo przeżywała to, co się wczoraj wydarzyło, nie umiała się odnaleźć. Teraz odniosła wrażenie, że Sam jej się przygląda. Lustrował ją swoim wewnętrznym wzrokiem, czuła to dogłębnie i jednocześnie czekała na jego słowa. Kiedy żadne nie padły, zdecydowała się wyjść.

– Pójdę już.

– Zaczekaj. – Sam się ożywił. – Usiądź obok mnie. – Zwrócił twarz w jej kierunku.

– Proszę – dodał, czując jej wahanie.

Powoli ruszyła w stronę łóżka. Usiadła kilkadziesiąt centymetrów od niego, ale on się przysunął.

– Długo myślałem o tym, co stało się wczoraj. – Gdy to mówił, miał zamknięte oczy.

Bianka przyglądała mu się bardzo uważnie. Bała się tego, co za moment może usłyszeć, a jednak pragnęła, żeby nie przestawał.

– Miałaś rację, rzeczywiście byłem o ciebie zazdrosny – rzekł pewnym głosem, a Bianka z wrażenia aż się wyprostowała.

Nie była przygotowana na takie wyznanie. Zaciśnęła usta, nie miała pojęcia, co powiedzieć. Milczenie wydawało jej się najodpowiedniejsze.

– Mam wrażenie, że znasz moje myśli, uczucia. – Jego głos nie był już tak pewny jak przed chwilą.

– Nikt nie zna myśli drugiego człowieka ani jego uczuć. – Spojrzała na niego z ukosa.

– Wrażliwi ludzie potrafią je odgadnąć. Ty taka jesteś...

– Skąd wiesz? – Zainteresowała się, bo w jego spostrzeżeniach rzeczywiście było sporo prawdy.

– Wiele nas łączy. – Przeciągał słowa.

– Na przykład?

– Wiesz, o czym mówię...

– Nie bardzo. – Grała na zwłokę, ale doskonale wiedziała, o co mu chodzi. Czuła jego bliskość i dziwne, trudne do zdefiniowania pokrewieństwo, lecz było jeszcze coś. Bała się, że ją przejrzy. Poniekąd znajdowała się po drugiej stronie barykady. Grała wyuczoną rolę i coraz bardziej przeszkadzała jej bliskość Sama. Ta bliskość była uzależniająca i zdecydowanie zbyt przyjemna.

– Łączy nas muzyka. – Uśmiechnął się szczerze.

Powiedział to w taki sposób, że Bianka nie miała już nic do dodania. Nie mogła temu zaprzeczyć. Czuła to dokładnie tak samo jak siedzący obok niej mężczyzna.

– Nie sądziłem, że będę chciał jeszcze kiedyś słuchać dźwięków skrzypiec. – W ustach Samuela te słowa zabrzmiały jak gorzkie wyznanie.

Bianka przyglądała mu się ostrożnie, zastanawiając się, ile będzie w stanie jej powiedzieć. Samuel najwidoczniej dojrzał do tego, by wyznać jej część prawdy, sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę na rozmowę.

– Czy moja matka ci powiedziała? – Nagle otworzył oczy.

– O czym? – Bianka czuła, że pali ją w gardle. Najchętniej rzuciłaby się do ucieczki.

„A co, jeśli on wie?” Może Klara wciągnęła ją w to wszystko dla zabawy? Przecież

od początku dziwnie się zachowywała.

– O tym, że kiedyś grałem na skrzypcach. – Głos Sama był pełen emocji.

– Tak. – Bianka odwróciła głowę do ściany. Bała się, że -Samuel przejrzy ją swoim wewnętrznym wzrokiem niczym najdokładniejszy skaner.

– Teraz domyślasz się, dlaczego jesteś mi tak bliska. Muzyka potrafi zniszczyć wszystkie bariery. – Lekko drgnął, jakby chciał się do niej przybliżyć. – Nie sądziłem, że jeszcze komuś o tym powiem. – Jego policzki lekko się zaróżowiły. Zaraz jednak odsunął się od niej, jak gdyby zdał sobie sprawę z chwilowej słabości.

– Cieszę się, że to od ciebie usłyszałam – rzekła Biana cicho. Nic innego nie przychodziło jej na myśl.

– Naprawdę? – Sam wyraźnie się ucieszył.

– Tak.

– Kiedy pojawiłaś się w naszym domu, myślałem, że będziesz jedną z wielu, ale ty jesteś inna. Wiem to.

Bianka głośno przełknęła ślinę. Z każdym kolejnym słowem Samuela była bardziej zdenerwowana. Czowała, że traci kontrolę nad własnymi uczuciami. Złapała się na tym, że chce się przybliżyć do Sama, dotknąć go, choćby tylko po to, by znów doświadczyć uczuć towarzyszących jej poprzedniego wieczoru.

– Pójdę już, Marta prosiła, żebym zaraz zeszła – skłamała. Podniosła się i już po chwili stała przy drzwiach.

– Mam do ciebie prośbę. – Samuel nie odpuszczał. Wyraźnie starał się ją zatrzymać.

– Tak? – Nacisnęła klamkę w obawie, że jeśli tego nie zrobi, zaraz zawróci, a między nią a Samuelem wydarzy się coś, czego potem oboje będą żałować.

– Nie wiem, czy się zgodzisz... – Ściszył głos.

– O co chodzi? – Starła się zachować pewność siebie. Zdawała sobie sprawę, że w tym momencie zgodzi się na wszystko, o co Sam ją poprosi.

– Chciałbym dokądś z tobą wyjść – powiedział bardzo szybko. – Dawno nigdzie nie byłem, chyba oduczyłem się życia.

Patrzyła na niego w osłupieniu, bo ta prośba przeszła jej wszelkie wyobrażenia. Niby normalna i prozaiczna, w innych okolicznościach wydałaby się czymś zwykłym. Biana czuła jednak, że zarówno dla Sama, jak i dla niej wspólne wyjście będzie nie lada wyzwaniem.

– Jesteś tego pewien? – Biana wciąż stała przy drzwiach, choć kusiło ją, żeby wrócić i znów usiąść obok Sama.

– Tak.

– Dokąd chciałbyś pójść? – To pytanie wydawało się najwłaściwsze. Czekwała na jego słowa, tworząc w myślach scenariusz potencjalnych odpowiedzi.

– Nie wiem – stwierdził, opuszczając ramiona. – Może zacznę od tego, że po prostu wyjdę poza ogrodzenie naszej posesji.

– W porządku. Kiedy? – W napięciu czekała na jego odpowiedź.

– To zależy od ciebie, od tego, kiedy będziesz mogła poświęcić mi czas – rzekł dość oficjalnie.

– Może być piątek? – zaproponowała.

– Piątek to idealny dzień. Będę miał pięć dni, żeby się do tego przygotować. – Usiłował mówić swobodnie, ale jego głos zdradzał zdenerwowanie.

– To świetnie. Czyli wszystko ustalone. – Żeby rozładować napięcie, klasnęła w dłonie. – W takim razie pójdę już – powiedziała, kiedy skrępowanie wyraźnie dało się obojgu we znaki.

Okazało się, że Klara niepotrzebnie ściągnęła dziś Martę do pracy. Pani domu nie pojawiła się na śniadaniu, mimo że gospodyni postarała się, aby na stole niczego nie brakowało. Wczesnym rankiem Klara – w towarzystwie Olafa i Vincenta – odjechała w stronę dal. Marta mogła wrócić przed południem, ale stwierdziła, że skoro już tu jest, to przygotuje szybki obiad dla Samuela i Bianki. Tym razem nie spieszyło jej się do domu.

Ten dzień przeleciał jak z bicza trzasnął. Klara i jej lokaj wrócili dopiero po zmroku. Z Olafem i Bianką nie miała już okazji porozmawiać, bo nie wrócił do domu, tylko od razu udał się w podróż powrotną do Wiednia. Można było się domyślić, że jego matka zadbała, aby więcej nie spotkał się z Bianką.

O tym, że w kolejnych dniach wszystko może się zdarzyć, Bianka przekonała się już we wtorek rano. W kuchni zastała podenerwowaną Martę. Kiedy starała się odgadnąć powód, który wyprowadził ją z równowagi, na myśl przychodziła jej tylko jedna osoba – Klara. Wczoraj po powrocie z wieczornej mszy panią domu rozboleła głowa, więc od razu się położyła. Podobno często miała napady migreny, ale jeszcze częściej symulowała różne dolegliwości, by zagrać na uczuciach innych. Vincent był na to niezwykle podatny, służył jej wówczas z jeszcze większą gorliwością. Niezależnie od tego, czy atak był prawdziwy, czy udawany, Marta wolała w takiej sytuacji zejść Klarze z drogi. Ograniczała się do podawania jej chusteczek nasączonych wodą różaną, które jej pracodawczyni przykładała sobie do czoła. Tym razem jednak gospodyni nie stresowała się z powodu Klary.

Marta wydawała się bardzo roztargniona, nie mogła sobie poradzić z otwarciem drzwi do spiżarni, a potem zapomniała wyjąć klucz z zamka. Wróciła po niego, głośno narzekając. Bianka usiadła na taborecie i milczała. W końcu postanowiła wypowiedzieć swoje obawy na głos.

– Wydaje mi się, że coś panią gryzie – zaczęła nieśmiało.

Mimo że dość dobrze poznała Martę, wciąż nie miała pewności, jak bardzo może się do niej zbliżyć. Gospodyni wiele jej o sobie opowiadała, ale były to raczej ogólniki. Czasem Biance wydawało się, że znacznie więcej wie o Gosi, o której Marta mówiła chętniej niż o swoim życiu.

– Oj, Bianco. – Marta obróciła się wokół własnej osi, rozglądając się za patelnią. – Gdzie ja ją wczoraj odłożyłam? – szeptała do siebie. W końcu ją wypatrzyła. – Zle spałam tej nocy, właściwie dopiero o świcie zmrużyłam oczy. – Westchnęła. – Na dodatek z samego rana zadzwoniła do mnie Małgosia.

– Coś się stało? – Bianka się zaniepokoiła.

Marta znów westchnęła.

– Właściwie tak. Chodzi o to, że... – Dłużej zatrzymała wzrok na twarzy Bianki, zastanawiając się, jak przekazać jej tę wiadomość. W końcu rzekła: – Pan Rysiek wczoraj nie pojawił się na plantacji. Gosia pytała, czy wiem, co się stało. – Zamilkła i spojrzała na

Biankę tak, jakby oczekiwała od niej wyjaśnień.

– Myśli pani, że...

– Nie wiem, Bianco. Rysio, jak to Rysio, ma swoje przyzwyczajenia, które trudno wypełnić. Wydawało mi się, że zależy mu na tej pracy, ale... – Marta nie odważyła się dokończyć. Jednak było widać, że ma na ten temat wyrobione zdanie.

– Zaraz po śniadaniu pójde do niego i sprawdzę, co się stało – obiecała Bianka. Była pewna, że musiało się wydarzyć coś nieoczekiwanego, co nie pozwoliło Ryśkowi zjawić się w pracy. Wierzyła, że wnuczek Serafiny nie zajrzał znowu do kieliszka.

– Tak będzie najlepiej – powiedziała Marta z niewyraźną miną. – Gosia niby się nie skarżyła, ale wiem, że mają teraz mnóstwo roboty.

Bianka wyczuła w głosie Marty lekki wyrzut. Przy śniadaniu myślała tylko o Ryśku i jego babce. Na szczęście tego ranka Klara nie usiadła do stołu, Marta zaniósła jej do pokoju tacę z posiłkiem. Podobno Klara nawet nie tknęła jedzenia. Kazała zmienić sobie okład, a potem jęknęła i zamknęła oczy. Nie otwierała ich przez następne kilka godzin. Marta co jakiś czas zaglądała do niej i wymieniała kompresy. Już przy drzwiach czuć było zapach róż.

Tego dnia Samuel był bardzo rozmowny, ale Bianka wciąż rozmyślała o sytuacji z Rysiem. Dlatego gdy wyszła z pokoju Sama, postanowiła natychmiast pójść się czegoś dowiedzieć. Poinformowała Martę o swoim wyjściu, na wypadek gdyby Klara o nią pytała. Z reguły Bianka i Klara nie wchodziły sobie w drogę, ale niestety zachowania pani domu nie można było do końca przewidzieć.

Bianka jak mało kto wierzyła w niewinność Rysia, jednak na wszelki wypadek przeszła przez zatłoczony o tej porze wiślany bulwar. Popatrzyła na murek, przy którym spotkali się po raz pierwszy, i dokładnie rozejrzała się na boki. Na szczęście Rysia tam nie było. Bianka coraz bardziej przyspieszała kroku, aż w końcu zaczęła biec. Niestety jej słaba kondycja szybko dała o sobie znać. Zatrzymała się, by złapać oddech. Zaraz potem stanęła na dzikiej drożynie prowadzącej do domku Serafiny.

W oddali migotał czubek starego wiatraka w Mięćmierzu. Bianka ochoczo pięła się pod górkę, a kiedy stanęła na szczycie i z odległości kilkunastu metrów dojrzała rodzinny dom Ryśka, uśmiechnęła się. Znowu zaczęła biec. Kiedy jednak dotarła na miejsce, zaniepokoiła się. Zamknięte drzwi i okiennice sprawiały, że chata wyglądała na opuszczoną. Obok studni zauważyła przewrócone wiaderko. Zapukała do drzwi, lecz nikt nie otworzył. Nacisnęła klamkę i weszła do środka. We wnętrzu panował straszny zaduch. W sieni stało wiadro z cuchnącą wodą, wokół którego latała chmara much. Dwoje drzwi było zamkniętych. Wybrała te prowadzące do pokoju Serafiny i bez zastanowienia je otworzyła.

– Boże drogi! – zawołała i podbiegła do łóżka, w którym leżała staruszka.

Spod obfitej pierzyny obleczonej w białą haftowaną poszwę wystawała tylko głowa. Z czubka rozwichrzonego koka wychodziła długa spinka, zahaczając o gruby ścieg haftu, który nadpruł się w tym miejscu.

– Pani Serafino, co się stało? – Bianka dotknęła czoła staruszki. Było gorące i spocone.

Serafina otworzyła oczy. Kiedy zorientowała się, kogo ma nad sobą, uśmiechnęła

się tak szeroko, że aż ząb wysunął się nad jej dolną wargę.

– Ptaszyno moja, co tu robisz? – Ciężko oddychała.

– Przyszłam sprawdzić, co u was – odrzekła zaniepokojona Bianka. – I widzę, że chyba nie jest najlepiej – dodała. – Pani jest chora – zawyrokowała, znów dotykając jej czoła.

– Oj tam, od razu chora – odezwała się cicho Serafina. Było widać, że mówienie sprawia jej trudność.

– Gdzie jest pan Rysiek? – Bianka rozejrzała się po izbie.

– Hultaj jeden! Wybył z chałupy o brzasku i tyłem go widziała. – Serafina zrobiła srogą minę.

– Proszę mi powiedzieć, co panią boli. – Bianka próbowała podnieść pierzynę, ale staruszka mocno złapała za jej brzeg.

– Zimno mi, nie będę wylazić z łóżka. – Zrobiła nadąsaną minę. – Tyś młoda, to nie wiesz, że stare gnaty trza wygrzewać.

– Pani Serafino, nie wygląda pani dobrze. Myślę, że jak najszybciej powinien panią zobaczyć lekarz.

Serafina wyglądała na urażoną, jakby dziewczyna powiedziała coś wielce niestosownego. Odwróciła się do Bianki tyłem.

W tej samej chwili do pokoju wszedł Rysio. Nie krył zdziwienia, gdy zobaczył Biankę.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytał, mocno ściskając w ręku słoiczek z gęstym białym płynem.

– Przyszłam sprawdzić, co u was. Podobno nie pojawiłeś się w pracy, więc pomyślałam, że coś się stało.

– Ano stało się, babka zaniemogła. – Rysio miał przejętą minę.

Serafina odwróciła się w ich stronę i z nie lada wysiłkiem uniosła głowę.

– W końcu żeś dotarł, bąku jeden! – rzekła gniewnie. – Masz to, o co cię prosiłam? – Kiedy zauważyła w jego dłoniach słoik, z zadowoleniem otworzyła usta.

– Co to jest? – spytała Bianka.

– Gęsi smalec – odparł Rysio. – Babka zawsze się nim smaruje, jak ją łapią suchoty. A że jej brakło, to mnie po sąsiadach wysłała.

– Dawaj mi to, ty utrapieńcu. – Serafina wyjęła spod pierzyny chudą, pomarszczoną dłoń i wyciągnęła ją w stronę wnuka.

– Zaczekajcie – powiedziała Bianka. – Myślę, że panią Serafinę najpierw powinien zbadać lekarz, a dopiero potem...

– Jakie potem? – Staruszka popatrzyła na nich gniewnie. – Dawaj mi to sadło, nim zejdziesz ze świata. – Szybko wymawiała słowa, choć wciąż ciężko oddychała. Była wyraźnie zdenerwowana. – Gdzieś się tyle czasu pałętał? Pewnie na dziewczki patrzyłeś!

– Co też babka opowiada? Obleciałem pół wsi z językiem na wierzchu, żeby to gęsie sadło gdzieś trafić, a babka mi tu jak zwyk-le wyrzuty robi. – Rysio był czerwony na twarzy. Wyglądał tak, jakby miał za sobą bieg na długim dystansie.

– Gdzieś go w końcu dostał? – Serafina spuściła z tonu i popatrzyła na wnuka przychylniej.

– Gajusowa pożyczyła, ale po południu muszę jej odnieść.

– Co?! Od tej hetery żeś smalec przywlókł? – Znów się uniosła. – Wszyscy we wsi wiedzą, że z niej próżniak i morus. W jej chałupie much więcej niż w oborze.

– Dobrze babka wie, że we wsi jeszcze tylko ona gęsi chowa. – Rysio opuścił ramiona, nie miał siły tłumaczyć się przed Serafiną.

Staruszka zatrzymała wzrok na słoiku. Długo się nie odzywała, ale kiedy przemyślała sprawę, popatrzyła na wnuka łagodniej i rzekła ugodowo:

– Zagrzej mi wody do balii, muszę się trochę obmyć. – Usiadła z trudem, aż nagle złapał ją atak mokrego kaszlu.

– Nadal uważam, że panią Serafinę powinien obejrzeć lekarz – odezwała się Bianka głośno, tak by zwrócić ich uwagę.

Podziałało. Staruszka i jej wnuk równocześnie na nią spojrzeli.

– Też tak myślę – powiedział cicho Rysio, zerkając na babcie.

– Jak długo pani tak kaszle? – Bianka liczyła na szczerłość staruszki, ale Serafina tylko zacisnęła usta.

– Od przedwczoraj – wtrącił nieśmiało Rysio i natychmiast został spiorunowany wzrokiem przez Serafinę.

– Gdzie macie najbliższego lekarza?

– W miasteczku, ale... – zaczął Rysio.

– Nie będziecie mnie ciągać po doktorach, za stara jestem na to. – Serafina się nasrożyła.

– Pani Serafino – Bianka starała się załatwić sprawę po dobroci – nigdzie nie będziemy pani zabierać. To lekarz przyjedzie do pani.

– Co takiego?! – oburzyła się. – Żadnego medyka nie wpuszczę do chałupy!

– Pani Serafino, to dla pani dobra. – Bianka nie miała pojęcia, jak przekonać upartą staruszkę.

Wtem przez drzwi przemknęło coś czarnego. Bianka poczuła na łydce miękkie dotyk. Uniosła oczy i spojrzała na łóżko. Na środku puchatej pierzyny siedział duży kocur. Już po chwili zwierzę tuliło się do Serafiny. Staruszka podniosła się z werwą i wzięła kota w drobne dłonie.

– Barnaba, urwisie, gdzieś ty się podziewał tyle czasu? – Serafina kaszlała i śmiała się na przemian. – Zawitałeś, to znaczy, że jeszcze nie wybiła moja ostatnia godzina.

Bianka popatrzyła pytająco na Rysia. Mężczyzna przechylił się w jej stronę i szepnął:

– Barnaba to ulubiony kocur babki. Gadzina ma już prawie dwadzieścia lat i jak widać, wciąż pełno werwy. Niedługo będzie miesiąc, jak wyłazł z chałupy. Babka myślała, że już przepadł. Że polazł gdzieś... no wiesz, żeby odejść na dobre... Koty podobno tak robią. Sam nie mogę uwierzyć, że wrócił. Nigdy wcześniej nie wypuszczał się aż na tak długo. – Rysio wyprostował się i odchrząknął, poczuł bowiem na sobie wzrok Serafiny.

– Co tam tak mamrociesz? Czy cię nie uczyłam, że tak nie przystoi?

Rysio zaplótł dłonie jak do modlitwy, a potem uważnie spojrzał na Serafinę.

– Mówiłem Biance, że Barnaba właśnie wrócił z długiej wędrówki. – Uśmiechnął

się. Powrót kota jemu też sprawił radość.

– Trącam go i trącam, ale cały i żyw. – Serafina wciąż przyglądała się kocurowi z niedowierzaniem. – Nie wydaje się, żeby wrócił z zaświatów. Zmówiliśmy się, że jak on odejdzie, to ja za nim. Ale skoro powrócił, znaczy, że moja świeca ciągle goreje. – Kilka razy zakaszła, a kiedy skończyła, uśmiechnęła się. – Wołajcie tego medyka – rzekła nagle ku zaskoczeniu Bianki i Rysia. – No co tak na mnie patrzycie? Rysiek, grzej wodę w saganie, trza się obmyć.

Rysio posłusznie odłożył słoik ze smalcem i zaczął się rozglądać za dużym cynkowym garem, w którym Serafina zwykle podgrzewała wodę na piecu.

– Gdzież babka wyniosła ten duży gar na wodę? Zawsze stał w izbie.

– Może lichy go wywlekło z chałupy? – odezwała się poważnym tonem. Potem rozchyliła pierzynę i położyła nogi na filcowym dywaniku.

Barnaba zeskoczył na podłogę i nie odstępował staruszki nawet na krok.

– Na szczęście wrócił nasz dobrodziej. Będzie stróżował przy studni. Już lichy tam nie wlezie, a i po chałupie nie będzie się panoszyć. Nasz Barnaba robi w obejściu porządek.

Rysio przybliżył się do Bianki i znów nachylił nad jej uchem.

– Babka myśli, że jak jest Barnaba, to lichy, co je wymyśliła, nie wścibi nosa do chałupy ani naszej studni nie tknie. Kocur zazwyczaj śpi na zapiecku, ale ma też ulubione miejsce przy studni. Babka rzuca mu tam taką starą derkę, a kocisko jest wniebowzięte.

Bianka popatrzyła na Barnabę, który plątał się obok jej nogi. Kocur uniósł głowę, wyglądało to tak, jakby on też jej się przyglądał. Wyciągnęła przed siebie rękę, żeby go pogłaskać, ale Rysio w ostatniej chwili złapał ją za nadgarstek.

– Nie radzę, chyba że chcesz poczuć kocie pazury. Barnaba nie pozwala się do siebie zbliżyć nikomu poza babką.

Bianka, która nie dowierzała słowom Ryśka, zbliżyła rękę do zwierzęcia. Kiedy jednak Barnaba prychnął na nią głośno i zjeżył gęstą sierść, natychmiast się wycofała.

– Chyba mówi pan prawdę. Nic na siłę. – Bianka uśmiechnęła się kwaśno. – To może ja pomogę szukać tego garnka? – zaproponowała. – Nie ma go w kuchni? Garnki zazwyczaj tam się trzyma.

– Babka ma swoje przyzwyczajenia, których nie zmienia. Od lat trzyma sagan w izbie. – Rysio zerknął na Serafinę.

– Sam się odnajdzie. – Staruszka zaszurała stopami po dywaniku, próbując włożyć pantofle.

– Pomogę pani. – Dziewczyna założyła grube wełniane skarpety i rozczłapane pantofle na zziębnięte nogi Serafiny.

– Dobra z ciebie ptaszyna – rzekła staruszka życzliwie i spróbowała wstać. W tej chwili złapał ją jednak atak kaszlu, więc z powrotem usiadła na łóżku.

Gdy przestała kaszleć, pomalutku poszły razem w kierunku kuchni. Tymczasem Rysio postawił na piecu duży sagan napełniony wodą.

– Mówiłam, że się odnajdzie. – Serafina się roześmiała i znów zaczęła kaszleć. Potem długo nie mogła uspokoić oddechu.

Okazało się, że w okolicy mieszka znajoma lekarka, która już raz, kilka lat



wcześniej, odwiedziła Serafinę. Wtedy jednak staruszka nie dała się zbadać – zawzięta się tak bardzo, że wizyta skończyła się na miłej rozmowie przy ziołowej herbatce. Teraz obiecała, że przyjmie panią doktor z należytymi honorami i rozchyli przed nią koszulinę.

Pani doktor zjawiała się po czterech godzinach. Bianka, która chciała być obecna podczas wizyty, uprzedziła Martę telefonicznie, że wróci nieco później, pobieżnie zdała jej też relację z przebiegu spotkania. Klara wciąż zmagająca się z atakiem migreny, więc nawet nie zauważyła nieobecności Bianki.

Serafina rzeczywiście nie sprawiała kłopotów i robiła wszystko, co należało. Barnaba wciąż kręcił się wokół jej nóg, jak gdyby chciał sprawdzić, czy przypadkiem ktoś nie chce skrzywdzić jego ukochanej pani. Okazało się, że Serafina ma zapalenie oskrzeli. Lekarka zasugerowała nawet, że staruszce dobrze zrobiłby krótki pobyt w szpitalu, ale Serafina natychmiast odrzuciła tę możliwość. Skończyło się na tym, że dostała listę lekarstw. Z ręką na sercu przyrzekła, że będzie je sumiennie zażywać. Pani doktor obiecała, że zajrzy do Serafiny za trzy dni, żeby ją ponownie osłuchać. Tym razem staruszka już nie protestowała, tylko gładząc brzeg swojej białej wykrochmalonej koszuli, rzekła ulegle:

– Niech tak będzie. Barnaba powrócił, więc trza żyć dalej.

Lekarka, która nie rozumiała słów staruszki, tylko łagodnie się uśmiechnęła, uznając, że to dziwactwo starszej pani.

Kiedy po południu Bianka wracała do domu Klary, układała sobie w głowie, co powinna zrobić. Wiedziała jedno: musi jak najszybciej skontaktować się z Małgosią i wytłumaczyć przed nią Ryśka. Postanowiła, że po kolacji pojedzie na Fiołkowe Wzgórze.

Na Fiołkowym Wzgórzu wprawdzie nie kwitły już fiołki, ale za to pachniało lawendą, która właśnie rozkwitała na niemal wszystkich trawnikach wokół plantacji. Ziemia wciąż parowała po deszczu, lecz słońce wytrwale ją osuszało. Mimo że schowało się już za leśne drzewa, na skórze nadal czuć było jego ciepło.

Gosia czekała na Biankę przy bramie. Uśmiechnęła się na powitanie, ale wydawała się jakaś przygaszona. Pod jej pięknymi ciemnymi oczami uwidoczniły się sińce, których Bianka poprzednio nie zauważyła. Małgosia sprawiała wrażenie zmęczonej i jakby szczuplejszej.

– Chodź do altanki. – Ze wszystkich sił starała się zachować uśmiech. Na stole stał przygotowany sok z czarnej porzeczki w szklanym dzbanku. – Napijesz się?

– Chętnie. – Bianka podsunęła szklanekę.

Małgosia nalala jej soku i odstawiła dzbanek. Długo patrzyła na róg stołu. Dopiero huk dobiegający od strony sadu sprawił, że się ocknęła. Bianka aż podskoczyła.

– Co to było? – Spojrzała w kierunku gęsto rosnących drzew.

Z oddali trudno było stwierdzić, jakie to gatunki.

– To nasz sąsiad. Uparł się i w ten sposób straszy ptaki, które obsiadają mu drzewa. Mam wrażenie, że im bardziej chce się ich pozbyć, tym bardziej one utrudniają mu życie. Gdybyś zobaczyła go kiedyś w akcji, pomyślałabyś, że postradał rozum. – Roześmiała się szczerze po raz pierwszy tego wieczoru.

– Nie wyjadają wam winogron? – Bianka wciąż spoglądała w stronę sadu, skąd dobiegał odgłos przekrzykujących się ptaków.

– Nie. Pozakładaliśmy na krzewy siatki. Zresztą ptaki i tak zdecydowanie wolą drzewa sąsiada. On przynajmniej zapewnia im atrakcje. A u nas nic się nie dzieje.

– Słyszałam, że macie teraz dużo pracy. – Bianka popatrzyła na Gosię niepewnie. Co prawda, obgadały wcześniej przez telefon sytuację Ryśka, ale mimo to Bianka wciąż czuła się głupio. Sądziła, że Małgosia jest po prostu przemęczona, stąd jej ściągnięta skóra i cienie pod oczami.

– Tak, ale wszystko mamy pod kontrolą. – Gosia zauważyła jej zakłopotanie, więc chciała ją przekonać, że jest w porządku.

– Głupio wyszło z panem Ryśkiem, akurat teraz, kiedy...

– Bianco, daj spokój. Myślałam, że ustaliłyśmy to już przez telefon. Pan Rysiek wróci, kiedy tylko da radę. Teraz najważniejsze jest zdrowie jego babci. To świetny pracownik. Naprawdę daje z siebie wszystko. Nie chcę zapeszać, ale muszę przyznać, że nigdy wcześniej nie pracował u nas nikt tak sumienny.

– Trzymam za niego kciuki.

– On jest taki... – Gosia się zastanawiała. – Trudno to określić. Kiedy wchodzi na plantację, czuje się jak ryba w wodzie. Zupełnie tak, jakby przez całe życie nie robił nic innego, tylko zajmował się roślinami. Rozmawia z nimi i w ogóle zachowuje się tak, jak gdyby ta praca sprawiała mu wielką frajdę. – Westchnęła.

– A ty? – Bianka nie spuszczała oczu z twarzy Małgorzaty.

– Co ja?

– Też cieszy cię ta praca?

– Tak – odpowiedziała bez przekonania. – Mama nie chciała z tobą przyjechać?

– Była dzisiaj bardzo roztargniona. – Bianka nie potrafiła powiedzieć Gosi wprost, że Marta wymigła się od przyjazdu.

– Wiedziałaś. – Małgosia wyczytała właściwą odpowiedź między słowami Bianki.

– Zawsze tak się zachowuje, kiedy się pokłócimy. Zresztą ona w ogóle niechętnie tutaj zagląda. – Gosia uśmiechnęła się smutno.

– Pokłóciłyście się? – wypaliła Bianka.

– Niestety ostatnio zdarza nam się to dość często. – Zrobiła kwaśną minę. – To smutne, ale mama ma sporo racji. – Zamilkła i popatrzyła w niebo. Nagle straciła ochotę na rozmowę. Wstała i chwyciła za pusty dzbanek.

– Napijesz się jeszcze czegoś? – Nie patrzyła na Biankę, wydawało się, że błądzi myślami zupełnie gdzie indziej.

– Nie, powinnam się już zbierać. – Bianka też się podniosła.

Gosia przytrzymała jej rękę.

– Nie! – Uniosła głos. – Zostań jeszcze – rzekła błagalnie. – Chciałabym z kimś pogadać. Tak się składa, że ostatnio moimi jedynymi powiernikami są rośliny. – Wysiliła się na uśmiech. – Może się przejdziemy? – zaproponowała.

– Pewnie.

– Wzdłuż parkanu otaczającego winnicę ciągnie się wąska droga prowadząca do lasu. Możemy pójść w tamtą stronę.

Ścieżka delikatnie opadała. Co jakiś czas pojawiały się na niej drobne kamyki – wyskakiwały z nienacką jak świerszcze, których muzyka dochodziła teraz ze wszystkich

zielonych zakątków. Bianka nie patrzyła na Gosię, tylko rozglądała się na boki. Dopiero teraz zauważyła, jak duży obszar zajmowała plantacja winogron. Szły przynajmniej kilka minut, a zza parkanu wciąż wychylały się treliAZE z krzewami. Na Fiołkowym Wzgórzu zapadała coraz większa cisza, właściwie słyCHAĆ było tylko muzykę koników polnych. Czerwona kula słońca wciąż toczyła się po -pociemniałym boisku nieba, ale dzisiejsza gra dobiegała już końca.

– Myślę, że ona ma rację. – Gosia nagle się zatrzymała, oparła rękę o parkan i popatrzyła na Biankę.

– Kto? – Głos Małgosi wyrwał dziewczynę z rozmyślań.

– Moja mama. – Przykucnęła i wyjęła kamyk, który wpadł jej do sandała.

– Chodzi o to, że jesteś wegetarianką? – Bianka sądziła, że to jedyna sprawa, o którą mogą się kłócić.

– Nie. – Gosia roześmiała się nerwowo. – To byłoby zbyt proste, a moje życie przypomina równanie z więcej niż jedną niewiadomą. – Chwyciła brzeg jednego z liści, które pięły się i opadały na zewnątrz ogrodzenia.

Bianka nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie znała dobrze Małgosi, wiedziała o niej tylko tyle, ile powiedziała jej matka. Według Marty Gosia była dobrą córką, która odnalazła swoje miejsce w życiu. Dobrze jej się wiodło, co Marta podkreślała z dumą. Ubolewała tylko, że dotąd nie doczekała się wnuka, a wegetarianizm córki traktowała jako fanaberię. Tyle że ta fanaberia trwała już kilkanaście lat, więc Marta w pewnym stopniu się z nią pogodziła. Wciąż jednak nie mogła darować sobie drobnych kAśliwości. Na początku Gosia walczyła jak lwica, żeby przekonać mamę do swoich racji, lecz w końcu się poddała.

– Moja mama twierdzi, że jestem egocentryczką i sama nie wiem, czego chcę.

– A nie wiesz? – Bianka przysunęła się do Gosi. Teraz obie znajdowały się tuż przy ogrodzeniu.

– Niestety... nie wiem. – Schyliła głowę i popatrzyła na swoje sandały. – Choć właściwie... – Podniosła wzrok. – Mama nie wie wszystkiego. Na szczęście. Tak naprawdę nie ma pojęcia o wielu sprawach. – Małgosa wpatrywała się w Biankę tak, jakby się zastanawiała, ile może jej zdradzić.

– Pani Marta jest z ciebie bardzo dumna – wtrąciła Bianka. Czowała, że powinna coś powiedzieć, ale wciąż nie śmiała o nic pytać.

Małgosa roześmiała się nerwowo.

– Moja mama mnie nie zna. – Wydawało się, że już nic nie powie. Po chwili jednak znów się odezwała: – Ciągłe ma nadzieję, że zostanie babcią, a ja wiem, że to nigdy nie nastąpi. Nie mogę mieć dzieci. – Twarz Gosi stężała.

– Przykro mi. – Bianka poczuła się onieśmielona jej wyznaniem.

– Jestem tchórzem, Bianco. – Popatrzyła na nią wzrokiem przepełnionym goryczą.

– Od piętnastu lat nie odważyłam się wyjawić matce prawdy.

– Ale dlaczego?

– Dobre pytanie. Bo to moja wina, że nie mogę zostać matką. – To wyznanie kosztowało ją wiele wysiłku.

Bianka pomyślała, że Gosia prawdopodobnie żałuje, że poruszyła ten bolesny

temat. Nie przewidziała, że przyznanie się do winy, którą dusiła w sobie przez kilkanaście lat, poruszy w niej głęboko skrywane uczucia. Po chwili zaczęła płakać.

– Przepraszam, że musisz tego słuchać – powiedziała, ocierając łzy.

– W porządku. – Bianka chciała ją wesprzeć, ale nie wiedziała jak.

– Byłam młoda i głupia, nie myślałam o konsekwencjach. Chciałam po prostu pozbyć się... problemu. – Emocje zacisnęły jej gardło, z którego potem przez kilkanaście sekund nie wydobył się żaden dźwięk. – Usunęłam ciążę. – Jej ramiona zaczęły chybotać, poruszone wewnętrznym szlochem.

Bianka była nie mniej zdenerwowana od Gosi.

– Jesteś pewna, że nic...

– Tak. – Gosia weszła Biance w słowo. – Miałam pecha, trafiłam na prawdziwego rzeźnika i ledwie się z tego wykaraskałam. Oszczędzę ci szczegółów, choć nadal doskonale pamiętam tamten dzień. Gdyby nie moja koleżanka z akademika, wykrwawiłabym się na śmierć. Zawiozła mnie na wpół żywą do swojej ciotki, która kiedyś była położną i natychmiast zorientowała się, co jest grane. Była dla mnie okropna, ale postawiła mnie na nogi. Do tej pory słyszę jej słowa: „Zabójczyni nie jest godna, aby nosić w swoim łonie dziecko. Mam nadzieję, że los ukarze cię za to, co zrobiłaś”. Nie wiem, dlaczego mi pomogła, skoro byłam dla niej zabójczynią. – Kiedy skończyła mówić, z jej oczu znów poleciały łzy.

– Gosiu, to było dawno temu, powinnaś o tym zapomnieć. – Gdy Bianka patrzyła na cierpiącą Małgosię, czuła, że sama też opada z sił. Wciąż nie mogła znaleźć słów pocieszenia.

– Jak?! Jak mam zapomnieć?! Jak mam zapomnieć, kiedy wszyscy wokół mi o tym przypominają?! – mówiła Gosia podniesionym głosem. – A ja wtedy czuję jeszcze większy ciężar. Czasami myślę, że już tego nie udźwignę. – Popatrzyła bezradnie na Biankę, a ta przysunęła się do niej i ją przytuliła.

– Będzie dobrze – szepnęła jej do ucha.

– Nie będzie. – Małgosia popatrzyła Biance prosto w oczy. – Nie będzie dobrze, Bianco. Nie teraz – dodała głośniej.

– Czy twój mąż...? – zaczęła Bianka z wahaniem.

– Tak, wie – odpowiedziała natychmiast. – Wiedział od początku. Nie chciałam go oszukiwać. Wtedy nie stanowiło to dla niego problemu, jednak teraz... – Popatrzyła smutnym wzrokiem w stronę ciemnego lasu.

Niebo coraz bardziej szarzało, a w powietrzu unosił się już lekki chłód.

– To znaczy, że nie układa się wam najlepiej – stwierdziła Bianka.

– Od bardzo dawna. – Gosia głośno westchnęła. – Płomień naszej miłości wypalił się już do końca – rzekła z sarkazmem.

– Twoja mama myśli, że jest inaczej. Wychwala twojego męża pod niebiosa. Ciągłe mówi, jaki jest dla ciebie dobry i w ogóle.

– Mówiłam, że moja mama nie wie o mnie wszystkiego. I lepiej niech tak zostanie.

– Gosia zmrużyła oczy.

– Może jednak powinnaś jej powiedzieć.

– O czym? O aborcji? – Małgosia sprawiała wrażenie przestraszonej.

– Nie, nie o aborcji. O twoim mężu i o tobie, o tym, że od dawna wam się nie układa.

– To nie ma sensu – stwierdziła. – I tak mi nie uwierzy. Paweł jest dla niej święty. Wiesz, ja po tamtym długo nie mogłam się pozbierać, unikałam mężczyzn. Z Pawłem było inaczej, zaufałam mu, a on zbliżał się do mnie pomału. Dał mi wiele czasu, zanim... no wiesz... – Gosia się zawstydzila.

– To co się stało, że wasza relacja tak się zmieniła?

Małgosia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – powiedziała głośno i zapatrzyła się przed siebie. – Paweł pochodzi z wielodzietnej rodziny. Wszystkie jego siostry wyszły za mąż i mają dzieci. Myślę, że z czasem zaczął żałować, że się ze mną ożenił. Widzę, z jaką zazdrością patrzy na rodziny z dziećmi. A teraz... – Rozchyliła usta. Wyglądało to tak, jakby się zastanawiała, co powiedzieć.

– Skoro twierdzisz, że tego nie da się uratować, to może powinniście się rozstać?

– Tak, powinniśmy się rozstać. Tylko to nie jest takie proste. – Znów się zamyśliła.

– Łączy nas ta winnica – rzekła po chwili. – Te winne krzewy są niemymi świadkami każdego dnia naszego małżeństwa. – Odwróciła się i z sentymentalnym błyskiem w oku popatrzyła na uśpione winorośle.

– Kochasz Pawła? – odważyła się zapytać Bianka.

– Nie – odpowiedziała natychmiast. – Nie kocham go, ale mam szacunek do lat, które spędziliśmy razem. – Spojrzała w stronę budynku, w którym produkowano wina. – Powinniśmy już wracać. Tutaj droga nie jest oświetlona i za moment trudno nam będzie cokolwiek zobaczyć. – Zawróciła, a Bianka poszła za nią.

Kiedy dotarły do głównej bramy, było już ciemno.

– Wejdiesz? – spytała Gosia.

– Nie, jest późno. Nie wiem, co zastanę po powrocie. Pani Klara miała dzisiaj atak migreny. – Bianka się uśmiechnęła, chcąc rozładować atmosferę.

– Oj, to mogą być problemy. – Małgosia odwzajemniła uśmiech. – A w domu pewnie aż mdli od zapachu róż.

– Tak, powiedzmy, że chwilowo mam dość tych kwiatów – powiedziała Bianka, wsiadając do samochodu.

– Uważam, że pani Klarze prędzej pomogłaby woda święcona niż jej specyfiki. – Małgosia roześmiała się w głos.

Nagły wybuch dobrego humoru u Gosi podziałał również na Biankę.

– Muszę koniecznie powiedzieć pani Marcie, żeby następnym razem zrobiła jej okład z wody święconej. A nuż zadziała.

– Moja mama ma do niej anielską cierpliwość. Sama nie wiem, dlaczego ona tam pracuje, przecież ma całkiem niezłą emeryturę.

– Podobno pracuje w domu Klary ze względu na ciebie i Pawła – wypaliła Bianka i od razu pożałowała swoich słów.

– Tak ci powiedziała?

Dziewczyna tylko pokiwała głową.

– Ciekawe... Nie mam pojęcia, o co jej chodziło – rzekła Gosia.

Bianka odpaliła silnik.

– Nie zatrzymuję cię, jedź ostrożnie. – Gosia odsunęła się od samochodu i uniosła rękę na pożegnanie.

Bianka kilkakrotnie nacisnęła klakson.

– Cześć, dzięki za wszystko.

– To ja dziękuję – odpowiedziała Gosia. – Odwiedź mnie znowu. Mam nadzieję, że cię nie wystraszyłam.

– Z przyjemnością znów przyjadę na Fiołkowe Wzgórze – powiedziała głośno Bianka, bo odgłos włączonego silnika wszystko zagłuszał.

Pomału ruszyła do głównej drogi. Kiedy pokonała trzy serpentyny i zjechała z pagórka, trochę przyspieszyła, a gdy znalazła się na szosie dojazdowej do Kazimierza, zdarzyło jej się nawet przekroczyć dozwoloną prędkość. Na szczęście nie spotkała na swojej drodze żadnego gorliwego policjanta z drogówki.

Vincent demonstracyjnie rozchylił markizy w jadalni, a potem głośno przesunął krzesło. Marta i Bianka, które stały niedaleko, jak na komendę popatrzyły na kamerdynera, ponieważ nie było to jego typowe zachowanie. Na twarzy Vincenta malowały się ślady emocji, ale lokaj niemal natychmiast wyczuł, że jest obserwowany, i odwrócił się tyłem.

Z holu nadchodziła Klara. Bianka starała się ocenić humor pani domu. Zwykle po takiej obserwacji miała pewność, czego może się spodziewać. Tym razem Klara przesuwała się lekko, a jej zazwyczaj blade, ściągnięte policzki jakby delikatnie się zaróżowiły – po migrenie nie pozostał nawet ślad. Jak zawsze Klara, nie czekając na pozostałych, złożyła ręce do modlitwy, unosząc je nieco powyżej klatki piersiowej. Potem rozejrzała się po wnętrzu w oczekiwaniu na resztę domowników. Na środku stołu stały już dwa lichtarze z palącymi się świecami.

W czasie modlitwy Bianka zerknęła na Martę. Klara, wymownie chrząkając, dała jej jednak do zrozumienia, że nie życzy sobie takiego zachowania przy stole. Marta schowała się więc za filar i skupiła na czynnościach kuchennych. Od wyjazdu Olafa Klara i Bianka prawie wcale ze sobą nie rozmawiały, ograniczały się tylko do zwrotów grzecznościowych. Trzeba przyznać, że ta sytuacja była Biance na rękę, dziewczyna nie znosiła bowiem towarzystwa Klary.

– Vincencie, będę ci wdzięczna, jeśli przed południem doprowadzisz samochód do porządku. Po obiedzie spodziewam się ważnego gościa, z którym mam zamiar odbyć dłuższą przejażdżkę.

– Oczywiście, Klaro – odrzekł usłużnie lokaj.

Klara popatrzyła na Biankę w chwili, gdy dziewczyna kończyła bagietkę.

– Bianco, będziesz miała dzisiaj idealną okazję, by poznać Marikę, narzeczoną Olafa. – Klara uniosła głowę i z dziką satysfakcją spojrzała prosto w oczy Bianki.

Ponieważ Bianka nie wiedziała, co powiedzieć, tylko głośno przełknęła jedzenie, a potem przyłożyła do ust filiżankę i wypila kilka sporych łyków ulubionej herbaty Klary. Golden screw pozostawiła w jej ustach gorycz.

– To cudownie – odparła w końcu, bo nie znalazła innych słów.

Klara nie wydawała się usatysfakcjonowana jej odpowiedzią.

– Tak sobie pomyślałam, że może zechciałybyś się wybrać razem z nami.  
– Ja? – Bianka z wrażenia prawie zrzuciła talerz ze stołu.  
– Przydałaby ci się jakaś rozrywka, prawie wcale nie wychodzisz. Nie chcę, żebyś po powrocie do Poznania wspominała nasz pocziwy Kazimierz jako zapadłą prowincję.  
– Jestem zadowolona z pobytu, podoba mi się w Kazimierzu.  
– Nalegam – rzekła Klara tonem nieznoszącym sprzeciwu, a w jej oczach pojawił się specyficzny błysk.

Bianka wiedziała, że będzie jej trudno się od tego wymigać.

– Wybieram się z Mariką na zakupy do Lublina, ale najpierw chcemy pojechać do Lawendowego Dworu w Nałęczowie, gdzie ma się odbyć przyjęcie weselne. Chcemy ustalić menu. Może pomogłabyś nam w wyborze dań? – Widać było, że Klara całkiem nieźle się bawi.

Wtem przy stole stanęła Marta. Klara odchyliła głowę w bok i niechętnie popatrzyła na swoją gospodynię. Marta od razu przeszła do rzeczy.

– Pani Klaro, przepraszam, ale muszę się wtrącić. Bianka zapomniała, że dziś miałyśmy pojechać na Fiołkowe Wzgórze. – Marta poczerwieniała na twarzy. Kłamstwo nie przychodziło jej łatwo.

– Nie przypominam sobie, żebym wcześniej coś o tym słyszała. – Klara wymownie uniosła brew.

Martę ogarniało coraz większe zdenerwowanie.

– To prawda, zapomniałam o tym. – Bianka postanowiła ruszyć Marcie z pomocą.  
– Umówiłam się z Małgosią. Prosiła, żebyśmy przyjechały po pomidory. Podobno dojrzewają na potęgę.

– No właśnie. – Dzięki wsparciu Bianki Marta poczuła się pewniej. – Zamierzałam zrobić dzisiaj przecier. Już nawet przygotowałam słoiki.

Klara wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót, wyglądało na to, że jej misterny plan mający na celu pognębienie Bianki się nie powiedzie. Z braku argumentów postanowiła się wycofać.

– W takim razie nie chcę wam burzyć planów. – Poprawiła chusteczki w srebrnym serwetniku. Nie odważyła się już spojrzeć ani na Martę, ani tym bardziej na Biankę, tylko wstała i odeszła od stołu.

Vincent niczym wierny pies poczłapał za nią.

– Dzięki, dzięki, dzięki! – Bianka dopadła do Marty i mocno ją przytuliła. – Nie wiem, co powiedzieć. Nie przeżyłabym tego wyjazdu. – Uśmiechnęła się, a w jej policzkach pojawiły się dołeczki.

Marta zwróciła na to uwagę.

– Powinnaś częściej się tak uśmiechać. Wyglądasz uroczo, kiedy jesteś taka radosna.

– Myśli pani, że ona rzeczywiście tutaj przyjedzie?

– Kto? – Marta wybiegła gdzieś myślami, ale pytanie Bianki sprowadziło ją na ziemię.

– Marika, narzeczona Olafa.

– Skoro Klara poinformowała nas o tym w tak teatralny sposób, to pewnie

przyjedzie. Rodzice Mariki mieszkają niedaleko. Poza tym ślub już w październiku. Zostało niewiele czasu na przygotowania. – Marta odwróciła się i podeszła do kuchenki.

Trzy godziny później w drzwiach domostwa Klary stanęła Marika. Z odległości kilku metrów sprawiała wrażenie sympatycznej, jednak z bliska czar pryskał.

Gdy Bianka ją dostrzegła, na unik było już za późno. Nie pozostało jej nic innego, jak przywitać się z gościem. Zeszła ze schodów i stanęła przed Mariką, starając się zrobić na niej dobre wrażenie. Było to trudne, tym bardziej że obok niej znajdowała się Klara.

– Dzień dobry. – Bianka wyciągnęła rękę do Mariki.

Na twarzy narzeczonej Olafa pojawił się złośliwy uśmiezek. Popatrzyła na Biankę z góry, była od niej wyższa co najmniej o głowę. Jej ciemnoniebieskie oczy, jakże różne od łagodnych oczu Bianki, wysyłały groźne błyski, a mocno skrzycone, sięgające do ramion włosy miały kolor węgla. Intensywny makijaż sprawiał, że rysy Mariki były bardzo wyraźne, zupełnie tak, jakby tylko ona się liczyła.

Bianka, zaskoczona zachowaniem Mariki, cofnęła się i opuściła dłoń. Od razu zauważyła, że nienaganny, choć może trochę zbyt mocny, make-up szedł w parze ze stylowym ubraniem. Marika niewątpliwie należała do kobiet, które wiedzą jak zrobić dobre wrażenie.

Wreszcie opieszale wyciągnęła rękę do Bianki, potem zaś teatralnie i dość głośno przywitała się ze swoją przyszlą teściową. Po chwili obie, nie zwracając uwagi na Biankę, oddaliły się w stronę pokoju dziennego.

W kuchni Bianka nie zastała Marty. Przy szafkach znajdował się za to Vincent. W jednej ręce trzymał porcelanowy czajniczek, rodową pamiątkę Klary, a w drugiej – ulubioną herbatę swojej pani. Biankę potraktował dokładnie tak samo jak przed momentem Marika, czyli jak powietrze. Dziewczyna omiotła wzrokiem jadalnię i hol, a potem wyszła na zewnątrz. Tam w końcu znalazła Martę. Kobieta kuciała w narożniku ogrodu i dłubała w ziemi metalowym szpadlem.

– Te paskudy znowu napsociły. – Uniosła głowę i spojrzała na Biankę. – Nie wiem, co takiego je tu przyciąga. – Wstając, złapała się za kręgosłup i wykrzywiła twarz.

Bianka to zauważyła.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona.

– Nic. Czasami łamię mnie w kościach przy zmianie pogody. – Pomalutku się wyprostowała. Otrzeptyjąc ręce z ziemi, rzekła: – Dzisiaj jeszcze nie piłaś kawy, czas to nadrobić. – Przymrużyła oczy, spoglądając na słońce.

– Nie wiem, jak do tego doszło – zażartowała Bianka. – Ale chyba rzeczywiście powinnam się napić kawy. Czuję, jak spada mi ciśnienie. – Złapała się za głowę.

Już po kilku minutach siedziały przy ogrodowym stoliku.

– Mocna – powiedziała Bianka, upijając łyk.

Marta nie odpowiedziała. W zamyśleniu patrzyła na skrawek ogrodu, gdzie jeszcze przed chwilą próbowała reanimować rośliny.

– Nadal nie może się pani z tym pogodzić? – Bianka również spojrzała na narożnik.

– Rzeczywiście strasznie się rozpanoszyły.

– Co mówiłaś? – Marta jakby się ocknęła.

– Mówiłam o kotach – zaczęła Bianka, ale Marta tylko machnęła ręką.



– Dajmy już temu spokój. Czuję, że z nimi nie wygram. Wygląda na to, że ich jest tu więcej, a ja sama. – Jej wzrok znów powędrował w dal, tym razem w przeciwną stronę.

– Pani Marto, wszystko w porządku? – Bianka przechyliła się w stronę gospodyni.

– Tak – odpowiedziała, wzdychając.

– Bo wydaje mi się, że...

– Dobrze ci się wydaje! – wybuchła nagle Marta. – Nic nie jest w porządku – wyrzuciła z siebie.

– O co chodzi? – Bianka popatrzyła na nią wyrozumiale.

– Jak zwykle chodzi o moją córkę. – Znów westchnęła, teraz dłużej i głośniej.

– O Gosię?

– Nie przypominam sobie, żebym miała jakieś inne dziecko. – Marta starała się uśmiechnąć. – Oczywiście, że chodzi o Gosię. Zawsze chodzi o nią. Moje życie nieustannie kręci się wokół niej. Gdy jeszcze żył mój świętej pamięci Bogdan, razem robiliśmy wszystko dla niej. Potem, kiedy zmarł, starałam się dla niej podwójnie, za siebie i za niego. – Zamilkła.

– Wydaje mi się, że Małgosia radzi sobie całkiem dobrze. Chyba niepotrzebnie się pani o nią martwi – powiedziała Bianka bez przekonania.

Po ostatniej rozmowie z Gosią zaczęła trochę inaczej postrzegać relację Marty z córką – zauważyła na niej wielką rysę. Kobiety nie darzyły się całkowitym zaufaniem. Kiedy jeszcze żyła Marianna, Bianka chętnie otwierała przed nią swoją duszę. Zawsze świetnie się dogadywały, nie komplikowały sobie życia konfliktami. Mania rozpieszczała Biankę, lecz robiła to z umiarem. Kochała ją mocno, ale pozwalała też córce swobodnie oddychać. Tylko raz Bianka usłyszała podniesiony głos matki.

– Co ty robisz? – Marianna spoglądała ostro na ośmioletnią Biankę, która stała na wysokim krześle i ze wszystkich sił starała się dosięgnąć czegoś, co od zawsze było dla niej nieosiągalne.

Odkąd Bianka przez przypadek usłyszała rozmowę rodziców dotyczącą babki skrzypaczki, nieustannie rozmyślała o zaczarowanych skrzypcach. Wielokrotnie podchodziła do starej szafy i spoglądała na jej szczyt. W końcu jej ciekawska natura dała o sobie znać. Któregoś wieczoru, kiedy Marianna i Zygmunt rozgrywali partię szachów, Bianka stwierdziła, że właśnie nadszedł właściwy moment. Przytaszczyła pod szafę krzesło, wspięła się na nie i wyciągnęła krótką rączkę. Właśnie wtedy do pokoju weszła Marianna.

– Przecież wiesz, że ci nie wolno. Jesteś na to za mała – skarciła ją.

– Wiem, mamusiu – powiedziała cicho dziewczynka, spoglądając Mani prosto w oczy.

Potem mówiła już tylko Marianna, a Bianka słuchała słów mamy z wypiekami na twarzy oraz przerażeniem, które malowało się w jej chabrowych – i w tamtej chwili szklistych – oczkach. Wiedziała, że złość mamy była uzasadniona.

– Przepraszam – jęknęła.

– W porządku, wybaczam ci. – Mania uśmiechnęła się do córki, choć nadal była na nią trochę zła.

Bianka nigdy więcej nie zajrzała na najwyższą półkę starej szafy babki Walentyny.

Z jakiegoś powodu rodzice zabronili córce dotykać instrumentu babki, dlatego tak bardzo się zdziwiła, kiedy Zygmunt zmienił decyzję i tajemnicze skrzypce znalazły się w jej rękach.

– Hej, Bianco, zamyśliłaś się – powiedziała Marta.

Bianka uśmiechnęła się nieprzytomnie. Wyglądała tak, jakby nadal dryfowała w swoich wspomnieniach.

– Tak, tak, na chwilę odpłynęłam – przyznała się. – Ale już jestem z powrotem. – Sięgnęła po kawę i wypila ją niemal do końca. Na dnie został tylko osad z beżowej piany.

– Oj, ta moja Gośka. – Marta chciała wrócić do tematu swojej córki.

– O co chodzi, pani Marto? – spytała Bianka wprost.

– Czuję, że u mojej Gosi nie dzieje się najlepiej. Robi dobrą minę do złej gry, ale oczy ją zdradzają. Chyba zapomniała, że jestem jej matką i przede mną nic się nie ukryje.

– Marta popatrzyła na Biankę ponuro.

– Może to nic wielkiego, ot, przejściowe kłopoty – wtrąciła Bianka. Trochę obawiała się tej rozmowy.

– Jakie przejściowe kłopoty? Ona wygląda jak cień, ale nie przez tę swoją dietę. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek powiem. – Marta zmarszczyła czoło, przez co wydała się Biance o kilka lat starsza. – Na początku myślałam, że Gosia jest w ciąży, bo zmizerniała i stała się jakaś taka apatyczna, ale teraz wiem, że to nie może być powód.

– Jak to? – Bianka popatrzyła na Martę uważnie.

– Małgosia nie może mieć dzieci.

– Skąd pani o tym wie?! – Z wrazenia prawie przewróciła filiżankę.

– Po prostu wiem – odparła Marta i zamknęła usta, jakby nie miała zamiaru już nic dodać.

– Gosia to pani powiedziała?

Marta zaczęła masować sobie kręgosłup.

– Nie, nie Gosia – rzekła, nie patrząc na Biankę. – Paweł mi o tym powiedział. – Oparła głowę na rękach. – I chyba to boli mnie najbardziej – dodała cicho.

Bianka pobladła. Zastanawiała się, czy mąż Małgorzaty zdradził teściowej tajemnicę jej córki.

– Co dokładnie pani powiedział? – spytała z zaciekawieniem, które wydało się Marcie podejrzanym.

– A co miał mi powiedzieć? Poinformował mnie, że Gosia nie może mieć dzieci. A kiedy zaczęłam go pytać o szczegóły, stał się jakiś taki arogancki, jak nie on. Stwierdził, że powinnam zapytać o to córkę. – Marta się skrzywiła. – Nie znałam go od tej strony. Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale może Gosia nie jest z nim szczęśliwa. – Spuściła głowę i spojrzała na swoje kolana. – I co ja mam z tym zrobić?

– Najlepiej by było, gdybyście z Gosią porozmawiały i wszystko sobie wyjaśniły. – Bianka uciekała wzrokiem w bok. Właściwie nie była już pewna, czy rozmowa wyszłaby obu kobietom na dobre. Małgorzata chyba nie była jeszcze na nią gotowa.

– Nie. – Głos Marty zabrzmiał pewnie. – Nie teraz – dodała trochę spokojniej. – Chciałabym... – Ściszyła głos. – Chciałabym, żeby Gosia powiedziała mi o tym sama. Nie chcę ciągnąć jej za język. Nie mam pojęcia, dlaczego to przede mną zataiła, nigdy nie

miałymy przed sobą tajemnic. Tak mi się przynajmniej wydawało. – Zamyśliła się.

Nagle się podniosła i oparła dłonie o wierzch stolika.

– Dostyc już tych pogaduszek, czas zabrać się do pracy. Czeka mnie dzisiaj warzenie przecieru pomidorowego, słowo się -rzekło.

– Jeszcze raz dziękuję. – Bianka złapała Martę za rękę.

Żadna z nich nie miała już jednak ochoty rozmawiać o Klarze.

Marta zabrała tacę z filiżankami i obie poszły do domu. Gdy znalazły się w kuchni, usłyszały odgłos odjeżdżającego -samochodu. Gospodyni wychyliła się przez okno.

– Można będzie znów spokojnie pooddychać, czarownice pojechały na Łysą Górę.

– Roześmiała się. – Skorzystam z okazji i przewietrzę dom. Mam nadzieję, że zabrały tego szpicla Vincenta. – Zamilkła i przez chwilę wsłuchiwała się w dźwięki domu. – Kto inny taszczyłby ich torby? – dodała kąśliwie.

Po obiedzie Bianka została przez Martę oddelegowana na Fiołkowe Wzgórze po pomidory, które podobno czekały już w koszach. Bianka domyśliła się, że Marta na razie nie chce się spotykać z córką. Przepęłniało ją zbyt wiele emocji, by mogła spokojnie stanąć twarzą w twarz z Małgosią.

Bianka ucieszyła się, że znów zagości na Fiołkowym Wzgórzu. Okolica winnicy była przepiękna, można by ją porównać do tokańskich wzgórz, ubranych w stare, rozpieszczone przez włoskie słońce winorośle. Po cichu cieszyła się też z ponownego spotkania z Małgosią. Gosia była osobą bardzo bezpośrednią i od początku świetnie się dogadywały.

Niestety kiedy Bianka dotarła na Fiołkowe Wzgórze, nie zastała tam Małgorzaty. Przed zamkniętą bramą zobaczyła dwa wiklinowe kosze po brzegi wypełnione dojrzałymi pomidorami. Wsiadła z samochodu, podeszła do bramki i stanęła na palcach, starając się dojrzeć coś nad ogrodzeniem. Wyglądało na to, że w pobliżu nikogo nie ma. Podążyła w stronę wejścia na plantację.

Doszła do furtki wykonanej z równych deseczek pomalowanych na ciepły odcień brązu. Drobne płatki chabrów, czerwone falbany maków i strzępiaste stokrotki śmiało rozchyłały się do słońca, przyciągając wzrok. Bianka precyzyjnie przeszła przez furtkę, po czym się rozejrzała, ale nie dostrzegła niczego oprócz zielonych krzewów winogron, posadzonych w równych rzędach na kolejnych półkach lekko opadającego stoku, obficie oblepionych dojrzewającymi w słońcu owocami.

Ruszyła przed siebie, szurając sandałami po kamykach, które już po chwili ustąpiły miejsca krótko przystrzyżonej trawie. Krajobraz odznaczał się atrakcyjną monotonią. Krzewy porośnięte dużymi jaskrawozielonymi liśćmi kołysały się w rytm wiatru. Pół metra od dróżki rosły zioła: różne gatunki bazylii, szalwia, tymianek, oregano, rozmaryn, hyzop. Ich zapach niósł się już z oddali. Bianka była zauroczona tym miejscem. Wydawało się, że tych kilka hektarów zakrywa niewidzialny parawan, który chronił je przed skażeniem cywilizacją. Oddychało się tutaj inaczej niż gdzie indziej. Wrażenie było niesamowite.

Biance wydawało się, że w oddali coś zamajaczyło, podążyła więc w tamtą stronę. Jaskrawy punkcik okazał się mężczyzną w czerwonej bejsbolówce. Po paru kolejnych krokach przekonała się, że mężczyzną tym jest nie kto inny, tylko Rysio. Pomachała do

niego. Gdy ją zauważył, wyszedł jej naprzeciw. Spotkali się przy dużym krzaku lawendy, który obsiadały pszczoły. Ich bzyczenie było tak donośne, że konkurowało ze śpiewem ptaków pomieszkujących w sadzie sąsiada.

– Bianco, czy to ty? – Rysio patrzył na nią ze zdziwieniem, zasłaniając oczy przed słońcem. – Co tu robisz?

Bianka uściśnęła mu rękę. Dopiero wtedy dotarło do niego, że to naprawdę ona. Zagwizdał w charakterystyczny dla siebie sposób i spojrział w kierunku najbliższego sadu, jakby chciał się przekonać, czy przesiadujące tam ptaki zareagują na ten odgłos. I rzeczywiście, już po chwili usłyszeli śpiew skowronka, ćwierkanie wróbli i specyficzne skrzeczenie sójki.

– Szukam Małgosi. Widział ją pan?

– Pani Małgośka przed południem pojechała do domu. Źle się czuła. – Rysio spochmurniał.

– Coś poważnego?

– Nie wiem, mam nadzieję, że nie. – Odwrócił głowę. Wyglądał tak, jakby coś przemyślał. – Już kiedy wróciłem tu po chorobie babki, wydała mi się jakaś taka blada. Oby to nie było nic groźnego. – Teraz był wyraźnie zaniepokojony.

– Też mam taką nadzieję. – Bianka również martwiła się o Małgosię. – Cieszę się, że pan wrócił. To znaczy, że pani Serafina czuje się lepiej?

– Tak, babka jest z dobrej, starej gliny. Twarda jak kamień. – Uśmiechnął się z uznaniem. – Szybko wzięła się w garść. Sama wypędziła mnie z chałupy i kazała iść do roboty. Ale ja też już chciałem. Z babką ciężko wytrzymać, marudzi i czepia się o byle co. Zresztą co ja ci tutaj będę... – Schylił się i wyrwał niewielką koniczynę wplątaną w łądzki rosnącego obok młodego tymianku. – Tutaj jestem potrzebny. – Uniósł triumfalnie wyrwaną roślinkę. – A babce to zawsze będzie źle, taka już jest – dodał i zmiął chwast w dłoni.

– Obiecałam pani Serafinie, że wkrótce ją odwiedzę.

– Zapraszamy, nasza chałupa zawsze jest dla ciebie otwarta. Kiedy przyjdiesz? – zapytał. – Oj, babka będzie rada, jak cię zobaczy.

– Nie wiem – odpowiedziała Bianka. Od czasu choroby Serafiny nieustannie myślała o staruszce. Zamierzała wybrać się do niej jak najszybciej. Tylko że teraz najważniejsze było wyjście z Samuelem.

Odkąd ustalili termin, Sam nie wracał do tematu. Był miły i wielokrotnie ją zagadywał, ale Bianka czuła, że myślami znajduje się w zupełnie innym miejscu. Gdzie? Coraz częściej się nad tym zastanawiała, ale to sprawiało, że pytań pojawiało się wciąż więcej i więcej.

Po chwili dziewczyna spostrzegła mężczyznę idącego boczną dróżką. Zmierzał w ich stronę w szybkim tempie. Kiedy był już na tyle blisko, że mogła się przyjrzeć rysom jego twarzy, rozpoznała w nim Pawła, męża Małgosi. Już z oddali wyróżniał się bardzo wysoką, barczystą sylwetką. O ile przy ich ostatnim spotkaniu -Paweł sprawiał wrażenie sympatycznego, o tyle teraz było inaczej.

– Dzień dobry – przywitał się z Bianką chłodno.

– Dzień dobry – odparła, układając w myślach, o co chciałaby go zapytać.

Niepotrzebnie. Paweł doskonale wiedział, że dziewczyna szuka jego żony.

– Pewnie przyjechała pani do Małgorzaty. – Włożył rękę do kieszeni spodni i wcisnął głębiej wysuwającego się smartfona.

– Tak, sądziłam, że ją tutaj znajdę. – Starła się być miła.

Paweł okazał się jednak trudnym rozmówcą. Nawet nie próbował się uśmiechnąć.

– Niepotrzebnie. Z tego, co wiem, przy bramie zostawiła dla pani kosze z pomidorami.

– Tak, zauważyłam je. Myślałam jednak, że...

– Małgorzaty na razie nie będzie w pracy. – Paweł odwrócił wzrok i zmrużył oczy.

– Źle się czuje? – Bianka przejęła się jego słowami.

– To już pytanie nie do mnie – odrzekł, nie racząc jej nawet jednym spojrzeniem.

„A do kogo?“, pomyślała. Z Małgosią wyraźnie działo się coś niedobrego. Bianka przez chwilę wpatrywała się w jej męża, czekając na jego słowa. Paweł był jednak bardzo oszczędny w wyrażaniu myśli. Popatrzył na Ryśka tak, jakby dopiero go zauważył.

– Czy pan przypadkiem nie powinien być teraz w innym miejscu? Wydaje mi się, że godzinę temu zleciłem panu istotne zadanie. A może się mylę?

– Tak, przepraszam. Już wracam do obowiązków. Chciałem się tylko przywitać z Bianką. Znamy się, więc...

– Nie interesuje mnie to – wszedł mu w słowo Paweł.

Bianka zastanawiała się, czy rzeczywiście był takim cynicznym, zimnym draniem, czy tylko teraz – złamany przez życie – tak się zachowywał.

– To ja już pójdę, nie chcę przeszkadzać. – Bianka się cofnęła. Natychmiastowa ucieczka z plantacji była w tej chwili najlepszym rozwiązaniem.

– Do widzenia – rzucił tylko Paweł.

Rysio też szybko się oddalił. Bianka zapakowała do bagażnika samochodu kosze z pomidorami, a kilka minut później jechała już jedną z głównych dróg, kierując się do Kazimierza.

W piątkowy poranek w domu rozpętała się straszna awantura. Biankę obudziły krzyki Klary. Zsunęła się z łóżka, a następnie w mgnieniu oka umyła się i ubrała, ze zgrozą myśląc o tym, co może zastać na dole. Cicho wyszła na korytarz i przechyliła się przez barierkę. Klara wrzeszczała jak opętana, co jakiś czas słychać też było ciche odpowiedzi Marty. Kiedy głos Klary ucichnął, Bianka postanowiła natychmiast sprawdzić, co się stało.

Zastała Martę klęczącą pod oknem w pokoju dziennym. Gospodyni trzęsącymi się dłońmi usiłowała zebrać z podłogi fragmenty rozbitej donicy. Obok niej pośród grudek ziemi leżała ukochana takka Klary. Czarna orchidea, wtapiająca się w ciemne tło desek podłogowych, wyglądała jak martwa.

– Co się stało? – Bianka kucnęła obok Marty.

Gospodyni miała czerwone oczy i cicho pochlipywała, starała się jednak zachować spokój.

– Gdy wczoraj wychodziłam do domu, nie zamknęłam okna. Zrobił się przeciąg i to jest jego skutek. – Marta przesunęła dłonią po rozrzuconej ziemi. – Klara uwielbiała tę takkę. Obawiam się, że mi tego nie daruje. – Spojrzała smutno na Biankę. – Wszystko

przez to, że ostatnio wciąż chodzę roztargniona.

– Może powinna pani odpocząć kilka dni? Przecież ja mogę się wszystkim zająć – zaproponowała Bianka.

– Nie, drogie dziecko. – Marta popatrzyła na nią z wdzięcznością. – Ale dziękuję za troskę – rzekła cicho.

Bianka wiedziała, że nieuwaga Marty jest spowodowana zamartwianiem się o Małgosię. Podobno tego dnia, kiedy Bianka przyjechała na Fiołkowe Wzgórze po pomidory, Paweł wyprowadził się z domu. Marta już od dwóch dni spała u córki, ale Bianka nie była pewna, czy takie wsparcie rzeczywiście jest potrzebne. Gosia była w niełatwej sytuacji, ponieważ musiała nie tylko łagodzić przykre skutki terażniejszości, ale też radzić sobie z przeszłością, która wciąż rzuciła cień na jej obecne życie.

– Niech pani usiądzie, ja to posprzątam. – Bianka wyjęła z ręki Marty łopatkę.

Kobieta nie stawiała oporu. Pomału się podniosła i ruszyła w stronę kanapy. Usiadła na samym brzegu, jakby zaraz miała się z niej poderwać.

– Ona mi tego nie daruje – powtarzała cicho.

– Na pewno zaraz o wszystkim zapomni. – Bianka starała się pocieszyć Martę. Kiedy jednak zauważyła, że nic do niej nie dociera, skoncentrowała się na sprzątaniu.

Ostrożnie przeniosła orchideę na bok i położyła ją na papierze. Z ulgą stwierdziła, że roślina nie wygląda aż tak źle, jak się wydawało. Łodyżka wciąż była cała, a otaczające ją liście tworzyły ciasne rozety. Między grudkami ziemi leżały tylko dwa duże kwiaty. Po kilku minutach po wypadku nie było już śladu, a okazała -takka na powrót stanęła na parapecie obok swojej siostry bliźniaczki.

Niestety Marta nadal była strapiona i nic nie wskazywało na to, żeby miała odzyskać dobry humor. Nie trafiały do niej -żadne argumenty. Wciąż tylko powtarzała: „Ona mi tego nie daruje, to były dwa najpiękniejsze kwiaty. To nie wróży nic dobrego”.

Tego dnia Klara nie pojawiła się na śniadaniu. Marta z obawą ruszyła z jedzeniem w stronę pokoju pani domu, ale na szczęście wyręczył ją Vincent, który niemal wyrwał jej z rąk posrebrzaną tacę z łososiem.

– Niech się nie fatyguje. Pani Klara nie chce dzisiaj widzieć Marty, więc niech się trzyma z daleka, żeby nie narażać naszej pani na niepotrzebny stres – powiedział sucho.

Marta tylko pochyliła głowę i odeszła. Właściwie ta sytuacja była dla niej zbawienna, bo dzisiaj obawiała się kontaktu z Klarą bardziej niż sądu ostatecznego.

Kilkanaście minut później Bianka stała przed pokojem Samuela. Weszła tam powoli i bardzo cicho, jakby chciała pozostać niezauważona. Samuel stał przy stoliku, a twarz miał zwróconą w jej stronę.

– Czekałem na ciebie – rzekł, potwierdzając to, czego się domyślała.

Ona też czekała, aż wybije umówiona godzina.

Nie miała pojęcia, jak spędzą wspólny czas, ale przeczuwała, że potem wszystko może wyglądać inaczej. Dni spędzane w Kazimierzu przelatowały tak szybko jak karty w tasowanej talii. Czasu, który pozostał jej na wykonanie zadania, było coraz mniej, a ona wciąż znajdowała się w tym samym miejscu.

– Dzisiaj jest ten właściwy moment – powiedziała do siebie rano, zaraz po przebudzeniu.

Tylko że teraz, kiedy znów była blisko niego, nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Bała się go spłoszyć. Nie wiedziała, jak z nim rozmawiać, by go nie zranić. Każde jej słowo mogło być przecież kolcem, który zada mu ból i przywoła niechciane wspomnienia. Nadal nic o nim nie wiedziała.

– Przyniosłam śniadanie – odezwała się bez sensu, bo przecież to było oczywiste.

Podeszła do stolika i niezgrabnie odłożyła tacę, zahaczając o rękę Sama. Wykorzystał to i chwycił ją za nadgarstek.

– Nie zapomniałaś? – Kiedy to mówił, miał zamknięte oczy, a na jego ustach drgał łagodny uśmiech.

– Nie zapomniałam – odpowiedziała cicho.

Jego bliskość za każdym razem działała na nią inaczej. Coraz bardziej dotykała jej głębi. Teraz czuła, że ona i Sam znajdują się we wspólnym kokonie i są od siebie zależni. Jakby oddychali tym samym powietrzem, a jedno bez drugiego mogło się udusić.

– To dobrze. – Sam wypuścił jej rękę i usiadł. – Możemy wyjść po śniadaniu? – spytał z napięciem w głosie.

– Oczywiście. – Biance coraz mocniej udzielało się jego zdenerwowanie.

– W takim razie zjem i wyjdziemy – zdecydował.

– W porządku. – Wstała. Kiedy stanęła przy drzwiach, odwróciła się do niego. – Wrócę za pół godziny. Może być?

Przytaknął i wziął do ręki kubek z kawą zbożową.

Idąc po schodach, Samuel mocno trzymał się balustrady. Bianka stała tuż przy nim, zaciskając w napięciu dłoń.

– Pomóc ci? – zapytała Sama na szczycie schodów, ale jego gwałtowna reakcja pokazała jej, że następnym razem powinna dokładniej ważyć słowa.

– Nie, jeszcze potrafię zejść ze schodów, aż tak nie zniedołężniałem – odezwał się arogancko.

Bianka przygryzła wargę i nie odezwała się ani słowem, dopóki nie przekroczyli progu domu. Samodzielnie wyszedł na zewnątrz i pomału przesuwając stopy, pokonał schody przed domem. Gdy znalazł się na dole, a pod nogami poczuł drobną kostkę granitową, nagle się zatrzymał. Bianka przystanęła metr przed nim. Dopiero teraz dokładnie mu się przyjrzała. Wyglądał świetnie. Miał na sobie długie ciemnobezowe lniane spodnie i bawełnianą koszulkę delikatnie przylegającą do ciała, w kolorze mocnej kawy. Oczy ukrył za szklami stylowych okularów.

Dziewczyna włożyła zieloną sukienkę w kremowe groszki. Zwykle nosiła rozpuszczone włosy, ale tym razem związała je na czubku głowy w niewielki kok. Zabrała też okulary przeciwsłoneczne, lecz nie zdecydowała się ich założyć, tylko wsunęła je do kremowej torebki z grubego lnu, którą przewiesiła przez ramię. Miała świadomość, że musi pilnować Sama, czuła się za niego odpowiedzialna. Wyglądało na to, że dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego niepełnosprawności.

– Wszystko w porządku? – zapytała, starając się, żeby jej słowa zabrzmiały naturalnie. W gardle czuła jednak uporczywy ścisk, nad którym trudno jej było zapanować.

Przeszli przez furtkę i znaleźli się poza granicami posesji. Sam przez cały czas

bardzo dobrze sobie radził. Szedł powoli dwa kroki przed nią, jakby doskonale orientował się w terenie. Po słowach Bianki przystanął i odwrócił się do niej.

– Tak, wszystko jest w jak najlepszym porządku – odezwał się, tym razem swobodnie.

Bianka patrzyła na niego. Po sposobie, w jaki rozchyłał usta, i tempie mówienia starała się odgadnąć jego nastrój. Oczy Sama, schowane za ciemnymi szklami, były dla niej całkowicie niewidoczne. Samuel zachowywał się naturalnie, niemal tak, jakby codziennie przemierzał tę drogę. Dla Bianki było to zadziwiające. „Czy tak zachowuje się mężczyzna, który od blisko trzech lat -siedzi zamknięty w pokoju i jest odgradzony od reszty świata?”

– Dokąd chciałbyś pójść? – spytała luźno, zupełnie tak, jak gdyby udawali się na zwykłą przechadzkę.

Ten spacer nie był jednak zwyczajny i oboje zdawali sobie z tego sprawę. Mimo to każde z nich starało się zachowywać pozory normalności.

– A jak myślisz, gdzie jest serce Kazimierza? – Przybliżył się do niej.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – W Kazimierzu jest wiele pięknych zakątków. – Usiłowała przywołać w myślach wszystkie miejsca, które zobaczyła po przyjeździe.

– Chodźmy w stronę rynku – rzekł Sam enigmatycznie.

– Dobrze, pójdziemy krótszą drogą – zdecydowała Bianka.

– Nie musimy. To znaczy jeśli wybierasz ją ze względu na mnie, to...

– Nie wybieram jej ze względu na ciebie, po prostu zazwyczaj tędy chodzę do miasteczka. – Próbowała się nieudolnie usprawiedliwić.

– W porządku, chodźmy.

Weszli w spokojną uliczkę, wokół której ciągnął się rząd starych leszczyn. Nierówny chodnik sprawiał, że Sam koncentrował się na tym, by poruszać się prawidłowo. Kiedy jednak Bianka zauważyła, że po raz kolejny zawadził czubkiem buta o odstający fragment trotuaru, zatrzymała się przed nim, zagrządzając mu drogę.

– Może chwycisz mnie za rękę? – zaproponowała. Czują się za niego odpowiedzialna, a ten spacer traktowała jako pewnego rodzaju test.

Samuel uśmiechnął się i bez słowa podał jej dłoń. Bianka, ośmielona jego zachowaniem, mocno złapała go za rękę. Ruszyli w kierunku rynku. Szli bardzo blisko siebie, ciało przy ciele. Gdy tylko Bianka przyspieszała kroku, oddalając się od Sama na długość wyciągniętej ręki, mężczyzna przybliżał się do niej i mocniej chwycił jej dłoń. Z każdym kolejnym uściskiem chciał jej przekazać coś ważnego. Zastanawiała się, czy Sam zdecyduje się przed nią otworzyć. A jeśli tak, to czy ona będzie w stanie odpowiedzieć na zaproszenie i wejść do kryjówki jego wspomnień.

Na kazimierskim rynku słońce stało w zenicie. Zmęczeni upałem turyści wolno powłóczyli nogami po placu wybrukowanym kocimi łbami.

– Może chcesz się czegoś napić? – zapytała Bianka Samuela, kiedy zatrzymali się przy kamienicach Świętego Mikołaja i Świętego Krzysztofa.

– Nie, dziękuję. Ale może ty chciałabyś gdzieś usiąść?

– Nie – odpowiedziała i poprawiła kosmyk włosów wymykający się spod spinki.



Sam skierował oczy przed siebie.

– Dawno tutaj nie byłem – rzekł spokojnym głosem. Trudno było wywnioskować, czy chwile, kiedy chodził urokliwymi uliczkami starego Kazimierza, należały do szczęśliwych, czy raczej wolałby o nich zapomnieć. – Ale wciąż doskonale wszystko pamiętam. – Uśmiechnął się.

Bianka obserwowała go z boku. Zastanawiała się, jak wyraźny jest obraz z przeszłości, który Sam zatrzymał pod powiekami, a teraz fragment po fragmencie odtwarzał. Ciekawiło ją, w jakich barwach postrzega swój wewnętrzny świat. Nie odważyłaby się jednak go o to zapytać, więc karmiła się własnymi domysłami.

Wtem Sam odwrócił głowę w jej stronę. Ciemne szkła jego okularów załśniły w słońcu.

– Widziałas już zamek i basztę? – zapytał, a ona wychwyciła w jego głosie nutkę entuzjazmu.

– Tak – odparła, przywołując wspomnienia ze spaceru do tego miejsca, rozmowę z Olafem, ciepłe strugi deszczu i luźną atmosferę, które sprawiły, że miło spędziła czas.

Sam nagle się ożywił.

– Zamek to miejsce, do którego chciałem się z tobą wybrać. – Przeczesał ręką włosy, których końcówki zahaczyły o oprawki okularów.

Gdy opuścili rynek i ruszyli w kierunku wzgórza fary, Bianka znowu złapała Sama za rękę. Uśmiechnął się, było widać, że ten gest sprawił mu przyjemność. Stąpił bardzo delikatnie, kiedy razem ze sznureczkiem turystów kierowali się do ruin. Na dziedzińcu tłum się rozproszył. Samuel nagle wypuścił dłoń Bianki. Kilkakrotnie się odwrócił, wyglądało to tak, jakby czemuś się przyglądał. Gdyby ktoś obserwował go z boku, nie domyśliłby się, że jest niewidomy. W pewnej chwili głęboko odetchnął i nie zwracając uwagi na Biankę, powoli i bardzo ostrożnie ruszył w kierunku fragmentu muru, gdzie kiedyś było okno.

Bianka o nic nie pytała, ale jak Anioł Stróż nie spuszczała go z oczu. Zatrzymali się przy wyrwie w murze. Sam położył rękę na nierównych kamieniach i niczym lekarz dokładnie gładził ich powierzchnię, jakby je badał. W pewnej chwili uśmiechnął się i oparł bokiem o murek. Znow poprawił włosy, założył je za uszy. Uniósł głowę, jak gdyby przypomniał sobie o obecności Bianki.

– Co sądzisz o tym miejscu? – W jego głosie było słychać ciekawość.

Bianka pochyliła się i wsunęła głowę w okienną dziurę, dzięki czemu mogła podziwiać fragment malowniczego pejzażu miasteczka.

– Jest piękne – powiedziała krótko, choć jej wrażenia były o wiele bogatsze.

– To moje ulubione miejsce – rzekł Samuel jakby do siebie, odwracając się w stronę dziedzińca pełnego zwiedzających. Po krótkiej chwili znow przylgnął do muru i oparł o niego głowę. – Gdy byliśmy dziećmi, przybiegaliśmy tutaj z Olafem. Mieliliśmy w tym miejscu mnóstwo skrytek. Dawniej było tu znacznie spokojniej niż teraz. I my byliśmy wtedy inni. – Nagle przykucnął i schylił głowę. Wyglądał tak, jak gdyby wpatrywał się w podłoże.

Trwało to dość długo. W końcu Bianka zaszurała stopami. Podziałało. Sam podniósł się i rzekł:

– To okno na stary świat. Dzisiaj wszystko wygląda inaczej.

Te słowa uzmysłowiły Biance, że Sam wciąż myśli o przeszłości. A w tej przeszłości czaiło się coś niewygodnego. Była jak stary, zniszczony mebel, o który nie sposób się oprzeć, bo w każdej chwili może się rozsypać.

– Dlaczego ludzie nie potrafią dotrzymywać obietnic? – Głos Sama zabrzmiał oskarżycielsko, a Biance przeszedł po plecach lodowaty dreszcz.

Skuliła się. Marzyła o tym, aby znaleźć się po drugiej stronie muru, aby być dla Sama całkiem niewidoczna. Czuła się niełojalna i nieszczerza.

– O kim mówisz? – wydusiła po chwili, dławiąc się wyrzutami sumienia.

Zaraz jednak przywołała się do porządku. Przecież Sam o niczym nie wiedział i miał się nie dowiedzieć, jeśli w ogóle uda jej się wywiązać z umowy. Coraz częściej przekonywała się, że na złodzieju czapka gore. Klara celowo wciągnęła ją w gęstą siatkę intryg. Bianka czuła, że za dziwną prośbą kobiety kryło się coś jeszcze. Teraz, po przeszło miesięcznym pobycie w jej mrocznym domu, była tego pewna. Klarze nie zależało na Samuelu, a i syn traktował ją niezwykle chłodno. Dlaczego więc chciała mu pomóc? A może wcale nie chciała? O co chodziło?

– O swoim bracie. – Zdecydowany głos Samuela przerwał gonitwę myśli w jej głowie. – Nie dotrzymał słowa! – Wykonał zamach ręką, chcąc uderzyć w mur, ale w ostatniej chwili się zatrzymał. „To nie miało tak wyglądać”, pomyślał.

Jego umysł pracował na zwiększonych obrotach. Znów był dzieckiem. Widział siebie w krótkich spodenkach w granatowo-beżową kratkę, kończących się w połowie szczupłych ud, i w wyciągniętej na zewnątrz koszulce, w której brakowało dwóch guzików.

– Tym razem mama ci tego nie daruje – mówił Olaf, jego starszy brat. – Co ty robisz z tymi guzikami? Zjadasz je? – żartował, poprawiając bratu ubranie.

Obaj mieli wtedy nie więcej niż metr trzydzieści i szybko przemykali między ruinami zamku, biegnąc ku baszcie. Wąty Samuel chciał dorównać bratu, przez co często się potykał, a w konsekwencji jego kolana były nieustannie oblepione świeżymi strupami. Kiedy jedne rany się goiły, na ich miejscu natychmiast pojawiały się nowe. Gdy chłopcy dobiegali do baszty, Sam zawsze był zziąjany, ale nie chciał wyjść na mięczaka, więc udawał dzielnego.

– To jak, ścigamy się? – Zerkał ukradkiem na starszego brata, sprawiając wrażenie gotowego do startu.

– Zaczekaj chwilę. – Olaf udawał jeszcze bardziej zmęczonego, niż był młodszy brat. – Muszę chwilę odpocząć, nie dam rady – mówił.

Na te słowa Samuel zrywał się i krzycząc na całe gardło: „Do biegu, gotowi, start!”, wrywał się do przodu.

Olaf zwykle czekał kilka sekund, a potem ruszał w pogoń za Samem, udając, że nie jest w stanie mu dorównać.

– Ty nicponiu, znów mnie pokonałeś. – Śmiał się, patrząc bratu prosto w oczy, kiedy zatrzymywali się na szczycie wieży, i wkładał dziecięce dłonie w potargane kędzierzawe włosy Samuela.

– Wszystko w porządku? – zapytała Bianka, kładąc rękę na ramieniu Sama.

Cofnął się, jakby jej dotyk go oparzył, ale potem przez dłuższy czas czuł w tym miejscu miłe ciepło.

– Tak – odpowiedział po chwili.

– Chciałbyś mi o czymś powiedzieć? – Bianka zaryzykowała, zadając to pytanie.

– Może... – odrzekł zagadkowo, odchylając głowę do tyłu. – Ale to nie będzie dotyczyć mnie i Olafa – powiedział z nutą satysfakcji w głosie. – Ja i mój brat... – Przygryzł wargę, jakby miał się już nie odezwać. – Czasem więzy krwi nie wystarczą, żeby na zawsze połączyć bliskich sobie ludzi. Zwłaszcza jeśli ktoś rzuca słowa na wiatr. – Bianka zauważyła, że Sam nerwowo przebiera palcami.

– To znaczy, że Olaf... – Zagadkowy sposób mówienia Sama sprawił, że jej ciekawość zapłonęła jak podsycone ognisko.

– Powiedziałem, że nie dowiesz się ode mnie niczego o Olafie.

– Przepraszam. – W duchu skarciła się za swoje wścibstwo.

Odsunął się od niej, a ona przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, starając się odgadnąć, czy go uraziła. W ciągu ostatnich kilkunastu minut odkryła nowe oblicze Sama – teraz jawił jej się jako mistrz kamuflażu. Nie umiała się do niego zbliżyć. Ilekroć chciała odczytać z jego ust prosty wers, który trafnie określiłby choć jedną cechę charakteru, nagle przestawiał słowa, tworząc z nich łamigłówkę.

Ku zaskoczeniu Bianki wyraz twarzy Samuela zaraz złagodniał. Mężczyzna przysunął się do wyrwy i przechylił w taki sposób, jakby dokładnie chciał się przyjrzeć miejscu po drugiej stronie.

– Ciekawe, czy kiedy tu stał, myślał o niej... – Samuel uniósł głowę, ale cały czas był odwrócony tyłem do Bianki, co tylko wzmagало jej ciekawość.

– Kto?

– Nasz wielki król Kazimierz, gospodarz tego zamku. – Po tych słowach odwrócił się do niej.

Kiedy popatrzyła w czarne szkła jego okularów, odniosła wrażenie, że jej się przygląda. Pierwszą jej myślą było: „Czy Sam ma zamknięte oczy?”. Gdy tylko zjawiała się obok niego, przymykał powieki. Teraz nie była w stanie tego odgadnąć. Mogłaby nawet pokusić się o stwierdzenie, że celowo wybrał tak ciemne szkła, by schować się przed nią jeszcze głębiej. „Co za niedorzeczność – pomyślała, lekko potrząsając głową, jednak wciąż zerknęła w ciemne szkła okularów Samuela. – Przecież on jest niewidomy, więc nie ma znaczenia, jakie założy okulary”. Przybrała pewną siebie pozę, prostując się i dumnie wypinając przed siebie piersi. Pomogło, już po kilku sekundach poczuła się ośmielona.

– O kim miałyby tak rozmyślać nasz szlachetny władca? – Pokusiła się nawet o dowcipny ton.

Na szczęście Sam też się uśmiechnął. Zdawał się nie pamiętać rozmowy dotyczącej Olafa, która przed momentem położyła się cieniem na jego dobrym humorze.

– O swojej ukochanej Esterce – rzekł teatralnym głosem, jakby chciał, żeby jego słowa zrobiły wyjątkowe wrażenie.

– Ach, to. – Roześmiała się.

– Słyszałaś, że król Kazimierz wybudował dla swojej miłej zamek w Bochońcu?

Mówią, że chadzał do niej każdej nocy podziemnym korytarzem łączącym oba siedliska. Oczywiście wtedy, kiedy był w Kazimierzu i nie zajmowały go ważne sprawy państwowe.  
– Samuel podszedł do Bianki.

Ta nagła bliskość sprawiła, że dziewczyna zeszywniała. Czowała wierzch jego dłoni na przegubie swojej ręki, jego biodra opierały się o jej bok. Przez cienki splot swojej sukienki i lekką tkaninę jego ubrania niemal czuła gorąco jego ciała. Długo nie mogła się poruszyć.

– Miasteczko żyje tą historią. Chyba nie ma mieszkańca, który by jej nie znał. –  
Bianka starała się zachować obojętny ton.

Myślami powędrowała do tajemniczego miejsca w lesie, ukrytego między trzema grabami, które pokazała jej Serafina. „Ciekawe, co Sam powiedziałaby na tę historię. Chyba też lubi takie opowieści”.

Wywnioskowała to po tym, w jaki sposób traktował wielkie dziedzictwo. Kiedy dotykał starych murów zamku, widać było jego wyraźne zaangażowanie. Była pewna, że Sam odsłania wówczas jasną stronę swojej duszy. Ale stojący naprzeciw niej mężczyzna miał też swój cień. Ten cień był większy niż u innych ludzi. Czowała to. Bała się go. Bała się, że w tym cieniu Sam może całkiem zniknąć.

– Wszystkie stare miasteczka mają swoje tajemnice – rzekł Samuel. – A Kazimierz jest kopalnią takich historii. Słyszałaś, że ponoć nasze poczciwe miasteczko odwiedził kiedyś Szekspir?

– Nie. – Bianka popatrzyła na Sama z jeszcze większą ciekawością.

– Podobno przyплыł Wisłą do Kazimierza, a potem Grodarzem pod Świętą Annę. Mówią, że to właśnie tam zainspirował się, by stworzyć *Hamleta*. A tytułowy Hamlet to nie kto inny, jak król Kazimierz Wielki, bez pamięci zakochany w swojej Esterce.

– Wierzysz w to?

– A ma dla ciebie znaczenie to, w co wierzę? – spytał z zagadkowym uśmiechem.

– Ta cała historia z Szekspirem... Wiesz, stare miejsca mają to do siebie, że w rogu niemal każdej uliczki czai się jakaś opowieść. Właściwie wszystko mogło się zdarzyć – stwierdziła z przekonaniem.

Tak, Kazimierz był niezwykłym miejscem. Od dawien dawna przyciągał artystów i osoby poszukujące głębokich wrażeń. Tu czas się zatrzymał, a stary świat bez żenady obejmował młode realia, które starały się dopasować do tego, co było. Bo tutaj wciąż unosił się duch minionego. I to on rządził, przyciągając do miasteczka właściwych ludzi. Kto raz stąpał po kazimierskim rynku i stanął przy dziewiętnastowiecznej studni z gontowym daszkiem, musiał tu wrócić. Czary? Być może.

Bianka od samego początku była pod ogromnym wrażeniem tego miejsca. Ludzie leniwie przeciskali się pachnącymi historią uliczkami, a na niebie odbijały się fragmenty dawno rozegranych scen. Wystarczyło na moment zamknąć oczy, by usłyszeć gwar gęstej ciżby kłębiącej się na rynku i odgłos fanfar oznajmiających pojawienie się króla. Nawet nie trzeba było się za bardzo wysilać, aby to zobaczyć, bo wyobraźnia działała tutaj na niezwykle wysokich obrotach.

– Myślę, że powinniśmy już wracać. – Głos Sama zabrzmiał konkretnie i natychmiast wyrwał Biankę z zamyślenia.

– Nie chcesz iść do baszty? – Bianka, upojona luźną atmosferą rozgrzanego południowym słońcem dziedzińca, chętnie spędziłaby tutaj jeszcze kilka chwil, choćby tylko po to, by mocniej zaciągnąć się tym wakacyjnym nastrojem tajemniczości.

Sam nagle spochmurniał, a ją przeszył niemiły chłód. To tak, jakby zniecka pojawiła się ciemna chmura i zasnuła ostatnie minuty szarym odcieniem. Czar prysnął, a w powietrzu zawisła nieprzyjemna atmosfera oczekiwania. Bianka spodziewała się usłyszeć od Sama coś, co ją niemiło zaskoczy. I niestety się nie pomyliła. Zanim Sam otworzył usta, zanim padły z nich pierwsze słowa, zmarszczył czoło i nonszalancko włożył ręce do kieszeni.

– Byłaś tam z nim, tak? – Niewidzące oczy, ukryte za ciemnymi szklami okularów, skierował na nią.

– Tak – odpowiedziała pewnie, jakby nie miała nic do ukrycia. Wiedziała, że chodzi mu o Olafa. Nie rozumiała tylko jednego: dlaczego Sam wciąż miał problem z tym, że zbliżyła się do jego brata? Sądziła, że już wyjaśnili sobie tę kwestię.

– Radzę ci, uważaj na niego. – Sam wypowiedział te słowa mocnym głosem.

Nie odniosła się do tego, tylko odwróciła głowę w kierunku tej części dziedzińca, w której kłębił się tłum zwiedzających. Po chwili, nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony Samuela, który nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby wszystko mu zobojętniało, Bianka podjęła decyzję o powrocie. Cofnęła się o metr i rzekła, siląc się na oficjalny ton:

– Masz rację, powinniśmy już iść. Na pewno jest późno. – Tak naprawdę nie miała pojęcia, która jest godzina, i niespecjalnie ją to obchodziło. Zerknęła na Sama z ukosa i załapała ją fala irytacji. Samuel zachowywał się jej zdaniem jak rozkapryszony chłopak. A może nim był? – Chodź – powiedziała ostrzej, czekając, aż Sam się do niej przybliży.

Ku jej zaskoczeniu złapał ją za rękę. Zrobił to tak gwałtownie, że poczuła się tym dotykiem osaczona. W pewnej chwili nie mogła nawet poruszyć palcami, które Samuel tak ciasno zamknął w swojej dłoni.

Droga powrotna minęła w milczeniu. Żadne z nich niczego nie proponowało, wydawało się, że oboje liczą kroki, zastanawiając się, ile ich jeszcze dzieli od domu. Bianka była wściekła nie tylko na Sama – za to, że nie potrafił pohamować swojej buńczucznej natury, którą coraz wyraźniej u niego dostrzegała – ale też na siebie, ponieważ nie umiała beznamiętnie odnieść się do jego słów, ponieważ uległa prowokacji. Była pewna, że Sam chciał ją podpuścić. Tylko dlaczego? A wystarczyło, żeby wzięła jeden głęboki oddech i wypuściła wszystkie te emocje. Niestety nie zrobiła tego i teraz, idąc rozgrzanym chodnikiem uroczego miasteczka, w którym nawet najmniejszy kawałek ziemi przypominał o tym, co piękne i ponadczasowe, ciągnęła za sobą nie tylko Sama, lecz także swój podły humor, niczym stary tobołek wypchany marną zawartością.

Wewnątrz domu, tak jak zazwyczaj, było duszno i ciemno. Powiew świeżego powietrza, które rankiem Marta wpuściła do środka, został przytłoczony przez gęstą atmosferę tego miejsca. Pusty podjazd i cisza, którą niemal czuło się przez skórę, wskazywały na to, że Klara w asyście swojego wiernego lokaja opuściła wężowisko. Za to Marta trwała na posterunku. Przywitała ich w korytarzu z zaskoczoną miną, w fartuszkach obficie poplamionym konfiturą, którą właśnie przygotowywała. Uśmiechnęła się z rezerwą, po czym upychając kraciastą ściereczkę w szerokiej kieszeni, rzekła:

– Właśnie się zastanawiałam, gdzie jesteś. – Słowa te były skierowane do Bianki, ale gospodyni uparcie wpatrywała się w -Samuela. Widok mężczyzny stojącego na tle framugi z mahoniowego drewna nie był czymś normalnym.

Marta chłonęła tę chwilę, sycąc się nią niczym wysuszona gąbka wodą. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek przyjdzie jej jeszcze zobaczyć coś równie fascynującego. Obraz Samuela w towarzystwie uroczej Bianki – która zjednała sobie jej przychyłność, gdy tylko pojawiła się w domu Klary – tak poruszył jej wyobraźnię, że miała wrażenie, iż ogląda ich na ekranie telewizora jako głównych bohaterów popularnego sitcomu. Uśmiechnęła się do własnych myśli.

– Byliście na spacerze – stwierdziła w końcu uradowana.

Niestety ani Samuel, ani Bianka nie podzielali jej entuzjazmu.

– Tak – odpowiedziała Bianka na odczepnego.

– Pójdę do siebie – rzekł Samuel z wymuszonym uśmiechem.

Bianka ruszyła z nim w stronę schodów, ale Sam ostentacyjnie odwrócił się w kierunku holu.

– Nie fatyguj się, dam sobie radę. – W jego głosie pobrzmiwała jakaś bliżej nieokreślona gorycz, pod której wpływem Bianka poczuła wyrzuty sumienia.

„Jednak nie podołałam zadaniu”, kołatało się jej w głowie, jak fragment nachalnego utworu. Dopiero kiedy Sam zniknął jej z oczu i usłyszała trzask zamykanych drzwi, kilkakrotnie zamrugnęła powiekami.

– Uff. – Demonstracyjnie wypuściła powietrze.

– Było aż tak źle?

– Chyba jeszcze gorzej. – Bianka nie mogła się zdobyć na uśmiech. Kiedy przed paroma sekundami stanęła vis-à-vis Marty, sądziła, że gospodyni uda się rozładować napiętą atmosferę. Teraz nie była już tego taka pewna.

– Chodź do ogrodu – zaproponowała Marta, jakby była przekonana, że wśród przydomowej flory znajdą remedium na stan Bianki.

Bianka, wzdychając, udała się w ślad za Martą, najpierw do kuchni, gdzie gospodyni przygotowała herbatę, a później do ogrodu. Liczyła na to, że Marta poskromi swoją wybujałą ciekawość i zadowoli się kilkoma ogólnymi zdaniami. Niestety sucha relacja Bianki z przebiegu spaceru wcale jej nie wystarczyła.

– Nie brzmisz dość wiarygodnie. – Posłała jej przenikliwe spojrzenie.

– Co jeszcze chce pani wiedzieć? – Dziewczyna sięgnęła po pomarańczową landrynkę. Zanim włożyła cukierek do ust, długo bawiła się nim w palcach.

Marta nie odpowiedziała, bo i nie wiedziała, o co powinna spytać. Bianka dość oględnie zdała relację z pobytu w miasteczku. Kobieta dowiedziała się, gdzie byli, którą trasą udali się do centrum, jakie atrakcje mijali po drodze. Zresztą tego mogła się domyślić. Znała Kazimierz jak własną kieszeń w starym fartuchu, w której chowała najróżniejsze przedmioty niemieszczące jej się w rękach. Gospodyni nie mogła znaleźć właściwych słów. W końcu, żeby przerwać niezręczną ciszę, podsunęła Biance kryształową salaterkę wypełnioną lepiącymi się landrynkami.

– Nie uważa pani, że trochę tego za dużo? – Bianka się uśmiechnęła i wyłowila z masy cukierkowych kulek kolejną landrynkę w jaskrawopomarańczowym kolorze. – On

jest niereformowalny – powiedziała, gdy skończyła jeść, a profesorski ton sprawił, że wypowiedź zabrzmiała tak, jakby wygłaszała ją z mównicy. – Nie potrafię się do niego zbliżyć.

– Daj mu więcej czasu – rzekła Marta bez zastanowienia.

– Czasu? Niby na co? – Bianka się uniosła. – Chyba na to, by mógł mnie wodzić za nos. On jest jak dzikus, który większość życia spędził w dżungli i nagle zaczął funkcjonować w cywilizowanym świecie. – Czowała, że znów zalewa ją fala emocji.

– Bo to prawda – stwierdziła głośno Marta.

Bianka popatrzyła na nią ostro, ale zaraz odwróciła wzrok.

– To, że jest niewidomy... wcale go nie tłumaczy. Obowiązują jakieś zasady. – Nie umiała ukryć wzburzenia.

– Posłuchaj. – Marta w matczynym geście ujęła jej dłoń. – On tylko stara się dopasować do sytuacji, ale nie bardzo mu to wychodzi. – Wyraźnie broniła Sama, a swoim wyrozumiałym tonem jeszcze bardziej zdenerwowała Biankę. – Wiesz, że to wina jego matki, on... – Nerwowo zerknęła na okna pokoju Klary. – Albo mam jakieś zwidy, albo to wina dzisiejszych upałów, ale dałabym sobie odciąć rękę, że poruszyła się firanka – rzekła szeptem. Zaraz jednak przeniosła wzrok na Biankę i już chciała kontynuować, lecz dziewczyna wstała.

– Pani Marto, przepraszam, ale dzisiaj naprawdę mam dość rozmów o tej rodzinie.

– Zaczekaj. – Marta znów złapała ją za nadgarstek. – Usiądź, nie dopiłaś herbaty.

– Pochyliła głowę i zajrzała do filiżanki dziewczyny.

Nie wiadomo, czy to pod wpływem zdecydowanego głosu Marty, czy też jej wzroku, który był mieszaniną łagodności ze stanowczością, ale Bianka zdecydowała się usiąść.

– Jestem zmęczona – powiedziała, opadając na krzesło. Liczyła na to, że Marta już więcej nie wspomni o Samie.

– Bianco... – zaczęła kobieta półgłosem. – Proszę cię, nie rezygnuj. Jeśli ty mu nie pomożesz, to nie zrobi tego nikt inny. – Wpatrywała się w nią zacięcie.

– Słucham? – Bianka poczuła, jakby wokół niej wszystko zawirowało. W jej głowie pojawiły się strzępki rozmów i obrazów z ostatnich godzin przed wyjazdem do Kazimierza. Miała wrażenie, że znów musi podjąć decyzję. Ale odpowiedź była tylko jedna: teraz nie ma odwrotu.

Zadrżały jej ręce. Nie mogła nad tym zapanować. W końcu zaplotła palce i położyła dłonie na kolanach.

– To nie ma sensu, nie dam rady. Według mnie on ucieka przed życiem. Nie umiem się do niego zbliżyć.

– A mnie się wydaje, że już się zbliżyliście. – Na ustach Marty pojawił się dwuznaczny uśmiech.

– To może tak wyglądać, ale... – Bianka urwała. Zastanawiała się, czy Marta przypadkiem źle nie odebrała jej znajomości z Samem.

Kiedy zniknęła za drzwiami pokoju Samuela, była dla Marty niewidzialna. Jak to możliwe, że ją przejrzała? Przecież Sam i ona... No właśnie, co było między nimi? Tylko niejasna relacja pełna wzlotów i upadków oraz umowa, która ciążyła na niej jak klątwa

rzucona przez złą wiedźmę. Czy Klara była wiedźmą? Coraz bardziej w to wierzyła.

– Dasz radę. – Marta uniosła głowę, a Bianka dostrzegła w jej oczach nagły błysk, zupełnie tak, jakby zobaczyła światełko w tunelu.

– Skąd ta pewność? – Dziewczyna się uśmiechnęła. Żadna z nich nie powiedziała głośno tego, o czym obie doskonale wiedziały.

„Więc Marta zna całą prawdę”. Bianka wpatrywała się w nią i czuła się coraz spokojniejsza.

– Łączy was coś wyjątkowego, niemożliwe, żebyście się nie dogadali. – Gospodyni uniosła czoło, czym rozbawiła Biankę, tak że w policzkach dziewczyny znów pojawiły się urocze dołeczki. – Bianco. – Spoważniała. – Użyj tego, co najcenniejsze: własnego talentu.

Podpowiedź była prosta. Gorzej było z realizacją. Kiedy Bianka stała naprzeciw Sama, wszystko się zmieniało. Wciąż nie wiedziała, jak mężczyzna się zachowa. A najgorsze, że nie była pewna również własnej reakcji. Sam działał na nią jak słodki jaśmin, zmysłowo rozchylający płatki do słońca, kusił i przyciągał. Gdy jednak zbliżała się do niego, by w pełni nacieszyć się jego aromatem, nagle się zamykał, broniąc sekretnego wnętrza.

– Postaram się – odpowiedziała i sięgnęła po kolejną landrynkę. – To już ostatnia – dodała jakby na swoje usprawiedliwienie.

Marta się roześmiała. Biankę kusiło jeszcze, żeby zapytać ją o dzisiejszy niefortunny poranek, ale przypomniała sobie jej smutną twarz i ugryzła się w język. Wszystko wskazywało na to, że Marta przezwyciężyła kryzys.



Tunel był ciasny i ciemny, wydawał się nie mieć końca. Wokół unosił się zapach stęchlizny. Sandały Bianki nasiąkły wodą, która sącząc się między szczelinami, tworzyła rozległe kałuże. Mdlawe światło latarni, którą dziewczyna ścisnęła przy piersi, ledwie oświetlało przestrzeń tuż przed nią. Nagle blask zaczął blaknąć, Biankę ogarniał coraz większy mrok. Mimo to wciąż szła przed siebie, bo wiedziała, że za moment zobaczy coś imponującego. Z oddali słyszała dziwne odgłosy. Nie była pewna, czy to echo szyderczo śmieje się z jej drobnych kroków, czy coś jeszcze. Coś, co sprawiało, że mimo strachu wciąż szła. Wtem, gdy jej latarenka już niemal całkowicie zgasła, dojrzała punkcik światła, niczym błysk robaczka świętojańskiego. Był coraz bliżej, powiększał się i migotał zachęcająco, przyciągając ją do siebie. Wtedy zobaczyła postać. Wiedziała, że to on. Przyspieszyła kroku. Usłyszała straszny huk, jakby trzask powalonego w lesie drzewa. Uniosła wzrok. Stał przed nią. Na twarzy miał wypisaną rozpacz.

– Samuel! – krzyknęła i wyciągnęła rękę.

Nagle wszystko zaczęło znikać. Oblepione wilgocią ściany tunelu rozsuwały się jak warstwy pękającego lodu na zamrożonej rzece. Niewyraźna twarz mężczyzny przypominała jasną plamę. Wszystko rozmywało się i oddalało, ale nieprzyjemny odgłos się potęgował.

Bianka otworzyła oczy i dotknęła zroszonego czoła. Oddychała szybko, jakby dopadł ją atak paniki. „Więc to był tylko sen?” Usiadła na łóżku, a potem rozejrzała się po ciemnym pokoju. Opuściła nogi na podłogę i wbiła palce w miękki materac. Naraz usłyszała trzask. Wzdrygnęła się i wstała, nasłuchując. Na kolejny odgłos nie musiała czekać zbyt długo, bo już po kilku sekundach znów rozległ się hałas o podobnym natężeniu. Teraz była już pewna, skąd dochodził.

Narzuciła na siebie szlafrok i wybiegła na korytarz.

– Sam, wszystko w porządku? – Zapukała do drzwi Samuela. Nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnęła klamkę. – Sam, co to ma znaczyć? – rzekła cicho, poruszona.

Samuel stał na środku pokoju, gdzie okrągły dywanik w morskim kolorze przykrywał fragment dębowego parkietu. Tym razem nie zamknął oczu, ale w geście bezsilności opuścił głowę. Później opadły również ramiona, zupełnie tak, jakby mężczyzna tracił władzę nad własnym ciałem.

– Nie będą mi już potrzebne – powiedział. W pewnym momencie jego nogi się ugięły i niczym szmaciana kukła upadł na podłogę. Zrobił to jednak świadomie, kontrolując własne ruchy. Na koniec uklęknął. Jego kolana znajdowały się po części na dywanie, wykończonym grubym wełnianym splotem, a po części na lśniącej podłodze.

– Dlaczego? – Bianka uklękła obok niego i ujęła jego dłoń.

Nie bronił się przed tym, ale nie odważył się unieść głowy. Bianka popatrzyła na żalostną stertę drewna, które kiedyś było pudłem skrzypiec. Dusza instrumentu wyskoczyła z jego wnętrza i teraz leżała przytulona do jednego z eów jak małe bezbronne zwierzątko. Misternie rzeźbiona główka w kształcie ślimaka spoczywała kilkanaście centymetrów dalej, tęsknie popatrując na skręcone struny, które solidarnie ułożyły się jedna przy drugiej.

– To nie ma sensu, Blanche. – Sam uniósł głowę, a zamknięte oczy skierował na Biankę.

– Blanche?

– Tak, Blanche. Mogę cię tak nazywać? – Lekko wydał swoje pełne usta i odgarnął z czoła kosmyk włosów.

– Tak – odpowiedziała. „Blanche” zabrzmiało tak miękko w jego ustach, że aż poczuła ciepło w sercu. Spodobało jej się to. Chciała jeszcze raz usłyszeć własne imię wypowiedziane w taki sposób. Wsłuchiwała się w martwą ciszę nocy i patrzyła na lekko wilgotne usta Sama. Czekala.

– Grałem kiedyś koncert w Filharmonii Lyońskiej. Po jego zakończeniu przed drzwiami garderoby czekała na mnie mała dziewczynka z burzą białuteńkich, sięgających do pasa włosów. Wyglądała jak mały aniołek. Przywitała się ze mną dziarsko i powiedziała: „Dziękuję panu za piękną grę. Mam na imię Emmanuelle, ale tata z mamą mówią na mnie Blanche. A to mój przyjaciel, Pan Rubby”. – Sam się uśmiechnął. – Pan Rubby był małym tygrysiem uszytym ze sfilcowanej białej wełny. Miał odstające uszy i krótkie nóżki z innej tkaniny – wyjaśnił. – Ta dziewczynka, Emmanuelle... Blanche dała mi wtedy tę maskotkę, choć widziałem, że kosztowało ją to wiele wysiłku. Poprosiła: „Niech pan dobrze się nim opiekuje. Urodził się wtedy, kiedy ja, więc jest już bardzo stary”. Nie chciałem przyjąć tygrysa, ale rezolutna -Blanche wetknęła mi go do rąk. Nie miałem wyjścia, przygarnąłem Rubby’ego. – Znow spuścił głowę.

– I? – ponagliła go Bianka, ośmielona wyznaniem.

– I był ze mną bardzo długo. Wozilem go na tylnej półce w samo-chodzie. Ale nadszedł dzień, kiedy musieliśmy się rozstać – szeptał. – Blanche, już nic nie będzie takie jak kiedyś.

Nagle się podniósł i oddalił do okna. Bianka dostrzegła na jego twarzy grymas bólu.

To wszystko coraz bardziej wymykało jej się spod kontroli. Miała przed sobą świadectwo rozpacz Samuela, marny stosik drewna i metalu, które jeszcze niedawno tworzyły atrakcyjny instrument. Wiedziała, że skrzypce były dla niego całym życiem. Dzisiejszej nocy Sam nie tylko obnażył przed nią część własnej przeszłości, lecz także otworzył jej drzwi do terażniejszości. Może zrobił to nieświadomie, ale stało się. Bianka wtargnęła do jego pokoju jak nieproszony gość i stała się naocznym świadkiem chwili, która była dla Samuela przełomowa. Czuła to w każdej komórce swojego ciała, w suchych ustach i przyspieszonym pulsie. Sam potraktował ten symboliczny akt destrukcji jak pogrzeb.

Czy wobec tego jej misja miała sens? Może od razu powinna spakować walizkę i wynieść się z tego domu? Wyjechać z Kazimierza? On zdecydował. Poddał się, a dowód miała przed sobą. Popatrzyła na Sama. Jego miękkie, zawinięte na końcach włosy dotykały firanki. Kiedy dotarło do niej, że to koniec, ogarnęła ją panika.

„To nie może się tak skończyć”, pomyślała. Czuła, że zalewa ją gorący strumień odwagi. Nie mogła się poddać, nie teraz. Sam był dla niej kimś ważnym. Musiała mu pomóc. I nie chodziło jedynie o to, żeby wywiązać się z umowy. Liczył się tylko on, mężczyzna, który zawzięcie ukrywał przed nią swoje puste spojrzenie. Nie miał pojęcia, że ona widziała jego wewnętrzny świat. Teraz już nie mógł się przed nią ukryć.

– Nie możesz się poddać. – Bianka poczuła w sobie przyływ siły, którą mogłaby się podzielić z Samem.

Zaskoczony jej śmiałym tonem, drgnął. Starał się jednak udawać obojętność.

– Nic nie wiesz o moim życiu. – Rozchylił okno, wpuszczając do wnętrza miły chłód letniej nocy.

– Opowiedz mi coś o sobie. – Zimne powietrze otrzeźwiło ją. Stwierdziła, że teraz nie ma już nic do stracenia.

– To nie takie proste. Jeśli sądzisz, że usłyszysz ode mnie miłą historię, to...

– Nic nie sądzę – przerwała mu.

– I tak wiesz o mnie dużo, zbyt dużo. – Odchylił głowę w stronę zniszczonych skrzypiec.

Wiedziała, o czym mówi. Wtargnęła do jego pokoju w chwili, gdy najmniej się tego spodziewał. A może celowo ją tutaj zwabił? Przecież tak przeraźliwy hałas postawiłby na nogi nawet umarłego.

– Grałem – powiedział zdecydowanym tonem. – Od dziecka. Nie pamiętam, kiedy miałem w rękach pierwsze skrzypce, tak dawno temu to było. Na dwudzieste urodziny dostałem od ojca wymarzonego stradivariususa. Byliśmy nierozłączni... – Zamilknął.

Bianka nic nie mówiła. Czowała, że Sam potrzebuje więcej czasu.

– Byłem cholernie dobry. Tak mówili. – Na jego ustach zamajaczył błądy uśmiech. – Kochałem życie, wszystko wydawało mi się takie proste i przewidywalne. Sądziłem, że już zawsze tak będzie. Scena należy do mnie, a ja, twórca doskonały, jednym pociągnięciem smyczka mogę wszystko zmienić. – Tym razem wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. – Jakże człowiek potrafi być małostkowy w swoim postrzeganiu rzeczywistości – zagrzemiał. – Dostałem solidną nauczkę za swoją próżność.

– Nie jesteś dla siebie zbyt surowy?

– Nie znałaś mnie w moim starym życiu, nie wiesz, jaki byłem. – Odwrócił się do okna i dotknął żelaznego zewnętrznego parapetu. – Gdzie się nauczyłaś tak grać? – Zwrócił się w jej stronę. Wciąż pamiętała jej muzykę.

– Ja... przecież już ci mówiłam – wydusiła, czując, że serce bije jej coraz szybciej.

– Tak, wiem, szkoła muzyczna. To solidna podstawa, ale mnie nie oszukasz. W twojej grze wyraźnie słyhać, że masz nieustanny kontakt ze skrzypcami. – W głosie Sama brzmiała jakaś napast-liwa nuta.

Bianka poczuła się jak w potrzasku. Odruchowo zerknęła na drzwi, przez które najchętniej by uciekła. Nie mogła powiedzieć mu prawdy. Gdyby dowiedział się, że jest nauczycielką, wzbudziłoby to jego podejrzliwość.

– Mój tata gra na altówce. Jest jednym z muzyków w Filharmonii Poznańskiej. Od dziecka mam kontakt ze skrzypcami. Moja babka była świetną skrzypaczką. Widocznie mam to w genach. – Bianka mówiła szybko, jakby chciała mieć to już za sobą. Czowała jednak, że Sam tak łatwo nie odpuści.

– Wydaje mi się, że nie mówisz mi wszystkiego – stwierdził.

– Dlaczego miałabym coś przed tobą ukrywać? – Starła się być wiarygodna.

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Ostatnie lata życia w samotności sprawiły, że teraz postrzegam świat inaczej niż większość ludzi. Powiedzmy, że wyostrzył mi się węch – zażartował, by rozładować atmosferę. – Czym się zajmujesz? – spytał, a Bianka poczuła się tak, jakby została zamknięta w małym, ciasnym pudełku pełnym ostrych szpilek.

– Pracuję... w biurze. – Odwróciła się do ściany. Nie mogła tak bezkarnie patrzeć na Samuela, nawet jeśli jego powieki były zamknięte, bo czuła się jak oszustka.

„Kochanie, nigdy nie kłam”, usłyszała w głowie głos mamy. Marianna i Zygmunt byli osobami tak prostolinijnymi, że jasne zasady, którymi kierowali się w życiu, świeciły nad ich głowami już z daleka jak aureole.

– Dziwne. – Sam tylko podsycił jej wyrzuty sumienia.

Czuła, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Nie umiała się obronić i nawet tego nie chciała. Sam stawał się coraz bardziej natarczywy w snuciu domysłów.

– Właściwie po co tutaj przyjechałaś?

– Już ci kiedyś mówiłam: pomagam twojej matce. Pani Klara uznała, że w sezonie wakacyjnym będzie potrzebowała pomocy.

– Więc zostało ci już niewiele czasu – stwierdził.

Zauważyła, że ironicznie wykrzywił usta.

„A może on o wszystkim wie?”, przemknęło jej przez myśl. Wpatrywała się w drzwi, jakby stanowiły bramę do raju.

– Pójdę już, jest późno. – Cofnęła się w obawie, że Sam ją zatrzyma.

Nie zrobił tego jednak. Wciąż stał przy oknie. Wiatr rozwiewał mu włosy, burząc i tak już niesforną fryzurę.

– Dobranoc, Blanche – rzekł w chwili, kiedy dotykała klamki.

Rzuciła w jego kierunku krótkie spojrzenie.

– Dobranoc – odpowiedziała.

Starła się cicho zamknąć za sobą drzwi, jakby miało to jakie-kolwiek znaczenie. Przecież trzask skrzypiec i tak wszystkich zbudził. Zresztą w tym domu ściany miały oczy i uszy.

Wskoczyła do łóżka i zanurkowała pod kołdrę, jakby przykrycie głowy mogło wymazać ostatnie wspomnienia. Liczyła na to, że szybko się ulotnią, ale już po chwili zaczęły ją drażnić niczym bolący ząb. Najgorsze, że nie było na nie środka przeciwbólowego.

Kiedy w końcu usnęła, śniła jej się mama. Niestety nie był to jeden z tych snów, które przynoszą ukojenie.

Marianna często odwiedzała Biankę we śnie. Przeważnie siadywały wówczas przy starym dębowym stole w ich mieszkaniu na poznańskim rynku i patrzyły na siebie bez słów. Teraz było inaczej. Marianna stała kilka metrów od Bianki, przy starej szafie, w której znajdowały się skrzypce babki. Miała surowy, nietypowy dla siebie wyraz twarzy i opuszczone ramiona. Wpatrywała się w córkę smutno, a na koniec pogroziła jej palcem.

Kiedy Bianka obudziła się nazajutrz, poczuła w głowie jeszcze większy mętlik niż w nocy. Wiedziała, że postępuje nieetycznie. Dlaczego zabrnęła tak daleko? Myślała o propozycji Klary z coraz większą podejrzliwością. Była pewna, że matka Samuela knuje jakąś intrygę. Nie mogła go teraz z tym wszystkim zostawić, ale nie mogła też przed nim uciekać.

– Gdzie jest złoty środek? – zapytała samą siebie, wpatrując się w ścianę, która dzieliła ją od Sama.

Musiała wyjść z tego domu, choćby na kilka chwil, a chatka Serafiny wydała się

w tej sytuacji idealnym celem.

Poszło gładko, choć przy śniadaniu Klara łypała na nią podejrzliwym wzrokiem, a poranna modlitwa dłużyła się w nieskończoność. Klara zgodziła się jednak, żeby Bianka spędziła dzień poza domem. W ciągu ostatnich tygodni w tym miejscu dziewczyna zdążyła już poznać nieobliczalność pani domu, więc nawet nie próbowała dociekać przyczyny jej dobroduszości i po prostu postanowiła się cieszyć miłym dniem.

Spacer rozpoczęła jak zwykle od bulwaru, potem zaś na moment udała się na rynek. Tak jak zazwyczaj był on bardzo zatłoczony, wciąż bowiem trwały wakacje. Jedni turyści ustępowali miejsca innym żądnym estetycznych wrażeń globtroterom, a ślady tysiąca stóp znaczyły ziemię dziedzińca zamkowego, po którym ponad sześć wieków temu przechadzał się król Kazimierz Wielki. Gdy była w centrum, zawsze z nostalgią spoglądała w kierunku wzgórza fary. Historia miłości króla Kazimierza do pięknej Żydówki Esterki rozpaliała jej wyobraźnię. Bianka była osobą niezwykle wrażliwą i tę wrażliwość potrafiła zamienić na niepospolite dźwięki, więc kiedy usłyszała historię płomiennej miłości władcy do Esterki, córki ubogiego krawca Rafaela, w duszy od razu ułożyła rzewną melodię.

Zatrzymała się przy jednym ze straganów i kupiła dla Serafiny dużego koguta z ciasta drożdżowego. Te koguty są dla starego Kazimierza tak samo charakterystyczne jak Big Ben dla Londynu. Wiąże się z nimi pewna legenda. Podobno dawno temu nad okolicą, gdzie teraz jest położony piękny Kazimierz, przelatywał sam diabeł. Swawolnik tak się zachwycił urokami tego terenu, że został tu na dłużej. Zamieszkał w jarze w dębowym zagajniku i żywił się tłuszczutkami kazimierskimi kogutami. Biedne ptaki znikwały w paszczy żarłocznego czorta, aż ostał się tylko jeden. Podobno cwany kogut tak umiejętnie się ukrył, że żarłoczny -prześladowca nie mógł go znaleźć. Gdy czort opuścił norę, zakonnicy obficie skropili ją wodą święconą i diabeł na dobre zniknął z Kazimierza. Na pamiątkę tamtego wydarzenia w miasteczku zaczęto wypiekać pulchne koguty.

Bianka je uwielbiała. W smaku przypominały słodką chałkę. Później kupiła jeszcze kiść dojrzałych bananów w pięknym żółtym kolorze, cztery pomarańcze i kilka mandarynek o chropowatej skórce. Wyjątkowo cieszyła ją myśl, że lada moment spotka się z Serafiną. Chciała zrobić staruszce niespodziankę, zwłaszcza że nie widziała jej od kilku dni, a zamierzała odwiedzić ją dużo wcześniej.

Gdy szła miejskim laskiem, kierując się w stronę Mięćmierza, uległa beztróskiemu nastrojowi, jaki można poczuć tylko latem i tylko na wakacjach. Szła, z zadowoleniem mrużąc oczy i ciesząc się, że ma przed sobą interesujący, słoneczny dzień. Minęła kilkoro przechodniów. Kiedy wspięła się na Albrechtówkę, na moment się zatrzymała, żeby choć przez chwilę popatrzeć na przełom Wisły. Przechodząc koło zabudowań, dokładnie im się przyglądała. Większość wynajmowano letnikom. Przed bramą stały duże samochody z rejestracjami z różnych części Polski, na trawnikach paliły się grille, a z okien dochodziła wesoła, choć jak na gust Bianki trochę zbyt głośna, muzyka.

Bianka szła pomału, snując w głowie własne historie. „Zaraz przez drzwi wyjdzie jakaś mama z pysznym śniadaniem na tacy, a jakieś dzieci podbiegną do niej i obejmą ją w pasie. Jakiś tata stanie obok nich i odbierze od kobiety posiłek, mówiąc: »Kochanie, już wszystko przygotowałem. Możemy siadać«”. Co chwila uśmiechała się do własnych

myśli. „To był świetny pomysł, żeby wyjść z domu”, myślała, idąc wąską drogą.

Zza kępy dziko rosnących drzew dojrzała stary drewniany płot pokryty zielonym nalotem. Widać było, że od dawna go nie malowano. Tuż za zniszczonym ogrodzeniem rozpościerał się sad. Niskie, rozłożyste jabłonie z długimi powykręcanyymi konarami wyglądały jak stare kobiety z szacunkiem dotykające spracowanymi dłońmi ziemi, swojej żywicielki.

Bianka zatrzymała się przy ułamanej sztachetce, żeby przyjrzeć się działce. Za niedużym sadem stał drewniany dom, który w odróżnieniu od płotu lśnił świeżą farbą w kolorze musztardy. Ten nadszarpnięty zębem czasu budynek nie pasował do innych, murowanych, otoczonych równo skoszonymi trawnikami. Nagle zza drzewa wyszedł starszy mężczyzna z koszem wypełnionym dopiero co zebranych jabłkami. Jego gołębnie włosy wyróżniały się na tle jaskrawej zieleni lata. W pewnym momencie dostrzegł Biankę. Idąc w jej stronę, wysoko unosił nogi w staromodnych sandałach, starając się jak najmniej podeptać nieskoszoną trawę.

– Dzień dobry – pozdrowiła mężczyznę, gdy jeszcze był -daleko.

Odpowiedział jej uśmiechem. Mógł liczyć sobie osiemdziesiąt–dziewięćdziesiąt lat. Miał łagodną twarz, w której mimo licznych bruzd największą uwagę zwracały roześmiane szare oczy.

– Oj, dobry, dobry – odparł, kiedy stanął przy płocie. – Idealny na przechadzkę, panienko. – Uśmiechnął się i rozchylił szerokie usta, ukazując ku zaskoczeniu Bianki rząd zdrowych, równych zębów.

– Piękna okolica. – Bianka powiodła oczami po pękających jabłoniach.

Staruszek odwrócił się w kierunku swojej chaty.

– Moja ojcowizna – rzekł.

Mocno podrapał się po czole, a następnie wykonał taki gest, jakby nagle go olśniło. Wyciągnął z kosza błyszczące jabłko o słomkowej barwie.

– Niech panienka posmakuje.

– Dziękuję. – Bianka uśmiechnęła się i ochoczo przyjęła jabłko.

– Moje stare antonówki są najlepsze w całej okolicy. Jeszcze ciut im brakuje do pełni dojrzałości, ale można jeść – powiedział swobodnie, lecz z dumą. – Po ostatniej wichurze sporo ich pospadało.

Bianka wytarła jabłko o niebieską sukienkę i od razu wbiła w nie zęby.

– Uhm, rewelacyjne – potwierdziła, wciągając do ust sok, który wypłynął z owocu.

– Niech panience na zdrowie wyjdzie. – Staruszek przyglądał się Biance z dużą przyjemnością. – A panienka to pewnie od Albrechtówki idzie? – Powiódł wzrokiem po pustej drodze.

Przytaknęła.

– To musi panienka koniecznie zobaczyć nasz stary wiatrak kozłowy. – Zamyślił się. – Strasznie dziś gorąco – rzekł po chwili. – Może ma panienka ochotę na herbatę? Zapraszam do siebie. Czym chata bogata. – Zatoczył dłonią koło, jakby z kimś się witał.

– Dziękuję za zaproszenie, ale nie chcę sprawiać kłopotu.

– Żaden kłopot, panienko. Mnie staremu będzie przyjemnie ugościć taką urodną pannę.

– Niezwykle miło z pana strony, ale trochę się spieszę.  
– Przecież turyści się nie spieszą – zauważył dziadek i wlepił w nią ciekawe spojrzenie.

– Nie jestem turystką... nie dzisiaj. – Zastanowiła się. – Idę odwiedzić znajomą – rzekła po chwili.

– Znajomą? Tutaj? – Zaciekawienie na twarzy staruszka było coraz większe.

– Tak, panią Serafinę. Mieszka kawałek za Mięćmierzem, w takim starym domu na szczycie wzgórza.

– Aaa, idziesz do Serafci. – Staruszek rozdziawił usta, jakby nagle wszystko stało się dla niego jasne. Wyjął z kosza jeszcze cztery okrągłe jabłka. – Daj to Serafci i pozdrów ją od starego Anatola.

– Chętnie przekażę i pozdrowienia, i jabłuszka. Na pewno się ucieszy.

– No nie wiem, z Serafcią to nigdy nic nie wiadomo. – Wydawał się zawstydzony.

– Do zobaczenia.

– Odwiedź mnie jeszcze kiedyś, panienko. – Anatol położył dłonie na połamanych deskach ogrodzenia.

– Z wielką przyjemnością, jeśli oczywiście będę tędy przechodzić – odpowiedziała dyplomatycznie.

Anatol uniósł rękę i trzymał ją w górze, dopóki Bianka nie doszła do granicy jego posesji, czyli do wiekowego dębu o gałęziach sięgających tak wysoko, jakby lada chwila miały pochwyć słońce.

Serafina siedziała na ławeczce przed chałupą. Obok niej pałętał się Barnaba, ocierając się o jej białe, pokryte żyłakami łydki.

– Dzień dobry, pani Serafino – odezwała się Bianka z odległości kilku metrów.

Babcia uśmiechnęła się do niej, prezentując swój jedyny ząb.

– Myślałam, że już mnie nie nawiedzisz – powiedziała.

Bianka odebrała słowa Serafiny jako wyrzut.

– Przecież obiecałam, że przyjdę. – Usiadła obok staruszki i uściskała jej chudą dłoń, do połowy schowaną w przydługim rękawie beżowej bluzki z cienkiej bawełny.

Barnaba tymczasem odsunął się od swojej ukochanej pani i usiadł dwa metry dalej, w miejscu, gdzie słońce wyprażyło w trawie rozległy placek. Serafina powiodła tam wzrokiem i zrobiła srogą minę.

– Tyle razy powiadałam łobuzowi, żeby mi cebra nie stawiał na trawie, ale on ma za nic napomnienia starej babki.

Na szczęście jej dobry humor powrócił, gdy tylko znów spojrzała na Biankę.

– Chodźmy do chałupy, straszny żar dzisiaj. – Podniosła się z ławki i naciągnęła brzegi rękawów, chowając w nich całe dłonie.

Biance wydało się to całkiem nielogiczne, ale zdążyła już zauważyć, że babcia Ryśka miała swoje przyzwyczajenia. Kiedy znalazły się w izbie Serafiny, Bianka położyła torbę na stole.

– Mam coś dla pani. – Zaczęła wyjmować kolejne rzeczy: jabłka, banany, mandarynki i pomarańcze, a na końcu wyciągnęła okazałego koguta.

– A co to za święto? – Staruszka rozdziawiła usta.

– Żadne święto. Po prostu chciałam pani sprawić przyjemność. Cieszę się, że czuje się pani lepiej.

– Nie mogło być inaczej – odparła żwawo Serafina. Wtem jej wzrok spoczął na apetycznym jabłku w żółtym kolorze i znieruchomiała. – Co to?

– Wydaje mi się, że jabłko – zażartowała Bianka, unosząc owoc wysoko ponad głowę.

– Przecie widzę, że jabłko. Gadaj ty mi lepiej, ptaszyno, skąd je masz – powiedziała Serafina tonem zwykle zarezerwowanym dla wnuka.

– To prezent dla pani – odparła Bianka.

– Nawet wiem, od kogo! – zagrzmiała staruszka. – Te antonówki poznam wszędzie. Tylko w sadzie Anatola takie okazy się mnożą. – Utkwiła posępny wzrok w lśniącym jabłku.

Bianka odłożyła owoc na stół. Nie miała pojęcia, o co chodzi Serafinie. Sądziła, że staruszka ucieszy się z prezentu od sąsiada.

– Pan Anatol to miły człowiek. Spotkałam go, gdy szłam do pani. Prosił, żeby panią pozdrowić.

Staruszka nadal wyglądała jak gradowa chmura.

– Pani Serafino, o co chodzi? – spytała Bianka po przedłużającym się milczeniu.

– Ten Anatol to niemożliwy bałamut. – Żeby dodać słowom większej wagi, uniosła rękę i zatoczyła w powietrzu koło, aż musiała znowu poprawić rękawy. – Tylko nie mów, żeś tego nie zauważyła.

– Jakoś nie zauważyłam. – Bianka się roześmiała.

– Jabłkami mi się będzie przypochlebiał, swawolnik jeden. Ptaszyną się wysługiwał. Hultaj sam się nie ukaże, bo wie, że bym go swoją wierzbową miotłą pogoniła. – Serafina wymachiwała ręką zupełnie tak, jakby wyobrażała sobie scenę, w której bierze do rąk miotłę i wymierza biednemu Anatolowi zasłużone razy.

– Pani Serafino, myślę, że źle pani odczytała intencje pana Anatola.

– Już ja swoje wiem, ptaszyno. Tyś jeszcze młódka, świata nie znasz. Nie to co ja, stara babka.

– Pani sąsiad po prostu chciał być miły.

– Anatol? Już on mi oczu nie zamydli. W konkury do mnie zachodził, kiedy tylko mój Józek do wrót Świętego Pietra zakołatał. Boga się nie boi! – zawołała. Zaraz potem złapał ją atak kaszlu.

– Wszystko dobrze? – Bianka stanęła obok staruszki i lekko poklepała ją po plecach.

Serafina kaszlała i kaszlała dobre trzy minuty, a kiedy w końcu atak minął, spojrzała na Biankę zażawionymi oczami i unosząc palec wskazujący na wysokość czubka głowy, rzekła:

– Pamiętaj, ptaszyno, nie daj się nigdy zbałamucić żadnemu hultajowi.

– Może powinna pani się czegoś napić? Zażywa pani jeszcze jakieś lekarstwa? – Bianka rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu butelek z syropem albo jakichś pastylek.

– Ozdrowiałam, ptaszyno, ozdrowiałam – powiedziała. – Ty się umości na krześle, a ja ziołowej herbaty przyszykuję. – Z werwą pomaszerowała do kuchni.



Komoda z ciemnego drewna, naprzeciw której usiadła Bianka, stanowiła jedyny okazały mebel w tym pomieszczeniu. Mimo licznych otarć i dziur wygryzionych przez korniki prezentowała się dostojnie. Serafina zadbała o to, by właśnie tak wyglądała – komodę ozdabiała kilka ramek z ręcznej roboty serwetkami, kiedyś zapewne białymi, a teraz lekko poszarzałymi. Wśród nich stała też inna ramka – prostokątna, mosiężna, wykończona naokoło splotem w kształcie drobnych listków.

Czekając na powrót staruszki, Bianka spoglądała w stronę czarno-białego zdjęcia. Fotografia przedstawiała młodziutką Serafinę w objęciach przystojnego młodzieńca. Ubiór pary wskazywał na to, że jest to zdjęcie ślubne. Serafina miała na sobie skromną, lekko rozkloszowaną sukienkę, przewiazaną w pasie szarfą, którą z boku udrapowano w efektowną kokardę. Włosy panny młodej kończyły się parę centymetrów nad ramionami. Ozdabiał je wianek z gęstych gałązek mirtu, pomiędzy które wetknięto kilka białych różyczek. Mąż Serafiny bardzo szykownie prezentował się w ciemnym garniturze. Uśmiechał się do żony zawadiacko i patrzył na nią zakochanym wzrokiem. Mimo braku kolorów nie dało się ukryć uczuć, które malowały się na twarzach młodych.

Bianka przesunęła palcem po zdjęciu i zatrzymała się u dołu sukni młodej Serafiny. W tym samym momencie podłoga w pokoju zaskrzypiała i stanęła w nim dziewczyna ze zdjęcia, tylko starsza o siedemdziesiąt lat.

Serafina odłożyła herbatę na stół i poczłapała do Bianki.

– Urodny był mój Józek. – Dumnie spojrzała na zdjęcie. – Wszystkie młódki go chciały. Drugiego takiego ze świecą szukać. – Na chwilę się zamyśliła i przyknęła oczy. Potem jednak się ożywiła i z młodzieńczą gracją skierowała do stołu.

Przez ułamek sekundy Bianka widziała w niej dziewczynę ze zdjęcia.

– Rozsiądź się, ptaszyno. – Serafina podeszła do komody i wysunęła najniższą szufladę. Szperała tam długo, przerzucając drobne przedmioty. Szeptala coś pod nosem, jakby z nimi rozmawiała. W końcu zasunęła szufladę i się podniosła. W ręku trzymała niczym trofeum po wygranej bitwie kolorową saszetkę. Była odrapana, łuszczące się gdzieś tam kawałki kolorowego skaju, z którego ją wykonano, odsłaniały ciemnobrązową podszewkę. – Popatrz, ptaszyno. – Rozsunęła metalowy zamek saszetki i włożyła do niej rękę. Wyjęła plik starych fotografii, które rzuciła niedbale na stół. Następnie wzięła jedną z nich.

– To mój Rysio, miał wtedy nie więcej niż dwa lata.

Bianka wzięła zdjęcie od staruszki. Przedstawiało brzdąca w krótkich spodenkach i bez koszulki. Dziecko stało boso na gęstej murawie i z rozdziawioną buzią wpatrywało się w fotografa, unosząc prawą rękę, jakby chciało przekazać mu coś ważnego. Obok niego młoda kobieta z papierosem w ręku sprawiała wrażenie, jakby nie interesowało jej nic poza dymem, który ułożył się nad jej głową w zgrabne kółeczka.

– Kto to? – Bianka wskazała na kobietę.

Serafina szarpnęła za róg fotografii, a potem wsunęła ją za zapaskę.

– To Baśka, matka Rysia. – Zmarszczyła czoło. Unikała rozmów o swojej córce jak diabeł wody święconej.

Bianka nie chciała drążyć tego tematu, więc pochyliła się nad stertą zdjęć, by wyłowić jedno, o którym będzie mogła porozmawiać z Serafiną. Uwielbiała stare

fotografie. Było w nich coś magicznego. Młodość i uroda zamknięte w czasie, bez drogi powrotnej. Uczucia i emocje odcisnięte na twarzach fotografowanych jak kształty roślin w skamielinach. Jako dziecko Bianka potrafiła usiąść w kącie pokoju i przez godzinę wpatrywać się w – często jej nieznane – twarze na zdjęciach przedstawiających dalszych krewnych i znajomych rodziny.

Walentyny próżno było szukać w starych rodzinnych albumach. Trzy zdjęcia, na których była babka, Bianka знаła niemal na pamięć. Studiowała je wiele razy, jakby chciała odnaleźć na nich jakieś ukryte szczegóły. Przyglądała się ładnym rysom kobiety, wyobrażając sobie, że jest nią. Łączyło je wiele. Nie tylko więzy krwi i subtelna uroda, ale przede wszystkim muzyka. A teraz jeszcze te tajemnicze skrzypce.

Odkąd tatko podarował jej ten instrument, czuła, że coś się w niej zmieniło. Szkopuł w tym, że nie za bardzo wiedziała, co powinna z tym zrobić. Z jednej strony przeczuwała, że skrzypce odegrały w życiu Walentyny jakąś istotną rolę, ale z drugiej obawiała się, że jest z nimi związany jakiś sekret, który niekoniecznie chciała poznać. Uniosła głowę znad rozłożonych fotografii i zerknęła na Serafinę.

Staruszka trzymała oburącz szklankę z herbatą i głośno cmokała, jakby sprawiało jej to przyjemność. Wydawało się, że już zapomniała o zdjęciach. Nagle w progu izby pojawił się Barnaba, który całkowicie odwrócił uwagę swojej pani od stołu i tego, co na nim było. Gdy kocur zaczął uporczywie miauczeć, Serafina wstała.

– Niedługo wrócę, Barnaba dopomina się o jadło – rzekła.

Uradowany kot poszedł za nią.

Bianka napiła się herbaty i wróciła do przeglądania zdjęć. Wszystkie twarze wydawały się podobne i fascynujące. Palce dziewczyny przemykały od jednej fotografii do drugiej, ślizgając się po papierze, aż nagle znieruchomiały. Bianka trzymała fotografię, którą już raz widziała. Spojrzała na drugą stronę, żeby dowiedzieć się czegoś więcej, ale zobaczyła tylko zżółknięty papier.

W tej samej chwili do izby wróciła Serafina.

– Kto to jest? – zapytała staruszkę od razu.

Serafina zerknęła na zdjęcie i zmrużyła oczy, jakby dokonywała w głowie przeglądu znanych jej osób. Bianka aż kipiała z emocji. W końcu skóra na czole staruszki się wygładziła, a w jej oczach pojawił się błysk.

– To moja... powiernica. Wanda trochę przemieszkiwała w Mięćmierzu i żeśmy się pobratały. Wiele nas łączyło. – Postukała palcem po skroni.

Imię to, swobodnie wymówione przez Serafinę, głośno zadźwięczało Biance w uszach. To była taka sama fotografia, jaką Bianka znalazła pod podszewką w ciemnowiśniowym futerale. Precyzyjnie ułożone ciemne włosy oplatały piękną, melancholijną twarz Wandy i kończyły się tuż za uszami. Połyskliwa opaska ozdabiała szczyt głowy, a wetknięte z boku filuterne pawie pióro lekko odchyłało się na zewnątrz. Ponętny dekolt, ozdobiony maleńkim wisiorkiem, odsłaniał więcej, niż powinien. I ten smutek bijący z oczu. Było w nim coś dojmującego. Trudno było spoglądać dłużej na piękną Wandę, bo czuło się jej rozpacz.

– Pani Serafino, czy może mi pani powiedzieć coś więcej o tej kobiecie? – Bianka odłożyła zdjęcie na blat, lecz jej wzrok nieustannie uciekał w jego stronę.

– Właściwie tak.

Biance wydawało się, że staruszka popatrzyła na nią nieufnie.

– My żeśmy były... – Sprawiała wrażenie zdenerwowanej. – Bratała nas tajemnica.

– Zamknęła usta, jakby nie miała zamiaru już nic więcej powiedzieć.

Ciekawość Bianki sięgnęła zenitu.

– Jaka tajemnica? Proszę mi o tym opowiedzieć. – Bianka gorączkowo wpatrywała się w twarz staruszki.

Serafina pochyliła głowę i przebiegała wzrokiem po fotografiach, jakby szukała tej właściwej, która mogłaby być wstępem do jej opowieści.

– To stara historia. Wszyściuchno ci opiszę, tylko po kolei. – Na chwilę się zamyśliła, a potem wzięła zdjęcie swojej przyjaciółki. – Urodna była, ale nieprzejednana. Jak kto jej się naraził, to krzyżyk mu na drogę. – Przeżegnała się. – Był taki jeden, co go rozmiłowała, a potem... – Rzuciła fotografię na stertę.

– Co potem?

– A potem... przeniósł się do boskiej chwały. – Zrobiła poważną minę, jakby uczestniczyła w pogrzebie.

– Umarł? – spytała Bianka.

– Przecie powiadam, że się przeniósł. – Popatrzyła na gościa z lekkim wyrzutem.

– Ale jak to się stało? Kim on był? Kim była Wanda?

Nagle usłyszały na zewnątrz jakiś hałas. Coś jak szuranie butów. Barnaba czmychnął na dwór. Serafina, która -siedziała tyłem do wejścia, odchyliła głowę tak mocno, że aż coś jej zatrzeszczało w kręgosłupie. Skrzywiła się i cicho zabiadoliła. Nim zdążyła ponownie spojrzeć w kierunku drzwi, stanął w nich jej wnuk.

Rysio niedbale rzucił ortalionową torbę pod ścianę i natychmiast doskoczył do stołu, żeby przywitać się z Bianką.

– Fajnie, żeś w końcu do nas dotarła. – Na twarzy miał szczery uśmiech.

– A ty, hultaju, co robisz w chałupie o tej porze? – Staruszka się nasrożyła. – W robocie żeś powinien być. – Wstała, podpierając się łokciami o blat stołu.

– Dzisiaj wcześniej skończyłem pracę – rzekł Rysio, z zakłopotaniem spoglądając na Biankę.

Odniosła wrażenie, że chciał jej coś przekazać. Przy Serafinie było to raczej niemożliwe, staruszka bowiem już szykowała się do ataku, pewna, że jej ukochany wnuczek narozrabiał.

– A któż to przerywa robotę o tej porze? – zapytała, łypiąc na niego podejrzliwie, ale nie dała mu dojść do słowa. – Obiecałeś starej babce, że roboty będziesz doglądał. A ty co?

– Babka jak zwykle wie najlepiej. – Rysio machnął ręką.

– Mów mi tu zaraz, czemuś czmychnął!

– Nic babce nie powiem, bo babka i tak mi nie uwierzy.

– Jak mam ci uwierzyć, urwisie jeden, skoro wciąż mi oczy mydlisz?

– No właśnie, babka znowu swoje – przekomarzał się Rysio.

Kiedy pomiędzy babcią a wnukiem trwała wymiana słownych pocisków, wzrok Bianki wrócił do rozłożonych na stole fotografii. Wzięła zdjęcie Wandy, przyjrzała mu

się jeszcze raz i dołączyła je do reszty. W końcu włożyła wszystkie zdjęcia do saszetki i zasunęła zamek.

– Bianka, coś się tak zamyśliła? – Usłyszała głos Ryśka.

– Ach, nic. – Westchnęła i trzeźwiej popatrzyła na mężczyznę.

– A cóż to za specjały? – zagadnął, chwytając pulchnego koguta.

– Ptaszyna przytaszczyła te podarki – odpowiedziała Serafina, zerkając na stół.

Wydawało się, że nawet na żółciutkie jabłka sąsiada spogląda przychylniej. – Nasze kazimierskie koguty są śliczniuchne i smakowite. A jabłka z sadu Anatola... niebo w gębie. – Sprawiała wrażenie zadowolonej, jak gdyby zapomniała o tym, co mówiła kilkanaście minut wcześniej.

– Widzę, że zebrało się wam na wspomnienia. – Rysio odłożył koguta i chwycił saszetkę wypełnioną zdjęciami.

– Zostaw to! – Serafina doskoczyła do niego i wyrwała mu torebkę. – Nawet rąk nie umyłeś – upomniała go jak uczniaka.

– Babka to chyba myśli, że ja ciągle małym chłopakiem jestem.

– Powiadałam ci to już nie raz, nie dwa, ale powiem znowu, bo zdaje się, żeś się z moimi naukami nie obeznał. Tyś gołowąs jest i mleko pod nosem masz. Gdyby nie stara babka, to...

– Dobrze, już dobrze, niech lepiej babka skończy – przerwał jej.

Serafinie udało się w końcu wyprowadzić wnuka z równowagi.

Wolno podeszła do komody i schowała saszetkę.

– Pójdę już. – Bianka wstała, ale zanim ruszyła do drzwi, spojrzała na Serafinę.

Liczyła na to, że staruszka ją zatrzyma. Smutne oczy Wandy domagały się odpowiedzi. Ona domagała się odpowiedzi.

– Mogę panią jeszcze kiedyś odwiedzić? Chciałabym porozmawiać – powiedziała w końcu.

Ku uldze Bianki Serafina uśmiechnęła się i rzekła:

– A jakże, ptaszyno. Przecie tyś już nasza. Nie trza ci zaprosin. Chata starej Serafiny zawsze stoi przed tobą otworem.

– Cieszę się.

Kiedy wszyscy troje znaleźli się przed chałupą, staruszka mocno przytuliła Biankę i szepnęła jej do ucha:

– Przyjdź ty do mnie rychło, ptaszyno. Zbyt wiele tajemnic pod moją starą strzechą siedzi. A tobie tak dobrze z oczu patrzy. Coś ci pokażę.

Po tych słowach serce Bianki zaczęło bić szybciej.

– Przynies perłę – dodała Serafina głośniejszym głosem, wykorzystując to, że Rysio oddalił się w kierunku studni.

Bianka tylko pokiwała głową.

– To jak, idziemy? – rzucił radośnie Rysiek, gdy wrócił.

Tak naprawdę nie było mu dzisiaj do śmiechu. Z powodu atmosfery na plantacji zaczął się obawiać o swoją pracę. A zapowiadało się tak dobrze. Bianka spadła mu jak z nieba – musiał z kimś porozmawiać o sytuacji, która z każdym dniem się pogarszała i teraz była już niemal dramatyczna.

Serafina stała przed chatą, dopóki nie zniknęli jej z oczu. Obok jej nóg szwendał się Barnaba. Po chwili kot położył się na wygniecionej derce obok studni.

Kiedy schodzili ze wzniesienia, Rysio patrzył na wypolerowane czubki swoich butów. Odezwał się dopiero wówczas, gdy znaleźli się na tyle nisko, że było dokładnie słychać szum rzeki.

– Kiedy ostatnio widziałas się z panią Małgością? – Rysio przystanął, zagradzając Biance drogę.

– Nie wiem, jakieś kilka dni temu. – Próbowала policzyć w myślach.

– Ona... – Rysio wydawał się zakłopotany.

– Czy z Gosią coś nie tak? – Spojrzała Ryśkowi prosto w oczy.

Mężczyzna potrząsnął dłońmi ze zdenerwowania.

– Panie Ryśku, niech mi pan powie, o co chodzi – rzekła, widząc jego wahanie.

W tej chwili patrzył na nią takim samym wzrokiem jak na swoją babcie, kiedy ta udzielała mu reprimendy.

– Panie Ryśku! – ponagliła go łagodnym głosem.

– Panią Małgosie przesładuje ostatnio jakiś pech. Nie dość, że wszystko wali jej się na głowę, to jeszcze dzisiaj skręciła nogę. – Znowu wpatrywał się w swoje buty. Wczesnym rankiem dokładnie je wypastował.

– Gosia skręciła nogę? Jak to się stało?

– Nie wiem, czy...

– Panie Ryśku, na miłość boską, niech mi pan natychmiast powie wszystko, co pan wie! – Teraz Bianka była już pewna, że na plantacji Klary dzieje się coś niedobrego.

– Widziałem, jak...

– Do cholery, co pan widział?! – Bianka nie wytrzymała.

– Pani Małgośka i pan Paweł dzisiaj się kłócili. Ostatnio ciągle się kłócą. Stali schowani za krzewami winogron. Nie widziałem ich, ale głosy mnie zaniepokoiły, więc słuchałem. – Przerwał, lecz kiedy zauważył niecierpliwy wzrok Bianki, przeszedł do dalszej części historii. – Wydawało mi się, że pani Małgośka płakała, a ja nie lubię, jak kobita płacze, i to nie dawało mi spokoju. Podeszedłem bliżej i schowałem się za jeden z treliarzy. Właściwie wciąż gadał pan Paweł, a pani Małgośka tylko pochlipywała. I wtedy...

– Co wtedy?

– On ją popchnął. Stali na lekkim wzniesieniu i... pani Małgośka upadła, a później sturlała się kawałek.

– A to drań! – zagrzmiała Bianka.

– Pewnie stracę tę robotę, ale co tam. – Machnął ręką. – Gdy pani Małgośka upadła, przez chwilę zem nie wiedział, co zrobić, ale zaraz potem wyskoczyłem z za krzaka i dopadłem do niej. Siedziała i trzymała się za kostkę. Była zdziwiona, że mnie widzi. I wtedy... – Twarz Ryśka stężała. – Wtedy pan Paweł powiedział, żebym się nie mieszał w nie swoje sprawy i żebym stamtąd zjeżdżał. Postawiłem mu się, nikt nie będzie przy mnie kobity krzywdził – dokończył z dumą.

– Co z Małgosią?

– Pomogłem jej wstać i dojść do pomieszczenia gospodarczego. Chwilę tam

zostałem, wypiliśmy herbatę. Gdy odchodziłem, wydawało się, że już z nią lepiej. Nawet poruszała się o własnych siłach.

– A co z tym bydlakiem? – Bianka nie przebierała w słowach.

– Poszedł sobie, właściwie odjechał. Za furtką stało jego audi, siedziała w nim jakaś lalunia. Ruszył z piskiem, aż się za nim kurzyło.

– Biedna Gosia – rzekła Bianka stroskanym głosem, bez wcześniejszej irytacji. – Muszę do niej koniecznie pojechać. Nie wiem tylko, co powiedzieć pani Marcie, bo nie mam pewności, czy Gosia poinformowała ją o tym, co się stało.

– Przecież pani Marta nie musi nic wiedzieć.

– Muszę zabrać samochód spod domu, a to na pewno nie umknie czujnemu oku pani Marty. – Bianka się zadumała.

– Oj, coś wymyślimy. Jak chcesz jeszcze dzisiaj pojechać do pani Małgośki, to lepiej już chodźmy. – Przyspieszył kroku.

Przez całą drogę niewiele się odzywali. Na bulwarze Bianka wyjęła komórkę, żeby skontaktować się z Małgosią. Telefon Gosi był najprawdopodobniej rozładowany, co tylko wzmogło niepokój Bianki. Jeszcze dwukrotnie wybierała numer koleżanki, ale nie mogła się z nią połączyć.

– Zrobimy tak... – Rysio spojrzał na nią konspiracyjnie, gdy zatrzymali się przed bramą domu Klary. – Powiesz Marcie, że musisz pojechać na Fiołkowe Wzgórze, bo ja tak chcę. – Zmrużył figlarnie oczy i zagwizdał.

Bianka spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Bo pan tak chce? Przyznam, że to dość marnie wytłumaczenie. Mnie by nie przekonało. Panie Ryśku, jakieś konkrety. – Lekko się uśmiechnęła.

– Ojejku, powiesz, że muszę dowieźć jakiś dokument czy coś takiego. A ty zgodziłaś się mnie tam podrzucić, żeby było szybciej.

– No nie wiem. Nie brzmi to zbyt wiarygodnie.

Nagle usłyszeli kroki od strony domu.

– To ja się zmywam. – Rysio się cofnął. Wciąż pamiętał swoje spotkanie z nadgorliwym lokajem.

To jednak była Marta.

– Już zatęskniłaś za naszą panią Klarą? Myślałam, że dłużej potrwa ta twoja wycieczka – zażartowała. Od razu było widać, że jest w świetnym humorze. W jednej ręce trzymała torbę na zakupy, a drugą położyła zgiętą na biodrze.

– Wróciłam, ale... – Szczery uśmiech na twarzy gospodyni rozpraszał Biankę.

– Bianka była u mojej babki – odezwał się Rysio, wyciągając do Marty rękę na powitanie. – Wpadłem na chwilę do chałupy po dokumenty. Gapa ze mnie, że nie wziąłem ich rano, a przecież pani Małgośka mówiła, że są potrzebne, więc... – Przyjrzał się Marcie, żeby sprawdzić, jakie wrażenie robią na niej jego słowa. Wyglądała na zainteresowaną, zatem postanowił kuć żelazo, póki gorące. – Więc poprosiłem Biankę, skoro już ześmy się spiknęli u babki w chałupie, żeby mnie podrzuciła. Nie żebym chciał ją wykorzystać. Ale właściwie... – Trochę się plątał.

– To ja zaproponowałam, że podwożę pana Ryśka. W końcu mam dzisiaj wolne – rzekła Bianka z miną niewiniątka.

– W porządku – odpowiedziała Marta. Włożyła rękę do kieszeni spódnicy i wyjęła z niej kartkę. – Jest! Już myślałam, że o niej zapomniałam. – Pokręciła głową i wetknęła listę sprawunków z powrotem do kieszeni. – No to idźcie po samochód, nie zatrzymuję was – powiedziała lekkim tonem.

Zarówno Bianka, jak i Rysio obserwowali ją w skupieniu, jakby tylko czekali, aż na ich drodze pojawią się ukryte przeszkody.

– No co tak na mnie patrzycie? – spytała Marta. Ona również popatrzyła na nich przenikliwym wzrokiem.

Na szczęście w uliczkę, przy której stał dom Klary, właśnie wjechał samochód dostawczy i zrobił na tyle duży hałas, że odwrócił uwagę Marty. Już po chwili gospodyni szła chodnikiem w kierunku centrum.

Rysio bardzo chciał pojechać z Bianką na plantację, ale dziewczyna wolała porozmawiać z Małgosią w cztery oczy. Czuła, że po ich ostatniej rozmowie zbliżyły się do siebie. Podwoziła więc Rysia niedaleko domu i obiecała, że gdy tylko dowie się czegoś o zdrowiu Małgosi i sytuacji w winnicy, da mu znać.

Fiołkowe Wzgórze było skąpane w słońcu, mimo że zegar pokazywał już siedemnastą. Po drodze Bianka uważnie się rozglądała, by nie natknąć się na Pawła. Wciąż była na niego wściekła i nie miała pojęcia, jak by się zachowała, gdyby nagle przyszło jej stanąć z nim twarzą w twarz. Na szczęście tuż za bramą zauważyła samochód Małgosi, miała więc pewność, że zastanie ją na plantacji.

Tak jak podejrzewała, Gosia siedziała w altanie w cieniu gęstych liści winogron.

– Bianka? – Z trudem wstała, wspierając się obiema rękami o ławę. – Co tu robisz? – Uśmiechnęła się. – Myślałam, że dzisiaj nie spotka mnie już nic miłego.

Bianka szybko do niej podeszła.

– Usiądź. – Położyła dłoń na ramieniu Małgosi.

Gosia z powrotem zajęła miejsce na ławce, a Bianka usadowiła się naprzeciw niej.

– Wiem, co się stało. – Spojrzała w smutne oczy Małgorzaty.

Kobieta się zarumieniła i spuściła wzrok.

– Skąd? – spytała cicho, ale zaraz się domyśliła, kto mógł zrelacjonować Biance przebieg dzisiejszych przykrych wydarzeń. – Pan Rysio – powiedziała i westchnęła. To westchnienie długo dźwięczało potem w uszach Bianki.

– Gosiu, co się dzieje? – Złapała ją za rękę.

– Przecież wiesz. – Gosia wciąż była skrzepowana. – Jest coraz gorzej. Nie myślałam, że do tego dojdzie. – Jej oczy się zaszklily.

– Do czego?

– Paweł kazał mi zrezygnować z pracy w winnicy, i to jak najszybciej. – Spuściła głowę.

– Jak to kazał ci zrezygnować z pracy?! Przecież nie może cię do tego zmusić!

– Może, nie może, jakie to ma znaczenie? On mnie nienawidzi, a ja dostaję na jego widok gęziej skórki. Jak mamy razem pracować? Ktoś musi stąd odejść – powiedziała z rezygnacją.

– Ale dlaczego to masz być akurat ty? Paweł nie może cię stawiać w takiej sytuacji!

– Ostatnio bardzo się zmienił. – Jej głos zadrżał.

– Co to znaczy?

– Jest zbyt pewny siebie, wulgarny i... wydaje mi się, że nie będzie przebierał w środkach, żeby mnie wyeliminować.

– Wyeliminować? Gośka, powiedz mi jedno: zależy ci na tej winnicy?

– Przecież wiesz, że tak – rzekła bez przekonania, ale w jej oczach pojawił się błysk.

– No to sprawa jest prosta, to Paweł musi odejść.

– On nie odpuści tak łatwo. – Głos Małgosi znów zadrżał, a wzrok mimowolnie powędrował w bok.

– Gośka, musisz być silna. Myślałam, że właśnie taka jesteś.

– Bo jestem, a raczej byłam. – Oparła plecy o ławkę i odchyliła głowę.

– Gosiu, czy dzisiaj rano na plantacji... Paweł zrobił to specjalnie?

– To był wypadek – powiedziała szybko. – Klóciliśmy się i w pewnym momencie tak wyszło.

– Tak wyszło?! – Bianka była oburzona, że Gosia usprawiedliwia męża.

– Potknęłam się o kamień, straciłam równowagę i bum. – Nieudolnie starała się przedstawić kulisy zajścia w żartobliwy sposób.

– Czy to zdarzało się już wcześniej? – Bianka wpatrywała się w Małgosię.

– Co? – Małgorzata z kolei unikała jej wzroku.

– Czy on już wcześniej podniósł na ciebie rękę?

Reakcja Małgosi utwierdziła Biankę w przekonaniu, że właśnie tak było.

– To bez znaczenia – odparła wymijająco po dłuższym milczeniu. – To przez tę kobietę – dodała jeszcze przez ściśnięte gardło.

– Gośka... – Bianka wstała. Nie mogła znaleźć słów, żeby do niej dotrzeć.

Gosia była naprawdę w kiepskim stanie. Najgorsze, że winiła za to siebie. Opuszczone ramiona, nieobecny wzrok i rozdygotane dłonie świadczyły o tym, że wciąż chłostała się swoimi myślami.

– Dlaczego mu na to pozwalasz? – spytała w końcu Bianka.

– Na co?

– Dlaczego pozwalasz mu się krzywdzić?

– Przecież wiesz...

– Właśnie o to chodzi, że nie wiem. Nikt nie ma prawa ranić drugiego człowieka.

– Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że ktoś na to zasługuje – wyrzuciła z siebie Gosia.

– Uważasz, że zasługujesz na to, żeby twój mąż traktował cię jak byle kogo?

– Może... – Wyglądała tak, jakby uleciał z niej duch.

Ponieważ Bianka nie mogła dotrzeć do Małgosi, postanowiła zmienić temat.

– Jak twoja noga?

– W porządku. – Gosia wstała i uniosła zwichniętą nogę kilkanaście centymetrów nad ziemię, demonstrując Biance, że wszystko jest okej.

Bianka jednak zdążyła wcześniej zauważyć opuchliznę na stopie.

– Przed południem była tu moja koleżanka, ortopeda. Obejrzała nogę i stwierdziła,



że nie jest źle. To podobno skręcenie kostki pierwszego stopnia i nie wymaga specjalistycznego leczenia. Wystarczą zimne okłady i bandaż uciskowy. Mam też jakąś maść przeciwwzapalną.

– Nie jest źle – powtórzyła Bianka, wpatrując się w lekko siną kostkę koleżanki.

– Nie jest źle. – Gosia zrobiła kilka kroków do przodu. – Wychodziłam z gorszych opresji. – Starła się wyglądać na pewną siebie.

Bianka podeszła do Małgorzaty. Zmusiła ją, żeby popatrzyła jej w oczy.

– Gośka, musisz wziąć się w garść i o siebie zawalczyć. Nie możesz chować głowy w piasek i wierzyć, że to ty jesteś słabszym ogniwem. Nie możesz dać Pawłowi przewagi.

– Ja tylko chcę się z nim rozstać. Chcę mieć to już za sobą.

– W porządku, rozstańcie się, ale wyjdź z tego z podniesioną głową. Zaslugujesz na szczęście, każdy na nie zasługuje.

Gosia się uśmiechnęła. Jej ciemnobrązowe oczy pojaśniały.

– Siadaj, przyniosę coś do picia.

– Nie, dziękuję. Pomału będę się zbierać. Mogłabym ci jakoś pomóc? – Bianka jeszcze raz przyjrzała się stopie Małgosi.

– Miło, że się o mnie troszczysz, ale daję sobie radę. – Gosia chciała stanąć na chorej nodze, lecz straciła równowagę i musiała się przytrzymać ławy. – Naprawdę wszystko jest w porządku – powiedziała głośno i wyraźnie. – Aha, mam do ciebie prośbę: nie mów nic mamie. – Spojrzała na Biankę błagalnie.

– Sama powinnaś jej o wszystkim opowiedzieć, martwi się o ciebie. – Bianka pomyślała, że Gosia stawia ją w niezręcznej sytuacji. Tym bardziej że po ich dzisiejszej rozmowie Bianka miała pewność, że tylko Marta mogłaby dotrzeć do swojej córki.

– Nie chcę jej dokładać zmartwień, nie musi o wszystkim wiedzieć.

– Myślę, że jednak powinnyście ze sobą szczerze porozmawiać. – Bianka odwróciła się w kierunku bramy. Dopiero teraz zauważyła, że zostawiła samochód w słońcu. Na szczęście grzało już znacznie słabiej. – Gosiu, a co będzie z panem Rysiem? Bardzo się przejmuje tą sytuacją. Nie dość, że boi się o swoją pracę, to jeszcze martwi się o ciebie.

– Niepotrzebnie. – Tym razem głos Małgosi był naprawdę wesoły. – Nie ma i nie było na naszej plantacji lepszego pracownika niż pan Rysiek. Nie wypuścimy go tak łatwo.

– Ty może nie, ale Paweł...

– O, przepraszam, do tej pory to ja decydowałam o doborze pracowników i niech tak zostanie.

– I to mi się podoba. Tak trzymać! – Bianka zauważyła, że w Małgorzacie zaczęła się budzić wola walki. – Czyli jutro pan Rysio ma się pojawić na Fiołkowym Wzgórzu tak jak zawsze?

– Oczywiście, że tak. Ja też będę z samego rana.

Gosia powoli odprowadziła Biankę do furtki.

– Widzisz, nie jest źle – rzekła, kiedy stanęły przy samo-chodzie. Ze wszystkich sił starała się robić dobrą minę do złej gry.

– Mam nadzieję, że byłaś ze mną szczerą i naprawdę sobie poradzisz. – Bianka otworzyła drzwi. Zanim jednak weszła do środka, jeszcze raz spojrzała na Małgosię.

Gosia uniosła dwa złączone palce jak na znak przysięgi.

– Tak jest – powiedziała.

Bianka się uśmiechnęła, ale poczuła dreszcz niepewności. Coś jej podpowiadało, że to jeszcze nie koniec kłopotów Małgosi.

– Gdyby coś, to dzwoń, dobrze?

– Dzięki, Bianco. Jeszcze raz przepraszam, że wciągnęłam cię w to całe bagno. Nie chciałam. – Opuściła ręce. Znow sprawiała wrażenie nieobecnej.

– Od czego ma się przyjaciół?

Słowa Bianki wywołały u Gosi wzruszenie.

– Dziękuję – szepnęła przez ściśnięte gardło.

Zalana czerwieniejącym słońcem droga błyszczała, gdy Bianka mknęła z powrotem w stronę Kazimierza. Mimo że nadal było parno, znad łąk, które ciągnęły się po obu stronach jezdni, napływał lekki wietrzyk. Myślami dziewczyna była jeszcze na Fiołkowym Wzgórzu. Chociaż Gosia, powierzając Biance swoją największą tajemnicę, otworzyła przed nią drzwi swojego życia, to jednak Bianka miała wrażenie, że wciąż stoi w progu.

Zaparkowała niedaleko centrum Kazimierza. Nie miała jeszcze zamiaru wracać do domu Klary. Obawiała się, że może się natknąć na Martę, która czasami zostawała w pracy dłużej i wracała do domu dopiero po zmroku. Bianka musiała ochłonąć i przetrwać ostatnie godziny przesyczone emocjami. Gdy tylko wysiadła z samochodu, zadzwoniła do Ryśka i poinformowała go, że nazajutrz mężczyzna ma się jak zwykle zjawić na plantacji. Rysio przyjął tę wiadomość z dużym entuzjazmem.

W miasteczku nadal było tłoczno. Radosne głosy ludzi mieszały się z dźwiękami trąbki, na której ktoś grał skoczną melodię. Stragany z pamiątkami kusily przechodniów kolorowymi bibelotami, a z okien kamienic wychylali się ciekawscy mieszkańcy. Bianka już dobrze знаła to miejsce. Wiedziała, ile czasu zajmie jej dojście od studni do kościoła farnego i gdzie kupić najsmaczniejszego koguta. Świetnie odnajdywała się w tym harmiderze, jakże odmiennym od smutnej ciszy w domu Klary.

Widok ruin zamku – jasnych zbitych kamieni na tle różowiejącego nieba – przywołał w jej głowie obraz Sama. Przez cały dzień udało jej się nie wracać wspomnieniami do wydarzeń z nocy. Odcięła się od nich i od myśli, że prawdopodobnie już wszystko przepadło. Wobec tego, co zaczynała czuć do Sama, pieniądze za wywiązanie się z umowy wydawały jej się nic nieznaczące. Potrzebowała ich, jednak teraz było inaczej. Weszła na drogę, z której nie było powrotu.

Przez cały dzień towarzyszył jej nadmiar emocji, które zawiązały na jej żołądku ciasny węzeł. Wcale nie czuła głodu, więc raczyła się tylko wodą mineralną. Dopiero wieczorem, siedząc w gwarnym ogródku pewnej przytulnej restauracji, poczuła, że jest naprawdę głodna. Zamówiła duży stek w asyście pieczonych ziemniaków i kolorowej sałatki. Wypiłaby też lampkę czerwonego wytrawnego wina, ale przecież czekała ją jeszcze jazda samochodem.

Kiedy siedziała przy stoliku, czuła, jak opuszcza ją napięcie. To dziwne, ale w ciągu ostatnich kilku dni kompletnie nie myślała o Poznaniu. Oczywiście tatko regularnie się z nią kontaktował, lecz przeważnie rozmawiali o muzyce. Trasa koncertowa Zygmunta

dobiegała końca, zostały mu jeszcze dwa plenerowe występy w jakichś nadmorskich miejscowościach. Kiedy Bianka uzmysłowiła sobie, jak rozluźniła się ich relacja, poczuła panikę. Przecież kiedyś mówili sobie wszystko. A teraz? Stare życie wymykało się jej z rąk. „To przez ten dom, przez Klarę, przez to, co jej obiecałam”, pomyślała.

Pozostała jeszcze sprawa tajemniczego zdjęcia. Ono też budziło w niej niezrozumiały niepokój. Ta sama stara fotografia pojawiła się w dwóch różnych miejscach i wciągnęła ją w niedzisiejszy, owiany tajemnicą świat.

Bianka wyjechała z centrum, kiedy było już całkiem ciemno. Posiadłość Klary wyglądała jak mroczna grotta otoczona niewyraźnymi sylwetkami drzew. Ich rozcapierzone konary przypominały drapieżne łapy olbrzymów strzegące tego upiornego miejsca. Dom sprawiał wrażenie wymarłego, jakby już od dawna w jego progu nie stanęła żywa istota. Bianka miała przynajmniej pewność, że nie zastanie Marty.

Zajrzała do kuchni. Unosił się w niej zapach duszonych warzyw, a na kuchence stał nieduży rondel z wciąż ciepłym leczo. „Kochana Marta”, pomyślała Bianka, podnosząc pokrywkę i wdychając aromat apetycznej potrawy. Niestety tego wieczoru nie była w stanie już nic zjeść, ciężkostrawny stek właśnie dawał o sobie znać. Nalała sobie wody i skierowała się na schody. Kiedy już miała iść na górę, zauważyła, że drzwi do ogrodu są otwarte. Pomyślała, że jeszcze na moment wyjdzie na zewnątrz. Ten wieczór należał do ciepłych i przyjemnych. Powietrze, przesycone słodkim zapachem maciejki, miło głąaskało skórę.

Usiadła przy stoliku i odłożyła szklankę. Zerknęła przez ramię na okna pokoju Klary – tak jak zawsze były szczelnie zamknięte. Nawet w tak upalny dzień jak dzisiaj pani domu ograniczała dostęp świeżego powietrza do minimum. Z narożnika ogrodu dobiegały dziwne odgłosy przypominające stąpanie kocich łap. Zaraz potem rozległo się uporczywe pomiaukiwanie.

– Hej, uciekać mi stąd! – Bianka uniosła rękę w taki sam sposób jak Marta. Uśmiechnęła się, kiedy zdała sobie z tego sprawę.

Nagle w jej torebce zadzwonił telefon. Nerwowo rozejrzała się po ogrodzie. Było już późno, dochodziła dwudziesta trzecia, a komórka robiła spory hałas. Na wyświetlaczu pojawił się numer Zygmunta. Zastanawiała się, czego tata może od niej chcieć o tak późnej porze.

– Tatku, co się stało? – spytała zaniepokojonym głosem.

– Dlaczego coś miałoby się stać? – Zygmunt zdawał się nie wiedzieć, która jest godzina.

Mężczyzna czuł, że oddalali się od siebie. Wszystko się zmieniło, kiedy jego córka wyszła z ich poznańskiego mieszkanka, taszcząc walizkę pełną ubrań i stare skrzypce Walentyny. Wciąż nie wiedział, dlaczego wówczas podarował je Biance. To był impuls. Miał tylko nadzieję, że w ten sposób nie przysporzy jej większych kłopotów. Zygmunt czuł, że w momencie, gdy jego córka otworzyła stare wieko wiśniowego futerału, wypuściła z niego jakąś ukrytą historię. Ponadto bardzo tęsknił za Bianką, codziennie o niej myślał i odliczał dni do jej przyjazdu.

– No nie wiem, dzwoniś tak późno.

– Obudziłem cię? – zapytał z troską.

– Nie, tylko nigdy nie dzwoniłeś do mnie o takiej godzinie.

– Tęsknię za tobą – przyznał się w końcu. Już od kilku dni chciał jej to powiedzieć, ale nie mógł się odważyć.

– Ja też za tobą tęsknię, tatku.

Słowa ojca sprawiły, że Bianka przez chwilę poczuła się tak, jakby siedziała w ich szerokim zielonym fotelu, którego ze -względu na marny stan nie chciał przyjąć żaden sklep ze starociami.

– Już niedługo się zobaczymy – rzekła, pragnąc tymi słowami pocieszyć nie tylko ojca, ale również siebie. Postanowiła zapytać go o coś, co miało teraz ogromne znaczenie.

– Tatku, powiedz mi: czy w naszej rodzinie była kobieta o imieniu Wanda? – Starła się ukryć napięcie.

– Wanda? – W słuchawce zapanowała cisza, jakby Zygmunt się zastanawiał. – Nie przypominam sobie nikogo takiego – odpowiedział po chwili pewnym głosem.

Postanowiła, że na razie nie powie ojcu o tajemniczej kobiecie z fotografii.

– Tatku, a te skrzypce? Co wiesz na ich temat?

Zygmunt westchnął. Pytanie córki nieco go zaskoczyło, choć przecież nie było nic dziwnego w tym, że Bianka chciała się czegoś dowiedzieć o rodzinnej pamiątce. Szkopuł w tym, że instrument jego matki od zawsze był owiany tajemnicą.

– Te skrzypce... Dobrze wiesz, że były w naszej rodzinie od dawna, należały do twojej babci.

– Tak, wiem, tatku. Uśpione w starej szafie wśród kulek lawendowych. – Ponieważ usłyszała w głosie ojca lekkie zdenerwowanie, starała się wprowadzić do rozmowy luźny ton.

Zygmunt wiedział coś jeszcze, ale nie był pewien, czy powinien informować o tym córkę.

– Tatku, jesteś tam? – Czuła, że w tej ciszy Zygmunt chce ukryć jakieś ważne informacje.

– Tak, jestem, chochliku – odezwał się po chwili cichym i jakby zmęczonym głosem. – Te skrzypce... Ona nigdy na nich nie grała. To znaczy ja nigdy tego nie słyszałem. Ale nie zawsze tak było. – Zrobił dłuższą przerwę. – Kiedyś podobno były dla niej bardzo cenne.

– Tak, mówiłeś.

Wiedziała, że po śmierci swojego ojca i brata Walentyna opuściła rodowy majątek w Podstolicach i trafiła do Poznania, gdzie poznała męża. Nikodem, świadomy wielkiego talentu żony, wielokrotnie próbował ją namówić do powrotu na scenę, ale bezskutecznie. Walentyna całkowicie odgradziła się od tego, co było, i skoncentrowała na tym, co jest. A po urodzeniu Zygmunta poświęciła się wyłącznie macierzyństwu.

– Matka nie pozwoliła nikomu z rodziny ich dotykać. Zupełnie tak, jakby nie istniały. Ja trochę nagiąłem te zasady. Wprawdzie nigdy nie odważyłem się na nich zagrać, ale wyjąłem je, żeby trochę się o nie zatroszczyć. Sama wiesz, że taki instrument trzeba należycie traktować.

Bianka cicho przytaknęła.

– Ciekawe dłaczego... – powiedziała.

- Co dlaczego? – spytał Zygmunt.
- Dlaczego tak je odtrąciła? – W głosie Bianki było słycać zainteresowanie.
- Podobno zrobiła coś strasznego, a te skrzypce miały z tym związek – rzekł cicho.
- Coś strasznego? – powtórzyła Bianka zatrwożonym głosem.
- Tak – potwierdził.
- Co strasznego można zrobić za pomocą skrzypiec?
- Nie wiem – odparł ojciec.
- Gdyby chodziło o strzelbę albo sztylet, zrozumiałabym, ale skrzypce...?
- Wiem, że to brzmi dziwnie, ale tylko tyle matka odważyła się wyjawic mojemu

ojcu. A on już nigdy więcej o nic nie zapytał. Przestał ją namawiać, żeby wróciła na scenę. Przynajmniej tak mi powiedział. – Zamilknął na dłuższą chwilę. – Walentyna była dobrą matką, choć niezwykle wymagającą. Nie rozpieszczała mnie tak jak Mania ciebie. Trudno przychodziło jej okazywanie uczuć, ale wiem, że kochała mnie nad życie. Bardzo dużą wagę przykładala do mojej edukacji. Powtarzała, że z moją altówką zawojuję świat. Na moich występach zawsze siedziała w pierwszym rzędzie. Dotąd mam przed oczami jej szaroniebieską jedwabną sukienkę i gładki kok z tyłu głowy. Miała takie piękne długie włosy, a wciąż je upinała. Czasem się zastanawiałem, dlaczego nie jest taka jak inne mamy, dlaczego nie jest wesoła, spontaniczna. Mimo że była młoda, zachowywała się bardzo poważnie. I często wydawała się taka nieobecna.

– Dziękuję, że mi to powiedziałeś, tatku – rzekła Bianka po dłuższym milczeniu.

– Bianco... – Zygmunt ściszył głos prawie do szeptu.

Przycisnęła słuchawkę do ucha.

– Co, tatku? – też szepnęła.

– Kochanie... czy... ty... czy udało ci się już? – Zygmunt szukał właściwych słów.

– Nie, tatku, nie udało mi się – odpowiedziała.

– Co ci się nie udało? – To pytanie nie padło z ust Zygmunta.

Bianka odwróciła się i zobaczyła Samuela. Stał w drzwiach. Miał otwarte oczy.

– Tatku, muszę kończyć – szepnęła do telefonu.

– Coś się stało? – Zygmunt się zaniepokoił.

– Nie. Myślę, że powinnam się już położyć. Jest późno. Sam rozumiesz.

– Rozumiem, chochliku. W takim razie odezwę się jutro wieczorem, zaraz po koncercie. Dobranoc. – Ostatnie słowo Zygmunt wypowiedział głosem przepelnionym czulością.

Bianka wyłączyła telefon i wrzuciła go do torebki, zupełnie tak, jakby chciała się pozbyć obciążającego ją dowodu. Dopiero wtedy odwróciła się do Sama. Mężczyzna powoli zmierzał w jej kierunku. Najwyraźniej doskonale orientował się w rozmieszczeniu mebli ogrodowych, bo już po chwili minął Biankę i zatrzymał się przy jednym z krzeseł.

Nie śmiała się do niego odezwać. „Ciekawe, jak długo stał ukryty w czerni nocy...”, rozmyślała gorączkowo.

– Nie było cię dzisiaj – rzekł.

Nie odniosła się do jego słów, tylko w milczeniu stała naprzeciw niego. Oboje trzymali dłonie na oparciach krzeseł. Oczy Sama znów były zamknięte.

– Uciekłaś – stwierdził jeszcze dobitniej niż przed chwilą.

Czuła, że odebrało jej głos. Nie umiała się bronić, nie potrafiła kłamać. Nie teraz i nie przed nim. Ta chwila była tak prawdziwa, tak namacalna, że aż zapierało dech. W odruchu paniki odsunęła krzesło i usiadła. To samo zrobił Sam.

– Znów cię wystraszyłem. Przepraszam. – Jego głos był miękki i ciepły.

Nie tego się spodziewała. Przygotowała się raczej na atak, wyrzuty, złość, a otrzymała porcję czułości ukrytą w jego męskim głosie.

– Nie wystraszyłeś mnie – powiedziała. Tak naprawdę potwornie się bała. Bała się siebie, tego, co w sobie odkrywała, swoich uczuć.

– Nie kłam! – Ton Samuela się zmienił, stał się natarczywy. – Tak bardzo chciałbym się do ciebie zbliżyć, zaufać ci, ale wiem, że coś przede mną ukrywasz.

– Sam, ja... – Dławiły ją kłamstwo i niemoc.

– Powiedz mi: po co właściwie tutaj przyjechałaś? W jaki sposób moja matka zmusiła cię, żebyś zamieszkała w tym domu? Tylko nie kłam, nie uwierzę, że sama tego chciałaś. Nikt, kto zna moją matkę, by w to nie uwierzył. – W głosie Samuela było słycać sarkazm.

Nie mogła go okłamać, nie w tym momencie, gdy szczerowość pobrzmiwała w każdym jego słowie. Czuła, że zabłądziła w labiryncie i już nic nie jest w stanie jej uratować.

Nagle usłyszeli odgłos kroków. Po chwili z za rogu wysunęła się postać odziana w długi peniuar uszyty z połyskliwej brunatnej tkaniny. „Czyżby Klara przybyła z pomocą?”, pomyślała Bianka. Kotłowały się w niej różne uczucia. Musiał istnieć jakiś ukryty cel tej nocnej przechadzki Klary.

– Bianco, wydawało mi się, że uzgodniłyśmy godziny ciszy nocnej – odezwała się głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Przepraszam. – Dziewczyna wstała i potulnie dosunęła krzesło do stolika.

Sam nawet nie zareagował. W poświacie księżyca wyglądał jak posąg, sprawiał wrażenie nierzeczywistego.

– Pójdę do siebie – powiedziała Bianka zarówno do Sama, jak i do Klary.

– Proszę, zamknij drzwi. Nie chcę w domu żadnych insektów.

– Tak, pani Klaro. – Bianka nie miała ochoty dyskutować. Zresztą właściwie była wdzięczna, że pani domu im przeszkodziła.

Klara stała na trawniku, dopóki dziewczyna nie zbliżyła się do drzwi. Wtedy łaskawie spojrzała w kierunku Samuela.

– A ty zostajesz? – spytała ostro.

Nie odpowiedział od razu, tylko się roześmiał. W końcu skwitował pogardliwie:

– Tak, kochana mamusiu.

Bianka chciała jak najszybciej znaleźć się na górze. Biegła po schodach niemal na oślep, nawet nie zapaliła światła. W pokoju od razu rzuciła się na łóżko i zaczęła jeszcze raz wałkować to, co się zdarzyło. „A może powinnam powiedzieć o wszystkim Samuelowi?” Teraz była już pewna, że umowa z jego matką była jedną wielką pomyłką. Chociaż może jednak nie wszystko stracone? Wciąż tutaj była i wciąż miała szansę. Tylko że zależało jej już nie na pieniądzech, lecz na Samuelu. „Ciekawe, czy słyszał moją rozmowę z ojcem...”, zastanawiała się.

Wiedziona nagłym impulsem, zapaliła światło i ruszyła w stronę walizki wepchniętej między szafę a ścianę. Wyjęła z niej kartki z nutami. Te same, które zabrała ze swojego pokoju w poznańskim mieszkaniu i pomiędzy które schowała znalezioną przez przypadek fotografię przedstawiającą tajemniczą kobietę. Usiadła po turecku i zaczęła je wertować. Niestety nie było tam zdjęcia Wandy. „Co się z nim stało?” Przetrzęsła walizkę kawałek po kawałku, ale nie znalazła tego, czego szukała.

Wstała i podeszła do szafy. Musiała szybko coś sprawdzić. Sięgnęła po szeroką bawełnianą spódnicę w kolorze letniej zieleni. Wsunęła rękę do jednej kieszeni. Odetchnęła z ulgą i wyjęła z niej niewielką ozdobę. Czarna perła niczym oko spoglądała na Biankę z wnętrza jej dłoni. Wtapiając się w gęstą sieć linii papilarnych, wyglądała jak ważny punkt na mapie. To dziwne, ale Bianka dopiero teraz dokładnie jej się przyjrzała.

Perła była niezwykła. Miała chłodny odcień indygo, a do jej gładkiej, śliskiej powierzchni doczepiono kilka małych listków i zawieszkę z bladego złota. Wyglądało na to, że perła pełniła funkcję wisiora. Było w niej coś przyciągającego, wprost nie dało się oderwać od niej wzroku. Bianka postanowiła, że na razie zostawi ją w tym samym miejscu. Kryjówka – wygodna kieszeń miękkiej spódnicy schowanej w szafie – wydawała się odpowiednia.

Serafina dysponowała informacjami, które miały dla Bianki niebagatelne znaczenie. Już sama skrzynka z tajemniczą zawartością była dla dziewczyny bardzo interesująca. A teraz jeszcze to zdjęcie niewiadomego pochodzenia. Dzisiejsze wydarzenia rozpały zmysły Bianki do czerwoności – tajemnica gonila tajemnicę. Jednego była pewna: zanim wyjedzie z Kazimierza, musi poznać tożsamość kobiety ze zdjęcia. Serafina zaś była jedynym kluczem pasującym do drzwi skarbcza, w którym ukryto drogocenne fragmenty przeszłości. A może był ktoś jeszcze?

Brzęk tłuczonego szkła i łoskot stanowiący mieszaninę różnych dźwięków niosły się po terakotowej posadzce. Na dworze już świtało, ale pora była jeszcze dość wczesna, ptaki dopiero od kilku minut popisywały się swoim talentem wokalnym. Z jedyne go w okolicy gospodarstwa dochodziło pianie koguta, a kilka psów z sąsiednich posesji prowadziło zażartą dyskusję. Wszystkie te odgłosy sprawiły, że Bianka szeroko otworzyła oczy. Wokół czuła swego rodzaju nieznośne napięcie. Wrażenia z poprzedniego dnia wprawdzie jeszcze z niej nie wyparowały, ale miała pewność, że teraz chodzi o coś zupełnie innego.

Wsunęła pantofle i wyszła na korytarz. „Znów ten niemiły dźwięk, jakby odgłos tłuczonego szkła”, pomyślała, a na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. Brr! Położyła rękę na balustradzie i zesłała na dół.

Odgłos stawał się coraz bardziej nieprzyjemny. Teraz była już pewna, że dochodzi z kuchni.

– Pani Marta? – Bianka pochyliła się nad oblaną potem kucającą gospodynią.

Kobieta uniosła głowę. Czerwone policzki, rozczochrane włosy i pochmurne spojrzenie od razu zasygnalizowały Biance, że coś jest nie tak. Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę, po której wały się kawałki potłuczonej porcelany. Marta nieporadnie starała się je zagarnąć na szeroką szuflę. Niestety ostre drobinki rozpierzchły się po całym pomieszczeniu jak uciekające mrówki.

– Co się stało? – spytała Bianka, choć sytuacja wydawała się oczywista: Marta stłukła filiżanki z ulubionego serwisu Klary.

Gospodyni odłożyła łoPATkę i się podniosła.

– Ostatnio ten dom nawiedzają jakieś plagi egipskie i niestety ja mam w tym całkiem spory udział. Najpierw czarna orchidea, a teraz... – Smętnie powiodła wzrokiem po podłodze.

– Niech pani usiądzie. – Bianka skinęła na stół w jadalni. – Ja to posprzątam. Poczowała się jak duch opiekuńczy Marty.

Bianka zjawiała się obok niej akurat wtedy, kiedy gospodyni wszystko wymykało się z rąk. Teraz Marta nawet nie protestowała, tylko poczłapała do stołu, a potem zajęła najbliższe krzesło. Wpatrywała się w okno, sprawiała wrażenie zamyślonej. Za szybą piętrzyły się tabuny chmur, które przesuając się wraz z wiatrem na zachód, co chwila zasłaniały słońce, jakby bawiły się z nim w ciuciubabkę.

Bianka szybko uwinęła się ze sprzątaniami. Zaparzyła też herbatę.

– Proszę się napić, poczuje się pani lepiej. – Postawiła na stole dwie filiżanki wypełnione bursztynowym płynem. Jedną z nich podała Marcie, po drugą sięgnęła sama.

– Kochana jesteś. – Marta zmobilizowała wszystkie mięśnie twarzy, żeby się uśmiechnąć. Miała rozbiegany wzrok, trzęsącymi się dłońmi ugniała kolana schowane pod plisowaną spódnicą w duże kolorowe kwiaty.

– Każdemu może się zdarzyć – rzekła Bianka, choć właściwie nie to chciała powiedzieć. Sęk w tym, że nie miała pojęcia, jak rozmawiać z Martą.

Było widać, że starszej kobiecie wszystko wymykało się z rąk. Drogocenna porcelana na kuchennej podłodze była jak obecne życie Marty – w rozsypce.

– Teraz już na pewno Klara udusi mnie gołymi rękami.

– Może nie będzie aż tak źle.

– Po wczorajszym dniu nie spodziewałabym się niczego dobrego. – Marta popatrzyła na Biankę znacząco.

– Po wczorajszym dniu? – Bianka się zaniepokoiła. – Coś mnie ominęło?

– Oj, ominęło cię, ominęło. Ale nie bój się, to nie ma nic wspólnego z tobą – uspokoiła dziewczynę.

– W takim razie o co chodzi?

– Jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie. – Marta przymrużyła oczy i zaczęła szybciej oddychać, jakby znów uczestniczyła w sytuacji z poprzedniego dnia.

– Kogo? – Bianka nie spuszczała z niej oczu.

– Klary. Wyglądała jak w malignie. Raz czerwona jak burak, to znów biała jak kreda. Myślałam, że dostanie zawału. W ręce już trzymałam telefon, żeby w razie czego...

– Marta kiwnęła znacząco głową.

– Co się stało?

– Olaf zerwał zaręczyny z Mariką. Wpadł tutaj wczoraj i bezceremonialnie oznajmił matce, że nie będzie żadnego ślubu. – Na ustach Marty pojawił się lekki uśmiezek.

– Dlaczego? – Bianka sięgnęła po filiżankę i szybko wypija kilka łyków, a potem spojrzała na Martę, oczekując odpowiedzi.



– A któż go tam wie?! – fuknęła gospodyni. – Jedno jest pewne: nieważne, co skłoniło go do zerwania zaręczyn, ważne, że uciekł spod noża. Już ta cała Marika na pewno pokazałaby mu, gdzie raki zimują. – Zaplotła ręce i położyła je na obfitym biuście.

Bianka nie miała wątpliwości, że wiadomość o rozstaniu Olafa z jego bogatą narzeczoną ucieszyła Martę.

– Ta harpia leciała tylko na jego pieniądze – stwierdziła kobieta.

– Jak to? Przecież wspominała pani, że Marika pochodzi z bogatej rodziny. Chyba niczego jej nie brakowało. – Bianka uniosła ramiona.

– Nie wiesz, jak to jest? Jeśli ktoś ma dużo, to chce jeszcze więcej i nie przebiera w środkach, żeby to dostać.

W słowach Marty było wiele emocji. No cóż, wprawdzie Marika nie zrobiła na Biance zbyt dobrego wrażenia, ale Marta pałała do narzeczonej Olafa tak wyraźną niechęcią, że wydawało się to aż dziwne.

– Oby tylko się nie ugiął przed tymi kapryśnicami. Już one wiedzą, jak takiego podejść. – Uniosła filiżankę do ust, a potem szybko ją opróżniła i nieostrożnie odłożyła na spodek. Naczynie zadrgało. Podniosła palec, który zawisł w powietrzu. Wyglądało to tak, jakby siłą woli chciała zatrzymać przedmiot.

– Jest dorosły, chyba wie, co robi – zauważyła Bianka.

– Wie czy nie wie... – Marta zrobiła kwaśną minę. – Uwierz mi, Klara ma na Olafa bardzo duży wpływ, choć sama nie wiem dlaczego. On tak bardzo przypomina swoją świętej pamięci matkę. – Nerwowo zerknęła w stronę holu z obawą, że ktoś mógł usłyszeć jej słowa.

– Znała pani prawdziwą matkę Olafa, Luizę? – Bianka też powiodła wzrokiem po zaciemionym korytarzu.

– Znałam... trochę. – Znów zerknęła przez ramię. Zaraz jednak pochyliła się nad stołem i przybliżyła do Bianki. – Widywałyśmy się w dzieciństwie i... młodości. Mój ojciec pracował na plantacji i czasem mnie tam zabierał. Wilhelm, wujek Klary i Luizy, który zarządzał winnicą i był ich prawnym opiekunem, w weekendy często przywoził je na Fiołkowe Wzgórze.

– Luiza i Klara wychowywały się bez rodziców? – Bianka się zaciekawiła.

– Zmarli, gdy były małe. Najpierw ojciec, a zaraz później matka. Wtedy opiekę nad nimi przejęła siostra matki Konstancja. Nie miała podejścia do dzieci, za to jej mąż je uwielbiał. Luiza i ja... – Marta nie mogła zapanować nad nerwowymi gestami. Co chwila chwytiała brzeg spodka, wprawiając w ruch filiżankę. – Luiza i ja się przyjaźniłyśmy – odważyła się w końcu powiedzieć.

– Naprawdę?

– Tak, bardzo się lubiłyśmy. Obie jako dzieci byłyśmy rozbrykane i różne głupotki przychodziły nam do głów. – Marta na chwilę zanurzyła się w toń wspomnień. Było to widać w wyrazie jej oczu. – Luiza sprawiała wrażenie cichej myszki, ale w środku miała w sobie małego chochlika. Obie go miałyśmy, dlatego tak świetnie się ze sobą dogadywałyśmy. Olaf jest do niej bardzo podobny. – Uśmiechnęła się smutno. – Choć i po swoim ojcu przejął wiele dobrego. Brakuje mi Lizy. – Westchnęła.

Biankę zastanawiało jedno: dlaczego Marta właśnie teraz zdecydowała się uchylić

rąbka tajemnicy i opowiedzieć o przyjaźni z Luizą? Dziewczyna doskonale pamiętała, jak wcześniej gospodyni unikała tematu sióstr Czajkowskich, a na wzmiankę o niejasnych okolicznościach śmierci Luizy zareagowała dość chłodno i zmieniła temat. Biankę aż korciło, żeby wypytać o szczegóły znajomości z matką Olafa.

– Nie ma co wracać do starych czasów. Teraz trzeba będzie wypić piwo, którego nawarzyłam – rzekła śmiało Marta i skupiła wzrok na półce, na której jeszcze kilka chwil temu stały filiżanki.

– Wcześniej dziś pani przyszła – zauważyła Bianka.

– Tak, w nocy źle spałam. Obudziłam się tuż po trzeciej i już nie zmrużyłam oka. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca w domu, więc przyjechałam pierwszym autobusem.

– To przez tę wczorajszą awanturę? – Bianka wpatrywała się w Martę.

– Po części tak, ale... – Gospodyni wstała i ruszyła do kuchni. Stała na środku pomieszczenia, pochyliła głowę i płytka po płytce lustrowała podłogę, by sprawdzić, czy przypadkiem nie pozostał na niej jakiś odłamek porcelany.

Bianka wiedziała, że chodzi o Małgosię, ale Marta nie podjęła tego tematu. Skupiła się na czynnościach kuchennych, jakby to była najważniejsza sprawa pod słońcem. Dziewczyna powędrowała wzrokiem po blatach. Na jednym z nich leżały przyniesione ze spiżarni warzywa. Rumiane pomidory aż błyszcząły, a kruche liście sałaty lodowej ociekały wodą w emaliowanym durszlaku.

– Zaparzyć ci kawę? – spytała Marta oficjalnym tonem, dając Biance do zrozumienia, że nie chce rozmawiać ani o Klarze, ani o swojej córce.

– Nie, pójdę na górę się przebrać. – Bianka tak spieszyła się na dół, że nie założyła szlafroka, więc teraz czuła na ramionach lekki chłód.

Marta nawet nie próbowała jej zatrzymać, tylko z zapalem wróciła do pracy w kuchni.

Gdy Bianka zatrzasnęła drzwi do swojego pokoju, futryna okienna zadrgała, a firanka zatańczyła falującym ruchem wokół doniczki stojącej na parapecie. Rosnąca w niej alokazja upominała się o wodę – patrząc na przywiedłe liście, Bianka usłyszała nieme wołanie spragnionej rośliny. Poszła do łazienki. Kiedy już z niej wychodziła, odwróciła się jeszcze w kierunku kolistego lustra nad umywalką. Objęła wzrokiem wąską szklaną półeczkę pod jego taflą. Sama nie wiedziała, co takiego wzbudziło jej niepokój. Czy kosmetyki, które – jak jej się zdawało – stały nie w tym miejscu, co powinny? Czy też niedomknięta zatyczka flakonika jej ulubionych perfum? Niby wszystko wyglądało tak samo, a jednak inaczej niż wcześniej.

Podlała kwiatek, a potem skierowała się do szafy. Szybko rozsunęła jej drzwiczki i zatopiła dłoń w głębokiej kieszeni letniej spódnicy ukrytej między ubraniami. Jeszcze raz głośno odetchnęła, kiedy pod palcami poczuła śliską otoczkę perły. Nie miała pojęcia, po co ktoś był w jej pokoju i czego szukał. „Czy to Klara?” W domu panowała cisza. Słychać było tylko odgłosy dochodzące z zewnątrz, cichy szmer budzącej się ulicy i wciąż donośny śpiew ptaków. Mimo obaw uznała, że kieszeń spódnicy to jednak najlepsza możliwa kryjówka.

Przybliżyła się do okna i rozsunęła firankę. Zatopiła wzrok w zielonych szczytach drzew, później zaś spojrzała w niebo. Wciąż było pokryte szarymi chmurami, które teraz

już całkowicie zasłoniły słońce. Wiatr hulał w ogrodzie, okrążając szerokie pnie jak pies ganiający za własnym ogonem. Powietrze coraz bardziej się ochładzało, a szanse na pogodny dzień malały. Zbliżała się pora śniadania.

Bianka zeszła do jadalni niemal w ostatniej chwili. Była pewna, że zastanie Klarę stojącą nad otwartym brewiarzem, ale z ulgą zauważyła, że rzeźbione oparcia krzeseł wciąż są dosunięte do krawędzi stołu.

W kuchni dojrzała Martę. Kobieta siedziała na taborecie, jej plecy były wygięte w smutny łuk. Bianka podeszła bliżej, lecz Marta, wyglądająca jak pochylona wierzba, nawet jej nie zauważyła.

– Pani Marto, o co chodzi?

W końcu Marta zdecydowała się przerwać ciszę głośnym westchnieniem. Odchyliła się do tyłu i oparła o ścianę pokrytą małymi kwadratowymi kafelkami w kolorze cappuccino, ale jej plecy nadal wyglądały tak, jakby nie była w stanie ich wyprostować. Spojrzała na Biankę zmęczonym wzrokiem.

– Nie wiem, co ja tu jeszcze robię – rzekła głosem wypranym z emocji, a potem odwróciła głowę w stronę jadalni. – Usiądź, podam ci śniadanie. – Spojrzała na kilka półmisek pełnych świeżych regionalnych potraw, a jej wzrok na chwilę się ocieplił.

Wśród świecących białą porcelanowych talerzy, zwisających z drewnianego stropu warkoczy czosnku i pęków suszonych ziół, które wciąż pachniały letnim ogrodem, Marta czuła się jak królowa. Dziś jednak sprawiała wrażenie przegranej. Zupełnie tak, jak gdyby jej niegdysiejsze królestwo zostało podbite, a ona – skazana na banicję. Było coś niepokojącego w jej wzroku, w ruchach ciała, w powolnym oddechu, który jakby sprawiał jej trudność.

– Pani Klara nie przyjdzie na śniadanie? – spytała Bianka, choć wszystko na to wskazywało. Klara nie pozwalała sobie nawet na małe spóźnienie.

– Nie. – Westchnęła. – Nagły atak migreny, tym razem pewnie udawany. Zawsze to robi. Będzie jeść w swoim łóżu dopóty, dopóki Olaf nie zjawi się z naręczem kwiatów i przeprosinami. A ja będę krążyć między jej dusznym pokojem a apteczką z chustką namoczoną w wodzie różanej jak jakaś idiotka. – Jej usta wykrzywił grymas. – Wygląda na to, że Olaf nieprędko padnie do stóp matki. – Zachichotała, a widząc pytające spojrzenie Bianki, pospieszyła z wyjaśnieniami. – Wyjechał dokądś z Samuelem. – Zerknęła z ukosa na Biankę, ciekawa jej reakcji.

– Jak to wyjechał?! – Reakcja była natychmiastowa, Bianka wcale nie starała się ukryć zdenerwowania.

– Też mnie to zdziwiło. Spotkałam Olafa rano przy bramie. Wyjaśnił mi, po co się zjawił i dlaczego nie wjeżdża na posesję.

– Dlaczego? – Bianka była coraz bardziej zaciekawiona. Nie brała pod uwagę tego, że Sam może wyjechać.

– To oczywiste: nie chciał, żeby ta wiedźma, jego matka, usłyszała warkot silnika. – Marta prychnęła. – Wtedy dopiero by się zaczęło.

– Widziała pani, jak Sam wychodził? – spytała szeptem, łudząc się, że Marta zaraz wszystko sprostuje, roześmieje się i powie, że żartowała.

– Tak. Olaf zniósł walizkę brata, a potem wrócił na górę i pomógł zejść Samuelowi.

Wydawało mi się, że świetnie się dogadywali.

– Wie pani, dokąd mogli pojechać? – Bianka była zdezorientowana.

Marta wzruszyła ramionami.

Biance wydawało się, że to sen. Ledwie się obudziła, ledwie przeanalizowała wspomnienia z poprzednich dni, a już dotarły do niej kolejne informacje. I znów trzeba było ułożyć je w głowie.

– Nie mam pojęcia, choć właściwie ten przyjazd Olafa... to nagłe pojednanie braci... to może mieć związek z rocznicą – rzekła oficjalnie.

– Jaką rocznicą? – Bianka stała nad Martą jak cerber, pilnując słów, które za moment miały wypaść z jej ust.

– Trzydzieści trzy lata temu zginęła mama Olafa.

– Zginęła? Czy nie mówiła pani, że Luiza nie żyje?

Usta Marty przypominały wąską kreskę. W końcu lekko je rozchyliła, a jej nieruchome oczy patrzyły w taki sposób, jakby ich właścicielka nie wierzyła we własne słowa.

– Bo nie żyje. – Zakasłała, a potem rzekła nieswoim głosem: – Nigdy nie odnaleziono ciała Lizy. To jest najgorsze.

Bianka nie odważyła się zapytać o nic więcej. Zapadła nieznośna cisza, tylko od strony ogrodu dolatywały pomiauukiwania, na które tym razem Marta nie zareagowała.

– Wie pani, kiedy wróca...? To znaczy kiedy wróci Samuel? Czy on w ogóle jeszcze się pojawi?

– Niestety nie wiem, Bianco. – Popatrzyła na nią ze współczuciem. – Ta sytuacja nie jest normalna. Sam i Oli razem. Kiedyś tak, ale teraz...? – Zamyśliła się, a jej wzrok powędrował za kilkoma muchami, które nie mogły znaleźć sobie miejsca i latały w kółko nad jej głową. Kiedy w końcu odleciały do jadalni, Marta odezwała się cicho: – Nie rozmawiali ze sobą od śmierci ojca. Nie powinno tak być. Przecież mogliby być dla siebie podporą w trudnych chwilach, zwłaszcza że na Samuela spadło podwójne nieszczęście. Nie dość, że utracił ukochanego ojca, to jeszcze w wyniku wypadku oślepl. – Marta pokręciła głową ze współczuciem. – Co też musiało się stać, że znów zaczęli się do siebie odzywać?

– Wygląda na to, że powinnam się spakować i wyjechać. Nic tu po mnie – odezwała się Bianka rzeczowo, ale łamiący się głos zdradzał jej napięcie.

Straciła wiele dni, kiedy Samuel znajdował się tuż za ścianą. Mogła bardziej się postarać, aby przeforsować dzielącą ich granicę. Muzyka, która na początku dawała jej przewagę i w pewnym sensie stanowiła między nimi przekaźnik uczuć i emocji, przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Bianka nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio trzymała w ręku skrzypce. Jej palce potrzebowały dotyku cienkich strun, tak samo jak oczy, spragnione po nocy, domagały się codziennej porcji światła. Jej uszy, pozbawione znajomych dźwięków, które sama powoływała do życia, wyławiały z eteru inne, zastępcze.

Czuła, że doszła do miejsca, w którym kończy się droga. Mogła zrobić tylko jedno – odejść. Przecież bez Sama to wszystko nie miało sensu. Czy to oznaczało, że powinna wrócić do domu? Że ma się poddać? Czy to był koniec? Kiedy to sobie uzmysłowiła, spanikowała. Jednocześnie poczuła, jak jej ciało się buntuje, jak krzyczy, że powinna

walczyć, że nie może się zgodzić na taki finał. Była rozdarta.

– Co ty mówisz? – obruszyła się Marta. – Chodź, zjemy śniadanie. Szkoda, żeby zmarnowała się taka góra jedzenia. – Pociągnęła Biankę za sobą w stronę jadalni.

– To znaczy, że Klara nie będzie dzisiaj nic jadła?

– Kto ją tam wie. – Marta machnęła ręką. – Myślę, że do końca dnia nie wyjdzie z pokoju, ale ręki nie dam sobie uciąć, bo ostatnio wszyscy w tym domu zachowują się inaczej niż zazwyczaj.

– Vincent też będzie głodował?

– O nie! Niech cię nie zmyli jego wątła postura, on na brak apetytu nie narzeka. Jak sądzę, zjawi się w kuchni nie później niż o dziesiątej i opróżni wszystkie półmiski.

Bianka uśmiechnęła się do Marty.

– Wezmę jajecznicę. – Bez większego entuzjazmu nałożyła sobie trzy łyżki jajecznicy na świeżych maślakach. Mimo że dania kusily aromatem, nie czuła głodu. Na jej żołądku zawiązał się ciasny supeł, który sprawił, że nie myślała o jedzeniu, tylko o powodzie jego zaplątania. Ten powód miał na imię Samuel i lubił jajecznicę tak samo jak ona.

Marta zachowywała się tak, jakby ta sytuacja była dla niej całkowicie naturalna. Nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby dwie godziny wcześniej Bianka nie widziała jej klęczącej na zimnej kuchennej posadzce, kiedy roztrzęzionymi dłońmi zbierała kawałki rozbitej porcelany. Gospodyni zdawała się już wcale nie pamiętać porannego incydentu.

– A wracając do tego, co powiedziałaś wcześniej: nie myśl, że wypuszczę cię z tego domu przed wrześniem. – Starła się rozbawić Biankę, mówiąc to nieco dziwnym tonem, ale dziewczyna smętnie zwiesiła głowę nad talerzem.

– Przecież pani wie, że nie ma sensu tego dłużej ciągnąć. – Bianka popatrzyła na Martę z rezygnacją. – Sam wyjechał, zabrał walizkę, pewnie w najbliższym czasie nie wróci do Kazimierza. Nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek się tutaj pojawi.

– Nie myśl o Samie. – Marta wzięła pękaty dzbanek i nalała do filiżanek zabielałą kawę z cykorią.

– Jak mam nie myśleć? Przecież to dla niego tutaj przyjechałam.

– Wiem, Bianco, ale postaraj się spojrzeć na wszystko inaczej. Przypomnij sobie, ile miłych rzeczy spotkało cię w Kazimierzu.

Bianka któregoś popołudnia wyjaśniła Marcie, dlaczego zdecydowała się przyjąć propozycję Klary – opowiedziała jej o śmierci Marianny i problemach finansowych. Gospodyni ją rozumiała. Gdyby znalazła się na jej miejscu, pewnie też postąpiłaby w ten sposób. Nie pojmowała jednak motywów Klary. Nieraz zastanawiała się, dlaczego pani domu ściągnęła tutaj Biankę, bo w to, że chce pomóc młodszemu synowi, raczej nie wierzyła. Klara potrafiła tylko niszczyć. Tak było w dzieciństwie, gdy Marta i Liza się przyjaźniły, i niestety wszystko wskazywało na to, że tak jest teraz.

Klara zjawiała się zniecka, nadlatywała jak ogromna czarna wrona i siała zamęt. Od dziecka przejawiała zamiłowanie do ciemnych strojów, tak jak jej ciotka Konstancja. A po śmierci męża ta skłonność przerodziła się wręcz w obsesję. Klara nie tylko ubierała się na czarno i otaczała się czarnymi przedmiotami – jej myśli i słowa też były mroczne.

Nie było osoby, oczywiście poza lokajem Vincentem, która dłużej wytrzymałaby w jej towarzystwie. Zresztą Klara sama unikała kontaktu z ludźmi. Spotykała się tylko z proboszczem z pobliskiego kościoła, na którego utrzymanie łożyła spore pieniądze, zapewne licząc na całkowite odpuszczenie grzechów (a grzechów tych – jak Marta się domyślała – jej pracodawczyni musiała nagromadzić w ciągu życia co niemiara), i z Mariką, która prawdopodobnie bezpowrotnie straciła już tytuł narzeczonej Olafa.

Marta postanowiła zaangażować Biankę w obowiązki domowe, żeby odciągnąć ją od czarnych myśli. Zaraz po śniadaniu wręczyła dziewczynie trzy wiklinowe kosze na pomidory i ogórki, które na Fiołkowym Wzgórzu rosły teraz jak grzyby po deszczu.

– Gosia ucieszyła się na wieść, że przed południem się u niej zjawisz – rzekła Marta z lisią miną.

– A zjawię się? – Bianka się roześmiała.

– Wszystko na to wskazuje.

Bianka przyjęła tę propozycję z dużym entuzjazmem, bo i tak chciała odwiedzić Małgosię. Zastanawiała się, czy Marta wie o kontuzji córki. Z rozmowy wynikało, że kontaktowały się przez telefon. Marta jednak nie dawała nic po sobie poznać.

Bianka wyszła na zewnątrz, żeby zapakować kosze do bagażnika. Kiedy wróciła po torebkę, do jej nozdrzy od strony wąskiego, ciemnego korytarza, na którego końcu mieścił się pokój Klary, doleciał zapach wody różanej. Trzeba przyznać, że w tak małym stężeniu był on całkiem przyjemny.

Kiedy wyjeżdżała z Kazimierza, nic nie wskazywało na to, żeby miało się przejaśnić. Chmury zasłoniły letni błękit nieba. Wyglądały jak gęste sieci pajęczyn pokrywające wszystkie stropy w starym domu. Było w tym dniu coś przygnębiającego, coś, co sprawiało, że świat wydawał się mniej kolorowy i mniej wyraźny niż zazwyczaj. Fiołkowe Wzgórze jakby spało, kołysane lekkimi oparami mgły.

Gosia rzeczywiście ucieszyła się z jej wizyty. Gdy Bianka podjechała pod główną bramę, córka Marty stała przy furtce i uśmiechała się od ucha do ucha. Bianka szybko wyskoczyła z samochodu, wyjęła z bagażnika kosze i natychmiast znalazła się przy Małgosi. Na powitanie delikatnie pocałowały się w policzek.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że znów cię widzę.

– Jak twoja stopa? – spytała Bianka w drodze do altanki.

– W porządku. – Gosia machnęła ręką, starając się nie dać po sobie poznać, że noga nadal jest w nie najlepszym stanie. – Do rozwodu się zagoi – rzuciła luźno i westchnęła.

Bianka nie wiedziała, czy ma te słowa potraktować jako żart, czy też zapowiedź zwierzeń. Gdy doszły do altany, położyła kosze przy ścianie budynku gospodarczego, tuż przy wejściu. Małgosia już wcześniej przygotowała kawę, którą teraz rozlała do niewielkich filiżanek w seledynowym kolorze. Na porcelanowym brzegu każdej z nich namalowano jasnoczerwoną różę. Kwiaty te na tle zgaszonej zieleni pochmurnego późnego poranka sprawiały wrażenie żywych. Gosia upiekła ciastka owsiane z dodatkiem orzechów i migdałów.

– Śliczna. – Bianka uniosła filiżankę i zanim przyłożyła ją do ust, dokładnie jej się przyjrzała.

– Tak, są jedyne w swoim rodzaju. To prezent od mamy. – Rozpromieniła się. –

Wyjmuję je tylko na szczególne okazje, a ta niewątpliwie do takich należy – powiedziała z naciskiem.

– Miło to słyszeć.

– Gromadzenie starych filiżanek to moje hobby. Mogę godzinami szwendać się po pchlich targach. – Spojrzała na Biankę z ożywieniem. – No cóż, każdy ma jakiegoś bzika – dodała po chwili z rozbajającym uśmiechem. – A ty masz jakieś dziwac-twa? – spytała zaczepnie.

– Dziwactwa? – Bianka się roześmiała. – Na pewno. Któż by ich nie miał? – odparła wymijająco.

– Na przykład jakie? – dopytywała Gosia, spoglądając na koleżankę z coraz większym zaciekawieniem.

– Hm... – Bianka westchnęła. Jedyne, co przychodziło jej w tej chwili do głowy, to muzyka. Nie wyobrażała sobie świata bez swoich dźwięków. Bez smyczka natartego kalafonią i smuk-łych strun, które przecierała spirytusem, mimo że były idealnie czyste. „Czy to jest moje dziwactwo?”, zastanawiała się. Często brała do rąk skrzypce, nawet wtedy, gdy na nich nie grała. Po prostu chciała się nacieszyć ich dotykiem, zapachem, wyglądem. „Tak, skrzypce to niewątpliwie moje dziwactwo – stwierdziła. Nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez tego instrumentu. – Ciekawe, czy to samo czuła Walentyna...”

– Ale się rozmarzyłaś. – Gosia delikatnie zastukała łyżeczką o brzeg filiżanki.

Bianka uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Więc jakie są twoje dziwactwa? – zapytała jeszcze raz Małgosia.

– Jedyne, co w tym momencie przychodzi mi na myśl, to moje skrzypce.

Gosia przyglądała jej się z ciekawością, ale o nic nie spytała.

– Wiem, że grasz na skrzypcach. Mama coś wspominała – odezwała się w końcu, chcąc zachęcić Biankę do dalszych zwierzeń.

Bianka uśmiechnęła się niepewnie. Najchętniej zmieniłaby temat, ale nie mogła, bo Małgosia wpatrywała się w nią z żywym zainteresowaniem. Nie miała pojęcia, jak dużo córka Marty wie na jej temat.

– To niebywała zbieżność – zaczęła pomału Gosia, nie odrywając wzroku od Bianki. – Dwoje muzyków pod jednym dachem. Wiesz, że Samuel był jednym z najlepszych na świecie, zanim... zdarzył się ten okropny wypadek?

– Tak.

– To straszne, że spotkało go coś takiego. Miał u stóp cały świat, wielu fanów i robił to, co kocha najmocniej.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała Bianka. Zastanawiała się, czy Marta zdradziła córce powód, dla którego Bianka przyjechała do domu Klary.

– Muzyka była całym jego życiem już od dziecka. Pierwsze skrzypce trzymał w dłoni w wieku kilku lat – powiedziała Gosia z przekonaniem.

„To zupełnie tak jak ja”, pomyślała Bianka i niewiele zabrakło, aby powiedziała to na głos. Niemal w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Czy ktoś w jego rodzinie wcześniej grał na skrzypcach? – spytała. Woląla rozmawiać o Samie niż o swoich dziwactwach.

– Chyba nie. – Gosia błędziła wzrokiem po ciemnych chmurach wiszących nad ich

głowami. – Chociaż... – Przeniosła wzrok na Biankę. – Nie jestem pewna, ale chyba kiedyś słyszałam, że ojciec Klary był melomanem. Wydaje mi się jednak, że nie grał na skrzypcach. – Zastanawiała się, mrużąc oczy. – Nie, na pewno nie był muzykiem – rzekła po chwili zdecydowanie. – Przypomniałam sobie, jak kiedyś mama opowiadała o plantacji i rodzinie Klary. Wspomniała wtedy o jej rodzicach i dalszych krewnych, ale nie mówiła, żeby ktoś przejawiał zdolności artystyczne. A Sam podobno miał... ma słuch absolutny.

Bianka słuchała uważnie.

– Dobrze, że Sam nie odziedziczył diabelskiego charakterku swojej mamuski – odezwała się Gosia kąśliwie. – Jak on w ogóle z nią wytrzymał przez ostatnie lata? Raul i Luiza byli podobno takim dobrym małżeństwem. Niestety ich szczęście trwało krótko. – Utkwiła oczy w Biance. – Luiza to siostra Klary – wyjaśniła.

– Wiem – powiedziała Bianka, zadowolona z kierunku, w jakim zmierza rozmowa. Małgosia domyśliła się, że Bianka wcześniej rozmawiała z jej mamą.

– Wiesz o tym, że mama i Luiza się przyjaźniły? – zapytała.

Bianka przytaknęła, upijając łyk kawy.

– Mówiła na nią „Liza”. – Gosia się uśmiechnęła. – Ja nigdy nie miałam takiej przyjaciółki – zauważyła. – Nie wiem, czy mama ci o tym wspominała, ale to na Fiołkowym Wzgórzu rozkwitła ich dziecięca przyjaźń.

– Pani Marcie musi bardzo brakować przyjaciółki. – Bianka się zamyśliła.

– Tak, rzeczywiście. Choć minęło już wiele lat od śmierci Luizy, mama ciągle ją wspomina: Liza to, Liza tamto...

– Jak to się stało? – odważyła się zapytać. – Jak zmarła pani Luiza? – Gdy to powiedziała, przeszedł ją dreszcz.

– Podobno się utopiła. – Małgosia ściszyła głos, jakby przekazywała jakąś tajemnicę.

– Podobno?

– Nigdy nie znaleziono ciała.

– To skąd wiadomo, że...

– Wszystko na to wskazuje. Tamtego dnia była nad Wisłą. Według przechodniów stała zbyt blisko brzegu i porwał ją nurt. Jest sporo niejasności w tej sprawie. Wiele razy próbowałam rozmawiać z mamą na ten temat, ale unika go jak ognia. O ile chętnie wraca do wspomnień z dzieciństwa i młodości związanych z Luizą, o tyle temat śmierci przyjaciółki stoi jej ością w gardle.

– Wcale się nie dziwię, to smutna i przerażająca historia. Wierzysz, że Klara mogła mieć z tym coś wspólnego?

– Nie – powiedziała Gosia niepewnym głosem, a potem zaprzeczyła jeszcze ruchem głowy. – W końcu były siostrami. Może się nie kochały, z tego, co wiem, nawet się nie lubiły, ale żeby od razu pozbawiać kogoś życia? – Zmarszczyła czoło. – Chodź, pokażę ci coś. – Wstała, podpierając się rękami o ławę. Odwróciła się w stronę drzwi do budynku gospodarczego. – No chodź. – Zachęciła Biankę ruchem dłoni. – Nie byłaś jeszcze w miejscu, gdzie produkujemy wino. Czas nadrobić zaległości. Przy okazji coś zobaczysz – rzekła tajemniczo, a jej oczy zaiskrzyły.



W budynku panował przyjemny chłód. Wchodziło się do kwadratowego pomieszczenia, które zagospodarowano na niewielką kuchnię w rustykalnym stylu. Naprzeciw drzwi znajdował się dębowy kredens, a obok niego regały z nieheblowanego drewna. Na półkach stały głównie słoiki z denkami zakrytymi ładną kremową bawełną przewiazaną parcianym sznureczkiem. Na ścianie w kolorze mandarynki, pod niedużym prostokątnym okienkiem z delikatnie zmarszczoną firanką, stał piec chlebowy wyglądający tak, jakby został tutaj przeniesiony z wiekowej chałupy. Na podłużnym blacie ustawiono sprzęty, bez których trudno byłoby się obyć we współczesnej kuchni: czajnik, ekspres do kawy, opiekacz i mikser. Z ciemnej belki wieńczącej strop zwisały pęki suszonych ziół. W cynkowym dzbanie stojącym na parapecie ułożono naręcze lawendy.

– Ładnie tu. – Bianka rozglądała się po wnętrzu.

– Chodź do piwniczki. – Gosia wskazała na zamknięte drzwi z mosiężną klamką.

Piwnica była duża. Nie było w niej tak przyjemnie jak w części kuchennej, ale mimo to miała swój specyficzny klimat. Wzdłuż ściany stało kilkanaście kadzi na wino. Po przeciwległej stronie znajdowały się dębowe beczki, wszystkie ponumerowane.

Przeszły do kolejnego pomieszczenia, znacznie mniejszego, ale za to przytulniejszego. Pośrodku stał kamienny stół z blatem w kolorze palonej cegły i kilkoma żelaznymi taboretami. Jedną ścianę zajmowały ciasno ułożone regały na wino, w całości wypełnione butelkami z gustownymi etykietami, na których widniało niepowtarzalne logo Fiołkowego Wzgórza. Ten znak wymyślił jeszcze dziadek Klary, założyciel winnicy.

– I jak? – zagadnęła Gosia, kiedy zatrzymały się przy regale z winami.

– Cudownie – odrzekła Bianka z nieudawaną fascynacją.

– Pochęstowałabym cię, ale jesteś kierowcą, jak zawsze. – Małgosia sięgnęła po jedną z butelek. – Masz, weź do domu, to cabernet sauvignon.

– Dzięki. – Bianka wzięła z rąk Gosi chłodną flaszkę. – Wydawało mi się... to znaczy mówiłaś, że chcesz mi coś pokazać. – Popatrzyła na nią wyczekująco.

– Tak. Chodzi o naszą rozmowę, a dokładniej mówiąc: o mamę. Zresztą co ja ci będę tłumaczyć, sama zobacz. – Gosia podeszła do ostatniego regału i schowała się za nim. – Chodź! – zawołała Biankę.

Kiedy Bianka podeszła bliżej, zauważyła, że między ścianą a grubą deską wieńczącą ostatni regał znajduje się wąska szczelina. Prowadziła ona do niewielkiego pomieszczenia o ścianach pomalowanych różową farbą. Dziewczyna z zainteresowaniem rozejrzała się po wszystkich kątach, ale w piwniczce nic nie było – zobaczyła tylko puste ściany i betonową posadzkę. Spojrzała na Małgosię pytająco.

– Zobacz. – Gosia pochyliła głowę i wycelowała palec wskazujący w miejsce pod swoimi nogami.

– Co to jest? – spytała Bianka.

Rzędy kolorowych kresek i kółek, namalowanych farbami, tworzyły na posadzce ciekawą dziecięcą mozaikę.

– Tutaj ukrywały się przed Klarą – wyjaśniła Gosia.

– Przecież musiała je widzieć. – Ściszony głos Gosi, niewyraźne światło z mlecznej żarówki i specyficzny zapach, jaki zwykle unosi się w starych piwnicach, sprawiły, że

Bianka poczuła się jak detektyw.

– I widziała. – Gosia zachichotała. – Nie odważyła się jednak wejść do ich królestwa.

– Nie rozumiem.

– Luiza była bardzo ugodowa, ale potrafiła się postawić siostrze. Znała jej słabe strony. Klara strasznie bała się gryzoni, polne myszy przyprawiły ją o palpitację serca. Liza wpadła więc na pewien pomysł. Złapały na łące za plantacją okazałego szczura i zabrały go na herbatkę, na którą zaprosiły również Klarę. Biedne stworzenie podobno tak się przeraziło jej krzyków, że przez kilka minut kręciło się w kółko, goniąc za własnym ogonem. Od tamtej pory miały spokój, Klara nigdy więcej nie weszła do pokoju świnek.

– Pokoju świnek?

– Tak. Moja mama i Liza uwielbiały bajkę o trzech świnkach. Każda z nich miała wybudować własny dom, żeby ukryć się przed wilkiem, któremu na ich widok ciekła ślinka. Znasz tę opowieść?

– Tak, znam – odpowiedziała Bianka z uśmiechem. – Któż nie znałby bajki o trzech dzielnych świnkach? Czy to ze względu na te urocze stworzonka ściany pomalowano na różowo?

– Punkt dla ciebie, oczywiście, że tak. Kiedyś ściany były jaskraworóżowe, ale z biegiem lat kolor wypłowił. Pan Wilhelm własnoręcznie pomalował to pomieszczenie dla małej Lizy i jej przyjaciółki. Uwielbiał siostrzenicę swojej żony.

Bianka patrzyła na posadzkę, wyławiając wzrokiem kolejne elementy, które jakimś cudem przetrwały sześćdziesiąt lat w piwniczce ukrytej na tyłach winiarni.

– Spójrz. – Bianka wskazała palcem duży napis.

Trochę koślawymi literami zapisano: „MARTA + LIZA = BARDZO WIELKA PRZYJAŹŃ”.

Gosia znów beztróska się roześmiała.

– Pełno tutaj takich dowodów ich przyjaźni. Skoro już zebrało mi się dzisiaj na wspomnienia, chciałabym ci pokazać jeszcze jedno miejsce.

– Chętnie je zobaczę.

– Szkoda, że mama tak rzadko odwiedza plantację. Od śmierci Luizy unika przyjazdów na Fiołkowe Wzgórze. – Gosia się zadumała. – Wiesz, ja rozumiem, że śmierć przyjaciółki, z którą dzieliło się ogromny fragment życia, musi być wstrząsem, ale czasem odnoszę wrażenie, że w tym wszystkim chodzi o coś zupełnie innego.

– Co masz na myśli?

– I w tym problem... nie mam pojęcia. Nic nie przychodzi mi do głowy. We wszystkich opowieściach, którymi mama karmiła mnie w dzieciństwie, są małymi dziewczynkami. Sporadycznie wtrącała jakieś szczegóły dotyczące ich młodości, ale kiedy zaczynałam się dopytywać, zmieniała temat. Liza dość młodo wyszła za mąż, ale z tego, co wiem, nawet po jej ślubie utrzymywały ze sobą bliski kontakt. Ich zażyłość była do tego stopnia siostrzana, że mama trzymała do chrztu dziecko Luizy. – Gosia patrzyła na kołyszącą się żarówkę, która rzucała chybocliwy cień.

– Pani Marta jest matką chrzestną Olafa? – Ta wiadomość wydała się Biance

nieprawdopodobna. Rozmowa z Małgosią rzucała światło na wiele spraw, o których wcześniej nie miała pojęcia. Olaf, ukochany syn Klary, był kiedyś tak blisko związany z Martą i jej rodziną.

Bianka zauważyła, że stosunek Marty do Olafa też jest nie do końca jasny. Marta niby wypowiadała się o nim ciepło, ale w oczach miała wówczas jakby żal. Czy chodziło o Luizę? Czy Marta obwiniała Olafa, że tak łatwo zapomniał o prawdziwej matce i obdarzył uczuciem osobę, która na to nie zasługiwała? Ale przecież Olaf był wtedy małym chłopcem i prawdopodobnie niewiele pamiętał z okresu, kiedy żyła Luiza. To naturalne, że pokochał tę, która otoczyła go opieką i miłością. Tę, która była przy nim, gdy dorastał. Chyba że wcale nie chodziło o Luizę.

– Tak, mama jest chrzestną Olafa. – Małgosia wyrwała Biankę z rozmyślań.

Bianka liczyła na to, że dowie się czegoś więcej na ten temat, ale rozmowa utknęła w miejscu.

– Idziemy? – spytała w końcu Gosia.

– Tak – odpowiedziała Bianka i ostatni raz powiodła wzrokiem po dziecięcych łamigłówkach.

Na zewnątrz panował zaduch, który robił się coraz bardziej uciążliwy. Mimo że nie świeciło słońce, było dość ciepło. Wcześniejszy wiatr ustąpił, powietrze było prawie nieruchome. Tylko owady latały opętańczo.

– Zabieram cię na spacer – oznajmiła Małgosia.

– A twoja noga?

– Moja noga ma się dobrze. – Gosia starała się obrócić wszystko w żart.

– Skoro tak mówisz... – Bianka nie wyglądała na przekonaną, ale ruszyła za koleżanką.

Ścieżka prowadziła w dół. Po obu stronach ciągnął się parkan odgradzający plantację od kamienistej drogi. Z prawej Bianka zauważyła drewnianą bramkę, przez którą można było się dostać na teren upraw. Sądziła, że właśnie tam idą. Minęły jednak wejście i szły dalej. Słodki zapach polnych roślin z każdym kolejnym krokiem przybierał na sile, w trawie było też coraz więcej chabrów i maków, które przytulały się do siebie rozchylonymi płatkami, tworząc kolorowe kobierce. Gdzieś tam wyskakiwały zgrabne główki rumianku, a pomiędzy nie wplatały się liliowate kwiaty dzikiej mięty.

– Czy to miejsce od dawna należy do rodziny Klary? – spytała Bianka, nie odrywając wzroku od bogactwa kolorów ozdabiających letnią łąkę.

– Chyba od dawna. Wiem tylko tyle, że dziadek Klary wygrał tę ziemię w karty. Straszny był z niego hulaka i donżuan, ale miał dryg do pracy i nos do interesów. Założył plantację i od tamtej pory z niewielkimi przerwami biznes kwitnie. Jeszcze jakieś trzydzieści lat temu w miejscu, gdzie postawiono nasz budynek gospodarczy, stał dom Czajkowskich. Kiedy zaczęło im się lepiej powodzić, wybudowali dom w Kazimierzu.

Przez kilka minut szły bez słowa. Bianka z podziwem obserwowała, jak jej koleżanka dzielnie podnosi chorą nogę. Po obu stronach ciągnęły się łąki, ale dróżka wciąż była szeroka. W oddali majaczyło potężne drzewo. Gdy podeszły nieco bliżej, Bianka stwierdziła, że to stara rosochata wierzba. Trawa rosnąca wokół niej była rzadka i bladozielona, a pod stopami chrzęściły drobne polne kamyki.

Gosia zatrzymała się przy grubym, guzowatym pniu i przylgnęła do niego plecami. Była zmęczona, o czym świadczył jej przyspieszony oddech. Bianka obeszła drzewo. Spojrzała do góry – spomiędzy gęsto zbitych liści spadały dwie linki. Jedna z nich zawinęła się o gałąź, druga zwisała równolegle do pnia.

– Tutaj miały huśtawkę – powiedziała Gosia. – Niestety drewniane siedzisko przegniło i odpadło. Zostały tylko linki – wyjaśniła.

Bianka oczami wyobraźni ujrzała huśtawkę rozchybotaną w radosnym tańcu i dwie bujające się na niej dziewczynki.

– Gdy były na plantacji, zawsze tutaj przybiegały. Klara nie zapuszczała się tak daleko, więc miały święty spokój. Dlatego wymyśliły tę grę. – Gosia przykucnęła.

– Jaką grę? – spytała Bianka.

Gosia dotykała spękanej kory drzewa i gładziła ją, jakby czegoś szukała.

– Jest – powiedziała po chwili. – Chodź, zobacz. – Odwróciła się do Bianki.

Bianka uklękła obok niej i spojrzała na to miejsce. Wtedy Małgorzata włożyła opuszki palców w podłużne pęknięcie. Pod wpływem nacisku kawałek kory odpadł, a ich oczom ukazała się niewielka szczelina przypominająca ptasią dziuplę. Mieściła się jednak za nisko, by mogły w niej mieszkać ptaki.

– Co to? – Bianka zajrzała do niewielkiego otworu, jak gdyby liczyła na to, że odnajdzie tam drogocenny skarb.

– Dziupła zagadek – odrzekła Gosia z triumfalnym uśmiechem.

– Dziupła zagadek? – Bianka włożyła dłoń do szczeliny.

– Nic tam nie znajdziesz – powiedziała Gosia z uśmiechem. – Kiedyś może tak, ale nie teraz – dodała zagadkowym tonem.

Bianka popatrzyła na nią pytająco.

– Mama i Liza wymyśliły zabawę w dziuplę zagadek. Polegała na tym, że na karteczkach pisały własne sekreciki i ukrywały w tym miejscu. Wymyślały też sobie różne śmieszne zadania typu: „Zbierz bukiet kwiatów złożony z dziesięciu kaczeńców, ośmiu fiołków, dwudziestu stokrotek i czterech liści mniszka, a potem zanieś go wujkowi”. W pokoju świnek ukrywały się tylko w chłodne dni, a gdy było ciepło, wciąż hasały po łąkach. Mama opowiadała, że często towarzyszył im pan Wilhelm. Miał ogromną wiedzę o świecie i chętnie przekazywał ją dziewczętom. Był dobrym, łagodnym i wyjątkowo cierpliwym człowiekiem. Nawet Klarę potrafił utemperować. Niestety jej ciotka Konstancja podobno bardzo ją psuła.

– To takie niezwykle.

– Zostawiały tutaj te swoje karteczki nawet wówczas, gdy były już dorosłe. Ale co wtedy do siebie pisały? Niestety mama nie chciała mi tego zdradzić. To była piękna, prawdziwa przyjaźń. Rozdzieliła je dopiero śmierć – rzekła Małgosia podniosłym tonem. Potem usiadła na trawie, oparła się plecami o pień i powolnymi ruchami zaczęła masować sobie kostkę.

– Boli cię – zauważyła Bianka z troską.

– Nie. – Serdeczny uśmiech miał potwierdzić słowa Gosi. – Chwilę odpoczniemy i wracamy. W porządku?

Bianka tylko kiwnęła głową. Podobnie jak Małgosia usiadła na trawie i oparła się

o pień drzewa. Zamknęła powieki i wsłuchiwała się w dźwięki łąki. Przekrzykujące się świerszcze, pszczoły i trzmiele, pojedyncze głosy ptaków – to wszystko sprawiało, że poczuła życie tak mocno jak jeszcze nigdy wcześniej. Podobne wrażenia miała, kiedy grała na skrzypcach.

– Śpisz? – Małgosia lekko ją szturchnęła.

– Nie. – Natychmiast otworzyła oczy.

– Jeśli chcesz, możesz tu jeszcze zostać i poleniuchować, ale ja muszę już zmykać.

Przypomniałam sobie, że po trzynastej byłam umówiona z panem Ryśkiem. Prosiłam go, żeby przyszedł podpisać umowę. Rano zwykle mamy urwanie głowy, a on po swojej zmianie od razu pędzi na autobus, więc ciągle to odkładamy.

– To znaczy, że jesteś zadowolona z jego pracy?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo! Złoty człowiek. Nie dość, że pracowity, to jeszcze z sercem wielkim jak koło młyńskie. – W głosie Małgosi dało się słyszeć szczery podziw.

– Cieszę się. A czy on... no wiesz... czy nie przychodzi do pracy na rauszu? – Bianka poczuła się trochę skrępowana tym pytaniem, ale musiała je w końcu zadać.

– Nie. – Gosia się roześmiała, dostrzegłszy zmieszanie Bianki. – W pracy zawsze jest trzeźwy, a potem... Przyznał mi się, że wieczorami zdarza mu się wypić kielicha. Wiesz, to jego życie... Nie chcę, żeby uznał mnie za jakąś nawiedzoną babę, która prawi mu morały.

– Rozumiem. Najważniejsze, że w pracy daje z siebie wszystko i jak twierdzi, sprawia mu to radość.

– Mówił ci o tym?

– Mówił – potwierdziła Bianka. – No to chodźmy. – Zrobiła krok naprzód, uniosła rękę i się przeciągnęła. – Pan Rysio nie powinien na nas czekać.

– Nie powinien – rzekła Gosia radośnie.

Chwilę potem zmierzały dróżką w górę wzniesienia.

Gdy dotarły na miejsce, Rysia jeszcze nie było. Okazało się, że wskazówki zegara pokazują dopiero dwunastą. Bianka podjęła decyzję, że będzie się zbierać. Razem z Gosią wypełniły więc przywiezione przez Biankę kosze pomidorami i ogórkami.

– Mama powinna być zadowolona. Uwielbia robić przeciery.

– Też zauważyłam, że to lubi. Wydaje mi się, że w kuchni w ogóle się odpręża. Chociaż ostatnio... – Ucięła w pół zdania.

– Co? – Na twarzy Gosi malował się niepokój.

– Wydaje mi się, że twoja mama jest ostatnio jakaś spięta, wszystko leci jej z rąk – powiedziała Bianka ogólnikowo. Nie wiedziała, czy kobiety w końcu szczerze ze sobą porozmawiały.

– To moja wina. – Małgosia spuściła głowę. – Mama bardzo przeżywa rozpad naszego małżeństwa. Zawsze lubiła Pawła i myślę, że po prostu nie może się pogodzić z rozwodem. Dlatego wolę oszczędzić jej szczegółów. – Popatrzyła na Biankę smutno.

– Uważasz, że twoja mama jest aż tak małomiasteczkowa, żeby nie zrozumieć sytuacji?! Myślę, że ona doskonale wie, jak to przeżywasz, tylko nie chce się pakować z butami do twojego życia. Gośka, porozmawiajcie szczerze. Na pewno obu wam to dobrze zrobi. – Bianka złapała koleżankę za rękę.

– Masz rację, powinniśmy w końcu porozmawiać. Dość tych niejasności. Zawsze byliśmy ze sobą szczerze... prawie zawsze.

Nagle obie spojrzały w stronę drogi biegnącej wzdłuż plantacji. W ich kierunku zmierzał mężczyzna. Niestety nie był to Rysio, tylko Paweł.

– O Boże! A on tu znowu czego? – W dusznym powietrzu słychać było przyspieszony oddech Małgosi.

– Znowu? – szepnęła Bianka. Z jednej strony miała ochotę obronić Gosię przed niezrównoważonym mężem, a z drugiej pragnęła jak najszybciej się stąd oddalić.

– Niestety znowu. Mieliśmy już dziś okazję odbyć... przyjacielską pogawędkę – powiedziała ironicznie.

Mężczyzna szedł powoli, ale kiedy się zorientował, że go dostrzegły, przyspieszył kroku. Jego zwalista sylwetka toczyła się po prostej drodze jak kula bilardowa zmierzająca do celu. Niewątpliwie wiedział, czego chce, a świadczyły o tym pewne ruchy, wysoko uniesiona głowa i kpiarski uśmiezek.

– Nie dokończyliśmy rozmowy – rzekł ostrym głosem.

– Obawiam się, że nigdy jej nie dokończymy, jeśli nadal będziesz się upierał przy swoim. – Gosia starała się nie dać po sobie poznać, że jest zdenerwowana. – Nie zrezygnuję z pracy w winnicy. To miejsce jest mi bardzo bliskie. Pracowali tu mój tata i mój dziadek, a teraz ja opiekuję się plantacją. – Siliła się na chłodny, oficjalny ton.

Paweł się cofnął i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Niedbałym ruchem wziął jednego i szybko go zapalił. Potem dość długo się zaciągał, jakby chciał się uspokoić. Po piętnastu latach małżeństwa Małgorzata wiedziała, że kiedy Paweł sięga po papierosa, zbiera myśli i zastanawia się nad strategią rozmowy. Dzięki temu poczuła się znacznie pewniej.

Łapczywie łapał powietrze między kolejnymi dawkami mętnego dymu, który sukcesywnie dostawał się do jego płuc. Zanim wypalił papierosa do końca, rzucił go pod nogi i przydeptał wysokim, czarnym skórzanym butem z grubą podeszwą.

– W najbliższym czasie chyba wybiorę się do Kazimierza – mówił powoli, nie spuszczać wzroku z Małgosi, zupełnie tak, jakby chciał ją wciągnąć w grę.

Popatrzyła hardo w jego oczy, ale o nic nie spytała, tylko czekała, co powie.

– Dawno nie widziałem się z panią Klarą, a jestem pewien, że bardzo zainteresuje ją to, co dzieje się na terenie jej plantacji. – Na jego ustach znów pojawił się szyderczy uśmiech.

Małgorzata drgnęła.

– Pani Klara doskonale wie, co dzieje się na plantacji. Na bieżąco zdaję jej relację. Do tej pory wszystko było w porządku.

– Nie zgrywaj świętoszki. Dobrze wiesz, o czym mówię. – Paweł obrzucił Małgosię lodowatym spojrzeniem.

Gosia się skuliła. Doskonale wiedziała, o czym mówi jej mąż. Trzymał w rękach asa. Mógł zrobić to, co chciał.

– Nie powinieneś się wtrącać – rzekła cicho zduszonym głosem.

– Naprawdę?! – Roześmiał się. Już wiedział, że ma ją w garści, więc zaczął się bawić sytuacją. Widział, jak zbladła, widział na jej czole drobne krople potu, które starała

się zetrzeć drżącymi rękami.

Patrzyła na niego jak bezbronne zwierzę, które staje oko w oko z kłusownikiem.

– Proszę cię, nie rób nic pochopnie.

– Ostrzegalem cię! Nie będziesz mi przyprawiała rogów!

– Nie przyprawiam ci rogów, to przecież ty... – Małgosia nieumiejętnie próbowała się bronić, ale miała przed sobą znacznie silniejszego przeciwnika.

– Zamknij się! – odezwał się grubiańsko.

Bianka, która pozostawała biernym słuchaczem, poczuła na ciele ciarki.

Ten mężczyzna był nieobliczalny. Bianka zauważyła, że Małgorzata coraz bardziej się kurczy, że jest w niej coraz mniej życia, coraz mniej siły i coraz mniej wiary. Gosia patrzyła teraz na Pawła ulegle, jak na kogoś, od kogo zależy jej życie.

– Klara w końcu się dowie, że prowadzasz się z jej synalkiem. Jak myślisz, skarbie, ucieszy się? – Znów się roześmiał.

Gosia spuściła głowę. Nie mogła już dłużej patrzeć w jego pełne nienawiści oczy.

– Masz czas do wieczora. Albo sama zrezygnujesz, albo ci w tym pomogę. Niezdecydowanie to niezbyt dobra cecha charakteru. – Odwrócił się i oddalił bez słowa pożegnania.

W głowie Bianki krążyły słowa wypowiedziane przez Pawła. Starła się je pozbierać, nawlec jak drobne koraliki na długą nitkę. „O którym synu mówił Paweł? O Samuelu czy Olafie?” Nagłe pojawienie się Olafa, odwołany przez niego ślub – to miało sens. Ale na zniknięcie Sama nie było wytłumaczenia.

– Więc odkryłaś kolejną plamę na moim honorze. – Głos Małgosi był wyprany z emocji. – Ale nie jest tak, jak twierdzi Paweł. Nigdy go nie zdradziłam. Ja i Olaf... – Zacięła się.

Bianka uniosła głowę. Poczuła, że wstępują w nią nowe siły. Na szczęście chodziło o Olafa, przynajmniej tego mogła być pewna. Nie śmiała dłużej ciągnąć jej za język. A i Gosia nagle zastygła jak posąg – zamknęła usta i zmrużyła powieki, jakby głęboko się nad czymś zastanawiała.

– Pojadę już. – Czowała, że Małgorzata chce zostać sama.

Gosia uśmiechnęła się niepewnie i odsunęła się od samochodu.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać – rzuciła Bianka na pożegnanie.

– Odwiedź mnie jeszcze, Bianco. Nawet nie wiesz, jak dużo znaczą dla mnie rozmowy z tobą. – Na jej ustach znów pojawił się lekki uśmiech. – Masz swoisty dar odciągania mnie od problemów.

„O co chodzi z tym Olafem? Czy Marta coś wie na ten temat i stąd jej roztargnienie?”, zastanawiała się Bianka w drodze powrotnej do Kazimierza. Intensywnie wpatrywała się w przednią szybę samochodu, na którą zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Najpierw liczyła je w myślach, ale kiedy doszła do dwudziestu, uruchomiła wycieraczkę. W ciągu pięciu minut przez okolice przetoczyła się gwałtowna ulewa, lecz kiedy dziewczyna dojechała do Kazimierza, jedyną pozostałością po opadach była woda zalegająca w zagłębieniach jezdni i chodników.

– Długo cię nie było. – Marta przywitała Biankę przy drzwiach. Wodziła wzrokiem po koszach pełnych świeżych warzyw i po zaróżowionej twarzy dziewczyny. – Sporo

tego. – Wyraźnie czekała na relację z wizyty na Fiołkowym Wzgórzu.

Bianka przygryzła wargę. Znow nie wiedziała, co powiedzieć, a co zostawić dla siebie. Zbyt wiele zobaczyła i usłyszała. Tak jak podejrzewała, w domu nie dało się swobodnie oddychać. Słodka różana woń zdawała się przyćmiewać wszystko wokół. Osiadała na ciemnych ścianach i oklejała drobinki powietrza wibrujące w niewidzialnym tańcu. Biance aż zakręciło się w głowie. Nie umknęło to uwadze Marty, która mimo roztargnienia nie straciła czujności.

– Chodź do kuchni, zjesz obiad – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Po kilku emocjonujących godzinach na Fiołkowym Wzgórzu Bianka poczuła, że jest głodna. Nadziewane bakłażany, które upiekła Marta, pachniały tak intensywnie, że ich aromat było czuć już w holu. Dziewczyna niczym pies tropiący ruszyła na oślep prosto do jadalni. Kiedy usiadła przy stole, myślami wciąż była na plantacji. Marta zręcznie nałożyła jej na talerz posiłek, po czym zajęła miejsce obok. Bianka ochoczo zabrała się do -jedzenia. Danie było jedyne w swoim rodzaju. Bardzo szybko je zjadła.

– Dziękuję – powiedziała, odkładając widelec na talerz.

– Może jeszcze troszeczkę? – kusila Marta.

– Nie, naprawdę dziękuję. – Bianka z uśmiechem pomasaowała się po brzuchu.

– Kiedy Gosia była mała, uwielbiała nadziewane bakłażany, ale zazwyczaj wydłubywała farsz i rzucała pod stół dla kota. Od dziecka była wybredna. Jest taka wrażliwa i krucha. – Marta wstała i zabrała talerz Bianki.

Dziewczyna zawsze czuła się nieswojo, kiedy gospodyni jej usługiwała, ale nie mogła nic na to poradzić – Marta uważała kuchnię za swoje królestwo.

– Co u Gosi? – zapytała wreszcie. Nosila się z tym zamiarem od momentu, gdy Bianka stanęła w progu.

– Dobrze. – Niewygodne pytanie w końcu padło, a ona nadal nie potrafiła na nie odpowiedzieć.

– Obiecała, że mnie odwiedzi, ale wiem, jak dużo jest teraz pracy na plantacji. Jeszcze ta sytuacja z Pawłem. Moja biedna dziewczynka!

Wyglądało na to, że Marta nic nie wie o kontuzji Małgosi. A jeśli córka jej o tym nie poinformowała, to Bianka tym bardziej nie zamierzała grać roli posłańca. Na szczęście Marta nieoczekiwanie zmieniła temat.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziała.

Bianka uniosła oczy ze zdziwieniem. Sytuacja była nietypowa, bo Marta niezwykle rzadko ją o coś prosiła.

– Mogłabyś zostać przez kilka chwil sama? Chciałam dokądś wyjść. – Gospodyni od razu przeszła do sedna.

– Oczywiście – odpowiedziała żywo Bianka, a później się podniosła.

– To dobrze – stwierdziła Marta i ruszyła w kierunku holu.

Bianka czekała na słowa wyjaśnienia, które jednak nie padły.

– Nie wchodź do Klary. Prosiła, żeby jej nie przeszkadzać – rzekła tylko ściszone głosem. Zabrzmiało to jak pouczenie.

Bianka lekko skinęła głową, ale tego Marta już nie zobaczyła, bo po chwili z trzaskiem zamknęła drzwi.



„Ciekawe, dokąd poszła...” Bianka postanowiła trochę pomóc Marcie w robieniu przetworów. Wyjęła i umyła warzywa. Pomidory przełożyła do dwóch szerokich glinianych półmisek, a umyte ogórki obsychały na blacie przykrytym szafranowym obrusem. „Miała taki podekscytowany, ale jednocześnie nieobecny wzrok”, rozmyślała, wyjmując z cienkiego lnianego woreczka długie łodygi ususzonego kopru, które się ze sobą szepiły. Na większości połyskiwały drobne łuski żółtozielonych nasion.

„Nic tu po mnie”, stwierdziła, gdy upewniła się, że zrobiła już wszystko, co mogła. Na większą pomoc Marta na pewno by się nie zgodziła.

Gdy wyszła z kuchni, na końcu ciemnego holu zauważyła Vincenta. Stał nieruchomo i jej się przyglądał. Poczuli się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że być może jest obserwowana już od dłuższego czasu. Niekiedy odnosiła wrażenie, że mężczyzna potrafi się dematerializować. Nawet gdy go nie widziała, czuła jego chłodną obecność. Kiedy się zorientował, że Bianka na niego patrzy, szybko zniknął w swoim pokoju.

Marta zjawiła się równo dwie godziny po tym, jak wyszła. Wkroczyła do holu z nieprzytomnym wzrokiem, trącąc stojący w rogu wysoki gliniany dzban z kompozycją suszonych roślin. Gdy Bianka ją usłyszała, natychmiast wyszła jej naprzeciw.

– Wróciła pani – powiedziała, uporczywie wpatrując się w Martę, jakby domagała się szczegółowej relacji. Nie umiała ukryć, że zżera ją ciekawość.

Marta spojrzała na nią smutno i westchnęła. W ręku trzymała pustą siatkę, która smętnie zwisała przy jej szerokiej kwiecistej spódnicy.

– Wszystko w porządku? Klara nie wychodziła? – spytała zmatowiałym głosem, jakby dla zasady. Wiedziała, że Klara raczej nie wyjdzie dzisiaj z pokoju.

– Cicho jak w grobowcu – rzekła Bianka z kamiennym wyrazem twarzy.

Marta uśmiechnęła się niewyraźnie. Jej policzki na moment się ściągnęły. Założywszy wełniane pantofle, ruszyła do kuchni.

– O, przygotowałaś warzywa. – Marta rozejrzała się -dookoła, a potem spojrzała na Biankę bez wyrazu. Sprawiała wrażenie, jakby było jej wszystko jedno.

– Chętnie jeszcze pomogę – zaproponowała niepewnie dziewczyna.

– Nie trzeba – zaprotestowała Marta.

Bianka uznała, że na dzisiaj jej rola w kuchni dobiegła końca. Popatrzyła na okazały kryształowy żyrandol nad stołem w jadalni. Właściwie jej rola w powieści *Przyjazd do Kazimierza* też się skończyła. Wszystko wskazywało na to, że dzisiejszego ranka została postawiona kropka na końcu ostatniego rozdziału. Tylko że jakaś część Bianki ciągle czekała na epilog.

– Gdyby mnie pani jednak potrzebowała, to...

Nim zdążyła skończyć, Marta z kwaśną miną i założonymi rękami rzekła:

– Nie będę cię już dzisiaj potrzebowała. – Zasłoniła plecami blat, jakby broniła swojego terytorium. – Możesz wyjść na spacer – dodała nieco przyjemniejszym tonem.

„Dzień jak co dzień”, pomyślała Bianka, siedząc na murku przy bulwarze wiślanym. Już od godziny wpatrywała się w sznureczek przechodniów ciągnący się po deptaku. Spojrzała na zegarek – dochodziła siedemnasta. Lekko świeciło słońce, ale raczej nic nie wskazywało na to, że w tym dniu pokaże się w pełnej -odsłonie i rozweseli

nadbrzeżną promenadę. Zalegających na niebie chmur było zbyt dużo.

W kieszeni ulubionej letniej spódnicy poczuła niewielki okrągły przedmiot, jakby upominał się o uwagę. Podciągnęła się na murku, a potem włożyła rękę do kieszeni i chwyciła drobiazg. Wydawało jej się, że perła się poruszyła. Szybko jednak zgaśniła się w duchu za te nielogiczne myśli. Teraz jak jeszcze nigdy wcześniej potrzebowała twardego gruntu pod nogami.

– Zgadnij, kto to! – Za plecami usłyszała znajomy głos, a na oczach poczuła szorstkie, lekko spocone dłonie.

Mimowolnie wyjęła rękę z kieszeni i położyła ją na murku.

– Jest taka jedna osoba, która przychodzi mi na myśl – rzekła powoli. – Pan Rysio – dodała radośnie.

Mężczyzna, zachęcony jej entuzjazmem, przycupnął obok niej.

– Skąd wiedziałas? – spytał naiwnie.

Nie była pewna, czy mówi serio, czy żartuje. Znali się już od jakiegoś czasu, ale bywały momenty, że nie potrafiła go rozgryźć. Czasami zachowywał się jak dzieciak, a innym razem na jego przeszło pięćdziesięcioletniej twarzy pojawiał się wyraz zadumy – przypominał wtedy swoją babcię Serafinę.

Uśmiechnęła się, pozostawiając jego pytanie bez odpowiedzi.

– Idziesz do mojej babki? – Rysio wiercił się na murku.

Bianka zastanawiała się, w jaki sposób udało mu się tak szybko przejrzeć jej zamiary. Skinęła głową.

– Długo już tu siedzisz? – Spojrzał najpierw na rzekę, a potem na Biankę.

– Długo – potwierdziła. – Jak tam na Fiołkowym Wzgórzu? Byłam dzisiaj na plantacji, ale niestety nie udało nam się spotkać.

– Wiem, żeś była, pani Małgośka mi mówiła. Właściwie, to powinienem się cieszyć, wszystko gra, tylko...

– Tylko?

– Czuję się trochę tak, jakbym był kimś niewygodnym.

– Dlaczego?

– Pani Małgośka to mnie lubi. – Wypiął pierś, a jego oczy rozbłyły. – Ale ten jej pozał się Boże mężulek mnie nie znosi. Ostatnio łązi za mną wte i wewte. Gapi mi się na rękę, jakby chciał mnie na czymś przyłapać. Czasem czuję się jak jaki parobek. Nigdy bym nie pomyślał, że ktoś może mnie pilnować bardziej niż moja babka. – Uśmiechnął się kwaśno.

– Małgosia o tym wie?

– Ech. – Rysio machnął ręką. – Co jej będę gadał? Mało ma swoich problemów?

– No tak, ostatnio rzeczywiście zebrały się nad nią ciemne chmury. Ale mimo to myślę, że powinien jej pan o wszystkim powiedzieć. Na pewno zrobi z tym porządek, to znaczy ze swoim mężem. – Bianka uniosła wzrok i zrobiła komiczną minę, co rozbawiło Ryśka.

– No nie wiem. – Bębnił palcami po spłowiałych dżinsach.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Gosia od dawna pracuje na plantacji. Wcześniej pracowali tam jej ojciec i dziadek. Kto może panu pomóc, jeśli nie ona?

Według mnie Paweł znalazł się tam tylko przez przypadek. Dostał kartę wstępu na Fiołkowe Wzgórze, podpisując akt małżeństwa z Małgosią w urzędzie stanu cywilnego.

– No, no, nieźle żeś to sobie wymyśliła. – Ryskowi spodobała się argumentacja Bianki. – Pogadam z nią – rzekł w końcu pewnym głosem. – To jak, idziesz ze mną do babki?

– Tak – potwierdziła prędko.

Rysio się poderwał, jakby wstąpiły w niego nowe siły, a potem zagwizdał radośnie, wpatrując się w niebo, na którym akurat krążyły trzy jaskółki.

Ruszyli bulwarem, a po pewnym czasie wyszli na dziki brzeg Wisły. Rysio był tego dnia pełen werwy i ani razu nie wyjął z kieszeni bawełnianej chusteczki, żeby wytrzeć pot z czoła. Cały czas pogwizdywał. Dość szybko wspięli się na rozległy pagórek, gdzie od ponad stu lat stał rodzinny dom Serafiny.

Staruszka krzątała się przed progiem, poruszając w rytm wiatru wierzbową miotłą, jakby chciała wygnać z chałupy lichy. Jej lekkie ruchy przywodziły na myśl ptaka wzbijającego się do lotu. Szeroka spódnica rozkładała się, to znów zwijała w gęstych fałdach niczym wprawiona w ruch harmonia.

– Utrapięncu jeden, znów żeś studni nie przykrył. – Zmarszczyła rzadkie brwi, które teraz stały się prawie niewidoczne, i ze srogą miną popatrzyła na Rysia. Dopiero po chwili przeniosła wzrok na Biankę.

– Dzień dobry, pani Serafino. – Bianka wyciągnęła rękę do staruszki i uśmiechnęła się, aby nieco rozładować atmosferę.

Serafina złapała ją za kciuk, po czym chwyciła brzeg spódnicy i zaczęła wyciągać z włókien tkaniny drobne rzepy, prawdopodobnie pozostałości po wizycie na łące.

Rysio spojrział na studnię.

– Nic się nie stało. – Machnął ręką.

– Nie mów głupot. Dobrze wiesz, że lichy łązi po zagonach i plony szabruje. Zanim się obejrzyysz, do chałupy nam wlezie, a wodę w studni do dna wychłępta.

– Niechże babka da już spokój z tym lichem. Co Bianka sobie o babce pomyśli?

Bianka tylko się uśmiechnęła. Nie wypadało jej się odezwać, ale była po stronie Ryśka. Licho lichem, lecz Serafina ze swoim zgryźliwym nastawieniem, osowatym słowem i cierpką miną sprawiała wrażenie, jak gdyby sama zapraszała je w progi własnej chaty.

Staruszka jakby usłyszała krytyczne myśli Bianki, bo nagle zupełnie zmieniła ton. Jej czoło się wygładziło, a w bladoniebieskich oczach pojawił się pewien rodzaj blasku, dzięki któremu wyglądała na pełną radości.

– Chodź, łobuzie, do domu, bo polewka się wyziębi. – Serafina uśmiechnęła się szeroko, ukazując swój ząb w pełnej krasie.

– Co też babka dziś ugotowała?

– Kiszeniaki na wywarze z kokoszy, co został z dnia Pańskiego. Calutki gar na piecu stoi. Może i ptaszyna zje? – rzekła słodkim głosem.

– Bardzo chętnie się poczęstuję – odpowiedziała Bianka, nie chcąc sprawiać staruszce przykrości.

Zupa rzeczywiście była wyborna. W wywarze okraszonym gęstą kwaśną śmietaną

z mleka od krowy sąsiadki pływały kawałeczki ogórków, które Serafina ukisiła w dużej glinianej beczce, pamiętającej jeszcze czasy pierwszej wojny, i nieco większe plasterki ziemniaków. Długie nitki kopru zawijały się na łyżce, ale nie przeszkadzało to nawet w najmniejszym stopniu, a wręcz świadczyło o tym, że danie Serafiny, wykonane według przepisu przekazywanego z dziada pradziada, było jedyne w swoim rodzaju.

– Cieszę się, ptaszyno, żeś posmakowała mojej polewki.

– Była bardzo smaczna. – Bianka przypominała sobie o spoczywającej w kieszeni perle. Tyle chciała się dowiedzieć od Serafiny, ale obawiała się, że w towarzystwie wnuka staruszka nie będzie skora do rozmowy. Perła musiała mieć coś wspólnego z przedmiotami znajdującymi się w skrzynce i nieznaną ze zdjęcia.

– Coś się tak zadumała, ptaszyno? – Głos Serafiny wyrwał Biankę z zamyślenia.

– Zastanawiam się... – zaczęła Bianka powoli, uważnie śledząc zachowanie staruszki.

Rysio właśnie wyszedł do kuchni, więc zostały same w izbie. Bianka zdecydowała się kuć żelazo, póki gorące.

– Ciągłe myślę o tej kobiecie, pani przyjaciółce.

– A cóż takiego? – Serafina uniosła rękę, by przegonić muchę, która krążyła nad garnkiem z polewką jak miniaturowy śmigłowiec.

Bianka zastanawiała się, czy powiedzieć Serafinie o drugiej identycznej fotografii, która nagle zniknęła. Doszła jednak do wniosku, że to nie wniesie do sprawy niczego nowego.

– Wspomniała pani kiedyś, że chce mi pokazać rzeczy schowane w metalowej skrzynce. – Bianka czuła, że ogarnia ją coraz większe zdenerwowanie.

Staruszka popatrzyła na nią podejrzliwie, ale już po chwili jej wzrok złagodniał.

– Powiadałam, a jakże. – Jej wyblakłe oczy się roziskrzyły.

– Przyniosłam perlę – powiedziała Bianka.

Serafina przyłożyła palec do ust.

– Cii... – szepnęła przeszywającym głosem. – Rysiek nie może nic posłyszeć. – Odwróciła się przez ramię i zerknęła na drzwi. Kiedy się upewniła, że wnuk jest jeszcze w kuchni, rzekła ostrożnie: – Perła jest ważna. To do niej należała... do Wandy. Zanim Wanda wyjechała z Kazimierza, zgubiła ją. Po jakimś czasie znalazłam ją przez przypadek, ale Wandzi już nie było.

W umyśle Bianki zaczęły się pojawiać fragmenty ich wcześniejszej rozmowy. Rzeczywiście Serafina wspomniała o przyjaciółce, z którą w młodości połączyły ją głęboka więź i ważne sprawy. Dziwnym trafem była to też znajoma babki Bianki – Walentyny. Z powodu tego zbiegu okoliczności Wanda stała się dla Bianki niezwykle ważna, dziewczyna chciała wiedzieć o niej jak najwięcej.

– Kim była Wanda? Jak się poznałyście? Co robiłyście? – zasypała staruszkę lawiną pytań.

Serafina zmarszczyła brwi. Zanim otworzyła usta, znów spojrzała w kierunku drzwi. Chłupot wody i szcęk obijających się o siebie sztućców wskazywały na to, że Rysia nadal zajmują czynności kuchenne.

– Wanda pomieszkiwała w chałupie Anatola. Wtedy młokos ledwie do stołu sięgał.

Jego matula Halina przygarnęła Wandę i doglądała jak córuchnę, której nigdy nie miała. Czterech chłopów się doczekała, a każdy w inną stronę powędrował. Jeden do Ameryki uciekł, dwóch wojna zabrała, a w Mięćmierzu tylko Anatol się ostał. – Serafina wstała i podeszła do komody. Schyliła się, wyginając w łuk plecy schowane pod trykotową bluzką, i wysunęła dolną szufladę. Po chwili się podniosła, całkiem zgrabnie jak na swój wiek, i ruszyła z powrotem do stołu, ściskając między kościstymi palcami dobrze już znaną Biance saszetkę ze zdjęciami.

Staruszka wydawała się podekscytowana, o czym świadczyły zręczne ruchy dłoni i pospieszne szuranie chodaków po drewnianej podłodze. Gdy usiadła, nawet nie spojrzała na Biankę, tylko szybko rozsunęła zamek torebki i wyjęła niczym trofeum zdjęcie Wandy. Położyła je na stole i kciukiem przesunęła w stronę Bianki.

– Zobacz. – Wskazała na śliczną twarz kobiety.

Bianka pochyliła się nad zdjęciem, starając się zauważyć coś, czego być może nie dostrzegła wcześniej, ale bezskutecznie. Zerknęła na Serafinę, jakby czekała na jakieś wskazówki. Staruszka tylko zatoczyła palcem na fotografii niewielkie kółeczko i zatrzymała się na odkrytym dekolcie Wandy. Bianka znów zapatrzyła się w szarą głębię zdjęcia. I nagle ją olśniło – na jędrnych piersiach Wandy opierała się niewielka ozdoba zwisająca na cieniutkim łańcuszku. Czarna kuleczka była niewyraźna, wyglądała jak duża łąza zabarwiona rozpaczą, zastygła w otchłani czasu.

– To jest... – Bianka uniosła wzrok znad fotografii i spojrzała na Serafinę.

Staruszka przytaknęła i obdarzyła Biankę swoim prawie bezzębnym uśmiechem. Bianka wyjęła perłę z kieszeni i położyła ją na zdjęciu, przyklejając do dekoltu Wandy. Oczy jej błyszczały. Czują, że uczestniczy w czymś ważnym.

– Skryj to! – zrugła ją Serafina.

Mimo surowego głosu staruszki Bianka nie zareagowała. Hipnotycznie wpatrywała się w fotografię, przyciskając do niej perłę. Wtem usłyszały zbliżające się kroki. Bianka oprzytomniała i wepchnęła czarną kulkę do kieszeni. Zanim Rysio zdążył przekroczyć próg izby, staruszka jeszcze pogroziła Biance palcem.

– A wy co tak cicho siedzicie jak myszy pod miotłą? – Łypnął na nie podejrzliwie.

– Nie gadaj głupot, miglancu, tylko gar na piec odnieś, bo muszyska mają używanie. – Serafina natychmiast odzyskała wigor.

Rysio podszedł do stołu i chwycił naczynie.

– Pomogę. – Bianka podniosła się i wzięła swój talerz.

Serafina przytrzymała jej rękę.

– Siadaj, ptaszyno. Tyś gość w naszej chałupie. Nie będziemy się tobą wysługiwać.

– Na jej twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia. – Wody nanieś, zanim nas noc zastanie – zwróciła się do wnuka.

– Niech babka tak nie marudzi. Dobrze wiem, co mam zrobić.

– Pójdę już – oznajmiła Bianka.

– Odprowadzę cię – zaproponował jak zawsze Rysio.

– Nie, nie trzeba. – Chciała być teraz sama. Musiała poukładać sobie w głowie to, co usłyszała od Serafiny.

Poznała część historii i wiedziała, że nie ma odwrotu. A na dodatek pojawiła się

nowa osoba, która mogła rzucić światło na sprawę. Bo skoro Wanda przez jakiś czas mieszkała w domu Anatola, istniało duże prawdopodobieństwo, że staruszek wie coś na jej temat.

Bianka zamierzała jak najszybciej go odwiedzić. Najchętniej zrobiłaby to natychmiast, ale kiedy ujrzała nad sobą stalowe chmury, zrezygnowała. Spojrzała tylko w kierunku Mięćmierza, na czubek wiatraka, a potem zbiegła ze stoku.

Gdy doszła do rozwidlenia drózek, z których jedna biegła do gaju z trzema dorodnymi grabami, miejsca pochówku tajemniczej skrzynki, zatrzymała się. Nie miała ochoty zbaczać z drogi, zresztą już dość dokładnie obejrzała tamto miejsce. Leśne zacisze nie wyróżniało się niczym szczególnym. Ot spokojna, bezpieczna enklawa, jakich w okolicy starego Kazimierza było co niemiara. Mimo to Bianka stała dość długo, wpatrując się w ścieżkę.

Przywołała w pamięci historię, którą opowiedziała jej Serafina – o tunelu łączącym okoliczne zamki. Powiedziała, że spotykali się w tym miejscu. Kto się spotykał? Czy wśród osób wchodzących do lochów była również tajemnicza Wanda? Odkąd zobaczyła znajomą fotografię wśród zdjęć Serafiny, nie mogła przestać myśleć o tej kobiecie.

Ruszyła w dół, kierując wzrok w stronę Wisły, której bystry nurt zabrał kawałek brzegu i niósł w dal fragmenty patyków i połamanych roślin. Gdy doszła do domu Klary, jej głowa wciąż była pełna pustych myśli. Zbijały się w samym jej środku jak wata cukrowa. Na dworze zapadł już całkowity zmrok. Niebo, ukryte za kłębami chmur, wydawało się jeszcze ciemniejsze niż -zazwyczaj, na próżno było szukać na nim chociaż jednej gwiazdy.

W domu przywitał ją słodkawy zapach róż, tak bardzo różny od naturalnej woni tych kwiatów. Szybko pomknęła do swojego pokoju, nawet nie zapaliła światła. Starła się bezgłośnie pokonać schody, ale się potknęła. Mosiężna balustrada, której chwyciła się niczym ostatniej deski ratunku, zatrzeszczała złowrogo, jakby chciała jej przypomnieć o obowiązującej ciszy nocnej.

W pokoju panował zaduch. Nawet gdy otworzyła okno, powietrze nie miało zamiaru wślizgnąć się do środka. Przewracając się z boku na bok, Bianka nasłuchiwała, usilnie starając się wyłuskać choć jeden znajomy odgłos. Wpatrywała się w ciemne kontury mebli stojących przy ścianie dzielącej ją od Samuela, a właściwie od wspomnienia o nim. Sama nie wiedziała, kiedy w jej głowie narodził się ten szatański pomysł.

Wyszła z łóżka i ruszyła do drzwi. Cicho nacisnęła klamkę, jakby chciała ukryć niecny uczynek. Stanęła w ciemnym holu jak zjawą, która wraz z wybiciem godziny zero wypłynęła statkiem widmo w całonocny rejs. Licząc kroki, zbliżała się do pokoju Sama. „Jeden, dwa, trzy... – powtarzała w myślach. Kiedy od drzwi dzieliły ją już tylko centymetry, na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. – Ale sobie wybrałam porę”. Głośno wypuściła powietrze. Przyłożyła ucho do drzwi, zastanawiając się, czy powinna zapukać, a potem wbrew zdrowemu rozsądkowi nacisnęła klamkę i wślizgnęła się do królestwa Sama.

Spojrzała na łóżko – na szczęście było puste. Później rozejrzała się po całym pokoju. Kiedy miała już pewność, że Samuela w nim nie ma, zamknęła drzwi. Włączyła

światło i cicho ruszyła w stronę łóżka. W opuszkach palców czuła mocne mrowienie. Na nakryciu leżała książka. Tyle razy zastanawiała się, co to za tytuł i dlaczego Sam tak często trzyma ją na kolanach. Ozdobne, złote literki wytłoczone na skórzanej obwolucie zamigotały: Bolesław Leśmian, *Wiersze wybrane*. Uśmiechnęła się, zadowolona z tego odkrycia. Też lubiła poezję Leśmiana. Żałowała, że wcześniej nie udało jej się porozmawiać o tym z Samem. Poglądziła palcami okładkę w kolorze ciemnego burgunda i spojrzała na łóżko. Równo ułożona pościel świadczyła o tym, że właściciel pokoju prawdopodobnie nie zamierza szybko wrócić. Otworzyła książkę i przewertowała. Wersy znajomych wierszy sprawiły, że zrobiło jej się ciepłej na sercu. Przez chwilę zapomniała nawet o tym, że jest tu intruzem.

Kolejna strona i kolejny wiersz. Palce Bianki ślizgały się po gładkim papierze. Wtem spomiędzy gęsto zbitych kartek wychyliła się jedna o nieco innym kolorze. Odruchowo pociągnęła ją do góry. Kartka wysunęła się lekko jak wstążka z ozdobnego bukietu. Gdy tylko oczom Bianki ukazały się zgrabnie wykaligrafowane literki, gdzieniegdzie przekreślone, już wiedziała, że nie powinna tego czytać. Jednak pokusa okazała się silniejsza niż zasady wpojone przez rodziców.

„Kochana Blanche”, przeczytała i poczuła gorąco na policzkach. Nie mogła tak po prostu odłożyć tej kartki, bo dla niej najpiękniejszą lirykę stanowiły właśnie te słowa. Nie było ich wiele, a kilka wyrazów przekreślono, więc tekst sprawiał wrażenie nieskładnego. „Kochana Blanche, tak bardzo ubolewam, że... Gdybym poznał Cię wcześniej, to... Jesteś taka niepowtarzalna... Łączy nas nie tylko muzyka. Chciałbym Ci o czymś powiedzieć, ale boję się, że nie zrozumiesz. Tajemnice budują mur między nami. Wiem, że Ty też je masz... Lepiej będzie, gdy...” – na tych słowach tekst się kończył.

„O jakich tajemnicach pisze Sam?”, rozmyślała gorączkowo. Przeczytała rękopis jeszcze parę razy. Łudziła się, że coś ją natchnie, że może między słowami Sam zostawił cenną wskazówkę. „Lepiej będzie, gdy odejdę”, przeczytała ostatnie zdanie, dokładając do niego nowe słowo. „Odejdę”, powtórzyła w myślach.

– Dokąd odszedłeś i dlaczego? – szepnęła, a potem odłożyła kartkę do książki i zatrasnęła między jej stronicami.

Wstała i zlustrowała łóżko. Żeby zatrzeć ślady, poprawiła miejsce, gdzie siedziała. Nagle zapragnęła stamtąd uciec, aż zakręciło jej się w głowie. Wyłączyła światło i wybiegła z pomieszczenia. Kiedy dopadła do drzwi swojego pokoju i zniknęła po drugiej stronie, poczuła się jak Alicja po powrocie z Krainy Czarów. Tak, ten dom niewątpliwie był przeklęty. Mroczna przeszłość utknęła między starymi deskami, po których chodzili kiedyś inni ludzie. A ona zamierzała ją odczarować. Jeśli oczywiście wcześniej nie wyjedzie do Poznania.

W szybcie drzwiczek dębowego kredensu zamigotały drżące cienie liści osiki rosnącej naprzeciw okna. Tańczyły na wietrze i próbowały zajrzeć do środka, gdzie Marta krzątała się od wczesnych godzin. Właściwie nic nie wskazywało na to, że w tym dniu będzie miała więcej obowiązków. Wręcz niepokoiła ją cisza między szarymi ścianami wciąż uśpionego domu. Migrena Klary nie ustępowała i Marta zaczęła dopuszczać do siebie myśl, że Klara nie udaje, tylko rzeczywiście zmaga się z chorobą, która podobno dotykała wszystkie kobiety w tej rodzinie. Liza nigdy nie uskarżała się na bóle głowy.

Liza w ogóle nigdy na nic się nie skarżyła. Była jak młoda sarenka, zawsze pełna werwy i niesamowitych pomysłów.

Ostatnio Marta często o niej myślała. Zastanawiała się, jak wyglądałoby teraz życie jej przyjaciółki, gdyby tamtego pochmurnego dnia, owianego mgłą i ociekającego deszczem, Liza nie poszła nad rzekę. Właściwie dlaczego chciała się spotkać z Martą w tamtym miejscu? To, że Marta nie dotarła tam wtedy na czas, dręczyło jej sumienie do dzisiaj. Uczucie rozdierającego wewnętrznego bólu potęgowało się w takie dni jak wczoraj. Minęła kolejna rocznica śmierci Luizy. To dziwne, ale bywały chwile, kiedy Marta odnosiła wrażenie, że uśmiechnęta Liza zaraz stanie w drzwiach domku na Fiołkowym Wzgórzu i będzie chciała jak najszybciej przedstawić przyjaciółce swój nowy plan.

Luiza była kopalnią różnorodnych pomysłów. Jej entuzjazm wciąż zadziwiał Martę. Lizę cieszyło po prostu to, że żyła. Kiedy siedziały w cieniu sekretnego drzewa, roztaczała przed Martą wizję swojego przyszłego życia. Później dziewczynki biegały po łąkach i uciekały przed Klarą do pobliskiego lasu. Zawsze umiały przechytryć starszą siostrę Lizy. Wracały potem ze swoich wojaży z ustami fioletowymi od świeżych borówek i w sukienkach naznaczonych różowymi kropkami namalowanymi przez sok z dzikich malin.

Klara zazdrościła im tej przyjaźni, co okazywała na wiele różnych sposobów. Przeważnie udawała wyniosłość. Była przecież damą i nie mogła zachowywać się tak jak swawolna siostra i jej pozał się Boże koleżanka, której ojciec był tylko ogrodnikiem na ich plantacji. Nie rozumiała, jak Liza może się zadawać z taką zwyczajną dziewczyną.

Przyjaźń Marty i Luizy nie zachwiała się nawet wówczas, gdy dwudziestoltnia Liza oznajmiła przyjaciółce, że zakochała się bez pamięci w przystojnym Raulu, Polaku o francuskich korzeniach. Mimo że Raul był od Luizy starszy o osiem lat, różnica była niezauważalna. Raul kochał Luizę, a ona nie widziała świata poza narzeczoną. Kiedy rok później tych dwoje brało ślub w pięknym kościele reformatów w Kazimierzu – na cmentarzu obok tego kościoła stał teraz pomnik upamiętniający śmierć Lizy – Marta sądziła, że dożyją w szczęściu i spełnieniu sędziwego wieku, otoczeni gromadką dzieci.

Liza marzyła o synu i to marzenie udało jej się spełnić już rok po ślubie. Kiedy Olaf pojawił się na świecie, Luiza i Raul oszaleli ze szczęścia. Na jego punkcie zwariowała też Marta, która dostąpiła zaszczytu trzymania miesięcznego synka Raula i Luizy do chrztu. Oli był spokojny i śliczny, nie można go było nie kochać. Gdy trochę podrośł, Marta i Liza zabierały go do swojego sekretnego miejsca, w cień rozłożystej wierzby. Liza często miała wtedy podkrążone z niewyspania oczy, ale była wyraźnie szczęśliwa.

Wszyscy cieszyli się ze szczęścia Raula i Lizy. Wszyscy z wyjątkiem jej siostry. Zaraz po ślubie i hucznym weselu Klara zniknęła. Podobno wyjechała do Francji, gdzie żyli krewni Raula, którzy w Prowansji mieli własną winnicę. Ponoć był to wyjazd edukacyjny, ale Marta wiedziała, jak było naprawdę. Klara nie mogła znieść szczęścia siostry. Zaciskała usta, a jej twarz przybierała barwę kartki za każdym razem, kiedy Raul przytulał Lizę. Klara była szaleńczo zakochana w narzeczoną, a później mężu swojej siostry. W końcu dopięła swego – Raul został jej mężem.

Marta usiadła na taborecie przy blacie kuchennym. Przysunęła do siebie kawę, posłodziła ją i zamieszała. Nie minęła jeszcze ósma rano, a piła już drugą. „Co się ze mną



dzieje? – pomyślała, zsuwając z nóg kaptcie. – Najwyższy czas solidnie stanąć na nogach i przestać bujać w obłokach. Droga Marto, niech przeszłość pozostanie przeszłością, teraz jesteś potrzebna tutaj”. Zaraz potem wstała, nawet nie dopiwszy kawy, i z niepokojem popatrzyła na duży kremowy zegar wiszący na ścianie.

– Dlaczego Bianka jeszcze nie zeszła? – zapytała samą siebie.

Niezwłocznie poczłapała do pokoju dziewczyny.

Bianka naciągnęła kołdrę na twarz, licząc na to, że miękka tkanina zagłuszy odgłos dochodzący od strony korytarza. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to pukanie do drzwi. Zsunęła nogi, usiadła na skraju łóżka i starała się przypomnieć sobie ostatnią noc. Obok łóżka stała pusta butelka po winie, które przywiozła z Fiołkowego Wzgórza. W nocy, gdy wróciła z pokoju Sama, naszła ją nieodparta chęć, by zanurzyć usta w rubinowym płynie, który tak zachwalała Małgosia. Przechyliła flaszkę i upiła łyk, a ponieważ trunek, tak jak zapewniała Gosia, smakował niepowtarzalnie, częstowała się nim bez umiaru.

Drzwi nagle się otworzyły i stanęła w nich Marta.

– Nie schodzisz dzisiaj na śniadanie? Źle się czujesz? – Uwadze Marty nie umknęły blada twarz i trochę nieobecny wzrok dziewczyny.

– Właściwie... – Bianka wstała, ale poczuła się niepewnie, więc znów usiadła. Uśmiechnęła się do Marty, chcąc zatuszować niezbyt dobre wrażenie.

Wtedy gospodyni zauważyła na podłodze pustą butelkę i wszystko stało się dla niej jasne.

– To od Gosi? – Poznała etykietę.

Bianka pokiwała głową z miną niewiniątka.

– A uprzedziła cię chociaż, że jest mocne? – Spojrzała na Biankę z politowaniem.

– Chodź na dół, zrobię ci herbatę, a potem wyjdziemy na świeże powietrze – zaproponowała. Już miała wyjść, ale jeszcze zapytała: – Nie znalazłaś kieliszków? Są w kredensie na najwyższej półce. – Tym razem patrzyła na Biankę z rozbawieniem, mrużąc oczy.

– Wiem, gdzie są kieliszki. – Bianka się zarumieniła. – Ale nie chciałam schodzić na dół i hałasować – usprawiedliwiła się.

– Czekam na dole. Zejdź, kiedy się ogarniesz. – Marta nie chciała jej już dłużej gnębić, więc posłała dziewczynie szeroki uśmiech i wyszła.

Rozmowa z Martą była dla Bianki mocnym bodźcem, żeby stanąć na nogi i zmierzyć się z nowym dniem. Wino zadziało dokładnie tak, jak się tego spodziewała – uspiło jej myśli i przytępiło zmysły. Teraz jednak żałowała tej nagłej chwili zapomnienia, tym bardziej że wszystkie wątpliwości wróciły. Na szczęście szybki chłodny prysznic zdziałał cuda, poczuła się o niebo lepiej.

Marta czekała w ogrodzie, wystawiała twarz do słońca.

– Zjesz śniadanie? – Uniosła dzbanek i nalała do filiżanki herbatę w bursztynowym kolorze.

– Nie, na razie nie. – Bianka uśmiechnęła się z zakłopotaniem, sięgając po filiżankę. Upiła łyk, a ciepły płyn o słodkim smaku lukrecji rozlał się w jej ustach, przynosząc ulgę.

– Boli cię głowa? – Marta przyglądała jej się troskliwie.

Zaprzeczyła.

– Bianco, nie chciałabym ci prawić kazań, ale... – Zamilkła, zastanawiając się, czy rzeczywiście powinna dokończyć. – Alkohol nie wymaże twoich problemów – rzekła w końcu tonem surowej guwernantki.

– Nie mam problemów – odpowiedziała pospiesznie Bianka.

Marta pożałowała swojego wścibstwa – Bianka była przecież dorosłą kobietą i mogła sama o sobie decydować. Gospodyni domyślała się, że gdyby nie nagłe zniknięcie Samuela, dziewczyna na pewno nie sięgnęłaby po alkohol. Nie wiedziała natomiast nic o liście, którego treść Bianka analizowała niemal do świtu.

Jakie tajemnice miał na myśli Sam? Czy podejrzewał, po co przyjechała do Kazimierza? Bardziej jednak intrygował ją jego sekret. Czy chciał przekazać jej ten list? Chyba nie, skoro schował go do książki. Kiedy ją trzymała, niemal czuła napięcie Sama kreślącego piórem kolejne litery. Wiedziała, że się denerwował, że trawiła go niemoc, że chciał jej powiedzieć o czymś, co być może było dla niego ciężarem od dłuższego czasu.

– Jak się czuje pani Klara? – Bianka przełamała uporczywe milczenie.

Dobrze, że było chociaż słycać odgłosy lata: śpiew ptaków, cykanie świerszczy, turkot kosiarki i szelest trawy czesanej przez wiatr.

– Bez zmian. Prosiła, żeby jej nie przeszkadzać. Sprawia wrażenie cierpiącej – powiedziała Marta z przejętą miną.

– Czy Klara wie, że Sam wyjechał? – Bianka starała się nie dać po sobie poznać zdenerwowania, ale kiedy wymówiła imię Sama, jej głos zadrżał.

– Tak, poinformowałam ją o tym.

– I co?

– I nic – odrzekła Marta, zbierając ze stołu rozsypane kryształki cukru trzcinowego.

– Naprawdę ani trochę jej to nie obeszło? – Bianka wiedziała, że Klarę i jej młodszego syna łączy trudna relacja, ale nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia takiego zachowania.

– Na to wygląda. – Na twarzy Marty pojawił się cierpki uśmiech, jakby właśnie wzięła do ust plasterki cytryny.

– Myśli pani, że powinnam powiedzieć Klarze?

– O czym?

– Że chcę odejść, że się poddam, że to nie ma sensu. Przecież pani wie.

– Ani mi się waź! – zrugła ją Marta. – Do końca sierpnia zostało jeszcze trochę czasu, sytuacja może się zmienić.

– Nie byłabym w tej kwestii taką optymistką. Nie wykorzystałam okazji, choć teraz wydaje mi się, że miałam ich wiele. Dlaczego stracone szanse zawsze ukazują się wyraźniej niż możliwości? – Bianka głośno wypuściła powietrze i popatrzyła na Martę tak, jakby domagała się odpowiedzi.

– Patrz do przodu! – Marta uniosła palec wskazujący. – I nigdy nie oglądaj się za siebie!

– Chyba ma pani rację. Zresztą mam wrażenie, że Sam robił wszystko, żebyśmy się do siebie za blisko nie zbliżyli.

– Może miał powody? – Marta spojrzała na nią znacząco.

– Myśli pani, że mógł się domyślać...

– Nie, nie sędzę.

– Wydaje mi się, że coś przede mną ukrywał – rzekła Bianka tajemniczo, mając na myśli niedokończony list.

– Wcale bym się nie zdziwiła. W tej rodzinie wszyscy coś ukrywają. – Odwróciła głowę w stronę okien sypialni Klary. „Ona ukrywa najwięcej”, pomyślała, ale nie wypowiedziała tego na głos.

Klara od dziecka miała tajemnice, zupełnie inne od tych, które w dziecięcej wyobraźni stworzyły Marta i Liza. Sekrety Klary wydawały się mroczne, choć nigdy nie udało im się odkryć, czym zajmuje się siostra Luizy, gdy znika na długie godziny.

– Pyszna herbata. – Bianka już po raz drugi przerwała przeciągającą się ciszę.

– Cieszę się, że ci smakuje. Może teraz zjesz śniadanie? – zaproponowała Marta.

– Za chwilę – odpowiedziała Bianka z uśmiechem i dołała sobie herbaty. – Może jednak powinnam porozmawiać z Klarą? Wszystko stanęło w miejscu, myślę, że powinniśmy wyjaśnić sobie kilka spraw. Nie chcę być intruzem, a skoro Sam wyjechał...

– Sam wyjechał, ale w każdej chwili może wrócić.

– Naprawdę pani tak myśli?

– Poczekamy, zobaczymy – powiedziała Marta dyplomatycznie, nie chcąc wzbudzać u Bianki niepotrzebnej nadziei. – Zresztą nie sędzę, żeby Klara chciała z tobą teraz rozmawiać. Obawiam się, że nie miałyby ochoty nawet na ciebie patrzeć. – Uśmiechnęła się cierpko.

– Co też pani mówi? – Bianka nieco się obruszyła.

– Bianco, mówię, jak się sprawy mają. Klara jest zdruzgotana, bo jej ukochany syn się jej sprzeciwił. Jej życie rozsypało się na drobne kawałki. Na pewno nie chciałyby, żebyś zobaczyła jej porażkę.

– No tak – przytaknęła Bianka.

– Skorzystaj z okazji i wybierz się do miasteczka albo odwiedź swoją znajomą, panią Serafinę. – Wymawiając imię babci Ryśka, Marta uśmiechnęła się w zabawny sposób.

– To nie jest taki zły pomysł. – Bianka podłapała jej żartobliwy ton. – Mam w Mięćmierzu do załatwienia kilka ważnych spraw – stwierdziła tajemniczo.

– Ciekawe jakich...

Bianka nie miała pewności, czy Marta naprawdę chce to wiedzieć. W każdym razie nie zdradziła, o co chodzi.

– Bardzo ważnych, jak już mówiłam.

W Mięćmierzu pachniało skoszoną trawą, a w sadzie Anatola na rozłożystej jabłoni złościły się antonówki. Kiedy Bianka stała przy płocie i zastanawiała się, czy wejść na działkę staruszka, w pobliskim kościele dzwony biły na *Anioł Pański*, a długie łodygi polnych roślin wydawały się temu wtórować, dygając lekko raz w jedną, raz w drugą stronę. Zanim dziewczyna dojrzała do tego, by pchnąć furtkę, przespacerowała się wzdłuż płotu. Wydawało się, że jabłonie, grusze i śliwy są ze sobą w świetnej komitywie. Nie wchodząc sobie w drogę wybujałymi gałęziami, wciąż rodziły dorodne owoce.

Z oddali dojrzała zarys niedużego domku. Jedno okno było otwarte i wywiewała

z niego firanka. Ten widok zachęcił Biankę do podjęcia decyzji. Uniosła drut, uchyliła bramkę i weszła na działkę Anatola. Do domu prowadziła prosta wydeptana ścieżka, wokół której rosła gęsta trawa z kępkami babki lancetowatej. Drzwi były otwarte, a z ościeżnicy spadały rzędy kolorowych pasczek. Bianka rozglądała się na boki, ale nigdzie nie dostrzegła gospodarza. Z głębi dobiegł ją jednak nieokreślony odgłos. Coś chyba spadło na podłogę i poturlało się po niej.

– Psiakrew! – Anatol nie był wściekły, może tylko lekko wytrącony z równowagi, ale zarazem wesoły. – I tak cię dopadnę. – Teraz głos staruszka brzmiał już całkiem radośnie.

Bianka wspięła się po trzech betonowych schodkach, jednak nie ośmieliła się wejść. Zapukała we framugę. Gospodarz zjawił się niemal natychmiast. Gdy zobaczył Biankę, jego twarz się rozpromieniła.

– A jednak mnie panienka odwiedziła – rzekł na powitanie z pewnością w głosie, która świadczyła o tym, że prędzej czy później się jej spodziewał.

– Przechodziłam przez Mięcmierz i pomyślałam sobie... Ostatnio mówił pan, żebym wpadła z wizytą, kiedy będę w okolicy. – Zmieszła się.

– Tak, mówiłem i cieszę się, że cię widzę. – Pomachał zabawnie rękami, a luźne rękawy jego błękitnej koszuli zsunęły się jak harmonijka. – Zapraszam cię pod moją pocziwą staruszkę gruszę. No chyba że wolisz wejść do domu. Uprzedzam jednak, że panuje tam bałagan. Właśnie kiszę kapustę. Poszatkowałem już dziesięć główek, tylko jedna wciąż ode mnie ucieka. – Uśmiechnął się.

– Nie chcę robić kłopotu.

– Nie robisz kłopotu. Właśnie planowałem przerwę na kawę. Już południe, a ja dzisiaj jeszcze nie postawiłem saganka na piecu. – Chodź. – Zszedł ze schodów i podążył w stronę sadu.

Bianka już nie próbowała dyskutować, tylko ruszyła za nim. W cieniu rozłożystej gruszy o żółtych owocach z delikatnym rumieńcem stał nieduży kwadratowy stolik przykryty laminowanym obrusem w biało-czerwoną kratę. Z trzech stron otaczały go niskie drewniane taborety, a jedna krawędź przylegała do gładkiego pnia.

– Rozsiądź się, panienko, a ja pójdę do kuchni zaparzyć kawę.

Bianka wybrała stołek pod parasolową gałęzią i przycupnęła na nim wygodnie.

– Ale ze mnie gamoń. Nawet nie spytałem, czy lubisz kawę. – Staruszek podrapał się po głowie.

– Tak, panie Anatolu, bardzo lubię.

Jej słowa go przekonały, bo ruszył przed siebie, a potem zniknął w głębi domu. Nie minęło dziesięć minut, jak wrócił, niosąc dwa zielone kubki z kawą.

– Niestety nie poczęstuję panienki ciasteczkami, bo ich nie mam. – Strapił się. – Ale mogę przynieść trochę jabłek i gruszek. Zresztą po te drugie może panienka sama sięgnąć. – Uniósł głowę i spojrzał pogodnie na powykręcane gałęzie prześwitujące zza parawanu liści.

– Dziękuję, panie Anatolu. – Przysunęła do siebie cukiernicę stojącą na stoliku i zagłębiła w niej łyżeczkę. Gdy posłodziła kawę, popatrzyła na staruszkę, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę. Bo przecież przyszła tutaj w jasno określonym celu: chciała się

dowiedzieć czegoś więcej o Wandzie.

Oczywiście tego dnia miała zamiar rozmówić się także z Serafiną. Liczyła na to, że zanim do chałupy wróci Rysio, jego babcia będzie mogła otworzyć przed Bianką wieko tajemniczej skrzyneczki. W ten sposób dziewczyna zbliżyłaby się do rozwiązania zagadki dotyczącej Wandy.

– Smakowały Serafci antonówki? – Anatol chlipnął kawę ze swojego kubka.

Bianka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Mężczyzna sprawiał wrażenie niezwykle życzliwego i jej zdaniem nie zasługiwał na niewdzięczność Serafiny. Tylko że on najwyraźniej zdawał sobie sprawę z przywar swojej kумы, którą znał przecież nie od dziś.

– Niech zgadnę: najchętniej odesłałaby cię z nimi z powrotem – stwierdził, uśmiechając się pobłaźliwie.

– Niestety... było tak, jak pan mówi. – Aby ukryć zmieszanie, Bianka sięgnęła po kubek z kawą i upiła łyk. Kawa była dla niej za mocna, ale dziewczyna nie dała tego po sobie poznać.

– Kochana Serafcia – rzekł Anatol tkliwym tonem. – Zawsze wie, czego chce, i taką ją považam. Wybierasz się dzisiaj do niej?

– Mam zamiar.

– W takim razie zapakuję ci dla mojej lubej najpiękniejsze jabłko. Zawsze za nimi przepadała. Może mówić, co tylko zechce. Ja i tak wiem swoje – ciągnął w żartobliwym tonie. – Moja gołąbeczka wymykała mi się przez całe życie, miała mnie za chłystka, ale ja zawsze serce na dłoni dla niej niosę. – Uśmiechał się zabawnie, więc Bianka potraktowała jego słowa jako żart.

On i Serafina? Nie. Jakoś nie mogła ich sobie wyobrazić na ślubnej fotografii. Ale jak mawiają, miłość jest ślepa, zatem niewykluczone, że pod płaszczykiem humoru Anatol ukrywał prawdziwe uczucie do Serafiny.

– Długo się znacie? – Bianka uznała, że to doskonała okazja, by poruszyć interesujący ją temat.

– Z kim? Z Serafinką? – Anatol zmrużył oczy, jakby liczył w myślach lata ich znajomości. – Od dziecka, to znaczy ja byłem jeszcze chłopaczną, a ona z kawalerami się prowadziła. Podglądałem ich zza drzewa. Serafka zawsze była urodziwa. Zresztą po dziś dzień... – Westchnął.

– Wasze rodziny pewnie też się znały, w końcu to mała miejscowość. – Powoli zmierzała do celu.

– A jakżeby inaczej, moja mama często zabierała mnie do ich chałupy. Z dobrej rodziny Serafcia pochodzi, wszyscy pomocni i honorowi. Panny u nich zawsze rodziły się urodziwe, ale Serafinkę to niebo obdarowało po stokroć. Żadna inna takich ocząt nie miała.

Bianka uśmiechnęła się do staruszka, zauważyła bowiem, że w pewnej chwili poczuł się skrępowany swoim wyznaniem.

– Dobrze, że choć ten Rysio jej został. Wody przyniesie, drewna narąbie, o chałupę zadba. Szkoda tylko, że go tak do kielicha ciągnie. Andrusowa ma na to sposób: woda po kiszeniakach. Ale tak poza tym to dobra chłopina. Dobrze go Serafina wychowała, tylko męskiej ręki ciut brakowało.

Bianka przysłuchiwała się opowieści Anatola, który dokładnie wymawiał każde słowo. To, co mówił staruszek, było ciekawe, ale Biankę interesowała zupełnie inna kwestia. Postanowiła sama o nią zapytać.

– Panie Anatolu... – zaczęła nieśmiało, ale natrafiwszy na jego pełne zrozumienia spojrzenie, od razu przeszła do sedna. – Dowiedziałam się, że w czasach, kiedy był pan jeszcze małym chłopcem, pana mama wynajmowała w waszym domu pokój pewnej dziewczynie. – Zamilkła, żeby zbadać reakcję Anatola.

Staruszek przyglądał jej się w oczekiwaniu.

– Ta dziewczyna, Wanda... Nie wiem, jak to panu wyjaśnić. – Znów przestała mówić, bo nie wiedziała, jak przedstawić staruszkowi postać tajemniczej Wandy. W końcu nie miała na jej temat żadnych informacji, a o zdjęciu znalezionym pod wyjściółką futerału na skrzypce raczej nie zamierzała wspominać.

Anatol wpatrywał się w nią wielkimi oczami dziecka, które nie ma bladego pojęcia o skomplikowanych sprawach dorosłych. Kiedy już się wydawało, że Bianka nie wydrze ze staruszka nawet krzty informacji, Anatol nagle wyprostował plecy, a później, pocierając palcami skroń, rzekł:

– Aaa... Wanda. – Coraz mocniej masował skroń, jakby to ułatwiało koncentrację. – Wandzia, tak, mama o niej mówiła. To była wielka piękność, czarnowłosa i bladolica. Pomieszkiwała w naszej chałupie jakiś czas, gdy wojenna zawierucha wszystko trawiła, ale potem zniknęła bez pożegnania. Mama bardzo nad tym ubolewała, nawet na łożu śmierci wspominała słodkie oczęta Wandzi.

Bianka się ożywiła. Najchętniej chwyciłaby Anatola za ramiona i wytrząsnęłaby z niego więcej informacji, lecz tylko głośno przełknęła ślinę i z rękami zaciśniętymi na brzegu kubka niecierpliwie czekała na dalsze słowa. Ale Anatol zamilknął. Jedynie podrapał się po głowie i poprawił zmierzwione włosy.

– Wie pan coś więcej o tej Wandzi? Kim była, czym się zajmowała? – Bianka nie potrafiła ukryć emocji.

– Nie bardzo. – Anatol znów spojrzał na nią oczami dziecka, od którego wymaga się czegoś, co przerasta jego możliwości. – Może Serafina będzie wiedziała. Ona i Wandzia przez jakiś czas się przyjaźniły. Obie były młodziutki i urodziwe, ale nie miał kto się za nimi oglądać, bo większość chłopów na wojnę zabrali. Choć kilku się tu kręciło, chyba jacyś nietutejsi. Podobno do lasu chodzili, ale co tam robili, nie wiem. Zresztą chłystkiem wtedy byłem, niewiele z tego pamiętam. Spytaj, panienko, Serafinkę. Może ona powie ci coś więcej o tej Wandzi.

– Tak zrobię – odrzekła Bianka, a potem wypila kawę do końca.

Na jabłoni dzięcioł zaczął tak energicznie obstukiwać korę, jakby pod jej powierzchnią znajdował się cenny skarb. Z sąsiednich drzew odezwały się ptasie głosy. Te dźwięczne śpiewy uzmysłowiły Biance, że już czas się zbierać. Zabrała Anatolowi prawie godzinę, a mówił przecież, że czeka na niego kapusta.

– Panie Anatolu, dziękuję za smaczną kawę. – Podniosła się i dosunęła stołek zupełnie tak, jak gdyby stał on w pokoju dziennym, a nie w rozbuchanym zielenią letnim sadzie.

– Może panienska jeszcze zostanie, pogawędzimy, pośmiejemy się. – Anatol,

wstając, potrącił wiklinowy koszyk oparty o pień gruszy. Za moment postawił go jednak w tym samym miejscu i postukał się po czole, jakby właśnie odkrył coś ważnego. – Niech panienska jeszcze chwilę zaczeka. Pójdę po siatkę, jabłuszka dla Serafci zapakuję – rzekł, zebrał puste kubki, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku domu.

Po chwili wrócił. Podeszedł do ławki, na której w cieniu leżakowały dorodne jabłka. Szczupłymi, ale szerokimi dłońmi brał je po kolei i wsuwał do foliowej siatki.

– Nie podaruję Serafci gruszek, żeby jej zgaga nie trawiła. Wybrałem antonówki kragłe i duże z cytrynową skórką. Takie jak lubi. – Wręczył Biance siatkę. – Zaczekaj jeszcze, panienko, tobie też zapakuję kilka. – Wyjął drugą siatkę i ją także napełnił. Obok złocistych jabłek znalazły się w niej rumiane gruszki. – Mam nadzieję, że lubisz.

Potwierdziła szczerym uśmiechem. Pożegnali się przy furtce. Staruszek uniósł rękę i pomachał Biance na pożegnanie. Jego ręka opadła dopiero wtedy, kiedy dziewczyna zniknęła za zakrętem.

Niestety spotkanie w chałupie Serafiny nie ułożyło się po myśli Bianki. Kiedy stanęła przed otwartymi drzwiami, z wnętrza usłyszała głosy świadczące o żarliwej rozmowie. Kilka razy zapukała, ale oprócz Barnaby, który wyłonił się z ciemnej sieni i obrzucił ją niechętnym spojrzeniem, nie pojawił się nikt inny. Bianka weszła do środka z siatkami wypełnionymi darami z sadu Anatola. Serafina spojrzała na nią ze zdziwieniem znad trzech glinianych beczulek, do których przekładała ogórki z cynkowej misy. Obok niej stała kobieta nieco od niej młodsza, o gęsto pobrużdżonej twarzy, ciemnych, głęboko osadzonych oczach, orlim nosie i dużym koku na czubku głowy.

– Andrusowa jestem. – Podeszła do Bianki i wyciągnęła do niej pulchną dłoń. Na wszystkich palcach z wyjątkiem kciuka miała złote pierścionki.

– Bianka Zamojska. – Bianka też uniosła rękę i już po chwili poczuła mocny uścisk kobiety.

Serafina uśmiechnęła się do Bianki, ale nadal wkładała ogórki do naczynia, choć wydawało się już pełne.

– Szykujemy kiszieniaki, tego nigdy za wiele. – Serafina spojrzała na Biankę chytrym wzrokiem. – To dla mojego Ryśka – dodała.

Po tych słowach Andrusowa roześmiała się rechetliwie.

– Oj, pomogą chłopakowi, pomogą! – rzekła tak głośno, że aż Barnaba, który leżał na przypiieku, zastrzygł uszami.

– Przyniosłam jabłka od pana Anatola. – Bianka położyła siatkę na stole.

Andrusowa wyjęła z niej dużą antonówkę. Zaraz potem wbiła w owoc żółte zęby.

– W całym Mięćmierzu takich nie znajdziesz, a i w Kazimierzu ze świecą szukać – powiedziała niewyraźnie, gryząc jabłko.

Tym razem Serafina przyjęła podarunek sąsiada z radością, chyba nawet schlebilo jej to, że Andrusowa była świadkiem tego przyjacielskiego gestu. Staruszka zaproponowała ziołową herbatkę, ale Bianka odmówiła, bo nie chciała sprawiać kłopotu. Usiadła na niskim zydelku przy piecu i przysłuchiwała się wywodom Andrusowej. Niestety nie знаła żadnej z osób, o których mówiła sąsiadka Serafiny. Po piętnastu minutach tej nieprzerwanej paplaniny Biankę rozboleła głowa. Nie pozostało jej nic innego, tylko się ewakuować. W pewnym momencie wstała i ruszyła do wyjścia.

– Bardzo miło się gawędzi, ale niestety na mnie już czas. – Jej twarz przybrała wyraz udawanej skruchy. Sama była pod wrażeniem własnych zdolności aktorskich.

– Tak szybciotko? Ledwie przyszedł i już uciekasz. – Andrusowa przerwała słowotok i zerknęła na Biankę zaaferowanym wzrokiem.

– Chętnie zostałabym dłużej, ale obowiązki wzywają. Do zobaczenia.

Bianka błyskawicznie wyszła z chaty, a potem równie szybko zbiegła ze stoku. Droga zajęła jej mniej czasu niż zazwyczaj. Dopiero kiedy była jakieś pięć minut od domu Klary, zwolniła. Uświadomiła sobie, że w chałupie Serafiny zostawiła siatkę z owocami, którą dostała od Anatola. Na powrót było już jednak za późno. Zresztą nie wróciłaby po nią, nawet gdyby była blisko.

Aleja, wzdłuż której za wysokim murem rozciągała się posesja Klary, tonęła w popołudniowym słońcu. Dzisiejszy dzień różnił się od wczorajszego kolorem, zapachem i temperaturą. Przez lazurowe niebo od rana nie przepłynęła nawet jedna chmurka, ale rozbujane wiatrem powietrze przynosiło uczucie miłego orzeźwienia.

Bianka przeszła na drugą stronę chodnika, żeby schronić się w cieniu kilku klonów z czerwonymi liśćmi, których kopuły uformowały się w zgrabne grzybki. Wprawdzie wycieczka do Mięcmierza, spotkanie z Anatolem i wizyta w chacie Serafiny nie wniosły niczego nowego do sprawy Wandy, ale nie żałowała tej przechadzki. Po porannym złym samopoczuciu nie został nawet ślad. Poczuli za to spory głód, więc znowu przyspieszyła. W pewnej chwili za plecami usłyszała trzask zamykanych drzwi samochodu.

– Bianka! – Męski głos brzmiał znajomo.

Odwróciła się, choć nie od razu. Najpierw się zatrzymała i usiłowała dopasować ciepłą barwę głosu do innych tonów, które przechowywała w swojej wewnętrznej bazie danych. Gdy w końcu spojrzała na mężczyznę przy ciemnym volvie, zrobiła wielkie oczy. Przy masce stał Olaf.

– Bianco, zaczekaj! – zawołał i rozejrzał się z obawą, jakby nie chciał, żeby ktoś ich zobaczył. – Chodź. – Skinął na nią ręką.

Podeszła do niego bez słowa. Kiedy znalazła się obok, Olaf obszedł samochód, otworzył drzwi od strony pasażera i ruchem dłoni zaprosił ją do środka.

– Wsiądziesz? – spytał dla zasady.

Jego proszące spojrzenie sprawiło, że nie mogła mu odmówić. Wślizgnęła się do auta i rozsiadła w wygodnym fotelu. Olaf delikatnie domknął za nią drzwi i zajął miejsce kierowcy.

– Czekam na ciebie już ponad godzinę. Chciałem porozmawiać – poinformował ją łagodnym głosem.

– Tak? O czym?

– Właściwie to... chciałem cię o coś prosić. – Wydawał się skrepowany.

Wpatrywała się w niego z ciekawością, chciała poznać powód, dla którego się tutaj zjawiał.

Sięgnął na tylne siedzenie. Po chwili trzymał w ręku kopertę.

– Mogłabyś przekazać komuś ten list? – Nie licząc się z możliwością odmowy, wsunął zaklejoną kopertę do jej ręki.

Pierwszym adresatem, który przyszedł jej na myśl, była Klara, ale Olaf szybko



wyprowadził ją z błędu.

– Zależy mi, żebyś zawiozła go na Fiołkowe Wzgórze i dała Gosi. – Imię Małgosi wymówił ciepło, a kąciki jego ust lekko się uniosły.

– Dlaczego sam nie możesz...?

– Nie mogę. Chodzi o to, że ona nie chce ze mną rozmawiać. Myślę, że ze względu na swojego męża. Nie chcę pogarszać sytuacji, sama rozumiesz.

Przytaknęła. Rozumiała aż nazbyt dobrze. Konfrontacja z Pawłem nie należała do najprzyjemniejszych, o czym sama się przekonała. Jeśli Paweł i Olaf stanęliby naprzeciw siebie jako rywale – a wszystko wskazywało na to, że nimi byli – to zapewne doszłoby do rękoczynów.

– To jak, zawieszysz jej ten list? – Spojrzał na Biankę z nadzieją.

Oczywiście, że musiała to zrobić. Nie mogła odmówić Olafowi, choć nie rozumiała podłoża sytuacji. Interesowało ją, co łączy Małgosię z Olafem i jak długo to trwa, ale nie była w stanie tak po prostu poruszyć tego tematu. Potwierdziła skinieniem głowy i położyła kopertę na kolanach. Spojrzała na Olafa uważniej. O tyle spraw chciała go zapytać, a najważniejsze pytanie, które układało się w jej głowie, dotyczyło Samuela. Przy tym imieniu stał gigantyczny pytajnik.

– Chciałabym cię o coś zapytać... – zaczęła nieśmiało.

Domyślił się, o co chodzi, bo nie czekał, aż skończy, tylko powiedział:

– Sam jest ze mną. – Odwrócił wzrok, jakby spłoszony tym, że zdradził czyjś sekret, lecz już po chwili znów patrzył w jej stronę swobodnie.

– Skąd wiedziałeś, że chcę spytać o Samuela? – Udawała niewzruszoną, ale emocje wewnątrz niej aż się kłębiły.

Lekko się uśmiechnął.

– Jest wiele spraw, które wymagają wyjaśnienia – rzekł lapidarnie.

Skuliła się, przygnieciona ciężarem swojego sekretu – nieprzemysłanego zawarcia umowy, z której i tak się nie wywiązała.

– Sam bardzo cię... On chciałby ci coś wyjaśnić, ale sądzę, że dopiero musi do tego dojrzeć. – Wzrok Olafa był ciepły, jak gdyby mężczyzna chciał dodać jej otuchy.

Westchnęła, dając ujście nagromadzonym emocjom.

– Gdzie się zatrzymaliście?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Przepraszam cię, ale nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Przynajmniej nie teraz. Najpierw musisz sprostować wszystko z Samem.

– Nie chcesz się spotkać z matką?

– Nie – odpowiedział natychmiast.

– Chodzi o ten odwołany ślub, tak?

Zanim się odezwał, długo patrzył na nią smutnym wzrokiem.

– Ten ślub i tak by się nie odbył, bo Marika nigdy nic dla mnie nie znaczyła. Zawsze kochałem tylko Gosię. – Olaf zdobył się na szczere wyznanie.

Poczuła, że pula jej pytań się wyczerpała. Spojrzała na niewyraźne odbicie swojej twarzy w szybie.

– Chyba powinnam uciekać, jeszcze ktoś cię zobaczy – szepnęła konspiracyjnym

tonem.

– Dzięki – rzekł cicho.

– Nie ma sprawy. – Złapała za klamkę. Kiedy już miała ją nacisnąć, Olaf lekko przechylił się w jej stronę.

– Mogłabyś to zrobić dzisiaj? Zależy mi na czasie.

– Myślę, że tak.

– Aha, i jeszcze jedno. Spróbowałabyś nakłonić Gosię, żeby mi odpisała?

– Mam być twoim emisariuszem? – Starła się obrócić sytuację w żart.

Olaf pozostał jednak poważny.

– Zależy mi na tym... bardzo – szepnął. – Nie widziałem jej od dawna i... – Urwał w obawie, że jego wyznanie może się okazać zbyt intymne. – Umówmy się jutro w tym samym miejscu o tej samej porze, okej?

Skinęła głową i wysiadła z samochodu. Pomachała Olafowi, a następnie pomknęła do domu.

Najpierw udała się do swojego pokoju, gdzie schowała kopertę pod stos ubrań w szafie. Po tym, jak zdjęcie Wandy zniknęło, wolała zachować szczególne środki ostrożności i nie zostawiać listu Olafa na widoku.

W kuchni Marta pochylała się nad garnkiem z powidłami śliwkowymi.

– O, już jesteś? – Zdziwiła się na widok Bianki.

– Nie było mnie ponad cztery godziny. Czy to za krótko? – Uśmiechnęła się do Marty i zajrzała do garnka, w którym bulgotała lekko brązowa maź.

– Tak mnie pochłonęło to warzenie konfitury, że zupełnie straciłam poczucie czasu. Muszę wciąż bełtać, żeby się nie przypaliła – wytłumaczyła.

– Wciąż nie wyszła? – Bianka wymownie zerknęła w stronę drzwi do pokoju Klary.

– Tak, bez zmian. – Marta nalala zupę pomidorową na talerze.

Wreszcie mogły spokojnie usiąść przy stole w jadalni i zjeść wspólny posiłek. Marta nie straciła jednak czujności – jej wzrok uciekał w kierunku ciemnego holu, siedziała zwarta i gotowa, by w każdej chwili móc znów wejść w rolę gospodyni. Sama nie wiedziała, dlaczego wciąż tkwiła w tym miejscu. Chyba się oszukiwała, że jeśli będzie doglądać domu, w którym dorastała jej przyjaciółka, jakaś część Lizy pozostanie blisko niej. Tylko że ten dom wyglądał teraz zupełnie inaczej.

Marta często wracała myślami do dnia śmierci Luizy. To, że nie pożegnała się z przyjaciółką, stało się źródłem jej udręki. Czuła, że dopóki ciało Luizy nie spocznie w ziemi, dopóty jej duch nie zazna spokoju. Śmierć ukochanej przyjaciółki wciąż pozostawała dla Marty zagadką. Nie mieściło jej się w głowie, że Luiza mogła tak po prostu wpaść do wody. A może ktoś jej w tym pomógł? Klara sugerowała, że mogło to być samobójstwo, ale nikt nie uwierzył w jej teorię. Liza kochała świat z całą jego paletą wad i zalet. Dopiero wchodziła w życie, nabierała tempa, więc na pewno nie chciała jeszcze dobiec do mety.

– Ostatnio wciąż o niej myślę – wyrwało się Marcie.

– O kim?

Oczy Marty się zwęziły.

– O Lizie, mojej... – Nie dokończyła.

– Widziałam miejsca, które były ważne dla pani i pani przyjaciółki... na Fiołkowym Wzgórzu – rzekła Bianka ostrożnie, czujnie wpatrując się w Martę.

Reakcja kobiety ją zadziwiła.

– Cieszę się, że Gosia pokazała ci naszą dziuplę zagadek – powiedziała. – Zaczekaj, pokażę ci coś jeszcze. – Wstała i poszła do kuchni.

Bianka obserwowała Martę z tyłu. Kobieta sięgnęła po swoją torebkę. Długo w niej szperała, aż w końcu znalazła to, czego szukała, bo z jej ust wydobyło się westchnienie ulgi.

– Nie darowałabym sobie, gdybym ją gdzieś zawieruszyła. – Podeszła do Bianki i położyła przed nią czarno-białą fotografię. – To Liza i Raul w dniu ślubu – wyjaśniła. – Prawda, że pięknie razem wyglądali?

Dziewczyna popatrzyła na postacie uchwycone na zdjęciu w chwili ich największego szczęścia. Promienny uśmiech Lizy tylko to potwierdzał, a pełen adoracji wzrok Raula krył obietnicę tego, co mężczyzna mógłby jej dać w przyszłości. Niestety ich historia była tragiczna. Bianka poczuła nagły przypływ smutku.

Panna młoda miała na sobie niezwykle gustowną suknię, szeroką u dołu, wykończoną marszczeniami i brokatem, który wydawał się połyskiwać nawet przez szary papier fotografii. Spod długiego welonu z delikatną koronką na czoło Lizy opadało kilka loczków. Ciemne włosy miała zaczesane do tyłu i upięte w kok. Pan młody elegancją dorównywał żonie. Na tle ciemnego garnituru odbijała się śnieżna koszula ze sztywnym kołnierzykiem. Hebanowe włosy, kolorem przypominające barwę marynarki, ułożono mu w dwie niewielkie fale.

– Piękna para – powiedziała Bianka.

– Tak. – Usta Marty ledwie się poruszyły, a ona sama sprawiała wrażenie, jakby na moment wniknęła pod powłokę fotografii i oddychała tamtym czasem i tamtymi wydarzeniami. – Humor popsula Lizie tylko ta sukienka. Upatrzyła sobie zupełnie inną, o skromniejszym fasonie, dużo delikatniejszą. Niestety jej ciotka uparła się na tę, w której wcześniej brała ślub matka Lizy. Luiza wiedziała, że w starciu z bezkompromisową Konstancją jest bez szans, więc w końcu odpuściła. Nie chciała zniszczyć sobie dnia kłótnią z ciotką.

Marta chwyciła zdjęcie i przyciągnęła je do siebie, jak gdyby uznała, że czas przeznaczony na oglądanie go właśnie dobiegł końca. Uśmiechnęła się przepraszająco i schowała fotografię z powrotem do torebki.

Po zupie przyszedł czas na drugie danie, czyli schab z pieczarkami i opiekane ziemniaki. Nie poruszały już tematu Lizy. Gdy zjadły, Marta przygotowała porcję dla Vincenta i – zaopatrzona w butelkę wody różanej i dwie czyste, wykrochmalone chusteczki – ruszyła do pokoju Klary.

W alkowie pani domu Marta zabawiła nieco dłużej niż zwykle, a kiedy wróciła, wyglądała tak, jakby uszło z niej życie.

– Ona jest w naprawdę kiepskim stanie.

– Może trzeba wezwać lekarza? – zasugerowała Bianka.

– A gdzie tam. – Marta z rezygnacją machnęła ręką. – Mówiłam, że zadzwonię po zaprzyjaźnionego doktora, ale Klara twierdzi, że woda różana i specyfik pana Alfreda,

farmaceuty z pobliskiej apteki, w zupełności wystarczą. Nie pozostaje więc nic innego, tylko przeczekać tę migrenę. Może jeśli Olaf się pojawi, to bólaczki Klary szybciej ustąpią. Choć gdybym była na jego miejscu, uciekłabym z tego domu gdzie pieprz rośnie. – Zauważyła zakłopotanie na twarzy Bianki. – Wszystko w porządku? – Przyjrzała się dziewczynie.

Bianka zacisnęła usta i spuściła wzrok.

– Tak. – Zastanawiała się, jak przekazać Marcie wiadomość, że zamierza się wybrać na Fiołkowe Wzgórze. – Pani Marto, mogę pani w czymś pomóc? – zaczęła nieśmiało.

– A co tu pomagać? – Gospodyni omiotła wzrokiem przestrzeń utrzymaną w idealnym porządku.

– W takim razie tak sobie pomyślałam, że... może wybrałabym się na Fiołkowe Wzgórze. – Spojrzała na Martę, ciekawa jej reakcji.

– Świetny pomysł. – Jej entuzjazm znacznie ułatwił sprawę.

– Jest pani pewna, że nie będę...

– Tak, jestem pewna. – Marta się uśmiechnęła. – Gosia ucieszy się z towarzystwa. Ma teraz trudny okres. Odkąd wyszła ta cała sytuacja z Pawłem, Małgosia jest jakaś taka... – Zastanawiała się. – Wydaje mi się, że coś przede mną ukrywa. Już się pogodziłam z ich rozstaniem, chcę tylko, żeby moja córka była szczęśliwa. Może przed tobą się otworzy, bo ja nic nie mogę od niej wyciągnąć. Kiedy pytam ją o Pawła, złego słowa o nim nie powie. Ale zauważyłam, jak mój zięć ostatnio się zmienił. Chyba że zawsze taki był, sama już nie wiem.

– Może pojedzie pani ze mną? – rzuciła Bianka, choć niemal od razu zdała sobie sprawę, że to niemożliwe. Domyślała się, że Marta nie zostawi chorej pracodawczyni. Miała rację.

– Bianco, no co ty? Cóż to za pytanie? Nie mogę zostawić Klary.

Droga na Fiołkowe Wzgórze się dłużyła. Korki – zmora wszystkich kierowców – dały się Biance we znaki, gdy tylko wyjechała poza Kazimierz, przez co na plantację dotarła później, niż zamierzała. Ostatnie dziesięć minut jazdy okazało się wyjątkowo uciążliwe. Z tyłu dużego pick-upa, za którym jechała, -smutno patrzyło na nią kilka par oczu dorodnych prosiaków. Nigdy wcześniej tak dobrze nie rozumiała wegetarianizmu Małgosi jak w tej chwili.

Nie uprzedziła Gosi o swoim przyjeździe, dlatego kiedy ujrzała ją stojącą przy bramie, poczuła ulgę. Ze względu na późną porę mogło jej już nie być na plantacji. Bianka zatrzymała samochód na podjeździe i wyszła na zewnątrz. Małgosia patrzyła na nią zdumionym, ale roześmianym wzrokiem.

– Jaka niespodzianka! – Uniosła pęk kluczy i zadzwoniła nimi.

– Zbierałaś się już do domu – zauważyła Bianka i zrobiło jej się głupio, że wtargnęła na plantację jako nieproszony gość.

– Nie – powiedziała Gosia, która jednak nie umiała kłamać. Jej duże brązowe oczy mówiły co innego. – Wchodź, zasunę bramę – zdecydowała.

– Jesteś pewna, że nie będę ci przeszkadzać?

– Jestem pewna – rzuciła luźno. – Chodź i nie marudź, to może dostaniesz coś dobrego. – Uśmiechnęła się tajemniczo.

„Coś dobrego” okazało się pysznym ciastem z dużymi kawałkami malin zatopionymi w chmurze bitej śmietany.

– Do ciasta pasuje kawa – zauważyła Małgosia, kiedy znalazły się w altanie. – Ale zważywszy na dość późną porę, nie wiem, czy powinnam ją proponować. Wspominałaś kiedyś, że po siedem-nastej nie pijesz już nic z kofeiną.

– Tak, rzeczywiście tak mówiłam. Ale dzisiaj chyba zrobię wyjątek. Mam ogromną ochotę na twoje espresso.

– Okej, to ja zmykam do kuchni, a ty zabieraj się za ciacho. – Gosia przysunęła bliżej Bianki talerzyk z dużym kawałkiem ciasta, po czym poszła zrobić kawę.

Nim wróciła z białą filiżanką wypełnioną aromatycznym espresso, Bianka zdążyła już zjeść połowę porcji.

– Widzę, że ci smakuje. – Położyła przed Bianką filiżankę z kawą. – Może zanim usiądę, od razu pójdę po dokładkę?

– Nie – odezwała się Bianka z pełnymi ustami. – Bardzo chętnie, ale nie...

– Bardzo chętnie, ale nie? – Gosia się roześmiała. – Nie do końca rozumiem. – Popatrzyła na nią pytająco.

– Wystarczy ten kawałek – zapewniła ją Bianka. – Siadaj w końcu.

Upewniwszy się, że wszystko jest jak trzeba, Gosia zajęła miejsce naprzeciwko gościa. Obie przez chwilę nic nie mówiły, tylko przyglądały się sobie, wymieniając życzliwe uśmiechy.

– Fajnie, że przyjechałaś. Widzę, że ciągnie cię na Fiołkowe Wzgórze – powiedziała w końcu Małgosia.

– Tak – odrzekła Bianka. Coraz bardziej się denerwowała. Kilka razy sięgała po list do swojej szmacianej torebki, którą zawiesiła na oparciu ławki, ale zaraz cofała rękę.

– Bianco, o co chodzi? – Gosia w okamgnieniu ją przejrzała. – Chcesz mi o czymś

powiedzieć?

– Właściwie tak – odparła Bianka. – Mam coś dla ciebie. – Wyjęła list i położyła go przed Małgosią.

– Co to jest? – Gosia spojrzała najpierw na kopertę, a potem na Biankę.

– List.

– Od kogo? – W jej głosie wyraźnie dało się słyszeć niepokój.

– Od Olafa – odpowiedziała Bianka wyraźnie.

Gosia nie odezwała się nawet słowem, tylko uniosła kopertę, a potem długo jej się przyglądała. W pewnym momencie zgięła list i Bianka pomyślała, że zaraz go rozedrze, ale ona odłożyła kopertę na skraj ławy.

– Nie widzę powodu, dla którego miałabym to czytać.

– Gosiu, zrobisz, jak zechcesz. Obiecałam Olafowi, że doręcę ci ten list, więc sama rozumiesz.

Nie rozumiała. Patrzyła na Biankę pochmurnie.

– Nie mam pojęcia, po co wciąga cię w to wszystko. Powiedziałam mu wyraźnie, że nie chcę go więcej widzieć! – rzekła Gosia podniesionym głosem.

– Czekał na mnie w pobliżu domu Klary, żeby dać mi ten list. – Bianka powiedziała to tak, jakby chciała się usprawiedliwić. – Musi mu bardzo na tobie zależeć – dodała.

– Na pewno bardzo mu zależy. – Na ustach Małgosi pojawił się ironiczny uśmiech, jakiego Bianka wcześniej u niej nie widziała.

– Gośka, czy to przez ciebie Olaf zerwał zaręczyny z narzeczoną? – Bianka postanowiła zaryzykować i zadać to pytanie.

– Co?!

– Wiesz, nie chcę być wścibska, ale... tak to wygląda.

– Jak wygląda? Nie miałam pojęcia, że Oli zerwał zaręczyny. Dawno go nie widziałam. Przyjechał kiedyś na Fiołkowe Wzgórze, tylko że... – Urwała i odwróciła się, jakby w obawie, że Bianka wyczyta z jej twarzy prawdziwe uczucie.

– Może jednak powinnaś przeczytać ten list.

– Po co? – spytała Gosia, ale jej głos nie brzmiał już tak buntowniczo jak przed momentem.

– Nie wiem, może warto.

– Ja i Olaf to stara historia, raczej bez szansy na kontynuację. – Popatrzyła na Biankę smutno.

– Stara historia? Co to znaczy?

– Byliśmy kiedyś razem. – Na ustach Gosi na chwilę pojawił się uśmiech. – Trwało to nawet dość długo, ale miało beznadziejne zakończenie. – Zamyśliła się.

– Nie wiedziałam.

– Ja i Oli znaleźliśmy się od dziecka. Jakies dwa lata po tym, jak urodził się Samuel, Klara i Raul wyjechali na stałe do Francji, ale w Polsce spędzali każde wakacje. Gdy miałam pięć lat, a Olaf był już ośmioletnim mężczyzną, oświadczył mi się, łapiąc mnie za rękę i wkładając w nią bukiet przywiedlonych polnych kwiatków. Z poważną miną spytał mnie wtedy, czy za niego wyjdę.

– I co mu odpowiedziałas?

– Że muszę się zastanowić. Od dziecka byłam żoną. – Gosia westchnęła. – Przeszedł po kilku dniach, tuż przed wyjazdem do Francji, i zapytał, czy podjęłam decyzję.

– I?

– I... zgodziłam się. Nie mogło być inaczej, tak ładnie prosił. – Oczy Gosi na chwilę się roziskrzyły.

– A potem?

– Potem oświadczał mi się każdego roku, kiedy przyjeżdżał do Kazimierza na wakacje. Zawsze wręczał mi taki sam umęczony bukiet i pytał, czy nic się nie zmieniło, czy nadal jestem jego narzeczoną.

– To urocze.

– Tak, kiedy jest się dzieckiem, wszystko jest urocze. Ale lata mijały, a my wydorosłeliśmy i... wszystko się zmieniło. Wyjechał na studia do Wiednia i definitywnie się rozstaliśmy.

– Czyli to dziecięce zauroczenie przetrwało? – Bianka otwartą dłonią zasłoniła się przed słońcem, które wychylało się zza kępy liści winogron, drażniąc jej oczy.

– Zauroczenie... hm... My nazywaliśmy to miłością. – Uśmiechnęła się nostalgicznie. – Może to śmieszne, ale myślę, że naprawdę kochaliśmy się od dziecka. Pierwszy raz pocałowaliśmy się, kiedy miałam siedemnaście lat. – Poczerwieniła, zawstydzona tym wyznaniem. – Planowaliśmy przyszłość tak na poważnie.

– O kurczę, Gosiu, tak mi przykro!

– Stare czasy, nie ma co do tego wracać – powiedziała zdławionym głosem.

– Słuchaj, nie wiem, co zaszło między wami, ale wydaje mi się, że jemu wciąż bardzo na tobie zależy. – Bianka przypomniała sobie ciemne, przepełnione tęsknotą oczy Olafa, kiedy wręczał jej list do Małgosi.

– Naprawdę zerwał zaręczyny? – Gosia popatrzyła na Biankę przytomniej, jakby dopiero teraz dotarła do niej ta informacja.

– Tak, i poinformował o tym matkę. Pani Klara od dwóch dni nie wychodzi z sypialni. Współczuję twojej mamie. – Bianka przewróciła oczami. Chciała trochę rozładować atmosferę.

– Nie wiem, co mama tam jeszcze robi – rzekła Gosia z groźnym błyskiem w oku. – Już tyle razy jej mówiłam, żeby odeszła.

– I co ona na to?

– Że jeszcze nie pora. Nie mam pojęcia, o co jej tak naprawdę chodzi.

– Może ma to związek z jej przyjaciółką Luizą?

– Też się nad tym zastanawiałam, ale nie umiem znaleźć odpowiedzi. Najgorsze jest to, że mama od dziecka nie znosiła Klary, nigdy nie mogły się dogadać, a teraz przykładą jej do czoła chusteczki nasączone wodą różaną i czuwa przy jej łóżku. Kompletnie tego nie pojmuję. – Pokręciła głową. – Przecież nie robi tego dla pieniędzy.

– Wczoraj dokądś wyszła i... – Bianka się zawahała. Może to całkowity przypadek, że tajemnicze wyjście Marty zbiegło się w czasie z rocznicą śmierci jej przyjaciółki.

– Wczoraj była rocznica śmierci Luizy – powiedziała Gosia.

Bianka nie spuszczała z niej oczu.

– Pewnie mama była na kamiennym moście i nad Wisłą. Co roku tam chodzi.  
– Na kamiennym moście? – Nic to Biance nie mówiło.  
– Możliwe, że tam nie byłeś. Mama i Liza często tam biegały. To most nad wąwozem, łączący dwa cmentarze. Lubisz historie o duchach? – Gosia otworzyła szeroko oczy.

Bianka przytaknęła, ale pomimo luźnej atmosfery przeszedł ją dreszczyk.

– Z tym mostem związana jest tragiczna historia dwojga kochanków. Niestety pochodzili z dwóch różnych światów, on bogaty, ona biedna, więc nie mogli być razem. Zwłoki dziewczyny spoczywają za kościółkiem reformatów, tam, gdzie stoi pomnik ku pamięci Lizy, a grób chłopaka znajduje się na wzgórzu fary. Podobno ich duchy każdej nocy spotykają się na tym moście. Często można tam zobaczyć zapaloną lampkę. Ludzie chyba pamiętają tamtą historię. – Gosia się zamyśliła.

Do altany wraz z chłodniejszym wieczornym powietrzem wdarł się nastrój melancholii. Niebo się zaróżowiło, zwiastując wiatr, a zza jednej chmury coraz śmielej wychylał się szczupły rozek księżycyca.

– Może to twoja mama...

– Co mama?

– Zapala tę lampkę, by uczcić pamięć przyjaciółki. Może wcale nie chodzi o tych kochanków.

– Nie. Mama i Liza uwielbiały tę historię. Musi być w niej choć ziarnko prawdy. A teraz... – Gosia przerwała, jakby przez chwilę zastanawiała się nad tym, co powiedziała Bianka. Szybko wróciła jednak do wcześniejszej myśli. – Mama chodzi na kamienny most tylko raz w roku, w rocznicę śmierci Lizy – rzekła z głębokim przekonaniem. – Zrobiło się chłodniej – stwierdziła.

Bianka też poczuła, że jest jej coraz zimniej.

– Chyba pora się zbierać. I tak długo cię zatrzymałam.

– Jak zwykle zrobiłaś mi miłą niespodziankę.

– Przeczytasz list? – Bianka wstała i sięgnęła po torebkę. Chciała, żeby jej pytanie zabrzmiało naturalnie.

– Przeczytam.

– Cieszę się, bo to znaczy, że dobrze wykonałam zadanie. Ale jest jeszcze jedna sprawa: Olaf prosił, żebyś mu odpisała. Umówiłam się z nim jutro, więc chyba liczy na szybką odpowiedź.

– Nie. Przepraszam cię, ale chciałabym być sama, kiedy go otworzę.

– W porządku, Gosiu. To zrozumiałe, że chcesz być sama.

Małgosia się uśmiechnęła i wsunęła kopertę do kieszeni dzinsów. Potem zebrała z ławy puste naczynia.

– Pomogę ci – zaproponowała Bianka.

– Nie ma co pomagać, już wszystko wzięłam. Chodź. – Trąciła Biankę łokciem. – Odniosę to tylko do kuchni, zamknę drzwi i jedziemy.

Po kilku minutach Gosia otworzyła bramę i wyjechała z terenu plantacji. Jeszcze przez chwilę stały każda przy swoim aucie.

– Nie musisz się jutro spotykać z Olafem. Niepotrzebnie wciąga cię w to wszystko.



- Jesteś zła?
- Nie, tylko nie chcę sprawiać ci kłopotu.
- To żaden kłopot. Cieszę się, że mogę pomóc.
- Mam jego numer. Zadzwoń i powiem, żeby cię w to nie mieszał.
- Jeszcze pomyślę, że jesteś zazdrosna – zażartowała Bianka.
- Daj spokój. – Małgosia parsknęła. – Masz swoje sprawy, a on wciąga cię w jakieś

intrygi.

– Gosiu, jakie intrygi? Olaf powiedział, że ten list to właściwie jedyny sposób, żeby do ciebie dotrzeć. Podobno nie dałaś mu szansy na rozmowę.

– Dałam siedemnaście lat temu, ale nic z tego nie wyniknęło. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

– Może właśnie dlatego, że minęło siedemnaście lat i oboje się zmieniliście. Może sprawy wyglądają inaczej, niż sądziłaś. I może trzeba dać szansę uczuciu. Jeśli jest prawdziwe, to powinno przetrwać.

– Mówisz jak prawdziwa znawczyni.

– Na pewno nią nie jestem. – Bianka się roześmiała. Jeśli chodzi o uczucia i mężczyzn, zawsze była dość powściągliwa, bardzo daleko jej było do specjalistki. – Mam przeczucie, że w tym liście znajdziesz odpowiedź na wszystkie swoje rozterki.

– Obyś miała rację – rzekła Gosia.

Bianka otworzyła drzwi swojego samochodu.

– No to do zobaczenia, na pewno wkrótce znów cię odwiedzę. – Bianka zgrabnie wsunęła się na siedzenie, a potem odpaliła silnik.

– Dzięki – odezwała się Gosia głośnym szeptem. Po chwili też zniknęła w aucie.

Pożegnały się, głośno trąbiąc, i jedna za drugą pomału wyjechały na główną szosę, po czym każda obrała inny kierunek.

W szybie odbijały się oznaki wczesnego poranka. Cienie liści drzew dygały w lekkim ukłonie, chyląc czoła przed wschodzącym słońcem. Smugi rzucane na parapet przez sprężyste gałęzie wyglądały jak serpentyny rozwinięte w karnawałowym szale. Gdzie okiem sięgnąć, wszystko drgało, pulsowało i budziło się do życia. Resztki mroku uciekały jedną z najbardziej zacienionych parkowych ścieżek, szukając szczeliny, by razem z nocnymi marami przeniknąć do królestwa Hadesa.

Bianka nie spała już od dłuższego czasu. Jej oczy przyzwyczyły się do szarówki przedświt, a teraz coraz uważniej obserwowały wlewające się do pokoju światło dnia. W ciągu ostatnich godzin starała się odtworzyć w myślach kolejne chwile swojego pobytu w Kazimierzu. Z nutą sentymentalizmu stwierdziła, że w pewnym stopniu przywykła do tego ponurego domu. Czowała, że nie znalazła się tutaj przez przypadek. Zupełnie tak, jakby ktoś zaciągnął w jej imieniu dług, a ona przyjechała go spłacić.

Marzyła tylko o jednym – o powrocie Sama. Chciała dostać choć jedną szansę na rozmowę z nim przed wyjazdem. Może wtedy wyznałaby mu, po co przyjechała do Kazimierza, do domu jego matki. Kiedy pomyślała, że naprawdę mogłaby to zrobić i zarazem zrzucić z barków wielki ciężar, poczuła się znacznie lepiej. Od jakiegoś czasu wiedziała, że podpisanie absurdalnej umowy z Klarą było błędem. Teraz jednak, gdy poznała ten dom i jego dziwnych mieszkańców, coraz częściej zastanawiała się, dlaczego

Klara to zrobiła, dlatego ją tutaj ściągnęła.

Bianka miała w głowie prawdziwy galimatias. Jej myśli kłębiły się, przepychały i walczyły ze sobą, a każda chciała być najważniejsza. Czuła jednak, że nie wpadnie na żaden pomysł. Postanowiła więc skupić się na zagadce, którą może rozwiązać. Sprawa tajemniczego zdjęcia była dla niej w tej chwili najważniejsza.

W domu nic się nie zmieniło: Klara nadal nie wychodziła z pokoju i czekała na powrót syna marnotrawnego, a Vincent snuł się po korytarzach niczym duch.

Tuż przed południem Bianka znów szła w stronę Mięcmierza. Od razu skierowała się do chatki Serafiny. Kiedy wspinała się na wzniesienie, popatrzyła na lśniące lustro wody. Tego dnia Wisła była wyjątkowo spokojna, przywodziła na myśl lekko pofalowane jezioro.

Z przekrzywionego komina na chałupie Serafiny wydobywał się dym. Barnaba wygrzewał się przy studni, której wieko tym razem było zasunięte. Kilka metrów dalej od strony łąk skradała się kuropatwa. Wszędobylskiego ptaka nie spłoszyły nawet kroki Bianki. Nad drzwiami dyndał bukiecik zeszłorocznych polnych kwiatów i ziół poświęconych w Święto Matki Boskiej Zielnej. Suchy pęczek wyblakłych roślin, poruszany wiatrem, ocierał się o boczną deskę starej futryny. Być może staruszka usłyszała, że Bianka się zbliża, bo akurat wyszła przed dom.

– Dzień dobry, pani Serafino. – Dziewczyna poczuła coś w rodzaju skrępowania. Było to dla niej o tyle dziwne, że w czasie poprzednich spotkań zabawna spontaniczność Serafiny sprawiała, że ich kontakt zawsze cechowała naturalność.

– Byłaś u mnie dziś w nocy. – Bładoróżowe usta staruszki rozciągnęły się w leniwym uśmiechu.

Bianka nie miała pojęcia, o czym starsza kobieta mówi.

– Naszłaś mnie we śnie, jak rozciągałam na sznurze przepierkę swojego ślubnego. Panie, świeć nad jego duszą. – Serafina uniosła oczy ku skłębionym obłokom.

Tym razem Bianka uśmiechnęła się do staruszki ze zrozumieniem.

– To była długa noc. Księżyc skrył się za chmurami, a mnie nawiedzili umarli. – Jasnieniebiskie oczy znów podażyły ku niebu.

Biance mimo upalnej pogody nagle zrobiło się nieprzyjemnie i chłodno. To przez tych umarłych, których staruszka doniosłym tonem na ułamek sekundy sprowadziła na ziemię.

– Chodź do chałupy, ptaszyno. Opowiem ci po kolei.

Usiadły w izbie, a Serafina jak zwykle podała ziołową herbatę. Cmokając, postawiła przed Bianką duży kubek w kolorze jasnej gliny i przesunęła w jej stronę cukiernicę, w której znajdowało się kilka zlepionych kostek cukru.

– Najpierw przykuśtykała Franka, moja babka ze strony ojca. Oj, niezła jędza z niej była, chłopinę trzymała na krótkiej smyczy. Stała w drzwiach i nikogo nie dozwoliła wpuszczać. Żem jej musiała kurze nogi uwarzyć, dopiero wtedy odstąpiła od wejścia. Potem mój Józek mi się objawił, tak jak żem go spamiętała, z licem rumianym i włosom zaczesanym na bok. Na amory mu się zebrało, lecz żem go ostudziła, bo wnet za nim moja matula się wemknęła. Palcem pogroziła i srogo na mnie spojrzała. Matka zawsze pilnowała, żebym wianka przed zaślubinami nie utraciła. Ale ja niegłupia dziewczka byłam,

nie pohańbiłabym się dla jakiegoś chłopca. Przed Józkiem żadnego nie było – rzekła z dumą.

Bianka uśmiechnęła się nieśmiało po tym nagłym wyznaniu Serafiny. Nawet jeśli w ustach staruszki miało ono humorystyczny wydźwięk, to jednak świadczyło o zaufaniu, którym babka Rysia musiała ją darzyć.

– A potem... – Serafina wróciła do opowieści, a jej oczy przysłoniła mgielka wspomnień. – A potem przyszła ona... Wanda.

Usłyszawszy to imię, Bianka drgnęła.

– Włazła przez okno, a później siadła przy piecu kaflowym jak jakiś szpieg. Była taka urodna jak na tym zdjęciu, co mnie nim obdarowała. Odezwała się takim czystym głosem jak jaka anielica. A wiesz, ptaszyno, co mi rzekła? – Spojrzenie Serafiny się wyostrzyło.

Bianka czekała niecierpliwie, pewna, że za moment usłyszy coś istotnego.

– Nakazała, żebym wnet rozwarła to metalowe pudro i dożyła z niego papiery, które tam skryła. A potem je spopieliła. Wyczekiwałam ciebie dzisiaj skoro świt.

– Tak? – Bianka poczuła, że zaschło jej w gardle. Głośno przełknęła ślinę i napiła się herbaty.

Serafina żwawo podniosła się z krzesła i ruszyła w kierunku swojego łóżka. Bianka obserwowała ją w skupieniu. Staruszka chwyciła drewniane wezglowie i szarpnęła je do siebie, tak że łóżko przesunęło się nieco w jej stronę. Pociągnęła jeszcze raz, a szczelina między drewnianym stelażem podtrzymującym siennik a ścianą powiększyła się o kolejne centymetry. Wtedy Serafina stanęła bokiem do ściany, przechyliła się i włożyła w lukę chudą rękę. Już po chwili trzymała zaśnieżoną skrzyneczkę, która wyglądała tak, jakby była świadkiem niejednej wojennej zawieruchy. Może naprawdę była.

Serafina szybko wróciła do stołu i usiadła na krześle. Skrzynka z zagadkową zawartością spoczęła na białej koronkowej serwecie obok cukiernicy.

– Zajrzyj tam – zachęciła Biankę. Oczy staruszki biegały z jednego krańca stołu na drugi, a na koniec zatrzymały się na zamku szkatułki. – Ach, niedorajda ze mnie. – Włożyła rękę do kieszeni spodnicy. Długo tam szperała. – Jest! – zawołała, a w jej oczach pojawił się fanatyczny błysk. Na środku otwartej dłoni, naznaczonej gęstą siatką linii papilarnych, leżał pokryty patyną kluczyk z jajowatym oczkiem. – No, otwórz – powiedziała, przebierając nogami z ekscytacji.

Mimo pewnej obawy Bianka sięgnęła po klucz, a potem jeszcze raz spojrzała na Serafinę, jakby potrzebowała dodatkowej zachęty. Staruszka dwukrotnie kiwnęła głową, więc Bianka włożyła klucz do zamka. Chwilową ciszę przerwał nagły zgrzyt, po którym wieczko skrzynki powędrowało do góry.

W środku było kilkanaście kartek. Bianka wyjęła je i położyła na stole. Potem rozłożyła pierwszą z nich. Pożółkła strona ze śladem szklanki była niestarannie zapisana. Przedstawiała ciągi równań matematycznych, w kilku miejscach przekreślonych. Bianka natychmiast sięgnęła po kolejną kartkę. Zobaczyła na niej podobne obliczenia. Następna strona ukazywała litery zapisane na planie szachownicy. Dziewczyna wpatrywała się w nie z wciąż rosnącym zainteresowaniem.

Już gdzieś widziała takie zapisy i nie chodziło o lekcję matematyki. Gdy sięgała po

kolejne kartki, na jej policzkach pojawiły się wypieki. Znaki graficzne pokryte rzędami kresek, przypominające rośliny. Tak, teraz miała już pewność. Jeden z jej uczniów interesował się szyfrowaniem. Zajmowała go zwłaszcza druga wojna światowa. Swoim hobby próbował zarazić Biankę. Kiedyś przyniósł do szkoły wydruki jakichś zaszyfrowanych informacji i starał się jej wyjaśnić, na czym to polega.

Te znaki miały formę prostych rysunków, do złudzenia przypominały grafiki Roberta Badena-Powella. W swojej służbie wywiadowczej stosował on zapisy, które nie wyglądały jak szyfr. Podróżował jako kolekcjoner motyli, umieszczał na ilustracjach najważniejsze informacje o umocnieniach wroga.

– Zaraz, zaraz, czy to...? Czy oni...? – Umysł Bianki zaczął zestawiać kolejne fakty.

Zasypany korytarz łączący zamki, podziemne przejście, gdzie się spotykali, by wymienić się informacjami. Sekretny teren oznaczony trzema grabami na planie trójkąta.

– Służyli ojczyźnie, Wanda i inni, a ja im pomagałam. Ledwie wojna nastąpiła, a oni się zbratali. Chcieli wojować, ale po nowemu.

– Ale jak to wyglądało? Co dokładnie robili?

To był najlepszy moment, żeby dowiedzieć się od staruszki jak najwięcej. Nagle coś przyszło Biance do głowy: „Może Walentyna też należała do tej tajnej organizacji? Skoro i ona, i Serafina miały to samo zdjęcie, może łączyło je jakieś przymierze?”. To w pewnym sensie tłumaczyłoby obecność fotografii Wandy pod podszewką w futerale na skrzypce. Babka nie chciała, żeby ktokolwiek ją zobaczył, to było raczej pewne. Tylko co Walentyna robiłaby w tym miejscu? Wątpliwości było sporo, ale taka wersja wydarzeń nie była niemożliwa. Przecież rodzina nic nie wiedziała o losach Walentyny, zanim pojawiła się ona w Poznaniu, a ten czas przypadał właśnie na lata drugiej wojny. Na polskich ziemiach toczyły się walki, może Walentyna odkryła w sobie wyzwolenczą duszę.

– Ja nie wiem. – Głos Serafiny wyrwał Biankę z rozmyślań. – To były ważne sprawy, służyli Polsce – rzekła podniosłym tonem. – A ja im pomagałam – powtórzyła głośno.

Bianka sięgnęła po kolejną kartkę. Ta była zapisana jeszcze mniej starannie niż pierwsza. Skomplikowane równania zajmowały niemal całą stronę. Pod pożółkłymi kartkami, wyrwanymi najprawdopodobniej z notatnika, znajdowała się dokładnie poskładana mapa. Kiedy Bianka ją rozłożyła, zorientowała się, że to mapa sztabowa. Na dnie skrzynki leżała jeszcze jedna, prawie identyczna, tylko przedarta na pół. Zniszczonych kartek był cały plik, a wszystkie wyglądały bardzo podobnie dla kogoś, kto nie ma pojęcia o tabeli literowo-liczbowej, którą posługiwali się szyfrujący.

Dziewczyna wertowała następne kartki. Nagle spomiędzy nich wysunęła się jedna nieco większa, pergaminowa, złożona dokładniej niż inne. Natychmiast zaświeciły jej się oczy, gdy na delikatnym, lekko prześwitującym papierze ujrziała staranne rzędy kresek z dołączonymi opisami. Niestety sporządzono je po łacinie, więc Bianka ni w ząb nie mogła ich rozszyfrować. Była jednak pewna, że ma przed sobą starą mapę łączącą trzy ważne punkty: zamek w Kazimierzu, zamek w Bochothnicy i zamek w Janowcu. Serafina wraz z grupą przyjaciół musiała ją w jakiś sposób zdobyć. Długie korytarze ciągnące się pod

Wisłą stanowiły dla nich bastion – mogli się nimi swobodnie poruszać po obu stronach rzeki, pozostając w ukryciu.

– Pani Serafino, czy znała pani kiedykolwiek dziewczynę o imieniu „Walentyna”?

– Głos Bianki drżał, kiedy wymawiała imię babki.

– Nie.

– Na pewno? – Bianka poczuła rozczarowanie.

– Toć mówię, że nie – odpowiedziała pewnie Serafina.

– Szkoda. – Dziewczyna westchnęła.

– Kiedy to wszystko się skończyło, chcieli to obrócić w popiół. – Staruszka wycelowała palcem w środek mapy. – Tamci w świat się rozjechali, a w Mięćmierzu tylko ja się ostałam. Nie wiem, czemu mi to zostawili. – Chwyciła za brzeg mapy i przyciągnęła ją do siebie. – Zagrzebałam to, bo tak mi sumienie kazało. Zresztą tak było bezpiecznie. Po wojnie dużo szpiclów kręciło się po okolicy.

– A perła Wandy, którą pani znalazła? Dlaczego ją też pani zakopała?

– A po co żem ją miała trzymać, skoro Wandzia zniknęła? – Serafina się obruszyła.

– Mówiłam, że po czterdziestym piątym różni się tu kręcili. Skorom cię z tym obznajomiła, to teraz mogę to spopielić, jak Wandzia nakazała.

– Nie – wyrwało się z ust Bianki. – Dlaczego chce pani to zniszczyć? Przecież te dokumenty mają niezwykłą wartość historyczną. Sądzę, że mogą zainteresować wiele osób. A ta mapa...

– Nie można – sprzeciwiła się hardo Serafina. Kościstymi palcami zaczęła zbierać ze stołu rozłożone kartki. – W pierwszej kolejności Wandzia zabroniła to wywlec na jaw. Nie można! – powtórzyła-, podnosząc głos. – Po co komu odgrzebywać stare dzieje? Trza żyć teraz. To nie były dobre czasy.

– Ale...

– Nie ma „ale”. Wanda nakazała zniszczyć ogniem, to trza zniszczyć.

– Pani Serafino, to był tylko sen.

– Jak umarli się do mnie odzywają, to trza iść za ich radą – rzekła staruszka kategorycznym tonem. – Zresztą wierzeje do tunelu i tak poniszczone i skryte. – Brała kolejne kartki i składała je wzdłuż wygniecionych śladów. Na koniec wpakowała wszystkie do skrzynki i położyła na niej dłoń. – Piec tylko rozplomienie i wypełnię intencję umarłych. – Uniosła oczy i popatrzyła nabożnym wzrokiem, jakby zamiast stropu nad izbą ukazał jej się zastęp świętych.

Po chwili jej wzrok spoczął na przedmiocie, który przez ostatnie kilkadziesiąt lat otaczała czcią. Robiła wszystko, by wojenny sekret nie ujrzał światła dziennego. Do dzisiaj. Bo w końcu nadszedł ten moment. „Jeśli kiedyś spotkasz na swojej drodze jakąś bratnią duszę, podziel się z nią naszym sekretem – powiedziała Wandzia. – Ale uważaj, nie każdemu można zaufać”. I Serafina jako dobra przyjaciółka posłuchała Wandy, pary z ust nie puściła. Lata mijały, a ona nie spotkała nikogo, komu mogłaby powierzyć tajemnicę. Józka kochała nad życie, ale wolała dmuchać na zimne. Józek, jak to chłop, do kielicha czasem zaglądał, a kiedy procenty mu w głowie zaszumiały, jego jęzor latał jak opętany. Wcześniej ludziła się jeszcze, że może Rysio na ludzi wyjdzie, ale Rysiek, nicpoń jeden, ani myślał papierów doglądać, wielkie skarby mu się marzyły. Gdy

kilkanaście żółtych kartek tam zobaczył, mina mu zrzędła. Na pocieszenie perłę mu wtedy podarowała, bo żal jej w końcu serce ścisnął. Kiedy jednak pojawiła się ta młoda dziewczyna, co do Ryśka rękę wyciągnęła i do ludzi go zaprowadziła, Serafina poczuła, że to właśnie ta osoba, o której mówiła Wandzia.

– Pani Serafino. – Cichy głos Bianki wyrwał ją z rozmyślań.

Wydawało się, że staruszka na moment przysnęła, bo miała zamknięte oczy. W jej głowie jednak już powstał plan dotyczący zawartości skrzynki. „Ptaszyna pójdzie, w piecu ogień rozniecę i ze starociami się pożegnam. To właściwy czas. Nie wiadomo, kiedy kostucha po mnie przyjdzie. Uczynię tak, jak mi Wandzia nakazała”.

– Pani Serafino, dobrze się pani czuje? – zapytała Bianka.

– Tak – odrzekła Serafina, sprawiając wrażenie, jakby dopiero co się obudziła.

Dziewczyna obserwowała ją przez dłuższą chwilę. Staruszka znowu miała zamknięte oczy, a jej usta poruszały się bezgłośnie, jak gdyby odmawiała modlitwę.

– Nie chcę pani przeszkadzać. Lepiej będzie, jeśli już pójdę. – Bianka się podniosła.

Wciąż czuła niedosyt. Dowiedziała się, że tajemnicza Wanda była zapaloną aktywistką. Nawet mogła sobie wyobrazić jej zaangażowanie, kiedy prawdopodobnie ryzykując życie, wraz z przyjaciółmi przemykała tajemniczymi korytarzami, którymi wcześniej kroczył sam król Kazimierz Wielki. Nadal nie wiedziała jednak, co łączyło ją z babką Walentyną. Postanowiła zatem przyjąć wcześniejszą hipotezę, według której Walentyna za sprawą różnych okoliczności znalazła się w tym samym miejscu co Wanda i tak jak inni młodzi ludzie włączyła się w działalność konspiracyjną. Nic innego nie przychodziło Biance do głowy.

– Nie żebym cię, ptaszyno, przeganiała, ale coś mnie sen morzy. – Oczami wyobraźni Serafina już wkładała do pieca pożółkły papier. Chciała to zrobić jak najszybciej. To było jak poselstwo, które należało wykonać natychmiast.

Bianka wyczuwała to zniecierpliwienie. Choć staruszka sprawiała wrażenie sennej, jej ciało dygotało od nadmiaru myśli.

– Do zobaczenia, pani Serafino.

– Niech cię Bóg błogosławi, ptaszyno – rzekła, po czym wsunęła obie ręce za zapaskę, jakby nie wiedziała, co z nimi zrobić.

Boże błogosławieństwo towarzyszyło Biance, kiedy zbiegała z porośniętego wysoką trawą pagórka, którego tego lata nie dotknęły jeszcze ani mechaniczna kosiarka, ani ręczna kosa, oraz później, kiedy weszła w ruchliwą uliczkę pełną turystów. Do końca jej pobytu w Kazimierzu zostały zaledwie cztery dni. Jeśli oczywiście wcześniej nie rozmówi się z Klarą i nie opuści jej posiadłości szybciej.

Gdy była już blisko domu, w oddali mignęła jej sylwetka Olafa. Miał na sobie koszulkę w kolorze jaskrawej zieleni, dzięki czemu było go widać już z daleka. Obok Bianki toczyła się niewielka bryczka ciągnięta przez dwa gniade konie. Po pustym chodniku przechadzały się gołębie, a ze szpary w łączeniu dwóch kostek brukowych wąskim sznureczkiem snuły się mrówki, zmierzając do krawężnika. Bianka spojrzała pod nogi i ominęła ruchliwe owady. Olaf wyciągnął rękę w górę na znak, że ją zauważył. Pomachała mu i uśmiechnęła się do niego, czego na pewno nie zauważył, bo nadal dzieliła ich znaczna odległość. Wyszedł jej naprzeciw, a ona przyspieszyła, tak że spotkali się w

pół drogi. Stanęli przy rozłożystym wiąznie, którego gałązki próbowały ich dotknąć, przepychając się przez siatkę w ogrodzeniu sąsiada.

– Cześć – rzucił Olaf na powitanie i nie czekając na reakcję Bianki, zbliżył się do niej. Potem spontanicznie pocałował ją w policzek. – Dzięki. – Promienny uśmiech na jego twarzy świadczył o tym, że prawdopodobnie wszystko się udało i Gosia nie dała mu czarnej polewki.

– I jak? – zagadnęła Bianka.

Mężczyzna był tak podekscytowany, że kolejne słowa wypływały z jego ust niczym rwący strumień.

– Kochana, nie wiem, jak ci się odwdzięczę. Nie mam pojęcia, jakich słów użyłaś, że udało ci się przekonać do mnie Gosię, ale cokolwiek to było, podziałało. – Włożył ręce do kieszeni, lecz zaraz je wyjął i zaczął mocno gestykulować. – Nie dość, że przeczytała list, to jeszcze zdecydowała się ze mną spotkać.

– To znaczy, że już się widzieliście?

– Nie, jeszcze nie. Umówiliśmy się dziś wieczorem, ale rozmawialiśmy przez telefon. – Zamilknął, żeby złapać oddech, po czym wrócił do relacji. – Gosia jest niesamowita! Jej głos jest taki sam jak dawniej. Zresztą ona też niewiele się zmieniła. Gdy zobaczyłem ją kiedyś na plantacji, nie mogłem oderwać od niej oczu. – Miał rozanielony wzrok. – Najważniejsze, że mi uwierzyła, i to dzięki tobie. W liście opisałem jej to, czego nigdy nie chciała ode mnie usłyszeć.

– Cieszę się. – Bianka spojrzała na listki wiązu, które poruszone wiatrem, dotknęły jej ręki, łaskocząc skórę.

Szczerze wyznanie zwykle pomaga, nawet w beznadziejnej sprawie. Właśnie tak postrzegała swoją sytuację – jako beznadziejną. Chętnie wyjaśniłaby Samuelowi kilka kwestii, ale nic nie wskazywało na to, żeby miała dostać taką szansę.

Olaf chyba usłyszał jej myśli, bo zupełnie nagle porzucił temat ukochanej Małgosi i rzekł:

– Sami jest strasznie uparty. Przekonywałem go, że powinien wrócić i porozmawiać z tobą, ale się boi.

– Boi się? Czego? – Słowa Olafa zaniepokoiły Biankę.

Co takiego sprawiało, że Samuel bał się stanąć naprzeciw niej? W jej umyśle pojawiły się słowa z listu: „Chciałbym Ci o czymś powiedzieć, ale boję się, że nie zrozumiesz. Tajemnice budują mur między nami. Wiem, że Ty też je masz... Lepiej będzie, gdy...”. O jakich tajemnicach pisał? Czego nie -potrafił jej wyznać?

– Przepraszam, Bianco, ale nie mogę ci tego powiedzieć. Sam byłem w szoku, kiedy się o tym dowiedziałem. Myślałem, że już nigdy nie zamienimy ze sobą słowa, ale jak to w życiu bywa, w najmniej oczekiwanym momencie znów się spotkaliśmy. A jeszcze jakiś miesiąc temu myślałem, że to niemożliwe. – Przez chwilę wydawał się zmieszany.

Bianka wróciła myślami do ich spaceru na zamkowe wzgórze. Gdy Olaf mówił o bracie, jego słowa zionęły chłodem, a obojętne spojrzenie świadczyło o tym, że on i Sam żyją w dwóch różnych galaktykach.

– Sami trochę się pogubił w tym wszystkim.

„W czym wszystkim?!”, krzyczały myśli Bianki, których jednak nie odważyła się wypowiedzieć głośno. Widocznie sekrety rodzinne w tym mrocznym domu były na porządku dziennym.

– Obiecał mi, że z tobą porozmawia – powiedział Olaf w taki sposób, jakby chciał ją pocieszyć.

Czyżby przypuszczał, co dzieje się w jej wnętrzu? Nie, nie mógł tego zauważyć. Przecież umiejętnie to ukrywała.

– Jeśli nie zjawi się do jutra, sam go tutaj przywiozę – dodał żartobliwie.

Niestety Biance nie było do śmiechu. Gdy tylko w jej wyobraźni znów ożyła twarz Sama – jego powieki, które zamykał za każdym razem, kiedy pojawiała się obok, zupełnie tak, jakby chciał się przed nią ukryć, kędzierzawe włosy i śniada cera z lekkim śladem zarostu – natychmiast poczuła w sobie miły zamęt i ciepło. Świat zatrzymał się wtedy jak kadr z filmu biograficznego, w którym Sam grał główną rolę.

– Pójdę już. – Olaf zauważył, że nagle straciła humor. – Chciałem tylko podziękować, choć Gosia przekazała mi, że nie muszę przyjeżdżać.

– Miło, że wpadłeś. – Uśmiechnęła się blado. – Na pewno nie chcesz wejść do mamy? – Wiedziała, co odpowie, jednak zaryzykowała i zadała to pytanie.

Znajdowali się kilkanaście metrów od domu Klary. Tym razem Olaf był do tego stopnia ostrożny, że zaparkował przecnicę dalej.

– Na pewno. – Uśmiechnął się, ale to nie był swobodny uśmiech.

Kiedy Bianka zmierzała do bramy, wciąż czuła napięcie, które na tę krótką chwilę nad nimi zawisło.

Ta noc była niespokojna, duszna i ciemna. Mimo że według prognoz akurat dzisiaj wypadła wyjątkowa aktywność Perseidów, trudno byłoby znaleźć na niebie choć jeden świetlisty punkt. Już po dwudziestej trzeciej nad Kazimierzem zawisły chmury, tworząc sieć tak gęstą, że nawet światło księżyca nie mogło się przez nią przebić. Sytuacja wydawała się o tyle dziwna, że dzień był słoneczny i upalny.

Marta i Bianka do późnego wieczoru siedziały w ogrodzie. Mówiły dużo i o niczym. Właściwie w ciepłym powietrzu zbliżającego się zmierzchu, przesyconym intensywną wonią środków na komary, rozbrzmiewał głównie głos Marty. Gospodyni opowiadała o wekach, które wyparzała, żeby przygotować je na przyjęcie kolejnych przetworów, mówiła o Klarze, choć w tej kwestii nic się nie zmieniło, i wciąż narzekała na koty, które robiły się coraz bardziej nachalne.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wraz z nadejściem zmierzchu nad Kazimierzem i jego okolicą zgasły światła. Wyglądało to na awarię prądu. Biance, która wróciła już do pokoju, nie pozostało nic innego, tylko zapalić świecę. Biały knot, który jeszcze nie doświadczył ognia, odchyłał się lekko w jedną stronę, jakby chciał uniknąć bliskiego kontaktu z rozpaloną zapałką. Po chwili jednak otoczyła go złota luna równego płomienia, a w pokoju zrobiło się jaśniej i przytulniej.

Bianka wskoczyła do łóżka, oparła plecy o ścianę i podciągnęła nogi. W domu i na zewnątrz panowała przejmująca cisza. Niewinny blask płomienia coraz śmielej dotykał ścian pokoju, oświetlając uśpione przedmioty. Zbyt dużo myśli przewinęło się przez jej głowę w ciągu dnia, dlatego teraz z ulgą przyjęła tę niczym niezmaconą ciszę. Wokół



pojawiło się coraz więcej zagadek. Wydawało się, że znalazły jakieś sekretne przejście i teraz jedna za drugą przeciskały się do jej życia.

Naraz błogi spokój został zakłócony przez dźwięk na zewnątrz, jakby odgłos zamykanej bramki. Po chwili Bianka usłyszała ciche szuranie, jak gdyby po wysypanej żwirkiem alejce przemykały koty. Na dzisiaj miała już dość tematu kotów, więc zignorowała te szmery. Oparła brodę na kolanach i zmrużyła oczy. Na dole trzasnęły drzwi. Bianka się wyprostowała i opuściła nogi na podłogę, wyęzając słuch. Znow trzask, jakby słabszy, a jednak na tyle donośny, by wzbudzić niepokój. Nocne dźwięki były tym bardziej niepokojące, że nie zdarzały się nigdy wcześniej. Dom zamierał z nadejściem zmierzchu, a budził się dopiero wtedy, kiedy Marta wkraczała do kuchni z całą swoją żywiołowością i otwierając okno, wraz ze świeżym powietrzem wpuszczała do wnętrza dojrzały świt.

I znow trzask, jakby wyraźniejszy, potem kolejny. Po korytarzu niósł się podniesiony głos Klary. Bianka jeszcze mocniej wyęzzyła słuch. Po raz pierwszy słyszała, żeby Klara tak wrzeszczała. Wtórował jej męski głos, nieco spokojniejszy, ale również podniesiony. Bianka podeszła do drzwi, zastanawiając się, czy zejść na dół. Czuła, że rozgrywa się tam istny armagedon. Z tej mieszaniny głosów trudno było wyłowić choć słowo. Kolejne wyrazy i zdania wylatywały jak pociski o dużej sile rażenia. A wyglądało na to, że strony dysponowały pokaźną artylerią.

Bianka podejrzewała, że to Olaf przyszedł, by rozmówić się z matką. Chętnie by mu pomogła, wspierając go w słownej rozgrywce, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby pozostać w cieniu. Mogła tylko pogorszyć swoją i tak nie najlepszą sytuację. Uczestniczyła więc w tej nocnej drace jako niemy świadek, z którego istnienia strony konfliktu zupełnie nie zdawały sobie sprawy. Tak było i wygodnie, i rozważnie.

Nagle głosy ucichły, a wewnątrz domu znow pograżyło się w ciszy. Ale nie była to miła cisza. Nie przyniosła spokoju, który zwykle następuje po gwałtownej burzy. Ta cisza była złowieszcza. Bianka odstąpiła od drzwi i wróciła do łóżka. Usiadła tak jak kilka chwil wcześniej, opierając głowę na kolanach i naciągając na nie koszulę nocną. Zwróciła twarz w stronę świecy, która paliła się spokojnie zgrabnym płomieniem.

Na schodach rozległy się kroki. Bianka zamarła i oderwała plecy od ściany. Kroki stawały się coraz bliższe, coraz bardziej wyraźne i niepokojące. Nagle ustały. Ktoś stał przed drzwiami do jej pokoju. W pierwszej chwili chciała się schować pod kołdrę. Obawiała się jednak, że zdradzi ją oddech, który w tej zastygłej ciszy wydawał się dużo głośniejszy i dużo bardziej świszczący. Jej obecność w pokoju ujawniał też płomień świecy. Choć nikły, rzucał poświatę, ślizgał się pod drzwiami i wychodził na korytarz wąską smużką. Wtem ktoś stojący po drugiej stronie cicho zapukał. Tego bała się najbardziej.

– Proszę – powiedziała obcym, zdławionym głosem.

Drzwi otworzyły się powoli, jak gdyby ktoś się zastanawiał, czy rzeczywiście powinien wejść. Na odwrót było jednak za późno. Już po chwili w bladym świetle świecy Bianka zobaczyła Samuela.

– Sam? – odezwała się. Zamiast ulgi poczuła na ciele uporczywe mrowienie.

– Musimy porozmawiać, Blanche. – Głos Samuela brzmiał dziwnie.

Zamknął za sobą drzwi i powoli ruszył w jej stronę. Ledwie go widziała, lecz z każdym krokiem jego rysy przybierały znajomy kształt. W tej twarzy, niby bliskiej i pociągającej, było jednak coś, czego nie dostrzegła wcześniej. To coś sprawiło, że poczuła jeszcze większy niepokój niż przed chwilą. Dziwne wrażenie na pewno potęgowało to, że Sam nie zamknął oczu. Przecież zawsze to robił. Chował się przed nią, i być może przed sobą, we własnym ciemnym świecie. Ale teraz...

– Sam, o co chodzi? – Odsunęła się, kiedy mężczyzna przysiadł obok niej.

Wciąż nie zamykał oczu, tylko patrzył na jej twarz. No właśnie, Sam na nią patrzył. Nigdy wcześniej tego nie robił, a teraz wydawało się, że ogarnia wzrokiem każdy centymetr jej buzi.

– Jesteś taka piękna, Blanche. – Jego głos skrywał mnóstwo emocji, które wciął w sobie od bardzo długiego czasu. – Chciałem ci to powiedzieć już wcześniej, ale wtedy musiałbym się zdradzić...

– Zdradzić z czym? – Nie spuszczała z niego oczu.

– Jestem idiotą...

– Co?! – Chciała się do niego zbliżyć, ale obawa przed tym, co mogłoby się stać, była silniejsza.

– Powinienem powiedzieć ci to od razu. Potem chciałem to zrobić, ale kiedy tylko się pojawiałaś, tchórzyłem.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – Starła się ukryć zdenerwowanie pod twardą powłoką słów.

– Blanche... ja... nie jestem niewidomy. Ja tylko... To była z mojej strony taka gra... – Z każdym kolejnym słowem jego głos cichnął.

Ta wiadomość niemal rozszarpała Biankę na strzępy. Wcześniej miała przyspieszony oddech, ale teraz wcale nie mogła złapać tchu. Otworzyła usta jak wyrzucona na brzeg ryba, która walczy o przetrwanie.

– O nie! To nieprawda! Żartujesz sobie ze mnie?! – Roześmiała się nerwowo.

– Niestety nie. – Nie przestawał jej się przyglądać.

Zeskoczyła z łóżka i podbiegła do drzwi, jakby chciała przez nie uciec. Nie nacisnęła jednak klamki, tylko przyłgnęła do chłodnej ściany.

– Czyli za każdym razem, kiedy wchodziłam do twojego pokoju, ty... – Nadmiar emocji nagle ścisnął jej gardło. – To obrzydliwe i bezwzględne! – Bianka poczuła, jak pod powiekami zaczęły jej się zbierać łzy. Była jednak zbyt dumna, żeby uronić choć jedną. Nie teraz i nie przy tym mężczyźnie. Może później, gdy on już sobie pójdzie, a ona zatrzaśnie za nim drzwi, da upust swojej bezsilności. Na pewno nie teraz. – Wyjdź! – krzyknęła i obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. – Nie mogę dłużej...

– Daj mi to wszystko wytłumaczyć. – Już po chwili stał przy niej. Nie ośmielił się jednak dotknąć jej ręki, choć początkowo miał taki zamiar. Gdy zmierzył się z jej stalowym wzrokiem, opuściły go resztki odwagi.

– Na to nie ma wytłumaczenia. Rzuciłeś mi tacę pod nogi, gnębiłeś mnie, upokarzałeś na każdym kroku, a ja, głupia, chciałam ci pomóc. – Kiedy usłyszała swój miękki głos, zamilkła.

– Przepraszam. To przez to, że... Sądziłem, że jesteś po jej stronie...

– Po czyjej stronie?!

– Po stronie mojej matki. To ona cię tutaj sprowadziła. Myślałem, że łączą was jakieś tajemne układy. Ona właśnie taka jest. Całe jej życie to jedna wielka intryga.

– Nie jestem po stronie twojej matki, ale... – Urwała, zastanawiając się, czy to właściwy moment, aby powiedzieć Samowi prawdę o umowie, którą zawarła z Klarą. Umowie, która z oddali cuchnęła podstępem. Jednak to, co wyznał jej Sam, przesłoniło wszystko inne. Nie mogła sobie z tym poradzić.

– Moja matka to zła osoba. Wiem, że może to zabrzmiało trochę niezręcznie w ustach syna, ale tak właśnie jest. Zamiast serca ma kawałek tektury, na którym są zapisane wszystkie jej złe uczynki.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Chciałem, nie raz i nie dwa. Tylko że kiedy wchodziłaś do mojego pokoju, za każdym razem, gdy zbliżałaś się do stolika, a potem patrzyłaś na mnie w ten specyficzny sposób, oblatywał mnie strach i nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

– Ale jak w ogóle wpadłeś na ten pomysł? – Mimo wszystko musiała się tego dowiedzieć. Musiała poznać powód, który skłonił Sama do tak perfidnego czynu.

– W wypadku naprawdę straciłem wzrok, ale poza tym właściwie wyszedłem z niego bez szwanku. – W tych kilku słowach było słycać gorycz. – Jak już pewnie wiesz, mój tata poniósł śmierć na miejscu, a ja tylko lekko uderzyłem się w głowę. Przez kilka miesięcy nie widziałem i musiałem nauczyć się żyć w ciemności. Wtedy popadłem w pewnego rodzaju odrętwienie. Jak by ci to wyjaśnić...? Nie tylko świat zewnętrzny stracił barwy, czułem, że wewnątrz mnie też nie ma kolorów. Lekarze orzekli, że utrata wzroku jest zapewne wynikiem szoku po wypadku i po pewnym czasie zdolność widzenia powróci. Żal zabijał mnie jednak kawałek po kawałku, krążył w moich żyłach, zatruwając krew – rzekł dramatycznym tonem. – Kiedy już myślałem, że to koniec, ujrzałem jasne plamy, które w kolejnych dniach ustępowały miejsca niewyraźnym konturom różnych przedmiotów. Gdy dotarło do mnie, że odzyskuję wzrok, wcale nie poczułem się lepiej. Ja żyłem, a mój tata...

– Nie możesz się oskarżać – wymknęło się Biance.

Sam przyłożył palec do ust. Wciąż nie mogła przywyknąć do tego, że na nią patrzy. Że widzi jej twarz, oczy, usta, każde drgnienie powiek zdradzające zdenerwowanie. Naprawdę -starła się go zrozumieć, choć przychodziło jej to z wielkim trudem.

– A potem, kiedy świat wokół znów stał się taki jak kiedyś, wcale nie chciało mi się wracać do dawnego życia, więc postanowiłem to ciągnąć. Chciałem trochę pogłębić matkę, to był mój główny cel. Choć teraz wiem, że moje udawane kalectwo niewiele ją obeszło. Matka nie lubi ludzi słabych, zależnych od innych, moja wrażliwość zawsze stanowiła dla niej problem. Wychowywała mnie twardą ręką, a każdy przejaw mojej emocjonalności po prostu wyśmiewała. Kiedy miałem cztery lata, opiekunka na zajęciach, na które chodziliśmy z Olim, zauważyła, że mam świetny słuch i wyjątkowo dobre poczucie rytmu. Zasugerowała rodzicom, żebym podjął naukę gry na jakimś instrumencie. Tato już na drugi dzień zabrał mnie do szkoły muzycznej. Skrzypce spodobały mi się od razu, w dodatku okazało się, że są stworzone dla mnie. Matka jednak nie znosiła mojej gry, zawsze byłem dla niej małym, słabym chłopczykiem. Dlatego właśnie całą miłość

skupiła na Olafie. Oli od dziecka był przebojowy i pewny siebie. – Nagle przerwał i się zamyślił.

To, co mówił Sam, kompletnie nie pasowało do tego, co zrobiła jego matka. Na pierwszym spotkaniu Bianki z Klarą w szkole muzycznej, kiedy padła ta kuriozalna propozycja, Bianka odniosła wrażenie, że Klara chce mu pomóc. To wydawało się oczywiste – kochająca matka, zmartwiona kalectwem syna, zatrudnia kompetentną osobę, która ma go wesprzeć. Jakże dziewczyna się zdziwiła, gdy po przyjeździe do Kazimierza w ciemnym, ponurym domu zastała zupełnie inną sytuację. Po co Klara ją zatrudniła, skoro tak naprawdę nie zamierzała pomóc Samuelowi? O co w tym wszystkim chodziło?

– Chciałem pozostać dla niej kaleką już na zawsze, żeby ją ukarać – powiedział.

– Sam, bardzo chciałabym cię zrozumieć, ale... – Szok po wyznaniu Samuela wciąż nie pozwalał jej obiektywnie ocenić sytuacji. Współczuła mu, jednak nie umiała mu wybaczyć. Może kiedyś, lecz na pewno nie teraz. – Przepraszam cię, ale muszę to wszystko przemyśleć. Twoja wiadomość... To naprawdę wiele zmienia. Właściwie to zmienia wszystko.

Przybliżył się do niej i tym razem odważył się dotknąć jej ręki. Zrobił to bardzo delikatnie, przesuając dłoń po jej nadgarstku, a zaraz potem cofnął się, niepewny jej reakcji. Ten dotyk sprawił jej niewyobrażalną przyjemność, pozostawił uczucie ciepła, które rozeszło się po jej ciele miłym dreszczem. Mimo to wciąż czuła w ustach gorzki kłamstwa i upokorzenia. Niestety tych emocji było więcej i przysłoniły rozkwitające w niej od dłuższego czasu uczucie.

– Nie gniewaj się, ale chciałabym zostać sama. – Uniosła głowę i pierwszy raz spojrzała mu prosto w oczy.

Miały ten sam znajomy migdałowy odcień, może trochę przygaszony szarością pomieszczenia. Po raz pierwszy Sam przed nią nie uciekał. I nie chodziło o to, że ociemniały wzrok odgradzał ją od niego. Teraz wiedziała, że tak nie było. Tu chodziło o coś więcej. Sam wyszedł na zewnątrz, rozłukł swoją skorupę smutku, wyrzutów sumienia i kłamstwa i odważył się stanąć przed nią bez swojej fingowanej osobowości. Jego pełne nadziei oczy naprawdę na nią patrzyły, dostrzegając nie tylko jej powierzchowność, ale i zagmatwane wnętrze.

– Mam nadzieję, że mi to kiedyś wybaczysz, Blanche. – Mimo smutnego spojrzenia zdobył się na uśmiech. Kąciki jego ust zawsze unosiły się lekko, kiedy wymawiał słowo „Blanche”, a ona czuła w sobie wówczas miłe ciepło. – Na razie zostaję, choć Bóg raczy wiedzieć, czy wytrzymam tu do rana. – Jego twarz znów sposepniała.

– Pokłóciłeś się z matką, słyszałam – rzekła Bianka.

– Tak, rzeczywiście dałem upust złości. Powiedzmy, że trochę mnie poniosło.

– Nie chcę się wtrącać, ale...

– To się nie wtrącaj, Blanche. W moim... W życiu naszej rodziny jest wiele spraw, o których nie masz pojęcia. Więc lepiej o nic nie pytaj. I nie wymawiaj przy mnie imienia mojej matki. – Sam zacisnął usta.

– W porządku, nie chciałam cię urazić. – Poczowała się głupio, więc spuściła wzrok.

Sam jeszcze raz spojrzał na nią ciepło, w charakterystyczny dla siebie sposób. Kiedy znalazł się za drzwiami, rzucił jeszcze na pożegnanie:

- Dobranoc, Blanche.
- Dobranoc – odpowiedziała.

Ochota, by rzucić się w stronę Sama, zatrzymać go i przytulić się do niego, była w niej równie silna jak chęć, by wymierzyć mu siarczysty policzek. Ta sprzeczność sprawiała, że Bianka niemal traciła zmysły. Zatrzasnęła drzwi, lecz nie odeszła, na wypadek gdyby Sam zdecydował się wrócić. Wiedziała, że on też stoi po drugiej stronie, walcząc z pokusą, by wejść jeszcze raz i zacząć wszystko od początku. W końcu odszedł. Nie słyszała jego kroków, ale czuła, że już go tam nie ma.

Zdmuchnęła świecę. Skłębiony sznureczek dymu rozszedł się po całym pokoju nieprzyjemną wonią. Weszła do łóżka i wtuliła się w poduszkę. Nie marzyła o niczym innym, tylko o tym, by wymazać z pamięci ostatnie minuty. Ale mimo to pod powiekami widziała tylko Samuela i wbrew sobie niemal do rana odtwarzała w pamięci każdą chwilę tego spotkania.

Ranek zastał ją zupełnie nieprzygotowaną, by rozpocząć nowy dzień. Skąpa ilość snu odbiła się na jej twarzy, która była dziś wyjątkowo blada. Bianka najchętniej do wieczora pozostałaby w łóżku, ale niestety trzeba było się zmierzyć z przyszłymi godzinami, zwłaszcza że wskazówki zegara dochodziły już do siódemki. Teraz, w świetle poranka, nocna rozmowa wydawała się tylko majakiem. Mimo to obawiała się zejść na dół, bała się spotkania z Samuelem. Ten ranek był zupełnie inny od wcześniejszych spędzonych w tym domu.

– A niech to! – Marta energicznie turlała wałek po drewnianej stolnicy, próbując rozpląszyć sprężyste ciasto, ale pozostawało odporne na jej zabiegi.

Bianka stanęła w drzwiach i przez dłuższy czas przypatrywała się kobiecie bez słowa. Wałek poruszany sprawną ręką gospodyni toczył się raz wolniej, raz szybciej, wprawiając w drganie nie tylko jesionowy blat, ale i wiszącą nad nim półkę, na której ułożono słoiki z suszonymi ziołami. Wraz z kolejnym uniesieniem wałka wzrok Marty powędrował do tyłu.

– Na miłość boską, aleś mnie wystraszyła! – Wałek wypadł z rąk Marty, poturlał się po blacie i zatrzymał dopiero przy wyłożonej kafelkami ścianie.

– Przepraszam. Po prostu się zamyśliłam, nie chciałam przeszkadzać. – Bianka weszła do kuchni, zatrzymała się przy Marcie i smętnie zwiesiła wzrok.

– O co chodzi? – Gospodyni otrzepała dłonie z mąki, poprawiła fartuch i uważnie spojrzęła na Biankę.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nadal miała w głowie pustkę. Kiedy schodziła na dół, próbowała zebrać słowa, za pomocą których opisze Marcie sytuację związaną z Samuelem. Okazało się jednak, że nie ma takich słów.

Marta przysunęła taboret.

– Siadaj i mów, co się stało.

Bianka przycupnęła na krawędzi, a Marta popatrzyła na nią wzrokiem strażnika.

– Dlaczego myślisz pani, że coś się stało? – Plecy Bianki przypominały napięty łuk.

Nieustępliwy wzrok Marty sprawił, że w Biance coś pękło. Od nocnej rozmowy z Samem czuła się tak, jakby spadła ze szczytu góry i utknęła w szczelinie, gdzie nikt jej nie widzi. Teraz stała nad nią Marta, wyciągając pomocną dłoń. Tylko jej mogła zaufać.

– On nie jest niewidomy. – Głos Bianki brzmiał obco.

Marta popatrzyła na nią tak, jakby domagała się wyjaśnień.

– Samuel – dodała ciszej Bianka.

– Skąd o tym wiesz? – spytała konkretnie Marta, jak gdyby ta wiadomość wcale nie zrobiła na niej wrażenia.

– Powiedział mi o tym.

– Wrócił do domu? – Marta odwróciła się w stronę holu i schodów.

Bianka skinęła głową. Rozniecone na nowo emocje nie pozwoliły jej dłużej usiedzieć, więc się podniosła, a potem zaczęła nerwowo krążyć po kuchni, nie zwracając uwagi na Martę.

– Uspokój się i wszystko mi opowiedz – nakazała Marta zdecydowanym, niemal surowym tonem.

Bianka przybliżyła się do stolnicy, na której leżało już lekko obeschnięte ciasto, i żeby zająć czymś ręce, zaczęła zwijać jego brzegi. Marta nie naciskała, tylko cierpliwie czekała, aż Bianka sama zacznie mówić. W końcu dziewczyna przerwała ciszę i w kilku nieskładnych zdaniach zdała relację z nocnych wydarzeń.

– Chcesz kawy? – To były pierwsze słowa, które Marta wypowiedziała po wysłuchaniu jej opowieści.

Bianka spojrzała na nią ze zdziwieniem. Sądziła, że Marta zasypie ją pytaniami.

– Chyba dobrze mi robi.

Kobieta obróciła się tanecznym ruchem. Wyglądała jak rosyjska matrioszka: jej szeroka spódnica w duże kolorowe kwiaty rozłożyła się, a wąska tasiemka zwisająca z marszczonego paska wykonała kilka szybkich piruetów.

– Mówiłam ci, że to dziwna rodzina – stwierdziła Marta. – Wykazałaś się nie lada odwagą, że w ogóle zdecydowałaś się tu przyjechać i zamieszkać.

– Przecież pani wie...

– Wiem, ale to nie zmienia tego, co o tym wszystkim myślę.

– Sądzi pani, że niepotrzebnie przyjąłam tę propozycję?

– Ależ skąd, tego nie powiedziałam. Zastanawiam się tylko, o co tak naprawdę chodziło Klarze, bo w jej dobre intencje raczej wątpię. A teraz jeszcze ta wiadomość...

Przecież to całkowicie zmienia postać rzeczy.

– Myśli pani, że powinnam mu powiedzieć?

– Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. – Marta zignorowała jej pytanie.

Bianka nie odważyła się zapytać jeszcze raz. Wtem wzrok obu kobiet przesunął się w bok, w stronę ciemnego holu. Właśnie wyłoniła się z niego woskowa twarz Vincenta. Jego ciemny uniform zlewał się z otoczeniem, więc głowa, otoczona aureolą siwych włosów, zdawała się płynąć w powietrzu. Zanim stanął przed nimi, Bianka z Martą zdążyły jeszcze wymienić zaskoczone spojrzenia.

– Marto, proszę przygotować śniadanie. Pani Klara prosiła przekazać, że za piętnaście minut pojawi się przy stole – rzekł surowym tonem, nawet nie patrząc w ich kierunku. Zanim wymówił kwestię do końca, już widziały tył jego sylwetki: zbyt szeroką marynarkę zwisającą smętnie z nader szczupłych ramion i nogawki spodni wprawione w ruch przez przyspieszony chód jego patykowatych nóg.

Marta z Bianką znów wymieniły spojrzenia.

– Szykują się zmiany – powiedziała Marta niepewnym głosem. – Wygląda na to, że pierogi muszą poczekać. Czas przygotować śniadanie. Klara może mieć wilczy apetyt po tym poście. – Próbowała humorem rozładować atmosferę.

Bianka odpowiedziała jej niewyraźnym uśmiechem.

– Pomogę pani. – Złapała za białą ceramiczną miseczkę wypełnioną borówkami, niecierpliwie czekającymi, by schować się w miękkiej poduszce zwiniętego pieroga. Z naczyń przyciśniętym do piersi i niezdecydowaniem wypisanym na twarzy stanęła na środku kuchni, rozglądając się wokół, jakby szukała punktu zaczepienia.

– Lodówka, trzecia półka od góry, obok dzbanka z koktajlem malinowym – powiedziała Marta mentorskim tonem.

Bianka otworzyła lodówkę i schowała miseczkę. Po chwili gospodyni wpadła w wir obowiązków z takim zapalem, że po prostu przestała zwracać uwagę na dziewczynę. Aby nie przeszkadzać, Bianka dyskretnie wyszła do jadalni. Poprawiła obrus, który i tak wyglądał jak spod igły, i odsunęła lekko krzesła, by wykończona ozdobną lamówką tkanina nie dotykała ich oparć. Nie wiedzieć czemu chciała, żeby podczas tego śniadania wszystko wyglądało idealnie. Po kilku minutach większość stołu zajęły tacki, salaterki i talerzyki, wszystkie wypełnione świeżymi przysmakami. Tworzyły wielobarwną mozaikę na tle białego obrusu. Było widać, że Marcie też wyjątkowo zależy na atrakcyjności tego posiłku.

Długo wpatrywały się w hol, wyczekując dwóch chudych postaci w ciemnych szatach. Klara i Vincent pojawili się dokładnie kwadrans po wizycie lokaja w kuchni. Klara, jak zwykle w ascetycznej, przylegającej do ciała sukni i z włosami ciasno upiętymi z tyłu głowy, wydawała się znacznie szczuplejsza niż ostatnio. Jej pozbawione blasku oczy przesunęły się powoli, lustrując stół.

– Dzień dobry – odezwała się zmatowiałym głosem.

– Dzień dobry – odpowiedziały jednocześnie Bianka z Martą.

Klara podeszła do kredensu i wzięła krucyfiks, lichtarze i brewiarz. Położyła świeczniki na stole w wyznaczonym miejscu, którego Marta nie ważyła się niczym zapełnić. Vincent zapalił świece i po chwili w przestronnym pokoju jadalnym zapanował nastrój zadumy. Klara tak jak zazwyczaj odczytała wybraną kwestię z brewiarza, a następnie przekazała księgę modlitw w ręce Vincenta, po czym wszyscy troje usiedli do stołu.

Bianka odchyliła głowę, szukając spojrzenia Marty, ale napotkała tylko falujący tył jej sylwetki. Aby ukryć zmieszanie, niepewnie się uśmiechnęła. Powściągliwy wyraz twarzy Klary nie zachęcał do podjęcia rozmowy. Zamknięte usta, które otwierały się tylko na chwilę, by mogła wetknąć w nie kawałek sera pleśniowego i zwilżyć je ulubioną herbatą golden screw, pośrodku jej zapadłych policzków wyglądały jak samotna wyspa. Szara deszczowa chmura, która przypląnęła do kuchni wraz z pojawieniem się Vincenta, teraz przemieściła się do jadalni i zawisła nad stołem, grożąc nawałnicą.

Talerz Bianki, podobnie jak talerz pani domu, był prawie pusty. Dziewczyna nie była w stanie nic przełknąć. Co chwila zawieszala wzrok na umęczonej sylwetce Chrystusa na krucyfiksie, modląc się w duchu, by Klara odeszła od stołu, a cała ta farsa

zwana śniadaniem jak najszybciej się skończyła. Pokrętność sytuacji była nie do zniesienia. Kiedy Klara głośno odłożyła sztucce na prawie czysty talerzyk, Bianka wypuściła z ust nagromadzone powietrze i uciekła wzrokiem w stronę schodów – niemal czuła pod stopami ich gładkie drewniane stopnie.

Wtem w anemicznym świetle lampki przy schodach Bianka dostrzegła Sama. Schodził powoli, jakby nie był pewien, czy rzeczywiście jego zamiarem jest znalezienie się na dole. Bianka poczuła niepokój. Samuel, Klara i ona przy jednym stole – to nie wróżyło nic dobrego. Czuła, jak chmura wisząca pod sufitem gwałtownie się powiększa, a atmosfera gęstnieje do tego stopnia, że coraz trudniej oddychać. Na ułamek sekundy spojrzenia jej i Sama się skrzyżowały, a w miejscu ich przecięcia rozbłysła niewidoczna iskra.

Już po chwili Samuel stał przy stole i opierał dłonie na krześle. Marta na moment wychyliła się zza kuchennej ściany, jednak nim Bianka zdążyła uchwycić jej przerażone spojrzenie, gospodyni już zniknęła z pola widzenia.

– O, widzę, że zdążyłem na śniadanie. – Samuel chciał sprawiać wrażenie rozluźnionego, ale zbyt wysoko uniesiona głowa i lekko zmrużone powieki w jakimś sensie temu przeczyły.

– Czyżbyś zapomniał o zasadach panujących w tym domu? Śniadanie jemy o wpół do dziewiątej. – Klara też próbowała ukryć zdenerwowanie.

– Najważniejsze, że jeszcze sporo zostało. – Sam zbagatelizował to, co powiedziała matka, rozsiadł się i nałożył sobie na talerzyk dużą porcję jedzenia. Jego wzrok padł na zapalone świece. Płomień jednej z nich świecił nierówno, wypuszczając z czubka wąski sznureczek dymu. – Czy to konieczne? – Podniósł się z krzesła i przechylił w stronę lichtarzy, nabierając w usta powietrze.

– Nawet się nie waż! – Klara natychmiast go zrugowała. – W naszej rodzinie od lat panują określone zasady – powtórzyła twardo.

Na ustach Sama pojawił się ironiczny uśmiech.

– Może i panują, ale nie każdy musi ich przestrzegać. – Wyraźnie starał się sprowokować matkę.

– Jesteś bezczelny! – Mimo usilnych starań Klarze nie udało się zachować spokoju.

– Wiem o tym – rzekł, przegryzając kawałek papryczki faszerowanej serem.

Vincent zmierzył Samuela wzrokiem, wstał i lekko nachylił się nad swoją panią.

– Pani Klaro, może pora zakończyć posiłek? – zaproponował w dobrej wierze, ale został przez nią skarcony.

– Vincencie, pozwól, że ja zadecyduję o tym, kiedy mam odejść od stołu – powiedziała ostrym tonem, nie podnosząc na niego wzroku. Cała jej uwaga skupiła się na Samuelu. Przyglądała mu się bojowo, jak gdyby zbierała siłę do walki.

Sam nadal grał dobrze wyuczoną rolę niegrzecznego chłopca. Rozpiął najwyższy guzik koszulki polo i wrócił do posiłku.

Nagle w wyrazie twarzy Klary coś się zmieniło. W jej chłodnych oczach pojawił się niespokojny błysk, zupełnie tak, jakby zdała sobie sprawę ze swojej przewagi.

– Nie dokończyliśmy wczorajszej rozmowy, synu. – Jej usta ironicznie rozeszły się na boki.



– Tak? – Sam odwzajemnił spojrzenie, ale stracił nieco wcześniejszej pewności siebie.

Klara się nie odezwała, tylko obserwowała go spod lekko uniesionych brwi.

– A mnie się wydawało, że już wszystko sobie powiedzieliśmy, mamusiu. – Na moment odwrócił wzrok, czuł bowiem, że Klara zyskuje nad nim przewagę.

Uśmiechnęła się chytrze, odsunęła krzesło i wstała. Bez słowa odeszła od stołu i wąskim holem ruszyła do swojego pokoju. Jej nagłe wyjście wprowadziło pozostałych w osłupienie. Bianka i Sam wymienili tylko ukradkowe spojrzenia, a Vincent, odzyskawszy władzę w kończynach, popędził w ślad za swoją panią. Bianka popatrzyła na Samuela pewniej. Uśmiechnął się do niej, przeżuując kolejny kęs, a pomiędzy nimi znów przeszedł nagły błysk, coś jak nić porozumienia, które czyniło z nich sojuszników. Bianka poczuła, że niezależnie od wszystkiego zawsze będzie po jego stronie. Tylko czy on zechce stanąć obok niej?

Po tym, jak Klara i Vincent odeszli od stołu, oddychało się znacznie swobodniej. W pewnym momencie Sam przechylił się i zgasił świece. Skręcone paski dymu uleciały do góry i rozeszły się wzdłuż sufitu. Znów zerknął na Biankę porozumiewawczo. Luźna atmosfera w jadalni nie trwała zbyt długo. Nikt nie przypuszczał, że Klara wróci. A jednak...

Stukot butów na obcasie niósł się echem po pomieszczeniu. Sam zmarszczył brwi. Spoglądał w stronę Klary z wyczekiwaniem. Kiedy matka znalazła się przy stole, pomału rozsiadła się na tym samym krześle co wcześniej, naprzeciw syna.

– Rzuć na to okiem. – Cisnęła na stół dwie spięte kartki pokryte czarnym drukiem.

– Co to jest? – spytał, niechętnie unosząc wzrok znad stołu.

– Zobacz – odezwała się Klara judaszowym głosem.

Sam długo mierzył wzrokiem leżące przed nim kartki, jakby doszukiwał się podstępów. Po chwili jednak sięgnął po nie ostrożnie i zaczął czytać. Nieznacznie poblądł, a jego oczy zrobiły się nienaturalnie małe.

– Co to ma znaczyć? – spytał, ledwie otwierając usta.

– Ach, to. – Klara niedbale machnęła ręką, a na jej twarzy pojawił się słodki, sztuczny uśmiech. – Mówiłam, że wczoraj nie dokończyliśmy rozmowy, a ja...

– O co tu chodzi?! – przerwał jej gwałtownie, unosząc kartki.

Żadne z nich nie patrzyło na Biankę, przez co czuła się ona wyłączona z rozmowy. Żłudna wolność nie trwała jednak zbyt długo.

– Nie jesteś ciekaw, dlaczego pani Bianka pojawiła się w naszym domu? – Głos Klary nadal przepełniała nienaturalna słodycz.

Bianka drgnęła, czując w kończynach nagły odpływ sił.

– Nie wiem, do czego zmierzasz. Powiedz wprost, o co ci chodzi – rzekł Sam chłodno. Od początku podejrzewał, że Bianka coś przed nim ukrywa, nie mogła przecież znaleźć się w domu jego szurniętej matki bez konkretnego powodu. Wielokrotnie próbował ją rozgryźć, ale żadne sensowne wytłumaczenie nie przychodziło mu do głowy.

– Pani Bianka pojawiła się w tym domu z twojego powodu. – Na twarzy Klary widać było satysfakcję.

– Dlaczego sądzisz, że mnie to interesuje? Przecież to ty zatrudniłaś Biankę. Łączą

was sprawy, które mnie nie dotyczą – powiedział trochę niepewnym głosem.

– I tu się mylisz, mój drogi. – Klara sztucznie zachichotała. – Słyszałaś, skarbie? – zwróciła się do dziewczyny. – Podobno nic go nie obchodzisz, a ja przez moment odniosłam wrażenie, że jest inaczej.

– Pani Klaro... – zaczęła Bianka nieśmiało, jednak zabrakło jej odwagi, żeby kontynuować.

– Jak się okazało, nasza umowa nie miała sensu. Kochany Sami zagrał nam na nosie. – W oczach Klary pojawił się błysk złości. – Oczywiście nie każę ci zwracać zaliczki, ale sama rozumiesz, że dalsza współpraca nie ma sensu.

– Tak. – Bianka bezradnie spuściła głowę.

– Najlepiej by było, gdybyś wyjechała jeszcze dzisiaj. Nie widzę powodu, żeby dalej ciągnąć tę farsę.

– Wyjadę zaraz po śniadaniu. – Bianka na moment uniosła wzrok, ale gdy poczuła palące spojrzenie Sama, znów spuściła głowę.

– No dobrze. – Sam nie wytrzymał. Jego plecy przylgnęły do oparcia krzesła. Na bladym policzku pojawił się rumieniec niezdrowej ekscytacji. – Widzę, że aż się palisz, żeby mi o tym powiedzieć. Słucham... – Utkwił wzrok w twarzy matki.

– A jednak. – Klara uśmiechnęła się złośliwie.

Ramiona Samuela się zaokrągliły, a twarz sposepniała. Nie zdobył się już na kolejne pytanie, tylko czekał, aż matka zakończy swoją wyrafinowaną grę, której głównym celem było wyprowadzenie go z równowagi.

Klara sięgnęła po dzbanek i nalała sobie herbaty. Następnie przyłożyła porcelanową filiżankę do ust, żeby rozkoszować się wyszukany smakiem napoju.

– Sami, kochanie – odłożyła filiżankę na spodeczek – powiedz mi: co jest, albo raczej co było, w twoim życiu najważniejsze? – Upajała się słowami tak jak smakiem ulubionej herbaty.

– O co ci chodzi? – Sam poczuł się zbity z tropu. Nie miał pojęcia, do czego zmierza jego matka.

– No nie bądź taki niedomyślny. – Wbiła w niego upiorne spojrzenie.

Sam, który obawiał się prowokacji ze strony matki, wybrał milczenie.

– Dobrze. – Klara prychnęła. – W takim razie cię wyręczę. Nigdy nie kochałeś niczego i nikogo bardziej od swojego diabelskiego instrumentu i cikliwej muzyki. Muszę przyznać, że ty i twoje skrzypce idealnie do siebie pasowaliście – rzekła z niesmakiem i upiła łyk herbaty, jakby chciała zmyć z ust niemiłe wrażenie po ostatnich słowach.

Sam siedział nieruchomo.

– Wiesz, po co ją tu ściągnęłam? – Klara nagle przeszła do konkretów, a Bianka poczuła się jak nic nieznaczący pyłek unoszący się w dusznym powietrzu, w którym złość miesza się z ciekawością i chęcią poznania prawdy.

Samuel wciąż milczał.

– Ta dziewczyna miała przywrócić ci wiarę! – Uniosła głos jak zła królowa przemawiająca do wystraszonych dworzan.

– Nie rozumiem... – Sam starał się unikać wzroku matki. Naprawdę nie miał pojęcia, o co chodzi, a chciał mieć to już za sobą. – Wyrażaj się jaśniej. – Wysilił się na

obojętny ton.

– Nie rozumiesz... – Wciąż się nim bawiła jak kocica, która zapędziła w kąt małą, przerażoną mysz. – No dobrze, chyba muszę...

– Proszę przestać! – Bianka nagle uniosła głowę. I tak nie miała już nic do stracenia, postanowiła więc przerwać tę żenującą rozmowę.

– Twoja matka zatrudniła mnie, żebym pomogła ci odzyskać wiarę w siebie – powiedziała niezrażona, mimo karcącego wzroku Klary.

Sam spojrzał na nią pytająco.

– Jestem nauczycielką muzyki. Miałam sprawić, żebyś znów wziął do rąk skrzypce, żebyś zaczął grać. Niestety nie udało mi się to. – Nie odrywała wzroku od białej twarzy Samuela.

Mężczyzna patrzył na nią tak, jakby nie rozumiał ani jednego jej słowa.

– Ja... tylko chciałam pomóc – dodała cicho, czując na sobie jego pełne urazy spojrzenie.

– I przez przypadek zażądałaś za tę niewielką przysługę całkiem sporej sumki. Nieładnie. – Klara teatralnie pokręciła głową, po czym wycelowała palec wskazujący w odpowiedni fragment umowy.

Sam, tak jak domyślała się jego matka, nie pozostał wobec tej wiadomości obojętny. Na jego twarzy pojawiła się cała gama uczuć, od złości i niemocy po zniecierpliwienie i bunt, dlatego że został w to wszystko wciągnięty wbrew sobie.

– Pani Klaro, sama zaproponowała pani tę kwotę. Ja tylko...

– Nie sądziłem, że jesteś zdolna do czegoś takiego! – Lodowate spojrzenie Sama zmroziło Biankę do kości.

Nie była w stanie się ruszyć, nie mogła się skoncentrować, chciała tylko odejść. Przecież i tak nie miała już żadnej szansy. Klara przedstawiła ją w wyjątkowo niekorzystnym świetle. Na domiar złego zdradliwa umowa, teraz leżąca przed oczami Sama, potwierdzała słowa jego matki.

– No cóż, kochany, dzisiejsze młode kobiety są bardzo interesowne, zależy im tylko na pieniądzech. Powinieneś rozsądniej lokować uczucia.

– Dość tego! – Sam wstał i pospiesznie oddalił się od stołu.

Kiedy znalazł się przy schodach, chwycił za balustradę i obejrzał się w kierunku jadalni. Wyglądało to tak, jakby chciał coś powiedzieć. Ale jeśli miał taki zamiar, to z niego zrezygnował. Oderwał dłoń od wygiętego zakończenia barierki, po czym dwukrotnie uderzył pięścią w to miejsce i pognał na górę.

Długo trwało, zanim Bianka odzyskała władzę w nogach, a jej struny głosowe mogły znów wydać jakiś dźwięk.

– Dlaczego pani to zrobiła? – Cichy szept Bianki brzmiał oskarżycielsko.

Klara się roześmiała.

– Przecież w tym wszystkim nie chodziło o pani syna. Nie zależy pani na Samuelu – powiedziała Bianka.

– Zamilcz! Co ty możesz wiedzieć o uczuciach macierzyńskich?! Co ty wiesz na temat miłości?! – zawołała z wrogością.

Bianka się podniosła. Uznała, że dalsza rozmowa nie przyniesie nic dobrego. Klara

z jakiegoś powodu skierowała na nią całą swoją złość. W tej sytuacji ucieczka wydawała się jedynym rozsądnym posunięciem. Nie zamierzała dać Klarze satysfakcji i ulegle nadstawić policzka.

– Uwierz mi, miałam swoje powody, żeby cię tutaj ściągnąć, ale teraz to i tak nieważne. Osiągnęłam to, co chciałam. A nawet więcej niż planowałam. – Kąciki ust Klary uniosły się w sfinksowym uśmiechu.

– Zaraz opuszczę pani dom, proszę się nie martwić.

Bianka uciekła na górę, zanim jednak wyszła z jadalni, dostrzegła pełen współczucia wzrok Marty.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, od razu wytaszczyła walizkę na środek pomieszczenia. Rozsunęła ją w pośpiechu i zaczęła wrzucać do niej ubrania. „Co ja sobie myślałam, przyjeżdżając tutaj? Mogłam posłuchać tatka. On od samego początku wiedział, że ten pomysł jest skazany na porażkę. A tak nie dość, że z wielkim hukiem spadłam na twardą ziemię, to jeszcze w oczach Sama wyszłam na krętaczkę, dla której liczy się tylko stan portfela”.

Powiodła oczami po ścianach, po sprzętach, które po dwumiesięcznym użytkowaniu stały się znajome. Zatrzymała wzrok na ścianie oddzielającej ją od Samuela. „Powinnam z nim jeszcze porozmawiać – pomyślała. Wewnątrz czuła wir emocji, rytmiczne pulsowanie, które prowadziło ją wprost do drzwi. – A co tam, spróbuję. Nie darowałabym sobie, gdybym odeszła bez słowa”.

Już po chwili stała naprzeciw pokoju Sama. Zapukała, czuła mrowienie w opuszkach palców. Odpowiedziała jej cisza. Ośmieliła się ponownie zastukać, ale i tym razem Sam się nie odezwał. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

– Sam?

Pokój był pusty. Z powodu zasuniętej zasłony do wnętrza wpadała nikła ilość światła.

– Sam? – powtórzyła z rezygnacją w głosie.

Jej wzrok padł na łóżko. Tak jak poprzednio przyciągało schludnym wyglądem równo zaścielonej narzuty. Niestety tym razem nie było na niej tomiku z poezją Leśmiana. Bianka przeleciała wzrokiem półki, na które Sam mógł go odłożyć, ale książki nigdzie nie było.

Poczuła dotkliwy zawód, że odebrano jej ostatnią szansę na wyjaśnienie. Że Sam wyszedł, a właściwie uciekł, bez pożegnania. Jakaś jej część oszukiwała się, że Samuel będzie chciał z nią jeszcze porozmawiać o tej sytuacji, że zażąda wyjaśnień. Stwierdziła, że wszystko byłoby lepsze od jego ucieczki. Jeszcze raz rozejrzała się po pokoju i wyszła z podkulonym ogonem.

– Chciałaś wyjechać bez pożegnania? – Głos Marty wyrwał Biankę z zamyślenia.

Dziewczyna po raz ostatni spoglądała na wierzchołki starych drzew rosnących przy frontowej części domu Klary. Pomału odwróciła się od okna.

– Będę za panią tęsknić – powiedziała.

Marta podeszła do niej i ją przytuliła.

– Przykro mi, że tak wyszło. – Pogładziła Biankę po włosach, zakręcając ich końce tak, jak zwykł to robić Zygmunt.

- Mnie też – odpowiedziała Bianka, czując łyzy zbierające się pod powiekami.
- Wracasz do Poznania? – zapytała Marta po chwili.
- Tak – odparła smutno.

Z jednej strony cieszyła się, że za kilka godzin zobaczy tatka, ale z drugiej – trudno było jej przyjąć gorycz porażki i stanąć przed nim z wysoko uniesionym czołem. Przecież Zygmunt od początku uważał, że jego córka porywa się z motyką na słońce.

Marta natychmiast wyczuła wahanie Bianki.

– Możesz pojechać do Gosi i zatrzymać się u niej na jakiś czas. Na pewno się ucieszy – rzekła z uśmiechem.

Bianka się odsunęła, żeby spojrzeć na Martę z pewnej odległości, jakby oceniała prawdziwość tej propozycji.

– Nie chciałabym przeszkadzać Gosi. Ma własne kłopoty, a moje towarzystwo na pewno nie będzie dzisiaj należeć do najprzyjemniejszych.

– Myślę, że obu wam dobrze zrobi rozmowa.

– Obawiam się, że...

– Żadnego „obawiam się”!

– Pojadę na Fiołkowe Wzgórze pożegnać się z Gosią. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Oj, na pewno wyniknie z tego wiele dobrego. Pod warunkiem że będziecie omijały piwniczkę z winami. – Marta uniosła palec i się uśmiechnęła.

– Tego nie mogę obiecać. – Bianka odpowiedziała Marcie podobnym uśmiechem.

Kiedy zatrzaśniwała drzwi samochodu i odpalała silnik, czuła smutek i jakiś dziwny sentyment do tego ponurego domu. Gdy tutaj przyjechała, nie sądziła, że będzie miała problem, żeby rozstać się z tym miejscem. A jednak...

Marta stała przed rozchyloną bramą, dopóki tył auta nie zniknął jej z oczu.

Tego słonecznego dnia Fiołkowe Wzgórze tonęło w upale. Bianka zaparkowała pod bramą i rozejrzała się wokół z nadzieją, że zaraz dojrzy Małgosię. Zamiast koleżanki od strony bocznego wejścia na plantację zamajaczyła jej znajoma sylwetka Rysia. Pomachała do niego, a on przyspieszył. W jednej ręce niósł sekator. Gdy doszedł do bramy, serdecznie się przywitali. Mężczyzna, który bardzo stęsknił się za Bianką, uściskał ją tak mocno, że omal nie zabrakło jej tchu.

Kiedy przypomniało jej się, że niedługo wyjeżdża, posmutniała. Już zaczęła tęsknić za Ryśkiem i Serafiną, za ich chałupą i czarnym jak węgiel Barnabą. Za niedzisiejszym Mięćmierzem ze starym wiatrakiem, za dobrodusznym Anatolem i jego sadem pełnym złotych antonówek, za srebrną wstążką Wisły, którą podziwiała, wspinając się na wzgórze. Obrazy pojawiały się jeden po drugim, wywołując przyjemne doznania, a w oku zakręciła się jej łezka. Bianka pociągnęła nosem i zasłoniła twarz dłońmi, żeby ukryć nieoczekiwany przejaw wzruszenia. Nie umknęło to uwadze Rysia.

– A coś ty taka...? – Cofnął się, aby lepiej jej się przyjrzeć.

– Będę za wami tęsknić. – Odsłoniła twarz, ukazując szkliste oczy.

– Czemu masz za nami tęsknić? Przecież ja i babka nigdzie się nie wybieramy. – Przyglądał jej się uważnie, aż w końcu go olśniło. – Aaa, znaczy, że ty gdzieś jedziesz. – Zagwizdał, a Biankę ogarnęło jeszcze większe wzruszenie.

Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie przy murku na wiślanym bulwarze. Przed oczami stały jej zmęczona twarz Rysia i zmięta dwudziestka, którą w przyływie hojności mu wręczyła, wskutek czego z zaskoczenia aż rozdziawił usta. Jakże inaczej wyglądał teraz. Wyprostowany i z jasnym spojrzeniem, patrzył śmiało hen daleko, aż po sam horyzont. Zdrowe dłonie pewnie trzymały sekator, jakby to była dla niego najważniejsza rzecz. Słońce świeciło mu prosto w twarz, a Rysio, nasuwając na czoło daszek czerwonej bejsbolówki, uśmiechał się zawadiacko i z zadowolenia mrużył oczy.

– Zapomniałem, żeś ty nie nasza. A szkoda... – rzekł konkretnie, po męsku, w obawie, że gdy pozwoli sobie na lżejszy ton, zaraz udzieli mu się nastrój Bianki. – Ale przecież kiedyś nas odwiedzisz – dodał po chwili, chcąc ją pocieszyć. Przechylił się i konspiracyjnie szepnął jej do ucha: – Babka by ci nie darowała, gdybyś do niej jeszcze nie zajrzała przed... no wiesz... zanim w zaświaty odejdziesz.

Bianka się uśmiechnęła, a Rysio mówił dalej:

– Drogi do bramy Świętego Pietra nie znajdzie i w grobie będzie się przewracać, jeśli z nią jeszcze przy stole nie usiądziesz.

– Na pewno was odwiedzę – powiedziała, choć zdawała sobie sprawę, że trudno jej będzie wywiązać się z tej obietnicy. Kiedy zaczynał się rok szkolny, a ona wpadała w wir obowiązków, czas płynął jakby szybciej.

– No, ja myślę. Powiem babce, żeby się nie martwiła, bo na pewno o niej nie zapomnisz.

– Nie zapomnę. – Bianka pociągnęła nosem, zła na siebie, że tak łatwo się rozkleiła. Wtem furtka się otworzyła i stała w niej roześmiana Gosia.

– Co za spotkanie! – Zmrużyła swoje ładne ciemne oczy, które teraz, w blasku dnia, przybrały odcień dojrzałych kasztanów.

– Pani Gosiu, nie chcę przeszkadzać, ale robota goni. Skończyłem te cztery rzędy od góry przy lawendach. A teraz co? – Rysio odwrócił się tyłem do słońca i wlepił w Małgosię szeroko otwarte oczy.

– Już pan się z tym uporał? – W słowach Gosi dało się słyszeć szczery podziw.

Rysio, łasy na pochwały, odczytał komplement między słowami szefowej.

– Ano już. Co to dla takiego chłopaka jak ja? – Nie udało mu się ukryć dumy w głosie.

– No to może pan sobie trochę odpocznie, napijemy się soczku. Zapraszam. – Wskazała na furtkę.

– Co to, to nie, w końcu w robocie jestem – powiedział spłoszony.

– Panie Ryśku, nalegam. Słońce praży, przyda się panu chwila na złapanie oddechu.

– W robocie jestem, a oddechu nie muszę łapać, bo jest tam, gdzie trzeba. –

Pogładził klatkę piersiową.

– Naprawdę nie da się pan przekonać?

Pokręcił głową.

– W takim razie niech pan wróci do pierwszego rzędu z lewej strony, tego przy rozmarynie, a potem w górę. – Gosia uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Rysio był jednym z najlepszych pracowników, jednak czasami odnosiła wrażenie, że pracuje za dużo. Nie chciała go wykorzystywać, ale tak poważnie podchodził do powierzonych mu zadań, że obrazę stanowiło dla niego to, że ktoś odciąga go od obowiązków.

– To ja uciekam, nie ma co czasu marnować. A odpocznę, jak do chałupy wrócę. Babka jakoś ostatnio złagodniała. Jak wody uciągnę i drewna narąbię, to już nie gładzi tak jak dawniej. – Spojrzał na Biankę, bo i do niej były skierowane te słowa. – Trzymaj się w tym swoim Poznaniu i nie zapomnij o nas. Babka na pewno będzie na ciebie czekać.

Gosia popatrzyła na Biankę pytająco, ale nie odezwała się do niej, tylko odprowadziła Rysia do końca parkanu. Zaraz potem wróciła do koleżanki.

– O co chodzi z tym Poznaniem, hm? – zapytała.

– Wracam do domu, przyjechałam się tylko pożegnać – rzekła nieśmiało Bianka.

– Teraz, zaraz?

– Tak, teraz, zaraz – odparła. Pomyślała, że nie ma sensu ukrywać powodu wcześniejszego wyjazdu. Być może przyszła pora, by wyjawić całą prawdę.

– Chodź, wszystko mi opowiesz. – Gosia lekko trąciła ją w przedramię, popychając w stronę furtki.

Sierpniowe słońce przypominało o tym, że lato wciąż trwa w najlepsze. Nie dawało odetchnąć od samego rana. Usiadły w altance, w cieniu gęsto skupionych liści winogron, pomiędzy którymi plątały się niedojrzałe kiście. Przy jednej kolumnie piął się urodziwy wiciokrzew o szkarłatnych kwiatach.

– Masz. – Gosia włożyła w ręce Bianki szklankę z lodową lemoniadą.

Bianka wzięła lekko zroszone naczynie, przechyliła je i wypila napój duszkiem niemal do dna.

– Uff – sapnęła. – Ale dziś gorąco. Słońce nie odpuszcza, a przecież już koniec sierpnia.

– No właśnie – zaczęła ostrożnie Gosia. Czekala, aż Bianka sama wyjdzie z inicjatywą rozmowy. – Mówiłaś chyba, że zostaniesz u Klary do końca sierpnia. – Zerknęła na Biankę.

– Tak, rzeczywiście takie miałam plany, ale niestety nagle je zmieniłam.

– O co chodzi? Chcesz o tym pogadać?

– To wszystko jest strasznie zagmatwane. Dużo rzeczy o mnie nie wiesz. – Spojrzała na Gosię, zastanawiając się, od czego zacząć. Czy od momentu, kiedy po raz pierwszy spotkała się z Klarą na korytarzu szkoły muzycznej, gdzie uczy, czy od chwili, gdy przyjechała do Kazimierza i zamieszkała obok Sama? Bo przecież w tej zawilej sprawie to on zajmował najważniejsze miejsce.

– To opowiedz mi po kolei i... nie musisz się spieszyć, mamy sporo czasu. Na pewno nikt nie będzie nam przeszkadzał. – Na ustach Gosi pojawił się spokojny uśmiech.

– Masz na myśli Pawła?

– Tak, głównie jego. – Znów ten sam uśmiech, który jeszcze roziskrzył oczy. – Ale o tym później, na razie skupmy się na tobie. Więc na czym skończyłyśmy?

– Właściwie to nawet nie zaczęłyśmy. – Bianka wciąż grała na zwłokę.

– Powiedz mi: po co tak naprawdę przyjechałaś do Kazimierza?

– Jestem nauczycielką muzyki, uczę gry na skrzypcach w szkole muzycznej.

– Ooo, nigdy bym na to nie wpadła. – Małgosia wydawała się szczerze zaskoczona.

– Moja kobieca intuicja podpowiada mi, że twój przyjazd miał coś wspólnego z Samem.

– Natychmiast skojarzyła fakty.

– Wygląda na to, że twój szósty zmysł działa, jak należy. Tak, rzeczywiście przyjechałam do Kazimierza dla Sama.

– Dla Sama? – Gosia była poruszona tonem głosu przyjaciółki.

– Tak, dla niego – odrzekła Bianka smutno, a potem zdała Małgorzacie relację ze swojego pobytu w Kazimierzu. Nie pominęła żadnych, nawet najwstydliwszych szczegółów, choćby tego, że myszkowała w pokoju Sama pod jego nieobecność i przez przypadek znalazła niedokończony list.

Małgosia była uważnym słuchaczem. Kilka razy miała ochotę się wtrącić, ale wtedy brała głębszy oddech i pozwalała przyjaciółce kontynuować opowieść.

– Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś – odezwała się dopiero wtedy, gdy Bianka skończyła mówić. – Ale sprawa wcale nie jest aż tak beznadziejna, jak myślisz. Uważam, że jeszcze nie wszystko stracone – rzekła z wewnętrznym przekonaniem.

– Co przez to rozumiesz?

– Znasz Sama, jest wrażliwy, ale też bardzo impulsywny. Kiedy wszystko przemyśli, na pewno będzie chciał z tobą porozmawiać.

– Tylko że ja już wtedy będę daleko stąd, pochłonięta innymi obowiązkami.

– Oj tam, daleko... – Gosia odgarnęła do tyłu długą grzywkę, którą zapuszczała od ponad roku. – Z tego, co mi wiadomo, Poznań i Kazimierz dzieli nieco ponad czterysta kilometrów. To niewiele.

– Co o nim sądzisz? – spytała Bianka.

– O kim?

– O Samuelu. Mimo że mieszkałam obok niego prawie dwa miesiące, nic o nim nie wiem. Mam wrażenie, że celowo nie pozwalał mi się do siebie zbliżyć.

– Myślisz, że zwęszył podstęp?

– Nie wiem, ale jeśli tak, to jego przypuszczenia się potwierdziły.

– Wydaje mi się, że za bardzo skupiasz się na sobie, przez co umniejszasz jego postępek. Przecież on też nie jest bez winy. Zresztą jak dla mnie jesteś całkowicie usprawiedliwiona. Zrobiłaś to, bo byłaś w trudnej sytuacji finansowej.

– Nadal jestem.

– Przykro mi, Bianco.

– Może w końcu znajdzie się kupiec na mieszkanie mojej babki. To rozwiązałoby większość naszych problemów.

– Na pewno.

– Ten wyjazd miał pomóc, a tylko wprowadził do mojego życia zamęt. Nie dość, że w oczach Sama wyszłam na oszustkę, to jeszcze on myśli, że spiskowałam za jego plecami z Klarą. Zawsze łączyły ich takie trudne relacje?

– Chyba tak. – Gosia dłużej się zastanowiła. – Choć wydaje mi się, że sytuacja zaogniła się po tym nieszczęśliwym wypadku. Właściwie nie powinien się wydarzyć.

– Co masz na myśli?

– Było popołudnie, droga niemal pusta. Sam doskonale znał każdy jej odcinek. Często jeździł tą trasą. A jednak... tamtego dnia stracił panowanie nad kierownicą i...

– Sam był kierowcą?

– Niestety tak. Bardzo to przeżył i wcale mu się nie dziwię. Byli z ojcem mocno



życi. Raul był dobrym człowiekiem.

– Dokąd wtedy jechali?

– Nie wiem. Sam nigdy nie chciał z nikim o tym rozmawiać. Nawet z Olafem.

Odsunęli się wtedy od siebie.

– Ostatnio to się chyba zmieniło.

– Na to wygląda. Nawet chwilowo razem zamieszkali. – Wszystko wskazywało na to, że Gosia wie sporo na temat obu braci.

– Wiesz, gdzie się zatrzymali? – Bianka starała się udawać obojętność.

– W Sandomierzu, u jakiegoś kolegi Sama, w kamienicy na rynku. Ostatnio dużo się dzieje. – Zamyślony wzrok Gosi powędrował ku okrągłemu obłóczkowi, który nagle pojawił się na bezchmurnym niebie, przywodząc na myśl niewielką bezludną wyspę.

– Czy Olaf...? To znaczy czy...? – Bianka urwała. Uznała, że jednak trochę dyskrecji nie zaszkodzi, a jej pytanie może postawić Gosię w niezręcznej sytuacji.

Ale Małgorzata była innego zdania. I mimo obaw przyjaciółki miała ogromną ochotę na rozmowę, zwłaszcza jeśli dotyczyła Olafa.

– Widzieliśmy się. – Jej twarz się rozpromieniła. – Ten list wiele wyjaśnił. Olaf opisał w nim dokładnie to samo, co próbował mi powiedzieć siedemnaście lat temu. Może gdybym nie była wtedy taka uparta, nasze życie tak bardzo by się nie skomplikowało.

– A skomplikowało się?

– Gdy się rozstaliśmy, strasznie to przeżyłam. Olaf był moją wielką miłością. Po naszym rozstaniu musiałam się nauczyć żyć na nowo. Wyjechałam na studia i... bardzo starałam się zapomnieć. A jak bardzo, to już wiesz. – Gosia znów wkroczyła na grząski grunt wspomnień. – Na imprezie poznałam pewnego chłopaka... Już wiesz, co było potem. Niechciana ciąża i decyzja, która pozostawiła we mnie ślad do dzisiaj.

– Żałujesz tego?

– Nie wiem – odrzekła Gosia po namyśle. – Naprawdę nie wiem. Nie mam pojęcia, jak wyglądałoby moje życie, gdybym zdecydowała się urodzić to dziecko. Wtedy wydawało mi się, że nie mogę sobie na to pozwolić. Mama z tatą odkładali każdy grosz, żebym mogła studiować, bardzo mi pomagali. Czułam, że nie mogę ich zawieść. Nigdy nie wiadomo, co będzie dla nas najlepsze, a podjęte decyzje ciągną się za nami zawiłym sznureczkiem konsekwencji. Często zastanawiałam się, jak by to było, gdyby Olaf i ja... gdybyśmy się wtedy nie rozstali. W jakim miejscu byłibyśmy dzisiaj, dokąd zaprowadziłoby nas to wszystko?

– No właśnie, Gosiu, nie wiem, czy powinnam o to pytać, ale właściwie dlaczego się rozstaliście, skoro tak długo było między wami dobrze?

– Olaf wystawił mnie do wiatru – powiedziała Małgosia z goryczą. – To znaczy tak myślałam przez ostatnie siedemnaście lat. W tym liście Oli wszystko mi wyjaśnił i...

– I co?

– Okazało się, że ktoś był o Olafa diabelnie zazdrosny i zrobił wszystko, żeby nie oddać go innej kobiecie. – Gosia zaczęła się bawić guzikiem od bluzki.

– Klara? – Tylko ona przyszła Biance na myśl. Wiedziała, że Klara jest zdolna do najgorszego.

– Tak, Klara. Pani matka chciała mieć Olafa tylko dla siebie, a ja byłam dla niej

zbyt dużą konkurencją, bo jej syn mnie kochał. Na Marikę przymknęła oko, ponieważ to ona ją z Olim zeswatała. Marika była w jej rękach marionetką, dzięki niej Klara mogła zaplanować Olafowi życie. I wszystko zmierzało do upragnionego finału, jednak Klara nie wzięła pod uwagę jednego istotnego faktu. – Na ustach Małgosi pojawił się uśmiech satysfakcji.

– Jakiego?

– Że życie jest nieprzewidywalne. – Gosia przesunęła się na skraj ławki i wystawiła twarz do słońca, a jego promienie zaczęły się po niej leniwie ślizgać, precyzyjnie się między gałązkami winorośli zwisającej nad jej głową. – Że ja i Oli znów się do siebie zbliżymy. – Oddychała spokojnie, upajając się słońcem.

– Cieszę się, że wszystko sobie wyjaśniliście.

– No właśnie, zwłaszcza że było co wyjaśniać. Klara sporo namieszała. Nie wiem, jak mogłam się nabrać na jej intrygi, przecież znam ją nie od dziś. Nigdy mnie nie lubiła. Okazało się, że zaplanowała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Namówiła jedną dziewczynę z Nałęczowa, żeby zakręciła się koło Olafa. Słono jej za to zapłaciła. Miała na imię Sylwia i muszę przyznać, że robiła niezłe wrażenie. Olaf konsekwentnie ją odtrącał, ale ona była jak namolna mucha, wszędzie za nim latała. Trwało to dość długo. Kiedy jednak Klara zorientowała się, że z tej mąki chleba nie będzie, zmieniła taktykę. Sylwia dalej naprzykrzała się Olafowi, tylko że robiła to tak, by pozostał po tym ślad. Po pewnym czasie pojawiły się zdjęcia, na których Oli i Sylwia znajdowali się w dwuznacznych sytuacjach. Znalazły się też osoby, które potwierdziły ich rzekomą znajomość. Uwierzyłam w zdradę Olafa i odsunęłam się od niego. Wyjechałam wtedy do Warszawy, gdzie odbywały się egzaminy na studia. Nie wiem, jakim cudem, ale i do mnie dokleiono przygodnego absztyfikanta. Jakaś przyjazna osoba zrobiła mi zdjęcie z chłopakiem, chyba kimś z uczelni, kto zdawał na ten sam kierunek. Nawet nie znałam jego imienia, choć kojarzyłam go z akademika.

– Typowa prowokacja.

– Na to wygląda. Klara to mistrzyni intryg. Zresztą sama stałaś się ofiarą jej sztuczek. Ciekawe, o co jej chodziło z Samem, dlaczego cię tutaj ściągnęła... – Gosia z powrotem wsunęła się pod parawan z liści.

– Też chciałabym to wiedzieć. Powiedz mi: dlaczego teraz uwierzyłaś Olafowi, a wtedy nie chciałaś go znać?

– Nie wiem, może dojrzałam, zmądrzałam. Życie uczy nas pokory, każe przyglądać się wszystkiemu dokładniej. Teraz na pewno nie zrezygnowałabym z niego tak pochopnie jak wtedy.

– Czyli?

– Na pewno nie wyprowadziłabym się na drugi koniec kraju w ciągu jednego dnia.

– Jak myślisz, dlaczego ona taka jest? – Bianka zmarszczyła czoło i zacisnęła usta.

– Kto, Klara? – Gosia uśmiechnęła się niepewnie, jakby sama starała się to zrozumieć. – Nie mam pojęcia. Liza była zupełnie inna, życzliwa i prawdziwa we wszystkim, co robiła.

– Może w życiu Klary stało się coś niedobrego, co ją zmieniło? – dociekała Bianka.

– Naprawdę nie wiem.

- Wydaje się bardzo nieszczęśliwa.
  - Odkąd pamiętam, była ze wszystkiego niezadowolona. Ale nie mam pojęcia, czy to skutek jakiegoś przykrego wydarzenia.
  - Może chodzi o niespełnioną miłość?
  - Przecież poślubiła mężczyznę, na którym jej zależało. Zaledwie półtora roku po śmierci Luizy Raul został jej mężem.
  - Nie wiadomo, czy byli szczęśliwi. – Tym razem Bianka wystawiła twarz do słońca, przechylając się na krawędź ławki.
  - Nie byli – odpowiedziała natychmiast Gosia.
  - Skąd wiesz?
  - Szósty zmysł. – Gosia starała się obrócić swoje słowa w żart. Zabrzmiały zbyt poważnie, a ona miała już dość trudnych rozmów. – To jak będzie, zostaniesz u mnie na jakiś czas? – Zmieniła temat.
  - Cudownie mi tutaj z tobą, ale...
  - Nie chcę tego słuchać. Czyżbyś miała wątpliwości? – Gosia zachichotała.
  - Gdy do ciebie jechałam, rzeczywiście brałam pod uwagę, żeby trochę posiedzieć ci na głowie. – Bianka się roześmiała. – Ale...
  - Znowu „ale”!
  - Podjęłam decyzję, dzisiaj wracam do Poznania. Zrobię tatkowi niespodziankę. – Jej myśli poszybowały do mieszkanki na Winogradach.
  - Naprawdę nie dasz się skusić na dodatkowe kilkanaście godzin mojego towarzystwa? – Gosia udawała obrażoną.
  - Niech pomyślę. – Bianka przewróciła oczami, udając, że się zastanawia. – Nie – rzekła głośno, a jej usta rozchyliły się w słodkim uśmiechu.
  - Nie wiesz, co tracisz. – Gosia odwróciła się sugestywnie w stronę budynku, gdzie mieściła się piwniczka z winami.
  - Nie wódź mnie na pokuszenie.
  - Przemysł to jeszcze. Do siedemnastej popracowałybyśmy w winnicy, a potem babski wieczór. – Gosia uniosła ręce i się przeciągnęła.
  - O, przepraszam, wcześniej nie było mowy o żadnej pracy!
  - A co ci miałam mówić? Przydałaby się jeszcze jedna para rąk, ale skoro nie możesz... – ciągnęła Małgosia w takim samym tonie.
  - Dawno nie widziałam tatka, tęsknię za nim. – Bianka spoważniała.
  - W porządku. – Gosia mrugnęła do niej. – Kiedy chcesz wyjechać? Może zdążę jeszcze upichcić coś zdrowego? – W myślach już zaczęła przeglądać obszerny katalog wegetariańskich przepisów.
  - Żeby dojechać przed zmrokiem, właściwie już powinnam się zbierać. – Zerknęła na zegarek.
  - Kto powiedział, że musisz dojechać przed zmrokiem?
  - Ja tak powiedziałam. Nie znoszę prowadzić nocą, oślepiają mnie światła innych samochodów.
  - Okej, w takim razie już cię nie zatrzymuję.
- Upłynęło jednak trochę czasu, zanim się rozstały. Gosia odprowadziła Biankę do

auta i wręczyła jej kosz z zerwanymi rankiem malinówkami i butelkę wina z piwniczki.

– To dla twojego tatka, żeby poczuł smak naszej winnicy. Mam nadzieję, że kiedyś przywieziesz go na Fiołkowe Wzgórze. Przyjedźcie w czasie zbiorów, zakaszecie rękawy i trochę pomożecie – żartowała Gosia.

– Przyjedziemy. Nie wiem, czy uda nam się akurat na zbiory, ale kiedyś na pewno. Tatko byłby zachwycony tutejszym pejzażem, uwielbia takie miejsca. Z okna naszego mieszkania widzimy niestety tylko blok i kilka wychudzonych jarzębin. – Otworzyła bagażnik i zrobiła w nim miejsce na kosz. – Aaa, właśnie! – Zatrzasnęła z hukiem klapę i odwróciła się do Gosi. – Co z Pawłem? Dalej ci się naprzykrza?

– Na szczęście wszystko się wyciszyło. Tylko że całkowicie ogołocił mi dom, zostawił jedynie materac w sypialni i meble kuchenne, które trudno byłoby rozebrać. – Małgosia się uśmiechnęła. Nie wydawała się przejęta sytuacją.

– Gdzie mieszka? – Bianka oparła się o rozgrzaną karoserię.

– Gdzieś z tą swoją Zuzką.

– Zuzką?

– Nową miłością. Pracowała u nas na plantacji przez pewien czas, ale szybko zrezygnowała. Tipy przeszkadzały jej w pracy w ogrodzie, więc znalazła inne zajęcie. Zatrudniła się w sklepie z kosmetykami.

– Paweł tak nagle odpuścił? – Bianka nie mogła w to uwierzyć.

– Nagle to może nie, sama wiesz, że trochę ze sobą walczyliśmy, ale na szczęście teraz ma powód, by inaczej się zachowywać.

– Jaki powód? Co sprawiło, że tak złagodniał?

– Może całkiem nie złagodniał, nadal cwany z niego lis, ale przynajmniej stara się zachowywać przyzwoicie. – Gosia nabrała w usta powietrza, jakby miała zamiar wypowiedzieć najważniejszą kwestię. – Jego nowa miłość okazała się brzemienna w skutki.

– Ale numer!

– Kolejny dowód na nieprzewidywalność życia. Jeszcze tydzień temu myślałam, że najważniejsza potyczka dopiero przede mną, a tutaj, proszę, rozejm. Biała flaga wywieszona.

– Cieszę się, że układasz sobie to wszystko. Mam nadzieję, że z Olafem... – Bianka urwała.

– Też mam taką nadzieję – rzekła Gosia z tajemniczym uśmieszkiem. – Chciałabym bardzo, żeby twoje życie także wróciło do normy. Sam i Oli może nie mają łatwych charakterów, ale poza tym to genialni mężczyźni.

Bianka się uśmiechnęła, dając do zrozumienia, że myśli dokładnie tak samo jak Gosia. Żeby już nie przedłużać rozmowy, otworzyła samochód i wsunęła się na siedzenie.

Kiedy wyjeżdżała z Fiołkowego Wzgórza, długie, wyschnięte źdźbła traw żegnały ją, przechylając się w jej stronę, czesane zachodnim wiatrem. Wnętrze samochodu wypełniał zapach lawendy. Gosia uplotła z niej wianuszek i zawiesiła go przyjaciółce na szyi. Teraz aureola pachnących kwiatów, obwiązana liliową szyfonową tasiemką, leżała na przednim siedzeniu pasażera, ozdabiając stalową tkaninę fotela. A obok w wiśniowym futerale drzemały skrzypce Walentyny.

Biance smutno było odjeżdżać, ale z każdym przejechanym kilometrem coraz mocniej tęskniła za tatkiem. Myśl, że swoim przyjazdem zrobi Zygmunutowi niespodziankę, dodawała jej skrzydeł, trochę odciągając ją od przykrych wspomnień związanych z Samem. Kiedy przejeżdżała obok Kazimierza, przez chwilę kusiło ją, żeby zjechać z drogi i jeszcze raz wybrać się na rynek, ale zwalczyła tę pokusę i zadowolila się widokiem wyniosłej wieży i ruin zamkowych otaczających kamiennymi ramionami wzgórze fary.

Łudziła się, że kiedy znajdzie się poza domem Klary i przekroczy granicę miasteczka, jej wspomnienia choć trochę przybledną. I rzeczywiście, po przejechaniu dwustu kilometrów poczuła się tak, jakby właśnie leciała balonem i spoglądała na wszystko z góry. Niestety to, że postrzegała świat z nieco innej perspektywy, wcale nie oznaczało, że straciła z nim kontakt. Miała wrażenie, że tkwi pomiędzy tym, co było, a tym, co jest. Gdy zobaczyła tabliczkę z napisem „Poznań”, właściwie nie myślała już ani o Samie, ani o Klarze i jej podstępnej umowie, ale w wyschniętych ustach czuła gorzki smak porażki. Zmęczone oczy na nowo oswajały się ze znajomym terenem, tak jakby przyglądały się obrazkowi z dawno czytanej książki. Niby go znała, niby pamiętała, a jednak patrzyła na niego inaczej niż kiedyś.

Gdy znalazła się na osiedlu, pomiędzy budynki wkradła się już wieczorna szarówka. Było kilka minut po dwudziestej pierwszej. Odkąd wyjechała z Poznania, dni stały się krótsze. Wówczas lato dopiero rozkwitało, a teraz, po dwóch upalnych miesiącach, powoli zbliżała się jesień.

Bianka zaparkowała pod oknami mieszkania. Wyłączyła silnik, ale jeszcze przez chwilę nie wychodziła z samochodu. Otworzyła drzwi, żeby oswoić się z typowym wielkomiejskim hałasem. Pokrzykiwania dzieciaków mieszały się z dźwiękiem przyjeżdżających i odjeżdżających aut. Czasem w oddali dał się słyszeć odosobniony klakson. Przechodnie snuli się długim chodnikiem, zmierzając do domów. W oknach zapalały się już pierwsze światła.

Spojrzała na okna ich mieszkania. Kuchnię wypełniało blade światło okapowej lampki. Poczowała wzruszenie. Po chwili znalazła się na wciąż ciepłym bruku. Oczami wyobraźni już widziała tatka siedzącego przy kuchennym stole nad talerzem z kolacją i otwartą gazetą. Nie była w stanie zabrać wszystkiego naraz, więc wzięła tylko futerał ze skrzypcami. Przytuliła go mocno do piersi i pomyślała, że dzięki muzyce na pewno uda jej się znów wejść w znajome koleiny życia. Muzyka już wiele razy wyciągała ją z opresji, kiedy zawodziły inne sposoby.

Weszła na klatkę schodową i ruszyła schodami do góry. Zamek w drzwiach do mieszkania zazgrzytał swojsko, jakby dawał pozwolenie na to, żeby wejść do środka. W mieszkaniu unosił się znajomy zapach starych mebli i słodkiego kakao, niemal taki sam jak we wnętrzu z wysokim stropem na poznańskiej starówce. Wraz z kilkoma etażerkami, biblioteczką, starą szafą i wypłowiałym niewymiarowym fotelem zabrali stamtąd też magię ukrytą w stercie drobnych szpargałów, z którymi nie potrafili się rozstać.

– Bianka? – Zygmunt wyszedł z za przepierzenia, trzymając kubek, z którego unosił się aromatyczny kłębek pary.

– Kakao? – Bianka się uśmiechnęła. Wiedziała, że Zygmunt uwielbia kakao i często

delektuje się nim po kolacji.

– Gdybym wiedział, że przyjedziesz, przygotowałbym również dla ciebie. – Odłożył kubek na szafkę pod lustrem.

Przez chwilę przyglądał się córce, jakby chciał odgadnąć jej nastrój.

– Nie przywitasz się ze mną, tatku? – rzekła przymilnie.

Po raz pierwszy rozstali się na tak długi czas. Na szczęście błyskawicznie udało im się przełamać chwilowe zakłopotanie. Zygmunt wyszedł córce naprzeciw i serdecznie się uściskali. W ciągu kilku sekund wróciło dawne poczucie bliskości. Nieco później oboje siedzieli już przy kuchennym stole nad kubkami z kakao.

– No to opowiadaj, jak było. – Zygmunt popatrzył na córkę znacząco. – Jeśli oczywiście masz na to ochotę.

– Nie ma co opowiadać. Chyba nie muszę ci mówić, że nic z tego nie wyszło. Miałaś rację, ten pomysł był skazany na porażkę. Szkoda, że cię nie posłuchałam, uniknęłabym wielu rozczarowań. – Bianka posmutniała. Uniosła kubek do ust w nadziei, że słodki smak płynu poprawi jej humor. Zawsze poprawiał.

– O jakich rozczarowaniach mówisz? Czy ta kobieta... Klara, przysporzyła ci jakichś przykrości?

– Klara? – Bianka zastanawiała się dłuższą chwilę. – Nie, to nie jej wina. Tak naprawdę do końca nie wiem, dlaczego mnie do siebie ściągnęła, ale summa summarum to ja wyszłam na oszustkę.

– Przed kim?

– Przed Samuelem.

– To ten mężczyzna, który...

– Tak. Nie dość, że nie udało mi się rozbudzić jego zmysłów muzycznych, to jeszcze wszystko się wydało. – Ton głosu Bianki był gorzko-ironiczny. Musiała opowiedzieć tatkowi o tym, co się stało, nie mogło być inaczej. Zresztą chciała, żeby poznał wszystkie szczegóły. Miała już dość tajemnic, intryg i niejasnych sytuacji. Teraz była w Poznaniu. Tutaj wszystko wydawało się dużo prostsze.

Zygmunt chwycił jej dłoń i ścisnął ją, jakby chciał jej przekazać, że cokolwiek od niej usłyszy, cokolwiek jeszcze się wydarzy, zawsze będzie z nią. I podobnie jak w dzieciństwie, tak i teraz -poprowadzi ją za rękę, kiedy Bianka chwilowo straci orientację.

– Czy on cię skrzywdził? – Zygmunt z trudem wypowiedział te słowa.

– Sami? Nie. – Uśmiechnęła się smutno. – Ubolewam tylko nad tym, że nie chciał usłyszeć ode mnie żadnych wyjaśnień. Gdy wszystko się wydało, zniknął.

– Nie wie, co stracił. – Zygmunt pogładził dłoń córki. W jej głosie, oczach i gestach wyczytał to, co starała się ukryć, o czym wstydziła się powiedzieć. Domyślił się, że Bianka, chcąc nie chcąc, po dwóch miesiącach życia obok syna Klary zbliżyła się do niego.

– Mimo wszystko nie było aż tak źle. – Uniosła wciąż ciepły kubek i poczuła słodki zapach kakao. Na moment zmrużyła oczy z zadowolenia. – Nie było aż tak źle – powtórzyła, szeroko otwierając oczy i patrząc uważnie na Zygmunta.

A potem zdała mu relację ze swojego pobytu w Kazimierzu. Opowiedziała o Serafinie i jej wnuku Rysiu, o Marcie i Małgosi, o wszystkich urokliwych miejscach, które

odwiedziła. Kiedy mówiła o miłych stronach swojego wyjazdu, jej oczy się świeciły i Zygmunt miał mniejsze wyrzuty sumienia, że pozwolił na tę szaleńczą podróż.

– Zabiorę cię tam kiedyś, na pewno ci się spodoba – powiedziała, jakby chciała zakończyć optymistycznym akcentem. Wiedziała, że tatko był w Kazimierzu, ale dawno temu, więc jego wspomnienia związane z tym miejscem zapewne zszarzały.

– Bardzo chętnie wybiorę się tam z tobą – odparł.

Bianka tak dokładnie opowiedziała Zygmuntowi o wszystkim, że poczuł się tak, jakby obejrzał film z jej udziałem. Mało było w tej historii samej Klary, ale domyślił się, że córka celowo pominęła niewygodne fragmenty, aby i jemu, i sobie oszczędzić przykrości.

– Nie wchodziłyśmy sobie w drogę – odrzekła, gdy o nią zapytał. – Miałam wolną rękę, a z Klarą widywałyśmy się tylko podczas posiłków – zapewniła go.

Wierzył jej, ale podejrzewał, że chwile spędzone z tą kobietą nie należały do przyjemnych.

Było już całkiem ciemno, gdy Bianka z Zygmuntem wyszli na zewnątrz, aby zabrać bagaże z samochodu. Potem mimo późnej pory usiedli jeszcze na chwilę przy stole. Wcześniej Bianka zdążyła wziąć kąpiel, a Zygmunt wypakował pachnące słońcem malinówki. Butelka wykwintnego wina z plantacji na Fiołkowym Wzgórzu stanęła na stole, a na ścianie zawisł lawendowy wianek.

– To co, może mały toast? – Zygmunt spojrzał wymownie w stronę kieliszków stojących na wąskiej półeczce podświetlonej lampką halogenową.

– Myślisz, że mamy co świętować? – Bianka usadowiła się na stołku i podciągnęła nogi pod brodę. Miała na sobie cienką jasnoniebieską piżamę w białe motyle, a z jej umytych pofalowanych włosów co jakiś czas kapały na stół kropelki wody.

– Oczywiście, że tak. Twój powrót, chochliku! Chociaż jeśli chodzi o mnie, wino zastąpiłbym czymś bez procentów. – Uśmiechnął się.

Bianka wiedziała, że ojciec nie przepada za alkoholem. Ostatni raz miał w ustach szampana podczas sylwestra cztery lata temu, a potem narzekał, że pali go zgaga. Zresztą ona też nie była amatorką trunków. W ich domu pojawiały się niezwykle rzadko.

– Jeszcze jedno kakao, tatku?

– Jeśli tym razem ty przygotujesz, to bardzo chętnie. Kubki są na suszarce.

Najlepsze kakao robił Zygmunt, ale to w jej wykonaniu też nie smakowało źle.

– Dobrze znów być w domu. – Włożyła do kubka łyżeczkę, zebrała z wierzchu piankę i oblizała ją ze smakiem.

– Następnym razem już cię nie wypuszczę. – Zygmunt zmarszczył czoło.

– Nie będzie następnego razu – rzekła z przekonaniem. – Dzieci powinny zawsze słuchać swoich rodziców. – W jej głosie pojawiła się zabawna nuta.

Zygmunt tylko uśmiechnął się łagodnie. Była wdzięczna za jego dyskrecję, za brak mentorskiego tonu, za to, że słowa: „A nie mówiłem?” zastąpił wyrozumiałym i pełnym oddania spojrzeniem.

– Nadal nic nowego w sprawie mieszkania na starówce? – zagadnęła, choć domyślała się, że w tej kwestii nic się nie zmieniło. Gdyby było inaczej, tatko pewnie by ją o tym poinformował.

Zygmunt zaprzeczył ruchem głowy.

– Pan Witek sprzedał sekretarzyk, który stał w południowym pokoju, i tę podwójną biblioteczkę – powiadomił ją.

Witold był znajomym Zygmunta z czasów młodości. Prowadził komis ze starymi meblami i naprawdę bardzo się starał, by znaleźć kupców na ich antyki.

– To niedużo, ale zawsze coś. – Zygmunt jak zwykle czytał z twarzy Bianki jak z otwartej książki. Od razu zauważył, że jest zmartwiona.

Spojrzał w zamyśleniu w ciemną szybę. W bloku naprzeciwko paliło się już niewiele świateł. Miasto pomалу usypiało.

– Słuchaj... – zwrócił się do córki. – Kiedy cię nie było, zdarzyło się coś dziwnego. Nie wiem, co o tym sądzić.

Wstał i bez wyjaśnienia wyszedł z kuchni. Po chwili wrócił z kopertą w ręce.

– Spójrz. – Położył ją przed Bianką.

– Co to jest? – Bezzwłocznie po nią sięgnęła i wytężyła wzrok, żeby w bladym świetle dostrzec dane adresata. – Regina Czajkowska, ulica Polna trzydzieści siedem, Kazimierz Dolny – przeczytała na głos. – Co to ma znaczyć? – rzekła podniesionym głosem, wpatrując się w Zygmunta. – Przecież to adres domu Klary. Kim jest Regina Czajkowska?

– Zajrzyj do środka. List nie był zaklejony, więc uznałem, że można go otworzyć.

Biance nie trzeba było powtarzać dwa razy. W pośpiechu rozchyliła kopertę i wyjęła z niej kartkę zapisaną ładnym charakterem pisma, który wydał jej się znajomy.

Pani Regino,

przepraszam Panią za wszystkie przykrości, których doznała Pani z mojej strony. Gdybym tylko mogła cofnąć czas, na pewno nie popełniłabym tego błędu drugi raz. Nie przypuszczałam, że Gerard w akcie desperacji będzie zdolny do takiego czynu. Każdej nocy myślę o Pani i zastanawiam się, czy może mi Pani wybaczyć to, co zrobiłam. Człowiek zaślepiony fanatyzmem jest zdolny do wielu niegodziwości. Wiem, że nie ma na to wytłumaczenia, bo sumienie powinno być nam drogowskazem przez całą ziemską wędrówkę, ale cóż... Pogubiłam się i słono za to zapłaciłam. Chciałabym oddać Pani to, co nie należy do mnie, ale przepadło gdzieś tamtego okropnego dnia, kiedy po raz drugi zawalił się mój świat. Proszę mi wybaczyć.

Walentyna

Po przeczytaniu ostatniego słowa Bianka pobladła.

– O co w tym wszystkim chodzi? Kim jest Regina? Kim jest Gerard? I co takiego zrobiła Walentyna? – Krążyła bezradnym wzrokiem między poślódką kartką a skupioną twarzą Zygmunta. Ten list był spowiedzią, wyznaniem winy, które nigdy nie dotarło do adresata. – Dlaczego go nie wysłała?

– Pewnie zabrakło jej odwagi.

– Co musiała zrobić, że przepełniało ją takie poczucie winy? – dopytywała Bianka, wpatrując się w list.

– Naprawdę nie wiem. Może to ma związek z tym, o czym powiedziałem ci ostatnio, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.



Bianka dokładnie śledziła każdy ruch warg Zygmunta.

– Wspominałem, że matka w chwili słabości przyznała się ojcu, że te skrzypce pomogły jej zrobić coś strasznego. Tata tak bardzo przejął się tym wyznaniem, że już nigdy więcej o nic nie zapytał.

– Ciekawe, czy to ma jakiś związek z Klarą... – Na moment Biankę ogarnęło przerażenie.

– Nie sędzę. – Zygmunt zauważył lęk córki, więc próbował ją uspokoić. – Może zanim w tym domu zamieszkała rodzina Klary, należał do kogoś innego.

– Z tego, co mi wiadomo, dom od początku był własnością rodziny Klary. Poza tym przecież nazwisko się zgadza. Obawiam się, że ta cała umowa... no wiesz... że Klara być może kierowała się jakimś ukrytym zamiarem, aby ściągnąć mnie do Kazimierza, a Samuel był tylko przykrywką. Ten list, adres, nazwisko... to nie może być zbieg okoliczności. Wygląda mi to raczej na dobrze przemyślaną grę. – Biankę przeszył dreszcz, więc objęła ramiona rękami. – Gdzie go znalazłeś? – Uniosła list.

– Natrafiłem na niego przez całkowity przypadek. Witold postanowił trochę odrestaurować sekretarzyk, gdy znalazł się na niego kupiec. Powyjmował wszystkie szuflady i wtedy w jednej, położonej najniżej, odkrył podwójne dno. Jej spód tworzyły dwie cieniutkie deseczki, a pomiędzy nie był wetknięty ten list. Witek przekazał mi go jeszcze tego samego dnia.

– Tyle lat tam przeleżał i nikt nie miał o tym pojęcia. – Bianka gładziła palcami jego zagięty róg. – Co z tym zrobimy?

– Może lepiej tego nie ruszać.

– Ale to wygląda tak, jakby ten list chciał, żeby ktoś go znalazł. – Bianka zmrużyła oczy, zdając sobie sprawę, jak nielogicznie zabrzmiały jej słowa.

– W takim razie co proponujesz?

– Nie wiem, powinien zostać wysłany ponad siedemdziesiąt lat temu. A teraz jego adresatka pewnie już nie żyje.

– Sama widzisz, jego termin przydatności już dawno minął. Lepiej nie budzić demonów przeszłości.

– A jeśli one już się zbudziły?

– Nie opowiadaj głupot – zganił Biankę, przestraszony wydźwiękiem jej słów. – Jesteś zmęczona, za tobą długa podróż i dzień pełen wrażeń. Czas położyć się do łóżka. – Sięgnął po kopertę i podał ją córce. – Schowaj ten list, dzisiaj już nic nie wymyślisz. Niepotrzebnie go wyjąłem, powinienem był poczekać do rana – zrugął sam siebie.

– No dobrze, idziemy spać, tatusiu. – Złożyła list na pół i wsunęła go do koperty.

Zmęczenie rzeczywiście dało o sobie znać. Gdy wtuliła się w poduszkę, niemal natychmiast zasnęła.

Kiedy rankiem otworzyła oczy, wiedziała, że musi tam wrócić. Obawiała się tylko reakcji Zygmunta. Nocą wydawał się strapiiony, jakby żałował tego, że w ogóle pokazał jej ten list. Nie mogła jednak tego tak zostawić. Musiała się dowiedzieć, kim była Regina. Stwierdziła, że treść listu z pewnością jest kluczem do rozwiązania zagadki.

W kuchni czekało na nią przygotowane śniadanie. Zygmunt zdążył już odwiedzić piekarnię, gdzie kupił jeszcze ciepłe grahamki. Bianka przeciągnęła się leniwie, podeszła

do ojca i dała mu całusa w policzek.

– Siadaj. – Wskazał na stół. – Umyłaś ręce? – zażartował.

– Tak, tatusiu. – Roześmiała się i zajęła miejsce. – Uhm... już zapomniałam, jak cudownie jest z tobą mieszkać. – Wgryzła się w brzeg bułki posmarowanej pastą z łososia.

Zygmunt z zadowoleniem uniósł biały baryłkowany dzbanek i nalał do kubka stojącego przed Bianką gorące mleko.

– Mniemam. – Wzięła kubek i napiła się, a biała ciecz pozostawiła nad jej górną wargą podłużny ślad. – A ty? – Popatrzyła na puste miejsce, które zazwyczaj zajmował. – Nie będziesz jadł?

– Jestem już po śniadaniu – powiedział i zabrał się do zmywania naczyń.

– Czy mi się tylko wydaje, czy dokąds się spieszysz? – Odłożyła kanapkę na talerzyk i przyjrzała się ojcu.

– Tak, spieszę się. Zaraz pędzę do filharmonii. – Uśmiechnął się, odwieszając na haczyk kraciastą ścierkę.

– Po ostatnim koncercie podobno miałeś mieć chwilę przerwy.

– Miałem, ale trochę się pozmieniało. A ty co zamierzasz dzisiaj robić? Masz jeszcze całe dwa dni wakacji. Proponuję wykorzystać je na odpoczynek – rzekł.

– Chyba już wiem, jak spędzę ten dzień. – W jej wzroku było coś, co natychmiast zwróciło uwagę Zygmunta.

– Wydaje mi się, że nie będę zadowolony z tego, co zaraz od ciebie usłyszę. – Spoważniał.

– Być może. – Uniosła głowę, odgarniając do tyłu splątane włosy. – Mam zamiar wrócić do Kazimierza.

– Obawiałem się tego – powiedział i westchnął. – Nie sądziłem jednak, że zdecydujesz się na to tak szybko. Przecież dopiero wróciłaś.

– To dobry moment. Ten list... może wiele wyjaśnić.

– Albo jeszcze bardziej namieszać w twoim życiu.

– Wiesz, że muszę tam pojechać i to sprawdzić. – Bianka popatrzyła na Zygmunta tak, jakby szukała w jego oczach aprobaty.

– Wiem – odpowiedział.

– Masz coś przeciwko temu?

– A jeśli mam, to co, nie pojedziesz? – Uśmiechnął się.

Nie odpowiedziała. Przypomniała sobie swoje wczorajsze słowa: „Nie będzie następnego razu”.

– Dobrze wiesz, że nie mogę ci niczego zabronić. Jesteś dorosła, mądra i co najważniejsze, zawsze wiesz, czego chcesz. Skoro czujesz, że powinnaś, zrób to. Kiedy wyjeżdżasz? – Od razu przeszedł do konkretów.

– Najlepiej jak najszybciej. Myślę, że zbiorę się zaraz po śniadaniu. – Aprobata ojca sprawiła, że już zaczęła planować powrót do Kazimierza.

– Zrobisz, jak zechcesz. – Spojrzał na nią łagodnie, utwierdzając ją w przekonaniu, że nie ma nic przeciwko tej decyzji. – Szkoda tylko, że nie zjemy dzisiaj wspólnego obiadu.

– Obiecuję, że wrócę najszybciej, jak tylko się da.

– W takim razie masz moje błogosławieństwo. – Pokusił się nawet o zabawny ton. Zygmunt jeszcze przez chwilę został w mieszkaniu, ale przed dziesiątą zaczął się zbierać.

– Znów zabieram samochód – rzekła Bianka z miną pełną skruchy, kiedy odprowadzała ojca do drzwi.

– Nic nie szkodzi, przyzwyczailem się do komunikacji miejskiej. – Przycisnął do piersi czarny futerał ze swoją altówką.

– Obiecuję, że przez cały wrzesień będzie twój. – Na znak przysięgi uniosła dwa złączone palce.

– Szerokiej drogi, chochliku – rzucił jeszcze zza progu. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. W razie czego dzwoń.

– Pa, tatau. – Przechyliła się w jego stronę i dała mu już drugiego dzisiaj całusa.

Wyszła z domu w ciągu godziny. Do podręcznej ortalionowej torby włożyła tylko kilka najpotrzebniejszych przedmiotów. Oczywiście nie mogło wśród nich zabraknąć najważniejszego – listu Walentyny. Wcisnęła go do zewnętrznej bocznej kieszeni zasuwanej na zamek. Tuż po jedenastej wyjechała poza granice Poznania, obrawszy kurs na Kazimierz.

Z każdym przejechanym kilometrem denerwowała się coraz bardziej. Decyzję o wyjeździe podjęła impulsywnie. Po prostu wiedziała, że musi tam wrócić, ale nie miała żadnego planu na spotkanie z Klarą. Pewne sprawy wymagały wyjaśnienia, a Bianka, wracając do tego samego miejsca, czuła się jak emisariusz. Pędziła, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, i niestety kilka razy złamała przepisy ruchu drogowego. Była niemal pewna, że za jakiś czas w skrzynce znajdzie mandat za przekroczenie -prędkości. Chciała jednak dotrzeć do Kazimierza jak najszybciej.

Gdy wjechała w ulicę prowadzącą do domu Klary, poczuła nagły przyptyw paniki. Zdjęła nogę z gazu. Samochód zatrzymał się na środku jezdni, a ona właśnie przeżywała déjà vu. W jej głowie pojawiła się myśl, że nie znalazła się tutaj przez przypadek. Silnik zgasnął, a ona oparła ręce na kierownicy i popadła w stan beznadziejnego odrętwienia. Szybko jednak wzięła się w garść. Odpaliła na nowo silnik i wolno podjechała pod bramę posesji Klary.

Kiedy wysiadła, starała się nie rozglądać na boki. Wyjęła z torby list i włożyła go do obszernej kieszeni spódnicy. Zdziwiła się, że furtka jest otwarta. Wcześniej nigdy się to nie zdarzało. Szybko skierowała się do wejścia. Wszystkie okna, tak jak zazwyczaj, były zamknięte. Na podjeździe stał samochód Vincenta. Miał otwarty bagażnik. Przechodząc obok, zerknęła do środka. Leżały w nim dwie walizki. Gdy stanęła przed drzwiami, bez namysłu nacisnęła klamkę. Ciemny hol powitał ją znajomym dusznym powietrzem.

– Dzień dobry! – rzekła głośno. Skoro już weszła do jaskini lwa, teraz trzeba było się z nim zmierzyć. Nikt jej nie odpowiedział. – Dzień dobry! – powtórzyła, kierując się do jadalni.

Znów spotkała się z ciszą.

– Pani Marto, jest pani tutaj?! – Weszła do jadalni i zerknęła do kuchni.

Panował w niej nienaturalny ład. Żadnych garnków na kuchence ani słoików z

przetworami na blacie. Otwarta zmywarka świeciła pustką.

Wróciła do holu. Zatrzymała się i oparła o ścianę. Nadstawiła uszu. Cisza wydawała się jedyną lokatorką zamieszkującą w tym miejscu. „Przecież ktoś musi tutaj być...”, pomyślała i wiedzona nagłym impulsem, ruszyła w kierunku, który wcześniej zazwyczaj omijała szerokim łukiem. Drzwi do pokoju Klary były uchylone.

– Pani Klaro! – odezwała się donośnie. Niestety nie uzyskała żadnej odpowiedzi. Zatrzymała się naprzeciw drzwi, rozważając, co powinna zrobić. Zebrała się na odwagę. W końcu nie po to przejechała ponad czterysta kilometrów, żeby odejść z kwitkiem. Znalazła się tutaj w jasno określonym celu i zamierzała go osiągnąć. Pchnęła drzwi i nieśmiało weszła do środka.

Ku zaskoczeniu Bianki tutaj też nie było Klary. Pierwszy raz widziała ten pokój. Był tak samo posępny jak pani domu. Do grafitowej ściany przylegała ciemna dwudrzwiowa szafa z bogato rzeźbionymi drzwiczkami, przywodzącymi na myśl dantejskie sceny. Smutne twarze w płataninie rąk i czegoś, co przypominało liście, wydawały się krzyczeć, wykrzywiając nieładne usta. Pod oknem z gęstą koronkową firanką i ciemnobordowym woalem znajdowała się komoda wyglądająca jak sarkofag. Na dywanie w kolorze zgaszonego burgunda stała niedopięta walizka, z której wystawał rąbek spódnicy Klary.

Bianka zrobiła kilka kroków naprzód i znalazła się obok niedużego kwadratowego biurka. Przez oparcie krzesła przewieszono czarną halkę. Wzrok dziewczyny powędrował na blat. Panował na nim bałagan, zupełnie tak, jakby z czterech szuflad wyciągnięto całą zawartość. Pochyliła się nad tym spiętrzeniem drobiazgów. Nagle jej oczy znieruchomiały, a oddech znacznie przyspieszył. Wśród starych pocztówek zobaczyła zdjęcie Wandy. Podniosła je i opuszką palca wygładziła zagięty róg. To, że fotografia Wandy, która dziwnym trafem zniknęła spomiędzy kartek z nutami, znalazła się w pokoju Klary, wcale jej nie uszczęśliwiło, a jedynie spotęgowało niepokój. Wtem usłyszała zbliżające się kroki. Były krótkie, rytmiczne, jak odgłos zegara. Nim zdążyła cokolwiek pomyśleć, do pokoju weszła Klara.

– Co tutaj robisz? – spytała dziwnie beznamiętnym tonem.

– Ja... przyjechałam, bo... – Bianka opuściła rękę ze zdjęciem, jakby chciała ukryć to, że je znalazła.

Klara przybliżyła się do niej.

– Wiedziałam, że wrócisz. Takie jak ty zawsze wracają. – Zacisnęła usta.

– Takie jak ja?

– Co tam chowasz?! – zapytała ostro.

Bianka nie odpowiedziała, ale Klara zobaczyła zdjęcie.

– Jesteś taka sama jak ona. – Wsunęła palec w środek upiętego na czubku głowy koka i poprawiła srebrną szpilkę.

– Jak ona? – Bianka czuła, że traci resztki gruntu pod nogami.

Ta kobieta prowadziła rozmowę w wyrafinowany sposób, jakby chciała ją wciągnąć w nieznaną grę. To Klara rozdawała karty.

– Daj spokój, nie udawaj niewiniątka! Za twoją anielską buźką i słodkimi oczętami kryje się podstępna dusza. I jeszcze te skrzypce. – Roześmiała się szyderczo. – Jesteś

identyczna! To niebywałe, że podobieństwo jest aż tak uderzające.

Bianka przygryzła wargę. Domyśliła się, że chodzi o Walentynę, że Klara dysponuje jakimiś wiadomościami na temat jej babki i że nie bez powodu zaprosiła Biankę do swojego domu.

– Pani знаła moją babkę, tak? – odważyła się zapytać, choć jej głos brzmiał niepewnie.

Tak jak przypuszczała, reakcja Klary była nieprzewidywalna. Kobieta roześmiała się głośno, jakby właśnie usłyszała świetny dowcip.

– Czy ją znałam? – Jej twarz znów nabrała surowości. – Nie bądź śmieszna! Po co przywiozłaś ze sobą to zdjęcie?! – Zbliżyła się do Bianki i wydarła jej z rąk fotografię. Potem uniosła ją na wysokość oczu i spojrzała na nią z odrazą.

– Co to zdjęcie ma wspólnego z moją babką? – Bianka była pewna, że Klara wie coś, o czym ona nie ma pojęcia.

– Nie masz za grosz przyzwoitości! – Klara ciskała z oczu gromy. – Po tym, co zrobiła ta... stajesz przede mną z uniesioną głową i udajesz Greka. Twój tupet jest wprost oburzający. Widzę, że odziedziczyłaś go w genach.

– Naprawdę nie wiem, o czym pani mówi. Może to coś wyjaśni. – Bianka włożyła rękę do kieszeni, ale zamiast na list jej palce natrafiły na coś okrągłego i gładkiego w dotyku. Zupełnie zapomniała o czarnej perle.

– Co tam masz?

Bianka wyjęła z kieszeni kopertę.

– Proszę. – Podała ją Klarze.

– Co to jest? – Klara spojrzała nieufnie, ale wzięła list z rąk Bianki.

– Znalazłam to po powrocie z Kazimierza. Wygląda na to, że list został zaadresowany do kobiety, która kiedyś tutaj mieszkała. Wszystko wskazuje na to, że nadawcą jest moja babka, ale z jakiegoś powodu go nie wysłała. Utknął w skrytce w szufladzie biurka na ponad siedemdziesiąt lat.

Klara pobladła. Nie patrzyła już na Biankę, tylko szybko wydarła list z koperty. Mrużąc oczy, zaczęła czytać. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. W pewnej chwili jej wzrok się zatrzymał, najwyraźniej skończyła czytać, lecz nadal wpatrywała się w tekst.

– Czy to w ogóle możliwe? – szepnęła drżącymi ustami. Cofnęła się i usiadła na skraju łóżka, zaścielonego narzutą w kolorze ciemnego ametystu. – Czy ona naprawdę czuła wyrzuty sumienia? – Głos Klary był teraz pozbawiony wcześniejszej zaciętości.

– Mówi pani o mojej babce? – odważyła się zapytać Bianka.

Klara położyła list na kolanach i pochyliła się nad nim. Z góry jej kok wyglądał jak ptasie gniazdo. Szpilki wykończone szkarłatnymi diamentami wcale do niego nie pasowały.

– Co ona takiego zrobiła? – Bianka stanęła naprzeciw Klary, wbijając w nią zacięte spojrzenie.

Klara uniosła głowę, a jej dłoń powędrowała na wierzch śliskiej narzuty. Przez moment dziewczyna pomyślała nawet, że Klara zaprosi ją, żeby usiadła obok niej, ale nawet jeśli rzeczywiście miała taki zamiar, ostatecznie tego nie zrobiła.

– Walentyna zabiła męża Reginy, mojego ojca.

– Jak to zabiła?! – W jednej chwili z twarzy Bianki odpłynęła cała krew. Mogła znieść wiele, ale nie to, że jej krewna była morderczynią.

– Okazała się cwana, zrobiła to w białych rękawiczkach. – Usta Klary na moment uniosły się w groteskowym uśmiechu.

– Jak mam to rozumieć?

– Doprowadziła go do szaleństwa i sam... targnął się na swoje życie. Wyzwoliła w nim chorą namiętność. Zostawił nas dla niej, mnie, moją siostrę i mamę. A wszystko przez te skrzypce! Nie umiał się oprzeć chorym dźwiękom, które z nich ulatywały. Walentyna, świadoma swojej przewagi, bezlitośnie go dręczyła i niczym pająk snuła wokół niego sieć. Był tak zaślepiony, że tego nie dostrzegał. Do końca twierdził, że kocha tylko ją, że zrobiłby dla niej wszystko. A przecież właśnie o to jej chodziło. Po to się tutaj pojawiła, po to ścięła i ufarbowała włosy, po to zmieniła imię i swoje życie. Stała się inną osobą. Przyjechała tu dla niego, by go zniszczyć.

– Zaraz, zaraz. – W głowie Bianki kolejne puzzle trafiały na właściwe miejsce, a obraz stawał się coraz czytelniejszy.

– Walentyna i Wanda to ta sama osoba... twoja babka. – Klara podniosła się i stanęła naprzeciw Bianki. Potem oddała jej zdjęcie Wandy.

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobiła. – Bianka wpatrywała się w fotografię, jakby chciała znaleźć na niej ukryty ślad, coś, co pomoże jej zrozumieć.

– Złamała mamie serce. Niecałe dwa lata po śmierci ojca odeszła również ona, a ja i moja siostra zostaliśmy sierotami. Tak mocno go kochała, że nie potrafiła bez niego żyć.

– Bardzo mi przykro – rzekła Bianka zduszonym głosem. – Nic nie wiedziałam...

– Naprawdę? – W oczach Klary zabłysła ironia.

– Naprawdę – odparła pewnym głosem. – Zdjęcie Wandy znalazłam w dniu, kiedy wyjeżdżałam do Kazimierza. Było ukryte pod podszewką futerału na skrzypce. Nie miałam pojęcia... Nieustannie się zastanawiałam, kim jest ta kobieta – powiedziała takim tonem, jakby chciała się usprawiedliwić.

– W sumie wcale mnie to nie dziwi.

– Co takiego?

– Że wywiodła w pole również swoją rodzinę. Właśnie taka była, zła i wyrachowana.

Bianka nie potrafiła wypowiedzieć nawet słowa w obronie swojej babki. Patrzyła na Klarę smutno. Przynajmniej znalazła wytłumaczenie jej nienawiści, która pustoszyła wewnątrz kobiety, pozostawiając na twarzy głębokie bruzdy nieszczęścia. Nie rozumiała jednak, dlaczego Klara nadal rozpamiętywała tragiczną przeszłość, która odcięła ją od obecnego życia.

Kobieta na zdjęciu, Wanda, była całkowicie różna od Walentyny, i nie chodziło tylko o fryzurę, ostry makijaż czy frywolną pozę przybraną na potrzeby fotografii. Wanda miała zupełnie inne spojrzenie niż młoda Walentyna stojąca na schodach rodzinnego folwarku, którą Bianka pamiętała z albumu. Wzrok Wandy był zimny, surowy, a jednocześnie smutny. Co musiało się stać w jej życiu, że zdecydowała się na taki kamuflaż?

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobiła – powtórzyła Bianka, a potem odwróciła

zdjęcie i przeczytała słowa, które wciąż nic jej nie mówiły.

Ukochany Melchiorze,

niestety spotkaliśmy się w złym czasie. Chcę, abys wiedział, że kochałam Cię całym sercem. Wciąż Kocham Cię najmocniej na świecie. I kochać będę po wsze czasy. Bo takiej miłości nie można zastąpić inną.

Twoja na zawsze Wanda, 1940 rok

A jednak kogoś kochała. Ciekawe, czy równie wielką miłością obdarzyła swojego przyszłego męża Nikodema. Wszystko wskazywało na to, że było to raczej małżeństwo z rozsądku, a Nikodem był mostem, po którym Walentyna przeszła bezpiecznie na inną stronę życia, zrzucając uwierający kostium Wandy. Bianka pojęła teraz, dlaczego nikt nigdy nie rozmawiał o przeszłości babki, dlaczego nikt nic o niej nie wiedział. Sama Walentyna zadbała o to, żeby wymazać najmniejszy ślad dawnej siebie. Weszła w nową rolę statecznej żony i wymagającej matki, a to, co było kiedyś, odcięła od siebie żelaznymi nożycami i wyrzuciła do innego życia, którego się wstydziła. „Ale kim był Melchior?” To pytanie wciąż nie dawało Biance spokoju.

– Pani wie, co znaczą te słowa? – Wskazała palcem na tekst z tyłu fotografii.

– Skąd miałabym to wiedzieć?! – odpowiedziała Klara ze złością. – Pewnie zrobiła temu nieszczęśnikowi to samo co -mojemu ojcu – dodała, zdając sobie sprawę, że sprawia Biance ból.

– Możliwe... – powiedziała Bianka. Przecież rzeczywiście mog-ło tak być. Skoro Walentyna, tak jak powiedziała Klara, uwiodła jej ojca, może miała na koncie więcej takich grzeszków. Coś jednak nie pasowało Biance w tej opowieści.

Na odwrocie zdjęcia Walentyna wyraziła szczere emocje. To się czuło w każdym słowie. Nawet charakter pisma, staranny i kobiecy, to potwierdzał. Bianka miała pewność, że niezależnie od tego, kim był Melchior, Walentyna mocno go kochała. Data – 1940 rok – świadczyła o tym, że obdarzyła go uczuciem jako młoda dziewczyna, zaraz na początku wojny. Czyżby Melchior był jej pierwszą wielką miłością? I co stało się później z tym uczuciem? Niestety wszystko wskazywało na to, że owo pytanie musi pozostać bez odpowiedzi, przynajmniej na razie.

– Naprawdę bardzo mi przykro. – Bianka nie potrafiła powiedzieć nic innego.

Klara spojrzała na nią surowo, ale znacznie łagodniej niż na początku rozmowy. Być może nawet wierzyła, że Bianka o niczym nie wiedziała. Ten list niewątpliwie zaskoczył panią domu.

– I tak nie zdążyłaby go przeczytać. – Starła się wrócić do roli wyniosłej pani domu, dlatego wyprostowała się i uniosła głowę.

– Nie znałam swojej babki. Właściwie niewiele wiem na jej temat. Zmarła, zanim się urodziłam. Ale to, co zrobiła, rzeczywiście jest okropne i nie można tego usprawiedliwić. Mogę tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro z tego powodu. Przepraszam. – Bianka zrobiła krok w tył, jakby chciała odejść, ale na razie nie zamierzała wyjść z pokoju.

Musiała jeszcze o coś zapytać. O coś, co miało związek z listem. Postanowiła, że nim opuści ten dom – a zapewne już nigdy tu nie powróci – musi się jak najwięcej

dowiedzieć o sprawie dotyczącej babki.

– Pani Klaro – rzekła ciepłej.

W odpowiedzi Klara posłała jej nieufne spojrzenie.

– Proszę mi powiedzieć: czy pani wie, o co chodziło Walentynie, kiedy pisała w liście, że czegoś nie oddała pani Reginie? I że nie może tego zrobić, bo to coś podobno się zawieruszyło?

Klara uśmiechnęła się cierpko.

– Zbyt dużo chcesz wiedzieć. – Odwróciła się w stronę drzwi, okazując zniecierpliwienie.

– Po prostu staram się to zrozumieć.

– Tego nie można zrozumieć. Dokonano zbrodni, a winna nigdy nie została ukarana. Mój ojciec zrobiłby dla niej wszystko. – Przerwała i złożyła ręce jak do modlitwy. – Ośmielił się zabrać mamie jej największą pamiątkę, a później podarował ją...

– Urwała i podeszła do biurka. Pochyliła się, otworzyła szufladę, a potem dość długo w niej szperała. Nie znalazła jednak tego, czego szukała. Powiodła wzrokiem po blacie biurka. Nerwowym ruchem dłoni przesunęła kilka przedmiotów. Wzięła cienką książkę w niepozornej szarej oprawie, a następnie odwróciła ją do góry grzbietem, jakby chciała z niej coś wytrząsnąć. Udało jej się. Spomiędzy kartek wypadła nieduża fotografia. Klara chwyciła ją delikatnie, po czym zwróciła się do Bianki: – Spójrz. – Podała jej zdjęcie.

Bianka wzięła je od Klary z obawą. Przedstawiało młodą parę. Wydawało jej się, że już ją gdzieś widziała. Śliczna panna młoda w gustownej sukni ozdobionej brokatem i ze szczęściem wypisanym na twarzy.

– To pani siostra Luiza? – wyrwało się Biance. Odniosła wrażenie, że to ta sama fotografia, którą kiedyś pokazała jej Marta.

– Luiza? – Na twarzy Klary pojawiło się zaskoczenie, ale i niesmak. – Ależ nie, to ślubne zdjęcie mamy i taty. Wtedy jeszcze byli bardzo szczęśliwi – dodała z namaszczeniem.

„Ach tak, Marta rzeczywiście wspominała, że Liza musiała założyć do ślubu sukienkę swojej matki i nie była z tego powodu zbyt zadowolona”, pomyślała Bianka.

– Dlaczego pokazała mi pani to zdjęcie? – zapytała.

Klara zbliżyła się do niej, żeby móc się lepiej przyjrzeć zdjęciu. Zaraz wycelowała w nie palec, a ostry czubek jej paznokcia dotknął dekoltu Reginy.

– Odebrał jej największą świętość, którą dostała od niego w prezencie ślubnym. Czarna perła była przekazywana w jego rodzinie zawsze najstarszemu synowi, który wręczał ją swojej wybrance na znak miłości i wierności. Widocznie ojciec uznał, że skoro nie dowiódł ani miłości, ani wierności, to i perłę może odebrać żonie. Zadał jej wtedy cios w samo serce, ale nie wiedziała, że najgorsze miało dopiero nadejść. Kiedy pytałyśmy ją o tatę, on tulił w ramionach swoją babkę albo słuchał żalosego zawodzenia jej skrzypiec. Gdy dowiedziałam się, że Samuel chce grać na tym diabelskim instrumencie, myślałam, że zwariuję. A gdy do tego okazało się, że ma wielki talent, pomyślałam, że to jakieś fatum. Jest taki podobny do swojego dziadka Gerarda z tym swoim bajronicznym spojrzeniem i delikatnością, która nie przystoi mężczyźnie. – Wykrzywiła usta w nieładnym grymasie. – Co za zbieg okoliczności, że ty i on...



– Nasze drogi rozeszły się w momencie, gdy ta niefortunna umowa, na którą nigdy nie powinnam była przystać, przestała obowiązywać – rzekła Bianka smutno.

– Ale zgodziłaś się i zaakceptowałaś moje warunki. Złamałaś Samuelowi serce tak jak Walentyna mojemu ojcu.

– Proszę przestać! Nie złamałam Samuelowi serca, to zupełnie inna sytuacja! Zresztą żeby złamać komuś serce, najpierw to serce musi kogoś pokochać. – Zamilkła, czując, jak wzbierają w niej emocje.

– Jesteś ślepa czy głupia? – Arogancja Klary sięgnęła zenitu.

– Proszę mnie nie obrażać – odezwała się Bianka cicho.

– Mój biedny syn, pożał się Boże donkiszot, zakochał się w tobie. Złamałaś mu serce, moja droga – powiedziała Klara przesłodzonym tonem, aby osiągnąć lepszy efekt.

– To tylko pani przypuszczenia. Nic pani nie wie na ten temat. – Rozmowa stała się wyjątkowo niewygodna. A wydawało jej się, że nie może być gorszego tematu niż ten dotyczący jej babki.

Aby uciec przed prześmiewczym spojrzeniem Klary, Bianka znów zatopiła wzrok w zdjęciu. Przyjrzała się Gerardowi. Owszem, może według ówczesnego kanonu piękna uchodził za przystojnego mężczyznę, jednak wcale nie przypominał jej Samuela. Jedyne, co ich łączyło, to jasny kolor włosów, które Gerard miał ułożone w krótką fryzurkę, a Samuelowi opadały luźno za uszy i zakręcały się na końcach. Potem dziewczyna przeniosła wzrok na Reginę. Spojrzała na miejsce tuż nad jej piersiami, na które przed chwilą wskazywał palec Klary. Dopiero wtedy ją zauważyła. Czarna perła opierała się na dekolcie młodej Reginy, dodając jej takiego samego uroku jak Wandzie. Obie nosiły ją z wielką klasą.

Bianka słyszała głośnie tykanie zegara wiszącego na przeciwległej ścianie i próbowała dopasować ten rytm do uderzeń swojego serca. Niestety łomotało ono znacznie szybciej, zupełnie tak, jakby zaraz miało wyskoczyć jej z piersi. Nie była w stanie zliczyć tych uderzeń. Nie mogła się skoncentrować. Drugą, wolną rękę włożyła do kieszeni.

– To chyba należy do pani. – Uniosła na wysokość oczu Klary otwartą dłoń, na której leżała czarna perła.

– Skąd to masz? – Klara nerwowo zamrugła oczami. – Znalazłaś to w jej rzeczach, tak?

– Jakie to ma teraz znaczenie? – odpowiedziała spokojnie Bianka. – Nie cofniemy czasu, nie wymażemy niedobrej przeszłości, ale możemy spróbować spojrzeć na nią inaczej. Wygląda na to, że perła sama odnalazła drogę powrotną do domu. – Włożyła ozdobę w drżącą dłoń Klary, która gdy tylko poczuła jej śliski dotyk, zamknęła ją w uścisku. – Pani Klaro, naprawdę jest mi bardzo przykro. Cieszę się, że chociaż tyle mogłam zrobić. – Zbliżyła się do biurka i położyła fotografię ślubną tuż obok zdjęcia Walentyny i listu w żółkniętej kopercie, po czym ruszyła do drzwi. Nie widziała powodu, dla którego miałyby zostać tutaj dłużej.

– Zaczekaj! – usłyszała za sobą głos Klary. – Zabierz je! – Nie ruszając się z miejsca, wskazała na biurko. – Nie chcę w moim domu zdjęcia tej kobiety. Zabierz je stąd! – powtórzyła z paniką w głosie.

Bianka wróciła do biurka i wzięła z blatu zdjęcie Wandy... swojej babki.

– Do widzenia, pani Klaro – rzekła, stojąc w progu.  
– Wracam do Francji – stwierdziła Klara, zamiast wypowiedzieć słowa pożegnania.  
– W takim razie szczęśliwej drogi. – Bianka oparła się plecami o futrynę.  
– Nie chciałam cię... was skrzywdzić – powiedziała Klara, spoglądając w stronę okna. – Choć właściwie po to cię tutaj sprowadziłam. Sama nie wiem, o co mi chodziło. Nie miałam żadnego planu. To wszystko wyszło przypadkowo. Długo jej szukałam. Gdy znalazłam jej adres, od razu pojechałam do Poznania. Byłaś wtedy małą dziewczynką. – Wciąż patrzyła na okno. – Zatrzymałam się kiedyś za rogiem waszej kamienicy i patrzyłam na was. Szłaś z ojcem, trzymał cię za jedną rękę, a w drugiej niosłaś futerał ze skrzypcami. Ścisnęło mnie wtedy w sercu i pomyślałam, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Postanowiłam, że wrócę w to samo miejsce, kiedy urośniesz. No i wróciłam... – Spuściła głowę. – Wyglądasz identycznie jak ona, ale... nie jesteś nią.

– Ja... jeszcze raz za nią przepraszam.

– Powinnaś już iść, zaraz wróci Vincent. Nie chciałabym opóźnić naszego wyjazdu.

– Rozumiem. Do widzenia – rzekła Bianka i wyszła z pokoju.

Gdy znalazła się w holu, przyspieszyła kroku, a kiedy doszła do drzwi, zaczęła biec. Przy furtce minęła się z Vincentem. Mężczyzna zmierzył ją chłodnym wzrokiem.

– Dzień dobry i do widzenia – rzuciła podekscytowana.

– Do widzenia – odpowiedział, bo tak wypadało. Zaraz potem zatrzęsął furtkę.

Bianka otworzyła samochód i usiadła w fotelu kierowcy.

– Misja wykonana – stwierdziła półgłosem. Odwróciła się i wsunęła zdjęcie Wandy do kieszeni torby. Wciąż czuła w sobie mieszaninę emocji, ale teraz mogła przynajmniej spokojnie złapać oddech. Jak przez zaporowaną szybę przyglądała się sytuacji, w której uczestniczyła przed momentem. Kieszeń, w której jeszcze kilkanaście minut wcześniej znajdowały się list i czarna perła, teraz była pusta.

„Musiała ją zgubić, gdy była w domu Serafiny – pomyślała, wciąż mając przed oczami czarną perłę. – Jak pokrętną drogę perła musiała pokonać, żeby wrócić na swoje miejsce! Ciekawe, czy teraz, kiedy list i prezent ślubny Reginy znalazły się we właściwych rękach, Klara zazna choć trochę spokoju...” Z jednej strony Bianka czuła niesmak, gdy myślała o tej smutnej historii i roli, jaką odegrała w niej jej babka. Z drugiej jednak – współczuła Walentynie. Była pewna, że w jej życiu wydarzyło się coś, co popchnęło ją do tak karygodnego czynu.

Odpaliła silnik, wycofała samochód i bez planu na drogę powrotną ruszyła, kierując się do centrum miasteczka. Gdy już miała skręcić w lewo, nagle w jej głowie zapaliła się lampka.

– Pani Serafina! – rzekła do siebie podniesionym głosem. „Chyba wiem, kogo jeszcze powinnam odwiedzić”.

Samochód zostawiła na końcu asfaltowej drogi i dalej ruszyła na piechotę. Słońce przyjemnie grzało, a lekki wiatr układał jej włosy w urocze fale. Płatał je, zaczepiał i figlował z nimi, wplatając pomiędzy nie złociste promyki. Szeroka, sięgająca do kolan spódnica powiewała, głaskając jej gołe nogi. Trawa szeleściła zmierzchającym latem, a świerszcze ukryte w jej zakamarkach grały pożegnalnego walca. Droga podsuwała pod

jej stopy znajome kamienie, które odbijały się od podeszew sandałów, jakby chciały zwrócić na siebie uwagę, po czym turlały się i ukrywały w trawie.

Serafina siedziała przed chałupą. Łuskała groch i wrzucała go do wiklinowego kosza, a na ławce tuż obok niej wygrzewał się Barnaba. Staruszka, z pochyloną głową i plecami wygiętymi w łuk, zauważyła Biankę dopiero wtedy, gdy ta znalazła się zaledwie kilka metrów przed nią. Usłyszała szuranie, więc uniosła głowę. Przetarła oczy z niedowierzaniem.

– Przecie tyś miała odjechać, tak Rysiek powiadał. – Uśmiechnęła się, zadowolona, że wiadomość się nie potwierdziła.

– Dzień dobry, pani Serafino. – Bianka podeszła do staruszki i przywitała się z nią. Zaraz potem usiadła obok niej na nagrzanej ławce.

Barnaba na chwilę podniósł głowę i obrzucił dziewczynę niechętnym spojrzeniem, a później kilkakrotnie zastrzygł uszami. Szybko jednak powrócił do wcześniejszej wygodnej pozycji, zwijając się w kłębek.

– Dobrze mówił pan Rysio. Rzeczywiście wyjechałam, ale wróciłam... na chwilę. Staruszka odsunęła kosz i wyłożyła nogi przed siebie.

– Zateśniłaś?

– Tak. – Bianka się uśmiechnęła. – Choć właściwie powód mojego nagłego powrotu jest trochę inny. – Zmieszła się. – Musiałam wrócić do miasteczka, żeby załatwić pewną sprawę – rzekła tajemniczo.

Serafina rozchyliła usta, zacmokała, a następnie podciągnęła nogi i zaczęła masować sobie kolana. O nic jednak nie spytała.

– Pani Serafino, chciałabym z panią o czymś porozmawiać. – Bianka postanowiła od razu przejść do rzeczy.

– A mówże, o co ci chodzi. – Serafina zerknęła na nią niecierpliwie.

– Chodzi o Wandę. – Zamilkła, zastanawiając się, czy powinna wyjawić staruszce rodzinną tajemnicę. – Dowiedziałam się, że Wanda tak naprawdę miała na imię Walentyna i była moją babką. – Wpatrywała się w twarz kobiety, ciekawa jej reakcji.

– Wandzia miała swoje zagadki. – Staruszka odwróciła głowę w drugą stronę, jakby chciała uciec przed wzrokiem Bianki.

– Pani coś wie na jej temat, tak? – zapytała.

– Ja ci już to wszystko powiedziałam.

– Wiem, pani Serafino, i jestem pani za to niezmiernie wdzięczna. Podzieliła się pani ze mną ważnym sekretem, ale chciałabym się dowiedzieć o swojej babce czegoś więcej. Jeśli ma pani na jej temat jakieś informacje, to... – Przybliżyła się do niej i złapała ją za pomarszczoną rękę. – To dla mnie -bardzo ważne.

– Nie trzeba starych czasów rozpamiętywać. Wandzia mi zawierzyła – rzekła Serafina.

– Rozumiem, w końcu byłąście przyjaciółkami. Tylko że od tamtej pory minęło już bardzo dużo czasu, a ja tak usilnie staram się to zrozumieć.

– Co? – Serafina włożyła palec pod chustkę i podrapała się nad skronią.

– Dlaczego moja babka Walentyna podawała się za Wandę, wyjechała do Kazimierza, choć wcześniej mieszkała w Podstolicach, i robiła rzeczy, o których nikt z

naszej rodziny nie miał pojęcia. – W głosie Bianki dało się słyszeć desperację.

– Ona nie była nieprawą, tylko... – Serafina przerwała. Dało się odczuć, że stanęła przed dylematem moralnym, czy zachować dla siebie to, co wiedziała, czy podzielić się tym z kimś, komu bardzo zależy na poznaniu prawdy.

– Pani Serafino, proszę. – Bianka przytrzymała dłoń staruszki w dłuższym uścisku. Serafina westchnęła i się przeżegnała.

– Może Wandzia mi to daruje... – Uniosła oczy ku niebu. – I może mnie nie złaje, jak po mnie kiedyś zajdzie.

– Pani Serafino, na pewno nikogo nie skrzywdzimy, jeśli trochę porozmawiamy o starych czasach.

Wydawało się, że to zapewnienie w pewnym stopniu przekonało staruszkę, ale mimo to jej wzrok wciąż niespokojnie uciekał na boki.

– Trza gadać cicho, licho nie śpi, a już długo się tu nie swawoliło. – Starowina postukała palcem w spód ławki. – Rysiek studnię przykrywa i obejścia dogląda, to i bies za miedzą siedzi, pod chałupę nie podchodzi.

Bianka uśmiechnęła się do Serafiny. Nie chciała naciskać, ale nie mogła stąd odejść, nie dowiedziawszy się prawdy. Tylko Serafina mogła jej pomóc. Staruszka była jedynym łącznikiem z ubiegłymi czasami.

– Łaził tu za Wandzią taki jeden chłop z miasteczka. Postawny był i urodny, ale ona go nie miłowała. Gadali, że z Niemcami trzymał. Wandzia na schadzki z nim się umawiała i... – Przez chwilę się zawahała. – Podpytywała go o różne historie, a potem ona i inni schodzili się w tunelu i...

– Przekazywali sobie informacje – dokończyła Bianka.

Słowa Serafiny rzucały nowe światło na postać babki. Do poprzedniego wizerunku – młodej, lnianowłosej dziewczyny, utalentowanej skrzypaczki i *femme fatale* uwodzącej cudzych mężów – Bianka dodała jeszcze obraz kobiety szpiega. Bo jak inaczej można było nazwać to, co robiła jej babka? Na szczęście wszystko wskazywało na to, że poświęcała się dla słusznej sprawy, jak zresztą wielu młodych ludzi marzących o wolnej ojczyźnie. O ile wcześniej Bianka czuła jakiś rodzaj wstydu z powodu tego, co zrobiła Walentyna, o tyle teraz odczuła ulgę, że może ją choć trochę rozgrzeszyć. Widocznie babka tak bardzo zaangażowała się w działalność konspiracyjną, że na pewien czas zapomniała o kodeksie moralnym i przyoblekła się w nową skórę, by walczyć o Polskę na własnych zasadach.

– Zastanawia mnie jedno: dlaczego przyjechała akurat do Kazimierza? Co sprawiło, że wybrała właśnie to miejsce? – zapytała, ale szczerze powiedziawszy, nie liczyła na odpowiedź Serafiny.

– No przecie zajechała tu dla niego. – Serafina pokiwała głową.

– Dla kogo?

– No dla tego chłopca, co jej miłego zamordował.

– Co takiego?! – Bianka drgnęła.

– Ten chłop z miasteczka, co tak Wandzię miłował, ponoć jej oblubieńca w bitwie pod Tomaszowem Lubelskim odstrzelił. Powiadali, że nie chciał, przecie w jednej kompanii wojowali. Ale Wandzia powariowała od tego wszystkiego i ukochanemu

zemstę ślubowała. Chłopa odnalazła, zbałamuciła, a potem z tutejszymi się zbratała i ostała do końca zawieruchy. A jak odjechała, ślad po niej zaginął.

Bianka zmrużyła oczy. Czy to możliwe, że ostatni element układanki trafił na odpowiednie miejsce? Jak mocno Walentyna musiała kochać Melchiora, że odważyła się na tak desperacki czyn? Jak bardzo zaślepiły ją nienawiść i żądza zemsty, że postanowiła zniszczyć życie innemu człowiekowi? Zbyt dużo informacji na temat babki kotłowało jej się w głowie. Zbyt wiele niezrozumiałych uczuć wyzwoliły. „Kim jesteś, Walentyno?”

Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała w niebo. Od strony lasu leciała biała mewa. Jej rozpostarte skrzydła przecinały czyste powietrze. W pewnym momencie ptak się zatrzymał, intensywnie zatrzepotał skrzydłami, a zaraz potem odleciał.

– Zrobię herbatę. – Zdecydowany głos Serafiny przerwał zbyt długą ciszę.

– Nie, nie. – Bianka wstała. – Proszę się nie fatygować. Ja już będę się zbierać. Jeszcze dzisiaj wracam do Poznania. – Uśmiechnęła się przeprasząco.

– Dopiero żeś zawitała. – Staruszka uniosła głowę.

– Pani Serafino, dziękuję za wszystko. Bardzo mi pani pomogła. Przynajmniej teraz wiem, kim była moja babka – rzekła Bianka bez przekonania.

– Dobra dziewczka z Wandzi była.

Bianka spojrzała na staruszkę z wdzięcznością. Potrzebowała teraz takich słów, żeby to wszystko zrozumieć. Żeby zrozumieć Walentynę.

– Kiedy wojna miała się ku końcowi, Wandzia odłączyła się od tego chłopca. Rzekła mu, że go nie chce znać, i na uczciwość się poważyła. Nie myślała, że chłopca nasze licho przydybie, za chałupę zaprowadzi, sznur mu wsadzi w ręce i każe się na naszym dębnie powiesić. – Serafina znów wykonała znak krzyża, a po plecach Bianki przebiegł lodowaty dreszcz.

– To znaczy, że... tam, za domem, na waszym drzewie... że to był Gerard, kochanek Wandy... Walentyny?

– Nie wiem, jak go zwali. Wandzia o nim mawiała „konfident”.

– O Boże! – Bianka wzdrygnęła się i zaplotła ręce, aby zapanować nad ich drżeniem. – To straszne! – krzyknęła ze zgrozą w głosie.

– Niemożliwie – zawtórowała jej Serafina przejętym tonem. – Czterech wieśniaków go z pagórka do miasteczka niosło. Kawał chłopca z niego był. A jak go chowali, to we wszystkich kościołach dzwony biły, mimo że musiał być bezbożnikiem, skoro na swoje życie się targnął.

– Pani Serafino, muszę już iść. – Bianka odsunęła się od ławki, na której siedziała staruszka. Mimo że starała się ukryć nerwowość, trudno jej było zapanować nad emocjami. – Czeka mnie długa droga, więc lada moment powinnam wyjechać – starała się usprawiedliwić.

Na szczęście Serafina albo nie dostrzegła jej niepokoju, albo nie chciała go zauważyć, bo jak gdyby nigdy nic z powrotem przysunęła do siebie wiklinowy kosz i wróciła do łuskania grochu.

– Odwiedź mnie jeszcze, ptaszyno, zanim kostucha się do mnie przytelepie. – Staruszka się uśmiechnęła.

– Na pewno panią odwiedzę. – Bianka odwzajemniła uśmiech, choć przyszło jej to

z trudem. Przeróżające myśli nie dawały jej spokoju. Miała nadzieję, że gdy odejdzie z tego miejsca, trochę ochłonie i poukłada sobie w głowie wszystkie informacje, poczuje się lepiej.

Pędziła przed siebie jak opętana, dlatego kiedy dotarła do samochodu, ledwie mogła złapać oddech. Usiadła na poboczu porośniętym rzadką trawą i wyciągnęła nogi. Pomału dochodziła do siebie. Z oddali słyszała szum rzeki, który wydał jej się równie niespokojny jak pomruk w jej głowie. Linia horyzontu zabarwiała się na różowo, a szansa, że dojedzie do Poznania jeszcze dzisiaj, coraz bardziej malała. Nawet gdyby wyjechała za moment, wkrótce i tak zaskoczyłyby ją zmrok. Naprawdę nie znośiłaby prowadzić w ciemności.

Pomyślała, że przecież może się zatrzymać u Małgosi. W końcu przyjaciółka wiele razy proponowała jej gościnę. Podniosła się, otrzepała spódnicę z kawałków wyschniętych roślin, które wplątały się między jej marszczenia, i z werwą ruszyła do samochodu. Gdy już usadowiła się w fotelu, wyjęła z torby telefon i wybrała numer Gosi.

– Abonent czasowo niedostępny.

Niestety nie przewidziała takiej sytuacji. Dalsze próby skontaktowania się z Małgosią też się nie powiodły. Odrzuciła telefon na siedzenie obok i pomyślała, że pora wracać. Nie miała pojęcia, gdzie mogłaby się zatrzymać. Odpaliła silnik i ruszyła powoli, jakby chciała się oswoić z czekającą ją jazdą. Zbliżała się do miasteczka. Nagle włączyła lewy kierunkowskaz i skręciła w jedną z uliczek, które już doskonale знаła. Wolne miejsce jakby na nią czekało, więc natychmiast zaparkowała.

Wysiadła, zabrawszy tylko pieniądze. Skoro już zdecydowała się wjechać do centrum, postanowiła coś zjeść i kupić wodę na podróż. Nie miała czasu ani ochoty rozsiadać się w restauracji, więc kupiła na wynos panini w barze, obok którego przechodziła.

Niedaleko znajdowały się delikatesy, więc ruszyła w tamtą stronę. Wewnątrz panował spory ruch. Podeszła do półki z napojami i oniemiała, nie mogąc uwierzyć w taki zbieg okoliczności.

– Pani Marta? – odezwała się głośno, skupiając na sobie wzrok innych klientów.

Okrągłutka kobieta w kimonowej kremowej bluzce i bardzo szerokiej dżinsowej spódnicy spojrzała w jej stronę.

– Dziecko kochane, a co ty tutaj jeszcze robisz? – Oczy Marty otworzyły się szeroko z niedowierzania.

– Raczej znowu – rzekła Bianka niejasno.

Marta dopadła do niej i nie zważając na innych, mocno ją przytuliła.

– Jak to znowu? Coś się stało?

– Długo by opowiadać. – Głośno westchnęła.

– To opowiedz. – Marta zaczęła szturchać ją w bok. – Oczywiście dopiero wtedy, kiedy wyjdziemy ze sklepu, bo tutaj... – Nie dokończyła, ponieważ przy regale zrobił się tłok.

Bianka wzięła wodę i razem z Martą, która miała już w koszyku komplet potrzebnych produktów, podeszły do kasy. Gdy znalazły się na zewnątrz, Marta pociągnęła Biankę na bok.

– Wiesz, że Klara wyjeżdża do Francji? Decyzję o powrocie podjęła w ciągu zaledwie kilku godzin. – Popatrzyła na Biankę, spodziewając się, że zobaczy na jej twarzy zaskoczenie.

– Wiem – odpowiedziała Bianka spokojnie. – Spotkałam się dzisiaj z Klarą. Byłam w jej domu.

– Po co? Wydawało mi się, że po tym, co się stało, nie zechcesz jej już nigdy więcej widzieć.

– Też tak sądziłam, jednak sprawy przybrały inny obrót.

– O czym mówisz? – Marta bacznie wpatrywała się w Biankę, starając się odgadnąć powód, dla którego wróciła do Kazimierza.

– Tego nie da się streścić w dwóch zdaniach, to temat na dłuższą opowieść. A ja powinnam już... – Uniosła rękę, by zerknąć na zegarek.

– Dokąd chcesz się teraz wybrać? – Marta rozejrzała się po wciąż tłocznej ulicy.

– Do Poznania.

– O tej porze? Przecież mówiłaś, że nigdy nie jeździsz w nocy.

– Nie mam wyjścia. Nie zaplanowałam dokładnie swojego wyjazdu, więc wygląda na to, że muszę się zmierzyć z podróżą właśnie teraz.

– Nie będziesz się mierzyć z żadną podróżą, a przynajmniej nie dzisiaj. Zabieram cię do siebie. Zjesz porządną kolację, prześpisz się w wygodnym łóżku, a jutro rano wyruszysz do tego swojego Poznania. – Wyglądało na to, że Marta już za nią zdecydowała.

Bianka nawet nie próbowała się sprzeciwić, bo pomysł Marty bardzo jej się spodobał.

– Na pewno nie będę przeszkadzać? – spytała tylko nieśmiało, kiedy szły w stronę samochodu.

A potem wszystko potoczyło się ekspresowo. Marta mieszkała kilkanaście kilometrów za miasteczkiem, więc do jej domu dotarły bardzo szybko. W samochodzie niewiele rozmawiały, odłożyły bowiem zwierzenia na później. Marta planowała, co przygotuje na powitalno-pożegnalną kolację dla Bianki, i co jakiś czas zerkała na nią, jakby chciała się upewnić, że to rzeczywiście ona.

Dom Marty przywitał je zapachami swojskiego żurku na wędzonce i mielonej kawy, którą Marta przez nieuwagę rozsypała na posadzkę. Szary kwadratowy dom z pustaków był smutny na zewnątrz, ale ciepły i przytulny od środka. Ściany pomalowane na pastelowe kolory przywodziły na myśl czułe usposobienie gospodyni. Zanim się rozsiadły, Marta oprowadziła Biankę po swoim niewielkim lokum, które składało się z dwóch pokoiów, kuchni i łazienki. Dom miał nieczynne piętro, którego właścicielka nigdy nie zdecydowała się wykończyć, a które teraz służyło za praktyczny stryszek, gdzie można było wysuszyć pranie i trzymać różne szpargały.

Pokój gościnny był urządzony bardzo skromnie. Stały tam niewielka meblościanka z jasnego drewna z przeszkloną witryną, stół w takim samym stylu, otoczony sześcioma krzesłami, i zgrabna wersalka pokryta oliwkowym pluszem. Marta poinformowała Biankę, że właśnie tutaj dziewczyna spędzi dzisiejszą noc. W drugim, mniejszym pokoju znajdowały się zaścielone łóżko, wysoka szafa wbudowana w ścienną wnękę i mały

stoliczek z lampką nocną. Bianka domyśliła się, że jest to oaza gospodyni.

Niewielką kwadratową kuchnię wypełniały kremowe meble. Marta dopieściła to wnętrze w każdym calu. Widać było, że tutaj spędza najwięcej czasu. Pod dużym oknem wychodzącym na ogródek stał prostokątny stół dosunięty do ściany, nakryty obrusem w beżowo-zieloną kratę. Otaczały go trzy zgrabne taborety z okrągłymi siedziskami. Na brzegu stołu, tuż przy oknie, w dwóch karmazynowych doniczkach stały okazałe orchidee w blad różowym kolorze.

Po tym, jak Marta oprowadziła Biankę po domu, usiadły przy stole i zostały tam aż do północy. W czasie ożywionej dyskusji delectowały się przygotowaną przez gospodynię kolacją. Przypominające łódzkie wąskie kanapki z różnymi dodatkami stanowiły idealny przerywnik. Wkładając je do ust, można było zebrać myśli i zastanowić się nad wypowiedzią. A tematów było naprawdę sporo.

Marta usiadła obok Bianki i najpierw ostrożnie starała się wy badać sytuację. Bianka jednak od razu przeszła do konkretów i dość obszernie zdała Marcie relację z bieżących spraw. To po części przyniosło jej ulgę. Niezrozumiałe myśli, które nieskutecznie próbowała uporządkować, przyoblekły się w słowa, dzięki czemu mogła się nimi z kimś podzielić.

– Od początku zastanawiało mnie, po co tak naprawdę Klara cię do siebie ściągnęła.

– Marta sięgnęła po cynową konewkę. Przechyliła ją i podlała swoje ukochane kwiaty. – To całe przedstawienie: ty z tacą wypełnioną jedzeniem i ta papierkowa praca, przy której nikt cię nigdy nie widział. Przecież to śmieszne.

– No właśnie, nic dziwnego, że Samuel nie dał się na to nabrać. Od początku podejrzewał, że coś jest nie tak. – Bianka wydawała się skruszona.

– Nie broń go, on też nie jest bez winy. – Marta postanowiła zdusić w zarodku budzące się w Biance wyrzuty sumienia.

– Wszystko wymknęło się spod kontroli. Gdybym tylko wcześniej się domyśliła, że Klara coś knuje. A tatko tak przestrzegał mnie przed tym wyjazdem. Kto normalny w dzisiejszych czasach proponuje taką kwotę za dwa miesiące pracy? – Bianka roześmiała się nerwowo, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z własnej łatwowierności.

– Klara nie jest i nigdy nie była normalna – rzekła Marta twardo. Uniosła jedną doniczkę, bo wyciekła z niej woda na spodek. – Cieszę się, że wyjechała. Przynajmniej w końcu odeszłam z tego domu, a tak pewnie nigdy bym się na to nie zdecydowała. Ciągłe szukałabym tam ducha Lizy. – Zamilkła i spojrzała na ciemną, ledwie już widoczną akację, rosnącą naprzeciw okna, przy ogrodzeniu. – Wyjazd Klary wszystko przyspieszył. – Ściszyła głos do szeptu, jakby trzymała w zanadrzu jakąś niespodziankę.

– Wszystko? – Bianka natychmiast to zauważyła.

– Odważyłam się z nią o tym porozmawiać. Co gorsza, wykrzyczałam jej to w twarz. – Marta poczerwieniała.

Bianka była bardzo ciekawa, co Marta ma jej do powiedzenia.

– Wykrzyczałam jej w twarz, że jest winna śmierci swojej siostry, że zabrała jej męża i syna. I że tak nie postępuje nikt bliski! – Oczy Marty zaszklily się od nagłego przyływu emocji. – Wiesz, co mi odpowiedziała? – Pomasaowała pulsującą skroń.

Bianka zaprzeczyła ruchem głowy.



– Popatrzyła na mnie beznamiętnie tymi swoimi zapadniętymi oczami i oznajmiła mi, że Liza nigdy nie była dla niej nikim bliskim i że tam, na górze – Marta uniosła palec wskazujący, a w ślad za nim powędrował jej wzrok – musieli się pomylić, przydzielając je do tej samej rodziny.

– W sumie to prawda, przecież były zupełnie inne – wtrąciła Bianka, ale ostry wzrok Marty uświadomił jej, że lepiej byłoby trzymać język za zębami.

– Tak, były inne – potwierdziła Marta niespokojnym głosem. – Ale inność nie oznacza, że mamy odrzucać drugiego człowieka. A Klara odrzucała Luizę. Dawała jej odczuć na wiele sposobów, jak bardzo Liza jest zbędna w tej rodzinie. Nieustannie ją ośmiesziała i umniejszała jej wartość. Ale Liza przemykała krętymi ścieżkami, na których Klara ustawiała dla niej zasadzki, jak cwana kotka i zawsze spadała na cztery łapy. Jej wuj ją uwielbiał, a ciotka... – Na moment przerwała, dając sobie czas na zastanowienie. – Sądzę, że Konstancja mimo surowej pozy też miała dla młodszej siostrzenicy więcej ciepła niż dla Klary. Obserwowałam z bliska tę siostrzaną relację i jak tylko mogłam, starałam się ochronić Lizę przed Klarą. Okazało się jednak, że to ja -najbardziej ją zawiodłam. – Znow uciekła wzrokiem w dal.

– Pani Marto, o co chodzi? – Bianka przytrzymała rękę Marty, która przesuwiała się po stole bez celu.

– To ja zawiodłam Lizę. Nie Klara. Ona znalazła się tam wtedy przez przypadek.

– O czym pani mówi? – Bianka nie potrafiła poskładać w całość niejasnych słów Marty. Jednego była pewna: brzmiały jak oskarżenie.

– Pamiętasz naszą grę, o której ci mówiłam? Drzewo z dziuplą zagadek i małe karteczki, na których zapisywałyśmy sekrety?

Bianka przytaknęła, a ponieważ czuła w ustach suchość, sięgnęła po herbatę, którą Marta postawiła przed nią w szklanym dzbanku. Napój miał intensywny malinowy kolor, zupełnie taki sam jak policzki Marty.

– Umówiliśmy się pod naszym drzewem na Fiołkowym Wzgórzu. Paskudna deszczowa pogoda na pewno nie sprzyjała naszemu spotkaniu, ale już nieraz biegaliśmy tam w ubłoconych butach, na wskroś przemoknięte. Pracowałam wtedy w piekarni. Tego dnia mieliśmy na stoisku wielki ruch, więc szef kazał mi zostać dłużej. Musiałam go posłuchać, bo to była moja pierwsza praca, a w naszych stronach o posadę zawsze było dość trudno. Wkładałam wyrośnięte koguty do rozgrzanego pieca i wciąż spoglądałam na okrągły żelazny zegar wiszący nad drzwiami. Oczami wyobraźni widziałam moją biedną Lizę, przemoczoną i zziębniętą, czekającą pod naszą starą wierzbą. Miałam tym większe wyrzuty sumienia, że Liza, gdy chciała się ze mną spotkać, musiała zostawić swojego małego synka pod opieką Konstancji, która mimo że bardzo kochała przyszywanego wnuka, niezbyt dobrze rozumiała dziecięce potrzeby i nie do końca sprawdzała się w roli czulej babci. W każdym razie kiedy zamknęłam za sobą drzwi piekarni, było już sporo po szesnastej, a na zewnątrz panowała przygnębiająca szarówka. Był koniec października i do Kazimierza zdążył już wtargnąć nieprzyjemny ziąb. Opatuliłam się szalem i popędziłam na przystanek. Autobusów było wtedy jak na lekarstwo, więc stanęłam przy głównej drodze na Nałęczów i zatrzymałam przypadkowy samochód. Dzisiaj byśmy powiedzieli, że złapałam stopa. – Marta spróbowała się uśmiechnąć, ale z marnym

skutkiem. Przed jej oczami wciąż przesuwały się smutne obrazy z przeszłości.

Bianka popatrzyła na nią ze współczuciem, próbując dodać jej otuchy.

– Oczywiście kiedy dobiegłam do naszego miejsca, Lizy już dawno tam nie było. Któż by czekał w takich warunkach? Ale wiedziałam jedno: że zostawiła dla mnie wiadomość. Kucnęłam i wyjęłam kawałek kory, który stanowił wrota do naszej skrytki. Wcale się nie zdziwiłam, gdy natrafiłam na małą karteczkę. „Martuś, czekam na Ciebie przy kamiennym moście albo wiesz gdzie...”, przeczytałam. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego Liza tak uwielbiała ten kamienny most. Wiało tam grozą. Myślę, że lubiła go przez tę historię o parze kochanków. Moja przyjaciółka zawsze była niepoprawną romantyczką. Niestety kiedy dotarłam na ten nieszczęsny most... – Marta zrobiła przerażoną minę. – Rzeczywiście paliła się na nim lampka. Przypuszczam, że Liza była tam długo przede mną, ale albo wystraszyła się duchów nadlatujących z cementarza, albo po prostu znudziło ją czekanie. Z duszą na ramieniu udałam się tam, gdzie jak podejrzewałam, czeka na mnie przyjaciółka. Byłam zmarznięta, zmęczona, przerażona, a nawet zła na Lizę z powodu jej kretyńskich pomysłów. W mokrych butach ruszyłam w stronę rzeki. Sądziłam, że najgorsze, co mogło mnie spotkać, już za mną. Jakże się myliłam... – Na chwilę przerwała.

Na dworze było już całkiem ciemno, a w okolicznych domach paliło się coraz mniej świateł, ale opowieść Marty miała jeszcze trochę potrwąć.

– Liza miała swoje ulubione miejsce nad samym brzegiem Wisły, kilkanaście metrów od pomostu, przy którym cumowały statki. Nawet gdy było chłodno, czasem zdejmowała buty, podciągała spódnicę i moczyła stopy w wartkim nurcie. – Zamknęła usta i popatrzyła na Biankę nieobecny wzrokiem. Potem bardzo długo milczała, wydawało się, że już nic nie powie. W końcu jednak odezwała się znów, tym razem znacznie ciszej: – Gdybym przyszła wcześniej, to na pewno by się nie zdarzyło. Liza wciąż by żyła. Ale niestety... kiedy dotarłam na nadbrzeże... do tego miejsca... wokół panowało już poruszenie. Ktoś krzyczał, że jakaś kobieta wpadła do Wisły, że stała zbyt blisko brzegu i porwał ją rwący nurt rzeki. Jakiś mężczyzna brodził po pas w wodzie. Nie wiem, skąd oni wszyscy się tam wzięli w taką pogodę. Rozprawiali na brzegu, żywo gestykulując, żądni taniej sensacji. Tylko ja zamarłam. Stałam z boku i przyglądałam się wszystkiemu z niemym zdziwieniem, jakby to był tylko koszmarny sen, z którego lada chwila się obudzę. Ale to nie był sen. – Ukryła twarz w dłoniach. Kiedy po chwili położyła je na stole, jej oczy były wilgotne.

Bianka już chciała wtrącić słowa pocieszenia, lecz Marta głęboko odetchnęła, a potem znowu zmierzyła się ze wspomnieniami.

– W pewnym momencie odwróciłam się w lewo. Wtedy ją zobaczyłam. Stała w tłumie gapiów i patrzyła na ciemny wir rzeki, która zabrała jej siostrę. Pomyślałam, że to ona jest winna. Miała taką beznamiętną twarz, zupełnie tak, jakby ta cała sytuacja jej nie dotknęła. Jakby nie chodziło o Lizę. Ruszyłam w jej kierunku. Chciałam, żeby mi to wszystko wyjaśniła, żeby zapłakała razem ze mną, ale ona nagle zniknęła. Ukryła się we mgle, która zniecka nadciągnęła od drugiej strony rzeki.

– Naprawdę myśli pani, że to ona? – Emocje sprawiły, że głos Bianki zabrzmiał dość szorstko, jakby nie należał do niej.

– Nie, teraz już nie – odrzekła Marta i spuściła głowę, jak gdyby wstydziła się wcześniejszych podejrzeń.

– Coś się zmieniło?

– Nasza rozmowa, moja i Klary, to zmieniła. Nie sądziłam, że zdobędzie się na taką szczerość. – Marta podniosła się ze stołka, obeszła stół i otworzyła okno. Przez rozchyloną szybę do wnętrza wpadło chłodne nocne powietrze. – Okazało się, że Klara przyszła na nadbrzeże kilka minut przede mną. Cały dzień śledziła Lizę. Nic w tym dziwnego, nieustannie to robiła. Wciąż miała nadzieję, że nakryje siostrę na czymś niestosownym, co oczerni ją nie tylko w oczach ciotki i wuja, ale także w oczach Raula. Najchętniej przyłapałaby Luizę w ramionach namiętnego kochanka. Kiedy przeczytała wiadomość, którą Liza ukryła dla mnie w naszym drzewie, trochę się opamiętała. Nasze spotkania nie były dla niej aż tak wielką atrakcją. Mimo to nie dała za -wygraną. Poszła nad rzekę, ale... było już za -późno.

– Co sprawiło, że jej pani uwierzyła?

– Chyba to, że po raz pierwszy w życiu była ze mną naprawdę szczerą. I miała wilgotne oczy. Nawet w dzieciństwie grała do końca, była ostra jak brzytwa, a dzisiaj... Myślę, że coś w niej pękło. Zaprosiła mnie do salonu. Usiadłyśmy na kanapie, a ona pomału opowiedziała mi to, co zobaczyła tamtego dnia.

– I?

– W sumie to nie zauważyła nic, czego i ja bym nie widziała. Ale ton jej głosu i emocje, które towarzyszyły temu wyznaniu, spowodowały, że po raz pierwszy w życiu spojrzałam na nią jak na żywego człowieka. – Zawstydziła się z powodu tego wyznania. – Wcześniej była dla mnie jak manekin, zimna i...

– Nie musi mi pani tego wyjaśniać – wtrąciła Bianka, widząc zmieszanie Marty.

– Moje przypuszczenia się potwierdziły: Klara nigdy nie była szczęśliwa.

– Powiedziała pani o tym?

– W pewnym sensie. Klara to jednak Klara, nigdy wprost nie przyznałaby się do porażki. Według niej to zbyt uwłaczające.

– Więc o co chodzi?

– Powiedziała coś, co dało mi do myślenia. – Marta głośno przełknęła ślinę. – W zupełnie do niej niepodobnym przypływie szczerości wyznała, że jej dotychczasowe życie było jedną wielką iluzją, a swój piękny zamek zamiast na solidnym podłożu zbudowała na piasku.

– Te słowa rzeczywiście są podbarwione goryczą – zauważyła Bianka.

– Niestety nasza szczerą rozmowa nie trwała zbyt długo. Gdy Klara uznała, że powiedziała już wszystko, co chciała, znów stała się sobą. Popatrzyła na mnie wyniośle i kazała mi przygotować do podróży swoje ukochane czarne orchidee. Oczywiście musiałam wysłuchać na ten temat długiego wywodu, w którym przekazała mi gros cennych wskazówek, jak mam się do tego zabrać. Już chciałam jej odszczeknąć, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Uznałam, że na koniec warto pozostawić dobre wrażenie.

– Na długo wyjeżdża?

– A kto ją tam wie? Twierdzi, że na zawsze. Że nasz stary Kazimierz nie jest

miejszem, gdzie chciałyby spędzić resztę życia. Ale czy zostanie na stałe we Francji? Tego nie wiem, czas pokaże.

– A co z domem? Kto będzie go doglądał? – spytała Bianka.

– Myślę, że Olaf zdecyduje się go sprzedać. Z tego, co wiem, cała ta posiadłość należy do niego. Odkryłam to zupełnie niedawno. Przez długie lata wydawało mi się, że majątek przypada Klarze, jednak okazało się, że Konstancja wszystko zapisała młodszej siostrzenicy. Po jej śmierci całość odziedziczył Olaf. Ale ani on, ani Samuel nie chcą mieszkać w tym miejscu. Olaf i... – Speszyła się.

– Pani Marto, wiem o Gosi i Olafie. Małgosia opowiedziała mi pokrętną historię ich uczucia.

– Ach – westchnęła Marta. – Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś się zejdą, choć muszę przyznać, że piękna była z nich para. Dopóki Klara nie wtrąciła się w to wszystko.

– Gosia mówiła pani o intrydze Klary, o tym, jak Klara ich rozdzieliła?

– Coś tam wspominała, ale właściwie nie musiała. Gdy Gośka i Olaf tak nagle się rozstali, czułam, że Klara musiała maczać w tym palce. Choć zrobiła to tak, że nikt się nie domyślił, że mog-ła za tym stać.

– Teraz mają przed sobą nową szansę. – Bianka się uśmiechnęła, chcąc rozładować atmosferę.

– Czas pokaże – rzekła Marta z zadumą. – Moja córka jest dorosłą kobietą, ma własne życie i wiele sekretów. O niektórych wolałabym nie wiedzieć, ale... – Wstała i poprawiła firankę, choć ta według Bianki prezentowała się idealnie. – Gosia koniecznie chciała, bym dała jej rozgrzeszenie, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego. Przecież nie jestem księdzem! – Uniosła głos.

Bianka domyśliła się, który sekret wyznała jej Małgorzata. Wyglądało na to, że Marta nie jest gotowa, żeby to zaakceptować.

– Kocham swoją córkę, ale są sprawy, które zawsze będą dla mnie świętością, a człowiek nigdy nie stanie ponad Bogiem – ciągnęła rozemocjonowanym głosem. – Tak bardzo chciałabym, żeby dobrze ułożyła sobie życie, ale... – Popatrzyła badawczo na Biankę, jakby zastanawiała się, czy Małgosia zdradziła jej wstydliwą tajemnicę.

Bianka poczuła się skrzepowana nie tylko wnikliwym wzrokiem Marty, ale i tematem. Nie chciała rozmawiać z Martą o Małgosi. To było zbyt osobiste, by o tym rozprawiać, i zbyt delikatne, by to oceniać.

– Chyba powinniśmy już iść spać. – Bianka ziewnęła i się przeciągnęła, udając, że jest zmęczona podróżą.

– Tak, rzeczywiście jest późno. – Marta spojrzała w ciemną szybę. Po chwili chwyciła brzeg obficie marszczonej zasłonki z liliowego szantungu i jednym ruchem zasunęła okno. – Chodź. – Wyciągnęła do Bianki rękę. – Dam ci świeże ręczniki. Ty pójdziesz do łazienki, a ja pościelę ci łóżko.

Po odprężającej kąpieli Bianka położyła się na wygodnej wersalce i natychmiast zapadła w sen, który trwał nieprzerwanie do rana.

Kiedy się przebudziła, zegar ścienny pokazywał godzinę dziewiątą. To niebywałe, ale w domu Marty naprawdę udało jej się nabrać dystansu do spraw dotyczących babki. Jej drugie wcielenie – postać Wandy – wciąż jednak wydawało się Biance niezrozumiałe

i zbyt skomplikowane. „Ciekawe, czy długo przygotowywała się do tej roli... Przecież scenariusz był dość trudny. W którymś momencie musiała uwierzyć w to, co robiła, inaczej grana przez nią postać straciłaby na wiarygodności”.

Marta przywitała ją w kuchni świeżo usmażoną jajecznicą i kubkiem kawy zbożowej. Nie wracały już do tematów poruszanych w nocy, każda chciała bowiem rozpocząć nowy dzień bez obciążeń z przeszłości. Z dobrymi humorami śmiało spoglądały przez okno, a Marta pokusiła się nawet o kilka dowcipów. Kobieta nalegała, żeby Bianka została u niej dłużej, i zaproponowała jej wspólny spacer do Kazimierza. Ale Bianka, świadoma tego, że znów ma do przejechania ponad czterysta kilometrów, myślała tylko o tym, by jak najszybciej wyruszyć w drogę. Stało więc na tym, że po obfitym śniadaniu wypity jeszcze jedną wspólną kawę i zjadły po kawałku szarlotki, a tuż po dwunastej Bianka opuściła Kazimierz.

I tym razem podróż powrotna do Poznania przebiegła bez komplikacji. W połowie drogi Bianka włączyła ulubioną płytę Davida Garretta. Dźwięki skrzypiec towarzyszyły jej aż do granic rodzinnego miasta, a utwór *Dangerous* odsłuchiwała kilka razy z rzędu. Zatemknęła za skrzypcami, za ich rzewną nutą, za dotykiem chłodnych strun i smyczka, który tak dobrze wpasowywał się w jej dłoń. Pomyślała, że zaraz po powrocie musi wrócić do gry.

Od dziecka dużo ćwiczyła. Już w pierwszych latach nauczycielka chwaliła ją za wyjątkową celność palcową i biegłość. Ponadto Bianka miała idealny słuch i wrażliwość muzyczną. Gdzieś w głębi czuła jednak, że sława nie jest dla niej. Żeby scena pokochała muzyka, musi on być niezłym showmanem, musi umieć oczarować publiczność nie tylko grą, ale i charyzmą. Jej tego brakowało, była zbyt nieśmiała, żeby całkowicie otworzyć się na publikę. W ostatniej klasie liceum stwierdziła, że chce zostać nauczycielką, i trzymała się tej decyzji aż do ukończenia studiów.

Lubiła swoją pracę. Odczuwała głęboką satysfakcję, że pomaga młodym talentom się rozwijać. Niektórym jej podopiecznym wróżono wielką karierę.

Gdy wjechała na osiedle, David Garrett właśnie grał ostatni utwór. Wysłuchiwała go do końca i dopiero potem wyłączyła silnik.

Zygmunta jeszcze nie było w domu. Mieszkanie bez ukochanego tatka było smutne i nijakie, nawet kakao smakowało inaczej, jakby mniej słodko. Bianka długo snuła się bez celu po opustoszałych pokojach. „Czyżbym oduczyła się tego miejsca przez te dwa miesiące?” Brakowało jej starego mieszkania na poznańskiej starówce. Tam się urodziła i wychowała, a teraz miało przejść w obce ręce. Zresztą oboje z tatą bardzo tego chcieli. „Chyba powinniśmy obniżyć cenę, tak jak sugerowała przedstawicielka biura nieruchomości”. Niestety na razie nic nie wskazywało na to, żeby cokolwiek miało się zmienić w kwestii ich problemów finansowych. Ledwie wiązali koniec z końcem.

Weszła do swojego pokoju. Było w nim trochę ciemno, bo wczoraj zapomniała odsłonić okno. Dwie zielone zasłonki w geometryczne wzory łączyły się pośrodku, stykając atlasowymi lamówkami. Rozejrzała się po cichym wnętrzu i stwierdziła, że dobrze jest, jak jest. Półmrok dodawał temu miejscu powagi, a ona akurat tego potrzebowała, żeby móc skupić się na sobie. Ostatnio jej myśli zaprzętało zbyt wiele spraw.

Zygmunt wrócił dopiero przed dwudziestą pierwszą. Nie był zmęczony, ale długie godziny spędzone w sali koncertowej i centrum, gdzie miał do załatwienia kilka spraw, znacznie osłabiły jego zdolność percepcji. Gdy Bianka przywitała go w progu, odłożył na bok altówkę, zdjął buty i nieobecny wzrokiem rozejrzał się po pokoju.

– Duszno dzisiaj – rzekł, a później podszedł do córki i przywitał się z nią, jakby dopiero zdał sobie sprawę z jej obecności. – Cieszę się, że wróciłaś. – Pocałował ją w czoło, odgarnawszy z niego zawinięty kosmyk włosów. – Jak minęła podróż? – spytał, błędząc wzrokiem po suficie.

– W porządku – odparła. – Jesteś zmęczony – zauważyła.

– Nie, raczej rozkojarzony – odpowiedział, drapiąc się po głowie, jakby chciał się usprawiedliwić. – Jutro wracasz do szkoły – powiedział, ale myślami wciąż krążył wokół innych spraw.

– Tak. – Uśmiechnęła się, czując miłe podekscytowanie, ale i spokój wynikający z tego, że wszystko wróci do normy. Znów co dzień będzie przemierzać znajomą drogę, nie obawiając się, że za moment pojawi się przed nią niebezpieczny zakręt. – Tatku, o co chodzi?

– Nic takiego, po prostu miałem ciężką noc. A w moim wieku brak snu od razu widać na twarzy. Myślę, że powinienem się położyć. – Westchnął, odchylając głowę do tyłu.

Jaskrawe światło wiszącej nad nim lampy oświetliło jego twarz, ukazując drobne niedoskonałości, szarość skóry i głębokie zmarszczki mimiczne. Tego dnia ojciec wyglądał posępnie.

– Może kakao? – zaproponowała, robiąc filuterną minę.

– Może... – Zmobilizował się do uśmiechu.

Kiedy usiedli w kuchni, Bianka położyła na stole zdjęcie Wandy.

– Spójrz – szepnęła tajemniczo, dotykając czubkiem paznokcia lekko zagiętego brzegu fotografii.

– Kto to jest? – Zygmunt włożył okulary, które zawsze leżały w plastikowym etui w tym samym miejscu, na stole, obok pojemnika z ciasteczkami korzennymi. Przysunął zdjęcie bliżej i przez chwilę przypatrywał się nieznamym kobiecie.

– Tatku, naprawdę nic nie wiesz na temat wcześniejszego życia swojej matki? To znaczy z tego okresu, który poprzedza jej przyjazd do Poznania. – Zastanawiała się, jak najdelikatniej przekazać ojcu to, czego dowiedziała się o Walentynie.

– Kochanie, wiem tyle, ile ci powiedziałem.

– Pamiętasz, jak kiedyś zapytałam cię przez telefon, czy znasz kobietę o imieniu Wanda?

Zygmunt ściągnął brwi, a na jego czole pojawiło się jeszcze więcej bruzd.

– Coś pamiętam. – Poglądził skroń.

Bianka nie miała pewności, czy odpowiedział tak dla świętego spokoju, czy naprawdę zachował w pamięci tamtą rozmowę.

– Kiedy byłam w Kazimierzu, odkryłam coś zaskakującego. Aż trudno w to uwierzyć.

Zygmunt utkwiał w córce zaskoczone spojrzenie.

– Ma to związek z babką Walentyną. – Zakasłała. Sądziła, że przekazanie ojcu tej historii okaże się dużo prostsze.

– O co chodzi? – spytał w końcu wprost.

– To jest Walentyna... twoja mama. – Wycelowała palec w środek zdjęcia. – A właściwie Wanda. – Już sama nie wiedziała, jak ją nazywać.

Bianka wszystko mu opowiedziała. Zaczęła od momentu, gdy pod podszewką wiśniowego futerału znalazła zdjęcie tajemniczej Wandy.

– Jak to w ogóle możliwe? – rzekł, gdy była w połowie opowieści. Próbował ukryć zdenerwowanie.

Dopiero kolejne szczegóły przekonały go, że to, o czym mówi córka, naprawdę jest możliwe. Bianka snuła swoją historię, a on pomału ją przyswajał, starając się przypomnieć sobie jakieś fakty z dzieciństwa, które stanowiłyby potwierdzenie jej słów.

– To naprawdę mogło się zdarzyć – odezwał się dopiero po dłuższej chwili. – Pamiętam, że mama nie chciała wyjeżdżać z Poznania, jakby bała się innych miejsc i nowych ludzi. Tylko raz wybrała się do rodzinnych Podstolic, ale podobno bardzo przeżyła tę wizytę. Wprost trudno w to wszystko uwierzyć. – Zdjął okulary, schował je do etui i odłożył w to miejsce, co zawsze.

– A jednak... – Bianka usiłowała wyczytać z twarzy Zygmunta jakieś emocje, bo przecież chodziło o jego matkę, osobę najbliższą na świecie, ale ojciec zachowywał się niezwykle powściągliwie.

– Umarła tak młodo, a ja zawsze miałem wrażenie, że nie zdążyłem jej do końca poznać. Zupełnie tak, jakby coś stało między nami. Czasami znienacka podchodziła do mnie, gładziła mnie po włosach i patrzyła tak, jak gdyby właśnie miała zamiar mi coś powiedzieć. Była taka smutna, a jednocześnie spokojna. To, co się stało, musiało ją bardzo zmienić. Ciekawe, jaka była kiedyś, jaka byłaby teraz, gdyby jeszcze żyła. – Zygmunt starał się dotrzeć do jądra własnych wspomnień z dzieciństwa, ale nagle wszystkie zwały się ze sobą, tworząc rozmazaną mozaikę. – Mimo tego, co powiedziałaś, wydaje mi się, że po swojemu kochała ojca. Może nie było to namiętne uczucie, ale myślę, że udało im się razem pięknie przejść przez życie. – Westchnął. Naprawdę chciał wierzyć w to, co powiedział. W jakimś stopniu odrzucał starą wersję Walentyny, kobieta ze zdjęcia nie była jego matką. Słuchał tego, co mówi Bianka, ale jednocześnie miał wrażenie, że to fikcja. Jakaś barwna historia, która mogła się zdarzyć każdemu, tylko nie jego mamie. Nigdy nie mówiła o wojnie, a on nie pytał, bo wiedział, jak trudne to musiały być czasy.

– Może niepotrzebnie opowiedziałam ci tę historię? – Bianka przyglądała się Zygmunutowi już od kilku minut.

– To takie nieprawdopodobne. – Uśmiechnął się smutno. – Ale teraz nie ma to dla mnie znaczenia.

– Na pewno? – Nie przestawała się w niego wpatrywać.

– Na pewno – odrzekł pewnym głosem, prostując plecy. – Może gdybym dowiedział się tego wcześniej... – Zastanawiał się. – To już niczego nie zmieni – powiedział głośno. – Przykro mi tylko, że miałaś z tego powodu kłopoty. – Spojrzał na córkę z troską.

– Było, minęło. Wydaje się, że historia zatoczyła koło. Wszystko wróciło na swoje

miejsce.

– Dzięki tobie.

– Tak.

– Odkryłaś rodzinną tajemnicę. Aż trudno uwierzyć, że ci się to udało.

– Myślę, że sama Klara się o to postarała. Odnalazła mnie, tak jak to sobie kiedyś przyrzekła.

– A ten mężczyzna... Samuel? – zaczął delikatnie Zygmunt.

– On nie ma z tym nic wspólnego – rzekła twardo. Mogła rozmawiać o Walentynie, Klarze, Vincencie, Marcie, mogła mówić o kimkolwiek, byle nie o Samie. – Myślę, że powinniśmy już iść spać – powiedziała, przerywając dyskusję.

– Tak, chyba rzeczywiście już pora iść do łóżka. Lecę z nóg – przyznał się.

Tatko był zmęczony, a na dodatek coś go trapiło. Jakaś sprawa, którą wolał zachować dla siebie. Bianka starała się go jeszcze o to podpytać, ale bezskutecznie.

Wrzesień przyniósł do Poznania deszcz i wiatr. Bianka obudziła się o brzasku, ale została w łóżku nieco dłużej i wsłuchiwała się w bębnienie kropel deszczu o szyby okien swojego pokoju. Niby spała twardym, nieprzerwanym snem, a jednak czuła się zmęczona. „To pewnie przez drogę: powrót do Poznania, a potem kolejny wyjazd do Kazimierza i znów powrót w rodzinne strony”. Nie przywykła do tak długiej jazdy samochodem, więc swoje lekkie rozbitcie złożyła na karb podróży. Kolejne minuty mijały, a ona z kołdrą naciągniętą pod samą szyję przeglądała w myślach harmonogram dzisiejszego dnia.

– Nie wstajesz?

Drzwi do jej pokoju nagle się rozchyliły i stanął w nich Zygmunt.

Podciągnęła się na łokciach i spojrzała w stronę okrągłego zegara ściennego przypominającego dziuplę, z której spoglądały mądre sowe oczy. Niestety przed wyjazdem do Kazimierza zapomniała wymienić w nim baterię.

– A która jest godzina? – Zerwała się na równe nogi.

– Spokojnie – powiedział Zygmunt. – Dopiero po siódmej, ale o tej porze zawsze jesteś już na nogach. O której masz rozpoczęcie roku szkolnego? Tak jak zawsze?

– Nic się nie zmieniło, o dziesiątej – odrzekła, zdając sobie sprawę, że jednak nie jest aż tak źle. Wciąż miała sporo czasu.

– Chodź na śniadanie, chochliku. – Zygmunt puścił do niej oko.

– Tatku, ale mnie rozpieszczasz. – Odwdzięczyła mu się łobuzerskim uśmiechem.

– Musisz zebrać siły, przed tobą kolejny rok szkolny. – Zrobił pełną zgrozy minę, ale zaraz potem się roześmiał.

Przez chwilę było tak jak kiedyś. Brakowało tylko mamy...

– A ty nie powinieneś już się zbierać? – spytała.

Speszył się, ale nadrobił to miną.

– Nie ma takiej potrzeby, dzisiaj mam wolny dzień. – Odwrócił wzrok, jakby bał się ewentualnych pytań.

– Nie mówiłeś przypadkiem, że dopiero co zaczęliście nowe próby?

– Tak mówiłem, ale dzisiaj nie idę do filharmonii.

– Dlaczego?

Ton głosu Zygmunta zaniepokoił Biankę. Domyśliła się, że tatko coś kręci. Nie



umiał kłamać, zupełnie tak samo jak ona.

– Mam coś do załatwienia na mieście – odparł suchym tonem, od którego aż zadrapało go w gardle, więc zakaszał.

– Masz coś do załatwienia na mieście? – Patrzyła na Zygmunta nieustępliwie. – Ciekawe, co takiego...

– Nie zaprzataj sobie tym swojej uroczej główki, chochliku.

– Tatku! – zawołała, kiedy już stał w drzwiach do swojego pokoju. – O co chodzi?

– Uwierz mi, to nic strasznego. Robię coś, co uwolni nas od kłopotów.

– Jeśli myślisz, że mnie uspokoiłeś, to muszę cię zmartwić. Niepokoję się o ciebie!

– oznajmiła podniesionym głosem i wstała.

– Niepotrzebnie. Możesz zabrać samochód, tobie przyda się bardziej – powiedział i wszedł do pokoju.

Bianka osłupiała. Ojciec nigdy wcześniej tak się nie zachowywał, nigdy nie miał przed nią tajemnic i nigdy nie zwracał się do niej takim tonem. Martwiła się o niego, ale teraz nie pozostało jej nic innego, tylko wziąć się w garść i pędzić do szkoły.

Biegała po domu w poszukiwaniu różnych drobiazgów. Nie mogła znaleźć torebki, którą zwykle zabierała do szkoły, zaginęły kartki z nutami, a eleganckie buty na wysokim obcasie zapadły się pod ziemię. Dobrze, że chociaż wąska kremowa sukienka wisiała w szafie, a obok niej paseczek w brązowe groszki, którym przewiązywała się w talii.

Zanim zegar pokazał godzinę dziewiątą, znalazła już i czółenka, i nuty. Nigdzie nie widziała jednak swoich skrzypiec. Miała wrażenie, że wiśniowy futerał ze skrzypcami Walentyny szyderczo się z niej naśmiewa, kiedy w panice biegała po mieszkaniu w poszukiwaniu swojego instrumentu.

– Wygląda na to, że będziecie musiały mi pomóc jeszcze ten jeden raz – przemówiła do skrzypiec babki takim tonem, jakby miała przed sobą żywego człowieka.

Odkąd poznała tajemnicę babki, zaczęła się obawiać jej skrzypiec, zupełnie jakby miały jakąś skazę. Wystarczyło, że patrzyła na porowatą skórę futerału, a w jej myślach niezwłocznie pojawiali się Gerard, Regina i Klara ze swoim sztucznym uśmiechem.

Teraz Bianka stała przed instrumentem babki i patrzyła nań nieufnie. Miała dwa wyjścia: albo schować dumę do kieszeni i zapytać Zygmunta, gdzie ukrył jej skrzypce, albo zabrać instrument Walentyny. W końcu zdecydowała się na to drugie. Wzięła futerał i torebkę i wyszła z mieszkania.

Tuż po dziewiątej pojawiło się słońce, a kałuże zaczęły bardzo szybko wysychać. Gdy dotarła do szkoły, panował tam już specyficzny gwar.

– Dzień dobry, pani profesor – witały ją głosy uczniów.

– Dzień dobry – odpowiadała z uśmiechem, czując, że znów jest we właściwym miejscu.

Wszystko było takie samo jak dawniej, tylko skrzypce nie pasowały. Gdy szła korytarzem, wydawało jej się, że wszyscy patrzą na wiśniowy futerał, ocierający się o jej biodro. Nie miała gdzie go ukryć. Bezwstydnie się wyróżniał na tle skromnej jasnej sukienki.

Rozpoczęcie roku szkolnego przebiegło szybko i bez zarzutu. Po niezbyt długim programie artystycznym, w którym uczestniczyli uczniowie z klasy Bianki, jak również

ona sama, nauczyciele w towarzystwie wychowanków rozeszli się do klas. Było wesoło i naturalnie, czyli tak jak zazwyczaj. Bianka miała świetny kontakt z młodzieżą. Przez pół godziny ona i jej uczniowie wymieniali się wspomnieniami z wakacji i rozprawiali, co czeka ich w tym semestrze.

– Pani profesor, a jak pani minął urlop? – zapytała ulubiona uczennica Bianki.

– Odkrywczo. – To było jedyne słowo, które przyszło jej w tej chwili na myśl.

Po zjedzeniu ciasta upieczonego przez jedną z uczennic dzieci pożegnały się z nauczycielką i wyszły z klasy. Bianka jeszcze chwilę została, żeby przejrzeć kartki z nutami do kilku nowych utworów, które dostała od swojej ulubienicy. Nagle usłyszała znajomy głos, który nie pasował do żadnego z jej wychowanków.

– Pani profesor...

Nie uniosła głowy, nadal wpatrywała się w arkusze.

– Pięknie zagrała pani dzisiaj *Lacrimosę* Mozarta. – Znów ten niepokojąco znajomy głos.

W końcu oderwała wzrok od nut i... zaniemówiła.

– Co tu robisz? – zapytała cicho, kiedy już odzyskała głos.

Samuel podszedł do biurka i złapał ją za rękę.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – Lekko pociągnął jej dłoń, zmuszając ją, by wstała.

– Ja... – Nie mogła powiedzieć nic więcej.

Nie tylko zaskoczenie odebrało jej mowę. Wygląd Sama i jego fizyczność, bliska jak jeszcze nigdy wcześniej, sprawiły, że poczuła się, jakby opuściła swoje ciało. Niby patrzyła w jego brązowe oczy, ale jednocześnie odnosiła wrażenie, że jakaś jej część dryfuje między wspomnieniami z Kazimierza. Samuel, którego zapamiętała z tamtych dni, wydawał się kimś zupełnie innym. Jednak prawdziwy Sam stał teraz przed nią. A może to był sen?

– Nic nie powiesz? – Mocniej uściśnął jej rękę, ale nie był to gwałtowny dotyk.

– Ja... nie spodziewałam się, że cię tutaj zobaczę... że w ogóle jeszcze cię zobaczę – powiedziała nieco głośniejszym głosem, jednak nadal szeptem.

– Przepraszam. – Westchnął, a zanim znów się odezwał, minęło trochę czasu. – Rozstaliśmy się w taki głupi sposób, wyjechałem, właściwie uciekłem, nie dając ci szansy na wytłumaczenie. Sam wcześniej wyszedłem przed tobą na kłamcę, a od ciebie oczekiwałem... – Zamilknął, jakby nie wiedział, jakiego słowa użyć.

– Szczerości? – podpowiedziała mu, lekko się czerwieniąc.

– Chyba tak. – I znowu po klasie rozeszło się głośnie westchnienie.

– Co się zmieniło? Dlaczego nagle zapragnąłeś ze mną porozmawiać?

Do Bianki powoli docierała prawdziwość tej sytuacji – dotyk jego cieplej skóry i znajomy zapach perfum Allure Homme, który uwiódł ją, gdy pierwszy raz znalazła się w jego pokoju. Słońce prześwitujące przez szybę rozjaśniło jego kędzierzawe włosy, które niedbale włożył za uszy. Wydawał się zupełnie inny niż tamten Sam, siedzący na brzegu łóżka w dusznym, ciemnym pokoju w domu swojej matki. W jego nieśmiałym spojrzeniu było coś młodzieńczego, czego nigdy wcześniej u niego nie dostrzegła. Bo niby jak miała to zauważyć, skoro Samuel odgradzał się od niej? Robił wszystko, aby być dla niej

przezroczysty. Oboje przez dwa miesiące ukrywali się przed sobą. Dzielił ich gruby, wysoki mur, zbudowany z kłamstw i podejrzliwości.

– Tęskniłem za tobą, Blanche. – Dotknął jej policzka i pogładził go, a później przesunął palec w stronę jej karku. Zatrzymał dłoń na włosach. – Nie potrafię o tobie zapomnieć. – Bawił się zakręconym kosmykiem.

– Nie powinieneś tutaj przyjeżdżać, tak byłoby lepiej. – Odsunęła się od niego i chaotycznie zaczęła zbierać z biurka porozkładane kartki.

– Musimy porozmawiać. – Zrobił krok w jej kierunku, ale ona asekuracyjnie przesunęła krzesło, zagrządzając mu drogę.

Cieszyła się, że go widzi, wszystko w środku niej krzyczało i wirowało w rytmie nieznanym emocji, ale jednocześnie przerażała ją rodząca się między nimi intymność. Czuła, że nie jest na nią gotowa. Jeszcze nie teraz.

– Powinna zamknąć klasę – rzekła cicho, siląc się na oficjalny ton. Zabrała z biurka nuty i sięgnęła po torebkę.

– Zaczekam na ciebie i... – Wzrok Sama powędrował w stronę wiśniowego futerału, który Bianka wepchnęła pod pachę, jakby chciała go ukryć. – Pięknie zagrałaś.

Po raz drugi usłyszała w jego głosie uznanie. Nie, to nie było tylko uznanie. Był to zachwyt tak wielki, że trudny do wyrażenia słowami. W tej krótkiej wypowiedzi kryła się cała gama uczuć.

– To te same skrzypce, które miałeś ze sobą w Kazimierzu, tak? – Zagroził jej drogę, gdy chciała przejść obok biurka.

– Tak – odrzekła niepewnie, przygryzając wargę.

– Byłem głupi, że... – Znow popatrzył na futerał przytulony do boku Bianki. – Kiedy jechałem do ciebie, chciałem ci tyle powiedzieć, a teraz mam pustkę w głowie. Może poszlibyśmy w jakieś ustronne miejsce, gdzie łatwiej zebrać myśli?

– W porządku, chodźmy. – Znow zdobyła się tylko na suchy ton.

Opuścili salę. Bianka zamknęła drzwi, a potem zeszli na parter i udali się do recepcji, gdzie dziewczyna zostawiła klucze. Kiedy znaleźli się przed szkołą, Sam zerknął na Biankę znacząco.

– Liczę, że coś zaproponujesz. Nie znam Poznania. – Przeczesał ręką włosy, kilka kosmyków z wdziękiem opadło mu na twarz, przysłaniając oczy. Zaraz znow odgarnął je do tyłu.

Teraz, gdy tak stał naprzeciw niej w południowym świetle, na tle dojrzałej zieleni lata, nie wyglądał na przeszło trzydziestoletniego mężczyznę. Przypominał raczej jednego z jej uczniów. Jego ubiór – wytarte dżinsy, T-shirt z awangardowym malunkiem i narzucona jakby od niechcienia marynarka – odejmował mu lat i dodawał jego ruchom nonszalancji. Do tego jeszcze wisior i kilka rzemykowych bransoletek z drewnianymi koralikami – na szarym trotuarze Sam wyglądał jak kolorowy ptak. Czuła się przy nim nijako w swojej zwykłej kremowej sukience i fryzurze matrony.

– Może jakaś kawiarnia? – zaproponowała. Speszyła się, czując na sobie liczne spojrzenia przechodzących obok uczniów.

Grupka dziewcząt stanęła po przeciwnej stronie chodnika i obcesowo im się przyglądała. Towarzyszyły temu piskliwe i zbyt głośne śmiechy.

– Wolałbym raczej jakieś kameralne miejsce. Takie bliskie tylko tobie, w którym chowasz się przed resztą świata.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Oczywiście, że miała takie miejsce. Nie sądziła jednak, że kiedykolwiek kogoś tam zaprosi. Nawet tatko nie wiedział, gdzie czasami przepadała. Po prostu brała futerał ze skrzypcami, wsiadała do samochodu i jechała spędzić czas sama ze sobą.

– Właściwie jestem ci to winna. Ty pokazałeś mi swoje tajemnicze okno na zamku.

– Przypomniała sobie ich emocjonującą wycieczkę do ruin, kiedy już się wydawało, że sprawy poszły do przodu, że Sam się do niej zbliżył. Niestety potem wszystko się odwróciło.

– Okno na stary świat – powiedział w zamyśleniu.

– W takim razie chodźmy do samochodu. – Mocniej przycisnęła skrzypce.

– Czy to daleko? – spytał i zerknął na zegarek.

– Nie, kilkanaście minut stąd.

– Mam coś do załatwienia po południu, ale jest jeszcze sporo czasu.

Wydawało jej się, że się zmieszał, jednak zignorowała to.

– No to chodźmy. Jestem strasznie ciekaw tego twojego tajemniczego miejsca – powiedział.

– Możesz się zawieść, kiedy je zobaczysz. Nie jest aż tak efektowne jak twój zamek.

Gdy chciała poprawić pasek, torebka nagle zsunęła jej się z ramienia i upadła na chodnik. Kucnęła, żeby ją podnieść. Kiedy wstała, mocno się zdziwiła. Właśnie zmierzała do nich grupka rozchichotanych dziewcząt. Wszystkie z wypiekami na twarzy i frywolnymi uśmiechami wpatrywały się w Samuela.

– Dzień dobry – rzekła Amelka, najładniejsza i najśmielsza z uczennic, tegoroczna maturzystka. – Bo my... – Czarująco zawachlowała rzęsami, przysuwając się do Sama. – Chciałybyśmy prosić o autograf. – Dziewczyna wyjęła z torebki pomietą kartkę i pióro kulkowe z obgryzioną końcówką.

Koleżanki poszły jej śladem. Po chwili wszystkie miały w rękach notesy i długopisy.

– Pani profesor, to chyba prośba do pani – zażartował Sam, patrząc na Biankę.

– Nie, nie! – krzyknęło kilka uczennic jednocześnie. – My chcemy pana autograf.

Młodzieńcze policzki oblała purpura.

– Mój? – Sam udał zaskoczenie.

Bianka zauważyła, że zachowywał się bardzo naturalnie, zupełnie tak, jakby przywyknął do rzeszy fanek i okazywanej mu sympatii.

– Tak, pana, panie Samuelu – potwierdziła Amelia i jako pierwsza wetknęła w dłoń mężczyzny swój arkusik.

A potem, kiedy Sam położył kartkę na murku i pisał na niej dedykację, dziewczyna zdała mu relację z tego, co wie na jego temat. Słuchał, nie odrywając się od pisania, a na jego ustach błąkał się pobłażliwy uśmieszek.

Bianka przebierała nogami. Irytowała ją ta sytuacja, to nagłe zainteresowanie Samuelem, te lepkie spojrzenia dzierlatek, które aż paliły się, by niby przez przypadek go dotknąć. Nagle dotarło do niej, że jest o Sama piekielnie zazdrosna. Zacisnęła usta,

pochyliła głowę i zaczęła szperać w torebce, udając, że czegoś szuka.

– Byliśmy raz z rodzicami we Francji – ciągnęła Amelka słodkim głosem. – Mieliśmy bilety na pana koncert, ale niestety w ostatniej chwili go odwołano.

Reakcja Samuela była nieprzewidywalna. Swobodny uśmiech natychmiast zniknął z jego twarzy. Na moment odwrócił się w stronę szkoły, żeby uciec przed spojrzeniami dziewcząt.

– Czy jeszcze ktoś? – Na jego pobladłej twarzy trudno by szukać wcześniejszej otwartości.

Dziewczęta pokręciły głowami, zaskoczone nagłą zmianą jego zachowania.

– To dobrze, w takim razie możemy iść. – Ruszył przed siebie, nawet nie czekając na Biankę.

Bianka poczuła się zobowiązana, żeby w imieniu zarówno jego, jak i swoim pożegnać się z uczennicami.

– Do widzenia – rzekła lekko zachrypniętym głosem i pospieszyła za Samem.

– Do zobaczenia jutro, pani profesor – odpowiedziały chórkami.

Samuel wyszedł za ogrodzenie, nie zastanawiając się, dokąd zmierza.

– Sam! – zawołała za nim, starając się z nim zrównać.

Odwrócił się i odgarnął z czoła kosmyk włosów. Tym razem zrobił to niezgrabnie, bez wcześniejszej lekkości.

– O co chodzi? Czy one czymś cię uraziły?

– Nie – odparł twardo i już miał ruszyć, lecz nagle włożył ręce do kieszeni i oparł się o budynek. – To stara, cuchnąca sprawa i nie chcę o niej mówić – rzekł ostrożnie, by uniknąć kolejnych pytań.

– W porządku, skoro nie masz ochoty mówić, to...

– Nie chodzi o to, że nie mam ochoty. Nie sędzę, żebyś chciała to usłyszeć.

– Skąd możesz wiedzieć, czego chcę? Prawie się nie znamy.

– No właśnie. – Przygryzł górną wargę. – Mroczny ze mnie gość. Czasem wydaje mi się, że jestem jeszcze gorszy niż moja matka. – Jego usta drgnęły, ale nie pojawił się na nich uśmiech. Wyjął ręce z kieszeni i zaczął się bawić bransoletką, przesuwając koraliki po rzemyku.

– Nadal chcesz pojechać do mojego sekretnego miejsca? – Wolą się upewnić. Wydawało jej się, że Sam stracił cały zapał.

– Oczywiście. – Uśmiechnął się smutno, a ona zauważyła, że kosztowało go to dużo wysiłku.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Sam zajął się przeglądaniem jej kolekcji płyt.

– Widzę, że mamy podobny gust. – Uniósł krążek Beatlesów, po czym wsunął go do odtwarzacza. – *Yesterday* to mój ulubiony utwór. – Rozparł się w fotelu i zmrużył oczy.

Właśnie stanęli na czerwonym świetle, więc Bianka na moment odwróciła się w jego stronę. Z zamkniętymi oczami jego twarz wyglądała znajomo, ale nie było na niej widać wcześniejszego napięcia. Powieki z długimi ciemnymi rzęsami wydawały się spokojne. Nagle Sam otworzył oczy i się uśmiechnął.

– Długo mi się przyglądasz? – Przez chwilę jego twarz znów wyrażała pewność siebie.

Speszyła się i natychmiast spojrzała w przednią szybę. Na sygnalizatorze właśnie pojawiło się pomarańczowe światło.

– Ruszamy – rzekł Sam, kiedy światło zmieniło się na zielone. Nie zamierzał dłużej wprawiać Bianki w zakłopotanie.

Wydawała się bardzo nieśmiała i delikatna. Właśnie za to ją pokochał, gdy tylko pojawiła się w domu jego matki, choć długo nie zdawał sobie z tego sprawy. Czuł się niegodny miłości. Nie wierzył, że w jego jałowym sercu może jeszcze zakiełkować coś nowego, pięknego.

– To już niedaleko – stwierdziła po dłuższej chwili, kiedy rozmowa przestała się kleić, ale Sam dalej milczał.

Zatrzymali się na parkingu. Zanim wysiedli z samochodu, Sam odwrócił się przez ramię. W zasięgu jego wzroku znalazł się wiśniowy futerał, niedbale rzucony na tylne siedzenie.

– Mogłabyś...? Nie wiem, czy mam prawo cię o to prosić... – W jego oczach było coś niepokojącego. Coś, co sprawiało, że Bianka bała się usłyszeć dalszą część pytania. – Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła. – Natrętnie skubał skórę na kciuku. Było widać, że się denerwuje.

– Tak? – Nie patrzyła na niego. Już raz ją o coś poprosił. Kiedy uchwyciła jego spojrzenie, domyśliła się, o co ją zapyta. Mocno zacisnęła ręce na kierownicy, jakby to miało jej pomóc w podjęciu decyzji. Wiedziała, że i tak to zrobi. Nie mogłaby mu odmówić, a jednak napięcie we wnętrzu samochodu stawało się nie do wytrzymania.

– Zagrasz znów dla mnie? Tylko dla mnie?

W końcu dopadły ją te słowa.

– Tak – odpowiedziała, ledwie poruszając ustami, a potem wzięła z tylnego siedzenia futerał ze skrzypcami babki. Popatrzyła na niego z niesmakiem.

Przez długie lata skrzypce spały w szafie między ubraniami, a teraz dziwnym trafem wciąż upominały się o jej uwagę. Nie chciała ich. Teraz, kiedy już знаła ich historię, historię kobiety, która na nich grała, najchętniej znów wpakowałyby je do szafy, skazując na banicję. Jednak dzięki prośbie Samuela dostały szansę na kolejną, krótką chwilę życia.

– Dziękuję. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne. – Cały czas sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Ruszyli przed siebie. Bianka objęła futerał rękami, przytrzymując go przy piersi.

– Pięknie tu. – Samuel z zachwytem rozglądał się wokoło.

Krzyżujące się alejki porośnięte starymi drzewami nadawały temu miejscu magiczny wygląd.

– Mama zabierała mnie do parku Sołackiego w każdą niedzielę. – Bianka sposepniała.

– Przykro mi z powodu twojej mamy. – W głosie Sama pobrzmiwało współczucie.

– Wiesz o mojej mamie?

– Gosia mi opowiedziała. To smutne.

– Odejście każdego człowieka jest smutne. – Starła się mówić swobodnie, ale głos uwiązł jej w gardle. Współczucie Sama wydobyło z niej dawne emocje.

Samuel przytaknął i też nagle zmarkotniał.

– Chodź. – Pociągnęła go w stronę wąskiego drewnianego mostka, łączącego dwa brzegi niewielkiego zzieleniałego stawu.

To miejsce, choć znajdowało się w publicznym parku, wyglądało tak, jakby należało do nierzeczywistego świata. Szereg drzew i krzewów odgradzał je od reszty alejek, a jedynymi żywymi istotami, oczywiście poza nimi, były tu kaczki leniwie płynące wzdłuż przeciwległego brzegu.

Zeszli z lekkiego wzniesienia i usadowili się na trawie tuż przy wodzie.

– Urokliwe to twoje miejsce. – Sam zapatrzył się na środek stawu, gdzie coś zachlupotało. – Długo go szukałaś?

– Samo mnie znalazło. – Przed jej oczami pojawiła się sentymentalna mgiełka wspomnień. – Kiedyś jako kilkulatka dotarłam tutaj z mamą. Pamiętam, że strasznie marudziłam: że buty mnie obcierają, że za gorąco, że muszę iść za krzaczek. Mama miała do mnie dużo cierpliwości. Przechodziłyśmy przez ten mostek. – Wskazała na kładkę przecinającą staw. – Kiedy dotarłyśmy na środek, zatrzymałam się, położyłam głowę na poręczy i oznajmiłam, że dalej się nie ruszę. Mama stanęła, gotowa przeczekać mój nagły atak wymyślonemu zmęczeniu. Przesuwałam ręką po barierce i wtedy z mojego tłustego paluszka zsunął się pierścionek. Chlup, wpadł do jeziora i tyle go widziałam. – Uśmiechnęła się.

– Pierścionek? – Sam uniósł brwi i rozłożył się na trawie. Wpatrywał się w Biankę z żywym zainteresowaniem.

– Tak, pierścionek. – Zachichotała. – Taki z jarmarku, z wielkim czerwonym oczkiem w kształcie kwiatka. Byłam zrozpaczona. Mama musiała mi długo tłumaczyć, że kupimy identyczny. Starła się delikatnie przekazać mi, że takie pierścionki można dostać na rogu niemal każdej ulicy. Byłam krnąbrna, uparta i oczywiście nie chciałam jej uwierzyć. Bo dla mnie mój pierścionek był jedyny w swoim rodzaju. Od tamtego niefortunnego zdarzenia przychodziliśmy tutaj w każdą niedzielę, a ja sprawdzałam, czy na brzegu przypadkiem nie migocze coś czerwonego. Przyglądałam się kaczkom z nadzieją, że któraś wyłowi mój skarb z głębi jeziora. Ale niestety, jak się domyślasz, nic takiego się nie stało.

– Mam go wyłowić? – zażartował i zerwał źdźbło trawy. Potem włożył je do ust i zaczął żuć.

– A zrobiłbyś to dla mnie? – Figlarnie zmrużyła oczy.

Odpowiedział jej uśmiechem, ale najwidoczniej nie zamierzał się zmoczyć, bo nie ruszył się z miejsca.

– Już dawno przestałam wierzyć, że go odnajdę. W końcu trzeba pozwolić odejść dziecięcym marzeniom. – Zamyśliła się. – Nie wszystko w życiu układa się tak, jak byśmy chcieli.

Pomyślała o mamie, o walce, którą stoczyli, żeby żyła, i o przegranej, która dla Marianny okazała się wyzwoleniem. Ostatnie dni przed śmiercią były dla niej bardzo trudne.

– Byłaś gotowa na jej odejście? – Sam podkurczył nogi i oparł głowę na kolanach.

– Nie wiem. – Westchnęła. – Na to nie da się przygotować. Po strachu pojawił się

ból, a potem pustka. Dużo czasu upłynęło, nim zaczęłam ją wypełniać.

– Udało ci się?

– Tak – odpowiedziała natychmiast. – Nie miałam wyboru. Gosia pewnie mówiła ci też o naszych problemach finansowych, które mają związek z chorobą mamy. Nie miałam czasu, żeby zbyt długo się nad sobą użalać, bo wylądowalibyśmy pod mostem.

– Przykro mi. Gdybym wiedział wcześniej...

– Nieważne, nie wracajmy do tego.

– Zazdroszczę ci tej siły. – Sam szeroko otworzył oczy, ale nie patrzył na Biankę. Wpatrywał się w kłęby liści ligustru pospolitego. – Mnie pokonała własna słabość. – Wysunął przed siebie nogi i wbił dłonie w trawę. – Nie chciałem, żeby tak wyszło, a jednak... Życie czasem podrzuca nam niechciane niespodzianki. Gdybym wtedy nie wsiadł za kierownicę, tata nadal by żył. – Jego oskarżenie padło nagle, jak strzał z pistoletu. Długo trawił w sobie wspomnienia, zanim wrócił do rozmowy. – Czekałem niemal do końca, niepotrzebnie wtedy po niego pojechałem. Mogłem po prostu odpuścić. – Zwiesił głowę, a opadające włosy całkowicie zasłoniły mu twarz.

Nie śmiała się wtrącić, choć niewiele zrozumiała z tego, co powiedział.

– Ten koncert był dla mnie bardzo ważny. Stanowił podsumowanie mojej piętnastoletniej działalności na scenie. Tacie bardzo zależało, żeby tam być. Umówiliśmy się z Olafem, że tata przyjedzie z nim. Niestety tego dnia Oli przepadł bez wieści, nie mogłem się z nim skontaktować. Byłem na niego wściekły. Nigdy wcześniej mnie tak nie zawiódł.

– Nie dotrzymał obietnicy, tak? To o tym mówiłeś, gdy byliśmy w ruinach zamku?

– Tak – potwierdził smutno. – Pierwszy raz mnie zawiódł. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jakie skutki będzie miało dla mnie to wszystko. Jedna podjęta pochopnie decyzja i takie nieodwracalne konsekwencje.

Od strony stawu zawiął lekki wiatr, który poplątał mu włosy. Sam włożył między nie rękę i trochę je przygładził.

– Koncert miał się zacząć za niecałą godzinę, mieliśmy już za sobą próbę generalną, więc pomyślałem, że zdążę... – Urwał. – Tata zatrzymał się w hotelu niedaleko audytorium, gdzie miałem dać występ. Pędziłem jak wariat. Dobrze znałem tę trasę. Mój menedżer pukał się w czoło, kiedy wsiadłem za kierownicę, ale wiedział, że mnie nie zatrzyma. Gdy dotarłem przed hotel, tata stał już wyszykowany przed wejściem.

– Nie mógł po prostu wziąć taksówki?

– No właśnie, mógł. To byłoby najprostsze rozwiązanie. Tylko że on do końca czekał na Olafa. Twierdził, że skoro się z nim umówił, to syn na pewno po niego przyjedzie. Oli zawsze był niezawodny. Kiedy więc godzinę przed rozpoczęciem koncertu ojciec oświadczył, że absolutnie nie weźmie żadnej taksówki, bo sprawiłby przykrość starszemu synowi, bez zastanowienia wsiadłem do samochodu i...

– Pojechałeś – dokończyła Biana smutno.

– Tata się zdziwił, ale kiedy zobaczył mnie pod hotelem, skapitulował. Wsiadł do samochodu i bez słowa ruszyliśmy. Obaj zastanawialiśmy się, co też mogło zatrzymać Olafa, który zawsze był jak szwajcarski zegarek.

– Już wiesz, co się stało?



– Tak, banalna sprawa. Nagła podróż do Austrii, lot opóźniony z powodu złych warunków atmosferycznych i wyładowana bateria w telefonie. Wszystko złożyło się w niefortunną układankę zdarzeń, która po części miała wpływ na tragiczny finał. Ten wypadek nie miał prawa się zdarzyć. Trochę przekroczyłem prędkość, ale... z naprzeciwka na trzeciego pędził minibus. Jechał wprost na nas, więc odruchowo wykonałem manewr w prawo. Niestety uderzyłem w barierkę, a siła uderzenia była tak duża, że samochód odbił się i... – Sam nie był w stanie dokończyć. Zamknął oczy i zacisnął dłonie w pięści.

– Już dobrze. – Zbliżyła się do niego i delikatnie chwyciła go za rękę.

Pod wpływem jej dotyku rozłożył palce i splótł je z palcami Bianki.

– To nie była twoja wina – szepnęła, pochylając się nad jego uchem.

Pachnące rumiankiem włosy Sama dotknęły jej policzka. Otworzył oczy i wykorzystując chwilę, przybliżył się do jej twarzy. Jego ciepłe usta musnęły jej policzek.

– Dzięki tobie wróciłem do życia, Blanche – rzekł tonem, który sprawiał, że serce Bianki rozpływało się w ciepłej kąpieli uczuć. – Powinienem być wdzięczny matce, że sprowadziła cię do naszego domu. – Odsunął się, jednak nie na tyle daleko, by nie czuła jego pachnącego anyżkiem oddechu.

– Wiesz, dlaczego mnie tam ściągnęła?

– Nie do końca, choć domyślam się, że ma to związek z jakąś mroczną historią rodzinną – stwierdził bez entuzjazmu, jakby to nie miało dla niego znaczenia.

– Uwierz mi, twoja matka miała prawo myśleć o mnie, a właściwie o mojej rodzinie, jak najgorzej. – Od wstydu zapiekły ją policzki.

– Dlaczego? – spytał obojętnym tonem.

– Moja babka Walentyna miała w tym spory udział. – Bianka zastanawiała się, w jaki sposób opowiedzieć Samowi tę przykrą historię. Wciąż miała z tym problem.

– Walentyna, piękna skrzypaczka, która uwiodła mojego dziadka Gerarda, to twoja babka? – Kąciki ust Sama lekko się uniosły.

– Ty wiesz... – Zaskoczenie odebrało Biance głos.

– Odkryłem to przez zupełny przypadek. Kiedyś zauważyłem na biurku matki otwartą teczkę. Zwykle nie szperam w jej rzeczach, nie ma tam nic ciekawego. – Wydał lekceważąco usta. – Nie wiem, czy sprawił to kolor teczki, mocno różowy, przyciągający, jakże różny od tych wszystkich karawaniarskich przedmiotów, którymi matka zawsze się otacza, ale wtedy do niej zajrzałem. Było tam zdjęcie twojej babki, takie młodzieńcze, miała na nim długie jasne włosy i ładną buzię. Jesteś do niej bardzo podobna. – Zmrużył oczy i spojrzał na nią, jakby oceniał jej urodę pod kątem tamtej starej fotografii. Jakby porównywał ją do Walentyny.

Poczuła się tym zażenowana.

– Jak się okazało, moja matka wszystko dokładnie opisała.

– Czyli już wiesz. – Policzki paliły ją z każdą chwilą mocniej, przybierając coraz jaskrawszy odcień. – Wstyd mi za babkę. Nie powinna była tego robić. Rozbiła szczęśliwą rodzinę, a twój dziadek odebrał sobie życie. To naprawdę bardzo smutne. Kiedy twoja mama mi o tym powiedziała, myślałam, że zapadnę się pod ziemię – powiedziała szczerze. – Rozmowa z nią bardzo wiele mnie kosztowała. Ale musiałam to zrobić...

wrócić do waszego domu. Wieczorem przyjechałam do Poznania, a następnego dnia rano już pędziłam z powrotem do Kazimierza.

– Byłaś znów w Kazimierzu? – Sam się zdziwił.

– Tak, musiałam wyjaśnić jeszcze kilka spraw związanych z babką. Przekazałam Klarze list, który Walentyna napisała do Reginy, a którego nigdy nie odważyła się wysłać. Utknął na dnie szuflady w starym sekretarzyku.

Samuel wyraźnie czekał na dalszy ciąg opowieści. Bianka uznała, że skoro ta historia dotyczy również jego, to powinna wtajemniczyć go w sekretne życie Walentyny. Dlatego pomalu opowiedziała mu to, czego dowiedziała się od Serafiny, a kiedy dobiegła do końca, jej policzki odzyskały normalną barwę.

– Różnie o nim mówiono. – Sam zakasłał.

– O kim?

– O moim dziadku. Podobno był... donosicielem. Historia twojej babki to potwierdza. – Westchnął. – Niełatwo o tym wspominać, każdy chciałby się pochwalić chlubną przeszłością swoich przodków, ale niekiedy jest inaczej.

– To były trudne czasy – rzekła.

– Trzeba przyznać, że twojej babce nie brakowało odwagi – podsumował. – Jak mocno musiała kochać tego swojego Melchiora, skoro była skłonna do takich poświęceń?

Bianka nie wiedziała, czy żartuje, czy mówi serio. Wciąż uczyła się jego zachowań.

– Zazdroszczę mu takiego uczucia. To musi być cudowne, gdy komuś zależy na tobie tak mocno, że jest w stanie poświęcić dla ciebie życie. – Niespodziewanie pogładził ją po dłoni.

Poczuła w tym miejscu ciepło. Nawet kiedy zabrał rękę, jej skóra jeszcze długo pulsowała.

– Nie sędzę, żeby Melchior zażądał od niej takiego poświęcenia. Jeśli naprawdę się kochali, jeśli planowali wspólną przyszłość, to na pewno chciałby, żeby jego ukochana była szczęśliwa. Mimo wszystko nie powinna była... – Bianka dotknęła futerału.

Oblekająca go wiśniowa skóra połyskiwała w słońcu. Była ciepła, miła w dotyku, prawie tak samo jak skóra żywego człowieka.

– Teraz, kiedy poznałem bogatszą wersję tej historii, rozumiem twoje uprzedzenia.

– Jego wzrok powędrował na futerał. – Zrozumiem, jeśli nie zechcesz.

Bianka zauważyła, że się zdenerwował. Dwukrotnie zwilżył usta językiem i głęboko odetchnął. Nie miała pojęcia, dlaczego to było dla niego takie ważne.

– Przecież ci obiecałam. Zagram na nich ten ostatni raz, a potem wracają do szafy.

– Uśmiechnęła się.

– Do szafy? – Uniósł jedną brew, jakby starał się przypomnieć sobie, czy czegoś nie przeoczył w jej wcześniejszej opowieści.

– Przespały w niej ponad pół wieku, więc powinny jak najszybciej wrócić na swoją półkę. Tam będzie im najwygodniej. – Otworzyła futerał i wyjęła skrzypce.

Za każdym razem, kiedy brała je do rąk, czuła przyjemne ciepło. Ich zapach i gładki dotyk drewna budziły miłe skojarzenia, jakże różne od tego, co myślała na temat babki. Odkąd poznała historię Walentyny, widziała w tym instrumencie narzędzie nieplanowanej zbrodni. Tylko że jego dźwięki wciąż brzmiały romantycznie i przyciągały

bliżej nieokreśloną łagodnością. Nawet gdyby nie wiedziała, że skrzypce wcześniej należały do kobiety, mogłaby przypuszczać, że opiekowały się nimi kobiece dłonie.

Bianka się zadumała. Kiedy jednak dotarło do niej, jak bardzo niedorzeczne są jej myśli, kilka razy zamrugła i na moment zatrzymała wzrok na grynszpanowej tafli stawu. Zerknęła na Sama, a gdy zobaczyła, że z wyczekiwaniem wpatruje się w skrzypce, całkowicie skoncentrowała się na sobie, na tym, co zamierza zrobić.

Usiadła wygodnie, sięgnęła po smyczek, a kiedy go uniosła i dotknęła nim strun, poddała się fali muzyki. Nie pytała -Samuela o repertuar, sama zadecydowała. Nuty miała w głowie, pojawiały się przed jej oczami, wypełniały ją od środka. W chwili gdy grała, cała była muzyką, płynęła z prądem dźwięków w nieznanym kierunku. Wybrała *Nocturne cis-moll* Szopena, utwór, który zagrała, kiedy Sam po raz pierwszy ją o to poprosił. Dotknęła skrzypiec smyczkiem, jej palce ułożyły się na właściwych strunach, a wydobywające się z nich dźwięki uformowały się w znajomą melodię.

– To był ostatni raz – rzekła, gdy skończyła grać, tak jakby chciała przypieczętować tę decyzję. Odłożyła skrzypce do futerału, a potem dokładnie go zamknęła. Wciąż miał popsute jedno zamknięcie.

– Dzięki, Blanche. – Sam uśmiechnął się do niej, ale nic więcej nie powiedział.

Wpatrywała się w niego, a on patrzył na nią, jakby połączył ich jakiś sekret, którym nie zamierzali się dzielić z innymi. Ta chwila mogłaby zastąpić potok niepotrzebnych słów, przecież oboje czuli to samo. Bianka jednak musiała o to zapytać.

– Sam, dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, żebym zagrała? – Nie była pewna, czy doczeka się odpowiedzi, a jednak zaryzykowała.

– Musiałem się przekonać.

– O czym?

– Czy nadal to potrafię.

– Co?

– Czy umiem rozpoznać w sobie dźwięki. Rozumiesz?

Przytaknęła. Mimo że prawie wymusił na niej tę odpowiedź, nie kłamała. Czowała dokładnie to samo co on. Muzyka była częścią niej, a ona była częścią muzyki.

– Po tym wszystkim... obiecałem sobie, że już nigdy... – Niby przez przypadek dotknął jej ręki.

Wykorzystała to i chwyciła jego dłoń. Jej zachowanie względem Sama stawało się coraz śmielsze. Samuel uśmiechnął się, zachęcony jej spontanicznym gestem.

– Kiedy okazało się, że straciłem wzrok, pomyślałem, że to znak, kara za to, co zrobiłem.

– Sam... – Bianka mocniej ścisnęła jego rękę. Nie mogła słuchać tych oskarżeń.

Wciąż to robił, choć teraz w jego słowach nie było już tylu emocji.

– Cii – szepnął i przyłożył palec do ust. – Daj mi skończyć – poprosił. – Teraz wiem, że nie mógłbym żyć bez muzyki. Scena to mój świat. Przez ostatnie lata, kiedy nie grałem, czułem się tak, jakby uszło ze mnie całe życie. Byłem zupełnie martwy, Blanche – rzekł teatralnym tonem.

Nie wiedziała, co sądzić o jego słowach. Mimo że raziły górnolotnością, przebijała z nich prawdziwość.

– Człowiek nie może się wyrzec tego, co kocha, bo wtedy staje się nikim, imitacją samego siebie – ciągnął tym samym tonem. – Wiem, że już ci to mówiłem, ale powtórzę jeszcze raz: przywróciłaś mnie do życia. Zostań ze mną, Blanche. Nie wyobrażam sobie, żebym teraz miał się z tobą rozstać. – Spojrzał na nią w panice, jak ktoś, kto desperacko szuka punktu zaczepienia.

Ścisnęła jego rękę.

– Zostanę, Sami. – Tylko tyle mogła mu powiedzieć, cokolwiek to miało oznaczać. – Pomału wrócisz do grania, a ja ci w tym pomogę.

Przysunął się do niej. Jego kędzierzawe włosy znów musnęły jej rozgrzany policzek, a jego pełne usta dotknęły jej warg. Natrętny powiew wiatru próbował ich rozdzielić, ale jeszcze mocniej przyłgnęli do siebie, nie zwracając uwagi na te zaczepki.

Kiedy wyszli z parku, popołudniowe słońce ślizgało się po lśniąącym asfalcie.

– Po porannym deszczu nie ma nawet śladu. – Bianka spojrzała w stronę auta, a potem zerknęła na Sama.

Zdawał się jej nie słyszeć. Od dziesięciu minut co chwila spoglądał na zegarek.

– Jedziemy do centrum – zdecydował.

Nie spodobał jej się ten ton, ale nie odezwała się, tylko otworzyła drzwi. Dopiero gdy weszli do środka i usadowili się w fotelach, a Bianka odpaliła silnik, którego odgłos zagłuszył niesmak po ostatnich słowach Sama, odwróciła głowę w jego kierunku i siląc się na swobodę, rzekła:

– Po co chcesz jechać do centrum?

Odkąd wyprowadzili się z mieszkania na starówce, za każdym razem, gdy znajdowała się w okolicy rynku, czuła przygnębienie. Odzywały się w niej wspomnienia związane z mamą i zazwyczaj zalewał ją potok przemyśleń, którego nie potrafiła zatrzymać. Musiała płynąć z jego rwącym nurtem aż do końca, do miejsca, gdzie wpadał do większego zbiornika pamięci.

– Mam tam jedną małą sprawę do załatwienia i zależy mi, żebyś pojechała ze mną.

– W porządku. – Bianka pomału ruszyła.

– Dziękuję, Blanche. – Sam przechylił się i dotknął ustami jej ramienia.

Mocniej objęła kierownicę, żeby ukryć zmieszanie. Wciąż ją peszył. Zastanawiała się, jak długo to będzie trwało, ta niewiadoma. Kiedy staną się dla siebie przewidywalni? I czy w ogóle to nastąpi?

Na starówce tak jak zazwyczaj panował ruch. Bianka nie pytała już Sama, dokąd zmierzają, tylko szła obok niego, spoglądając na znajome budynki. Starła się patrzeć na wszystko oczami zwykłego przechodnia, który znalazł się w tym miejscu przez przypadek, a nie oczami osoby, która przeżyła tutaj długie lata pełne pięknych wspomnień. Sam musiał zauważyć ten sentymentalny błysk w jej wzroku, bo ujął jej rękę i szepnął:

– Przykro mi.

A jednak zbliżali się do siebie. Poznawali się kawałek po kawałku, otwierając się na nowe. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Pospieszenie zerknął na zegarek, a potem uniósł głowę i -popatrzył na duży szyld wiszący nad półkolistym oknem kawiarni.

– Wygląda na to, że jesteśmy na miejscu. – Pociągnął ją za sobą.

Przeszli przez wąską uliczkę i po chwili znaleźli się obok kawiarnianego ogródka wypełnionego roześmianymi ludźmi. Ich twarze, wesole, pełne życia, zwały się przed oczami Bianki w jedną falującą masę. Odwróciła się. Kilkanaście metrów dalej stała kamienica, w której mieściło się jej rodzinne mieszkanie. Szczęśliwe cztery kąty, w których przeżyła tyle cudownych chwil. „Ciekawe, dlaczego Walentyna wybrała akurat Poznań... To tutaj urodziła się na nowo”. Bianka skierowała wzrok na trzecie piętro. Zamknięte okna z białymi framugami patrzyły smętnie na kolorowy, rozedrgany świat.

– Chodź, Blanche. – Sam objął ją w pasie i lekko popchnął w stronę stolików.

Szła za nim ze spuszczoną głową. Wciąż nie wiedziała, dlaczego się tutaj znaleźli. Przecież jeśli miał ochotę napić się dobrej kawy, mogli to zrobić w wielu innych miejscach, które mijali po drodze.

– Dzień dobry.

Usłyszała dwa głosy. Jeden ciepły, kobiecy, który na pewno już gdzieś słyszała, i drugi... brzmiący tak znajomo, że rozpoznałaby go wszędzie.

– Bianka? Co tu robisz? – Zygmunt z zakłopotaniem przyglądał łysinę i uniósł ramiona.

– A ty? – Bianka patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Ja... – Przeniósł wzrok na stojącą obok niego kobietę, jakby chciał, żeby wyręczyła go w wyjaśnieniach.

Bianka podążyła za jego spojrzeniem i zatrzymała oczy na znajomej twarzy pani Danuty. Danuta Wielawska była pracownicą dużego biura nieruchomości. Zajmowała się sprzedażą ich mieszkania. Wtedy odezwał się Samuel i w jednej chwili wszystko stało się jasne.

– Umówiliśmy się tutaj w sprawie mieszkania na starówce, które chciałbym kupić.

– Popatrz na Biankę z miną niewiniątka, niepewny, jak dziewczyna zareaguje na tę wiadomość.

– Co takiego?! – Jej reakcja była natychmiastowa. – Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?!

– Bo chciałem ci zrobić niespodziankę. – Złapał ją za rękę, jakby chciał ją uspokoić.

– Niespodziankę?! – Pokiwała głową z oburzeniem.

– Może usiądziemy i przejdziemy do konkretów? – Danuta zakasłała i spojrzała na nich z zakłopotaniem. – Za godzinę mam kolejne spotkanie.

– Jesteśmy już wszyscy, więc możemy usiąść i zająć się sprawą – stwierdził Sam.

Przywitali się pospiesznym uściskiem dłoni i usiedli. Kolejne pół godziny minęło na oficjalnej rozmowie. Okazało się, że Sam jest już zdecydowany i teraz należy się zająć jedynie formalnościami. Bianka przyglądała się całej sytuacji jak przez zaparowaną szybę. Wszystko działo się tak błyskawicznie, że nie była w stanie wyczytać z twarzy ojca, co on myśli o tej sprawie. Zdążyła tylko zauważyć, że dosyć nieufnie przygląda się Samuelowi. Za to Sam zachowywał się tak, jakby dokonywał najważniejszej transakcji w swoim życiu. Tryskał dobrym humorem i zdawał się nie dostrzegać drobnych oznak podejrzliwości ze strony Zygmunta. Samuel, wokół którego wszystko nabierało barw, czuł, że właśnie zrobił pierwszy krok w kierunku nowego życia. Dlaczego nie zacząć w

Poznaniu?

Prosto z kawiarni udali się do mieszkania Walentyny. Gdy tylko otworzyli drzwi, przywitał ich zapach drewna cedrowego i kulek lawendowych, które kojarzyły się Biance głównie z szafą babki. Zygmunt pomалу oswajał się z informacją, że nowym właścicielem mieszkania Walentyny będzie Samuel, który chciał je kupić bynajmniej nie dlatego, że przyciągnęły go jego niepowtarzalność i idealna lokalizacja. Zdawał sobie sprawę, że Sam zrobił to dla Bianki. Właściwie powinien być mu wdzięczny – i był, ale...

Niepokoił się o córkę, która tyle przeszła w ostatnich latach. Tak bardzo się bał, że ten mężczyzna, który pojawił się w jej życiu nie przez przypadek, może ją skrzywdzić.

Sam wyczuwał na sobie sondujący wzrok Zygmunta. Nie próbował za wszelką cenę mu się przypodobać. Uważał, że obaj potrzebują trochę więcej czasu, żeby lepiej się poznać i sobie zaufać. Nie wątpił, że im się uda. W końcu łączyła ich najważniejsza dla nich osoba – Bianka. Obaj ją kochali.

– To kiedy się przeprowadzacie? – spytał Sam beztrąsko, kiedy wszyscy trzej usiedli w salonie na aksamitnej, lekko przykurzonej kanapie.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Zygmunt patrzył na Sama ze zdumieniem.

– Panie Zygmuncie, proszę mi mówić po imieniu: po prostu Sam. – Uśmiechnął się zachęcająco.

– No dobrze, Sam. Przyznam, że nie wiem, do czego zmierzasz.

– Myślałem, że będziecie chcieli jak najszybciej tutaj wrócić.

– Ale... jak to sobie wyobrażasz? Mielibyśmy zamieszkać tutaj wszyscy razem? – Zygmunt wydawał się trochę oburzony tym faktem.

– Proszę się nie obawiać. Chodziło mi raczej o to, kiedy pan i Bianka planujecie się tutaj przenieść. Chętnie pomogę w przeprowadzce.

– A pan? Gdzie pan będzie mieszkał? – Zygmunt nie krył zaskoczenia.

– O mnie proszę się nie martwić. Mój znajomy, który ma kawalerkę niedaleko stąd, od lat przebywa we Francji. Dotychczas ją wynajmował, ale od dwóch miesięcy stoi pusta. Skorzystam więc z jego oferty.

– Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. – Zygmunt był skołowany. Sprawy przybrały inny obrót, niż przypuszczał. Patrzył na Sama coraz przychylniej.

– W następną środę mam rozmowę z dyrektorem w sprawie pracy w filharmonii – powiedział Samuel.

– Naprawdę? – Zygmunt zatrzymał na nim zdziwione spojrzenie.

– Dawno nie trzymałem w ręku skrzypiec. Chyba będę potrzebował kilku intensywnych lekcji. Jak pani myśli, pani profesor? – Przechylił się w stronę Bianki i puścił do niej oko.

– Będę trzymał za ciebie kciuki. Miło by było, gdybyś dołączył do orkiestry – powiedział Zygmunt rzeczowym tonem, choć wiadomość Sama wywołała u niego entuzjazm. Było widać, że coraz bardziej się do niego przekonywał.

Gawędzili jeszcze przez godzinę. Zygmunt pokazał Samuelowi mieszkanie i opowiedział część historii swojej rodziny. Zbliżali się do siebie małymi krokami. Kiedy tuż przed dwudziestą Zygmunt opuszczał kamienicę, rzekł ostrzegawczym tonem, zwracając się do mężczyzny:

– Pilnuj jej, Sam, to mój największy skarb. Nie przeżyłbym, gdyby coś jej się stało.  
– Tatku... – Biankę speszyły słowa ojca.

– Panie Zygmuncie, teraz Biana jest naszym wspólnym skarbem. Mogę panu przyrzec, że będę się opiekował pana córką najlepiej, jak potrafię.

Biana się zarumieniła. Poczuli się niekomfortowo, stojąc pomiędzy dwoma mężczyznami, których kochała i którzy ją kochali.

– Uważaj na siebie, chochliku. – Na koniec Zygmunt uśmiechnął się szeroko. – Do zobaczenia, Sam. – Wyciągnął do Samuela rękę.

Uściśnięte dłonie zawisły nad drewnianym progiem jako symbol rodzącej się między nimi męskiej przyjaźni, a wcześniejsze chwilowe napięcie uleciało z przestronnego korytarza o gładkich szafranowych ścianach i przez otwarte okienko wymknęło się na podwórze.

– Jesteś na mnie zła z powodu tego wszystkiego? – Sam obejmował Biankę i opierał głowę na jej ramieniu.

Stali przy otwartym oknie i spoglądali na ostatnie błyski mijającego dnia. Choć niebo już gasło, rynek wciąż tętnił życiem. Na ruchliwych uliczkach migotały kolorowe światła.

– Nie – odparła.

Nie odwróciła się jednak do niego, tylko patrzyła na znajomy krajobraz, na przytulone do siebie kolorowe kamienice, gwarny plac i Prozerpinę w zaborczym objęciu Plutona, wtopionych w środek fontanny. Gdy Biana tu mieszkała, po przebudzeniu zawsze podchodziła do okna, a jej wzrok najpierw witał się z kamienną boginią.

– Zamyśliłaś się – zauważył Sam i przytulił się do jej włosów.

Lekko go od siebie odsunęła i powiedziała:

– Teraz, gdy już znam historię Walentyny, tak się zastanawiam, czy nie wybrała tego miejsca ze względu na nią. – Wychyliła się przez okno.

Sam podążył za jej wzrokiem.

– Ze względu na kogo? – Odgarnął kosmyk włosów z czoła Bianki.

– Na Prozerpinę. – Wciąż patrzyła przed siebie zamyślonym wzrokiem. – Znasz mit o Prozerpinie i Plutonie?

Nie odpowiedział, tylko czekał na jej dalsze słowa.

– Pluton, władca podziemi, ugodzony strzałą Amora, zobaczył Prozerpinę, kiedy wraz z grupką nimf zbierała kwiaty na sycylijskich łąkach. Wskoczył z Etny z czterema czarnymi końmi i uprowadził Prozerpinę do swojego królestwa, żeby pojąć ją za żonę. Matka Prozerpiny Ceres długo nie mogła się pogodzić z jej nagłym zniknięciem. Wszędzie jej szukała, lecz nie odnalazła córki. Była tak zrozpaczona, że pod wpływem jej dotyku gleba przestawała rodzić plony. Zaniepokojony Jowisz, ojciec Prozerpiny, wysłał do podziemnego królestwa Merkurego z nakazem uwolnienia córki. Pluton nie miał wyjścia i się podporządkował, ale nakłonił Prozerpinę do zjedzenia nasion granatu, które są symbolem małżeństwa. Jego podstęp sprawił, że Prozerpina musiała spędzać cztery miesiące w roku z mężem. Przez resztę czasu mogła przebywać z matką na powierzchni ziemi. Ma to związek z porami roku. Gdy Prozerpina przybywa do matki, zaczyna się wiosna i Ceres ozdabia ziemię kwiatami. Kiedy zaś Prozerpina wraca do męża, nadchodzi

jesień, a Ceres zabiera z łąk życie i zielen.

– Co to ma wspólnego z twoją babką, Blanche?

– Ona też trwała w dwóch różnych światach. Zeszła do podziemnego królestwa i doświadczyła ciemności, a kiedy potem uwolniła się od tego i rozpoczęła nowe życie jako inna osoba, część tej ciemności w niej pozostała. Sądzę, że wspomnienia na zawsze wypełniły jej umysł.

– Ciemność i światło... – Sam spojrział w stronę fontanny. – Czyż nie tym właśnie jest życie? Odwiecznym tańcem przeciwieństw, poznawaniem, ścieraniem się dobra ze złem. A wybór należy do nas.

– Wiesz, o czym mówię. – Bianka dotknęła jego policzka, a on przytrzymał jej dłoń, upajając się jej ciepłem.

– Wiem, Blanche. Doskonale cię rozumiem. Dopiero co wydostałem się na powierzchnię.



## Epilog

☞ Łomień świecy kołysał się w nieruchomym powietrzu. Estera na moment odwróciła głowę od okna, za którym już zagościł mrok. Spojrzała niespokojnie w stronę ogienka, z którego wystrzeliła iskra. W zacienionej komnacie panowała przeraźliwa pustka. Poczowała, że nicość ogarnia każdą jej część. Tęsknota wymywała z niej nadzieję i podsyciała wspomnienia ostatnich chwil.

– Kazimierzu, panie mój, jak długo przyjdzie mi znów ciebie wypatrywać?

Włożyła rękę między pukle czarnych długich włosów wypadających spod niewielkiego toczka wykończonego złotym sznurem i przeczesła je, czując jeszcze na skroniach tkliwy dotyk ukochanego.

Chwyciła gęste fałdy długiej sukni i przesunęła się na drugi koniec szerokiego okna. Księżyc zbliżał się do pełni, więc mogła się dokładnie przyjrzeć terenowi otaczającemu zamek. Za starym dębem wiła się jasna ścieżka. Jeszcze przed momentem widziała tam jego barczystą, wysoką sylwetkę, która jednak oddalała się nazbyt szybko, by mogła nasycić wzrok jej widokiem. Życie Estery balansowało między dwoma światami – tym samotnym, w chwilach, kiedy snuła się po chłodnych korytarzach swojego zamku w Bochothnicy, odliczając dni do powrotu Kazimierza, i tym pełnym czaru miłości, kiedy on powracał, by znów na pewien czas ogrzać jej kruche serce. To uczucie wymagało od niej poświęceń. Zakazana miłość zazwyczaj ich wymaga.

Przywykła już do krótkich chwil spędzanych w ramionach miłego, które jak spłoszony motyl umykały zbyt szybko, by można było im się dokładnie przyjrzeć. Przyzwyczaiała się do tego, że w jej życiu więcej było czekania i tęsknoty niż prawdziwej rozkoszy. A kiedy myślała, że już dłużej nie da rady, on znów się pojawiał i oferował coś, czego nie mógł jej dać nikt inny. Bo on był niepowtarzalny, a i ona była dla niego jedyną. Przynajmniej chciała w to wierzyć, kiedy w bezsenne noce ogarniało ją zwątpienie, a serce kłuły igiełki zazdrości. Przecież tylekroć zapewniał ją o swoim uczuciu. Kochał ją, wiedziała o tym. Ten pałac, podziemne przejście stworzone po to, by mogli się spotykać, kunsztowne szaty, które przywoził jej z dalekich wypraw. Było tego bez liku. A teraz jeszcze to...

Dotknęła dekoltu i uśmiechnęła się smutno. W półmroku komnaty czarna perła zawieszona na koronkowym łańcuszku wyglądała jak spływająca łza. „Pani moja, Esterko, ma miłość do ciebie nigdy się nie skończy. Jam twój na zawsze, a tyś moja”, zapewnił ją po raz kolejny o swoim uczuciu, zawieszając na jej szyi nowy prezent.

Nawet gdy stał obok niej, już za nim tęskniła, bo wiedziała, że lada chwila znów zniknie w królestwie ciemności. Starła się uchwycić jego cień, który głąskany płomieniem świecy, rósł do niebotycznych rozmiarów. Te momenty były takie prawdziwe i jednocześnie zbyt nierzeczywiste, by dało się je zapamiętać. Zwykle widziała go w ciemności, a ciemność szybko wymazywała z pamięci wyraźne obrazy. Usypiała i odurziała, sprawiając, że Estera, będąc przy nim, traciła zmysły. Nie potrafiła żyć inaczej i nie chciała. Bo z nim była całością, jej jasna i ciemna strona łączyły się, tworząc jedność.

Tak, to była ona – mroczna, a zarazem świetlista i piękna. Takie życie wybrała,

takiego mężczyznę pokochała. Nie pozostało jej więc nic innego, jak tylko podtrzymać ten chybotliwy płomień świecy, który zawsze towarzyszył ich spotkaniom, i dbać o to, by nigdy nie zgasnął. Zmrok łączył się ze świtem, a kolejna jutrenka dążyła do spotkania z nowym zmierzchem. Ich uczucie toczyło się w poplątanym kole życia. Grube mury zamku przyglądały się tej historii i szeptały, że dopóki na wzgórzu pozostanie choćby jeden głaz pamiętający te zacne czasy, dopóty trwać będzie wspomnienie miłości Kazimierza Wielkiego i urodnej Estery.